

# Miasteczko Innocente

Nora Roberts



calibre 0.9.43



# MIASTECZKO INNOCENTE

Tytuł oryginału CARNAL INNOCENCE

# PROLOG

Był mroźny lutowy poranek, kiedy Bobby Lee Fuller znalazł pierwsze ciało. Ludzie mówili „znalazł”, choć tak naprawdę potknął się o to, co zostało z Arnette Gantrey. Nieważne zresztą, jak to nazwać. Grunt, że Bobby Lee jeszcze długo widywał w snach bladą twarz o szeroko otwartych oczach.

Gdyby poprzedniego wieczora nie zerwał - po raz kolejny - z Marvella Truesdale, tkwiłby przy biurku łamiąc sobie głowę nad Szekspirowskim *Makbetem* zamiast wędkować w Gooseneck Creek. Ale ta ostatnia kłótnia w ich burzliwym romansie zupełnie go wykończyła.

Postanowił zrobić sobie wolny dzień, odpocząć, podumać. I pokazać tej pyskatej Marvelli, że nie jest bezpłciowym mięczakiem, lecz mężczyzną.

Mężczyźni w rodzinie Bobby'ego Lee zawsze dzierżyli ster w dłoni - albo przynajmniej udawali, że to robią. Bobby nie miał zamiaru zrywać z tradycją.

Jako dziewiętnastolatek był już zupełnie dorosły. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, chude, nieproporcjonalne ciało nastolatka i duże, silne dłonie pracującego mężczyzny.

Ciemne, gęste włosy matki lubił zaczesywać do tyłu, wzorem swego idola Jamesa Deana. Po matce odziedziczył również wspaniałe rzęsy.

Bobby Lee uważał Deana za „swego chłopca”, takiego, co to nie cierpi ślęczenia nad książką. Podobnie jak Bobby Lee. Gdyby to zależało od niego, pracowałby na pełnym etacie w garażu Sonny'ego Talbota zamiast przebijać się przez trzecią klasę liceum. Ale jego matka była odmiennego zdania. Nikt w Innocence, w stanie Missisipi, nie wchodził w drogę Happy Fuller, jeżeli mógł tego uniknąć.

Happy - imię pasowało do niej jak ulał; potrafiła, uśmiechając się przepięknie, zrobić z człowieka sieczkę - nigdy nie wybaczyła swemu pierworodnemu, że dwa razy powtarzał

rok. Gdyby nie kłótnia z Marvella, Bobby Lee nie ośmieliłby się wagarować. Ale Marvella należała do dziewcząt, które popychają mężczyznę - prawdziwego mężczyznę - do czynów pochopnych i nierozsądnych.

Tak więc Bobby Lee zarzucił wędkę nad posępnymi, brązowymi wodami Gooseneck Creek i skulił się z zimna w wytartej dżinsowej kurtce. Tata zawsze mówił, że kiedy mężczyznę zaprzatają wielkie sprawy, najlepiej jak usiądzie nad wodą i zobaczy, co bierze.

Nieważne, czy coś złapie, liczy się tylko obecność nad wodą.

- Cholerne baby! - mruknął Bobby Lee i wykrzywił usta w pogardliwym grymasie, który ćwiczył przez wiele godzin w łazienkowym lustrze. - Niech je czort!

Niepotrzebne mu były zmartwienia, których Marvella mu nie szczędziła. Od kiedy zrobili to na

tylnym siedzeniu cutlassa, rozbierała go na części pierwsze i składała na powrót według własnego wzoru.

Takie numery nie przejdą z Bobbym Fullerem, o nie! Nawet jeżeli czuł się ogłupiały z miłości, w chwilach kiedy nie darli ze sobą kotów. Nawet jeżeli wydawało mu się, że te wielkie, niebieskie oczy powierzają mu jakąś tajemnicę, kiedy mijali się na zatłoczonych korytarzach szkoły średniej imienia Jeffersona Davisa, Nawet jeżeli pieprzyła się jak szatan, kiedy już udało mu się dopaść jej nago.

Może ja. kochał, może była od niego mądrzejsza, ale niech go diabli, jeżeli pozwoli jej ciągnąć się na postronku jak prosię.

Bobby Lee usadowił się w trzcinach wąskiego strumienia zasilanego przez Missisipi.

Słyszał samotny gwizd pociągu zmierzającego do Greenville, szept wilgotnego zimowego wiatru pośród bezwolnych trzcin. Spławik tkwił nieruchomo.

Ryba brała? A jakie. To jego brała - cholera!

A może ruszy do Jackson, strząśnie pył Innocence ze swych stóp i spróbuje szczęścia w mieście? Był dobrym mechanikiem, cholernie dobrym, i wykombinował sobie, że mógłby znaleźć pracę i bez świadectwa maturalnego. Zasaństwo! Człowiek nie musi wiedzieć o jakimś fagasie Makbecie, trójkacie rozwartym czy jakimś tam, żeby naprawić zanieczyszczony gaźnik. W Jackson mógłby znaleźć pracę w warsztacie, zostać głównym mechanikiem.

Cholera, sam mógłby założyć warsztat, i to migiem. A Marvella Jak Jej Tam Truesdale niech sobie w tym czasie wyplakuje swoje niebieskie oczy.

Potem on wróci. Uśmiech rozjaśnił jego ostre, męskie rysy i nadał czekoladowym oczom ciepły wyraz, który przypawiłby Marvelle o migotanie przedsionków. Tak, wróci, z kieszeniami wypchanymi dwudziestodolarówkami. Wjedzie do miasta cadillakiem rocznik 62, jednym z wielu swoich samochodów, wbity we włoski garnitur i bogatszy niż Longstreetowie.

A oto i Marvella, wychudła i blada z udręki. Stoi na rogu, przed drogerią Larssona, przyciskając dłonie do miękkich, poduszastych piersi, a po jej twarzy płyną łzy.

A kiedy opadnie na kolana, szlochając i zawodząc, i powie, jak jej przykro, że była taką cholerną dziwką, on może, kto wie, może jej wybaczy.

Cudowna wizja wpłynęła kojąco na jego nerwy. Kiedy słońce przygrzało łagodząc ostry chłód, a jasne ogniki zatańczyły w mrocznej wodzie, zaczął rozważać fizyczny aspekt ich pojednania.

Zabierze ją do Sweetwater po odkupieniu uroczej starej plantacji od Longstreetów, którym powinna się noga. Będzie zachwycona, zadziwiona jego bogactwem. Jako dżentelmen o romantycznej naturze, powie jej po długich, kręconych schodach.

Ponieważ Bobby Lee nigdy nie był na piętrze w Sweetwater, musiał uruchomić wyobraźnię. W

rezultacie sypialnia, do której miał wnieść drżącą Marvella, przypominała apartament hotelowy w Vegas, szczyt dobrego smaku według wyobrażeń Bobby'ego Lee Fullera.

Ciężkie czerwone kotary, łoże w kształcie serca wielkie jak jezioro, dywany tak puszyste, że się w nich brodzi. Gra muzyka. Coś klasycznego, pomyślał. Bruce Springsteen albo Phil Collins. Tak, Marvella miała hopla na punkcie Phila Collinsa.

Potem położy ją na łóżku. Jej oczy będą wilgotne, kiedy ją pocałuje. Będzie powtarzała w kółko, jaka była głupia, jak bardzo go kocha. Poświęci resztę życia, by uczynić go szczęśliwym, by uczynić go swym królem.

Potem przesunie dłońmi po tych niewiarygodnych białych piersiach, ściskając je tylko trochę, tak jak lubiła.

Ona rozchyli miękkie uda, wbije mu paznokcie w ciało, a z jej gardła wydrze się ten chrapliwy jęk. A potem...

Wędką skoczyła mu w rękę. Bobby Lee usiadł krzywiąc się z bólu, kiedy dzinsy opięły bulwę, która urosła mu w kroku. Na wpół przytomny, wyrwał ogromną rybę z wody.

Zamigotała w słońcu. Drżącymi, niepewnymi dłońmi, ciągle z bulwą w kroku, poderwał zdobycz i cisnął ją w trzciny.

Wyobrażał sobie, że za chwilę zatopi ptaka w Marvelli, i zaplątał żyłkę! Dźwignął się, klnąc własne niedbalstwo. Dobra żyłka była równie cenna jak ryba, którą złowił, włożył więc w trzciny i zaczął rozplątywać linkę.

Okoń ciągle się miotał. Bobby słyszał odgłosy wodnej walki. Szcherząc zęby w uśmiechu, szarpnął żyłkę. Ani drgnęła. Mamrocząc przekleństwa, kopnął zardzewiałą puszkę po piwie i zrobił kolejny krok w wysokiej, mokrej trawie. Poślizgnął się na czymś gęstym.

Bobby Lee Fuller wylądował na kolanach. I znalazł się oko w oko z Arnette Gantrey.

Jej twarz zdawała się odbijać jego własne zdumienie - szeroko otwarte oczy, rozdziawione usta, białe, bardzo białe policzki. Okoń podrygiwał ostatkiem sił na jej nagich, okaleczonych piersiach.

Wiedział, że jest martwa, martwa jak kamień, i ta świadomość była wystarczająco paskudna. Ale dopiero widok krwi, matowych kałuż wsiąkających w mokrą ziemię, oblepiających ciemną mazią jej utlenione włosy, zaskorupiałych w otworach dziesiątek dziur okalających szyję, gdzie widniało szerokie cięcie, dopiero widok krwi wyrwał mu z gardła chrapliwy, zwierzęcy pomruk i kazał cofać się na czworakach. Nie wiedział, że ten dźwięk pochodzi od niego. Nie wiedział, że klęczy w jej krwi.

Bobby Lee podniósł się i zrzucił całe śniadanie na swoje nowe czarne kowbojki.

Zostawiwszy okonia, żyłkę i sporą część dzieciństwa w cholernych trzcinach, pognął

do Innocence.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lato, to zdradzieckie, zielone kurestwo rozpostarło wilgotne ramiona i zdławiło Innocence w stanie Missisipi. Nie było to rzeczą trudną. Nawet przed wojną secesyjną Innocence było jedynie niewidocznym punkcikiem na mapie. Choć ziemia nadawała się pod uprawę (zakładając, że ktoś przetrwałby wilgotne upały, gwałtowne powodzie i podstępne susze), Innocence nie było sądzone rozkwitnąć.

Tory kolejowe ciągnęły się daleko na północ i zachód, budząc nigdy nie zaspokojoną tęsknotę za dobrobytem i postępem. Autostrada, przekopana przez deltę sto lat po przeprowadzeniu torów, połączyła Memphis i Jackson, zrobiła w tył zwrot i pozostawiła Innocence w tumanie kurzu.

Nie było tu żadnego pola walki, żadnego dziwu natury, który przyciągnąłby turystów z aparatami fotograficznymi i forszą. Żadnego luksusowego hotelu, jedynie żałośnie schludny dom noclegowy prowadzony przez Koonse'ów. Sweetwater, jedyna plantacja ocalała z czasów przedwojennych, stanowiła prywatną własność Longstreetów niezmiennie od dwustu lat, i tak miało pozostać. To gwoli informacji.

Sweetwater została kiedyś opisana w „Southern Homes”. Ale to zdarzyło się w latach osiemdziesiątych, kiedy żyła jeszcze Madeline Longstreet. Gdy ona i jej mąż moczymorda umarli, dom przeszedł na własność trójki ich dzieci. To oni władali miastem, nic sobie z tego właściwie nie robiąc.

Można by rzec - i powiedziano to nie raz - że trójka młodych Longstreetów odziedziczyła wygląd i urodę po swych przodkach, ale żadnych ambicji. Trudno byłoby im się oprzeć, nawet gdyby mieszkańcy sennego miasteczka w delcie Missisipi zebrali dość energii, by spróbować. Prócz ciemnych włosów, złocistych oczu i okazałej postury, Longstreetowie mieli jeszcze tę cechę, że potrafili zapędzić każdego w kozi róg szybciej, zanim by się człowiek obejrzał.

Nikt specjalnie nie potępiał Dwayne'a za to, że poszedł w ślady przeważnie nietrzeźwego tatusia. Synek rozbijał od czasu do czasu samochód albo wywracał parę stołów w tawernie „U McGreedy'ego”, ale po trzeźwemu grzecznie przyrzekał poprawę. Niestety, w miarę jak płynęły lata, przytomniał coraz rzadziej. Mówiono, że wszystko mogłoby wyglądać inaczej, gdyby Dwayne nie uciekł z ekskluzywnej szkoły, do której posłano go we wczesnym dzieciństwie. Albo gdyby wraz z zamiłowaniem do gorzałki odziedziczył po ojcu jego miłość do ziemi.

Inni mieszkańcy, mniej uprzejmi, twierdzili, że za pieniądze można kupić piękny dom i piękne samochody, ale nie kupi się kręgosłupa.

W osiemdziesiątym czwartym Dwayne wpędził Sissy Koons w kłopoty i ożenił się z nią bez słowa skargi. A kiedy Sissy zażądała rozwodu (dorobili się już dwojga dzieci i niezliczonych butelek whisky wypitych przez Dwayne'a) zakończył małżeństwo równie pokojowo, jak je zawarł. Bez awantur, pretensji i żalów. Sissy wyruszyła z dziećmi do Nashville, by zamieszkać ze sprzedawcą obuwia, który chciał być drugim Wyalonem Jenningsem.



Josie Longstreet, jedyna córka i najmłodsze dziecko, zaliczyła dwa małżeństwa, zanim dobiegła trzydziestki. Oba związki były krótkotrwałe, ale dostarczyły mieszkańcom Innocence niewyczerpanego materiału do plotek. Josie odniosła się obu tych przeżyć tak, jak inne kobiety odnoszą się do pierwszych siwych włosów. Z mieszaniną gniewu, gorzkości i strachu. Potem wszystko zostało ładnie zatuszowane. Co z oczu, to i z myśli.

Kobieta nie chce osiwieć, tak jak nie chce się rozwodzić, skoro już powiedziała „tak”.

Ale świat jest pełen niespodzianek. Jak mawiała filozoficznie Josie do swojej przyjaciółki od serca i właścicielki salonu piękności, Crystal, chciała uniknąć kolejnego błędu w ocenie, testowała zatem wszystkich mężczyzn od Innocence po granice Tennessee.

Parę złośliwych starych kwok szeptało po kątach, że Josie Longstreet robi w „tych sprawach” tylko to, co koniecznie musi. Ale mężczyźni uśmiechali się tęsknie, wiedząc, że robi o wiele, wiele lepiej.

Tucker Longstreet lubił kobiety, może nie tak bardzo jak jego siostra lubiła mężczyzn, ale miał w tej dziedzinie spore osiągnięcia. Znany był z tego, że zagląda do kieliszka, choć z mniejszym zamiłowaniem niż jego starszy brat.

Dla Tuckera życie było długą, spokojną drogą. Nie przeszkadzało mu, że musi nią kroczyć, dopóki mógł to robić we właściwym dla siebie tempie. Chętnie też z niej zbaczał, zakładając, że i tak trafi do celu podróży. Jak dotąd omijał ścieżkę prowadzącą do ołtarza; doświadczenia rodzeństwa napełniły go lekkim niesmakiem. Zdecydowanie wolał nie być niczym skrepowany.

Był łatwy we współżyciu i powszechnie lubiany. Fakt, że urodził się bogaty, mógł

uderzyć mu do głowy, ale nie uderzył. Jego bezgraniczna hojność sprawiała, że łatwo zdobywał przyjaciół. Człowiek wiedział, że może walić jak w dym do starego Tucka.

Pieniądze będą na niego czekały i zostaną mu wydane bez lepkiej kołtunerii, która czyni akt brania niezwykle przykrym. Oczywiście, zawsze znalazł się ktoś, kto mamrotał, że łatwo pożyczać, kiedy się siedzi na forsie. Ale to nie zmieniało koloru banknotów. Pozostawały zielone.

W przeciwieństwie do swego ojca, Tucker nie obliczał co wieczór procentów i nie chował w szufladzie biurka skórzanej teczki z listą osób, które są mu winne pieniądze. I które będą mu winne pieniądze, chyba że zaharują się na śmierć. Tucker brał tylko dziesięć procent.

Nazwiska i cyfry przechowywał w swoim bystrym i często nie docenianym umyśle.

Pożyczał nie dla zysku. W ogóle rzadko robił coś dla zysku. Pożyczał, ponieważ pożyczanie nie wymagało wysiłku. A także dlatego, że w jego smukłym, rozleniwionym ciele było hojne i zwykle współczujące serce.

Nie zrobił kompletnie nic, by zapracować na swój majątek, co sprawiało, że roztrwianie go wydawało mu się najłatwiejszą rzeczą pod słońcem. Jego odczucia w tej kwestii wahały się między pełną znudzenia akceptacją status quo a okazjonalnym pieczeniem sumienia.



Kiedy sumienie dopiekało mu za mocno, rozciągał się w hamaku w cieniu wielkiego dębu, zsuwał kapelusz na oczy i sączył drinka, dopóki dolegliwość nie ustąpiła.

To właśnie czynił, kiedy Delia Duncan, gospodyni Longstreetów od trzydziestu lat, wychyliła głowę z okna na drugim piętrze.

- Tucker Longstreet!

Licząc na cud. Tucker zacisnął powieki i huśtnął mocniej hamakiem. Jedną dłonią podtrzymywał niedbale puszkę piwa, stojącą na jego płaskim, nagim brzuchu.

- Tucker Longstreet! - Na grzmiący głos Delii z gałęzi dębu poderwały się ptaki.

Tucker pomyślał - szkoda, tak dobrze mu się drzemało przy akompaniamencie świergotu ptaków, któremu towarzyszyło brzęczenie pszczół oblegających gardenie.

- Mówię do ciebie, chłopcze!

Tucker westchnął i otworzył oczy. Jaskrawe, gorące słońce sączyło się przez słomkowe rondo jego kapelusza. To prawda, że wypłacał Delii pensję, ale mężczyźnie trudno zachować autorytet wobec kogoś, kto podcierał mu kiedyś pupę i zmieniał pieluchy.

Niechętnie zsunął kapelusz w tył głowy i zerknął w stronę, skąd dobiegał głos.

Niemalże zwisała z okna, pasma płomiennorudych włosów wymykały się spod chustki. Na jej szerokiej, pobrużdżonej twarzy widniał srogi wyraz, którego Tuck lękał się od dzieciństwa. Trzy sznurki kolorowych paciorków postukiwały groźnie o parapet.

Na ustach Tuckera pojawił się chytry uśmieszek chłopca przyłapanego z palcem w słoiku marmolady.

- Taaak?

- Powiedziałeś, że pojedziesz do miasta i przywieziesz mi worek ryżu i skrzynkę coca

- coli.

Fakt. - Tucker potarł sobie tors zimną jeszcze puszką piwa, zanim podniósł ją do ust.

Pociągnął spory łyk. - Faktycznie mówiłem. Pojadę, jak się trochę ochłodzi.

- Zbierz dupę w troki i ruszaj! Albo nie dostaniesz dzisiaj kolacji.

- Za gorąco, żeby jeść - mruknął pod nosem, ale Della miała uszy jak zajac.

- Co mówiłeś, synku?

- Że już idę.

Lekko jak tancerz zsunął się z hamaka i ruszył w stronę domu, dopijając po drodze piwo. Podniósł głowę i uśmiechnął się, a w jego złocistych oczach pojawił się iście szatański błysk. Della zmiękła. Nadal trzymała usta gniewnie zaciśnięte, ale kosztowało ją to sporo wysiłku.

- Przyrośniesz kiedyś do tego hamaka. Przekonasz się. Zachowujesz się jak stary przyk, więcej czasu leżysz niż chodzisz.

- Leżąc mężczyzna może dokonać bez porównania więcej niż chodząc. Roześmiała się w końcu, głośno i szczerze.

- Uważaj tylko, żebyś od tego leżenia nie wylądował przed ołtarzem z taką łajzą Sissy, co to złapała mojego Dwayne'a.

- Nie ma mowy.

- I kup moją wodę toaletową. Jest na przecenie u Larssona.

- Zrzuć mi portfel i klucze do wozu.

Głowa zniknęła, by pojawić się w chwilę później. Tucker złapał portfel błyskawicznym ruchem, który przypominał Delii, że chłopak nie jest tak powolny, za jakiego chce uchodzić.

- Włóż koszulę... I schowaj ją w spodnie - rozkazała, jak robiła to, gdy miał dziesięć lat.

Tucker wziął koszulę z hamaka i obszedł dom od frontu, gdzie tuzin doryckich kolumn podpierało rzeźbiony taras na pierwszym piętrze. Bawełna przylgnęła mu do skóry, zanim dotarł do samochodu.

Wcisnął się do porsche'a - nabytku sprzed sześciu miesięcy, który jeszcze mu się nie znudził. Przez chwilę zastanawiał się, co lepsze; klimatyzacja czy wiatr uderzający w twarz, i zostawił opuszczony dach.

Jedyną rzeczą, jaką Tucker robił szybko, była jazda samochodem. Żwir prysnął spod kół, kiedy docisnął gaz i ruszył w dół krętą aleją. Z wizgiem opon objechał gazon, na którym jego matka zasadziła peonie, hibiscus i czerwone geranium. Aleja wysadzana była starymi krzewami magnolii; pachniały odurzająco i przyjemnie. Minał w pędzie biały kamień pamiątkowy w miejscu, gdzie praprawujek Tyrone został zrzucony przez rozhukanego wierzchowca i skręcił swój szesnastoletni kark.

Kamień umieścili tam zrozpaczeni rodzice, by upamiętnić smutne wydarzenie.

Najmłodszym Longstreetom przypominał jedynie, że gdyby Tyrone'owi nie strzeliło do głowy dosięść złośliwej bestii, nie skręciłby upartego karku i jego młodszy brat, prapradziad Tuckera nie odziedziczyłby Sweetwater i nie przekazałby go swoim potomkom.

I Tucker mieszkałby obecnie w jakimś blokowisku w Jackson.

Mijając ten smętny kawałek skały, nie mógł się zdecydować, czy odczuwać żal czy wdzięczność.

Za wysoką bramą unosił się już tylko zapach smoły topniejącej w słońcu i woń rozlewisk ciągnących się za ścianą drzew. I samych drzew. Ostry, świeży zapach, który oznajmiał, że lato nadeszło, chociaż według kalendarza miało się zjawić w delcie dopiero za tydzień.

Wsunął na nos okulary przeciwsłoneczne, wybrał kasetę i włożył ją do odtwarzacza.

Tucker był gorącym wielbicielem muzyki lat pięćdziesiątych, w samochodzie nie znajdowało się nic, co powstałoby po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku. Rozległy się dzikie wrzaski Jerry Lee Lewisa i ochrypli od whisky głos Killera.

Kiedy strzałka szybkościomierza znacznie przekroczyła setkę. Tucker dołączył swój znakomity tenor. Jego palce biegły w górę i w dół kierownicy, jak po klawiszach saksofonu.

Na szczycie wzniesienia odbił gwałtownie w lewo, żeby nie wjechać w bok wypucowanego BMW. Prześlizgując się obok eleganckiego błotnika, nacisnął klakson w geście pozdrowienia. Nie zmniejszył prędkości, ale zerknął we wsteczne lusterko. BMW

stało tylnymi kołami na szosie, przednimi zaś na drodze prowadzącej do domu Edith McNair.

Tucker pomyślał przelotnie o samochodzie i kierowcy. Panna Edith umarła przed dwoma miesiącami, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy znaleziono drugie okaleczone ciało dryfujące w okolicach Spook Hollow.

Był kwiecień i skrzyknięto ekipę do poszukiwań zaginionej Francie Alice Logan.

Tucker zacisnął szczęki na wspomnienie dnia, kiedy brodził po bajorach z butelką whisky, przepełniony nadzieją, że nie natknie się na nic.

Ale znaleźli ją, on i Burke Truesdale mieli tego pecha.

Niechętnie myślał o tym, co woda i ryby zrobiły z maleńkiej Francie, ślicznego rudzielca, z którym kiedyś flirtował, umówił się parę razy na randkę, ba, którego próbował

zaciągnąć do łóżka.

Poczuł skurcz żołądka i podkręcił głośniejszy Jerry Lee Lewisa. Nie będzie myślał o Francie. Pomyśli o panie Edith, która dożyła dziewięćdziesiątki i umarła spokojnie we śnie.

Przypomniał sobie, że zapisała w spadku swój dom, schludny, dwupiętrowy pałacyk z czasów Rekonstrukcji, jankeskiej krewnej.

Ponieważ Tucker wiedział, że nikt w promieniu osiemdziesięciu kilometrów nie posiada BMW, wywnioskował, że Jankeska zdecydowała się przyjechać i rzucić okiem na swoje dziedzictwo.

Po chwili zapomniał o inwazji z Północy, wziął papierosa, odciął koniuszek i zapalił.

Caroline Waverly siedziała ściskając kurczowo kierownicę i czekała, aż jej serce opuści przełyk i

wróci na swoje miejsce.

Idiota! Dureń! Zwariowany czubek!

Zmusiła się do zdjęcia nogi z hamulca. Samochód stoczył się z szosy w zarośniętą aleję.

Centymetry, myślała. Zabrakło centymetrów! I miał jeszcze czelność trąbić na nią!

Szkoda, że się nie zatrzymał. Och, jaka szkoda, że się nie zatrzymał! Powiedziałaaby temu kretyńskiemu samobójcy, co o nim myśli.

Wyładowała złość i ulżyło jej. Sumiennie doskonaliła się w sztuce złorzeczenia odkąd doktor Palamo powiedział jej, że wrzody i bóle głowy są bezpośrednim rezultatem tłumienia naturalnych odruchów. I chronicznego przepracowania, rzecz jasna.

Cóż, Caroline miała zamiar rozprawić się z obiema dolegliwościami. Zdjęła spocone dłonie z kierownicy i otarła je o szorty. Zrobi sobie długi, spokojny szabas w Grajdole, w stanie Missisipi. Po paru miesiącach, jeżeli nie umrze w tym zjadliwym upale, będzie mogła przygotować się do wiosennego tournée.

A jeżeli chodzi o tłumienie odruchów, mogła uznać sprawę za odfajkowaną. Ostatnia, brzydka awantura z Luisem była tak oczyszczająca, tak cudownie nieskrępowana, że pragnęła niemal wrócić do Baltimore i odbyć ją ponownie.

Niemal.

Przeszłość - a Luis ze swoją elokwencją, wspaniałym talentem i włóczęgowską żyłką, należał definitywnie do przeszłości - pozostawiła szczęśliwie za sobą. Przyszłość, przynajmniej do czasu, aż podleczy nerwy i zdrowie, nie była specjalnie pociągająca. Po raz pierwszy w życiu Caroline „Waverly, genialne dziecko, natchniony muzyk i emocjonalny wrak, będzie żyła tylko i wyłącznie słodką, słodką terażniejszością.

Tutaj założy dom. Własny dom. Koniec z uciekaniem przed problemami. Koniec z potulnym spełnianiem żądań i oczekiwań matki. Koniec z walką o to, by stać się odbiciem pragnień wszystkich wokół.

Zapuści korzenie, osiedli się. A pod koniec lata dowie się z całą pewnością, kim jest Caroline Waverly.

Czując się o wiele lepiej, położyła znowu dłonie na kierownicy i zjechała w aleję.

Pamiętała mgliście, że biegła nią kiedyś podczas wizyty u dziadków. Była to oczywiście krótka wizyta, matka Caroline zrobiła bowiem, co w ludzkiej mocy, żeby odciąć się od swoich korzeni. Ale Caroline pamiętała dziadka, potężnego mężczyznę o czerwonej twarzy, który zabrał ją na ryby pewnego spokojnego ranka. Pamiętała również swoją niechęć do założenia przynęty na haczyk. Przełamała ją dopiero wtedy, gdy dziadek powiedział, że glista tylko czeka na to, by złapać dużą, tłustą rybę.

Pamiętała swoje podniecenie, kiedy spławik drgnął, i poczucie grozy i wielkiego sukcesu, kiedy przynieśli do domu trzy łuskowate zębaczki.

Babcia, żylasta kobieta o stalowoszarych włosach, usmażyła zdobycz w wielkim czarnym rondlu. Matka Caroline nawet nie tknęła ryby, Caroline natomiast pałaszowała, aż jej się uszy trzęsły. Wątku, zielonooka sześciolatka o długich, smukłych palcach.

Caroline uśmiechnęła się, kiedy jej oczom ukazał się dom. Niewiele się zmienił. Farba obłaziła płacami, trawa sięgała kolan, ale był to ciągle solidny dwupiętrowy dom z zadaszoną werandą i kamiennym kominem przechylonym odrobinę w lewo.

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Nie powinna odczuwać smutku. Jej dziadkowie mieli za sobą długie, udane życie. Nie powinna czuć się winna. Kiedy dwa lata temu umarł

dziadek, Caroline była w Madrycie, w środku tournée, uwikłana w sieć zobowiązań. Przyjazd na pogrzeb nie wchodził w rachubę.

A potem próbowała, naprawdę próbowała namówić babcię na przeprowadzkę do miasta, gdzie mogłaby ją odwiedzać między koncertami.

Ale Edith nie ruszyła się z miejsca. Pomysł, by opuścić dom, do którego weszła jako panna młoda jakieś siedemdziesiąt lat temu, dom, gdzie urodziły się i wyrosły jej dzieci, w którym żyła przez całe dorosłe życie, wydał się jej po prostu śmieszny.

Kiedy umarła, Caroline leżała w szpitalu w Toronto, chora z wyczerpania.

Dowiedziała się o śmierci babci tydzień po pogrzebie.

Więc nie powinna czuć się winna.

Ale kiedy tak siedziała w samochodzie, a powiew z wentylatora chłodził jej twarz, poczucie winy niemal ją dławilo.

- Tak mi przykro - powiedziała głośno. - Tak mi przykro, że mnie tu nie było. Nigdy.

Z ciężkim westchnieniem przesunęła dłonią po błyszczących, krótkich włosach w kolorze miodu. Nie ma sensu siedzieć w samochodzie i rozdzierać szat. Musi wnieść bagaże, obejść gospodarstwo, zadomowić się. Dom należał teraz do niej i miała zamiar go zatrzymać.

Kiedy otworzyła drzwiczki samochodu, upał pozbawił ją tchu. Chwyając łapczywie powietrze, sięgnęła na tylne siedzenie po skrzypce. Kiedy zaniósła instrument i pudło z nutami na werandę, czuła się jak wyżęta.

Wracała do samochodu jeszcze trzy razy - po walizki, dwie torby zakupów spożywczych, które zrobiła w małym sklepiku pięćdziesiąt kilometrów na północ, po magnetofon szpulowy. W końcu zgromadziła wszystko na werandzie.

Wyjęła klucze. Każdy opatrzony był karteczką: frontowe, kuchenne, strych, sejf, półciężarowy ford. Zdawały się wygrywać jakąś melodyjkę, kiedy Caroline szukała klucza od drzwi frontowych.

Drzwi skrzypnęły jak każde przyzwoite stare drzwi i otworzyły się na pustkę nie zamieszkanego domostwa.

Caroline podniosła skrzypce. Były ważniejsze niż jakakolwiek torba.

Trochę zagubiona i po raz pierwszy samotna, weszła do środka.

Korytarz prowadził wprost do kuchni. Na lewo były schody skręcające ostro w prawo po trzecim stopniu. Poręcz z ciemnego, twardego dębu pokrywała gruba warstwa kurzu.

Tuż pod schodami stał stolik, na nim ciężki czarny aparat telefoniczny i pusty wazon.

Caroline odłożyła skrzypce i wzięła się do roboty.

Zaniosła zakupy do kuchni. Wokół żółtych ścian stały i wisiały oszklone białe szafki.

Ponieważ w domu było gorąco jak w piecu, przede wszystkim zajęła się jedzeniem, ucieszona faktem, że lodówka lśni czystością.

Powiedziano jej, że po pogrzebie kobiety z sąsiedztwa wyszorowały dom od strychu po piwnice. Teraz mogła się przekonać, że to prawda. Poprzez dwumiesięczną warstwę kurzu, poprzez koronki pajęczyn, które przedsiębiorcze pająki utkały w kątach pokoiów, przebijał

zapach Ajaxu.

Wróciła wolno do frontowego holu, stukając obcasami o deski podłogi. Zajrzała do pokoju dziennego z wielką konsolą telewizyjną, która wyglądała jak starożytne znalezisko.

Do salonu, gdzie blade kapuściane róże pięły się na ścianach, a zakryte pokrowcami meble straszły opuszczeniem. Do gabinetu dziadka z szafą pełną broni myśliwskiej i wielkim fotelem o wytartych poręczach.

Dźwignąwszy walizki ruszyła na piętro, aby wybrać pokój dla siebie.

Ze względów praktycznych i uczuciowych wybrała sypialnię dziadków. Wielkie łoże z czterema kolumnami i pikowaną narzutą obiecywało wygodny odpoczynek. Cedrowy kufer w nogach łóżka mógł kryć niejedną tajemnicę. Małutkie fiołki i różyczki na ścianach powinny oddziaływać kojąco.

Caroline odstawiła walizki i podeszła do wąskich oszklonych drzwi. Prowadziły na taras, skąd mogła podziwiać róże swej babki i byliny walczące z chwastami o przetrwanie.

Słyszała szelest wody rozbijającej się o jakiś głaz czy pień drzewa, tuż za ścianą dębów. A w oddali, poprzez opary gorącej ziemi widziała brązową wstęgę potężnej Missisipi.

Spiwały ptaki; sójki i wróble, wrony i skowronki. I kto wie, czy w tę symfonię rozedrganych w gorącym powietrzu dźwięków nie wdarł się gardłowy krzyk dzikiego indyka?

Rozmarzyła się na chwilę. Wiotka kobieta, odrobinę za szczupła, o pięknych dłoniach i podkrążonych oczach.

Na moment widok, zapachy i dźwięki zniknęły. Caroline jest w sypialni matki, gdzie poszeptuje połączony zegar z brązu i unosi się zapach Chanel. Za chwilę pojedą na pierwszy koncert Caroline.

- Mam nadzieję, że dasz z siebie wszystko, Caroline. - Głos matki, cichy i rozwlekły, nie pozostawia miejsca na żadne komentarze. - Spodziewam się, że będziesz najlepsza. To jest twój cel, jedyny, jaki warto osiągnąć. Rozumiesz?

Caroline podkula nerwowo palce u nóg. Na stopach ma błyszczące buciki od Mary Janes. Niedawno skończyła pięć lat. - Rozumiem, mam.

A teraz jest w salonie. Ramiona bolą ją po dwóch godzinach grania. Słońce świeci za oknami. Ze swojego miejsca Caroline widzi rudzika, który przycupnął na gałęzi. Przystaje grać, rozbawiona.

- Caroline! - dobiega z parteru głos matki. - Została ci jeszcze godzina ćwiczeń. Jak chcesz być gotowa do tournée, skoro brak ci dyscypliny? Proszę zacząć od początku.

- Przepraszam - Caroline podnosi z westchnieniem skrzypce, które ciężą dwunastolatce niby ołów.

Jest za kulisami, walczy z tremą towarzyszącą każdej premierze. I jest zmęczona, taka zmęczona nie kończącymi się próbami, przygotowaniem, podróżami. Jak długo chodzi w tym kieracie? Ile ma lat? Osiemnaście, dwadzieścia?

- Caroline, na litość boską, nałóż trochę więcej różu na policzki. Wyglądasz jak upiór.

- Ten niecierpliwy, świdrujący mózg głos, twarde palce ujmujące jej podbródek. - Nie mogłabyś wykazać choć odrobiny entuzjazmu? Wiesz, jak ciężko pracowaliśmy z ojcem, żebyś mogła się tutaj znaleźć? Ile ofiar ponieśliśmy? A ty siedzisz przed lustrem, na dziesięć minut przed podniesieniem kurtyny i myślisz nie wiadomo o czym!

- Przepraszam. Zawsze przepraszała.

Leży w szpitalnym łóżku w Toronto, chora, wyczerpana, pełna poczucia winy i wstydu.

- Odwołałaś resztę tournée? - Majaczy nad nią spięta, rozwścieczona twarz matki. - Co to właściwie znaczy?

- Nie mogę go ukończyć. Przepraszam.

- Przepraszasz! Co komu przyjdzie z twoich przeprosin! Rujnujesz swoją karierę, narażasz Luisa na nie wiadomo jakie niedogodności. Nie zdziwiłabym się, gdyby unieważnił



twój kontrakt i zniszczył cię zawodowo.

- Był z kimś - mówi Caroline słabo. - Tuż przed wyjściem na scenę... Widziałam go...

W garderobie. Był z kimś innym.

- Bzdura! A nawet jeśli to prawda, sama sobie jesteś winna. Twoje zachowanie ostatnimi czasy! Snujesz się jak duch, odwołujesz wywiady, porzucasz zaproszenia na przyjęcia. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam!

Oto mi wdzięczność! Jak, twoim zdaniem, mam sobie poradzić z prasą.

plotkami, z całym tym bałaganem, którego narobiłaś?

- Nie wiem. - Caroline pragnie tylko zamknąć oczy i odciąć się od świata. -

Przepraszam. Nie mogę już dłużej.

Nie, pomyślała Caroline, spoglądając na ogród babci. Po prostu nie może już dłużej.

Nie może dłużej być kimś, kogo tworzą inni. Nie teraz. Nigdy więcej. Czy jest samolubna, niewdzięczna, zepsuta, jak zawsze twierdziła jej matka? Nie wydawało się to istotne. Ważne było tylko to, że jest w Grajdole, w stanie Missisipi.

Tucker Longstreet wjechał do Innocence, wzbijając tumany kurzu i napędzając śmiertelnego strachu spanielce Leda Larssona o imieniu Maruda, która wylegiwała się na betonowym podeście pod markizą drogerii.

Caroline Waverly zrozumiałaby doskonale uczucia psa, który otworzył jedno oko i zobaczył czerwony lśniący samochód pędzący wprost na niego. Wóz zarył się kołami w asfalt pół metra od jego kryjówki, psa jednak już w niej nie było.

Z bolesnym skowytem porwał się na cztery łapy i wyniósł w bezpieczniejsze okolice.

Tucker zachichotał i zagwizdał przyjaźnie na Marudę, ale suka nawet się nie obejrzała.

Nienawidziła tego czerwonego samochodu tak bardzo, że nie zbliżała się do niego nawet po to, by obsikać opony.

Tucker wsunął kluczyki do kieszeni. Miał zamiar kupić Delii ryż, coca - colę i wodę toaletową, a następnie wrócić na hamak, gdzie było miejsce mężczyzny w tak gorące, bezwietrzne popołudnie. Ale zobaczył samochód siostry, zaparkowany okrakiem między dwoma miejscami postojowymi przed „Chat’N Chew”.

Uświadomił sobie, że odczuwa pragnienie po przejeździe i wychyliłby z przyjemnością szklanicę lemoniady, a może nawet zjadł kawałek ciasta z czarnymi jagodami.

Później długo i szczerze tego żałował.

„Chat'N Chew” należało do Longstreetów, podobnie jak pralnia chemiczna, dom noclegowy w Innocence, sklep z bronią „Przyjaciel myśliwego”, skład pasz oraz tuzin innych przedsięwzięć. Longstreetowie byli na tyle inteligentni, a może leniwi, by zatrudnić menedżerów prowadzących dla nich interesy. Dwayne wykazywał lekkie zainteresowanie wynajmem domów. Objeżdżał je każdego pierwszego dnia miesiąca, zbierał czeki, wysłuchiwał usprawiedliwień za nieopłacenie czynszu i robił listę niezbędnych napraw.

Ale Tucker prowadził księgi rachunkowe, choć bez specjalnego entuzjazmu. Pewnego razu, kiedy wyrzekał na ten obowiązek dłużej niż zwykle, księgi przejęła Josie.

Uporządkowanie ich zajęło Tuckerowi parę dni.

Prawdę mówiąc, nie miał nic przeciwko pracy księgowego. Można ją było wykonywać w chłodne wieczory, ze szklanką zimnego napoju pod ręką. Jego zdolności matematyczne sprawiały, że było to zajęcie nie tyle trudne, ile nużące.

„Chat'N Chew” należała do ulubionych restauracji Tuckera. Sala jadalna miała jedno wielkie, szerokie okno, niezmiennie oblepione plakatami, informującymi o przecenie ziemniaków, przedstawieniach szkolnych i licytacjach.

Na podłodze położono linoleum imitujące terakotę, poźółkłe ze starości i nakrapiane brązowymi cętkami, które wyglądały jak kozie bobki. Ściany działowe między stolikami oklejone były czerwoną winylową tapetą, szalenie elegancką w porównaniu ze starą brązową, którą Tucker kazał wymienić pół roku temu. Czerwień już wyblakła i przeszła w pomarańcz.

Przez lata ludzie ryli przesłania na laminatowych blatach stołów. Stało się to swego rodzaju tradycją „Chat'N Chew”. Inicjały cieszyły się największym powodzeniem, wraz z sercami i małutkimi ludzikami, choć od czasu do czasu pojawiała się wiadomość od entuzjasty: „Hej, w górę serca!”, lub od ponurego indywiduum: „Zjedz to gówno, a zdechniesz!”.

Earleen Refrew, która kierowała przedsięwzięciem, była tak zdruzgotana tą ostatnią uwagą, że Tucker musiał pożyczyć elektryczną polerkę ze sklepu żelaznego i wyskrobać obraźliwy napis.

Każdy stół miał połączenie z szafą grającą i za przekręceniem korbki klient mógł

sobie wybrać zestaw piosenek - trzy za dwadzieścia pięć centów. Earleen preferowała muzykę country i szafa zdawała się podzielać jej gusta, ale Tuckerowi udało się przemycić parę kawałków rockandrollowych z lat pięćdziesiątych.

Przy długim barze stało z tuzin stołków, wszystkie obite tym samym wyblakłym plastikiem. W idealnie czystym, trzypoziomowym pojemniku trzymano świeże ciasta. Wzrok Tuckera spoczął ze szczerym zachwytem na jagodowym placku.

Wymieniając pozdrowienia z nielicznymi klientami, Tucker przebił się przez chmury dymu papierosowego do miejsca, gdzie przy kontuarze tkwiła jego siostra. Zatopiona w rozmowie z

Earleen, poklepała brata z roztargnieniem po ramieniu i mówiła dalej.

Więc mówię jej, Justine, jeżeli wyjdiesz za faceta pokroju Willego Snivera, musisz już tylko kupić kłódkę, zamknąć mu fiuta i upewnić się, że nikt nie dorobił klucza. Zmoczy od czasu do czasu spodnie, ale zyskasz pewność, że nie zrobi nic gorszego.

Earleen zarechotała z aprobatą i starła parę wilgotnych krążków z kontuaru.

Dlaczego ona chce się wydać za takie nic jak Will, to przechodzi pojęcie.

Złotko, w łóżku to on jest tygrys. - Josie przymrużyła chytrze.

Przynajmniej tak mówią. Cześć, Tucker! - Odwróciła się, żeby moknąć brata w policzek i zamachać mu dłońmi przed twarzą. - Właśnie zrobiłam sobie paznokcie. Ognista Czerwień. Jak ci się podoba?

Z uwagą obejrzał długie szkarłatne paznokcie.

- Wyglądają tak, jakbyś właśnie skończyła wydrapywać komuś oczy.

Earleen, daj mi lemoniady i kawałek tego ciasta jagodowego polanego lukrem.

Zadowolona z oceny swoich paznokci, Josie przesunęła palcami po artystycznie zmierzwionej grzywie czarnych włosów.

- Justine z przyjemnością wydrapałaby moje. - Szczercząc zęby w uśmiechu, uniosła szklankę z dietetyczną colą i pociągnęła przez słomkę. - Była akurat w salonie piękności.

Farbowała sobie odrosty i machała ręką, żeby wszyscy zobaczyli ten kawałek szkiełka, który nazywa brylantem. Will wygrał go prawdopodobnie na festynie, strącając butelki.

W złocistych oczach Tuckera pojawił się figlarny błysk. - Zazdrosna? Josie zeszywniała, wysunęła dolną wargę, a potem się rozjaśniła. Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się.

- Gdybym go chciała, to bym go sobie wzięła. Ale poza łóżkiem o mało nie zanudził mnie na śmierć.

Zamieszała resztkę coli słomką i rzuciła szybkie zalotne spojrzenie dwóm facetom siedzącym w małej łoży. Natychmiast wypięli pierś i wciągnęli brzuchy piwoszy.

- To obciążenie dziedziczne, Tuck. Nie można nam się oprzeć. Tucker uśmiechnął się do Earleen i zatopił zęby w cieście.

- Aha, to krzyż, który musimy dźwigać.

Josie zabębniła świeżo pomalowanymi paznokciami o ladę dla samej przyjemności usłyszenia jak stukają. Niepokój, który kazał jej poślubić i porzucić dwóch mężczyzn w ciągu pięciu lat, narastał w

niej znowu, od wielu tygodni. Czas ruszać w drogę, pomyślała. Parę miesięcy w Innocence wystarczyło, by zaczęła rozpaczliwie tęsknić za ekscytującym życiem, jakie zdawało się obiecywać każde inne miejsce na ziemi. A po paru miesiącach w tym innym miejscu marzyła o marazmie rodzinnego miasteczka.

Ktoś wrzucił ćwierć dolara do szafy grającej i Randy Travis rozspiewał się smętnie nad niedolami miłości. Josie bębniła o kontuar i spoglądała na Tuckera, który skończył ciasto i zabrał się do lodów.

- Nie rozumiem, jak możesz tyle jeść w środku dnia. Tucker nabrał kolejną łychę lodów:

- Po prostu otwieram usta i przełykam.

- I nie przybierasz na wadze ani grama. Ja muszę uważać na każdy kęs, który biorę do ust, inaczej będę miała biodra jak mamuśka Gantrey. - Zanurzyła palec w lodach Tuckera i oblizała go ze smakiem. - Co robisz w mieście poza tym, że napychasz sobie gębę?

- Zakupy dla Delii. Minąłem samochód skręcający na drogę McNairów.

- Hmm. - Josie poświęciłaby tej wiadomości więcej uwagi, gdyby w tej chwili do baru nie wszedł Burke Truesdale. Josie wyprostowała się na stołku, krzyżując długie, smukłe nogi i posłała mu uśmiech ociekający miodem.

- Cześć, Burke!

- Josie! - Podeszedł do nich, żeby klepnąć Tuckera w ramię. - Tuck - Co kombinujesz?

- Miło spędzamy czas - powiedziała Josie. Burke miał metr osiemdziesiąt wzrostu, bary środkowego napastnika, męską twarz o kwadratowej szczęce i oczy szczeniaka baseta.

Mimo że rówieśnikiem Dwayne'a, przyjaźnił się bardziej z Tuckerem. Był jednym z nielicznych mężczyzn, których Josie chciała mieć, a bez których musiała się obejść.

Burke oparł się biodrem o stół. Zadzwoił ciężki pęk kluczy u pasa, odznaka szeryfa błysnęła w słońcu.

- Za gorąco, żeby coś robić. - Powiedział „dzięki”, kiedy Earleen postawiła przed nim szklankę z mrożoną herbatą. Wypił jednym tchem.

Josie oblizała wargi, obserwując jego jabłko Adama.

- Krewna panny Edith wprowadziła się do domu - oznajmił Burke, odstawiając szklankę. - Panna Caroline Waverly, jakaś artystka z Filadelfii.

Earleen napełniła ponownie jego szklankę. Tym razem pił małymi łykami.

- Zadzwoiła, żeby podłączyć jej telefon i prąd.

- Jak długo tu zostanie? - Earleen miała zawsze oczy i uszy otwarte.

Było to jej prawo i obowiązek jako kierowniczkii „Chat'N Chew”.

- Nie mówiła. Panna Edith nie należała do tych, co opowiadają o swojej rodzinie, ale wspomniała kiedyś, że ma wnuczkę, która cały czas jeździ z orkiestrą albo czymś takim.

- Musi jej się to opłacać - zadumał się Tucker. - Widziałem jej samochód jak skręcał w aleję piętnaście minut temu. Nowiuteńkie BMW.

Burke poczekał, aż Earleen odjedzie.

- Tuck, muszę pomówić z tobą o Dwayne'em.

Twarz Tuckera nie zmieniła wyrazu, nadal malowała się na niej serdeczna beztroska.

- O co chodzi?

- Zalał się wczoraj i narozrabiał trochę u McGreedy'ego. Zamknąłem go na noc.

Oczy Tuckera pociemniały, wokół ust pojawił się twardy wyraz.

- O co go oskarżasz?

- Daj spokój, Tuck. - Bardziej urażony niż zagniewany Burke przerzucił ciężar ciała na drugą nogę. - Był cholernie agresywny i zbyt pijany, żeby usiąść za kierownicą. Pomyślałem, że przyda mu się spokojny ką, żeby to odespać. Ostatnim razem, kiedy przywiozłem go do domu w środku nocy, Panna Della była zła jak chrzan.

Prawda. - Tucker odprężył się trochę. Na świecie byli przyjaciele i rodzina. I był

Burke, coś pośredniego między jednym a drugim. - Gdzie on jest teraz?

- W areszcie. Leczy kaca. Pomyślałem, że skoro już tu jesteś, mógłbyś doholować go do domu. Samochód możemy odstawić później, - Jestem ci bardzo wdzięczny. - Tucker mówił spokojnie, ale czuł ogromne rozczarowanie. Dwayne zachowywał trzeźwość od dwóch tygodni. Tucker wiedział, że skoro brat już zaczął pić, będzie pił na umór i droga powrotna do trzeźwości będzie długa i śliska. Wstał i wyciągnął portfel. Ktoś otworzył drzwi tak zamasyście, że zadzwoniły szklanki na kontuarze i Tucker obejrzał się przez ramię.

Zobaczył Eddę Lou Hatinger i zrozumiał, że szykują się kłopoty.

- Ty cholerny draniu! - krzyknęła Edda Lou i rzuciła się ku niemu. Gdyby Bruke nie wykazał refleksu, dzięki któremu był głównym łapaczem w szkolnej drużynie baseballowej, twarz Tuckera weszłaby w bezpośredni kontakt z paznokciami dziewczyny.

- No, no - powiedział Burke bezradnie, podczas gdy Edda Lou walczyła jak ryś w jego uścisku.

- Myślisz, że możesz mnie tak po prostu odstawić na boczny tor?!

- Eddo Lou! - Kierując się doświadczeniem, Tuckier mówił wolno i spokojnie. - Weź głęboki oddech. Zrobisz sobie krzywdę.

- Tobie zrobię krzywdę, ty pieprzony dupku - warknęła odsłaniając drobne ząbki.

Burke westchnął i przybrał swój szeryfowski ton.

- Dziewczyno, uspokój się albo będę musiał cię zamknąć w areszcie. Twój ojciec nie będzie tym zachwycony.

- W porządku. Nie tknę skurwiela - syknęła przez zaciśnięte zęby. Kiedy uścisk Burke'a zelżał, wyrwała mu się jednym ruchem.

- Możemy porozmawiać... - zaczął Tucker.

- Pewnie, że będziemy rozmawiać. Teraz, natychmiast. - Okręciła się wokół własnej osi, podczas gdy stołownicy „Chat'N Chew” gapili się na nią albo udawali, że tego nie robią.

Kolorowe plastikowe bransolety podzwaniały na jej przegubach, szyja i twarz lśniły od potu. -

Słuchajcie, wy tam! Mam coś do powiedzenia panu spryciarzowi Longstreetowi i chcę, żebyście wy też to usłyszeli.

- Eddo Lou... - Tucker skorzystał z okazji i dotknął jej ramienia. Odwróciła się błyskawicznie i grzmotnęła go prosto w zęby.

- Nie! - Ocierając usta, dał Burke'owi znak, żeby nie interweniował. - Niech wyrzuci to z siebie.

- Wyrzucę, a jakże! Powiedziałeś, że mnie kochasz.

- Nigdy! - Tego przynajmniej mógł być pewny. Nawet w wirze namiętności uważał na to, co mówi. Zwłaszcza w wirze namiętności.

- Ale pozwoliłeś mu tak myśleć! - krzyknęła.

Dezodorant w proszku, którego używała, nie wytrzymał napięcia i spłynął wraz z potem, tworząc słodkokwaśną mieszankę.

- Zaciągnąłeś mnie do łóżka. Powiedziałeś, że jestem kobietą, na którą czekałeś.

Powiedziałeś... - Łzy zmieszały się z potem, rozpuszczając tusz do rzęs. - Powiedziałeś, że się ze mną ożenisz.

- O nie! - Gniew, skrywany dotąd starannie, zaczął brać górę. - To był twój pomysł, złotko. A ja

powiedziałem ci wprost, że o tym nie ma mowy.

- A co ma myśleć dziewczyna, kiedy za nią latasz, przynosisz kwiaty i kupujesz fikuśne wino? Powiedziałeś, że zależy ci na mnie bardziej niż na kimkolwiek.

- Zależało mi. - To była prawda. Zależało mu na każdej z nich.

- Nie zależy ci na niczym i na nikim, dbasz tylko o Tuckera Longstreeta.

Przysunęła się do niego i splunęła. Patrząc teraz na jej wykrzywioną złością twarz, dziwił się, że mógł darzyć ją kiedyś cieplejszym uczuciem.

I szlag trafiał na myśl, że niedorosłki siedzące nad szklankami coli trącają się łokciami i chichoczą.

- Więc będzie ci o wiele lepiej beze mnie, prawda? - Rzucił dwa banknoty na ladę.

- Myślisz, że się tak łatwo wywiniesz? - Jej dłoń zacisnęła się jak żelazna obręcz na ramieniu Tuckera. Czuł, jak drżą jej mięśnie. - Myślisz, że możesz mnie porzucić, jak pierwszą lepszą? - Byłaby głupia, gdyby na to pozwoliła. Teraz, kiedy powiedziała o małżeństwie wszystkim swoim koleżankom? Kiedy pojechała aż do Greenville, żeby pooglądać suknie ślubne? Wiedziała, wiedziała, że pół miasta już się z niej śmieje. - Masz w stosunku do mnie zobowiązanie. Składałeś obietnice.

- Jakie? - Narastał w nim gniew. Stanowczym gestem oderwał jej dłoń od swojego ramienia.

- Jestem w ciąży! - wyrzuciła z rozpaczą. Miała tę satysfakcję, że usłyszała szmer obiegający restaurację i zobaczyła, jak Tucker blednie.

- Coś ty powiedziała?

Wykrzywiła usta w twardym, bezlitosnym uśmiechu.

- Słyszałeś, Tuck. Teraz zastanów się, co masz zamiar z tym zrobić. Odwróciła się na pięcie i wyszła z wysoko uniesioną głową, a Tucker czekał, aż serce spłynie mu z gardła w dół przełyku.

- Masz ci los - powiedziała Josie, uśmiechając się szeroko do ludzi, którzy gapili się jakby dostali wytrzeszczu. Wzięła Tuckera za rękę. - Stawiam dziesięć dolców, że ona kłamie.

Tucker wpatrzył się w nią tępym wzrokiem. Nie przyszedł jeszcze do siebie po wstrząsie.

- Co?

- Jest nie bardziej ciężarna niż ja i ty. Najstarszy kobiecy chwyt w dziejach ludzkości.

Nie daj się złapać, Tucker. Musiał pomyśleć, musiał zostać na chwilę sam. - Zabierz Dwayne'a z więzienia, dobrze? I zrób zakupy dla Delii. - A może byśmy... Ale jego już nie było. Josie westchnęła i pomyślała, że szykuje się niezła chryja. Tucker nie powiedział jej, czego chciała Della.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Dwayne Longstteet siedział na twardej pryczy w jednej z dwóch cel w mieście i skomlał jak przejechany pies. Aspiryny nie zaczęły jeszcze działać i zastęp krasnoludków, który piłował mu czaszkę, zbliżył się niebezpiecznie do mózgu.

Oderwał dłonie od głowy tylko po to, by sięgnąć po kawę, którą zostawił mu Burke, i natychmiast wrócił do poprzedniej pozycji. Miał wrażenie, że głowa mu się rozleci, jeżeli nie będzie jej trzymał.

Jak zwykle w pierwszej godzinie kaca, Dwayne pogardzał sam sobą. Szlag go trafiał na myśl, że znowu wlaźł w podskokach w tę samą brzydką pułapkę.

Nie chodziło o sam akt picia. Nie, Dwayne lubił pić. Lubiał czuć, jak pierwszy łyk whisky piecze go w język, spływa w dół przełyku i rozlewa się w żołądku. Zupełnie jak długi, niespieszny pocałunek pięknej kobiety. Lubiał przyjazny szmerek, który pojawiał się w głowie po drugim drinku.

Cholera, kochał to!

Nie miał nawet nic przeciwko upijaniu się. Nie, mógł nawet powiedzieć dużo dobrego o stanie nieważkości, jaki osiąga się po pięciu czy sześciu głębszych. Wszystko wydaje się miłe i zabawne, człowiek zapomina, że życie odwróciło się do niego tyłkiem, że stracił żonę i dzieci, których, nawiasem mówiąc, w ogóle nie chciał, że przegrał w starciu ze sprzedawcą obuwia, że tkwi na jakimś zadupiu, ponieważ nie ma się dokąd wynieść.

Tak, lubił ten czas niepamięci, bardzo lubił.

Nie dbał również o to, co następowało potem. Kiedy ręka sięgała po butelkę, nie informując o tym reszty ciała. Kiedy człowiek przestawał smakować i po prostu przełykał, wyłącznie z tego powodu, że znalazł się w jednym pomieszczeniu z butelką whisky.

Nie podobał mu się natomiast fakt, że czasami robił się po alkoholu nieprzyjemny, szukał zaczepki z byle kim. Bóg mu świadkiem, nie miał przykrego usposobienia. Przykre usposobienie miał jego ojciec. Ale czasem, tylko czasem whisky zmieniała go w Beau, i było mu z tego powodu przykro.

Bał się jednak czego innego. Zdarzało się, że nie pamiętał, czy narozrabiał, czy odpłynął w niebyt cicho i spokojnie. I w jednym, i w drugim przypadku budził się zazwyczaj w areszcie z morderczym kacem.

Ostrożnie, wiedząc, że jeden nieuważny ruch zmieni pracowitych drwali w jego głowie w chmurę wściekłych os, podniósł się na nogi. Słońce padające przez więzienne okienko zupełnie go oślepiło. Oslaniając oczy dłonią. Dwayne ruszył po omacku w stronę drzwi celi. Burke nigdy go nie zamykał.

Potykając się, dotarł do ubikacji i oddał coś, co wyglądało jak galon „Wild Turkey” przefiltrowany przez jego nerki. Tęskniąc rozpaczliwie do własnego łóżka, przemywał oczy zimną wodą, dopóki nie przestały go piec.

Syknął przez zęby, kiedy trzasnęły drzwi w biurzeszeryfa, i wzdrygnął się tylko trochę, kiedy Josie zawołała go radośnie po imieniu.

- Dwayne? Jesteś tu? Twoja mała siostrzyczka przyszła zabrać cię do domu.

Staął w drzwiach, trzymając się kurczowo klamki. Na jego widok Josie uniosła artystycznie wyskubane brwi.

- O rany! Wyglądasz jak mysz przywleczona przez kota. - Podeszła bliżej, stukając czerwonym paznokciem w dolną wargę.

- Złotko, powiedz mi, jakim cudem widzisz coś przez krew, którą masz na oczach?

- Czy ja... - odkaszlnął, żeby oczyścić gardło. - Czy ja rozbiłem samochód?

- Nic o tym nie wiem. No już, chodź z Josie. - Podeszła i wzięła go pod ramię. Kiedy odwrócił ku niej głowę, odsunęła się szybko. - Słodki Jezu! Ile osób uśmierciłeś tym oddechem? - Pogrzebała w torebce i wyjęła pudełko tic - taków. - Masz, kochanie, possij parę. - Wsadziła mu cukierki własnoręcznie w usta. - Inaczej zemdleję, jeżeli na mnie chuchniesz.

Della

będzie

naprawdę

zła -

wymamrotał

w

drodze

do

samochodu.

Najprawdopodobniej. Ale zapomni o tobie, kiedy dowie się o Tuckerze. O Tuckerze? O, cholera! - Dwayne cofnął się o krok, gdy słońce uderzyło go w twarz.

Kręcąc głową, Josie zdjęła okulary przeciwsłoneczne z oprawkami wysadzanymi kryształem górskim i podała je bratu. - Tucker jest w tarapatach. Edda Lou twierdzi, że zrobił

jej dzidziusia. Mam co do tego wątpliwości.

- Boże Wszechmogący! - Na krótką chwilę jego własne kłopoty przybladły. - Tuck zrobił Eddzie Lou

dzieciaka?! Josie otworzyła drzwi po stronie pasażera, żeby Dwayne mógł

się wgramolić do wozu.

- Urządziła wielką scenę w „Chat'N Chew” i teraz całe miasto będzie patrzyło, czy rośnie jej brzuch.  
- Boże Wszechmogący!

- Nic dodać, nic ująć. - Josie uruchomiła silnik i miała dość zrozumienia dla stanu brata, by wyłączyć radio. - Nie wiem, czy ona jest w ciąży, ale niech on się dwa razy zastanowi, zanim wprowadzi tę latawicę do domu.

Dwayne zgodziłby się z nią całkowicie, gdyby nie był zajęty trzymaniem się za głowę.

Tucker wiedział, że nie ma po co wracać do domu. Della dopadłaby go w dwie minuty. Chciał być przez chwilę sam, co z chwilą przekroczenia bram Sweetwater stawało się kompletnie niemożliwe.

Pod wpływem impulsu zjechał gwałtownie na pobocze, zostawiając na asfalcie czarną smugę gumy. Porzucił samochód na trawiastym poboczu i wszedł między drzewa.

Paralizujący upał zmniejszył się o parę stopni, kiedy znalazł się pod osłoną zielonych liści, wśród torfowisk. Ale tym razem nie szukał fizycznego chłodu, chciał ostudzić gniew.

Przez jedną chwilę, tam w restauracji, przez jedną krótką, obezwładniającą chwilę chciał chwycić Eddę Lou za gardło i wycisnąć z niej ostatni oddech wraz z jej oskarżeniami.

Nie zaniepokoił go ten impuls ani fakt, że mordercza wizja dała mu niczym nie zmaconą przyjemność. Połowa z tego, co mówiła Edda Lou, było kłamstwem. To oznaczało, że druga połowa jest prawdą.

Odsunął długą, zwisającą gałąź, dał nura w zieleń i przebił się przez gęstwinę nad staw. Czapla, przestraszona najściem, podwinęła z gracją swoje długie nogi i odfrunęła w głąb rozlewiska. Tucker rozejrzał się, czy nie ma węży, po czym usadowił się na zwałonym pniu.

Nie spiesząc się, wyciągnął papierosa, odciął koniuszek i zapalił.

Zawsze lubił wodę - nie tyle rozchukany, rozbujany ocean, ile stężały mrok rozlewisk, szept strumieni, równy puls rzeki. Już w dzieciństwie ciągnęło go do wody. Często udawał, że idzie na ryby, żeby siedzieć i dumać albo drzemać, słuchając kumkania żab i monotonnego głosu cykad.

Miał wtedy do rozwiązania jedynie dziecięce problemy. Czy dostanie w skórę za dwójkę z geografii, jak wycygnąć nowy rower na gwiazdkę. A potem, którą dziewczynę zaprosić na bal walentynkowy: Arnette czy Carolanne.

Wraz z nim zdawały się rosnać i problemy. Przypomniawszy sobie rozpacz po śmierci ojca, który zginął lądując w małej cesnie w pobliżu Jackson. Ale to było nic, nic w porównaniu z ostrym, ogłuszającym bólem, który owładnął nim, kiedy znalazł w ogrodzie skuloną, już na wpół martwą matkę.

Potem przychodził tutaj często, żeby ukoić jakoś ten ból. I w końcu z czasem, ból przybladł, jak blednie wszystko. Odzywał się tylko w tych dziwnych chwilach, kiedy wydawało mu się, że wystarczy wyrzeć przez okno, by zobaczyć matkę w ogrodzie, z twarzą na wpół zakrytą rond słomkowego kapelusza z szyfonowym szalem, zrywającą przekwitłe róże.

Madeline Longstreet nie byłaby zachwycona Eddą Lou. Uznałaby ją za nieokrzesana, łatwą i przebiegłą dziewczynę. I, pomyślał Tucker niespiesznie wydmuchując dym.

wyraziłaby swoje niezadowolenie z tą zabójczą uprzejmością, którą każda prawdziwa dama z Południa potrafiła przekształcić w śmiertelną bron. Jego matka była prawdziwą damą z Południa.

Edda Lou natomiast była arcydziełem. W sensie fizycznym, rzecz prosta.

Piersiastym i pupiastym arcydziełem z jedwabistą skórą, którą smarowała balsamem wazelinowym rano i wieczorem przez wszystkie lata swojego życia. Miała chętne usta, chętne ręce i, na Boga, dawała mu sporo przyjemności.

Nie kochał jej ani nie udawał, że kocha. Tucker uważał obietnice miłości za tani chwyt mający zwabić kobietę do łóżka. Zapewnił jej dobrą zabawę, w łóżku i poza nim. Nie należał

do mężczyzn, którzy przestają zabiegać o względy kobiety w momencie, gdy ta rozchyli nogi.

Ale kiedy zaczęła napomykać o małżeństwie, zrobił w tył zwrot. Najpierw wyraźnie ostygł, spotykał się z nią nie częściej niż raz na dwa tygodnie i całkowicie odciął seks.

Oświadczył, że nie jest zainteresowany małżeństwem. Ale błysk w jej oczach powiedział mu, że nie uwierzyła. Więc zerwał. Przyjęła to płacząco, ale spokojnie. Tucker zrozumiał teraz, że miała nadzieję złapać go ponownie.

Bez wątpienia usłyszała, że Tucker spotyka się już z kimś innym.

Jeżeli Edda Lou faktycznie jest w ciąży, on jest za to odpowiedzialny. Tucker nie miał

co do tego żadnych wątpiwości. Teraz musi pokombinować, co z tym fantem zrobić.

Był zdziwiony, że Austin Hatinger nie tropi go jeszcze z naładowaną strzelbą. Austin nie był najsympatyczniejszym człowiekiem pod słońcem i nie przepadał za Longstreetami. W

gruncie rzeczy nienawidził ich od czasu, gdy Madeline LaRue poślubiła Beau Longstreeta, kładąc w ten sposób kres marzeniom Austina.

Odtąd Austin zmienił się w nieprzyjemnego, zawziętego skurwiela. Całe miasto wiedziało, że w przypiływie złego humoru tłukł żonę. Stosował taką samą metodę wychowawczą w stosunku do swoich pięciorga dzieci. Najstarszy syn, A.J., odsiadywał w Jackson wyrok za kradzież samochodu.

Austin również spędził niejedną noc za kratkami. Znieważenie, pobicie, zakłócanie porządku publicznego, zazwyczaj w formie bluźnierstw na *Pismo Święte* i Pana Boga. Tucker wiedział, że to

tylko kwestia czasu, zanim Austin wyjdzie do niego ze strzelbą w garści.

P prostu będzie musiał sobie z rym poradzić.

Tak jak będzie musiał poradzić z obowiązkami wobec Eddy Lou.

Prędzej uświerknie, niż ożeni się z musu. Edda Lou była utalentowana w łóżku, ale nie potrafiłaby dotrzymać rozmowy z pomocnikiem hydraulika.

A poza tym, jak się ostatnio przekonał, była ograniczona i przebiegła niczym mała lisica. Cierpła mu skóra na myśl, że miałby ją codziennie po drugiej stronie stołu nakrytego do śniadania.

Zrobi, co będzie mógł, co nakazuje mu poczucie obowiązku. Ma pieniądze i ma czas.

Odda jej jedno i drugie. I kto wie, kiedy wypali się pierwszy gniew może poczuje coś do dziecka, jeżeli już nie do matki.

Wolałby miłość od tego mdlącego uczucia w żołądku.

Tucker przesunął dłońmi po twarzy i zapragnął, żeby Edda Lou po prostu zniknęła z powierzchni ziemi. To wynagrodziłoby mu tą brzydką scenę w restauracji, kiedy zrobiła z niego większego lajdaka, niż był w rzeczywistości. Gdyby tylko wpadł na jakiś sposób, żeby się jej...

Usłyszał szelest liści i odwrócił się błyskawicznie. Jeżeli ona tu za nim przyszła, przekona się, że jest gotowy do walki. Ba, wygląda jej niecierpliwie.

Caroline wyszła na polankę i wydała zdławiony okrzyk. W ocienionym miejscu, gdzie łowiła kiedyś z dziadkiem ryby, siedział mężczyzna. Zobaczyła przed sobą jego złociste oczy, twarde jak agaty, zaciśnięte pięści, usta rozciągnięte w złym uśmiechu, zęby odsłonięte jak do warknięcia.

Rozejrzała się rozpaczliwie za jakąś bronią, potem zrozumiała, że może liczyć tylko na własne siły.

- Co pan tu robi?

Maska nienawiści opadła, jakby zdarła ją niewidzialna ręka.

- Patrzę sobie na wodę. - Posłał jej szybki, przeproszający uśmiech, który miał

zasygnalizować, że Tucker Longstreet jest zupełnie nieszkodliwy. - Nie spodziewałem się, że kogoś tu spotkam.

Ale Caroline wcale nie była przekonana o jego niewinnych zamiarach. Mówił cicho, rozciągając leniwie słowa, ale to mogło okazać się mylące. Choć jego oczy śmiały się do niej, była w nich taka zmysłowość, że Caroline czekała tylko na pierwszy ruch mężczyzny, by wziąć nogi za pas.

- Kim pan jest?

- Tucker Longstreet, proszę pani. Mieszkam trochę dalej przy drodze. Spaceruję sobie.

I znowu ten uspokajający uśmiech.

- Przykro mi, że panią przestraszyłem. Panna Edith pozwalała mi tu posiedzieć, więc nie przyszło mi do głowy, żeby zajść do domu i zapytać. Pani jest Caroline Waverly?

- Tak. - Odpowiedź wypadła szorstko na tle jego uprzejmości Południowca. Aby ją złagodzić, uśmiechnęła się, ale zachowała rezerwę. - Przestraszył mnie pan, panie Longstreet.

- Och, proszę mówić do mnie Tucker. - Przyjrzał jej się z uśmiechem. Odrobinę za szczupłą, pomyślał, a twarz ma tak bladą i subtelną jak dama z kamei, którą matka nosiła na czarnej aksamitce. Zazwyczaj preferował długie włosy u kobiety, ale krótka fryzurka pasowała do wdzięcznej szyi i wielkich oczu Caroline Waverly. Wsadził kciuki w kieszenie spodni. - Jesteśmy przecież sąsiadami, a w Innocence sąsiedzi odnoszą się do siebie przyjaźnie.

No, pomyślała, ten to wycygani od garnka pokrywkę. Znała paru takich jak on.

Niezależnie od tego, czy słowa wypowiedane były rozwlekłym akcentem południowym czy śpiewnym hiszpańskim, kryły w sobie śmiertelne niebezpieczeństwo.

Skinęła głową niczym udzielna księżna, pomyślał.

- Rozglądałam się właśnie po posiadłości - ciągnęła. - Nie spodziewałam się tu kogoś spotkać.

- To ładny zakątek. Jak już mówiłem, mieszkam niedaleko. Jeżeli będzie pani czegoś potrzebowała, wystarczy głośniej krzyknąć.

- Jestem panu bardzo wdzięczna, ale myślę, że sobie poradzę. Przyjechałam tu dopiero przed godziną.

- Wiem. Minąłem panią w drodze do miasta.

Otworzyła usta, żeby dać mu kolejną ugrzecznioną odpowiedź, kiedy oczy jej się zwęziły.

- Jechał pan czerwonym porsche'em?

Tym razem pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

- Prawdziwe cacko, prawda?

Caroline postąpiła naprzód, a jej oczy rzucały błyski.

- Ty nieodpowiedzialny idioto, musiałeś jechać grubo ponad setkę! Rumieniec gniewu zmienił ją z istoty ładnej i delikatnej w piękną kobietę.

Tucker nadal trzymał kciuki w kieszeniach. Zawsze był zdania, że kiedy nie można uniknąć kobiecej

złości, należy czerpać z niej przyjemność.

- Nie. O ile pamiętam, jechałem zaledwie sto dziesięć. Maleństwo wyciąga dwieście na ładnej prostej, ale...

- Omal pan we mnie nie wjechał!

Przez chwilę zdawał się rozważać taką możliwość, po czym potrząsnął głową.

- Nie. Miałem mnóstwo czasu, żeby panią ominąć. Może od pani strony wyglądało to gorzej. W każdym razie jest mi szalenie przykro, że napędziłem pani strachu aż dwukrotnie w ciągu jednego dnia. - Ale błysk w oczach nie licował z przepraszającym tonem wypowiedzi. -

Zazwyczaj staram się oddziaływać inaczej na płec piękną.

Jeżeli matka Caroline wbiła jej coś do głowy, było to poczucie godności. Opanowała się na tyle, żeby się nie zapłuć z gniewu.

- Pan stanowi zagrożenie dla użytkowników szos. Powinnam zgłosić ten wypadek policji.

Ubawiło go to jej jankeskie oburzenie.

- Nic straconego. Proszę zadzwonić do miasta i poprosić Burke'a. Burke'a Truesdale'a.

Jest szeryfem.

- I pańskim kuzynem, jak przypuszczam - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Nie, proszę pani, chociaż jego młodsza siostra wyszła za mojego kuzyna w drugiej linii. - Skoro uważa go za wiejskiego prostaczka, postara się jej nie rozczarować. -

Przeprowadzili się na drugą stron. rzeki, do Arkansas. Mój kuzyn to Billy Earl LaRue. On jest ze strony mamusi. On i Meggie - to młodsza siostra Burke'a - prowadzą coś w rodzaju przechowalni. Wie pani, takie miejsce, gdzie zostawia się meble, samochody, co człowiek chce? Na miesiąc albo dłużej. Nieźle im się powodzi.

- Miło mi to słyszeć.

- To bardzo uprzejme z pani strony. - Uśmiechnął się leniwie. - Proszę pozdrowić ode mnie Burke'a, kiedy pani będzie z nim rozmawiała.

Choć był wyższy od niej o dobre kilkanaście centymetrów, Caroline udało się spojrzeć na niego z góry.

- Oboje wiemy, że mój telefon do szeryfa odniósłby niewielki skutek. A teraz byłabym wdzięczna, gdyby opuścił pan moją ziemię, panie Longstreet. A kiedy zapragnie pan znowu usiąść i popatrzeć na wodę, proszę znaleźć sobie inne miejsce.



Odwróciła się, ale zanim uszła dwa kroki, dobiegł ją głos Tuckera, i do licha, brzmiała w nim kpina!

- Panno Waverly? Witamy w Innocence. Niech się pani tu czuje jak w domu. A teraz, miłego dnia.

Nie obejrzała się. Tucker, będąc człowiekiem rozważnym, odczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem jego głosu, i dopiero wtedy się roześmiał.

Gdyby nie tkwił po uszy w bagnie, chętnie podroczyłby się z tą Jankeską zgodnie z przyjętymi przez siebie zasadami. Niech go licho, jeżeli nie poprawiła mu humoru.

Edda Lou była gotowa do ostatecznego starcia. Bała się, że schrzaniła sprawę, wpadając w szal po tym, jak Tucker zabrał tę dziwkę Chrissy Fuller do Greenville na kolację.

Ale wszystko wskazywało na to, że złość popłaca, przynajmniej czasami. Scena w restauracji, publiczne upokorzenie sprawia, że Tucker przyjdzie do niej jak po sznurku.

Och, bez wątpienia spróbuje omamić ją słodkimi słówkami. Był najlepszym mówcą w okręgu Bolivar. Ale tym razem nie wykręci się sianem. Nawet się nie obejrzy, jak założy jej obrączkę na palec. Edda Lou Hatinger sprowadzi się do tego wielkiego domu i zetrze szyderczy uśmiezek z każdej twarzy w Innocence. Edda Lou Hatinger, która wyrosła na nędznej farmie, gdzie chude kury grzebały w kurzu, a w kuchni unosił się wieczny zapach tłuszczu, zostanie panią na Sweetwater, będzie się ślicznie ubierała, spała w miękkim łóżku i piła francuskiego szampana na śniadanie.

Miała słabość do Tuckera, to prawda. Ale jeszcze większą słabość czuła do jego domu, nazwiska i konta bankowego. Następnym razem wjedzie do Innocence długim, różowym cadillakiem. Koniec z pracą kasjerki u Larssona, koniec z ciułaniem grosza na opłacenie pokoju w domu noclegowym.

Będzie się nazywała Longstreet.

Snując marzenia, zatrzymała swoją impalę rocznik 75 na poboczu. Nie dziwiło jej, że Tucker wyznaczył spotkanie nad stawem. Uznała, że to miłe. Edda Lou zakochała się - na tyle, na ile pozwalało jej skąpe serce - ponieważ Tucker był taki romantyczny. Nie obmacywał jej jak większość mężczyzn, których spotykała u McGreedy'ego. I nie zawsze chciał od razu dostać się do jej majtek jak większość mężczyzn, z którymi się umawiała.

Tucker lubił mówić. I choć połowy z jego wywodów w ogóle nie rozumiała, była mu wdzięczna za uprzejmość.

Poza tym nie skąpił prezentów. Butle perfum, naręczą frezji. Kiedyś, po jakiejś kłótni, kupił jej negliz z prawdziwego jedwabiu.

Po ślubie kupi sobie ich całą szafę. Na kartę kredytową.

Księżyc świecił jasno, nie zapalała więc latarki. Nie chciała zepsuć nastroju.

Roztrzepała długie jasne włosy i ściągnęła dekolt elastycznej bluzeczki tak, że piersi omal nie wyskoczyły na zewnątrz. Różowe szorty wpijały jej się w krok, ale uznała, że warto pocierpieć.

Jeżeli dobrze to rozegra, Tucker wyłuska ją z nich w mgnieniu oka. Zwilgotniała na samą myśl o tym. Nikt nie robił tego lepiej niż Tucker. Rany, czasem kiedy jej dotykał, zupełnie zapomniała o jego pieniądzach. Chciała go w sobie dzisiaj, nie tylko dlatego, że kochanie się pod gołym niebem było podniecające. Jeżeli zrobią to zaraz, jej wydumana ciąża stanie się faktem, zanim wzejdzie słońce.

Szła przez gęste liście, winoroślą, pośród ciężkiej woni mokradeł i własnych perfum.

Światło księżycy rysowało na ziemi zmienny wzór. Urodzona i wychowana na wsi, Edda Lou nie bała się odgłosów nocy, rechotania żab, szumu trzciny, wysokiego śpiewu cykad i chrapliwego krzyku sowy.

Uchwyciła błysk żółtych oczu, które mogły należeć do lisa lub kuny. Zniknęły, kiedy podeszła bliżej. Z trawy dobiegł pisk mordowanego stworzenia. Edda Lou nie poświęciła tej śmierci nawet tyle uwagi, ile nowojorczyk poświęca syrenie policyjnej.

Odbływały się nocne łowy sów i lisów. Miała zbyt wiele rozsądku, by ujrzeć siebie w roli ofiary.

Szła bezszelestnie po grubym poszyciu z liści. Światło księżycy nadało jej skórze, smarowanej kremem z niemal religijnym zapamiętaniem, połysk marmuru. A ponieważ się uśmiechała, pewna zwycięstwa, było w jej twarzy jakieś dzikie piękno.

- Tucker? - zawołała dziecinnym, przymilnym głosem. - Przepraszam, że się spóźniłam, złotko.

Zatrzymała się nad brzegiem stawu i rozejrzała. Nie było tam nic z wyjątkiem wody, skał i gęstych zarośli. Zaciśnęła usta i piękno znikło. Celowo Przyjechała później, chcąc, żeby poczekał na nią dziesięć, piętnaście minut.

Zirytowana usiadła na pniu, na którym Tucker siedział przed paroma godzinami. Ale nie czuła jego obecności. Jedynie gniew, że przybiegła na jego pierwsze zawołanie. A raczej na pierwszy liścik.

*Czekaj nad stawem McNairów o północy. Naprawimy wszystko. Chcę tylko być z tobą przez chwilę.*

Oto cały Tucker, pomyślała Edda Lou. Ugłaskuje ją, mówiąc, że chce z nią być, a potem się spóźnia, wprawiając w zły humor.

Pięć minut, postanowiła. Nie dam mu ani minuty więcej. Potem pojedzie prosto do Sweetwater, skręci w tę fikuśną bramę i zajedzie pod ten wielki dom. Pokaże Tuckerowi Longstreetowi, co to znaczy igrać z jej uczuciem.

Odwróciła się, słysząc szmer za plecami, gotowa w każdej chwili zamruć rzęsami.

Cios w podstawę czaszki sprawił, że upadła twarzą w trawę.

Edda Lou usłyszała swój stłumiony jęk. Zdawało jej się, że głowę ma rozłupaną na pół. Och, to boli, boli! Chciała podnieść dłonie do głowy, ale miała je związane na plecach.

Pierwszy błysk strachu przebił się przez ból - Otworzyła szeroko oczy i próbowała krzyknąć. Ale

usta miała zakneblowane. Czowała smak materiału, zapach wody kolońskiej, którym był nasycony. Rzucając dzikie spojrzenia, szarpała więzy.

Była naga, a jej plecy i pośladki ocierały się o korę, kiedy wiała się na pniu. Ręce miała przywiązane do dębu, a nogi spętane tak, że tworzyły literę „V”. Obrazy gwałtu przesunęły się jej przed oczyma.

- Eddo Lou, Eddo Lou! - Głos był niski i chrapliwy. Dźwięk, jaki wydaje metal tarty o skałę. Edda Lou toczyła oszalałym wzrokiem, próbując znaleźć jego źródło.

Widziała tylko wodę i gruby, ciemny pokład liści. Próbowała krzyczeć i zadławiła się gałganem.

- Bardzo romantycznie, prawda? Stać nago w świetle księżyca. I jesteśmy tu tylko my, ty i ja. Pokochajmy się.

Sparaliżowana strachem, Edda Lou patrzyła na postać wyłaniającą się z cienia.

Zobaczyła światło księżyca przemykającego po nagiej skórze. Zobaczyła błysk długiego noża.

Rozpoznała człowieka, który ku niej szedł i obok strachu poczuła odrazę. Fala mdłości podeszła jej do gardła. A tamten człowiek był coraz bliżej i bliżej.

Jej błagania i modlitwy tłumił knebel. Cienkie strumyczki krwi spływały jej po plecach i nogach, kiedy wiała się na pniu. Obce dłonie dotykały jej, gniotły, głaskały. I usta.

Gorące łzy stoczyły się wolno po policzkach Eddy Lou, kiedy pożądlive wargi zamknęły się na jej bezbronnych piersiach.

Śliskie od potu ciało ocierało się o nią, robiło rzeczy, z którymi jej umysł nie mógł się pogodzić. Szlochała rozpaczliwie, drżała pod każdym dotknięciem wilgotnych ust, natrętnych palców, rzeźnickiego noża. Bo przypomniała sobie, co stało się z Anette i Francie, wiedziała, że tu tę samą tępa grozę, tę samą odrazę w ostatnich chwilach życia.

- Chcesz tego. Chcesz tego. - Głos docierał do niej poprzez szum mózgu. - Dziwka! -

Nóż odwrócił się, tnąc delikatnie, niemal bezboleśnie ramię Eddy Lou. Kiedy tamte usta zamknęły się na ranie, Edda Lou omdlała.

- O nie! - Dłoń uderzyła ją delikatnie po twarzy. - Dziwki nie śpią w pracy. - Rozległ

się śmiech, niemal chichot. Edda Lou otworzyła oczy i ujrzała tuż przy sobie roześmiane okrwawione wargi. - Tak lepiej. Musisz patrzeć. Gotowa?

- Proszę, proszę, proszę - krzyczał głos w jej głowie. - Nie zabijaj mnie. Nie powiem, nie powiem, nie powiem!

- Nie! - Głos był ochryply z podniecenia i Edda Lou ujrzała szaleństwo w oczach, które tak dobrze знаła. - Nie jesteś warta, by cię wypieprzyć.

Tamten człowiek wyrwał knebel z jej ust. Przyjemność nie byłaby pełna bez tego ostatniego, wysokiego krzyku. Urwał się, kiedy nóż przejechał po gardle Eddy Lou.

Caroline usiadła na łóżku. Serce waliło jej w piersiach. Zacisnęła obie ręce na koszuli nocnej, omal jej nie rozrywając.

Krzyk, pomyślała w panice. Słyszała swój chrapliwy oddech. Kto krzyczał?

Szukała na oślep lampki, kiedy przypomniała sobie, gdzie jest. Opadła z powrotem na poduszki. To nie Filadelfia. Nie Baltimore, nie Nowy Jork ani Paryż. Jest na wsi w stanie Missisipi, śpi w łóżku swoich dziadków.

Odgłosy nocy zdawały się wypełniać pokój. Świerszcze, cykady, żaby, sowy.

Usłyszała drugi krzyk, pełen grozy. Sowy, przypomniała sobie. Babcia uspokajała ją, kiedy ten sam odgłos wyrwał ją ze snu w dzieciństwie.

„To tylko sowa, słoneczko. Nic strasznego. Śpij spokojnie”.

Zamknawszy oczy Caroline wsłuchiwała się w długie „hu - huu”. Leśne odgłosy.

Próbowała zignorować poskrzypywanie starego domu. Wkrótce dźwięki te staną się równie znajome jak szum ulicy i daleki jęk syren.

Jest tak, jak powiedziała babcia. Może spać spokojnie.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Tucker siedział na bocznym tarasie, gdzie purpurowy powojnik oplatał wiklinową kratkę. Koliber przemknął obok niego kolorową plamą i przysiadł, by napić się z wielkiego kielicha kwiatu. Z domu dobiegał szum odkurzacza Delii. Dźwięk wydostawał się przez osłonięte siatką okna i mieszał z pobzykiwaniem pszczół.

Pod szklanym stolikiem leżał stary pies rodziny, Buster, worek luźnej skóry i starych kości. Od czasu do czasu zbierał energię, by machnąć ogonem i łypnąć okiem przez szklaną taflę na śniadanie Tuckera.

Tucker zdawał się nie zwracać uwagi na żaden z porannych dźwięków i zapachów.

Wchłaniał jej mimochodem, z tym samym roztargnieniem, z jakim popijał zimny sok, czarną kawę i gryzł grzanekę.

Odprawiał jeden ze swoich ulubionych porannych rytuałów: przeglądał pocztę.

Jak zwykle nadszedł stos magazynów i katalogów mody dla Josie. Zrzucał je, jeden po drugim, na wyściełane krzesło obok. Przy każdym plaśnięciu Buster podnosił swoje kaprawe oczka z nadzieją, po czym pomrukiwał pełen dezaprobaty.

Był list do Dwayne'a z Nashville, zaadresowany dziecinny charakterem pisma Sissy.

Tucker skrzywił się z niechęcią. Przyjrzał się kopercie pod światło i odłożył ją na bok.

Wiedział, że nie jest to upomnienie o alimenty. Jako rodzinny księgowy osobiście wypisywał miesięczne czeki. Sissy otrzymała pieniądze przed dwoma tygodniami.

Zgodnie ze swoim systemem katalogowania, rachunki odłożył na jedno krzesło, korespondencję prywatną za dzbanek z kawą, a listy od organizacji charytatywnych wrzucił do kosza na papiery przy swoim krześle.

Radził sobie z nawąłem próśb o wsparcie w ten sposób, że raz w miesiącu sięgał na oślep do kosza i wyciągał dwa listy. Wylosowane organizacje otrzymywały hojne datki, obojętnie czy była to akurat Fundacja Ochrony Dzikich Zwierząt, Amerykański Czerwony Krzyż czy Towarzystwo Zapobiegania Zanokcicy. Dzięki tej prostej metodzie, Tucker czuł, że Longstreetowie Wypełniają swoje obowiązki wobec społeczeństwa. A jeśli pewne organizacje czuły się zdziwione faktem, że jednego miesiąca otrzymały kilkadziesiąt tysięcy dolarów, a przez następne lata ani centa. Tucker był zdania, że to ich problem.

On miał własne.

Nieskomplikowana czynność sortowania poczty pomogła mu o nich zapomnieć, przynajmniej na chwilę. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, co powinien uczynić, ponieważ Edda Lou nie dawała znaku życia. Miała dwa dni na podjęcie dalszych kroków zaczepnych po wstrząsającym oświadczeniu publicznym, ale najwyraźniej postanowiła działać na zwłokę.

Nie tylko się z nim nie skontaktowała, ale nie odpowiadała na telefony.

Było to niepokojące - zwłaszcza od czasu, gdy otrzymał próbkę jej złości i dowiedział

się, że potrafi uderzyć zniemacka, z szybkością jadowitego węża. Czekanie, aż zatopi w nim żądło, działało Tuckerowi na nerwy.

Pośród listów od synów Dwayne'a znalazł liliową, uperfumowaną kopertkę, która mogła pochodzić tylko od jednej osoby na świecie.

- Kuzynka Lulu - Tucker uśmiechnął się od ucha do ucha i zapomniał o swoich kłopotach.

Lulu Longstreet Boyston należała do odłamu Longstreetów pochodzącego z Georgii i była kuzynką dziadka Tuckera. Oceniano jej wiek na siedemdziesiąt parę lat, choć od dawna przyznawała się jedynie do sześćdziesięciu pięciu. Była nieprzyzwoicie bogata i kompletnie szalona.

Tucker ją uwielbiał. Choć list adresowany był „do moich kuzynów Longstreetów”, Tucker otworzył go bez ceremonii. Nie miał zamiaru czekać, aż Dwayne i Josie raczą wrócić do domu.

Przeczytał pierwszy akapit, napisany jaskrawoczerwonym atramentem i wydał okrzyk radości.

Kuzynka Lulu donosiła, że „zajrzy” z wizytą.

Jak zwykle, nie sposób było wywnioskować, czy wpadnie na obiad, czy zatrzyma się na miesiąc. Tucker miał szczerą nadzieję, że kuzynka Lulu wybierze tę drugą ewentualność.

Potrzebował rozrywki.

Ostatnim razem, gdy „zajrzała” z wizytą, przywiozła karton tortów lodowych opakowany w suchy lód, na głowie zaś miała papierowy kapelusz karnawałowy ze strusim piórem. Paradowała w tym kapeluszu przez tydzień, nie zdejmując go nawet w nocy.

Twierdziła, że obchodzi urodziny. Czyjekolwiek.

Tucker zlizął z palców dżem truskawkowy i rzucił Busterowi resztę grzanki.

Poniechawszy segregowania poczty, wstał i skierował się w stronę drzwi. Powie Delii, żeby przygotowała pokój kuzynki Lulu.

Był już jedną nogą w salonie, gdy usłyszał rżenie półciężarówki Austina Hatingera.

Tylko jeden pojazd w Innocence wydawał z siebie ten szczególny zgrzytliwo - grzechoczący dźwięk. Opanowawszy chęć, by wejść do domu i zabarykadować drzwi, Tucker wrócił na werandę, gotowy wypić piwo, którego nawarzył.

Oznaki nadejścia Austina były już nie tylko słyszalne, ale i dostrzegalne. Znad krzaków magnolii unosiła się czarna chmura spalin. Z lekkim westchnieniem Tucker wyjął

papierosa, obciął koniuszek i czekał na pojawienie się wroga.

Samochód stanął na podjeździe i wytoczył się z niego Austin Hatinger.

Był równie niedźwiedziowaty jak stary ford, ale zamiast druta i sznurka trzymały go do kupy żyły i mięśnie. Twarz pod zniszczonym kapeluszem plantatora wyglądała jak wyrzeźbiona z drewnianego kłoca. Głębokie bruzdy biegingy od orzechowych oczu przez ogorzałe policzki i znikały w kącikach wąskich zawziętych ust.

Spod kapelusza nie wystawał nawet włoszek. Austin nie był łysy. Raz w miesiącu jeździł do fryzjera i kazał strzyc posiwiące włosy. Zdaniem Tuckera robił to na pamiątkę czterech lat, które spędził w Korpusie. Na ramionach wielkich jak kłody kazał wytatuować sobie „Semper Fi”. Obok powiewała amerykańska flaga.

Austin, który uważał się za bogobożnego chrześcijanina, nigdy nie pozwoliłby sobie na takie bezeceństwo, jak goła baba.

Splunął sokiem tytoniowym na żwir alejki, pozostawiając na nim paskudną żółtą plamę. Pod

zakurzonymi portkami i przepoconą roboczą koszulą, mimo upału zapiętą pod samą szyję, rysowało się ciało potężne jak u byka rekordzisty.

Tucker zauważył, że Austin nie wyjął żadnej ze strzelb spoczywających na tylnym siedzeniu. Pomyślał, że tę drobną uprzejmość gościa może poczytać za pomyślny omen.

- Austin! - Zszedł z jednego stopnia, co było oznaką bardzo zdawkowej uprzejmości.

- Longstreet! - Głos Austina przypominał skrobanie paznokciem po betonie. - Gdzie, do diabła, jest moja córka?

Było to ostatnie pytanie, jakiego Tucker się spodziewał, zamrugął więc niepewnie powiekami.

- Słucham?

- Ty bezbożny, pieprzony draniu! Gdzie, do diabła jest Edda Lou? Słyszac tę krótką charakterystykę swojej osoby, Tucker poczuł pewny grunt pod nogami.

- Nie widziałem Eddy Lou od przedwczoraj, czyli od naszego spotkania w barze. -

Uniół dłoń, zanim Austin zdołał się odezwać. Przynależność do najpotężniejszej rodziny w okolicy miała jednak swoje dobre strony. - Możesz się wściekać, ile chcesz, Austin, i spodziewam się, że wściekniesz się jak cholera, ale prawda wygląda tak, że spałem z twoją córką. - Zaciągnął się głęboko papierosem. - Przypuszczam, że miałeś niejakię pojęcie o tym, co robię, kiedy to robiłem, i nie byłeś tym specjalnie zachwycony. Nie winię cię za to.

Wargi Austina uniosły się, odsłaniając nierówne, żółte zęby. Przy najlepszych chęciach nie można było uznać tego za uśmiech.

- Powinienem obedrzeć twój świński tyłek ze skóry w dniu, kiedy zacząłeś koło niej węszyć.

- Może, ale weźmy pod uwagę, że od paru ładnych lat Edda Lou jest pełnoletnia i decyduje o sobie. - Tucker zaciągnął się po raz ostatni, obejrzał niedopałek i odrzucił go w trawę. - Austin, w tym cała rzecz, że co się stało, to się nie odstanie.

- Łatwo ci powiedzieć, kiedy zrobiłeś bękarta mojej córce.

- Przy jej pełnej współpracy - powiedział Tucker, wsadzając ręce w kieszenie spodni. -

Dopilnuję, żeby miała wszystko, co trzeba w ciąży, i nie będę skąpił na utrzymanie dziecka.

- Gadanie. - Austin splunął. - Zawsze byłeś mocny w gębie, Tucker. Teraz posłuchasz, co ja mam ci do powiedzenia. Sam zadbam o swoją córkę i chcę mieć ją tutaj w tej chwili.

Tucker uniół lekko brew.

- Myślisz, że Edda Lou jest u mnie? Mylisz się.



- Kłamca! Cudzołożnik! - Jego głos unosił się i opadał jak głos nawiedzonego ewangelisty z chronicznym zapaleniem krtani. - Twoja dusza jest czarna od grzechu.

- W kwestii duszy nie przeczę - powiedział Tucker ugodowo - ale Eddy Lou tutaj nie ma. Nie kłamię, zresztą możesz sam sprawdzić. Powtarzam, nie widziałem ani nie rozmawiałem z nią od chwili, gdy obwieściła wielką nowinę.

Austin zastanawiał się przez chwilę, czy warto wtargnąć do domu i wyjść przy tym na głupca. Nie miał zamiaru zrobić z siebie idioty na użytek Longstreeta.

- Nie ma jej tu i nie ma jej nigdzie w mieście. Powiem ci, co myślę, sukinsynu.

Namówiłeś ją, żeby poszła do jednego z tych lekarzy morderców i się wyskrobała.

- W ogóle z nią o tym nie rozmawiałem. Jeżeli zrobiła coś takiego, to wpadła na ten pomysł zupełnie samodzielnie.

Niestety zapomniał, że niedźwiedziowość Austina nie idzie w parze z powolnością.

Jego słowa jeszcze nie przebrzmiały, kiedy Hatinger skoczył naprzód, chwycił go za koszulę i uniósł nad schody.

- Nie mów tak o mojej dziewczynce. Była bogobożną chrześcijanką, dopóki nie wpadła w twoje łapy. Spójrz na siebie, zasrany leń, żyjący jak świnia w tym wielkim domu, z bratem pijaczną i siostrunią dziwką. - Jego ślina opryskiwała Tuckerowi twarz, a na skórze pojawiły się czerwone cętki. - Będziesz skwierczał w piekle, ty i wy wszyscy, zupełnie jak wasz grzeszny ojciec.

Prawdę mówiąc, Tucker wolał unikać konfrontacji wszelkimi dostępnymi sposobami, słowem, czynem i uśmiechem, ale bywało, że w paradę wchodziła mu duma.

Zatopił pięść w brzuchu Austina. Zaskoczony Hatinger poluzował uścisk.

- Posłuchaj mnie, ty świętoszkowaty durniu. Masz do czynienia ze mną nie z moją rodziną. Ze mną! Powiedziałem ci już, że nie skrzywdzę Eddy Lou i nie będę tego powtarzać.

Jeżeli myślisz, że byłem pierwszym facetem, dla którego się rozłożyła, to jesteś większym idiotą, niż przypuszczałem. - Wpadał we wściekłość, chociaż wiedział, że mu to nie wyjdzie na dobre. Ale wstyd, gniew i obraza kazały mu zapomnieć o ostrożności. - I nie myśl, że lenistwo to to samo co głupota. Dobrze wiem, co ona próbuje zrobić. Jeżeli wpadło wam do głowy, że można zagonić mnie krzykiem i groźbą do ołtarza, przemyślcie sprawę jeszcze raz.

Mięśnie wokół ust Austina zadrżały.

- Jest dość dobra, żeby ją pieprzyć, ale nie dość dobra, żeby się z nią ożenić?

- Chyba jasno się wyraziłem.

Tuckerowi udało się uniknąć pierwszego ciosu, drugiego już nie zdołał. Goryla pięść Austina trafiła go w brzuch i pozbawiła tchu. Zgiął się w pół. Przyjął serię ciosów na głowę i kark, zanim zebrał dość sił, by się bronić.

Czuł smak krwi, jej zapach. Na myśl, że jest to jego własna krew, ogarnęła go dzika, ślepa furia. Nie czuł bólu, kiedy miażdżył sobie kłykiec o kość policzkową Austina, ale siła uderzenia wstrząsnęła jego ramieniem.

To było piękne uczucie. Cholernie piękne.

Jakaś część jego umysłu nadal działała z przeraźliwą jasnością. Musi utrzymać się na nogach. Nigdy nie dorówna Austinowi pod względem siły i masy ciała, musi więc polegać na sprycie i szybkości. Jeżeli upadnie, wywiozą go stąd z połamanymi kośćmi i zmasakrowaną twarzą.

Dostał tuż poniżej ucha i usłyszał anielskie śpiewy.

Pięści kaleczyły się o kości, krew i pot płynęły jednym strumieniem. Mocowali się, odsłaniając zęby w zwierzęcych pomrukach i Tucker zrozumiał, że nie broni już dumy, ale życia. W oczach Austina pojawił się błysk szaleństwa, który mówił więcej niż dzikie wrzaski.

Tucker poczuł, jak ogarnia go paniczny strach.

Jego najgorsze obawy zdawały się potwierdzać. Austin ruszył ku niemu z pochyloną głową, wielki jak buldożer. Wydał długi, triumfalny krzyk, kiedy Tucker poślizgnął się na wysypanej żwirem alejce i runął jak długi w krzaki peoni.

Uderzenie w plecy pozbawiło go tchu. Słyszał żaloszny świst, z jakim powietrze przedostawało się z gardła do płuc. Kiedy zaczął się gramolić, Austin zwałił się na niego, jedną łapą ściskając przeciwnika za gardło, drugą młócąc go po nerkach.

Tucker chwycił Austina za podbródek, rozpaczliwie próbując uwolnić gardło, ale oczy przysłoniła mu mgła. Widział już tylko te oczy, w których płonęło szaleństwo i chęć mordy.

- Pójdiesz do piekła - skandował wolno Austin. - Pójdiesz do piekła. Powinienem zabić cię wcześniej. Beau. Dużo wcześniej.

Czując, że lada chwila straci przytomność, Tucker dziabnął przeciwnika w oczy.

Austin odrzucił głowę i zaskowyczał jak pies. Puścił gardło Longstreeta.

Tucker chwycił łapczywie powietrze, które paliło płuca i wracało mu życie.

- Ty zwariowany sukinkocie! Nie jestem moim ojcem! - Tucker zakrztusił się, zachłysnął i z trudem podniósł się na czworaki. Grozą napełniała go myśl, że zrzuci śniadanie w zgniecione peonie. - Wynoś się z mojej ziemi.

Odwrócił głowę i doznał przelotnej satysfakcji na widok okrwawionej twarzy Austina.

Oberwał nie gorzej niż on sam - mężczyzna nie powinien prosić o więcej. No, może jeszcze o zimny prysznic, woreczek z lodem i fiolkę aspiryny. Chciał się odwrócić i odejść, kiedy Austin, szybki jak wąż, pochylił się i chwycił jeden z ciężkich kamieni okalających gazon peonii.

- Słodki Jezu! - Tylko tyle zdołał wykrztusić Tucker, kiedy Austin uniósł kamień nad głowę.

Na huk wystrzału podskoczyli obaj. Śrut rozprysnął się w kwiatach.

- Mam tego pełną beczkę, ty draniu! - powiedziała Della z werandy. - A celuję wprost w twoje beużyteczne jaja. Odłóż ten kamień, skąd go wzięłeś, i to prędko, bo palec mnie świerdzi.

Szaleństwo mijało. Tucker widział, jak znika z oczu Austina, a miejsce opętania zajmuje dzika, ale przynajmniej ludzka wściekłość.

- To cię pewnie nie zabije - ciągnęła Della tonem towarzyskiej pogawędki. Stała na skraju werandy ze strzelbą spoczywającą wygodnie w zgięciu ramienia, uśmiechając się szeroko. - Zostanie ci jeszcze ze dwadzieścia lat sikania w plastikowy worek.

Austin upuścił kamień. Uderzył głucho o ziemię i dźwięk ten przyprawił Tuckera o mdłości.

- „Nadszedł dzień sądu” - zacytował Austin. - On zapłaci za to, co zrobił mojej dziewczynce.

- Zdaje się, że już płaci - powiedziała Della. - Jeżeli ta dziewczyna ma coś, co należy do niego, Tucker się o nią zatroszczy. Ale ja nie jestem taka łatwowierna jak mój chłopak.

Austin. Sprawdzimy, jak to tam naprawdę wygląda, zanim Tucker podpisze jakieś papiery.

Austin stał z zaciśniętymi pięściami.

- Chcesz powiedzieć, że moja dziewczynka kłamie? Della nadal mierzyła mu w pępek.

- Mówię, że Edda Lou nigdy święta nie była i wcale jej za to nie Potępiam. A teraz, wynoś się w cholere z tej ziemi. Jeżeli masz trochę oleju w głowie, zaprowadzisz dziewczynę do doktora Shaysa, żeby sprawdził co i jak. Wtedy omówimy sprawę, kulturalnie. Albo będziesz się dalej awanturował, a wtedy cię rozwalę.

Austin zaciskał i rozprostowywał palce. Krew spływała mu po policzkach jak łzy.

- Wróć. - Splunął pod nogi Tuckerowi. - Następnym razem nie będzie kobiety, która cię obroni.

Wgramolił się do ciężarówki, objechał klomb i popędził aleją w stronę bramy.

Pozostał po nim obłok spalin.

Tucker usiadł w kwiatach i oparł głowę na kolanach. Posiedzi tak sobie chwilę, zanim spróbuje wstać.

Odetchnąwszy głęboko, Della opuściła strzelbę. Ostrożnie oparła ją o balustradę, zeszła ze stopni i zbliżyła się do Tuckera. Podniósł głowę i otwierał już usta, żeby jej podziękować, kiedy uderzyła go w bok głowy, tak mocno, że zadzwoniło mu w uszach.

- Chryste, Della!

- To za to, że myślisz jajami. - Uderzyła go ponownie. - A to za to, że sprowadziłeś tego religijnego maniaka w pobliże mojego domu. - Kolejny cios wylądował na czubku jego głowy. - A to za zniszczenie kwiatów twojej mamy. - Z westchnieniem pełnym satysfakcji skrzyżowała ramiona na piersiach. - A teraz, jeżeli uda ci się wstać, zaprowadzę cię do kuchni i trochę uporządkę.

Tucker otarł usta wierzchem dłoni i spojrzał z roztargnieniem na smugę krwi, która została mu na ręce.

- Dobrze.

Ręce przestały jej się trząść, ujęła więc Tuckera za podbródek i obejrzała jego twarz.

- Będzie śliwa - orzekła. - Ale coś mi się widzi, że on będzie miał dwie. Spisałeś się nieźle.

- Chyba tak. - Ostrożnie dźwignął się na kolana. Czuł się tak, jakby przeszło po nim stado dzikich koni. - Kwiatami zajmę się później.

- A żebyś wiedział, że się zajmiesz. - Della otoczyła go ramieniem i pomogła mu wejść na schodki.

Postanowił wprawdzie, że Edda Lou nie wyprowadzi go z równowagi, ale nie mógł się pozbyć uczucia mdlącego niepokoju. Powiedział sobie, że to zwariowany Austin powinien martwić się o swoją zwariowaną córkę, która zaszyła się gdzieś, żeby umknąć przed gniewem ojca i przyprawić Tuckera Longstreeta o niepokój sumienia. Ale nie mógł zapomnieć dryfującej słodkiej Francie, z białym ciałem upstrzonym bezkrwistymi dziurami.

Więc wsadził na nos przeciwsłoneczne okulary, żeby ukryć przynajmniej część siniaka pod lewym okiem i, łyknąwszy dwa znalezione u Josie proszki przeciwko bólom menstruacyjnym, ruszył do miasta.

Z nieba lał się żar i Tucker pożałował, że nie poszedł do łóżka z workiem lodu i szklanicą whisky. Zrobi to natychmiast po rozmowie z Burke'em.

Wjeżdżając do Innocence, powiedział sobie, że Edda Lou stoi na pewno za ladą sklepu Larssona i sprzedaje tytoń i worki węgla do grilla.

Mijając jednak wielkie okno sklepu, zobaczył, że za ladą stoi młody, wyrośnięty Kirk Larsson.

Tucker zatrzymał samochód przed biurem szeryfa. Gdyby był sam, wyczołgałby się z wozu, jęcząc głośno. Ale trójka starych bałwanów, która siadywała pod domem noclegowym, by żuć tytoń, narzekać na pogodę i czyhać na plotki, tkwiła już na stanowisku. Słomkowe kapelusze zakrywały posiwiałe głowy, spalone słońcem policzki wypchane były prymkami, sprane bawełniane koszule

wilgotne od potu.

- Cześć, Tucker.

- Panie Bonny! - Longstreet skinął głową pierwszemu mężczyźnie, upewniwszy się, że to on jest najstarszy w tym gronie. Cała trójka przeszła w stan spoczynku przed dziesięcioma Jaty i wiodła słodkie życie na ocienionym markizą chodniku przed domem noclegowym. -

Panie Koons! Panie O'Hara!

Pete Koons, bezzębny od trzydziestu lat, zagorzały przeciwnik sztucznej szczęki, splunął do blaszanej puszeki, którą otrzymał w prezencie od wnuczki.

- Chłopie, wyglądasz jakbyś się natknął na jakąś paskudną babę albo zazdrosnego męża.

Tucker uśmiechnął się z przymusem. Niewiele sekretów miało to miasto, mądry mężczyzna wybierał starannie te, które chciał zachować dla siebie.

- Nie. Zagniewany tatuś.

Charlie O'Hara zachichotał. Miał rozedmę płuc, wyliczył sobie, że umrze na nią jeszcze przed nadejściem następnego lata i cieszył się życiem w dwójnasób.

- Austin Hatinger?

Tucker skinął głową i O'Hara zachichotał radośnie.

- Złe nasienie. Widziałem, jak załatwiał Toby'ego Marcha. Tylko że Toby był czarny, więc nie było rabanu. To musiało być w sześćdziesiątym dziewiątym. Poprzestawiał

Toby'emu żebra i poharatał twarz.

- W sześćdziesiątym ósmym - sprostował Bonny, ponieważ dokładność wiele znaczyła w takich sprawach. - To było tego lata, kiedy kupiłem nowy traktor, więc pamiętam. Austin powiedział, że Toby ukradł mu kawał sznura z szopy. Bzdura. Toby był dobrym chłopcem i nie tknął niczego, co nie jego. Wziąłem go do siebie, kiedy żebra mu się zrosły. Nigdy nie miałem z nim kłopotów.

- Austin jest zły. - Koons splunął ponownie, nie wiadomo, z konieczności czy dla podkreślenia swoich słów. - Pojechał do Korei zły, a wrócił jeszcze gorszy. Nigdy nie przebaczył twojej mamie, że wyszła za męża, kiedy on strzelał do żółtków. Uparł się na pannę Madeline, choć Bogiem a prawdą nawet na niego nie spojrziała. - Uśmiechnął się bezzębnymi wargami. - Weźmiesz go sobie na teściunia, Tuck?

- Tego się nie doczeka. Nie przepracowujcie się, panowie! Zachichotali z aprobatą.

Tucker wyminął ich i pchnął drzwi biura szeryfa. Była to duszna klitka wyposażona w żelazne biurko z demobilu, dwa obrotowe krzesła, odrapany bujany fotel, szafkę na broń, do której klucze Burke

nosił przy pasku, i błyszczący ekspres do kawy, prezent gwiazdkowy od pani Burke. Podłoga upstrzona była białymi kropkami farby, resztkami po ostatnim malowaniu.

Za biurkiem znajdowała się ubikacja wielkości szafy, a dalej wąski magazyn z metalowymi półkami i składaną pryczą. Burke i jego zastępca sypiali na niej, kiedy trafiał im się więzień na noc. O wiele jednak częściej ją wykorzystywali, kiedy trzeba było zejść żonom z oczu.

Tucker zastanawiał się często, jak Burke, syn niegdyś bogatego plantatora, może być szczęśliwy wypisując mandaty, przerywając bijatyki i zgarniając pijaczków.

Ale Burke sprawiał wrażenie zadowolonego i z pracy, i ze swojego siedemnastoletniego małżeństwa z dziewczyną, która zaszła z nim w ciążę, kiedy oboje byli w szkole średniej. Nosił odznakę szeryfa bez ostentacji i był wystarczająco uprzejmy, by zachować popularność w Innocence, gdzie ludzie nie lubią słuchać, czego nie wolno im robić.

Tucker zastał Burke'a za biurkiem, przeglądającego jakieś papiery. Sufitowy wentylator bełtał zawieszinę z dymu i stęchłego powietrza nad jego głową.

- Burke!

- Cześć, Tuck! Gdzie się po... - urwał ujrzawszy opuchniętą twarz Tuckera. - Niech mnie diabli, na co ty się nadziałeś?

Tucker uśmiechnął się krzywo, co okazało się błędem.

- Na pięści Austina.

Burke pokazał zęby w uśmiechu.

- Jak on wygląda?

- Della twierdzi, że gorzej. Byłem zbyt zajęty utrzymywaniem wnętrzości na miejscu, żeby to sprawdzić.

- Pewnie nie chciała zranić twoich uczuć. Tuck osunął się ostrożnie na obrotowe krzesło.

- Całkiem możliwe. Nie sądzę jednak, żeby cała ta krew na koszuli wyciekła ze mnie.

Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Edda Lou?

- Aha. - Tucker wsunął ostrożnie palce pod okulary i dotknął opuchniętej powieki. -

Jego zdaniem zbrukałem białą dziewczącą lilię, która nigdy przedtem nie widziała kutasa.

- Cholera!

- Z ust mi to wyjąłeś. - Tucker ustrzegł się przed następnym błędem, jakim byłoby wzruszenie ramion.  
- Rzecz w tym, że ona ma dwadzieścia pięć lat, a ja spałem z nią, a nie z jej staruszką.

- Miło mi to słyszeć.

Po obrzmiałych wargach Tuckera przemknął uśmiech.

- Mama Eddy Lou zamyka pewnie oczy i zanosi modły do Boga za każdym razem, gdy mąż postanowi się spuścić. - Tucker spoważniał nagle. Obraz Austina kopulującego ze swą kruchą, zastraszoną żoną był zbyt przykry, żeby się nad nim dłużej rozwodzić. - Widzisz, Burke, nie wiem, jak mam postąpić. - Wypuścił ze świstem powietrze, zrozumiałwszy, że istnieje więcej niż jeden powód, dla którego przyjechał dzisiaj do miasta. - Między tobą a Susie sprawy się jakoś ułożyły.

- Aha... - Burke wyciągnął chesterfieldy, wydlubał papierosa i przesunął paczkę w stronę Tuckera. - Byliśmy za młodzi i za głupi, żeby przypuszczać, iż mogą się nie ułożyć. -

Popatrzył, jak Tucker obcina koniuszek papierosa. - I kochałem ją. Wariacko. I nadal kocham. - Rzucił Tuckerowi zapalniczkę. - Ale łatwo nie było. Marvella urodziła się jeszcze przed maturą, przez dwa lata musieliśmy mieszkać u moich rodziców, zanim mogliśmy sobie pozwolić na własny kąt. A potem urodził się Tommy. - Pokiwał głową, wydmuchując dym. -

Trójka dzieci w pięć lat.

- Trzeba było trzymać rozporek zapięty. Burke pokazał mu zęby w uśmiechu.

- To dotyczy również ciebie.

- Sprawa wygląda tak; nie kocham Eddy Lou ani wariacko, ani w żaden inny sposób i wiem, że mam wobec niej obowiązki. Ale nie mogę się z nią ożenić, Burke. Po prostu nie mogę.

Burke strząsnął popiół do metalowej popielniczki, która kiedyś była niebieska, a teraz przybrała kolor sadzy.

- Byłbyś idiotą, gdybyś to zrobił. - Odchrząknął. Temat był śliski. - Susie twierdzi, że Edda od tygodni rozpowiadała, że zamieszka w wielkim domu ze służącymi. Susie mówi, że nie przywiązywała do tego wagi, ale inni, owszem. Zdaje się, że ta dziewczyna postanowiła zamieszkać w Sweetwater.

Był do cios dla męskiej dumy Tuckera Longstreeta i ułaskawienie dla jego sumienia.

Więc Eddzie Lou wcale nie chodziło o niego! Chodziło jej o Sweetwater. Ale przecież musiała zdawać sobie sprawę, że prędzej czy później on się o tym dowie.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że nie mogę się z nią skontaktować od tamtego popołudnia w restauracji. Austin napadł na mnie, bo myślał, że chowam ją u siebie w domu.

Pokazała się w mieście?

Powoli Burke zdusił papierosa w popielniczce.

- Nie przypominam sobie, żebym ją ostatnio widział.

- Prawdopodobnie zaszyła się u jakiejś koleżanki. - Czepiał się uporczywie tej myśli. -

Chodzi o to. Burke, że od czasu, kiedy znaleźliśmy Francie...

- Aha - Burke poczuł skurcz żołądka.

- Odkryłeś coś? O niej albo o Arnette?

- Nic. - Na myśl o porażce fala krwi napłynęła mu do twarzy. - Sprawę przejął szeryf okręgowy. Współpracowałem z lekarzem i chłopcami z policji stanowej, nie mają nic konkretnego. Jakaś kobieta została zaszlachtowana w Nashville w zeszłym miesiącu. Jeżeli znajdą powiązanie, sprawę przejmie FBI.

- Nie chrzań!

Burke skinął tylko głową. Nie podobała mu się myśl o policjantach federalnych węszących w jego miasteczku, odbierających mu chleb, patrzących na niego jak na wsiowego prostaczka, który nie potrafi nawet przyskrzynić pijaka.

- Martwię się tylko dlatego, że przypomniałem sobie Francie - ciągnął Tucker.

- Popytam ludzi. - Wstał, chcąc od razu zabrać się do roboty. - Sądzę, że jest tak, jak mówiłeś. Przyczaiła się gdzieś u koleżanki na parę dni, żeby wycisnąć z ciebie oświadczyzny.

- Aha. - Zadowolony, że udało mu się przerzucić ciężar na barki Burke'a, Tucker wstał

i pokuśtykał ku drzwiom. - Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz.

- Jasna sprawa. - Burke wyszedł razem z nim i objął spojrzeniem miasteczko. Miejsce, gdzie się urodził i wychował, gdzie po ulicach biegały jego dzieci, gdzie robiła zakupy jego żona. Gdzie mógł uniesieniem ręki pozdrowić każdego mieszkańca i zostać przez niego rozpoznany.

- Kogo my tu mamy! - Tucker westchnął cichutko patrząc, jak Caroline Waverly wysiada z BMW i kieruje się w stronę sklepu Larrsona. - Z nią jest tak, jak ze szklanką zimnej wody. Człowiekowi zachciewa się pić od samego patrzenia.

- Krewna Edith McNair?

- Aha. Wpadłem na nią wczoraj. Gada jak księżna i ma największe zielone oczy, jakie widziałeś w życiu.

Rozpoznając symptomy, Burke zachichotał.



- Masz dość problemów, synu.

- To moja słabość. - Kulejąc lekko, Tucker ruszył w stronę porsche'a. Nagle zmienił

zdanie i przeszedł przez ulicę. - Chyba kupię paczkę fajek.

Uśmiech Burke'ego znikł, kiedy szeryf skierował się w stronę domu noclegowego. On też pamiętał Francie. Jeżeli Edda Lou chciała zmusić Tuckera do małżeństwa, powinna siedzieć gdzieś na widoku, a nie zniknąć na dwa dni. Na myśl, że jej nie ma, poczuł gorzki smak w ustach.

Zadomawiam się tu, pomyślała Caroline idąc przez spalony słońcem trawnik w stronę drzew. Panie, które poznała u Larrsona tego popołudnia, były odrobinę bardziej wścibskie, niż Caroline mogła oczekiwać, ale zarazem niezwykle przyjacielskie i serdeczne. Dobrze wiedzieć, że kiedy poczuje się samotna, może poszukać towarzystwa w miasteczku.

Spodobała jej się zwłaszcza Susie Truesdale, która wstąpiła do sklepu, żeby kupić kartkę urodzinową dla swojej siostry w Natchez, i została na dwudziestominutową pogawędkę.

Oczywiście przyszedł tam również ten facet Longstreet, żeby poflirtować i porozsiewać trochę wdzięku Południowca. Ciemne okulary nie mogły ukryć faktu, że walczył, a kiedy przyznał, że faktycznie tak było, otrzymał gorące słowa pociechy od każdej obecnej kobiety.

To taki specyficzny gatunek faceta, pomyślała Caroline. Gdyby Luis dostał zanokcicy, kobiety ustawiłyby się w kolejce, żeby oddać krew.

Dzięki Bogu, że z nim skończyła, że skończyła ze wszystkimi mężczyznami. Wdzięk Tuckera nie robił na niej żadnego wrażenia.

Zwracał się do niej „panno Caroline”, przypomniawszy sobie z lekkim uśmiechem. Nie miała wątpliwości, że jego oczy śmieją się za ciemnymi szklami.

Szkoda tylko jego rąk, pomyślała przechodząc pod zwisającą nisko gałęzią. Są naprawdę piękne. Długie smukłe palce, szeroka dłoń. Aż żal było patrzeć na pościerane obrzmiałe kłykcie.

Zirytowana, stłumiła pierwszy odruch sympatii. W chwili gdy wyszedł, lekko utykając, kobiety zaczęły trajkotać o nim i o jakiejś Eddzie Lou. Caroline odetchnęła głęboko zapachem ziemi i nagranych słońcem liści. Uśmiechnęła się do siebie.

Wyglądało na to, że ugrzeczniony pan Longstreet wpakował się w niezłe tarapaty.

Jego dziewczyna zaszła w ciążę i głośno domagała się sakramentu. Na dodatek jej ojciec należał do tych facetów, którzy marzą tylko, by kogoś postrzelić.

Dotarł do niej zapach wody. Boże, jak daleko była od Filadelfii. Nigdy by nie przypuszczała, że będzie z taką przyjemnością słuchała ploteczek o małomiasteczkowym kobieciarzu!

Spędziła w Innocence miłe pół godzinki. Damy rozmawiały o dzieciach, przepisach kulinarnych, o

mężczyznach. O seksie. Roześmiała się cicho. Najwyraźniej seks był

ulubionym tematem pań, niezależnie od tego, czy pochodziły z Północy czy z Południa. Ale tutaj mówiono o tym tak otwarcie. Kto sypia z kim, a komu się już nie chce.

To pewnie sprawa klimatu, pomyślała Caroline, i usiadła na pniu, żeby popatrzeć na wodę i posłuchać szmerów wczesnego wieczoru.

Była zadowolona, że przyjechała do Innocence. Z dnia na dzień czuła się lepiej. Cisza, zabójcze słońce, które wysysało z człowieka całą energię, surowe piękno wody ocienionej gęstymi drzewami. Zaczynała nawet przywykać do nocnych odgłosów i wiejskich, atramentowych ciemności.

Poprzedniej nocy przespaała jednym tchem osiem godzin, po raz pierwszy od wielu tygodni. I obudziła się bez tego utrapionego bólu głowy. Samotność, spokój małego miasteczka i wiejski rytm życia działały na nią zbawiennie. Zaczęła zapuszczać korzenie, coś, na co nigdy jej nie pozwolono, Korzenie, które jej matka wrywała z taką zaciętością. Kto wie, może zacznie łowić ryby. Roześmiała się na tę myśl. Ciekawe, czy nadal smakowałby jej zębacz. Podniosła z ziemi kamyk i rzuciła go w wodę. Chlupnął tak zachęcająco, że wzięła następny, i jeszcze następna patrząc jak rozchodzą się koła na wodzie. Dojrzała płaski kamień na brzegu stawu i wstała, żeby go podnieść. Nadawał się idealnie do puszczania kaczek.

Przypomniała sobie nagle dziadka, jak stoi w tym samym miejscu i pokazuje jej, jak to robić.

Rozczulona tym wspomnieniem nachyliła się i ujęła kamyk w dwa palce. Dziwne, miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Gapi się na nią. Dreszcz przeleciał jej po plecach, jeszcze zanim dostrzegła kątem oka biały kształt w wodzie.

Sztywno odwróciła głowę w tamtym kierunku. I zamarła. Nie mogła nawet krzyknąć.

Zwrócone na nią. oczy nic już nie widziały. Caroline dostrzegła tylko twarz podskakującą na powierzchni czarnej wody i absurdalny zwój jasnych włosów, które wplątały się w korzenie starego drzewa.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Powoli przychodziła do siebie. Udało jej się nawet utrzymać w żołądku trochę ciepławej wody, którą piła. Fale mdłości cofały się, jeżeli oddychała głęboko po każdym łyku.

Napiła się jeszcze trochę, wciągnęła głęboko powietrze i czekała, aż Burke Truesdale wróci znad stawu.

Nie poprosił, żeby z nim weszła do środka. Wystarczył jeden rzut oka na jej twarz, by wiedzieć, że nie ujdzie dziesięciu kroków. Nadal nie potrafiła sobie przypomnieć, jak dostała się do domu, choć musiała tego dokonać, skoro siedzi na stopniach werandy i małymi łykami popija wodę.

Zgubiłam but, zauważyła z roztargnieniem. Śliczny biało - zielony mokasynek. Kupiła je w Paryżu parę miesięcy temu. Zamglonym wzrokiem spoglądała w dół na brudną stopę.

Spomiędzy palców wystawały żółta trawy. Marszcząc w skupieniu brwi, zdjęła drugi but.

Wydało się jej ważne, żeby mieć obie stopy białe. Przecież ktoś może ją zobaczyć i pomyśleć, że oszalała. Siedzi na werandzie w jednym buciku. A w jej stawie pływa trup.

Kiedy żołądek skurczył się, grożąc, że wyrzuci z siebie nawet tę odrobinę wody, Caroline wsadziła głowę między kolana. Och, jak ja nie cierpię być chora, pomyślała z nienawiścią, jaką odczuwać może tylko ktoś, kto wyzdrowiał niedawno po długiej chorobie.

Zaciskając pięści, użyła całej siły woli, by opanować mdłości. Jakim prawem czuje się chora, przerażona i ogłuszona! Przecież żyje, prawda? Żyje, jest cała, zdrowa i bezpieczna.

Nie tak, jak ta biedna kobieta w stawie.

Ale trzymała głowę między kolanami, czekając aż żołądek się uspokoi i ustanie szum w uszach.

Podniosła głowę, słysząc warkot samochodu. Otarła twarz drżącą dłonią i patrzyła, jak zakurzona półciężarówka przedziera się przez zarośniętą aleję.

Muszę przyciąć te winorośla, pomyślała. Słyszała, jak skrobą porysowany lakier samochodu. W szopie znajdują się pewnie jakieś nożyce ogrodowe, najlepiej zrobić to z samego rana, zanim zaczną doskwierać upały.

Patrzyła tępo, jak samochód parkuje obok terenowca szeryfa. Z wozu wysiadł żyłasty człowieczek o indyczej szyi, obwiązanej czerwonym krawatem. Miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami, a na głowie biały kapelusz, który nie mógł zakryć szopy włosów ufarbowanych na kruczoczarny kolor. Fałdy skóry wisiały mu koło ust i oczu, jakby kiedyś był gruby i nagle siłacza. Miał na sobie czarne portki na czerwonych, fikuśnych szelkach i błyszczące sznurowane buty, które nasunęły Caroline myśl o wojsku. Ale sfatygować skórzana torba zdradzała jego profesję.

- Panna Caroline, jak przypuszczam? - Piskliwy głosik rozbawiłby ją w każdych innych okolicznościach. - Jestem doktor Shays - oznajmił stawiając stopę na najniższym stopniu werandy. - Opiekowałem się pani dziadkami przez ostatnie dwadzieścia pięć lat.

Caroline skinęła ostrożnie głową.

- Miło mi pana poznać.

- Mnie panią tym bardziej. - Przyjrzał się jej twarzy i rozpoznał symptomy wstrząsu nerwowego. - Burke do mnie zadzwonił. Powiedział, że tu jedzie.

Shays wydobył wielką białą chustkę i otarł twarz i szyję. Choć potrafił działać szybko, kiedy zachodziła taka potrzeba, powolność jego ruchów nie była jedynie wynikiem lekarskich nawyków. Po prostu wolał się nie spieszyć.

- Cholernie gorąco, prawda?

- Tak.

- Może wejdziemy do środka? Tam jest chłodniej.

- Nie, wydaje mi się... - zerknęła bezradnie w stronę drzew. - Powinnam poczekać. On poszedł tam, żeby... Rzucałam kamienie do wody. Widziałam tylko jej twarz.

Usiadł na stopniu i ujął Caroline za rękę. Z wprawą, jaką daje czterdziestoletnia praktyka, zbadał jej puls.

- Czyją twarz, kochanie?

- Nie wiem.

Kiedy pochylił się i otworzył torbę, Caroline zeszywniała. Miesiące obcowania z lekarzami i błyszczącymi, cienkimi igłami, nadwerężyły jej system nerwowy. Zerwała się ze stopni i, choć bardzo się starała, nie potrafiła opanować drżenia głosu.

- Nic mi nie jest! To ona potrzebuje pomocy. Musi pan jej jakoś pomóc!

- Nie wszystko naraz, skarbie. - Aby okazać dobrą wolę, zatrzasnął wieko walizeczki.

- Może więc usiądzie pani tutaj i opowie mi o wszystkim? Ładnie i składnie. Wtedy może zrozumiemy, co się tu dzieje.

Nie usiadła, ale opanowała się na tyle, by zrobić kilka głębokich wdechów. Nie chciała wylądować z powrotem w szpitalu. Nie mogła sobie na to pozwolić.

- Przepraszam. Zdaje się, że mówię bez sensu.

- No cóż, zdarza się w najlepszej rodzinie. Większość ludzi, których znam, przez pół

życia mówi z sensem, a przez drugie pół bełkocze. Powiedz mi tylko, złotko, co tam zobaczyłaś.

Myślę, że ona utonęła - powiedziała Caroline spokojnym, rzeczowym tonem. - - W

stawie. Widziałam tylko jej twarz... - urwała próbując odepchnąć od siebie ten obraz, zanim wpędzi ją znowu w histerię. - Obawiam się, że nie żyje.

Zanim Shays zdążył zadać następne pytanie, z lasku wyłonił się zastępca szeryfa Carl Johnson i ruszył przez wyrudziały od słońca trawnik. Jego zwykle nieskazitelny mundur nosił

ślady bezpośredniego kontaktu z ziemią i wodą. Mimo to kroczył z wojskową precyzją, władczą postać, osiemdziesiąt kilo stalowych mięśni i poczucia władzy. Jego połyskliwa skóra miała kolor orzecha.

Był człowiekiem, który cenił sobie pozycję stróża prawa i szczyił się swoim opanowaniem. W tej

chwili walczył ze wszystkich sił o ocalenie reputacji twardziela, choć marzył tylko o tym, by znaleźć jakieś ustronne miejsce i zrzucić lunch.

- Doktorze!

- Carl!

W ten sposób panowie wymienili podstawowe informacje. Mamrocząc przekleństwa, Shays otarł chustką pot z twarzy.

- Panno Waverly, muszę skorzystać z pani telefonu.

- Oczywiście. Czy może mi pan powiedzieć... - Jej spojrzenie pobiegło znów w stronę zagajnika, ku temu, co skrywały drzewa. - Czy ona nie żyje?

Carl wahał się tylko przez chwilę. Zsunął czapkę, odsłaniając sztywne czarne włosy ostrzyżone na jeża. Przypominały świeżo skoszony trawnik.

- Tak, proszę pani. Szeryf porozmawia z panią, jak tylko będzie to możliwe.

Doktorze?

Shays wstał z ciężkim westchnieniem.

- Telefon jest w holu - zaczęła Caroline wchodząc na stopnie. - Panie...

- Johnson, proszę pani. Carl Johnson.

- Panie Johnson, czy ona utonęła?

Rzucił Caroline szybkie spojrzenie, otwierając przed nią drzwi.

- Nie, proszę pani. Nie utonęła .

Burke siedział na pniu, odwrócony tyłem do ciała. Obok leżał polaroid. Szeryf potrzebował chwili na odzyskanie zwykłego spokoju. Chwili na odzyskanie jasności widzenia i uspokojenie rozhuśtanego żołądka.

Widział już śmierć w swoim życiu, od dzieciństwa znał jej wygląd, zapach. Przez wiele lat polował wspólnie z ojcem, najpierw dla przyjemności, Potem, kiedy farma podupadła, żeby wyżywić rodzinę.

Widział śmierć wielu ludzi.

Zaczął się od samobójstwa ojca, który powiesił się w stodole, po utracie farmy. I czyż właśnie tamta śmierć nie wytyczyła kierunku jego dalszego życia, doprowadzając go nad staw McNairów, do ciała. Eddy Lou leżącego za pniem. Po utracie farmy, obarczony żoną i dwójką dzieci, podjął pracę jako zastępca szeryfa, potem jako szeryf. Mierziła go bezsensowność śmierci ojca i okrucieństwo

ziemi, która tę śmierć spowodowała. Syn bogatego niegdyś człowieka, zdecydował się poświęcić swoje zdolności, jakiegokolwiek by one były, walce o sprawiedliwość.

Ale nawet odkrycie ciała ojca w stodole, ciche skrzywienie liny ocierającej się o grubą belkę, nie przygotowało go na to, co znalazł w stawie McNairów.

I na wyciąganie tego znaleziska z wody.

To zabawne, pomyślał, zapalając papierosa, nigdy specjalnie nie lubił Eddy Lou. Było w niej coś ordynarnego, chytrego, co dławilo każdy odruch współczucia, jakie mógłby odczuwać dla dziecka, które miało nieszczęście urodzić się córką Austina Hatingera.

Ale teraz pamiętał tylko, jak wyglądała wiele, wiele lat temu, w jakieś odległe święta Bożego Narodzenia, kiedy natknęli się na nią z Susie w mieście. Edda Lou nie miała wtedy więcej niż dziesięć lat, mysie włosy opadały jej w strąkach na plecy, poplamiona sukienka miała oberwany zakład i była dłuższa z przodu. Edda Lou stała z nosem przyciśniętym do szyby sklepu Larssona i wpatrywała się w lalkę w niebieskiej pelerynie i brylantowym diademie we włosach.

Była tylko małą dziewczynką, pragnącą uwierzyć w Świętego Mikołaja.

Odwrócił głowę na odgłos kroków.

- Doktorze.

- Chryste!

Shays położył ciężką dłoń na jego ramieniu, po czym podszedł do ciała. Śmierć nie była dla niego nowiną, wiedział już, że zabiera nie tylko starych. Pogodził się z myślą, że umierają młodzi, na skutek choroby czy nieszczęśliwych wypadków. Ale ta jatka, to celowe zniszczenie ludzkiej istoty przekraczało jego zdolności pojmowania.

Ujął ostrożnie bezwładną dłoń i obejrzał otarty przegub. Te same zdradzieckie ślady widniały na kostkach dziewczyny. Pierścień otartej skóry wstrząsnął nim bardziej niż rany na ciele.

- Była jednym z pierwszych dzieci, jakie odebrałem po powrocie do Innocence. - Z

westchnieniem zrobił to, przed czym Burke się wzdragał. Zamknął Eddzie Lou oczy. - Ciężko rodzicom grzebać dzieci. Ale, Jezusie, lekarzom też.

- Nieźle ją poturbował - wykrztusił Burke. - Tak samo jak tamte dwie. Podniósł aparat.

Będą potrzebowali więcej zdjęć, poza tym musi przecież coś zrobić, zanim przyjedzie koroner. Gniew ścisnął go za gardło.

- Była przywiązana do tego drzewa. Jest na nim zakrzepła krew, a na jej plecach widać ślady zadrapań. Prawdopodobnie od kory. Użył sznura do suszenia bielizny. Jeszcze go trochę zostało. - Ponownie opuścił aparat. W jego oczach płonęła furia. - Co ona tu robiła, do jasnej cholery? Jej

samochód stoi w mieście.

- Nie wiem, Burke. W ogóle cholernie niewiele wiem. Otrzymała cios w tył głowy. -

Shays dotykał ciała tak, jakby dziewczyna jeszcze żyła i mogła poczuć na sobie jego dłonie. -

Może ją tu zaciągnął. Może przyszła z nim dobrowolnie i coś go zdenerwowała.

Opanowując z trudem nerwy, Burke przytaknął skinieniem głowy. Wiedział, podobnie jak wszyscy w tym mieście, kogo zdenerwowała Edda Lou.

Caroline przemierzała werandę wzdłuż i wszerz. Gdyby potrafiła zebrać choć trochę odwagi, poszłaby nad staw i zażądała wyjaśnień. Nie była pewna, jak długo jeszcze zniesie oczekiwanie. Ale wiedziała, że nie przekroczy pierwszej linii drzew.

Przed dom zajechał czarny sedan, a tuż za nim biała ciężarówka. Koroner, pomyślała.

Kiedy z ciężarówki wysiedli mężczyźni z noszami i czarnym workiem, odwróciła głowę. Ten worek, długi czarny worek, tak niewiele się różniący od worków na śmieci, uświadomił jej aż nazbyt wyraźnie, że to, co pływało w stawie, nie było osobą, kobietą, ale jedynie ciałem, które już nie cierpi i nie dba o to, w czym je wywiozą.

Ucierpią żywi. Caroline zastanawiała się, kogo zostawiła ta kobieta, by cierpieć, rozpaczał i stawiał sobie pytania bez odpowiedzi.

Rozpaczliwie zapragnęła zagrać, zagrać coś tak pełnego pasji, by wszystko inne rozplynęło się w nicość. Ciągle mogła to robić, dzięki Bogu, ciągle mogła grać. Uciec we własny świat, kiedy innej ucieczki już nie było.

Oparta o barierkę, przymknęła oczy i grała w głowie, wypełniła mózg muzyką tak wszechogarniającą, że nie usłyszała następnego samochodu, który przedarł się przez zarośniętą aleję.

- Hej tam! - Josie trzasnęła drzwiczkami i zajadając loda wiśniowego na patyku, ruszyła w stronę werandy. - Hej! - zawołała jeszcze raz i uśmiechnęła się przyjaźnie, kiedy Caroline odwróciła ku niej głowę. - Organizujesz jakiś zjazd? - Josie wylizała patyk do czysta. - Widziałam, jak skręcają tu wszystkie te samochody i postanowiłam zobaczyć, co jest grane.

Caroline patrzyła na nią nie widzącym wzrokiem. Obecność kogoś tak żywiołowego, pełnego energii w miejscu, gdzie jeszcze unosiła się śmierć, wydała się jej dziwna, niemal nieprzyzwoita.

- Słucham? - powiedziała wyniośle.

- Och, proszę się nie obrażać, złotko. - Ciągle uśmiechnięta Josie weszła na schody. -

Jestem po prostu wścibska. Nie mogę znieść, kiedy coś się dzieje, a ja o tym nie wiem. Josie Longstreet. - Wyciągnęła dłoń, jeszcze odrobinę lepka po lodach.

- Caroline. Caroline Waverly. - Wymieniły uścisk dłoni i Caroline pomyślała, że normy dobrego wychowania są jak wady wrodzone. Nie można od nich uciec.

- Masz tu jakiś problem, Caroline? - Josie położyła patyk po lodzie na poręczy. -

Widziałam samochód Burke'a. Wspaniały, prawda? Mam na myśli Burke'a, oczywiście. Nie zdradził żony ani razu przez siedemnaście lat z górą. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto brałby małżeństwo tak cholernie poważnie. O, mamy tu również naszego doktora - zauważyła obrzucając wzrokiem zatłoczony podjazd. - To dopiero persona. Te jego krucze włosy ulizane do tyłu jak u gwiazdora rockowego z lat pięćdziesiątych? Mówi trochę jak Myszka Micky, nie sądzisz? Caroline uśmiechnęła się blado.

- Tak. Przepraszam, może zechciałabyś usiąść?

- Nie zawracaj sobie mną głowy. - Josie wyjęła z torebki papierosa wraz ze złotą zapalniczką. - Masz mnóstwo gości, tyle że nie widać żywego ducha.

- Są... - Caroline zerknęła w stronę drzew. Przełknęła głośno ślinę. - Idzie szeryf.

Josie zmieniła postawę niemal niedostrzegalnie, wyprostowała plecy i uniosła lekko podbródek. Prowokujący uśmiech, którym powitała Burke'a, przybladł, kiedy ujrzała jego oczy.

- No wiesz, Burke, jestem zazdrosna. Odwiedzasz Caroline, a do Sweetwater nawet nie zajrzysz.

- Sprawy zawodowe, Josie.

- Patrzcie państwo!

- Panno Waverly, muszę z panią porozmawiać. Czy możemy wejść do środka?

- Oczywiście.

Josie chwyciła go za ramię. Kpiący wyraz zniknął z jej twarzy.

- Burke?

- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać. - Wiedział, że powinien kazać jej odejść, ale pomyślał, że może Caroline będzie potrzebowała pomocy kobiety, kiedy on z nią skończy. -

Mogłabyś poczekać? Posiedzieć z nią trochę?

Dłoń spoczywająca na jego ramieniu zadrżała.

- Jest aż tak źle?

- Dosyć. Idź do kuchni i zrób nam coś zimnego do picia. Byłbym wdzięczny, gdybyś pozostała tam, dopóki cię nie zawołam.



Caroline wskazała mu miejsce we frontowym salonie, na pasiastej otomanie. Mały zegar z kukułką, który nakręcała skrupulatnie od chwili swojego przyjazdu, cykał radośnie.

Czuła zapach politory do mebli i własnego potu.

- Panno Waverly, jest mi strasznie przykro, wiem, że jest pani wstrząśnięta, ale muszę zadać parę pytań. Najlepiej zrobić to od razu.

- Rozumiem. - Nie, nie rozumiem, pomyślała gorączkowo. Nie mogę rozumieć. Nigdy dotąd nie znalazłam trupa... - Czy pan wie... Czy pan wie, kto to jest?

- Tak.

- Pański zastępca... Johnson? - Pocierała dłonią szyję, jakby próbowała wyzwolić słowa, które uwięzły jej w gardle. - Powiedział, że ona nie utonęła.

- Nie, proszę pani. - Burke wyjął z kieszeni ołówki i notatnik. - Przykro mi, że muszę to pani mówić, ale ona została zamordowana.

Skinęła tylko głową. Nie była zaskoczona. Wiedziała o tym od chwili, gdy spojrzała w szeroko otwarte, puste oczy.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Chcę, żeby powiedziała mi pani o wszystkim, co widziała czy słyszała w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

- Ale ja nic nie wiem, naprawdę. Dopiero co przyjechałam i próbowałam jakoś się zadomowić, zorganizować.

- Rozumiem. - Burke zsunął kapelusz na tył głowy, żeby otrzeć przedramieniem pot z czoła. - Niech pani sobie przypomni. Może słyszała pani samochód jadący na swojej drodze albo jakiś dźwięk, który wydał się pani dziwny?

- Nie... To znaczy, jestem przyzwyczajona do odgłosów miasta, tu wszystkie dźwięki brzmią dziwnie. - Przesunęła drżącą dłonią przez włosy. Wszystko będzie teraz dobrze, powiedziała sobie, kiedy już uruchomili mechanizm pytań i odpowiedzi, prawa i porządku.

- Cisza wydaje się taka głośna, rozumie pan? Ptaki i owady. Sowy. - Urwała i zbladła jak ściana. - Poprzedniej nocy, nie, pierwszej nocy po przyjeździe... O, Boże!

- Spokojnie, powolutku, proszę się nie spieszyć.

- Wydawało mi się, że słyszę krzyk kobiety. Spałam i ten krzyk mnie obudził. Potem przypominałam sobie, gdzie jestem i to, co babcia mówiła o sowach. - Zamknęła oczy wobec ogromu swojej winy. - Zasnęłam. To mogła być ona, wołała o pomoc. A ja po prostu zasnęłam.

- Albo mogła to być sowa. Nawet jeżeli było to wołanie o pomoc, panno Waverly, niewiele mogła pani zrobić. O której godzinie się pani obudziła?

- Niestety, nie mam pojęcia. Nie spojrzałam na zegarek.

- Chodzi pani często nad staw?

- Byłam parę razy. Dziadek zabrał mnie tam kiedyś na ryby.

- Sam złapałem w nim kilka niezłych sztuk - powiedział Burke tonem pogawędki. -

Pali pani?

- Nie. - Przypomniawszy sobie o obowiązkach gospodyni, rozejrzała się za popielniczką. - Proszę się nie krępować.

Burke wyjął paczkę chesterfieldów, ale myślał o niedopałku, który znalazł w pobliżu zwałonego pnia. Edda Lou również nie paliła.

- Nie zauważyła pani, żeby ktoś się tu kręcił? Nikt nie wpadł z wizytą?

- Jak już mówiłam, dopiero co przyjechałam. Ale rzeczywiście, wpadłam na kogoś zaraz pierwszego dnia. Powiedział, że babcia pozwalała mu tam Przychodzić i patrzeć na wodę.

Twarz Burke'a nie zdradzała żadnych uczuć, ale zrobiło mu się mdło.

- Wie pani, kto to był?

- Powiedział, że nazywa się Longstreet. Tucker Longstreet.

Tucker leżał w hamaku. Przykładał zimną puszkę piwa do obrzmiałego oka i snuł

ponure rozważania. Wrażenie, że stratowały go konie, minęło. Teraz czuł się tak, jakby go najpierw przeciągnęły parę kilometrów po ziemi. Gorzko żałował swojej decyzji, by stawić czoło Austinowi. Byłoby o niebo lepiej, gdyby zaszył się w Greenville albo nawet w Vicksburgu na parę dni. Co, u licha, podsunęło mu myśl, że duma i uczciwość warte są śliwy pod okiem?

Jeszcze gorsza była świadomość, że Edda Lou wyleguje się gdzieś i bawi zamieszaniem, które sama wywołała. Im dłużej o tym myślał, tym większej nabierał

pewności, że Austin wygarbował mu skórę właściwie bez powodu. Edda Lou nie robi sobie skrobanki. I to wcale nie dlatego, że powstrzymają ją przed tym względy moralne czy nagle rozbudzony instynkt macierzyński. Ale pozbywszy się dziecka, nie będzie już miała haka na Tuckera Longstreeta.

Haka, pomyślał ponuro, na którym będzie wisiał przez resztę swojego życia.

Nie tak nie udupia człowieka jak rodzina, dumał dalej. Jego krew połączy się z krwią Eddy Lou. Wszystko, co dobre i złe w nich obojgu, ulegnie przemieszanu i jedynie Bóg, a może los czy zwyczajnie czas zdecyduje, które z cech przeważą.

Pociągnął spory ryk piwa i przyłożył sobie puszkę z powrotem do oka. Nie było sensu myśleć o czymś, co wydarzy się dopiero za wiele miesięcy. Miał dość aktualnych problemów.

Cierpiał i gdyby się nie wstydził całej tej historii, zadzwoniłby po doktora Shaysa.

Żeby się odprężyć, postanowił znaleźć sobie przyjemniejszy temat rozważań.

Caroline Waverly. Była jak smukła czarka mrożonego kremu, z rodzaju tych, które chłodzą od środka i rodzą apetyt na więcej. Uśmiechnął się pod nosem, przypomniawszy sobie wyniosłe spojrzenie, jakim obrzuciła go dzisiaj u Larrsona.

Spojrzenie królowej, która potknęła się o wieśniaka. Chryste, to spojrzenie sprawiło, że chciał ją z miejsca poderwać.

Chciał, ale nie zamierzał. Chwilowo miał dość kobiet. Wygarbowano mu skórę, szczęście jakby go opuściło. Ale mimo wszystko przyjemnie było pomyśleć o poderwaniu Caroline Waverly. Podobał mu się jej głos, miękki i przytłumiony, tak różny od pozy małej niedotykalskiej.

Przez chwilę zastanawiał się, co musiałby zrobić, by zdecydowała się porzucić tę pozę. Usnął z uśmiechem na ustach.

- Tuck!

Mruknął coś i próbował zepchnąć rękę, która potrząsała jego ramieniem.

Nagły ruch wywołał falę ostrego bólu. Zaklął i otworzył oczy. - Jezu, czy człowiek nie może mieć tutaj odrobiny spokoju? - Zamrugał oczami na widok Burke'a. Cienie wydłużyły się i jego pierwszą myślą było, że Della nie zawołała go na kolację. Drugą, że żołądek boli go tak, że może to i lepiej.

- Pamiętasz, kiedy bracia Bonny i ich zwariowany kuzyn spuścili nam łomot w Spook Hollow?

Burke trzymał dłonie w kieszeniach.

- Bo co?

- Byliśmy wtedy wyrostkami. - Tucker rozprostował obolałe dłonie. - Nie zdaje mi się, żeby to bolało tak jak teraz. Może wejdiesz do domu i przyniesiesz nam po piwie?

- Jestem na służbie. Tucker. Muszę z tobą porozmawiać.

- Możesz rozmawiać, popijając piwo. - Ale kiedy przyjrzał się twarzy Burke'a, uśmiech znikł z jego twarzy. - O co chodzi?

- Stało się coś złego. Bardzo złego. Wiedział, jakby to już zostało powiedziane.

- Edda Lou, prawda? - Zanim Burke zdołał odpowiedzieć, Tucker zerwał się na nogi i zaczął biegać w tę i z powrotem po trawie przeciągając rękoma przez włosy.

- O Jezu, Jezu Chryste!

- Tuck...

- Daj mi chwilę. Niech to cholera! - Chory z żalu, wściekły, uderzył pięścią w pień drzewa. - Jesteś pewien?

- Aha. To samo co z Anette i Francie.

- Święty Boże! - Oparł czoło o drzewo i skupił się na tym, by odegnać upiorny obraz.

Nie kochał jej, doszedł do punktu, kiedy jej nawet nie lubił, ale dotykał jej kiedyś, smakował ją, był w niej. Wstrząsnął nim nagły żal, nie tylko za nią, ale i za dzieckiem, którego nawet nie chciał.

- Powinieneś usiąść.

- Nie. - Odwrócił się od drzewa. Twarz mu się zmieniła. Malował się na niej twardy, groźny wyraz, który Burke widział zaledwie parę razy. - Gdzie ją znalazłeś?

- W stawie McNairów, parę godzin temu.

- To około kilometra stąd. - Pomyślał najpierw o siostrze, o Delii, o zapewnieniu im ochrony. Potem o Caroline. - Ona... Caroline... Nie Powinna być tam sama.

- Teraz jest z nią Josie. I Carl. - Burke przeciągnął dłonią po warzy. - Josie namówiła ją na wypicie jabłeczniaka panny Edith. To właśnie ona, znaczy się Caroline, znalazła ciało.

- Kurwa! - Usiadł ponownie na hamaku i ukrył twarz w dłoniach. - Co my zrobimy, Burke? Co my, do cholery, zrobimy?

- Musze zadać ci parę pytań, Tuck, ale zanim to zrobię, chcę ci powiedzieć, że widziałem się z Austinem. Musiałem mu powiedzieć. Wyciągnął paczkę chesterfieldów w stronę Tuckera. - Powinieneś na siebie uważać, stary.

Tucker wziął papierosa.

- Chyba nie myśli, że to ja skrzywdziłem Eddę Lou? Na litość boską! Potarł zapałkę i patrzył, jak dopala mu się w palcach. - Nie myślisz chyba... - Upuścił ją i zerwał się na nogi. -

Do cholery, Burke, znasz mnie przecież.

Burke pożałował, że nie przyjął tego piwa czy czegośkolwiek, co zmieniłoby gorzki smak w ustach. Tucker był jego przyjacielem, niemal bratem. I pierwszym podejrzanym.

- To, że cię znam, nie ma tu nic do rzeczy.

Tucker poczuł pierwsze uderzenie paniki, bardziej bolesne niż jakikolwiek cios w żołądek.

- Niech to wszyscy diabli!

- Wykonuję tylko swoją pracę, Tucker. To mój obowiązek. - Wyjął notatnik, czując, jak żal ściska mu serce. - Kłóciłeś się publicznie z Eddą Lou przed paroma dniami. Zaraz potem zniknęła.

Tucker potarł następną zapałkę. Tym razem przypalił papierosa i zaciągnął się dymem.

- Przeczytasz mi teraz moje prawa i założysz kajdanki, czy jak? Dłoń Burke'a zacisnęła się w pięść.

- Do cholery, Tucker, spędziłem dwie godziny patrząc, co zrobiono tej dziewczynie.

Nie jest to odpowiednia chwila, żeby mnie prowokować.

Tucker uniósł pojednawczo dłonie, ale było w tym geście zbyt wiele sarkazmu, by można go uznać za deklarację pokojową.

- Nie przeszkadzaj sobie, Burke. Wykonuj swoją cholerną pracę.

- Chce wiedzieć, czy widziałeś się z Eddą lub rozmawiałeś z nią po tym jak wyszedłeś z restauracji.

- Przecież byłem u ciebie w biurze dzisiaj rano i powiedziałem, że nie.

- Co robiłeś po wyjściu z restauracji?

- Poszedłem do... - urwał, blednąc. - Chryste, poszedłem nad staw McNairów. - Zaczął

podnosić papierosa do ust i zastygł w połowie gestu. Jego brązowe oczy połyskiwały w gasnącym świetle dnia. - Ale ty jut o tym wiesz, prawda?

- Tak. Ale cieszę się, że mi o tym sam powiedziałeś.

- Pieprz się.

Burke chwycił go za przód koszuli.

- Posłuchaj mnie. Nie podoba mi się to, co muszę zrobić. To jest jednak nic, zupełnie nic, w porównaniu z tym, co robi FBI, kiedy tu zjedzie. Mamy trzy zamordowane kobiety, pokrajane na plasterki. Edda Lou grozi ci publicznie, a dwa dni później zostaje znaleziona martwa. Mam świadka, który widział cię na miejscu zbrodni, może na parę godzin przed jej dokonaniem.

Tucker poczuł pierwsze liźnięcie strachu.

- Wiesz, że chodziłem nad staw McNairów setki razy. Podobnie jak ty. - Odepchnął rękę Burke'a. - Fakt, że byłem wkurwiony na Eddę Lou, nie czyni ze mnie mordercy. Co z Arnette, z Francie?

Burke zacisnął szczęki.

- Umawiałeś się z nimi, z wszystkimi trzema.

- Jezu, Burke! - Tym razem słowa Burke'a nie wywołały gniewu, lecz wstrząs. Tucker usiadł, powoli, macając za sobą ręką. - To niemożliwe, żebyś w to wierzył. Po prostu niemożliwe.

- To, w co wierzę, nie ma nic wspólnego z pytaniami, które muszę ci zadać. Muszę wiedzieć, gdzie byłeś przedwczorajszej nocy.

- No cóż, zgrywał się do czysta. W remika. - Josie podeszła do nich wolno. Była blada, ale jej oczy patrzyły twardo. - Przesłuchujesz mojego brata, Burke? Zaskakujesz mnie.

- Weszła między nich i położyła dłoń na ramieniu Tuckera.

- Mam zadanie do wykonania, Josie.

- Więc bierz się do roboty. Dlaczego nie szukasz kogoś, kto nienawidzi kobiet, zamiast czepiać się faceta, który darzy je taką sympatią jak Tucker.

Tucker nakrył ręką jej dłoń.

- Myślałem, że jesteś z Caroline.

- Susie i Marvella z nią zostały. - Wzruszyła ramionami. - Zebrało się tam ciut za dużo kobiet jak na mój gust. Zresztą ona świetnie sobie radzi bez nich. Może pojechałbyś do domu, Burke, i sprawdził, czy twoi chłopcy nie roznieśli chałupy na strzępy.

Zignorował i tę sugestię, i gniewne błyski w oczach Josie.

- Więc grałaś z Tuckerem w karty.

- To chyba nie jest karalne? - Wyjęła Tuckerowi papierosa z ręki i zaciągnęła się dymem. - Skończyliśmy o drugiej, może wpół do trzeciej. Tucker trochę sobie popił i przegrał

trzydzieści osiem dolarów.

- To świetnie - Burke niemal ochrypl z nadmiaru ulgi. - Przykro mi, że musiałem o to spytać, ale kiedy zjadą tu federalni, z nimi też będziesz musiał rozmawiać. Pomyślałem, że ten pierwszy raz ze mną będzie łatwiejszy.

- Nie był. - Tucker wstał. - Co z nią zrobicie?

- Zabierzemy do zakładu pogrzebowego Palmera, przynajmniej na tę noc, dopóki nie przyjadą federalni. - Wepchnął notatnik z powrotem do kieszeni. - Schodź Austinowi z drogi, jak długo się da.

Tucker pomacał się mimochodem po żebrach.

- Tym nie musisz się martwić. - Uśmiechnął się kwaśno. Nieszczęśliwy, speszony Burke gapił się na trzy rododendrony.

- Pójdę już. Dobrze by było, gdybyś wpadł jutro do mnie do biura i porozmawiał z federalnymi.

- Jasne. - Tucker odetchnął głęboko, kiedy Burke oddalił się o parę kroków. - Hej! -  
zawołał za nim.

Burke obejrzał się i Tucker uśmiechnął się półgębkiem.

- Co powiesz na to piwo?

- Dzięki, ale lepiej będzie, jak zajrzę do moich dzieciaków - powiedział Burke z ulgą.

- Jestem chorym człowiekiem, Tucker - stwierdziła Josie z westchnieniem. - Facet wkurwił mnie maksymalnie, ale nadal chcę wskoczyć mu w spodnie.

Tucker roześmiał się krótko i oparł policzek o czubek jej głowy.

- Co za refleks, kochanie. Słynny refleks Longstreetów. - Otoczywszy ją ramieniem, poprowadził w stronę domu. - Josie, nie żebym chciał podważać twoją wiarygodność, ale od tygodni nie graliśmy w remika.

- Naprawdę? - Wypchnęła policzek językiem. - No wiesz, dni są takie podobne do siebie, człowiekowi ciężko się połapać. - Odchyliła się w tył, żeby spojrzeć mu w twarz. -

Dzięki temu wszystko wydaje się prostsze.

- Może. - Ostrożnie ujął jej twarz w swoje dłonie. Potrafił zajrzeć w duszę człowieka, jeżeli bardzo tego chciał. Teraz chciał zajrzeć w duszę Josie. - Nie myślisz, że to ja ją zabiłem.

- Skarbie złoty, spędziłam z tobą niemal całe życie i wiem, że odchorowujesz śmierć każdego komara. Masz za dużo serca, nawet wtedy gdy miota tobą złość. - Ucałowała go w oba policzki. -  
Wiem, że nikogo nie zabiłeś. I jeżeli to ma nam pomóc, dlaczego nie powiedzcie, że graliśmy tej nocy w karty? Kiedyś przecież graliśmy.

Tucker zawahał się. W rozumowaniu Josie dostrzegał jednak pewne luki. Potem wzruszył ramionami. Kłamstwo było bardziej prawdopodobne niż prawda, która wyglądała tak, że zasnął w łóżku, czytając Keatsa.

Co powiedzieliby chłopaki w „Chat'N Chew” na wieść, że czyta poezje. w dodatku dobrowolnie?!

I kto by w to uwierzył?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Wieść o zamordowaniu Eddy Lou Hatinger rozniosła się jak ogień w suchym lesie, obiegła rozlewiska, rynek i farmy, przetoczyła się przez Market Street, i dalej, aż do Hog Maw Road, gdzie Happy Fuller omawiała wydarzenie ze swoją drogą przyjaciółką i partnerką do gry w bingo, Birdie Shays.

- Henry nie chce o tym rozmawiać - powiedziała Birdie wachlując się papierowym wachlarzem z napisem „Kościół Odkupienia”. - Burke Truesdale zadzwonił po niego gdzieś koło drugiej, a wrócił dobrze po piątej. - Srogooki Jezus na wachlarzu migał coraz prędzej w jej dłoni. - Wrócił do domu blady i spocony, powiedział, że Edda Lou Hatinger nie żyje i żebym odwołała wszystkie wieczorne wizyty. Powiedział, że została zamordowana tak samo jak Arnette i Francie i że nie wyduszę z niego ani słowa więcej na ten temat.

- Bóg nas kocha. - Happy omiotła wzrokiem swoje schludne podwórko, wystawiając się na podmuchy wachlarza Birdie. - Ku czemu zmierza ten świat? Kobieta nie może już wyjść na ulicę.

- Zajrzałam do „Chew'N Chat”. - Bertie skinęła znacząco głową. Wylakierowane włosy, które Earleen Renfrew farbowała jej co sześć tygodni na sarni brąz, stały na jej głowie jak druty, a sztywne fale okalały skronie niby dwa znaki zapytania. - Mówią, że Burke zadzwonił nie tylko po FBI, ale i po Gwardię Narodową.

- Gadanie! - Happy prychnęła pogardliwie. Lubiła Birdie, bardzo lubiła, ale nie przymykała oczu na jej wady. Birdie wykazywała dużą naiwność, cechę, która zajmowała drugą pozycję, tuż za lenistwem, na Prywatnej liście Happy „dziesięciu grzechów głównych”.

- Mamy tu mordercę maniaka, a nie zamieszki, Birdie. Nie sądzę, żebyśmy ujrzeli żołnierzy maszerujących Market Street. FBI nie wykluczam. Spodziewam się nawet, że zechcą porozmawiać z moim chłopcem. Znalazł przecież w lutym biedną Arnette.

Na jej przystojnej twarzy pojawił się wyraz głębokiej zadumy. Mogła wybaczyć Bobby'emu Lee urwanie się z lekcji oraz to, że o mały włos znowu nie zawałił roku, ale trudno jej było wyrzec się statusu matki człowieka, który znalazł pierwsze ciało.

- Bobby Lee nie otrząsnął się jeszcze - wtrąciła Birdie. - Widać to po jego oczach.

Zaledwie dziś rano, kiedy tankował mi do pełna, pomyślałam sobie: „Bobby Le nigdy już nie będzie ten sam”.

- Koszmary dręczyły go przez wiele tygodni - powiedziała Happy z ledwo wyczuwalną nutką dumy w głosie.

- Zupełnie naturalne. Wiem, że Henry jest załamany. I coś ci powiem. Happy, to jest trochę niepokojące. Boże, przecież mogła to być moja słodka Carolanne - nie, żeby miała czas włączyć się



po chaszczach. Z mężem i dwójką dzieci na głowie! Ale doprawdy, trudno się nie martwić. Jest jeszcze twoja Darleen, bądź co bądź najlepsza przyjaciółka Eddy Lou. Mówię ci, nie mogę o tym myśleć spokojnie.

- Muszę chyba zadzwonić do Darleen, sprawdzić, jak ona to przyjęła. - Happy westchnęła ciężko. Kamień spadł jej z serca, kiedy Darleen poślubiła Juniora Talbota i zamieszkała w miasteczku z mężem i malutkim dzieckiem. Ale wiedziała, że nieokiełznana natura Darleen znów daje o sobie znać. - Musimy zwołać panie, Birdie, i wybrać się do Mavis Hatinger z kondolencjami.

Birdie zaczęła już bąkać jakieś wymówki, kiedy podchwyciła wzrok Jezusa na wachlarzu.

- Tak, tak, to prawdziwie chrześcijański uczynek. Myślisz, że zastaniemy Austina?

- O Austina możesz się nie martwić. - Happy stanowczym ruchem uniosła głowę. -

Będziemy miały siłę macierzyństwa po naszej stronie.

Tej nocy w Innocence wszystkie drzwi były zaryglowane, strzelby naładowane, a sen nie przychodził łatwo.

A rankiem myśli wielu mieszkańców Innocence znów pobiegły ku Eddzie Lou.

Darleen Fuller Talbot, trzecie dziecko Happy i jej wielkie rozczarowanie. wpadała na przemian w rozpacz i letarg. Przez wszystkie swoje dziewczęce lata Darleen trzymała się Eddy Lou, zafascynowana ryzykiem, które razem podejmowały. Jeździły autostopem do Greenville, kradły kosmetyki w sklepie Larssona, uciekały ze szkoły z młodymi Bonnymi, żeby kochać się w Spook Hollow.

Razem martwiły się, kiedy opóźniały im się miesiączki, omawiały szczegółowo swoje przygody miłosne i jeździły na podwójne randki do kina pod gołym niebem więcej razy, niż zdołałyby zliczyć. Edda Lou była drużna Darleen na ślubie z Juniorem. Darleen miała się odwzajemnić, kiedy Edda Lou usidli w końcu Tuckera Longstreeta.

A teraz umarła i oczy Darleen zapuchły od płaczu. Miała tyle tylko siły, by wsadzić małego Scootera do kojca, odprowadzić męża do frontowych drzwi, powlec się do kuchni i tylnymi wpuścić kochanka, Billy'ego T.

Bonny'ego.

- Och, moje ty kochanie! - Billy T., już spocony w sportowej koszulce wydartych dzinsach, wziął zapłakaną Darleen w swoje wytatuowane ramiona. - Nie powinnaś tak się przejmować, moja ty gołąbeczko. Nie chcę patrzeć, jak płaczesz.

- Nie mogę uwierzyć, że odeszła. - Darleen pociągnęła nosem, kryjąc twarz w zagłębieniu jego ramienia, i poprawiła sobie samopoczucie, lekko ugniatając krocze Billy'ego T. - Była moją najlepszą, najukochańszą przyjaciółką, Billy T.

- Wiem. - Przybliżył pełne, chętne wargi do jej ust i w geście współczucia obrysował

ich kontur językiem. - Była wspaniałą dziewczyną i wszystkim nam będzie jej brakowało.

- Była dla mnie jak siostra. - Darleen odchyliła się, żeby mógł wsunąć rękę pod nylonową koszulkę nocną i dostać się do piersi. - Była mi bliższa niż Bella i Starita.

- Są zazdrosne, ponieważ ty jesteś najładniejsza. - Przygwoździł ją do lady kuchennej, pocierając stwardniałe już sutki.

- Wolalabym, żeby to była któraś z nich zamiast Eddy Lou. - Ze łzami w oczach rozpięła rozporek. - Co z tego, że są moimi rodzonymi siostrami, skoro porozmawiać mogłam tylko z Eddą Lou. O wszystkim. Nawet o nas. - Westchnęła, kiedy zsunął jej koszulkę z ramion i zaczął skubać wargami piersi. - Zawsze dobrze mi życzyła. Była trochę zazdrosna, kiedy poślubiłam Juniora i urodził się Scooter, ale to normalne, no nie?

- Mmm...

- Miałam być jej druhną na ślubie z Tuckerem Longstreetem. - Zsunęła mu spodnie z bioder. - Nie mogę myśleć o tym, jak zginęła.

- Nie myśl o tym, złotko. - Dyszał ciężko. - Pozwól, by Billy T. pomógł ci o tym wszystkim zapomnieć. - Jednym ruchem rozchylił jej nogi. - Edda Lou na pewno by sobie tego życzyła.

- Tak. - Westchnęła i objęła udami jego rękę. Wygięła plecy i strąciła z lady miskę płatków kukurydzianych. - Na zawsze pozostanie w moim sercu. - Objęła go ramionami i otworzyła oczy, rozjaśnione miłością. Miał już założony kondom. - Jesteś dla mnie taki miły, skarbie. - Nakierowała go ręką i Billy T. zabrał się do pracy. - Dajesz mi o tyle więcej radości niż Junior. Nie uwierzysz, ale odkąd się pobraliśmy, robimy to już tylko w łóżku.

Mile połechtany, Billy T, uniósł ją za biodra, waląc jej głową w szafkę kuchenną.

Darleen nawet tego nie zauważyła.

Caroline nie mogła uwierzyć, że spała tak dobrze tej nocy. Może była to forma ucieczki, a może zasługa Susie Truesdale i jej córki, które spały w sąsiedniej sypialni. Czuła się bezpieczna w łóżku swoich dziadków. Obudził ją blask słońca i zapach przysmażanego bekonu.

Jej pierwszą reakcją było zażenowanie, że śpi, podczas gdy goście sam robią sobie śniadanie. To ona jest tu przecież gospodynią. Ale wobec grozy poprzedniego dnia argument wydał jej się tak słaby, że z trudem opanowała chęć odwrócenia się na drugi bok.

Zamiast zasnąć ponownie, wzięła zimny prysznic i ubrała się.

Kiedy zeszła na dół, Susie i Marvella siedziały już za stołem i rozmawiały przyciszonymi głosami nad talerzem z jajecznicą.

Podobieństwo między matką a córką było tak uderzające, że Caroline omal się nie roześmiała. Dwie śliczne kobiety z włosami koloru futra z norek i wielkimi niebieskimi oczami. Szeptały między sobą jak dwie dziewczynki w tylnych ławkach kościoła. Obie miały usta w kształcie serca i uśmiechnęły się serdecznie na jej widok.

Istniała między nimi bliskość, zrozumienie i szacunek, coś, czego Caroline nigdy nie zaznała. Kiedy tak patrzyła na zażyłość matki z córką, zalała ją nagła, nieoczekiwana fala zazdrości.

- Miałyśmy nadzieję, że pośpisz dłużej. - Susie zerwała się z krzesła i naląła kawę do filiżanki.

- Czuję się tak, jakbym przespała tydzień. Dziękuję. - Wzięła filiżankę z rąk Susie. -

Jesteście takie miłe, że zostałąście ze mną...

- Od czego są sąsiedzi? Marvella, podaj Caroline śniadanie.

- Och, doprawdy, ja...

- Musisz coś zjeść. - Susie posadziła ją niemal siłą na krześle. - Po takim szoku człowiek potrzebuje paliwa.

- Mama robi wspaniałe jajka - wtrąciła Marvella. Podając Caroline talerz, próbowała na nią nie patrzeć. Miała ochotę zapytać, gdzie strzyże włosy. Bobby Lee dostałby chyba szału, gdyby zrobiła takie spustoszenie w swoich lokach. - Człowiek zawsze czuje się lepiej, kiedy sobie podje. Ostatnim razem, kiedy zerwałam z Bobby'em Lee, wsunęliśmy z mamą olbrzymie porcje lodów z czekoladą.

- Trudno czuć się nieszczęśliwym, kiedy ma się w żołądku lody oblane czekoladą. -

Susie uśmiechnęła się i postawiła na stole talerz grzanek. - Otworzyłam słoik dżemu malinowego z zapasów panny Edith. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Och, nie. - Zafascynowana Caroline wzięła do ręki ręcznie opisany słoiczek. - Nie wiedziałam nawet, że jest tu dżem malinowy.

- Panna Edith robiła go co roku. Nikt nie przyrządzał galaretek i dżemów lepiej od niej. Sześć razy z rzędu wygrywała niebieską wstążeczkę za przetwory owocowe. - Susie otworzyła dolną szafkę i ruchem dłoni objęła rzędy słoików. - Masz tu zapas na rok.

- Nie wiedziałam. - Tyle pięknych, kolorowych słoików, tak starannie opisanych, ustawionych z taką troską. Żal i poczucie winy chwyciło ją za gardło. - Nie mogłam widywać babci tak często, jak bym chciała.

- Była z ciebie bardzo dumna. Opowiadała o swojej małej Caro, że podróżuje po całym świecie i gra dla monarchów i prezydentów. Pokazywała wszystkim pocztówki, które jej przysyłałaś.

- Jedna przysłała z Francji, z Paryża - wtrąciła Marvella. - Z wieżą Eiffla. Panna Edith pozwoliła mi wykorzystać ją w pracy domowej.

- Marvella przez dwa lata uczyła się francuskiego - Susie spojrzała na córkę z satysfakcją. Ona sama musiała rzucić szkołę na cztery miesiące przed maturą, kiedy ciąża zaczęła być widoczna. Myśl, że jej córka zdobyła już świadectwo maturalne, była dla niej niewyczerpanym źródłem radości. Rzuciła okiem na zegarek. - Kochanie, na ciebie chyba już czas.

- Och, Boże! - Marvella zerwała się na równe nogi. - Zrobiło się późno.

- Marvella pracuje w Rosedale jako sekretarka do spraw prawnych. Powiedzieli, że może przyjechać później, zważywszy okoliczności. - Patrzyła, jak Marvella poprawia szminkę w lustrzanej powierzchni tostera. - Weź mój samochód. Zadzwońię do taty, żeby mnie odebrał. - Wstała i położyła dłonie na ramionach Marvelli. - Nie zatrzymuj się dla nikogo, nawet jeżeli będzie to ktoś znajomy.

- Nie jestem głupia.

Susie uszczyknęła ją w policzek.

- Nie, ale jesteś moją jedyną córką. I chcę, żebyś do mnie zadzwoniła, jeżeli będziesz w domu później niż o piątej trzydzieści.

- Zadzwońię.

- I powiedz temu Bobby'emu Lee, że koniec z parkowaniem na Dog Street Road.

Jeżeli już musicie się migdalić, róbcie to u nas w salonie.

- Mamo! - Rumieniec zalał szyję Marvelli i wspiął się wolno na policzki.

- Jeżeli mu sama nie powiesz, ja to zrobię. - Ucałowała nadęte usta Marvelli. - No, biegnij.

Marvella uśmiechnęła się do Caroline.

- Niech pani nie pozwoli się sterroryzować, panno Waverly. Kiedy już raz zacznie, trudno ją powstrzymać.

- Impertynentka - zachichotała Susie, kiedy drzwi zamknęły się za jej córką. - Trudno mi uwierzyć, że jest już dorosła.

- To urocza dziewczyna.

- Przyznaję. Przy tym jest uparta jak muł i doskonale wie, czego chce. Chce Bobby'ego Lee Fullera od dobrych dwóch lat, więc przypuszczam, że go w końcu dostanie. -

Uśmiechnęła się łobuzersko i podniosła filiżankę z wystygłą kawą. - Kiedy już namierzyłam sobie Burke'a, biedak nie miał żadnych szans. Ona jest taka sama. Mimo to martwimy się, bo dzieci zawsze wydają się młodsze, niż my byliśmy w ich wieku. - Spojrzała niechętni talerz Caroline. - Niewiele zjadłaś.

- Przepraszam - Caroline przełknęła z trudem następny kęs. - Ale to wszystko jest takie dziwne. Nawet nie znałam tej dziewczyny, a przeraża mnie sama myśl o niej. -

Zrezygnowana, odsunęła talerz. - Susie, nie chciałam pytać przez Marvelli, ale chyba nie wszystko rozumiałam. Ta dziewczyna w stawie jest trzecią ofiarą?

- Od lutego - potwierdziła Susie. - Wszystkie trzy zadżgane nożem.

- Boże!

- Burke niewiele mówi, ale wiem, że to paskudna sprawa, naprawdę paskudna.

Okaleczenie czy coś w tym rodzaju. - Wstała, żeby posprzątać ze stołu. - Przeraża mnie to jako matkę, jako kobietę. I martwię się o Burke'a. Odbiera to wszystko zbyt osobiście, jakby ponosił tu jakąś winę. Bóg jeden wie, że nikt nie był przygotowany na coś takiego, ale Burke uważa, że powinien temu zapobiec.

Uważał również, że jego obowiązkiem było powstrzymać ojca przed założeniem sobie pętli na szyję, przypomniawszy sobie.

Caroline napełniła zlew wodą i dołała płynu do mycia naczyń.

- Ma jakiś podejrzanym?

- Nawet jeżeli ma, nic na ten temat nie mówi. Z Arnette wyglądało to na robotę jakiegoś włóczęgi. No wiesz, kiedy miasteczko liczy osiemset, dziewięćset osób, znasz mniej więcej wszystkich. Wydawało się niemożliwe, żeby zrobił to ktoś z nas. Potem, kiedy Francie została zamordowana w ten sam sposób, ludzie zaczęli się sobie nawzajem przyglądać. Ale nawet wtedy nikt nie wierzył, żeby to mógł być sąsiad albo znajomy. Teraz...

- Teraz musicie szukać między sobą.

- I robimy to. - Susie wzięła ręcznik do naczyń, a Caroline zaczęła zmywać. - Choć ja osobiście uważam, że to jakiś maniak ukrywający się na bagnach.

Caroline wyjrzała przez okno w stronę drzew. Drzew, które dziś rosły jakby bliżej domu.

- Ładna mi pociecha.

- Nie chcę cię straszyć, ale ponieważ mieszkasz tu sama, powinnaś zachować ostrożność.

Caroline zacisnęła usta.

- Słyszałam, że Tucker Longstreet i Edda Lou pokłócili się. Że ona naciskała go o ślub.

- Przynajmniej próbowała. - Susie wytarła talerz do sucha, potem roześmiała się. -

Boże, nie znasz Tuckera, inaczej nie miałabyś takiej miny. Śmiać mi się chce na samą myśl, że Tucker mógłby kogoś zabić. Przede wszystkim wymagałoby to zbyt dużo wysiłku i nakładu emocji. Nie trwoni swoich sił, a co do uczuć, prawie jest ich pozbawiony.

Caroline przypomniała sobie wyraz twarzy Tuckera, kiedy spotkali się nad stawem.

Trudno byłoby powiedzieć, że nie zdradzał dużego wzburzenia.

Sprawiał raczej wrażenie kogoś, kto ma kłopoty z nadmiarem doznań.

- A jednak...

- Przypuszczam, że Burke będzie musiał z nim porozmawiać - przyznała Susie. - Nie przyjdzie mu to łatwo. Są sobie bliscy jak bracia. Wszyscy chodziliśmy razem do szkoły -

ciągnęła pucując talerze. - Tucker i Dwayne, brat Tuckera, Burke i ja. Byli synami plantatorów, choć farma Truesdale'ów już zaczynała podupadać, więc o szkole prywatnej dla Burke'a nie mogło być mowy. Dwayne wyjechał do szkoły z internatem, jako najstarszy syn i w ogóle, ale narozrabiał i go wyrzucili. Mówiło się o wysłaniu Tuckera, ale stary Beau był tak wściekły na Dwayne'a, że zatrzymał Tuckera w domu. - Uśmiechnęła się i sprawdziła, czy na szklance nie została najmniejsza choćby plamka. - Tuck zawsze powtarza, jak bardzo jest Dwayne'owi za to wdzięczny. Pewnie dlatego tak się o niego troszczy. Jest dobrym człowiekiem. Gdybyś знаła Tucka tak długo jak ja, wiedziałabyś, że podejrzewać go o morderstwo to mniej więcej to samo, co przypisywać mu umiejętność latania. Nie twierdzą wcale, że nie ma wad. Ale zabić kobietę nożem? - Próbowała to sobie wyobrazić. Mimo całej grozy obrazu, musiała się roześmiać. - Byłby zbyt zajęty dostawaniem się pod jej spódnicę, by myśleć o czymkolwiek innym.

Caroline rozciągnęła wargi w uśmiechu.

- Znam ten typ.

- Uwierz mi, kochana, nie znasz nikogo takiego. Gdybym nie była szczęśliwą mężatką z czworgiem dzieci, kto wie, czy sama nie zastawiłabym na niego sideł. Ma coś w sobie, ten nasz Tuck. - Zerknęła na Caroline spod oka. - Założę się, że bardzo niedługo weźmie się do ciebie.

- I połamię sobie zęby. Susie wybuchnęła śmiechem.

- Dużo bym dała, żeby przy tym być. - Odłożyła ostatni talerz. - A teraz, dość mielenia językiem. Mamy mnóstwo roboty.

- Roboty?

- Nie mogę cię tu zostawić, nie będąc pewna, że jesteś bezpieczna. - Wytarła dłonie w ręcznik do naczyń i ze słomkowej torby wyjęła śmiercionośną trzydziestkęsemkę.

- Jezu! - Tylko tyle zdołała wykrztusić Caroline.

- To jest smith i wesson. Wolę rewolwery od automatów.

- Czy to... jest naładowane?

- No pewnie, kochanieńka. - Susie zamrugła wielkimi niebieskimi oczami. - Na wiele by mi się przydał pusty.' Trzy lata z rzędu wygrywałam konkurs strzelania do celu. Burke nie może. się zdecydować, czy ma być ze mnie dumny, czy zażenowany faktem, że strzelam lepiej od niego.

- W torebce... - powiedziała Caroline słabo. - Nosisz go w torebce.

- Aha, od lutego. Strzelasz z czegoś?

- Nie. - Odruchowo Caroline schowała ręce za siebie. - Nie - powtórzyła.

- I zdaje ci się, że nie potrafisz - powiedziała Susie żywo. - Coś ci powiem, kochana.

Gdyby ktoś groził tobie albo twojej rodzinie, strzelałabyś aż miło. Wiem, że twój dziadek miał całą kolekcję. Chodźmy wybrać coś ładnego.

Susie odłożyła trzydziestkęósemkę na kuchenny stół i ruszyła w stronę drzwi.

- Susie! - Zaintrygowana Caroline pospieszyła za nią. - Nie mogę wybrać strzelby jak nowej sukienki!

- Zapewnisz cię, że to jest równie pasjonujące. - Susie wkroczyć do gabinetu, stanęła przed szafką i przejrzała jej zawartość, stukając palcem w dolną wargę. - Zaczniemy od pistoletów, ale chcę, żebyś się nauczyła ładować ten karabin. Ma moc!

- Nie wątpię.

Susie otoczyła Caroline ramieniem.

- Posłuchaj, jeżeli ktoś przyjdzie tutaj i zacznie cię niepokoić, wyjdiesz z tą armatą, wycelujesz mu w pępek i powiesz sukinsynowi, że nie masz bladego pojęcia o strzelaniu.

Jeżeli nie zniknie z horyzontu, wart będzie kulki.

Z cichym śmiechem Caroline przysiadła na poręczy fotela.

- Ty wcale nie żartujesz.

- Cenimy tu sobie własne bezpieczeństwo. O, to jest dopiero cacko. - Susie otworzyła szafę i wyjęła pistolet. - Colt czterdzieści pięć, seria wojskowa. Założę się, że używał go na wojnie. - Otworzyła pistolet z wprawą, która wzbudziła szczery podziw Caroline, i obróciła pusty bębenek. - Wypucowany aż miło. - Zatrzasnęła bębenek, wycelowała w ścianę i nacisnęła spust. - W porządku. - Otworzywszy szufladę cmoknęła z zadowoleniem na widok amunicji. Wepchnęła pudełko do torebki i uśmiechnęła się szeroko do Caroline.

- Rozwalmy parę puszek!

Agent specjalny Matthew Burns nie tańczył z radości na myśl, że jedzie do małego miasteczka w delcie Missisipi. Burns był urodzonym mieszczuchem. lubił wieczory w operze, dobre Chateauf i ciche leniwe popołudnia w Galerii Narodowej.

Widział dość okropieństw w czasie dziesięcioletniej pracy w Biurze i przywykł

zmywać brudy z duszy z pomocą Mozarta i Bacha. Cieszył się na starannie zaplanowany weekend: balet, przyzwoita kolacja u Jean - Louisa w Watergate, a potem wysublimowane i romantyczne spotkanie z aktualną towarzyszką życia.

Zamiast tego wylądował w Innocence ze swoim zestawem do pracy w terenie, upchniętym w bagażniku wynajętego wozu, który miał zepsutą klimatyzację.

Burns wiedział, że sprawa wywoła burzę w prasie i nie wątpił, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Specjalizował się w masowych mordercach. I z całym spokojem mógł stwierdzić, że jest w tym cholernie dobry.

A jednak irytował go fakt, że jego doskonale zaplanowany weekend diabli wzięli. Na dodatek patolog Biura, przypisany do sprawy, utknął w Atlancie z powodu burzy. Burns nie wierzył, żeby jakiś prowincjonalny koroner przeprowadził przyzwoitą sekcję.

Jego irytacja wzrosła, gdy jechał przez miasto w nagrzonej puszcze, w jaką zamienił się samochód. Wygląd Innocence potwierdził jego najgorsze obawy: nieliczni zapoceni przechodnie, parę bezdomnych psów, zakurzone witryny sklepików. Nie było nawet kina.

Wzruszył ramionami na widok wypłowiałego, odręcznego napisu „Chat'N Chew” na szybie jedynej restauracji w polu widzenia. Dzięki Bogu zapakował swój ekspres do kawy.

Praca jak praca, pomyślał z rezygnacją, parkując przed biurem szeryfa. Czasem pogoń za sprawiedliwością wymagała ofiar. Wyjął z bagażnika aktówkę i, próbując się nie udusić z gorąca, starannie zamknął wóz.

Kiedy suka Jeda Larssona, Maruda, przywlokła się, żeby obsikać przednią oponę.

Burns pokiwał tylko głową. Nie wątpił, że dwunożni mieszkańcy tego miasta wykażą równy brak dobrych manier.

- Ładny samochód - odezwał się Claude Bonny ze swego stanowiska pod markizą. I splunął.

Burns uniósł czarną brew.

- Jeździ.

- Sprzedajesz coś, synu?



- Nie.

Bonny wymienił spojrzenia z Charlie O'Hara i Petem Koonsem. Przez dobrą chwilę O'Hara świszcział tylko przez nos. - A więc musisz być tym facetem z FBI - wydał z siebie pisk.

- Tak. - Burns czuł, jak po plecach spływa mu strużka potu. Modlił się, by w tym mieście była pralnia chemiczna.

- Oglądałem kiedyś taki program z Efremem Zimbalistem. - Koons łyknął lemoniady.

- Cholernie dobry program.

- „Dragnet” był lepszy - stwierdził Bonny. - Nie rozumiem, dlaczego go zdjęli. Nie robią już dzisiaj takich programów.

- Panowie wybaczą - powiedział Burns.

- Idź, idź, synu. - Bonny machnięciem ręki przynaglił go do pośpiechu. - Szeryf jest w środku. Siedzi tam od rana. Złap tego psychopatę, który morduje nasze dziewczęta, a my już go sobie powiesimy.

- Doprawdy, ja nie...

- Czy ten facet z „Dragnet” nie grał potem doktora w tym programie „Mash”?

- Zastanawiał się O'Hara. - Zdaje się, że coś takiego pamiętam.

- Jack Webb nigdy nie zagrałby doktora! - powiedział Bonny, uznając to za osobistą zniewagę.

- Nie, ten drugi. Taki malutki. Moja stara omal nie wyskoczyła z kiecki, oglądając ten show.

- Dobry Boże! - powiedział Burns i popchnął drzwi biura szeryfa. Burke siedział za biurkiem, przytrzymując ramieniem słuchawkę i pisząc coś szybko w notatniku.

- Tak, sir, jak tylko się tu zjawi. Ja... - Podniósł wzrok i zidentyfikowali Burnsa z taką samą łatwością, z jaką odróżniał przepiórkę od bażanta. - Jedną chwileczkę. Agent specjalny Burns?

- Zgadza się. - Zgodnie z obowiązującymi regułami wyciągnął legitymację i machnął

nią szeryfowi przed nosem.

- Właśnie wszedł - powiedział Burke do telefonu i podał gościowi słuchawkę. - Pański szef.

Burns odstawił torbę i ujął słuchawkę.

- Tu Burns. Tak, sir, lekkie opóźnienie. Kłopoty z samochodem w Greenville. Tak, doktor Rubenstein powinien dotrzeć tu o trzeciej. Dopilnuję. Już teraz widzę, że będzie nam potrzebny telefon, to zdaje się pojedyncza linia. I... - Zakrył dłonią membranę. - Macie tu faks?

Burke oblizwał wargi.

- Nie, sir. Nie mamy.

- I faks - mówił dalej Burns do słuchawki. - Zadzwoń, jak tylko rozpatrzę się w sytuacji. Tak, sir. - Oddał słuchawkę Burke'owi i sprawdził siedzenie obrotowego krzesła, zanim na nim usiadł. - Szeryf...?

- Truesdale. Burke Truesdale. - Wymienili uścisk dłoni, krótki i oficjalny. Burke'owi zdawało się, że czuje zapach talku dla niemowląt. - Mam tu niezły pasztet, panie Burns.

- Słyszałem. Trzy brzydkie morderstwa w cztery i pół miesiąca. Żadnych podejrzanych.

- Żadnych. - Burke w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby go za to nie przeprosić. -

Uznaliśmy, że to robota jakiegoś włóczęgi, ale wobec ostatniego... No i jest ten przypadek w Nashville.

Burns złożył dłonie, tak by stykały się opuszkami palców.

- Ma pan zapewne jakąś dokumentację?

- Mam. - Burke zrobił ruch, jakby chciał się podnieść.

- Nie teraz. Może mnie pan zapoznać ze sprawą ustnie, w drodze. Chce zobaczyć ciało.

- Zabraliśmy ją do zakładu pogrzebowego.

- Bardzo słusznie - powiedział Burns sucho. - Obejrzę ją, a potem pojedziemy na miejsce zbrodni. Zabezpieczył je pan?

Burke poczuł jak wzbiera w nim gniew.

- Dość trudno zabezpieczyć bagno. Burns westchnął ciężko i wstał. - Wierzę panu na słowo.

A na tyłach domu Edith McNail i Caroline wstrzymała oddech, zacisnęła zęby i pociągnęła cyngiel. Wstrząs poderwał jej ramię, w uszach zadzwoniło. Trafiała puszkę, choć nie tę, do której mierzyła.

- No, coraz lepiej - powiedziała Susie. - Ale musisz mieć przez cały czas otwarte oczy.

- Dała mały popis, strącając błyskawicznie trzy puszki z pnia.

- Czy mogłabym rzucać w nie kamieniami? - krzyknęła Caroline, kiedy Susie poszła ustawić cel.

- Czy zagrałabyś symfonię w dniu, w którym wzięłaś pierwszy raz do ręki skrzypce?

Caroline westchnęła i rozmasowała sobie ramię.

- Czy w ten sposób skłaniasz swoje dzieci do robienia tego, czego sobie życzysz?
- Żebyś wiedziała! - Susie stanęła znów przy niej. - A teraz odpręż się i nie śpiesz.

Jakie to uczucie trzymać broń w ręku?

- Prawdę mówiąc... - Roześmiała się krótko i zerknęła w dół na pistolet.
- Seksowny przedmiot, prawda? - Susie poklepała Caroline po plecach. - W porządku.

Jesteś wśród przyjaciół. Rzecz w tym, że kojarzy się z władzą, panowaniem nad sytuacją, z odpowiedzialnością. Tak samo jak seks. Tego nie mówię swoim dzieciom. No, strzelaj, mierz do pierwszej od lewej. Masz eks - męża?

- Nie, piękne dzięki! Susie zachichotała.
- Byłego narzeczonego? Jakiegoś faceta, który cię naprawdę wkurwił?
- Luis - syknęła Caroline przez zęby.
- To jakiś Hiszpan, czy co?
- Raczej „co”. Wielki, meksykański szczur. - Caroline pociągnęła za cyngiel.

Rozdziawiła usta, kiedy puszką podskoczyła. - Trafiłam.

- Po prostu potrzebowałaś dopingu. Spróbuj następną.
- Drogie panie, czy zamiast strzelać, nie mogłybyście, na przykład, naftować obrusów? - zawołał Burke.

Susie opuściła rewolwer i uśmiechnęła się.

Szykuje ci się nowy przeciwnik na Czwartego Lipca, kochanie. - obrzuciła przelotnym spojrzeniem Burnsa, następnie wspięła się na palce pocałowała męża. - Wyglądasz na zmęczonego.

- Jestem zmęczony. - Ścisnął ją za rękę. - Panie Burns, to moja żona, Susie, i Caroline Waverly. Panna Waverly znalazła wczoraj ciało.
- Caroline Waverly! - Burns wymówił to nazwisko niemal z czcią. - Nie do wiary! -

Ujął jej rękę i podniósł do ust, podczas gdy Susie wywracała oczami. - Zaledwie przed paroma miesiącami słuchałem pani koncertu w Nowym Jorku. A w zeszłym roku w Centrum Kennedy'ego. Mam kilkanaście pani płyt.

Przez dobrą chwilę Caroline gapiła się na niego bezmyślnie. To, o czym mówił, wydawało jej się tak

odległe, że niemal nierzeczywiste. Przez głowę przemknęła jej myśl, że facet bierze ją za kogoś innego.

- Dziękuję.

- Nie, to ja pani dziękuję. - Pomyślał, że ta sprawa może mieć interesujący aspekt. -

Nie potrafię nawet zliczyć, ile razy uratowała pani moje zdrowe zmysły, pozwalając mi słuchać swojej gry. - Jego gładkie policzki były zaróżowione z emocji, dłoń ciągle zaciśnięta na jej dłoni. - To cudowne spotkanie mimo przykrych okoliczności. Muszę przyznać, że jest to ostatnie miejsce, gdzie spodziewałbym się znaleźć księżniczkę sal koncertowych.

Caroline poczuła się mocno niepewnie.

- To dom mojej babki, panie Burns. Mieszkam tu zaledwie od paru dni. W jego bladoniebieskich oczach pojawiła się troska.

- To musi być dla pani bardzo stresujące. Zapewniam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zakończyć tę sprawę szybko.

Caroline uśmiechnęła się słabo, starannie unikając wzroku Susie.

- To bardzo pocieszające.

- Zrobię wszystko, absolutnie wszystko! - Podniósł walizczkę, którą przedtem ustawił sobie przy nodze. - Teraz rzucę okiem na miejsce zbrodni, szeryfie.

Burke wskazał mu kępę drzew, po czym zerknąwszy na błyszczące włoskie pantofle Burnsa, mrugnął do żony.

- Nawet niezły - uznała Susie, patrząc, jak mężczyźni idą w stronę drzew. - Jeżeli pociąga cię typ eleganta.

- Tak się szczęśliwie składa, że chwilowo nie pociąga mnie żaden typ.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Susie powachlowała się skrajem bluzki. - Pokażę ci teraz, jak się czyści broń, a potem zrobimy panom coś zimnego do picia. - Spojrzała na Caroline ciekawie. - Nie wiedziałam, że jesteś taka sławna. Myślałam, że to tylko takie przechwałki panny Edith.

- Sława to rzecz względna.

- Chyba masz rację. - Susie odwróciła się w stronę domu. Ponieważ polubiła Caroline i ponieważ odniosła wrażenie, że Caroline przydałaby się odrobina śmiechu, otoczyła ją ramieniem i zapytała: - Umiesz zagrać „Orange Blossom Special”?

Caroline roześmiała się po raz pierwszy od wielu dni.

- Pewnie tak.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tucker położył nogi na biurku Burke'a i skrzyżował je w kostkach. Nie przeszkadzało mu, że musi czekać; prawdę mówiąc, czekanie należało do rzeczy, które robił najlepiej. To co inni, w tym sam Tucker, uznawali za nieuleczalne lenistwo, było w rzeczywistości bezkresną, wrodzoną cierpliwością.

Ponieważ nie spał dobrze w nocy, mała drzemka w oczekiwaniu na Burke'a wydała mu się rozsądnym sposobem spędzenia czasu.

Więć o tym, że FBI jest w mieście, dotarła do Sweetwater lotem błyskawicy. Tucker wiedział już, że agent specjalny Burns ubiera się jak właściciel zakładu pogrzebowego i jeździ brązowym mercurym. Wiedział również, że Burns był nad stawem McNairów i robił

tam to, co zwykli robić agenci FBI na miejscu zbrodni.

Zbrodni. Z cichym jękiem Tucker przymknął oczy, jakby chciał się odciąć od własnych myśli. Siedząc z nogami na biurku szeryfa, wsłuchany w skrzypienie wiatraka na suficie i zawodzenie bezużytecznego klimatyzatora pod oknem, pomyślał, że to przecież niemożliwe, by Edda Lou Hatinger leżała w szufladzie zamrażarki w zakładzie pogrzebowym Palmera, zaledwie parę ulic dalej.

Poruszył się niespokojnie, próbując uciec od makabrycznego obrazu, zapomnieć o tym, że był gotów walczyć z Eddą Lou do upadłego. Gorzej! Że cieszył się na tę walkę, cieszył się z góry na łzy, które popłyną, kiedy Edda Lou zrozumie, że nie zostanie nową panią Sweetwater.

Teraz nie musi już z nią walczyć. Nie musi już ratować własnej dumy, ukrócając jej ambicje.

Teraz musi tylko spreparować alibi, żeby nie stać się podejrzanym o morderstwo. A wszystko dlatego, że podniecał go sposób, w jaki Edda Lou stuknęła w klawisze kasy Larssona, że pobłażał sobie, sypiając z nią i skubiąc wargami jej gładką skórę.

Bywał już oskarżany o wiele rzeczy. O lenistwo, które według kodeksu Tuckera przestępstwem nie było. O trwonienie pieniędzy, do czego przyznawał się chętnie. O

cudzołóstwo, czemu zaprzeczał. Nigdy nie sypiał z mężatkami z wyjątkiem Sally Guilford parę lat temu, ale ona była w separacji. Oskarżano go nawet o tchórzostwo, które wolał brać za ostrożność.

Ale morderstwo? Wszystko to byłoby bardzo zabawne, gdyby nie było takie przerażające. Jego ojciec pękłby ze śmiechu. On - jedyny człowiek, którego Tucker naprawdę się bał - nigdy nie zdołał zmusić syna do zastrzelenia czegokolwiek podczas wspólnych przymusowych polowań.

Oczywiście, Edda Lou nie została zastrzelona. Została zamordowana tak jak inne dziewczęta, zaszlachtowana. Tucker wyłowił z kieszeni papierosy.

Odciał koniuszek - około pół centymetra - i sięgał właśnie po zapalniczkę, kiedy wszedł Burke w towarzystwie zapoconego, zirytowanego mężczyzny w ciemnym garniturze.

Dzień spędzony z wysłannikiem FBI nie wprawił Burke'a w najlepszy humor. Spojrzał koso na nogi Tuckera i rzucił kapelusz na wieszak przy drzwiach.

- Czuj się jak u siebie w domu, synu.

- Robię co mogę. - Tucker wolno wydmuchał dym. W żołądku latały mu motylki, ale posłał Burke'owi leniwy uśmiech. - Powinieneś kupić sobie jakieś nowe czasopisma, Burke.

Duchowa strawa mężczyzny nie może ograniczać się do broni myśliwskiej i tępienia szkodników.

- Rozejrzę się za jakimś numerem „Gentleman's Quarterly” i „People”.

- Będę wdzięczny. - Tucker obrzucił towarzysza Burke'a przelotnym spojrzeniem.

Ciemny garnitur zdawał się pasować, ale facet nie miał dość rozsądku, by poluzować krawat.

Choć Tucker nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego ten drobny fakt sprawił, że poczuł instynktowną niechęć do Burnsa. - Pomyślałem sobie, że wpadnę i pogadam z wami, panowie.

Burke skinął głową i zasiadł za biurkiem, chcąc podkreślić oficjalny charakter rozmowy.

- Tucker Longstreet, agent specjalny Burns.

- Witamy w Innocence! - Tucker nie wstał, ale wyciągnął dłoń. Z przyjemnością stwierdził, że ręka Burnsa jest miękka i wilgotna. - Co sprawia, że jest pan specjalny, agencie Burns?

- Moja ranga. - Burns dokonał oceny wytartych adidasów Tuckera i drogich bawełnianych spodni z zarożumiałym uśmiechem. Antypatia była wzajemna. - O czym chciał pan z nami porozmawiać, panie Longstreet?

- Cóż, moglibyśmy zacząć od pogody - Tucker zignorował ostrzegawcze spojrzenie Burke'a. - Wygląda na to, że zbiera się na burzę. Może się ochłodzi na pięć minut.

Moglibyśmy również porozmawiać o baseballu. Orioles grają dzisiaj z Jankees. Birds mają w tym sezonie niezłych miotaczy. - Tucker zaciągnął się głęboko. - Lubi pan zakłady sportowe, panie Burns?

- Niestety, nie pasjonuję się sportem.

- Nic nie szkodzi. - W głosie Tuckera brzmiała nuda, kiedy odchyłał się niedbale na krześle. - Ja nie pasjonuję się w ogóle niczym. To wymaga zbyt wiele wysiłku.

- Przejdźmy do sprawy. Tuck. - Ponieważ spojrzenia nie odnosiły skutku, Burke przybrał swój cichy, przywołujący do porządku ton szeryfa. - Tucker znał ofiarę, Eddę Lou...

- Urwał.

- Intymnie? - podpowiedział Tucker. Poczł bolesny skurcz w żołądku i zdusił papierosa.

Burns zajął trzecie krzesło. Zgrabnym ruchem wyjął z kieszeni notatnik i mały magnetofon.

- Chce pan złożyć oświadczenie?

- Coś w rodzaju: „Jedyna rzecz, jakiej należy się obawiać, jest sam strach”? - Tucker przeciągnął się.  
- Wolałbym nie. Burke uważał, że pan będzie chciał zadać mi parę pytań.

Jestem człowiekiem wyjątkowo zgodnym, więc przyszedłem na nie odpowiedzieć.

Niewzruszony Burns włączył magnetofon.

- Powiedziano mi, że miał pan z ofiarą romans.

- Miałem z nią stosunki płciowe.

- Daj spokój, Tuck!

Tuck rzucił Burke'owi złe spojrzenie.

- Jeżeli mam być szczery, to najuczciwsze postawienie sprawy. Poszliśmy z Eddą Lou parę razy na randkę i wskoczyliśmy do paru łóżek. - W jego oczach pojawił się twardy wyraz.

Siłą woli powstrzymał się, żeby nie sięgnąć po następnego papierosa. - Zerwałem znajomość, ponieważ zaczęła mówić o małżeństwie.

- Rozstanie było polubowne?

- Tego bym nie powiedział. Zakładam, że wie pan już o scenie w restauracji.

Najbliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że Edda Lou była wkurwiona.

- To pańskie określenie, panie Longstreet. - Postukał ołówkiem w notatnik. - Ja mam tu napisane: „rozgniewana i poruszona”.

- Weźmie pan te dwa słowa, dołoży do tego Eddę Lou i wyjdzie panu „wkurwiona”.

- Twierdziła, że składał pan jej obietnice. Tucker zaczął się huścić na krześle.

- Wyznaję pewną zasadę, agencie Burns. Nie składam obietnic, ponieważ Jest nader mało

prawdopodobne, bym którejś dotrzymał.

- Ogłosiła publicznie, że jest w ciąży.

- Faktycznie.

- Wtedy opuścił pan restaurację... „Chat'N Chew”, zgadza się? Opuścił pan restaurację nagle. - Burns uśmiechnął się nieznacznie. - Czy określenie, że był pan... „wkurwiony”, będzie odpowiadało prawdzie?

- Po tym, jak naskoczyła na mnie, w obecności co najmniej tuzina osób Uraczyła wiadomością, że jest w ciąży i zagroziła, że za to zapłacę? Tak. Myślę, że spokojnie można użyć tego sformułowania.

- Nie miał pan zamiaru jej poślubić?

- Najmniejszego.

- Był pan wściekły, osaczony, czuł się pan wystawiony na pośmiewisko. Miał pan powód, żeby ją zabić.

Tucker przejechał językiem po górnych zębach.

- Absolutnie żadnego, dopóki dysponuję książeczką czekową. - Pochylił się na krześle.

Twarz miał zaciętą, ale głos płynął gładko, jak miód po kromce kukurydzianego chleba. - Coś panu wyjaśnię, przyjacielu żeby miał pan jasny obraz sytuacji. Edda Lou była chciwa, ambitna i sprytna. Nie wykluczam, że podświadomie liczyła na to, że uda jej się mnie zaobrączkować, ale zadowoliliby się czekiem na okrągłą sumkę.

Wstał, zmusił się, by wziąć głęboki oddech, i przysiadł na skraju biurka.

- Lubiłem ją. Może nie tak jak dawniej, ale wystarczająco. Nie sypia się z kobietą jednego dnia, żeby zarżnąć ją następnego.

- Robiono to już nieraz.

Oczy Tuckera nagle pociemniały.

- Ja nie zrobiłem tego ani razu.

Burns przesunął magnetofon odrobinę w prawo.

- Znał pan również Arnette Gantrey i Frances Alice Logan.

- Podobnie jak wszyscy w Innocence.

- Czy z nimi również utrzymywał pan stosunki?



- Z obiema się umawiałem. Nie spałem z żadną. - Uśmiechnął się lekko do swoich wspomnień. - Choć nie mogę powiedzieć, żebym nie próbował, przynajmniej z Arnette.

- Odtrąciła pana?

- Diabła tam! - Pełen niesmaku, Tucker sięgnął po papierosa. Przemknęło mu przez głowę, że wybrał sobie paskudną porę na rzucenie palenia. - Byliśmy przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, miała chętkę na mojego brata, Dwayne'a, ale on nigdy nie odbił piłeczki. A z Francie byliśmy na etapie flirtu. - Odsunął na bok jakieś papiery i puszkę tytoniu. - Kochana z niej dziewczyna. - Zamknął oczy. - Nie chcę rozmawiać o Francie.

- Nie?

Zawrzał w nim gniew.

- Posłuchaj pan. Byłem z Burke'em, kiedy ją znalazł. Może pan przywykł do takich widoków, ja nie. Zwłaszcza kiedy dotyczy to kogoś, kogo lubię.

- Interesujące, że lubił pan wszystkie te trzy kobiety - zauważył Burns łagodnie. - Pani Logan została znaleziona w.. - Skrzywił się z niesmakiem - Spook Hollow. - Zaledwie parę kilometrów od pańskiego domu. A panna Hatinger w stawie McNairów. Również blisko pańskiego domu. Odwiedził pan to miejsce bezpośrednio po kłótni z panną Hatinger.

- I mnóstwo razy przedtem.

- Panna Waverly twierdzi, że był spięty, wzburzony. - Pozostał przy

„wkurwionym”. Tak, byłem wkurwiony. Dlatego trzymałem się nad stawem. To spokojne miejsce.

- I odludne. Może mi pan powiedzieć, co pan robił przez resztę wieczora, panie Longstreet?

Nie usłyszysz ty prawdy, pomyślał Tucker.

- Grałem z siostrą w remika - skłamał bez mrugnięcia okiem. - Osrała mnie na trzydzieści czy czterdzieści dolarów, wypiliśmy po drinku i poszliśmy spać.

- O której godzinie rozstał się pan z siostrą?

- Poszedłem na górę o drugiej, może wpół do trzeciej.

- Panie Burns - wtrącił Burke. - Chciałbym zaznaczyć, że tego popołudnia, kiedy znaleziono Eddę Lou, Tuck przyszedł tu do mnie. Był zaniepokojony, ponieważ nie skontaktowała się z nim i nie odpowiadała na telefony.

Burns uniósł brew.

- Odnotował to pan w swoich papierach, szeryfie. Jak to się stało, że ma pan podbite oko, panie

Longstreet?

- Podbił mi je ojciec Eddy Lou. Dopiero kiedy do mnie przyjechał, uświadomiłem sobie, że zaginęła. Austin szukał jej u mnie. Potem wbił sobie do głowy, że namówiłem ją na aborcję.

- Czy przedyskutował pan kwestię aborcji z denatką?

- Była denatką na długo przedtem, zanim zdążyłem przedyskutować z nią cokolwiek. -

Tucker odsunął się od biurka. - To wszystko, co mam do powiedzenia. Jeżeli ma pan jeszcze jakieś pytanie, będzie pan musiał zgłosić się po odpowiedź do Sweetwater. Do zobaczenia, Burke.

Burke poczekał, aż zamkną się za nim drzwi.

- Panie Burns, znam Tuckera od dziecka. Nie zabiłby Eddy Lou bez względu na to, jak bardzo byłby na nią wściekły.

Burns wyłączył magnetofon.

- Jakie to szczęście, że jest tu ktoś, kto nie zatracił jeszcze obiektywizmu. Czas, żebyśmy zajrzeli do zakładu pogrzebowego, szeryfie. Patolog skończył już zapewne oględziny.

Tucker był naprawdę zły. Pilnował własnego nosa, żył własnym życiem, nie wadził

nikomu i co z tego ma? Nadwerężone zebro, podbite oko i w dodatku podejrzenie o morderstwo dla urozmaicenia.

Wyprysnął z Innocence i rozpędził samochód do stu trzydziestu na godzinę.

Doszedł do wniosku, że to wszystko przez kobiety. Gdyby Edda Lou nie ocierała się o niego za każdym razem, gdy przekroczył próg Larrsona, nie zaczęłyby się z nią spotykać.

Gdyby Della nie suszyła mu głowy, nie Pojechałby do miasta i nie natknął się na Eddę Lou.

Gdyby ta baba Waverly nie plątała się po rozlewiskach, nie zobaczyłaby go siedzącego nad stawem i nie doniosła FBI, jak wtedy wyglądał.

Chryste, miał prawo tak wyglądać.

Było mu żal Eddy Lou, był tak wstrząśnięty, że chciało mu się wycić. Okazała się podstępna dziwka, ale nie zasługiwała na to, by umrzeć. Jednak umarła, cholerna szkoda, tylko dlaczego on ma ponosić konsekwencje tej śmierci? Musi odpowiadać na pytania tego upartego osła Jankesa, znosić cierpliwie jego insynuacje.

Gorzej niż insynuacje, pomyślał pokonując zakręt z piskiem opon. Wyniosłe, pyszałkowe uwagi wielkowiejskiego mądrali, który napotkał na swej drodze wiejskiego tumana.

Caroline Waverly patrzyła na niego w ten sam sposób. Pobiegnęła pewnie w podskokach do FBI, żeby powiedzieć im o kmiecie knującym zbrodnie na bagnach.

Mijał właśnie drogę McNairów. Przydepnął pedał hamulca i jednocześnie skręcił

kierownicą gwałtownie w lewo. Samochód obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Pojedzie tam i utnie sobie pogawędkę z księżniczką.

Nie zauważył jadącej za nim półciężarówki. Podbite oczy Austina zwięzły się, kiedy dostrzegł czerwoną błyskawicę znikającą w gąszczu. Był to niewątpliwie znany mu porsche.

Uśmiechając się, zjechał na pobocze.

Wyłączył silnik, schował kluczyki do kieszeni, po czym sięgnął po czarną pastę do butów. Patrząc we wsteczne lusterko, pomalował sobie twarz, a potem nasunął kapelusz głęboko na oczy. Z tylnego siedzenia wziął karabin, remingtona woodmastera, i sprawdził, czy jest naładowany. Wysiadł z samochodu uzbrojony po zęby, z nożem do patroszenia zwierzyny za pasem, i nie przestając się uśmiechać, przeszedł przez drogę.

Ruszał na polowanie. W imię Pana!

Caroline odkryła, że nie ma nic przeciwko samotności. Chociaż lubiła towarzystwo Suzie, żywotność tej kobiety podkopała jej siły. Nie bardzo leż chciało jej się wierzyć, by ktoś mógł włamać się do domu i zamordować ją we śnie. Bądź co bądź, była tu obca i nikt nie znał

jej na tyle, by życzyć jej śmierci. Odłożyła pistolet z silnym postanowieniem, że nigdy więcej nie weźmie go do ręki.

Sięgnęła natomiast po skrzypce. Od czasu przyjazdu prawie nie grała, brakowało jej czasu. Przesunęła palcami po gładkim, wypolerowanym drewnie, musnęła struny. To nie są ćwiczenia, powiedziała sobie, przecierając kalafonia smyczek. To nie jest występ. Zagra dla samej siebie; przyjemność, o której, pochłonięta pracą, zupełnie zapomniała.

Przymknęła oczy i ułożyła skrzypce na ramieniu, odruchowo przyjmując przepisową postawę.

Wybrała Szopena, dla pięknej muzyki, dla jej spokoju i nutki melancholii, której nie potrafiła w sobie zagłuszyć. Jak zwykle, muzyka wypełniła ją całą.

Nie myślała teraz o śmierci, o strachu. Nie myślała o Luisie i zdradzie, rodzinie, którą straciła, bez której musiała się obyć. Nie myślała o muzyce. Po prostu czuła ją.

Brzmi jak płacz, pomyślał Tucker wchodząc na werandę. Ciche, bolesne łkanie, takie które dobywa się z duszy.

Zawstydził się tych myśli, choć nikt nie mógł ich słyszeć. To tylko muzyka wygrywana na skrzypcach, jakiś rozwlekły nokturn, kompletnie pozbawiony rytmu.

Człowiekowi nie chce się nawet przytupywać nogą do taktu. Ale brzmi tak rozdzierająco, kiedy płynie do ogrodu z otwartych okien. Niemal czuł tę muzykę, mógłby przysiąc, że oblaży go dźwięki.

Zapukał, ale tak cicho, że ledwie sam to usłyszał. Sięgnął do klamki i pchnął siatkowe drzwi. Muzyka zaprowadziła go do frontowego salonu.

Caroline stała na środku pokoju, z głową pochyloną lekko ku skrzypcom, twarzą do okien, tak że mógł widzieć jej profil. Oczy miała zamknięte, a jej uśmiech był równie tęskny jak sama melodia.

Nie potrafiłby powiedzieć, skąd wiedział, że muzyka wydobywała się wprost z jej serca. Dźwięki zawisły w powietrzu jak nie wypowiedziane pytanie.

Wsunął ręce w kieszenie, oparł się o framugę i pozwolił Caroline, by go z sobą uniosła. To było dziwne i niepokojące odkrycie, że kobieta może koić i podniecać zarazem, choć nie otarło się to nawet o seks.

Kiedy skończyła i muzyka odpłynęła w ciszę, poczuł rozczarowanie tak głębokie, że niemal bolesne. Gdyby miał choć trochę oleju w głowie, wymknąłby się z salonu, wykorzystując jej oszołomienie, i zapukał. Ale on zrobił pierwszą rzecz, jaka mu przyszła na myśl. Zaklaskał.

Podskoczyła nerwowo. Jej ciało wyrażało już tylko napięcie, a oczy strach, który w jednej chwili ustąpił miejsca irytacji.

- Co pan tu robi, do ciężkiej cholery?

- Pukałem. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się szeroko, zniewalająco, dokładnie tak samo jak nad stawem. - Była pani zbyt zaabsorbowana, żeby usłyszeć.

Opuściła skrzypce, ale trzymała w górze smyczek, jakby to była szabla.

- A może nie chciałam, żeby mi przeszkadzano.

- Jakoś o tym nie pomyślałem. Lubię muzykę. Wprawdzie wolę rhythmblues, trochę jazzu, ale to też było coś. Nic dziwnego, że pani z tego żyje.

Nie spuszczał z niego wzroku, odłożyła skrzypce.

- Fascynujący komplement.

- Taka sobie uwaga. Przypomina mi pani breloczek, jaki miała moja mama. To była perła zamknięta w bryle bursztynu. Bardzo ładna rzecz, ale smutna. Perła była tam całkiem sama i nigdy nie miała się wydostać. Wyglądała pani dokładnie tak samo kiedy pani grała.

Zawsze pani gra takie smutne piosenki?

- Gram to, co lubię.

Jego siniaki nabrały kolorów przez ostatni dzień, nadając jego twarzy buńczuczny, groźny wyraz. Jednocześnie miał w sobie tyle z małego chłopca, że kobieta pragnęła przycisnąć coś zimnego - choćby usta - do tych bolesnych śladów.

- Istnieje jakiś powód, dla którego nachodzi mnie pan w domu, panie Longstreet?

- Może pani mówić do mnie Tucker. Ja będę nazywał cię Caroline. Albo Caro. -

Błysnął zębami w uśmiechu. - Tak nazywała cię panna Edith. Ładnie.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Oderwał się od framugi.

- Sąsiedzi odwiedzają się tu bez specjalnego powodu, ale ja go mam. Nie poprosisz mnie, żebym usiadł?

Uniosła dumnie głowę.

- Nie.

- Cholera! Im bardziej stajesz się antypatyczna, tym bardziej cię lubię. Jestem pod tym względem perwersyjny.

- A pod innymi względami? Zachichotał i przysiadł na oparciu sofy.

- Najpierw musimy się lepiej poznać. Ludzie mówią, że jestem łatwy, ale ja mam swoje zasady.

- Cóż za ulga! A wracając do celu twojej wizyty?

Założył nogę na nogę z całą swobodą, jakby siadał na tej poręczy codziennie od dwudziestu lat.

- Boże, lubię słuchać, jak mówisz. Z takim chłodem, jakbyś zjadła przed chwilą michę lodów brzoskwiniowych. Przepadam za lodami brzoskwiniowymi.

Ściągnęła kąciki ust ku dołowi, żeby się nie uśmiechnąć.

- Nie interesują mnie twoje gusty kulinarne, nie jestem również w nastroju do zabawiania gości. Mam za sobą parę trudnych dni.

Spoważniał.

- To musiało być dla ciebie ciężkie, ta historia z Eddą Lou.

- Ona zniosła to o wiele gorzej. Wstał i zaczął spacerować po pokoju.

- Jesteś tu już parę dni i słyszałaś pewnie wszystko, co się mówi w mieście. - Sięgnął

po papierosa.

Chociaż próbowała do tego nie dopuścić, odczuła coś na kształt współczucia. Ciężko jest żyć, kiedy każdy błąd wywlekany jest na światło dzienne i staje się tematem publicznych roztrząsań. Wiedziała coś na ten temat.

- Jeżeli powiesz, że plotki w tym mieście są równie dokuczliwe jak wilgotność powietrza, będę musiała się z tobą zgodzić.

- Masz prawo myśleć na ten temat, co ci się żywnie podoba, ale chcę, żebyś mnie wysłuchała.

Uniosła pytająco brew.

- Nie rozumiem, dlaczego moje myśli są przedmiotem twojego zainteresowania.

- Bardzo ochoczo podzieliłaś się z nimi z tym wypucowanym Jankesem.

Czekała. Sposób, w jaki spacerował po pokoju, wyrażał większą frustrację niż gniew.

Odprężyła się na tyle, by odłożyć smyczek.

- Jeżeli masz na myśli agenta Burnsa, powiedziałam mu tylko to, co widziałam. Byłeś nad stawem.

Odwrócił gwałtownie głowę.

- Jasne, że byłem, do cholery! Czy wyglądałem na kogoś, kto planuje morderstwo?

- Byłeś bardzo zły - rzuciła ostro. - Nie mam pojęcia, co planowałeś. Zatrzymał się, odwrócił na pięcie i postąpił krok w jej stronę.

- Jeżeli naprawdę myślisz, że zadźgałem Eddę Lou, dlaczego stoisz tutaj i rozmawiasz ze mną, zamiast wrzeszczeć o pomoc?

Uniosła podbródek.

- Potrafię zatroszczyć się o siebie. Skoro powiedziałam policji wszystko, co wiem -

czyli praktycznie nic - nie masz powodu, by zrobić mi krzywdę.

Zacisnął pięści.

- Droga pani, patrzysz na mnie, jakbym był czymś, co przed chwilą zdrapałaś z podeszwy swojego buta. Myślę, że znalazłbym jakiś powód, gdybym dobrze poszukał.

- Nie strasz mnie! - Adrenalina przetoczyła się przez nią i popchnęła do przodu.

Podeszła do Tuckera bliźniutko, tak że niemal dotykała go nosem. - Znam ten typ mężczyzny, który reprezentujesz, Tucker. Nie staję na głosie, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę, a ty nie możesz tego znieść. To drażni twoją męską dumę, kiedy kobieta nie jest zainteresowana. A kiedy już wykaże

zainteresowanie, jak ta Edda Lou, nie możesz się doczekać, żeby się jej pozbyć.

Jej słowa zawierały wystarczającą dozę prawdy, by zadać ból.

- Złotko, kobiety przychodzą i odchodzą. Nie usycham za nimi z tęsknoty i z całą pewnością ich nie morduję. A w kwestii stawania na głowie... Jezu!

Krzyknęła krótko, kiedy chwycił ją i rzucił na podłogę. Wylądował na niej ciężko, aż stęknęła. Usłyszała wybuch i przez chwilę myślała, że to trzask jej czaszki rozbijanej o deski.

- Co u diabła...!

- Leż! Słodki Jezu! - Jego twarz znalazła się tylko o parę centymetrów od jej oczu i Caroline ujrzała w niej coś jakby strach.

- Jeśli natychmiast ze mnie nie zejdziesz... - Jeżeli nawet coś złego chciała mu zrobić, zrezygnowała usłyszawszy następny wybuch. Zobaczyła, jak coś rozrywa poduszkę kanapy tuż nad jej głową. - Mój Boże! - Zacisnęła Palce na jego ramieniu. - Ktoś do nas strzela.

- Szybko łapiesz, skarbie.

- Co masz zamiar zrobić?

- Moglibyśmy tu zostać i poczekać, aż on sobie pójdzie. - Pochylił ku niej czoło dziwnie intymnym ruchem. - Cholera! Jest na tyle szalony, by zabić również ciebie i uznać to za wyrok boski.

- Kto? - Uderzyła go pięścią w plecy. - Kto?!

- Tatuś Eddy Lou. - Tucker uniósł trochę głowę. Zauważył, że jej usta są świeże, pełne i nagie, ale nie drążył tematu. Odnotował, ale nie drążył.

- Tej zamordowanej kobiety? Jej ojciec jest tutaj i strzela do nas?

- Głównie do mnie. Ale nie zmartwi się, jeżeli przy okazji trafi ciebie Zobaczyłem go przez okno, kiedy brał mnie na muszkę.

- To jakieś wariactwo. Nie wolno strzelać tak po prostu ludziom w okna.

- Nie omieszkać wspomnieć mu o tym przy pierwszej sposobności. - Istniało tylko jedno wyjście z sytuacji, i to wyjście bardzo mu się nie podobało. - Masz tu jakaś broń?

- Tak. W gabinecie dziadka, po drugiej stronie holu.

- Chcę, żebyś coś zrobiła. Masz tu leżeć i się nie odzywać. Skinęła głową.

- W porządku, to mogę zrobić. - Kiedy uwolnił ją od swego ciężaru, chwyciła go za koszulę. - Zastrzelisz go?

- Chryste, mam nadzieję, że nie!

Przykucnął, używając kanapy jako osłony, potem, wstrzymując oddech, przeczołgał

się przez otwartą przestrzeń. Znalazłszy się przy drzwiach uznał, że jest dosyć daleko od Caroline, by strzały nie mogły jej dosięgnąć.

- Austin, ty skurwielu, tu jest kobieta!

- Moja córka też była kobietą. - Kolejny pocisk strzaskał szybę w oknie. - Zabiję cię, Longstreet. Nadeszła godzina zemsty. Zabiję cię. a potem zrobię ci to, co ty zrobiłeś Eddzie Lou. Pokroję cię na plasterki.

Tucker przycisnął pięściami oczy, próbując się skoncentrować.

- Nie chcesz chyba zranić tej młodej damy.

- Nie wiem, czy ona jest damą. Może to któraś z twoich dziwek. Sara Pan kieruje moją dłońią. Oko za oko, ząb za ząb. „Bowiem Pan Bóg jest wszystko spalającym ogniem, a zapłatą za grzech jest śmierć”.

Podczas gdy Austin cytował *Pismo Świąte*, Tucker przeczołgał się przez hol. W

gabinecie chwycił remingtona i mokrymi od potu dłońmi załadował broń. Zemdlilo go na samą myśl, że być może będzie musiał jej użyć. Zbliżył się do okna, usunął siatkę i wy dostał

się na zewnątrz.

Mamrocząc słowa jakiejś modlitwy, ruszył biegiem w stronę krzaków.

Austin obrał sobie pozycję naprzeciwko domu i stał oparty o pień samotnego klonu.

Pot spływał mu ciurkiem po twarzy i moczył bawełniana koszulę. Wzywał Jezusa, przeplatając fragmenty modlitw ogniem z karabinu. Wybił już wszystkie frontowe okna.

Mógłby wdrzeć się do domu i zakończyć sprawę. Ale on chciał, musiał zobaczyć jak Tucker cierpi. Ponad trzydzieści lat szukał pretekstu, by zrobić krzywdę jakiemuś Longstreetowi. Teraz go znalazł.

- Przestrzelę ci czerep, Tucker. Odstrzelę ci tego kutasa, z którego jesteś taki dumny.

Oto kara za cudzołóstwo. Pójdiesz do piekła bez fiuta. Taka jest wola boża Słyszysz mnie, zatwardziały grzeszniku? Słyszysz, co do ciebie mówię?

Bez specjalnych skrupułów Tucker przyłożył wylot lufy karabinu do lewego ucha Austina.

- Słyszę, nie musisz wrzeszczeć. - Bardzo pragnął, by Austin nie zauważył, że karabin tańczy w jego roztrzęsionych dłoniach. - Odłóż broń. Austin, albo przestrzelę ci głowiznę.



Możesz mi wierzyć, zrobię to bardzo niechętnie. Wprawdzie ty umrzesz, aleja będę miał zniszczoną koszulę. A jest prawie nowa.

- Zabiję cię. - Austin próbował odwrócić głowę, lecz Tucker dźgnął go lufą..

- Jeszcze nie dzisiaj. A teraz odrzuć karabin, a potem zdejmij pas z amunicją. Powoli.

- Kiedy Austin się zawahał, Tucker pchnął go ponownie. Miał idiotyczną wizję lufy przebijającej się przez głowę Austina i wychodzącą drugim uchem. - Wiem, że nie najlepszy ze mnie strzelec, ale nawet ja nie mogę spudłować, trzymając lufę w uchu.

Odetchnął z ulgą, kiedy Austin rzucił karabin.

- Caroline! - krzyknął. - Zadzwoń do Burka'a i każ mu tu przyjechać. Potem przynieś jakiś sznur. - W chwili, gdy pas z amunicją dotknął ziemi. Tucker usunął go kopniakiem w dalsze rejony. - Mówiłeś coś o moim fiucie, Austin?

Po dwóch minutach z domu wypadła Caroline z kawałkiem sznura od bielizny.

- Burke jest w drodze. Tylko to udało mi się... - Urwała zobaczywszy mężczyznę rozciągniętego na trawniku. Czarną twarz miał zlaną potem. Pasta do butów spłynęła częściowo na jego potężny tors i wielkie uda. Tucker sprawiał przy nim wrażenie wyciszacza.

- Przyniosłam sznur. - Głos jej się załamał na wysokiej nucie i musiała przełknąć ślinę.

- Dobrze. Kochanie, obejdz go bokiem.

Zwilżywszy wargi językiem, Caroline obeszła Austina szerokim łukiem.

- Jak ci się to... To znaczy, on jest taki mocny.

- Głównie w gębie. - Nie mógł sobie odmówić tej przyjemności i szturchnął Austina nogą. - Był tak zajęty wrzaskami i strzelaniem, że nie usłyszał nadchodzącego grzesznika.

Potrafisz z tego wystrzelić?

- Tak. - Zerknęła na karabin. - Mniej więcej.

- Mniej więcej wystarczy. Prawda, Austin? Można liczyć na to, że odstrzeli ci coś niezbędnego, jeżeli wykonasz zbyt szybki ruch. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż kobieta z naładowaną bronią. Zwłaszcza jeżeli jest Jankeską. Posłuchaj, Caroline. Zwiążę go, a ty celuj mu w głowę. - Włożył jej karabin do ręki. - Spojrzeli na siebie z jednakowym wyrazem niebotycznej ulgi. Przez chwilę byli dozgonnymi przyjaciółmi.

- Właśnie tak, skarbie. Tylko nie mierz we mnie. Posłuchaj, jeżeli on się ruszy, po prostu pociągnij za spust. I natychmiast zamknij oczy, bo pocisk rozsądzi mu głowę i widok może być paskudny.

Mrugnął do niej porozumiewawczo, aby wiedziała, że ostrzega ją na użytek Austina.

- Dobra, ale jestem trochę zdenerwowana. Mam nadzieję, że nie nacisnę tego niechcący.

Tucker wyszczerzył zęby w uśmiechu i przykucnął, żeby związać Austinowi ręce.

- Daj z siebie wszystko, Caro. Nikt nie wymaga więcej. Zwiążę ci ręce i nogi razem,

„na wieprza”, Austin. Metoda w sam raz dla ciebie. - Zrobił pętlę i zaciągnął linę wokół muskularnych nóg Austina. - To bardzo brzydko, że wybiłeś wszystkie okna panny Caroline.

I zniszczyłeś kanapę starszej pani. Panna Edith lubiła tę kanapę.

Podszedł do Caroline i wyjął jej karabin z ręki.

- Kotku, skombinowałabyś mi jakieś piwo? Mam pragnienie. W gardle wezbrał jej szaleńczy śmiech.

- Nie mam... to znaczy piwa. Mam trochę wina. Trochę chardonnay - paplała nerwowo.

- Też dobrze gasi pragnienie.

- Dobrze. Ja... Dobrze. - Weszła na stopnie werandy, obejrzała się i zobaczyła, jak Tucker wyjmuje papierosa. Podniosła dłoń do czoła, jakby chciała zatrzymać wirującą w głowie karuzelę.

- Dlaczego to robisz?

- Hmmm?

- Dlaczego odcinasz koniuszek?

- A! - Zaciągnął się dymem, zdradzając wszelkie oznaki przyjemności. - Rzucam palenie. To wydaje się najrozsądniejszym sposobem. Obliczyłem, że po paru tygodniach zostanie mi pół papierosa. - Uśmiechnął się do niej, takiej nieziemsko pociągającej i bladej jak kreda. - Należysz mi tego chardonnay do dużej szklanki?

- Aha. - Odetchnęła spazmatycznie, kiedy usłyszała dźwięk syreny policyjnej. Tucker stał na tyle blisko, by usłyszała jego westchnienie ulgi. - Masz to jak w banku. - Siatkowe drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Od wschodu nadchodziła burza. Podmuch wiatru, pierwszy, jaki poczuła od chwili przekroczenia granicy Missisipi, zaszeleścił liśćmi klonu, pod którym zaledwie przed pół

godziną stał mężczyzna z nabitym karabinem.

Choć wydawało się to absurdalne i zupełnie niemożliwe, Caroline stwierdziła, że siedzi na stopniach

werandy i popija chardonnay ze szklanki, a butelka z resztką wina tkwi pomiędzy nią a Tuckerem.

Moje życie, pomyślała biorąc kolejny, długi łyk, zrobiło bardzo nieoczekiwany zwrot.

- Dobrze. - Tucker zakołysał winem w szklance. Powoli wracał do stanu zwykłego rozleniwienia.

- To moje ulubione.

- Moje też, od teraz. - Odwrócił ku niej głowę i uśmiechnął się. - Przyjemnie wieje.

- Bardzo przyjemnie.

- Przydałoby się trochę deszczu.

- Tak sędzę.

Oparł się łokciami o stopnie werandy i wystawił twarz na chłodny powiew.

- Sędząc po kierunku wiatru, nie powinno ci napadać do salonu. Obrzuciła nieprzytomnym wzrokiem powybijane okna.

- To dobra wiadomość. Przynajmniej nie zmoczy mi kanapy. Ma tylko jedną dziurę po kuli.

Poklepał ją przyjacielsko po plecach.

- Dobry z ciebie kumpel, Caro. Przypuszczam, że inna kobieta na twoim miejscu zaczęłaby płakać, wrzeszczeć albo mdleć, a ty nic.

- Aha. - Ponieważ jej szklanka była niemal pusta, dołała sobie wina. - Tucker, mogę cię o coś spytać?

Podsunał swoją szklankę, ciesząc się cudowną muzyką, jaką jest chlupot świetnego wina dolewane do świetnego wina.

- W tej chwili, złotko, możesz mnie zapytać praktycznie o wszystko.

- Pytam z ciekawości. Czy morderstwa i strzelaniny są czymś normalnym w tej części kraju, czy to stan przejściowy?

- No cóż... - Przez chwilę kontemlował wino w szklance, zanim się go napił. -

Ponieważ moja rodzina osiedliła się tutaj jeszcze przed wojną. to znaczy przed Wojną Domową.

- Naturalnie.

- Czuję się więc uprawniony do rozstrzygnięcia tej kwestii. Muszę stwierdzić, że morderstwa, o jakich myślisz, były w Innocence czymś nieznanym. Zastanówmy się. Kiedy byłem dzieckiem, Whiteford Talbot przestrzelił Cala Beauforda na wylot. Ale Witeford złapał

starego Cala zjeżdżającego po rynnę z jego sypialni. A żona Whiteforda, nazywała się Ruby Talbot, znajdowała się wtedy w łóżku goła jak święty turecki.

- To zupełnie co innego - orzekła Caroline.

- No widzisz. Jakies pięć lat temu chłopcy Bonnych i Shiversów nafaszerowali się wzajemnie śrutem. Poszło o świnię. A ponieważ są kuzynami i do tego trochę niespełna rozumu, nikt się tym specjalnie nie przejął.

- To zrozumiałe.

Jezu, pomyślał Tucker, lubię ją, lubię ją w jakiś dziwny koleżeński sposób. Bardzo miły dodatek do pożądanego.

- Ale na ogół Innocence jest spokojnym miasteczkiem. Skrzywiła się nad szklanką.

- Przybierasz to na zawołanie?

- Co?

- Styl lekko przymulonego wiejskiego ciołka? Pokazał zęby w uśmiechu i łyknął wina.

- Tylko wtedy, gdy wydaje mi się to dobrym wyjściem z sytuacji. Westchnęła i odwróciła głowę. Niebo ciemniało, grzmoty stawały się coraz bliższe, ale tak przyjemnie było siedzieć na stopniach werandy. Zbyt przyjemnie.

- Nie boisz się? - zapytała. - Ten człowiek groził, że cię zabije, kiedy szeryf go zabierał.

- Nie ma co wpadać w panikę. - Ale niepokój w głosie Caroline poruszył wrażliwą strunę. Płynnym ruchem objął dziewczynę przez plecy. - Nie martw się, kochanie. Nie chcę, żebyś się niepokoila z mojego powodu.

Odwróciła głowę i jej twarz ponownie znalazła się tuż przy jego twarzy.

- To zahacza o patologię, nie sądzisz? Wykorzystywanie śmiertelnego niebezpieczeństwa w celu uwiedzenia.

- Ba! - Był na tyle dobroduszny, żeby się roześmiać, na tyle doświadczony, by pozostawić rękę tam, gdzie spoczywała. - Zawsze jesteś taka podejrzliwa w stosunku do mężczyzn?

- W stosunku do pewnych mężczyzn, tak. - Strąciła jego dłoń z ramienia.

- To bardzo brzydko z twojej strony, Caro, po tym wszystkim, co razem przeszliśmy -

- Westchnął żałośnie i stuknął się z nią szklanką. - Nie sądzę, żebyś chciała zaprosić mnie na kolację? Skrzywiła się. - Raczej nie.

- A może zagrasz coś dla mnie?

Potrząsnęła głową, bez uśmiechu.

- Wzięłam sobie urlop od grania dla innych.

- Jaka szkoda. Coś ci powiem, wobec tego ja zagram dla ciebie.

Uniosła brwi z niedowierzaniem.

- Umiesz grać na skrzypcach?

- Skąd! Ale umiem włączyć radio. - Wstał i uświadomił sobie w ułamku sekundy, że wino poszło mu prosto do głowy. Nie było to nieprzyjemne uczucie. Dobrnął do samochodu i przekopał się przez kasety magnetofonowe. Znalazł nagranie, o które mu chodziło, i wsunął je w odtwarzacz.

- Fats Domino - powiedział z szacunkiem, kiedy rozległy się pierwsze tony „Blueberry Hill”. Podszedł do Caroline z wyciągniętą dłonią. - Chodź.

Zanim zdążyła odmówić, postawił ją na nogi i objął ramieniem.

- Jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym, słuchając tej piosenki, nie pragnął zatańczyć z piękną kobietą.

Mogła mu odmówić, mogła wywinąć się z jego objęć. Ale to było takie niewinne. Po ostatnich dwudziestu czterech godzinach potrzebowała małej, bezpiecznej rozrywki. Poddała się więc ruchom jego ciała, kiedy prowadził ją płynnie na trawnik, pozwoliła przechylać się w tańcu. W głowie czuła przyjemny szmerek.

- Dobrze? - zapytał cicho.

- Mhm. Jesteś miły, Tucker. Zbyt miły. Ale wolę to, niż żeby do mnie strzelano.

- Tak też sobie pomyślałem. - Przytulił policzek do jej włosów. Były gładkie jak jedwab. Zawsze miał słabość do gładkich powierzchni, nie próbował więc nawet walczyć z pokusą, by otrzeć się policzkiem o jej policzek, przesunąć dłonią po jej plecach. Jakie smukłe były jej nogi ocierające się o jego uda!

Nie czuł się zaskoczony faktem, że jest podniecony erotycznie. Było to tak naturalne jak oddychanie. Zaskoczyło go coś innego: nieprzeparte Pragnienie, by przerzucić sobie Caroline przez plecy i zanieść na górę do sypialni. Nigdy dotąd nie wykazywał

niecierpliwości w stosunkach z kobietami, lubił rozkosze pogoni, zwalnianie tempa, przedłużanie przyjemności. Taniec z Caroline o tej dziwnej godzinie, kiedy świat nabiera perłowoszarych barw, Pozbawił go zwykłej rezerwy.

Pomyślał, że obwini za to alkohol. Był już bardziej niż na wpół pijany.

- Pada - szepnęła Caroline. Oczy miała zamknięte, kołysała się w rytmie jego ciała.

- M - hmm. - Czuł zapach deszczu w jej włosach, na jej skórze. Doprowadzał go do szaleństwa.

Uśmiechnęła się, czując jak wielkie, ciężkie krople przenikają przez jej ubranie.

Nikt do mnie dotąd nie strzelał, pomyślała. Ale i nie tańczył ze mną w deszczu.

- Jest chłodno. Cudownie chłodno - powiedziała.

Chłodno? Tucker dziwił się niemal, że woda nie wyparowuje z sykiem po zetknięciu z jego skórą. Uświadomił sobie, że trzyma między wargami płatek jej ucha. Zadrżała zaskoczona, kiedy zacisnął na nim delikatnie zęby.

Rozwarła szeroko oczy i patrzyła tępo przed siebie, kiedy sunął wargami w stronę jej ust. Coś ciepłego i cudownego poruszyło się w jej wnętrzu, zanim zdołała to zniszczyć. Na moment przed tym, nim zagarnął jej wargi, poderwała dłoń i odepchnęła go od siebie.

- Co ty wyprawiasz? Zamrugął oczami.

- Całuję cię?

- Nie!

Patrzył na nią przez chwilę, na deszcz ściekający z jej włosów. na oczy, które zdradzały tyleż namiętności, co zdeterminowania. Miał wielką ochotę zignorować jej protest.

Zaklął pod nosem, zrozumiał, że nie potrafi.

- Caroline, jesteś trudną kobietą.

Dzwon alarmowy w jej głowie przycichł, kiedy zrozumiała, że Tucker nie będzie nalegał. Uśmiechnęła się leciutko.

- Tak mówią.

- Mógłbym pokręcić” się tu jeszcze trochę, namówić cię, żebyś zmieniła zdanie.

- Nie sądzę.

Oczy mu się śmiały. Przesunął dłonią wzdłuż całej długości jej pleców. zanim się odsunął.

- Stanowisz dla mnie wyzwanie, ale ponieważ miałaś ciężki dzień, odpuszczę ci dzisiaj.

- Dziękuję ci serdecznie.

- Jest za co! - Przesunął kciukiem po jej kłykciach. I, niech go diabli, poczuła dreszcz od głowy po czubki palców. - Będiesz o mnie myślała, kładąc się dzisiaj do łóżka, Caroline.

- Będę myślała o wprawieniu szyb do okna.

Przeniósł wzrok z jej twarzy na odłamki szkła sterczące złowrogo ze starych drewnianych ram.

- To moja wina - powiedział.

W jego oczach pojawiła się zawziętość, co przypomniało Caroline, jak do tego doszło, że stoi z Tuckerem na deszczu, trzymając się za ręce.

- Myślę, że winę ponosi Austin Hatinger - powiedziała lekkim tonem. - Choć nie poprawia to stanu moich okien.

- Ja się nimi zajmę. - Patrzył znów na nią. - Wyglądasz ślicznie, kiedy jesteś mokra.

Jeżeli postoję tu jeszcze trochę, znowu spróbuję cię pocałować. - Więc lepiej już idź. -

Szarpnęła uwięzioną dłoń, rzuciła okiem stronę samochodu i zaśmiała się.

- Tucker, wiesz, że masz opuszczony dach?

- Cholera! - Odwrócił się i wlepił wzrok w porsche'a. Krople deszczu bębniły o białą skórzaną tapicerkę. - To największy problem, jaki miewam z kobietami. Rozpraszają mnie. -

Nie zdążyła uwolnić ręki, kiedy podniósł ją do ust w długim pocałunku. - Wróć, Caroline.

Uśmiechnęła się, cofając o krok.

- Więc przywieź ze sobą szklarza.

Wskoczył do samochodu, nie kłopotząc się zasuwaniami dachu. Zapalił silnik, posłał

Caroline całusa i ruszył aleją. Widział dziewczynę we wstecznym lusterku, kiedy stała w deszczu, z włosami jak mokre zboże, w sukni oblepiającej ciało. Fats śpiewał „Ain't That A Shame”. Tuckerowi nie pozostało nic innego, jak mu zawtórować.

Caroline odczekała, aż samochód zniknie w gąszczu, potem wróciła na werandę, usiadła na stopniach i dopiła rozcieńczone wodą wino. Susie miała rację, pomyślała. Tucker Longstreet nikogo nie zamordował. I faktycznie coś w sobie ma. Dotknęła policzka dłoń, którą pocałował, i cicho westchnęła.

Jak to dobrze, że nie jest nim zainteresowana. Przymknąwszy oczy, wystawiła twarz na deszcz. Bardzo, bardzo dobrze.

Następnego dnia obudziła się w paskudnym humorze. W nocy źle spała. I, cholera jasna, myślała o nim. Przewracała się z boku na bok, dręczona na przemian obrazem Tuckera i bębnieniem deszczu o blaszany dach. Nie poddała się jednak i nie sięgnęła po tabletki nasenne przepisane jeszcze przez doktora Palamo.

Oparła się pokusie. Będzie twarda. W rezultacie wstała rano z piekącymi oczami i paskudnym bólem głowy.

Kiedy połknęła aspirynę i weszła pod prysznic, wiedziała już, kogo za to obwinić.

Gdyby nie Tucker, nie wyżłopałaby pół butelki wina. Gdyby nie Tucker, nie leżałaby bezsenne w łóżku nękana pożądaniem. Gdyby nie Tucker, nie miałyby dziur w całym domu i nie musiałyby ich zatykać, zanim muchy, komary i Bóg wie jaka zwierzyna postanowią zamieszkać z nią razem.

Sielankowy spokój, pomyślała z ironią, wychodząc spod prysznic. Cichy azyl, w którym można lizać rany. Tucker wywrócił jej życie do góry nogami. Martwe kobiety, szaleńcy z karabinami! Mamrocząc pod nosem, Caroline ściągnęła szlafrok. Dlaczego, u licha, nie pojechała na południe Francji, żeby smażyć się na ludnej plaży?

Ponieważ chciała wrócić do domu, pomyślała z westchnieniem. Domostwo dziadków kojarzyło jej się z domem rodzinnym, choć spędziła tu zaledwie kilka cudownych dni w dzieciństwie.

Nikt i nic nie zepsuje jej tej radości. Caroline zeszła energicznie ze schodów, jedną ręką przytrzymując obolałą głowę. Chciała spokoju, i będzie go miała. Będzie siedziała na werandzie i podziwiała zachody słońca, pielęgnowała kwiatki i słuchała muzyki. Samotność, prawdziwa sielanka, to był jej wybór. Nikt jej w tym nie przeszkodzi. A zacnie się to już teraz.

Z zaciętą twarzą otworzyła na oścież frontowe drzwi i krzyknęła zdławionym głosem.

Przy wybitym oknie stał Murzyn z blizną na twarzy i ramionami jak sztangista.

Caroline pochwyciła błysk metalu w jego dłoni. Pomyślała pięć rzeczy naraz. Rzucić się do telefonu! Przedrzeć się do samochodu i modlić się, żeby kluczyk był w stacyjce! Stać i wrzeszczeć.

- Panna Waverly, psze pani?

Po kilku nieudanych próbach, udało jej się wydobyć głos.

- Zadzwoiłam do szeryfa.

- Tak, psze pani. Tuck mówił, że miała tu pani kłopoty.

- Ja... Słucham?

- Hatinger wybił pani okna, no nie? Szeryf go zamknął. Myślę, że szybko się z tym uporam.

- Upora się pan?

Zobaczyła, jak podnosi dłoń, i nabrała powietrza do krzyku. Wypuściła je ze świstem, kiedy spostrzegła, że metalowy przedmiot jest miarką stolarską. Podczas gdy próbowała uspokoić walące serce, Murzyn mierzył okno.



- Naprawi pan moje okna.

- Tak, psze pani. Tuck zadzwonił wieczorem. Powiedział, że da pani znać, że rano przyjdę wymierzyć okna. - W jego orzechowych oczach błysnęło rozbawienie. - Coś mi się widzi, że pani nie powiedział.

- Nie. - Caroline przycisnęła dłoń do piersi, czując na przemian fale ulgi i irytacji. -

Nic nie powiedział.

- Nie można na nim polegać.

- Też mi się tak zdaje.

Kiwając głową gryzmolił w notatniku.

- Chyba panią wystraszyłem.

- Nie szkodzi - uśmiechnęła się zeszywniałymi wargami. - Zaczynam się przyzwyczajać. - Przeszła palcami wilgotne włosy. - Nie powiedział mi pan swojego nazwiska.

- Jestem Toby March. - Podniósł dłoń do daszka wysłużonej czapki baseballowej. -

Majster do wszystkiego.

- Miło mi pana poznać, panie March.

Po chwili wahania March ujął wyciągniętą ku sobie dłoń.

- Proszę mi mówić Toby, psze pani. Jak wszyscy.

- A więc, Toby, jestem panu bardzo wdzięczna, że przyjechał pan tak szybko.

- Cieszę się, jak mogę pracować. Da mi paniusia szczotkę, to zmiotę szkło. - Dobrze.

Napije się pan kawy?

- Nie chcę robić paniusi kłopotu.

- To żaden kłopot. Właśnie miałam zaparzyć.

- Uprzejmie dziękuję. Czarna z trzema łyżeczkami cukru, jeśli wolno.

- Za chwilę będzie gotowa. - Rozdzwonił się telefon. - Przepraszam. Trzymając się za obolałą głowę, Caroline pobiegła do holu i poderwała słuchawkę. - Tak?

- Ależ ekscytujące życie prowadzisz, moja droga!

- Susie! - Caroline oparła się o balustradę schodów. - Kto to powiedział, że małe miasteczka są spokojne?

- Ktoś, kto w nim nigdy nie mieszkał. Wiem od Burke'a, że wyszłaś z tego bez szwanku. Przyjechałabym do ciebie, ale chłopcy nabawili się kataru. Niby nie spuszcza ich z oczu, a dom i tak przypomina pobożowisko.

- Nic mi nie dolega, naprawdę. - Z wyjątkiem kaca, zszarganych nerwów i głębokiej frustracji seksualnej. - Czuję się po prostu jak przepuszczona przez maszynkę.

- Nic dziwnego, skarbie. Wiesz co? Urządzamy jutro barbecue. Zajrzysz do nas o piątej, usiądziesz sobie w cieniu, objesz się po dziurki w nosie i zapomnisz o kłopotach.

- To brzmi cudownie.

- Godzina piąta. Pojedziesz do końca Market Road i skręcisz w lewo na Magnolię.

Trzeci dom na prawo. Żółty, z białymi okiennicami. Drogę wskaże ci zapach pieczonych żeberek.

- Przyjadę na pewno. Dzięki, Susie.

Caroline odłożyła słuchawkę i poszła do kuchni. Nastawiła wodę, wsadziła parę kromek chleba do opiekacza i wyjęła słoik dżemu z dzikich malin. Słońce połyskiwało w mokrej trawie, zapach gorącej ziemi był równie kuszący jak aromat świeżo parzonej kawy.

Caroline patrzyła na dzięcioła, który sadowił się na pniu, żeby wydziobać sobie śniadanie.

Z werandy dobiegał głęboki, miękki baryton Toby'ego. Murzyn śpiewał gospelowską pieśń o poszukiwaniu spokoju.

Caroline uświadomiła sobie, że ból głowy minął.

Mimo wszystko dobrze jest być w domu.

Niezbyt daleko od domostwa McNairów ktoś leżał w zmiętej pościeli i jęczał przez sen. Sny płynęły jak ciemna, kręta rzeka. Sny o seksie, krwi, o władzy. Sny zapominane o brzasku. Czasem tylko trzepczą się w podświadomości i jak ostroskrzydłe motyle przecinają mózg, pozostawiając rany.

W snach zjawiały się kobiety, zawsze kobiety. Brutalne, rozchichotane suki.

Znienawidzona potrzeba ich posiadania - gładkiej skóry, ulotnego zapachu, gęstego smaku.

Można ją było zwalczyć. Przez dni, tygodnie, nawet miesiące nie odczuwać wobec nich niczego z wyjątkiem czułości, nawet szacunku. A potem któraś z nich robiła coś. Coś, co wymagało kary.

Wtedy pojawiał się ból, narastał głód. Mogła go uciszyć tylko krew. Ale nawet pośród tej żądzy, pośród bólu zawsze zjawiała się dzika satysfakcja, że choćby nie wiem jak długo szukali, nigdy nie

znajdą dowodu. Nigdy.

Szaleństwo przyczało się w Innocence, dobrze ukryte. Tego lata zadomowiło się na dobre w ciele nie mającego na to ochoty gospodarza. I czekało.

Doktor Theodore Rubenstein - Teddy dla przyjaciół - siedział w pokoju do balsamowania zwłok i zjadał drugiego pączka z czereśniowym nadzieniem. Popijał ciastka ciepłąwą colą prosto z butelki. Nigdy nie nauczył się pić kawy.

Teddy przemknął się właśnie przez czterdzieste urodziny i odkrył w gęstwinie brązowych włosów siwe nitki. Nie łysiał, dzięki Bogu, ale siwizna też nie budziła jego zachwyty. Stwierdził, że mógłby się bez niej obejść.

Teddy uważał się za zabawnego faceta. Zdawał sobie sprawę, że nie jest oszalamiająco przystojny z tymi swoimi małymi oczkami, lekko cofniętym podbródkiem i ziemistą cerą. Uwodził więc poczuciem humoru.

Koteczki, powtarzał sobie, łapią się na osobowość nie gorzej niż na grecki profil.

Nucąc pod nosem, przystąpił do mycia rąk w umywalce Palmera, tuż pod trójwymiarowym obrazkiem Jezusa. Żeby skrócić sobie nudny czas szorowania. Teddy kiwał

się na boki. Przy kiwnięciu w lewo, Jezus miał czerwoną szatę i dobroduszny wyraz twarzy.

Podnosił subtelną dłoń do walentynkowego serca widocznego na piersi. Przy kiwnięciu w prawo jego twarz stawała się smutna i zboląła, co było zupełnie zrozumiałe, zważywszy że teraz miał na głowie cierniową koronę, a jego czoło intelektualisty znaczyły smużki krwi.

Ciekawe, który wizerunek podoba się Palmerowi bardziej, pomyślał Teddy i sięgnął

po Rock - Hard Cavity Fluid. Wycierając ręce próbował ustawić się tak, żeby zobaczyć oba oblicza złane w jedno. Za jego plecami leżała na stole do balsamowania naga Edda Lou Hattinger, kredowobiała w bezlitosnym świetle jarzeniówek.

Widoki takie jak ten nie odbierały Teddy'emu apetytu. Został patologiem. ponieważ oczekiwano, że pójdzie na studia medyczne. Był czwartym pokoleniem Rubensteinów z literkami „dr” przed nazwiskiem. Ale już na pierwszym roku interny odkrył w sobie niemal obsesyjny wstręt do chorych ludzi.

Zupełnie inaczej miała się sprawa z ludźmi martwymi.

Praca z trupem nigdy nie wywoływała jego niechęci. Szpitalne dyżury z jęczącymi pacjentami odbierały mu chęć do życia. W dniu, w którym kazano mu uczestniczyć w sekcji, odkrył swoje powołanie.

Martwi nie jęczeli, nie trzeba ich było ratować, a przede wszystkim nie mogli zaskarżyć człowieka do sądu za niewłaściwe leczenie.

Stanowili natomiast zagadkę. Można ich było rozebrać na części pierwsze, rozczłonkować, sprawdzić, co nawaliło, i spisać raport.

Teddy lubił zagadki i wiedział, że radzi sobie o niebo lepiej ze zmarłymi niż żyjącymi.

Obie jego eks - żony miały wiele do powiedzenia o jego braku wrażliwości, egoizmie i makabrycznym poczuciu humoru, chociaż Teddy uważał, że jest szalenie zabawny.

Był zdania, że wsadzenie trupowi w rękę sztucznego penisa to świetny kawał.

Burns miał zupełnie inne odczucia, ale Teddy lubił irytować Burnsa. Uśmiechając się do siebie, naciągnął chirurgiczne rękawiczki. Od paru tygodni opracowywał pewien numer i czekał tylko na okazję, by wypróbować go na jakimś ponuraku. Matt Burns nadawał się znakomicie. Teddy potrzebował jedynie odpowiednio zmaltretowanej ofiary.

Posłał Eddzie Lou całusa z podziękowaniem i włączył magnetofon.

- Mamy tu - zaczął naśladować chropawy akcent Południowca - ...mamy tu kobietę, typ kaukaski, dwadzieścia pięć lat. Zidentyfikowana jako Edda Lou Hatinger. Wzrost sto osiemdziesiąt centymetrów, ciężar ciała sześćdziesiąt kilogramów. Chłopcy i dziewczęta, zbudowana jak Lolobrigida.

To, pomyślał Teddy radośnie, powinno wkurwić Burnsa.

- Nasz dzisiejszy gość otrzymał kilkanaście ran ciętych. O, przepraszam, Eddo Lou, jest ich dwadzieścia dwie. Skoncentrowane w okolicach piersi, tułowia i genitaliów. Użyto ostrego narzędzia o gładkim ostrzu do przecięcia żyły szyjnej, tchawicy i krtani. Cięcie horyzontalne. Sądząc po głębokości i kącie ran, powiedziałbym od lewej do prawej, co wskazuje na praworęcznego napastnika. Innymi słowy, panie i panowie, ma podejrzięte gardło, od ucha do ucha, ostrzem o długości... - gwizdnął mierząc ranę - przeszło siedemnastu centymetrów. Wszyscy obecni oglądali „Krokodyla Dundee”? - Co za nóż! - zawołał

parodiując Aussie. - Po obejrzeniu innych obrażeń, muszę stwierdzić, że gardło było przyczyną śmierci. Gardło, zdecydowanie gardło. Możecie mi wierzyć. Jestem lekarzem.

Pogwizdując melodię z „Summer Place” kontynuował badanie.

- Uderzenie u podstawy czaszki, ciężkim przedmiotem o chropawej Powierzchni. -

Ostrożnie wyciągnął coś spod skóry pincetą. - Drobne elementy wyglądające na drzazgi.

Możemy spokojnie przyjąć, że ofiara dostała przez łeb gałęzią. Cios zadany przed zgonem.

Jeżeli wy tam, panowie detektywi dojdziecie do wniosku, że cios pozbawił ofiarę przytomności, wygracie darmową wycieczkę na Bahamy dla dwojga plus zestaw toreb Podróżnych firmy Samsonite!

Na dźwięk otwieranych drzwi podniósł wzrok. Burns skinął mu głową. Teddy odpowiedział uśmiechem.

- Panie i panowie, agent specjalny Matthew Burns przybył właśnie, by obejrzeć mistrza przy pracy. Jak leci, Burnsiu?

- Postępy?

- Och, Edda Lou i ja zaczynamy się poznawać. Myślę, że wybierzemy się wieczorem na tańce.

Burns zgrzytnął zębami.

- Jak zwykle, Rubenstein, twoje żarty są niesmaczne i żałosne.

- Eddzie Lou bardzo się podobają, prawda, kochanie? - Poklepał ją po ręce. -

Zadrapania i siniaki na przegubach i kostkach...

Burns odcierpiał w milczeniu piętnastominutowy wykład.

- Czy została zgwałcona?

- Trudno powiedzieć - odparł Teddy sznurując usta. - Zrobię test. Burns odwrócił

oczy, kiedy Teddy brał próbkę.

- Wsadzę ją do wody na dwanaście, piętnaście godzin. Na razie mogę ustalić czas śmierci z grubsza, między jedenastą a trzecią w nocy, szesnastego czerwca.

- Chcę wiedzieć o tej dziewczynie wszystko. Co jadła i kiedy to jadła. Czy brała narkotyki czy piła alkohol. Czy odbyła stosunek płciowy. Podobno była w ciąży. Chcę wiedzieć w którym tygodniu.

- Sprawdzę. - Teddy odwrócił się i ostentacyjnie zmienił instrumenty. - Powinieneś chyba obejrzeć jej zęby trzonowe, zwłaszcza te z lewej. Szalenie interesujące.

- Zęby?

- Tak. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

Zaintrygowany Burns pochylił się nad dziewczyną. Otworzył jej usta. przymrużył

oczy.

- Pocałuj mnie lepiej, ty głupcze! - zażądała Edda Lou. Burns zaskowyczał i odskoczył

w tył.

- Jezu Chryste!

Zgięty w pół Teddy śmiał się tak, że musiał usiąść na stołku. Przez wiele miesięcy ćwiczył bruchomówstwo właśnie z myślą o takiej chwili. Panika na twarzy Burnsa wynagrodziła mu wszystkie trudy.

- Masz styl, Burnsiu - wykrztusił. - Nawet truposzki na ciebie lecą. Próbując odzyskać panowanie nad sobą, Burns zacisnął dłonie. Gdyby przyłożył Rubensteinowi w szczękę, musiałby złożyć doniesienie na samego siebie.

- Pierdolony czubek!

Teddy popatrzył tylko na zbieleńskie oblicze Burnsa i szarą twarz Eddy Lou i zapał.

Burns wiedział, że nic mu nie może zrobić. Oficjalna skarga zostałaaby niechętnie odnotowana i zignorowana. Rubenstein był najlepszy w tym fachu. Znany świr, ale najlepszy.

- Chcę mieć wyniki testów jeszcze dzisiaj, Rubenstein. Może tobie wydaje się to bardzo zabawne, ale ja muszę schwytać psychopatę.

Niezdolny przemówić słowa, Teddy skinął tylko głową i dalej trzymał się za obolałe boki.

Kiedy za Burnsem zatrzasnęły się drzwi, Teddy otarł zażawione oczy i zszedł ze stołka.

- Eddo Lou, złotko - wykrztusił. - Nie wiem, jak ci dziękować. Wierz mi, przejdziesz do historii FBI. Kumple w Waszyngtonie zdechną ze śmiechu.

Pogwizdując, ujął skalpel i wrócił do pracy.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Darleen Fuller Talbot wsłuchiwała się w gwar rozmów na przyjęcia u sąsiadów dobiegający przez okno sypialni. Uważała, że to cholernie brzydko, że Susie Truesdale nie zaprosiła na imprezę swojej najbliższej sąsiadki.

Darleen z przyjemnością poszłaby na przyjęcie i zapomniała na chwilę o swoich kłopotach.

Oczywiście, Susie nie utrzymywała z Darleen stosunków towarzyskich. Woląa Longstreetów, Shayse'ow i tych zadufanych w sobie Cunninghamów z przeciwka. Jakby nie wiedziała, że świętoszkowaty John Cunningham zdradza swoją wymuskaną żonkę z Josie Longstreet.

Susie chyba zapomniała, że była zmuszona wyjść za mąż i z brzuchem jak bęben obsługiwała gości w „Chat'N Chew”. Jej mąż może i pochodził z bogaczy, ale bogaty nie był.

Wszyscy wiedzieli, że tata Burke'a zabił się. ponieważ nie zostało mu nic, z wyjątkiem kupy długów.

Truesdale'owie nie byli lepsi od niej, Longstreetowie zresztą też nie. To prawda, że jej tata zarabiał na życie pracując w oczyszczalni bawełny zamiast ją po prostu posiadać, ale nie był pijakiem. I nie był martwy.

Darleen uważała, że to bardzo nieładnie ze strony Sussie zorganizować przyjęcie na podwórku, gdzie zapach pieczonego mięsiwa i ostrych sosów może sprawić komuś przykrość.

Rany, nawet jej własny brat tam był. Ale nie mogła przecież wymagać od Bobby'ego Lee, żeby szanował uczucia swej siostry.

Do diabła z nim, do diabła z dupkami Truesdale'ami i całą resztą, nie poszłaby na żadne cholerne przyjęcia, nawet gdyby otrzymała zaproszenie, chociaż Junior pracował od czwartej do północy na stacji benzynowej. Czy mogłaby się śmiać i zlizywać sos do pieczeni z palców, skoro w najbliższy wtorek jej ukochana przyjaciółka spocznie w grobie?

Westchnęła, i Billy T., który ssał jej różowe brodawki wkładając w to całe serce, pomyślał, że Darleen w końcu doceniła jego wysiłki.

Podciągnął się wyżej, żeby polizać ją w ucho.

- No dalej, maleńka, wejdź na mnie.

- Okay - - Propozycja ożywiła ją trochę. Junior nie dość, że kochał się już tylko w łóżku, to w dodatku wyłącznie w jednej pozycji. Kiedy skończyli, Billy T. leżał, paląc z zadowoleniem marlboro, Darleen gapiła się w sufit i słuchała muzyki dobiegającej z ogrodu Truesdale'ów.

- Billy T. - powiedziała wydymając wargi. - Nie wydaje ci się, że to niegrzeczne urządzić przyjęcie i nie zaprosić najbliższej sąsiadki?

- Do diaska, Darleen, przestań przejmować się tymi ludźmi!

- To po prostu nie w porządku. - Rozzłoszczona brakiem współczucia z jego strony, Darleen wstała, żeby przypudrować ciało talkiem o zapachu róż. Był to najszybszy sposób, żeby zabić zapach potu i męczyzny, a ona musiała odebrać od matki Scootera. - Susie uważa się za coś lepszego. Ta jej zasmarkana Marvella też. Tylko dlatego, że przyjaźnią się z Longstreetami. - Wciągnęła bawełnianą koszulkę i szorty, rezygnując z bielizny. Było to ustępstwo na rzecz upału. Jej duże, krągłe piersi wypchnęły bawełnę, zniekształcając sprany wizerunek Elvisa. - Tucker jest tam teraz, łąsi się do tej Waverly. Rany, Edda Lou nie została nawet pogrzebana.

- Tucker to kupa gówna.

- Edda Lou kochała go do szaleństwa. Kupił jej perfumy. - Spojrzała na Billy'ego T. z nadzieją, ale Billy T. był pochłonięty puszczaniem kółek z dymu. Darleen odwróciła się z powrotem do okna. - Nienawidzę ich. Nienawidzę ich wszystkich. Gdyby Tucker nie był

najbliższym przyjacielem Burke'a Truesdale'a, siedziałby już w mamrze jak Austin Hatinger.

- Cholera! - Billy T. pogłaskał się po wilgotnym od potu brzuchu. Zastanawiał się, jak namówić Darleen na drugą rundkę. - Tucker to kupa gówna, ale morderca z niego żaden.

Wszyscy wiedzą, że zrobił to jakiś czarny. Czarni lubią zabawić się od czasu do czasu z białą babką.

- Może jej nie zabił, ale i tak złamał jej serce. Powinien za to zapłacić. - Spojrzała na Billy'ego T. i uroniła łzę. - Chciałabym, żeby ktoś dobrał mu się do tyłka za to, że była taka nieszczęśliwa, zanim umarła. - Z dołu dobiegł głośny śmiech. Rozwścieczona Darleen otarła mokre rzęsy. - Rany, zrobiłabym wszystko dla faceta, który miałby dość odwagi, żeby mu za to odpłacić Billy T. zdusił niedopałek w małej popielniczce z wizerunkiem pomnika Waszyngtona.

- Więc przyjdź tu, malutka, i pokaż mi, jak bardzo tego chcesz, a może zrobię coś, żeby wyrównać twoje rachunki.

- Och, kochany! - Darleen jednym ruchem zdarła z piersi Elvisa i osiadła okrakiem na Billym T. - Jesteś dla mnie taki dobry.

Podczas gdy Darleen starała się zadowolić Billy'ego T., w ogródku poniżej piekły się żeberka. Przy ruszcie królował Burke przewiązany fartuchem z napisem: „Pocałuj kucharza, bo inaczej...!” W jednej ręce trzymał budweisera, drugą podlewał sosem żeberka. Susie zносиła z kuchni talerze i miseczki, gromkim głosem wydając polecenia swoim pociechom: przynieść sałatkę ziemniaczaną! Więcej lodu! Nie wyjadać faszerowanych jajek!

System działał sprawnie. Jedno dziecko znikło w kuchni, drugie się z niej wyłaniało.

Wprawdzie starsi chłopcy, Tommy i Parker, przystawali od czasu do czasu, by trącić się łokciami, ale poza tym choreografia była bez zarzutu. Młodszy chłopak, Sam, imiennik Wuja Sama, urodził się bowiem czwartego lipca, pokazywał Tuckerowi swoją kolekcję naklejek baseballowych i był stracony dla świata.

Tucker siedział na trawie i trzymając Sama na kolanach przeglądał album.

- Dam ci Rickeya Hendersona z osiemdziesiątego szóstego za tego Cala Ripkina.

- Ha! - Grzywa jasnych włosów opadła Samowi na czoło, kiedy potrząsnął stanowczo główką. - To debiutancki sezon Cala.

- Ale zagiąłeś mu róg, a mój Henderson jest w doskonałym stanie. Dorzucę ci nowiuteńkiego Wade'a Boggsa.

- Szajs. - Sam odwrócił głowę i Caroline ujrzała błysk jego ciemnych oczu. - Chcę Pete Rose'a z sześćdziesiątego trzeciego.

- To rozbój na równej drodze! Jestem zmuszony powiedzieć twojemu ojcu, żeby wtrącił cię do więzienia. Burke, ten chłopak to urodzony kryminalista. Posłuchaj dobrej rady i odeślij go do poprawczaka, a oszczędzisz sobie wielu zmartwień.

- Dzieciak wie, kiedy ma do czynienia z naciągaczem - powiedział Burke łagodnie.

- Ciągle jest wściekły o tego Mickeya Mantle'a, którego wycyганиłem od niego w sześćdziesiątym ósmym - szepnął Tucker do Sama. - Ten facet nie pojmuje ducha kreatywnego handlu. A wracając do Cala Ripkina...



- Dam ci go za dwadzieścia pięć dolców.

- Cholera! No, mały, doigrałeś się! - Unieruchomił Sama chwytem zapaśniczym i syknął mu do ucha:

- Widzisz tego faceta, usiłującego zanudzić pannę Waverly na śmierć?

- Tego w garniturze?

- Tego w garniturze. On jest agentem FBI. Żądanie dwudziestu pięciu dolarów za debiutancki sezon Cala Ripkina to przestępstwo federalne.

Sam tylko się roześmiał.

- Przysięgam na Boga! A twój tata powie ci, że nieznajomość prawa nie usprawiedliwia przestępstwa. Będę cię musiał dodać w ręce FBI.

Sam przyjrzał się Matthewowi Burnsowi, po czym wzruszył ramionami.

- Wygląda na pedzia. Tucker ryknął śmiechem.

- Gdzie ty się uczysz takich rzeczy? - Postanowił zmienić metodę i sprawdzić, czy nie uda mu się wydobyć z Sama naklejki drogą tortur. Złapał chłopca za nogi, uniósł do góry i zaczął łaskotać.

Patrząc na ich zmagania, Caroline straciła wątek rozmowy z Burnsem. Głędził coś o Sali Symfonii w Centrum Kennedy'ego. Pozwoliła mu mówić, uśmiechając się i potakując od czasu do czasu. Wołała obserwować innych gości.

Większość z nich usadowiła się w cieniu wielkiego dębu. Było to jedyne drzewo na podwórku, idealne miejsce na piknik i spokojną pogawędkę. Chudy patolog skupił wokół

siebie stadko rozbawionych pań. Caroline zastanawiała się, jak można robić sekcję jednego dnia i opowiadać kawały następnego.

Upozowana na huśtawce z opony, Josie flirtowała z lekarzem i z każdym mężczyzną w zasięgu wzroku. Dwayne Longstreet i doktor Shays siedzieli na bocznej werandzie, kołysząc się w bujanych fotelach i popijając piwo. Marvella Truesdale i Bobby Lee Fuller wymieniali długie, porozumiewawcze spojrzenia. Właścicielka salonu piękności, Crystal Jakaśtam, plotkowała na zabój z Birdie Shays.

Caroline patrzyła na wąskie podwórka ciągnące się po obu stronach posesji Truesdale'ów, na sznury z prażącą się na słońcu bielizną. Przy każdym niemal domu znajdował się warzywnik pełen dojrzałych pomidorów, fasolki szparagowej i kapusty, czekających tylko, żeby je wsadzić do garnka.

Czuła

zapach

piwa,

ostro

przyprawionego

mięsa,

kwiatów

rozgrzanych

popołudniowym słońcem. Tommy włożył nową kasetę do przenośnego magnetofonu; popłynął blues, ciężki, słodko - gorzki i przejmujący. Caroline nie zorientowała się, że to Bonnie Raitt, ale uznała, że była to jakaś znakomitość.

Chciała słuchać bluesa. Chciała słuchać pisków i chichotów Sama męczzonego przez Tuckera. Chciała usłyszeć, co mówi Crystal i Birdie o kimś, kto zginął w wypadku samochodowym przed dwudziestu laty.

Chciała tańczyć przy tej muzyce, patrzeć, jak Burke całuje swoją żonę pod osłoną dymu znad rusztu, jakby ciągle byli nastolatkami i wykradali pieszczoty w cienistych zakątkach. I chciała czuć to, co czuła Marvella, kiedy Bobby Lee wziął ją za rękę i wciągnął

do kuchni.

Chciała być częścią tego wszystkiego, a nie kimś, kto siedzi na uboczu i prowadzi dyskusję o Rachmaninowie.

- Przepraszam, Matthew - uśmiechnęła się zdawkowo, przekładając nogi nad drewnianą ławką. - Muszę zobaczyć, czy Susie nie potrzebuje mojej pomocy.

Zarzuciwszy sobie Sama na plecy, Tucker podziwiał nogi Caroline. Kuse białe szorty, które miała na sobie tego popołudnia, pozwalały na nieskrępowaną kontemplację. Westchnął, kiedy pochyliła się, żeby podnieść serwetkę. Potem Przerzucił sobie Sama przez głowę, dał

mu kuksańca w bok i wstał.

- Chyba napiję się piwa.

Caroline przystanąła przy ruszcie.

- Pachnie pięknie - powiedziała do Burke'a.

- Jeszcze pięć minut - obiecał i Susie roześmiała się.

- Zawsze to mówi. Napiłabyś się czegoś, Caroline?

- Nie, dziękuję. Pomyślałam sobie, że może potrzebujesz pomocy.

- Złotko, to po właśnie mam czwórkę dzieci! Chcę tylko, żebyś usiadła i odpoczywała.

- Widzisz, ja... - Obejrzała się ostrożnie przez ramię. Burns nadal siedział przy stole, z węzłem krawata zaciągniętym bezlitośnie pod samą szyję, i sączył chardonnay, które przyniosła Caroline.

- A! - Susie pobiegła za jej spojrzeniem. - Są takie chwile w życiu kobiety, kiedy potrzeba jej zajęcia. Może przyniosłabyś mi z kuchni marynaty maślane? Słoik stoi w szafce na lewo od lodówki.

Caroline odeszła, przepelniona wdzięcznością. Na werandzie doktor Shays podniósł

dłoń do kapelusza. Dwayne powitał ją słodkim, nieobecny uśmiechem na wpół zalanego faceta.

Caroline pchnęła drzwi do kuchni. Bobby Lee i Marvella stali przed lodówką w namiętym uścisku. Na dźwięk otwieranych drzwi odskoczyli od siebie jak oparzeni.

Marvella zaczerwieniła się i obciągnęła bluzkę, Bobby Lee uśmiechnął się na wpół dumnie, na wpół głupawo.

- Strasznie mi przykro - zaczęła Caroline, kompletnie tracąc głowę. - Chciałam tylko wziąć coś dla Susie. - Czują, że na jej policzkach można by usmażyć jajko. - Przyjdę później.

- Niemal zderzyła się z drzwiami, które Tucker pchnął od zewnątrz.

- Caro, nie możesz zostawić ich tu samych. - Mrugnął do Bobby'ego Lee. - Kuchnie to bardzo niebezpieczne miejsca. Wychodźcie na powietrze, dzieciaki, gdzie wasze mamy mogą was widzieć.

- Skończyłam osiemnaście lat - powiedziała Marbella z błyskiem w oku. - Oboje jesteśmy dorośli.

Tucker uśmiechnął się szeroko i uszczypnął ją w policzek.

- O to właśnie chodzi, słoneczko.

- Poza tym - ciągnęła Marvella - mamy zamiar się pobrać.

- Marvello! - Koniuszki uszu Bobby'ego Lee poczerwieniały jak piwonie. - Nie rozmawiałem jeszcze z twoim tatą.

Odrzuciła hardo głowę.

- Wiemy przecież, czego chcemy, prawda?

- No tak. - Bobby Lee przełknął ślinę pod spokojnym spojrzeniem Tuckera. - Jasne.

Ale zanim cokolwiek powiemy, muszę z nim porozmawiać. Tak się należy.

- Więc zacznij gadać. - Pchnęła go w stronę tylnych drzwi. Tucker patrzył za nią tępym wzrokiem.

- Jezu! - Wstrząśnięty, przeciągnął dłonią przez włosy. - Niedawno nosiłem ją na rękach, a teraz ona

mówi o małżeństwie.

- Sadząc po błysku w jej oczach, nie skończy się na mówieniu.

- Jak to się mogło stać, że ona ma osiemnaście lat? - dumał Tucker. - Sam przed chwilą miałem osiemnaście lat. Caroline poklepała go po plecach.

- Nie martw się, Tucker, odnoszę wrażenie, że za rok czy dwa będziesz miał nowe dziecko do noszenia na rękach.

- Święty Boże! - Osłabł na samą myśl o tym. - Będę czymś w rodzaju dziadka. Mam trzydzieści trzy lata, do ciężkiej cholery! Jestem za młody na dziadka!

- Myślę, że będzie to tytuł honorowy.

- To bez znaczenia. - Zajrzał do szklanki z piwem. - Muszę to dobrze rozważyć.

- Bardzo rozsądnie z twojej strony. - Odwróciła się w stronę szafek. - Gdzie jest ta maślana marynata?

- Hmm? - Spojrzał na nią i wszelkie myśli o życiu i przemijaniu pierzchły jak spłoszone wróble. Boże, miała naprawdę świetne nogi i śliczny, mały tyłeczek. - Na górnej półce - powiedział. Obserwował z przyjemnością, jak jej szorty podjeżdżają do góry, kiedy wspięła się na palce i sięgnęła ku górze. - O, tak! Doskonale.

Caroline miała już niemal słoik w ręku, kiedy zrozumiała, co się dzieje. Opadła na pięty i obejrzała się przez ramię.

- Jesteś chorym człowiekiem, Tucker.

- Faktycznie czuję podwyższoną temperaturę. - Podeszedł do niej z uśmiechem. -

Pozwól, że ci pomogę. - Sięgając po słoik, przytulił się do niej całym ciałem. - Ładnie pachniesz, Caro. Mężczyzna pragnie rankiem takiego zapachu.

Jej ciało zareagowało natychmiast i Caroline odetchnęła powoli i z rozmysłem.

- Jak kawy i smażonego bekonu? Zaśmiał się i pochylił twarz ku jej włosom.

- Jak spokojnego, niespiesznego seksu.

Za dużo się w niej działo. Za dużo, zbyt szybko. Ból w trzewiach, motylki w żołądku, bezwład mięśni. Nie czuła się tak od czasu... Luisa. Zesztywniała w jednej chwili.

- Robi się tu ciasno, Tucker.

- Bardzo się o to staram, Caroline. - Wyjął słoik i postawił na ladzie. Chwycił Caroline za biodra i

odwrócił ku sobie. - Znasz to uczucie, kiedy przyczepia się do ciebie jakaś melodia i rozbrzmiewa ci w głowie na okrągło, choć nigdy byś nie przypuszczała, że tak bardzo ją lubisz?

Przesunął dłonią ku górze, muskając boki jej piersi. Krew zaszumiała jej w głowie.

- Chyba tak.

- Rozbrzmiewasz mi w głowie. Można powiedzieć, zacięła mi się płyta. | Miała przed sobą jego oczy, tak blisko, że dostrzegła zieloną, fascynującą obwódkę wokół źrenic.

- Może powinieneś przestawić się na inną melodię.

Przysunął się jeszcze bliżej, a kiedy zeszywniała, zadowolił się delikatnym muśnięciem jej dolnej wargi.

- Zawsze cholernie się nudziłem, robiąc to, co powinienem. - Przesunął wierzchem dłoni po jej policzku. Patrzyła na niego w taki dziwny sposób. Było to otwarte, nieruchome spojrzenie, pod którym miękły mu kolana. - Czy on cię skrzywdził, czy tylko rozczarował?

- Nie wiem, o czym mówisz?

- Jesteś spłoszona, Caro. Sądzę, że nie bez powodu. Ciepło, które rozpląnęło jej się po ciele, stwardniało na granit.

- Słowo „spłoszona” pasuje bardziej do konia. Ja jestem zwyczajnie nie zainteresowana. A powodem braku mojego zainteresowania może być to, że mnie nie pociągasz.

- O, nieładnie tak kłamać - powiedział łagodnie. - Gdyby nie liczne towarzystwo za drzwiami, pokazałbym ci, skąd wiem, że kłamiesz. Ale jestem cierpliwym człowiekiem, Caro, i nigdy nie zrobiłem kobiecie zarzutu z tego, że chce, by ją trochę ponamawiać.

Gniew chwycił ją za gardło, ale nie stąpił ostrości języka.

- Och, jestem pewna, że namówiłeś więcej kobiet, niż przewiduje ustawa. Eddę Lou, na przykład.

Rozbawienie zniknęło z jego oczu, pojawił się w nich najpierw gniew, potem coś bardzo zbliżonego do rozpacz. Odsunął się od niej, a Caroline położyła mu dłoń na ramieniu.

- Tucker, przepraszam. To było podle.

Podniósł do ust szklankę z piwem, żeby splukać gorycz.

- Ale prawdziwe. Potrząsnęła głową.

- Nadepnąłeś mi na odcisk, ale to nie powód, żeby powiedzieć coś takiego.

Przepraszam.

- Nie ma sprawy. - Odstawił pusta, puszkę i starał się zapomnieć o bólu. Usłyszeli nawoływanie Burke'a i, choć Tucker uśmiechnął się, uśmiech nie sięgnął mu oczu.

- Wygląda na to, że dostaniemy jednak coś do jedzenia. Zanieś Susie ten słoik. Ja zaraz przyjdę.

- Dobrze. - Zatrzymała się przy drzwiach, pragnąc coś powiedzieć Ale kolejne przeprosiny miały się z celem.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły. Tucker oparł się czołem o lodówkę. Nie wiedział, co czuje, nie potrafiłby wyrazić tego słowami, ale wrażenie było paskudne. Uczucia zawsze przepływały przez niego, nie pozostawiając osadu, nawet uczucia zła. Obecne emocjonalne bagno, które bulgotało w nim w najmniej spodziewanych momentach, było czymś zupełnie nowym, nieprzyjemnym i przerażającym.

Edda Lou śniła mu się po nocach. Przychodziła do niego z poszarpanym, gnijącym ciałem. Muł i woda skapywały jej z włosów, a z ciała wypływała czarna krew, kiedy wskazywała na niego palcem.

Nie musiała nic mówić, i tak wiedział, co ma na myśli. Jego wina. Umarła z jego winy.

Boże Wszchemogący, co on ma teraz zrobić?

- Tucker? Kotku? - Josie wsunęła się do kuchni i otoczyła go ramieniem. - Źle się czujesz?

Parszywie, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

- Ból głowy, to wszystko. - Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Za dużo piwa na pusty żołądek.

Pogłaskała go po włosach.

- Mam aspirynę w torebce.

- Wolałbym furę jedzenia.

- Nic prostszego. Chwytaj talerz. - Wyszli razem na werandę. - Dwayne jest już pijany, nie chciałabym wlec was obu do domu. Zwłaszcza że wieczorem mam randkę.

- Kto jest szczęśliwym zwycięzcą?

- Doktorek z FBI. Jest taki rozkoszny, że można go zjeść żywcem. - Zachichotała i pomachała Teddy'emu Rubensteinowi. - Pomyślałam, że wypróbuję go dla Crystal. Wyraźnie na niego leci.

- Jesteś prawdziwą przyjaciółką, Josie.

- Wiem. - Wzięła głęboki oddech. - Zabierzmy się do tych żeberek.

Za dawnymi kamiennymi chatami niewolników, za polami bawełny pachnącymi nawozami i

pestycydami, znajdował się ciemny staw w kształcie podkowy, od którego Sweetwater wzięła swą nazwę.

Woda nie była już taka słodka teraz, kiedy środki owadobójcze wsiąkały do gruntu i spływały do jeziora.

Ale chociaż nie nadawała się do picia, i większość ludzi pomyślałaby dwa razy, zanim by zjadła złowioną tu rybę, był to nadal uroczy zakątek, zwłaszcza w księżycową noc.

Trzciny gięły się wdzięcznie, żaby kumkały, konary drzew wychylały się z wody jak stare czarne kości. W pogodną noc można było zobaczyć delikatne falki na powierzchni wody, w miejscach, gdzie siadały komary.

Dwayne przerzucił się z piwa, które pił u Truesdale'ow, na swoje ulubione wild turkey. Butelka nie była nawet w połowie pusta, a Dwayne czuł się już strasznie pijany.

Wolałby siedzieć w domu i pić, dopóki nie urwie mu się film, ale wiedział, że Della mu nie pozwoli. Miał powyżej uszu czepiających się go bab.

Od chwili gdy przeczytał list Sissy, skrupulatnie podsyczał swój gniew pomocą whisky.

Sissy donosiła, że wychodzi za męża za sprzedawcę obuwia.

Gównu mnie to obchodzi, powiedział sobie Dwayne. Gównu mnie to obchodzi, że wyda się za jakiegoś pierdolonego dupka, który obmacuje ludziom stopy.

Bóg mu świadkiem, nie chciał jej, nie tylko teraz, ale w ogóle nigdy, Ale bodaj go lichu, jeżeli pozwoli, by potrzęsała mu przed nosem jego własnymi dziećmi i doła z niego forszę.

Drogie szkoły prywatne, drogie ciuchy. Przecież przełknął wszystko, no nie? Nawet to, że Sissy i jej ulizany adwokat uniemożliwili mu widzenie się z dziećmi. „Ograniczone, nadzorowane odwiedziny”, tak to nazwali. Tylko dlatego, że lubił wypić drinka.

Patrząc spode łba w ciemny staw, Dwayne przechylił do ust butelkę. Zrobili z niego potwora, a on nigdy nie podniósł ręki na te dzieciaki. Na Sissy zresztą też nie. Choć raz czy dwa miał na to wielką ochotę. Żeby pokazać, gdzie jest jej miejsce.

Nie jest przecież gwałtownym człowiekiem. Nie to, co tatuś. On, Dwayne. wspaniale znosi alkohol, znosił alkohol wspaniale, od kiedy skończył piętnaście lat. A Sissy Koons doskonale wiedziała, kogo bierze, kiedy rozchyliła dla niego nogi. Czy miał do niej pretensje, gdy zaszła w ciążę? Nie, proszę pana. Ożenił się z nią, kupił jej piękny dom i piękne ubrania.

Otrzymała od niego więcej, niż jej się należało, uznał Dwayne, przypomniał sobie treść listu. Jeżeli myśli, że pozwoli temu niedorobionemu gitarzyście adoptować jego rodzone dzieci, w życiu się tak nie pomyliła Prędzej zdechnie, niż na to pozwoli. I niech uświerknie, jeżeli przestraszy się groźby, że pozwie go do sądu, o ile nie zwiększy świadczeń na dzieci.

Nie chodziło mu o pieniądze. Miał je gdzieś. Pieniężmi zajmował się Tucker.

Chodziło o zasadę. Więcej pieniędzy, zażądała Sissy w ten swój pokrętny sposób, albo twoje dzieci będą nosiły nazwisko innego mężczyzny.

Jego dzieci, pomyślał znowu, symbol jego nieśmiertelności. Miał dla nich sporo uczucia, oczywiście, że tak. Byli z jego krwi, z jego ciała. Byli jego biletem w przyszłość, ogniwem wiążącym go z przeszłością. Dlatego posyłał im prezenty i batony czekoladowe. To było o wiele łatwiejsze niż stanąć z nimi twarzą w twarz.

Ciągle pamiętał wycie małego Dwayne'a, a który miał wtedy nie więcej niż trzy lata, kiedy zobaczył swojego tatę w ataku pijackiej furii. Dwayne rozbijał o ścianę koktajlowe szklanki i czerpał z tego mnóstwo satysfakcji.

Potem przyleciała Sissy, porwała małego Dwayne'a jakby to nim Dwayne ciskał o ścianę, a nie szklankami o złoconych brzegach, i dziecko zaczęło wrzeszczeć.

Dwayne stał, marząc tylko o tym, by stuknąć ich o siebie głowami.

„Chcesz mieć prawdziwy powód do płaczu? Nic się nie martw, ja ci go dostarczę”.

Oto, co powiedziałyby tata, a im poszłoby w pięty.

Pomyślał, że może on też im to powiedział. Może nawet to wykrzyczał. Ale Sissy nie sprawiała wrażenia, jakby jej poszło w pięty, po prostu wrzeszczała na niego jak zwykle, z czerwoną twarzą i oczami pełnymi obrzydzenia i gniewu.

Omal jej nie uderzył. Dwayne pamiętał, że był o krok od znokautowania jej prawym sierpowym. Podniósł nawet ramię i zobaczył rękę ojca.

Więc zamiast uderzyć żonę, wybiegł z domu i pojechał rozbijać kolejny samochód.

Drzwi były zamknięte, kiedy Burke przywiózł go następnego dnia do domu. To było straszne upokorzenie. Nie mógł wejść do własnego domu, a jego żona wykrzykiwała przez okno, że jedzie do Greenville zobaczyć się z adwokatem.

Przez parę tygodni w Innocence mówiło się tylko o tym, jak Sissy wykopała Dwayne'a z domu i wyrzuciła jego ubrania przez okno sypialni. Musiał pić przez wiele dni, zanim stać go było na pogardliwy uśmiezek.

Kobiety naruszały tylko naturalny porządek rzeczy. Bałaganiary. Teraz Sissy znowu zaczynała mącić.

Sprawę pogarszał, nadawał jej posmak goryczy fakt, że Sissy chciała uczynić coś ze swoim życiem. Zrzuciła z siebie Sweetwater niby wąż skórę i parła naprzód. Podczas gdy on, on był uwikłany w zobowiązania Longsreetów przekazywane z ojca na syna od wielu pokoleń. Kobiety nie miały takiego balastu.



Nie, kobiety mogły robić to, na co im przyszła pieprzona ochota. Można je było za to zniechęcić.

Dwayne pociągał z butelki i rozmyślał. Patrzył w ciemną taflę wody i wyobrażał sobie

- jak to często robił - że wchodzi w nią, zanurza się, bierze wielki, śmiertelny haust i spływa na dno z płucami wypełnionymi jeziorem.

Na razie, nie odrywając oczu od powierzchni wody, topił się w whisky.

Josie siedziała przy stoliku w tawernie McGreedy'ego. Wieczór dopiero nabierał rumieńców. Tawerna była jej drugim, po salonie piękności, ulubionym lokalem w mieście.

Uwielbiała przesiąknięte zapachem whisky ściany, klejącą się z brudu podłogę i rozchwiane stoły. Kochała to wszystko nie mniej niż Pijackie, lecz o wiele wytworniejsze imprezy w Atlancie, Charlotte i Memphis.

Odór papierosowego dymu i przetrawionego alkoholu, piosenki country Płynące z szafy grającej, podniesione głosy, krzyki i śmiech, wszystko to działało na nią jak balsam na zboląłą duszę.

Przyprowadziła tu Teddy'ego, żeby wypić parę piw przy jej ulubionym stoliku, pod łbem przerażającego starego jelenia, którego McGreedy upolował w czasach, gdy ludzie nosili w klapach znaczki z napisem „I like Ike”.

Klepnęła Teddy'ego w ramię i ryknęła śmiechem w odpowiedzi na jakiś niesmaczny kawał.

- Wystrzałowy z ciebie facet, Teddy. Masz pewnie jakąś żonę? Sięgnęła po papierosa.

- Dwie były. - Teddy uśmiechnął się do niej poprzez chmurę dymu. Nie bawił się tak od czasu, gdy podłączył denata do prądu, żeby poruszał się w rytm „Twist and Shout”.

- Cóż za zbieg okoliczności. Sama miałam dwóch. Pierwszy był prawnikiem. -

Przeciągnęła zabawnie ostatnie słowo. - Wspaniały, uczcie młody człowiek z dobrej, uczciwej rodziny charlestońskiej. Ideał męża zdaniem mojej mamusi. O mało nie zanudził mnie na śmierć, zanim dojrnęliśmy do pierwszej rocznicy ślubu.

- Taki nudziarz?

- Och, kochanie! - Odchyliła głowę, żeby nie tamować przepływu zimnego piwa. -

Próbowałam go trochę rozruszać. Wydałam przyjęcie, elegancki bal przebierańców w Nowym Jorku. Wystąpiłam jako Lady Godiva. - Uniosła brew i przeczesła palcami wzburzone czarne włosy. - Włożyłam blond perukę. - Wsparła podbródek na rękę. Oczy jej błyszczały. - Tylko perukę. Stary Franklin, tak miał na imię, stracił zupełnie ochotę do zabawy.

Teddy bez trudu wyobraził sobie Josie okrytą jedynie płaszczem jasnych włosów i uznał, że sam

bawiłby się świetnie.

- Brak poczucia humoru - stwierdził.

- Dokładnie! Więc kiedy zdecydowałam się ponownie upolować męża, szukałam naturalnie kogoś zupełnie odmiennego. Na ranchu dla turystów w Oklahomie spotkałam nieokrzesanego faceta w typie kowboja. Bawiliśmy się niezłe. - Westchnęła na to wspomnienie. - Potem odkryłam, że mnie zdradza. To jeszcze nie tragedia, ale okazało się, że robi to z kowbojami.

- Oj! - Teddy skrzywił się boleśnie. - A ja myślałam, że to niedelikatne, kiedy moje żony mówiły, że mam parszywą pracę. - Mrugnął do Josie. - Kobiety na ogół nie lubią rozmawiać o mojej pracy.

- Uważam, że jest fascynująca. - Zamówiła następną kolejkę, zmieniając pozycję tak, by dosięgnąć naga stopą jego łydki. - Musisz być bardzo mądry, żeby przeprowadzić te wszystkie testy i odkryć mordercę tylko na podstawie zwłok. - Pochyliła się ku niemu. Oczy jej płonęły. - Nie rozumiem, jak to możliwe, Teddy. To znaczy, jak możesz dowiedzieć się czegoś o zabójcy z ciała ofiary?

- No cóż - Teddy łyknął piwa. - Pomijając cały ten zawodowy żargon, trzeba po prostu dopasować elementy układanki. Przyczyna zgonu, czas i miejsce. Włókna, krew nie należąca do ofiary. Fragmenty skóry, próbki włosów.

- Brrr! - Josie wstrząsnęła się lekko. - Brzmi to trochę upiornie Znalazłeś coś u Eddy Lou?

- Mamy czas, miejsce i metodę. - W przeciwieństwie do większości swoich kolegów po fachu, Teddy'ego nie nudziły rozmowy o pacjentach. - Po przeprowadzeniu testów porównam swoje spostrzeżenia z tym, co odkrył koroner dwóch poprzednich ofiar. - Teddy poklepał ją współczująco po ręce. - Znałaś pewnie całą trójkę.

- Jasne. Chodziłam do szkoły z Francie i Arnette. Z Anette umawiałyśmy się nawet na podwójne randki w naszej szalonej, zmarnowanej młodości. - uśmiechnęła się do kufła z piwem. - A Eddę Lou znałam przez całe życie, chociaż nie byłyśmy przyjaciółkami. Przykro pomyśleć, że ona umarła.

Wsparła podbródek na dłoni. Było w niej coś cygańskiego; długie, kręcone ciemne włosy, złociste oczy, złotawa skóra. Spotęgowała ten efekt, wkładając kolczyki w kształcie wielkich kół i czerwoną elastyczną bluzkę odsłaniającą ramiona, na sam jej widok Teddy'emu ślinka napłynęła do ust.

- Pewnie nie możesz ustalić, czy bardzo cierpiała? - zapytała Josie miękko.

- Mogę tylko powiedzieć, że większość ciosów została zadana już po jej śmierci. Nie myśl o tym.

- Nie mogę nie myśleć. - Spuściła oczy na świeży kufel piwa. - Prawdę mówiąc... a mogę chyba powiedzieć ci prawdę. Mogę, Teddy?

- Jasne.

- Śmierć mnie fascynuje. - Roześmiała się z zażenowaniem i pochyliła ku niemu.

Podchwycił uwodzicielski zapach jej perfum, poczuł muśnięcie piersi na swym ramieniu. -

Myślę, że mogę ci o tym powiedzieć. To przecież twoja praca. Kiedy ktoś zostaje zabity i piszą o tym w gazetach albo pokazują w telewizji, nie mogę się oderwać.

Zachichotał.

- To normalne. Tylko nikt się do tego nie przyznaje.

- Masz rację. - Przysunęła się do niego razem z krzesłem. Ciemne włosy musnęły mu policzek. - Wiesz, kiedy puszczają programy w rodzaju „Sprawy bieżące” albo „Nie rozwiązane zagadki”, o psychopatach i masowych mordercach, Wydaje mi się to pasjonujące.

To znaczy, dlaczego robią to ludziom i dlaczego tak trudno ich złapać. Wszyscy jesteśmy trochę zaniepokojeni tym, że ktoś taki chodzi sobie po mieście, a z drugiej strony to jest takie podniecające, rozumiesz?

Teddy podniósł kufel, jakby chciał zaszalutować.

- Dzięki temu właśnie sprzedają się brukowce.

- Dzięki dociekliwym umysłom, tak? - Zachichotała i stuknęła się z nim kuflem. -

Mam prawdziwie dociekliwy umysł. Wiesz co, Teddy... Nigdy nie widziałam trupa. To znaczy, takiego nie umalowanego, przed Włożeniem do trumny.

Wyczytał pytanie w jej oczach i zmarszczył brwi.

- Posłuchaj, Josie, naprawdę nie musisz tego oglądać. Dalej gładziła go stopą po łydce.

- Może to zabrzmie dziwnie i strasznie, ale myślę, że to mogłoby być... pouczające.

Teddy wiedział, że popełnia błąd, ale trudno było wyperswadować coś Josie Longstreet, kiedy już podjęła decyzję. Fakt, że byli oboje na wpół pijani i mocno rozbawieni, wcale mu w tych perswazjach nie pomógł. Po trzech nieudanych próbach udało mu się wsadzić klucz w tylne drzwi zakład Palmera.

- To jest brama wjazdowa? - zapytała Josie, dławiąc dłonią nerwowy chichot.

Teddy cofnął się myślą do okresu dzieciństwa. - „Zakład Pogrzebowy Tu się najlepiej zabalsamujesz”.

Josie aż przykucnęła ze śmiechu. Zataczając się, weszli do środka.

- Chryste, ale tu ciemno.

- Zaraz zapalę światło.

- Nie. - Serce waliło jej młotem. Wzięła rękę Teddy'ego i przycisnęła do swojej piersi.

- Światło zepsuje nastrój.

Teddy oparł ją plecami o drzwi i zatonął w długim, cmokliwym pocałunku. Przycisnął

Josie mocniej do drzwi i sięgnął pod jej bluzkę. Piersi wymsknęły się z płytkich miseczek i spoczęły w jego dłoniach. Brodawki miała duże i stwardniałe na kamień.

- Jezu! - wydyszał. - Masz doskonałe napięcie mięśni. - Zastąpił dłonie ustami i zaczął ścigać z niej szorty.

- Poczekaj chwilę, skarbie. Ależ jesteś napalony. - Roześmiała się i odepchnęła go lekko. - Poszukam latarki. - Zanurzyła rękę w torebce i wyciągnęła latarkę wielkości długopisu. Omiotła światłem ściany, tworząc rozdygotane cienie. Zakręciło jej się w głowie ze strachu i podniecenia. Zupełnie jakby oglądała horror na Sky View.

- Dokąd teraz?

Teddy przesunął palcami po jej nagim ramieniu. Zadrżała.

- Proszę tędy - powiedział dworsko i ruszył powłócząc nogami.

- Niezły z ciebie numer, Teddy - roześmiała się. Ale trzymała się tuż za nim, prawie depcząc mu po piętach. - Pachnie zwiędłymi różami i... Bóg wie czym.

- To zapach ciał, z których uszły dusze, moja droga. - Nie ma sensu wspominać jej o płynie do balsamowania, formalinie i proszku do szorowania rąk. Podszedł do następnych drzwi i w świetle latarki znalazł kolejny klucz.

- Jesteś pewna? Przełknęła ślinę i skinęła głową.

Teddy pchnął drzwi, myśląc z niechęcią o Palmerze i jego manii oliwienia zawiasów.

Długie, przenikliwe skrzypnięcie byłoby bardzo bardzo na miejscu w tych okolicznościach.

Josie głęboko odetchnęła i zapaliła światło.

- Cholera! - Otarła wilgotne dłonie o szorty. - To wygląda jak gabinet dentystyczny.

Po co ci te rękawiczki?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Zwilżyła wargi językiem.

- Chyba nie. Czy to... - ruchem ręki wskazała kształt spoczywający pod białym prześcieradłem. - To ona? - We własnej osobie.

Josie czuła, jak dygocze od środka.

- Chcę zobaczyć.

- W porządku. Wolno patrzeć, nie wolno dotykać. - Teddy podszedł do stołu i odchylił prześcieradło.

Wnętrznosci Josie zakołysały się i osiadły z powrotem na swoim miejscu.

- Jezu! - szepnęła. - Ona jest szara.

- Nie miałem czasu jej podmalować.

Trzymając się za żołądek, Josie postąpiła krok naprzód.

- Jej gardło...

- Przyczyna śmierci. - Potarł wnętrzem dłoni twardy jak jabłuszko pośladek Josie. -

Nóż miał siedemnastocentymetrowe ostrze. Spójrz tutaj. - Wyjął spod prześcieradła ramię Eddy Lou. - Widzisz przebarwienia na jej przegubach? Otartą skórę? Była związana sznurem do bielizny.

- Rany.

- Poza tym obgryzała paznokcie. - Cmoknął z dezaprobatą i schował jej dłoń. - Siniak u podstawy czaszki... - Odwrócił głowę denatki - dowodzi, że została uderzona przed śmiercią. Na tyle mocno, by straciła przytomność. W tym czasie zabójca związał ją i zakneblował. Włókna w ustach i na języku wskazują na użycie czerwonej bawełnianej tkaniny.

- I dowiedziałeś się tego wszystkiego od niej? - Josie chłonęła każde słowo.

- O wiele więcej.

- Czy została... No wiesz, zgwałcona?

- Robię test. Jeżeli dopisze nam szczęście i znajdziemy ślad spermy, możemy przeprowadzić DNA.

- Aha. - Termin obił się jej o uszy. - Ten, kto ją zabił, zabił również dziecko.

- Ta pani umarła sama - sprostował Teddy. - Poziom hormonów był niski.

- Słucham?

- Nie miała farszu, skarbie.

- Ach tak? - Josie spojrzała na szarą, martwą twarz. - Mówiłam mu, że kłamie.

- Komu?

Potrząsnęła głową. Nie był to najlepszy moment, by wspominać o Tuckerze. Josie oderwała wzrok od Eddy Lou i rozejrzała się po sali.

Była zafascynowana wystrojem wnętrza, kiedy się już oswoiła z tym widokiem.

Wszystkie te buteleczki, fiolki i długie błyszczące narzędzia. Wzięła skalpel i wypróbując ostrze, rozcięła sobie poduszczkę kciuka.

- Cholera!

- Dziecinko, nie powinnaś tego dotykać. - Teddy, uosobienie współczucia, wyjął

chusteczkę do nosa i przycisnął ją do ranki. Ponad jego głową Josie patrzyła na twarz na stole do balsamowania.

- Nie wiedziałam, że to jest takie ostre.

- Można się tym posiekać na kawałeczki. - Cmoknął językiem i dmuchał, dopóki się nie uśmiechnęła. Naprawdę był miły. - Zatamujesz szybciej, jeżeli go possiesz.

Przyłożyła skaleczony palec do jego ust. Podczas gdy lizał ranę, Josie przymknęła oczy. Podniecała ją świadomość, że on smakuje jej krew. Kiedy otworzyła oczy, wzrok miała mętny z rozkoszy.

- Mam coś dla ciebie, Teddy. - Wsuwając mu palec głęboko do ust sięgnęła ponad tacą z narzędziami chirurgicznymi i, macając na oślep, znalazła torebkę. Głaskał jej uda, podczas gdy ona zanurzyła dłoń w torebce. Dłoń ta zacisnęła się w pięść, kiedy palce Teddy'ego wsunęły się pod jej majtki.

Z cichym westchnieniem wydobyła z torby kondom. Oczy miała rozognione i bardzo złociste, kiedy rozsuwała mu rozporek.

- Pozwolisz, że ci to założę.

Teddy wzruszył ramionami. Spodnie opadły mu na pięty.

- Proszę uprzejmie.

Kiedy około drugiej w nocy, nasycona seksem Josie wjechała całym pędem na podjazd Sweetwater, Billy T. Bonny przykucnął za przednim błotnikiem czerwonego porsche'a. Zaklął, kiedy reflektory przecięły ciemność parę centymetrów od jego głowy.

Zabrakło mu dziesięciu minut, żeby skończyć robotę i zniknąć.

Wzdrygnął się, kiedy zahamowała przed domem i okruchy żwiru pacnety o jego robocze buty, Billy T. zacisnął umazane smarem ręce wokół francuskiego klucza.

Wysiadła z wozu, a on skulił się za maską i obserwował jej gołe stopy z paznokciami pomalowanymi na karminowo; wokół kostki błyszczał cienki złoty łańcuszek. Billy T. poczuł

nagły przyptyk pożądania. W powietrzu unosił się jej zapach, mroczno słodki, zmieszany z o ton głębszą wonią seksu.

Nuciła piosenkę Patsy Cline „Crazy”. Upuściła torebkę wysypując szminki, drobne, dwa lusterka, garść kondomów, buteleczkę aspiryny, mały pistolet z perłową rękojeścią i trzy pudełka tick - taków. Billy T. zdusił przekleństwo, kiedy pochyliła się, by to wszystko pozbierać.

Spod podwozia porsche'a widział jej długie nogi i dłoń zgarniającą drobiazgi razem ze sporą porcją żwiru.

- Niech to diabli! - mruknęła. Ziewając szeroko ruszyła w stronę domu. Billy T.

odczekał pełne trzydzieści sekund, zanim wrócił do pracy.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

W niedzielne poranki kto żyw w Innocence biegł do jednego z trzech kościołów.

Kościół Odkupienia cieszył się największym powodzeniem. Był to mały szary budynek w centrum miasta, wzniesiony w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku, po tym jak powódź zmyła Pierwszy Kościół Metodystów, wielebnego Schottsdale'a i kościelnego, do spółki z którym pastor łamał kolejne przykazania.

Na południowym krańcu miasta wznosił się Kościół Biblii, gdzie modlili się czarni.

Żadne prawo, ani boskie, ani ludzkie, nie doprowadziło do tej segregacji kościelnej. Ale tradycja bywa często silniejsza niż prawo.

Każdej niedzieli przez otwarte okna czarnego kościoła płynął chór głosów tak czystych, że metodyści nie próbowali nawet z nimi współzawodniczyć.

Naprzeciwko Odkupienia znajdował się Luterański Kościół Trójcy Świętej, znany ze swych kiermaszy ciast. Della Duncan, osoba odpowiedzialna za ich organizację, twierdziła z dumą, że za pieniądze uzyskane ze sprzedaży ciast budyniowych Święta Trójca zakupiła witraż. To zainspirowało Happy Fuller, która zorganizowała trzy kolacje rybne na rzecz Odkupienia, co pozwoliło nabyć większy witraż.

Wierni w Biblii byli zadowoleni ze swych zwykłych okien i czystości swych głosów.

Niedziela w Innocence był to czas modlitwy, zadumy i zażartego współzawodnictwa.

Z trzech ambon płynęło słowo boże i piętnowano grzech, w twardych drewnianych ławkach drzemali starcy i dzieci, kobiety dzierżyły w dłoniach wachlarze. Organy grzmiały, niemowlęta zawodziły. Ciężko zarobione pieniądze padały na tace. Pot płynął obficie.

We wszystkich trzech świętych przybytkach kapłani pochylili głowy i zaintonowali modlitwę za Eddę Lou Hatinger, za Mavis Hatinger, jej męża (w żadnym z kościołów nie wymieniano imienia Austina) i jej pozostałe przy życiu dzieci.

W tylnej ławce Odkupienia, pobladła z rozpaczy i pomieszania Mavis szlochała cicho.

W kościele znajdowała się trójka z jej pięciorga dzieci Vernon, który odziedziczył ponury wygląd ojca i jego przykre usposobienie siedział obok swojej żony, Loretty. Loretta robiła, co mogła, by uciszyć synka, używając w tym celu wysłużonej packi na muchy. Bawełniana sukienka opinała ciasno jej brzemienny brzuch.

Obok niej siedziała Ruthanne. Nie płakała. Miała osiemnaście lat i przed dziesięcioma dniami ukończyła liceum imienia Jeffersona Davisa. Było jej przykro z powodu śmierci siostry, choć nigdy jej nie kochała. Siedząc w dusznym kościele myślała tylko o tym, jak prędko zdoła zarobić dość pieniędzy, by wyrwać się z Innocence.

Najmłodsze dziecko, Cyr, był znudzony i marzył, żeby znaleźć się gdzie indziej. Jego stopy tkwiły w butach o numer za małych, szyję drapał mu zbyt mocno wykrochmalony kołnierzyk. Wstydział się swojej rodziny, ale jako czternastolatek był na nią skazany.

Złościło go, że pastor mówił o Hatingerach tak, jakby należało ich żałować i za nich się modlić. Kongregacja była wręcz usiana jego kolegami i Cyr oblewał się rumieńcem za każdym razem, gdy któryś z nich rzucał mu spojrzenie przez ramię. Odetchnął z ulgą, kiedy nabożeństwo się skończyło i wierni mogli powstać. Uperfumowane panie ruszyły ławą ku jego matce, by wyrazić jej swoje współczucie, a Cyr wyślizgnął się bocznymi drzwiami i pośpieszył w stronę drogerii Larssona, by wypalić papierosa na jej tyłach.

Sytuacja przedstawiała się jego zdaniem kiepsko. Siostra była martwa, ojciec i brat w więzieniu. Matka załamywała dłonie i gadała z facetem z doradztwa prawnego. Vernon mówił jedynie o wyrównywaniu z kimś rachunków. Loretta zgadzała się z każdym słowem, szybko nauczyła się potakiwać i unikać w ten sposób twardych pięści męża. Naprawdę szybko się uczy, ta Loretta.

Cyr zapalił jednego z trzech posiadanych pallmaili, które podprowadził Vernonowi, i szarpnięciem rozluźnił krawat.

Ruthanne ma najwięcej rozumu z nich wszystkich, uznał Cyr. Ale jest wiecznie zajęta liczeniem swoich pieniędzy. Cyr wiedział, że ukrywa gotówkę w pudełku z podpaskami - coś, czego jej ojciec nie wzięłby do ręki. Ze względu na silne poczucie lojalności, jak również na fakt, że pożegnałby Ruthanne z przyjemnością, zatrzymał jej sekret dla siebie.

Wiedział, że z chwilą otrzymania świadectwa maturalnego on również zniknie z Innocence z prędkością światła. Nikt nie myślał wysyłać go na studia. Ponieważ miał

chłonny, spragniony wiedzy umysł, świadomość ta bolała jak diabli. Ale był jednocześnie pragmatykiem i brał rzeczy takimi, jakie są.



Wytrwale zaciągał się papierosem, choć nie odkrył jeszcze prawdziwej przyjemności palenia.

- Hej! - Zza węgła wyłonił się Jim March, chudy wyrostek, o skórze koloru melasy.

Podobnie jak Cyr miał na sobie niedzielne ubranie. - Co robisz?

Jako stary przyjaciel przysiadł bezceremonialnie obok Cyra.

- Popalam. Ty?

- Nic - - Pograżyli się w przyjaznym milczeniu. - Dobrze, że szkoła skończyła -

odezwał się Jim po chwili.

- Aha. - Cyr nie miał zamiaru się kompromitować, przyznając, że lubi szkołę. - Mamy całe lato.

Zdaniem Cyra lato ciągnęło się w nieskończoność.

- Poszukasz roboty?

Cyr wzruszył ramionami.

- Nie ma pracy.

Jim zwinął starannie jaskrawoczerwony krawat i włożył go do kieszeni.

- Mój tata robi coś dla tej panny Waverly. - Jim nie uznał za stosowne napomknąć, że jego ojciec wprawia szyby, które wybił ojciec Cyra. - Wymaluje cały dom. Będę mu pomagał.

- To będziesz bogaty.

- Gówno. - Jim uśmiechnął się od ucha do ucha i zaczął rysować wzory w piachu. -

Ale mam trochę forsy. W tej chwili dwa dolary.

- To o dwa więcej niż ja.

Jim zacisnął wargi i zerknął spod oka na przyjaciela. Nie powinni być przyjaciółmi, jeżeli brać pod uwagę opinię ojca Cyra. Ale pozostali nimi zawsze, choć w tajemnicy.

- Gadają, że Longstreetowie zatrudniają do roboty w polu. Cyr zakrztusił się dymem i przekazał pallmaila Jimowi.

- Ojciec obdarłby mnie żywcem ze skóry, gdybym zbliżył się do Sweetwater.

- Chyba tak.

Ale przecież ojciec jest w więzieniu, przypominał sobie Cyr. Gdyby on, Cyr, znalazł

pracę, mógłby założyć swoje własne, sekretne konto, tak jak Ruthanne.

- Jesteś pewien, że biorą robotników?

- Tak mówią. Panna Della jest teraz na kiermaszu ciast. Możesz się Spytać. -

Uśmiechnął się do Cyra. - Mają tam ciasto cytrynowe. Za dwa dolce możemy jedno kupić.

Fajnie by było zabrać ciasto cytrynowe nad Gooseneck Creek i złapać parę zębaczy.

- Jasne, że fajnie. - Cyr spojrział na swego przyjaciela. Jego uśmiech był zaskakująco ciepły. - Powiniennem chyba pomóc ci zjeść to ciasto, bo inaczej pożresz je całe i się pochorujesz.

Podczas gdy chłopcy negocjowali warunki nabycia ciasta, a kobiety paradowały w odświętnych sukienkach. Tuck drzemał rozkosznie we własnym łóżku.

Uwielbiał niedziele. Dom był cichy jak grobowiec; Della wychodziła na miasto, reszta rodziny przysypiała albo zaszywała się gdzieś z poranną gazetą.

Za życia matki wyglądało to zupełnie inaczej. Cały dom wypucowany a do bólu maszerował do kościoła, żeby zająć miejsca we frontowej ławce Matka pachniała lawendą, a na szyi miała perły prababci.

Po nabożeństwie krytykowano kazanie, omawiano pogodę i zbiory Podziwiano noworodki. Dumni rodzice chwalili się dorosłymi dziećmi, a młodzież korzystała z okazji, by poflirtować.

Potem zasiadano do niedzielnego obiadu. Szynka w galarecie, słodkie ziemniaki, świeże suchary, zielony groszek w gęstym sosie, ciasto orzechowe. I kwiaty, na stole zawsze stały kwiaty. Matka już o to dbała.

Aby okazać jej szacunek, ojciec w niedzielę nie brał do ust alkoholu. Ani kropli od świtu do zmierzchu. Dzięki temu długie popołudnia płynęły w sennym rozmarzeniu, co było, być może, iluzją, ale za to iluzją bardzo krzepiącą.

Tucker tęsknił za tamtymi dniami. Ale obecne też miały swoje dobre strony. Cichy dom, odległy świergot ptaków, szum wiatraka na suficie i cudowna świadomość, że nie trzeba nigdzie iść, niczego robić.

Usłyszał samochód na podjeździe i przewrócił się na drugi bok. Ruch wywołał ból.

Tucker jęknął, czekając, aż się uciszy i da mu spać.

Na pukanie do drzwi frontowych otworzył jedno oko. Poraziło go słońce i Tucker syknął przez zęby. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie warto symulować głuchoty i poczekać, aż sprawą zajmie się Josie albo Dwayne. Ale pokój Josie znajdował się po drugiej stronie domu, a Dwayne był prawdopodobnie w takim samym stanie, w jakim Burke znalazł

go wczoraj nad jeziorkiem.

- Kimkolwiek jesteś, idź do diabła!

Wtulił głowę w poduszkę i postanowił spać niezależnie od okoliczności, kiedy nagle pukanie ustało. Zanim zdążył sobie pogratulować zwycięstwa, spod okna jego sypialni dobiegł głos Burke'a.

- Tucker, podnieś tyłek! Muszę z tobą porozmawiać. Cholera, Tucker, to ważne.

- Zawsze jest cholernie ważne - wymamrotał Tucker wyskakując z łóżka i krzywiąc się z bólu. Goły i zirytowany otworzył drzwi na taras.

- Jezu! - Burke cisnął na ziemię niedopałek papierosa i obrzucił ciało Tuckera uważnym spojrzeniem. Była to paleta barw. Czerń, zieleń, różne odmiany żółci. - Nieźle cię poturbował, co, synu?

- Przyjechałeś taki kawał drogi, żeby mnie obudzić i dokonać tej cennej obserwacji?

- Zejdź na dół, to powiem ci, dlaczego tu jestem. I włóż coś na siebie, zanim cię przymknę za obrazę moralności.

- Sam się przymknij, szeryfie.

Tucker wrócił do sypialni, spojrzął tęsknie na zmiętą pościel, po czym chwycił

bawełniane spodnie i okulary przeciwsłoneczne. Uznał, że to wystarczy.

Ponieważ darzył Burke'a sympatią, zaszedł do łazienki, by opróżnić pęcherz i umyć zęby.

Cholera, nie piłem nawet kawy - mruknął, wchodząc na werandę. Burke siedział na bujanym fotelu. Sądząc po stopniu wypolerowania butów i sztywności kołnierzyka, wracał

prosto z kościoła.

- Przepraszam, że budzę cię tak wcześnie. Zdaję sobie w pełni sprawę, że jest dopiero południe.

- Daj mi papierosa, ty draniu.

Burke spełnił jego żądanie i odczekał, aż Tucker dokona obrządku z obcinaniem koniuszka.

- Naprawdę myślisz, że skracając fajki oduczysz się palenia? - prędzej czy później. -

Tucker zaciągnął się, skrzywił, wydmuchał dym. Spróbował jeszcze raz i poczuł się odrobinę lepiej. Usiadł. - A więc, Burke, co cię do mnie sprowadza?

Burke spojrział na peonie, które Tucker próbował ratować, i zmarszczył brwi.

- Rozmawiałem przed chwilą z tym doktorem Rubensteinem. Jadł śniadanie w

„Chat'N Chew”.

- Aha. - Tucker pobiegł myślą do własnego śniadania. Może uda mu się namówić Delię na zrobienie naleśników.

- Chciał poinformować mnie o paru sprawach, głównie po to, żeby napsuć krwi Burnsowi. Ma bzika na punkcie regulaminu, to znaczy Burns. I lada chwila przejmie moją robotę. Nie żebym się martwił.

- Masz moje pełne współczucie. Czy teraz mogę wrócić do łóżka?

- Tucker, tu chodzi o Eddę Lou. - Burke bawił się bezwiednie odznaką szeryfa.

Wiedział, że nie powinien przekazywać żadnych informacji Tuckerowi, zwłaszcza w sytuacji, gdy FBI uważała go za podejrzanego. Ale lojalność bierze czasem górę nad przepisami. - Nie było dziecka, Tucker.

- Słucham? Burke westchnął.

- Nie była w ciąży. Wyszło podczas sekcji. Nie było dziecka. Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

Tucker patrzył na czubek swojego papierosa. W głowie narastał mu szum.

- Nie była w ciąży - powtórzył wolno, z namysłem.

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Rubenstein zna się na swojej robocie. Twierdzi, że nie była. Tucker odchylił się na oparcie i zamknąwszy oczy, bujał się w fotelu.

Uświadomił sobie, że ból i żal, który odczuwał w związku ze śmiercią Eddy Lou, brał

się w dużej mierze z myśli o dziecku. Ale to dziecko nie istniało i żal Tuckera w jednej chwili zmienił się we wściekłość.

- Okłamała mnie!

- Nie da się ukryć, synu.

- Stała tam, przed tymi wszystkimi ludźmi i kłamała w żywe oczy. Burke poczuł, że nic tu po nim, i wstał.

- Uznałem, że masz prawo wiedzieć. To by było nie w porządku, gdybyś... To znaczy, pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

Ponieważ słowo „dziękuję” wydawało się zupełnie nie na miejscu, Tucker skinął tylko głową. Z zamkniętymi oczami słuchał, jak Burke zapuszcza silnik terenowego wozu i odjeżdża długą, krętą aleją.

Czuł w sobie zimną, ślepią furję, która wyrastała gdzieś z żołądka i wędrowała ku górze. Rozpoznał symptomy i w innych okolicznościach pewnie by się przeraził.

Chciał coś zniszczyć, zmiażdżyć, rozerwać na strzępy i zmienić w pył.

Poderwał się z fotela i ruszył pędem w stronę domu. W paru susach pokonał schody.

W swoim pokoju chwycił kluczyki do wozu i sprawił sobie tę satysfakcję, że stłukł lampę.

Porwał koszulę z krzesła i, wypadając na korytarz, naciągnął ją na siebie.

- Tuck? - Zaspana, otulona czerwonym jedwabnym szlafrokiem Josie stała w holu. -

Tuck, chcę ci coś powiedzieć.

Dziki spojrzenie, jakim ją obrzucił, zanim runął w dół schodów, wypłoszyło z niej resztki snu. Pobieгла za nim.

- Tuck! Poczekaj! - Dogoniła go, kiedy otwierał samochód, i chwyciła za ramię. -

Tucker, co się stało?

Wyrwał się jej, całą siłą woli próbując utrzymać w ryzach zwierzę, które się w nim ocknęło.

- Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Kochanie, ja chcę ci pomóc. Jesteśmy rodziną. - Spróbowała odebrać mu kluczyki i jęknęła z bólu, kiedy ścisnęła ją za nadgarstek.

- Mówię ci, odejdz! Łzy przyćmiły jej wzrok.

- Gdybyś tylko chciał mnie wysłuchać. Tucker, Tucker, widziałam się wczoraj wieczorem z tym doktorem. Tym z FBI. - Podniosła głos do krzyku, kiedy porsche zawył

silnikiem. - Edda Lou nie była w ciąży. Nie było dziecka, Tucker. To była pułapka, tak jak ci mówiłam.

Josie syknęła i złapała się za goleń, gdzie uderzył ją kamień. Wściekła, nabrała garść żwiru i cisnęła za samochodem.

- Jezu Chryste! O co ten cały raban?

Josie odwróciła się. Na werandzie stał Dwayne. Dłonią zakrywał oczy i chwiał się na nogach,

ubrany tylko w bokierskie spodenki.

- Wszystko w porządku - powiedziała Josie z westchnieniem, wracając na werandę.

Nic już nie mogła zrobić dla Tuckera, ale mogła zająć się Dwayne'em. - Chodź, zrobimy sobie kawy.

Kierownica wibrowała pod ręką Tuckera, kiedy skręcał na drogę do miasta. Był za bardzo wściekły, by przejmować się tym, że tyłem wozu zarzuciło, a opony zapiszczały żałośnie.

Nie ujdzie jej to na sucho. Myśl zataczała kręgi w jego umyśle. Do cholery, nie ujdzie jej to na sucho. Zgrzytając zębami dociskał pedał gazu, dopóki strzałka nie sięgnęła stu trzydziestu.

Mimo licznych zakrętów, widział drogę na wiele kilometrów przed sobą. Fale rozprężonego powietrza drgające nad szosą zdawały się rozmywać odległość. Nie wiedział, dokąd jedzie ani co ma zamiar zrobić. Ale wiedział, że robi to natychmiast. Natychmiast!

Zacisnął dłoń na gałce, szykując się do zmiany biegów przed zakrętem, przy drodze do McNairów. Ale choć skręcił kierownicą, samochód pomknął prosto. Tucker miał jeszcze tylko tyle czasu, by zakląć i nacisnąć zupełnie bezużyteczny hamulec.

Ubrana w jeden z babcinych kapeluszy z wielkim rondem ocieniającym twarz, Caroline trzebiła chaszczę przy swojej drodze. Mimo upału i obolałych ramion bawiła się jak nigdy w życiu. Nożyce były ostre jak brzytwa, a ich drewniane rączki wypolerowane latami używania. Krótkie ogrodowe rękawice chroniły jej ręce przed zadrapaniami. Wyobrażała sobie, że są to te same rękawice, które wkładała babcia do tej samej ciężkiej pracy. Właściwie mogłaby poczekać i zlecić robotę Toby'emu. Ale cieszył ją wysiłek. Cieszyło słońce, kurz i upał, zapach świeżej zieleni. Cieszyło ją, że troszczy się sama o siebie. Wokół niej był tylko śpiew ptaków, przytłumione odgłosy letniego popołudnia, samotność. Dokładnie to, czego potrzebowała. Roztarta więc bolące ramiona i ścięła winorośl grubą jak jej kciuk.

Usłyszała ryk silnika. Zanim jeszcze przysłoniła dłonią oczy i spojrzała na skrawek drogi widoczny z alei, wiedziała, że to Tucker. Samochód jechał z nadmierną szybkością, poza tym rozpoznała potężny pomruk porsche'a.

Któregoś dnia, pomyślała, biorąc się pod boki, któregoś dnia ten facet zmieni samochód w harmonijkę, a sam wyląduje w szpitalu. Jeżeli przypadkiem zmierza w tę stronę, powie mu, co o tym myśli. Dlaczego mężczyzna...

Rozległ się wizg opon na asfalcie i krzyk i choć więcej w nim było złości niż strachu, zaczęła biec, zanim jeszcze usłyszała zgrzyt miażdżonego metalu i dźwięk tłuczonego szkła.

Nożyce wypadły jej z ręki. Poprzez łomot swojego serca słyszała głos młodego Carla Perkinsa wyśpiewującego historię niebieskich zamiszowych butów.

- O mój Boże!

Zobaczyła koleiny wyżłobione w murawie, a w sekundę potem samego porsche'a w białego w słup, na

którym przed chwilą wisiała jej skrzynka na listy. Okruchy szkła połyskiwały jak brylanty na asfalcie. Ujrzała Tuckera z głową na kierownicy i, wykrzykując jego imię, podbiegła do samochodu.

- Och, Boże, mój Boże! Tucker!

Bojąc się go ruszyć, bojąc się go zostawić, dotykała lekko jego twarzy. Pisnęła, kiedy podniósł głowę.

- Kurwa! Dech jej zaparło.

- Ty idioto! Myślałam, że nie żyjesz! Ten, kto tak jeździ, powinien już nie żyć!

Dorosły mężczyzna, grzejący drogą jak nawalony, nieodpowiedzialna nastolatek. Nie rozumiem, jak możesz...

- Zamknij się, Caro. - Przyłożył dłoń do pulsującej głowy i stwierdził, że krwawi. Nic nowego. Sięgnął niepewnie do klamki, ale Carolina go uprzedziła.

- Gdybyś nie był ranny, dałabym ci w nos. - Pomogła mu jednak wydostać się z za kierownicy.

- Jestem w takim nastroju, że mógłbym ci oddać. - Zrobiło mu się ciemno przed oczyma i oparł się o tylny, nienaruszony zderzak. - Wyłącz radio, dobrze? Wyjmij kluczyki.

Mamrocząc pod nosem, wyszarpnęła je ze stacyjki.

- Zniszczyłeś moją skrzynkę na listy. Chyba powinniśmy być wdzięczni, że nie był to jakiś samochód.

- Jutro przywiozę ci nową.

- Łatwo przychodzi ci wymiana rzeczy, prawda? - Strach nadał jej głosowi ostre brzmienie. Otoczyła Tuckera ramieniem, przyjmując na siebie ciężar jego ciała.

- Większość rzeczy.

Odleci mi ta pieprzona głowa, pomyślał. Jej nie uda mi się wymienić.

Caroline na wpół niosła go, na wpół ciągnęła ścieżką ku domowi. Żwir ranił mu stopy i dopiero teraz uświadomił sobie, że wypadając ze Sweetwater, zapomniał włożyć butów.

Czuł, jak strużka krwi spływa mu po skroni do ucha.

- Puść mnie, Caroline.

Coś w jego głosie, nie gniew, lecz rozpacz, kazały jej się cofnąć.

- Pozwól sobie pomóc - szepnęła. - Jestem silniejsza niż wyglądam.

- Wyglądasz jakby pierwszy podmuch wiatru mógł cię zdmuchnąć. - Dom tańczył mu przed oczami i

Tucker przestraszył się, że zemdleje. Potrząsnął głową i ból w oku przywrócił

mu przytomność. - Masz w sobie coś kruchego. Nigdy przedtem nie podobały mi się takie delikatne kobiety.

- Przypuszczam, że to komplement.

- Ale ty nie jesteś krucha. Jesteś twardzielem, Caro, i jesteś na mnie nieźle wkurzona.

Po prostu chwilowo przestałaś wrzeszczeć.

- Dlaczego miałabym wrzeszczeć? - Głuche brzmienie jego głosu powiedziało jej, że Tucker jest bliski omdlenia.

Rozgniewaj go, niech się wkurzy, pomyślała. Jeżeli upadnie, nie będę w stanie go podnieść.

- Jest mi to całkowicie obojętne, czy rozwalisz samochód i skończysz jako mokra plama na asfalcie. Ale przyznaję, wołałabym, żebyś wybrał inne miejsce, niekoniecznie moją prywatną drogą.

- Zrobię, co w mojej mocy. Kochanie, muszę usiąść.

- Jesteśmy już prawie na werandzie. - Niemal wciągnęła go na stopnie. - Możesz usiąść tutaj. - Nigdy nie lubiłem apodyktycznych kobiet. - Więc jestem ocalona.

Kiedy znaleźli się na werandzie, a on dalej trzymał się na nogach, wepchnęła go do domu. - Mówiłaś, że mogę usiąść... - Kłamałam. Zaśmiał się ponuro.

- Kobiety zawsze kłamią.

- Teraz już możesz usiąść. - Ułożyła go na tapczanie z przestrzeloną poduszką, drugą podłożyła mu pod głowę. - Zadzwoń po doktora Shaysa, a potem trochę cię opatrzę.

Zrobił ruch, jakby chciał chwycić ją za rękę. Zatrzymała się.

- Nie dzwoń do niego. To zwykły guz, mam ich więcej.

- To może być wstrząs mózgu.

- I wiele innych rzeczy. On da mi zastrzyk. Nienawidzę igieł, rozumiesz? Ponieważ rozumiała i podzielała jego obawy, zawahała się. Guz nie wyglądał groźnie, a Tucker był

przytomny.

- Umyję cię, a potem zobaczymy.

- Dobrze. Co powiesz na kubek lodu podlany piwem?

- Lód dostaniesz. O piwie zapomnij. A w ogóle to leż spokojnie.



- Kobieta nigdy nie da mi piwa - mruknął pod nosem. - Leżę i wykrwawiam się na śmierć, a ona się piekli.

- Słyszałam! - zawołała Caroline z kuchni.

- Zawsze słyszą. - Tucker zamknął oczy i nie otworzył ich, kiedy Caroline przyłożyła zimny kompres do rozcięcia na jego czole. - Dlaczego nosisz ten okropny kapelusz? - Wcale nie jest okropny. - Z ulgą stwierdziła, że ranka jest płytka.

- Złotko, ty masz go na głowie, ja na niego patrzę i mówię ci, że jest okropny.

- W porządku. - Zirytowana zerwała go z głowy, potem z szuflady stolika wyjęła buteleczkę jodyny.

Tucker zerknął na nią niespokojnie.

- Nie rób tego! - Chwycił ją za nadgarstek.

- Nie bądź dzieckiem. - Spokojnie przełożyła buteleczkę do drugiej ręki. Tucker podskoczył na kanapie, kiedy przycisnęła wacik do ranki. - Tucker, weź się w garść! -

Mogłabyś przynajmniej podmuchać.

Podmuchała. Jego dłoń ześlizgnęła się z jej dłoni na udo. Caroline dmuchnęła po raz ostatni i straciła jego rękę.

- Jezu! Trochę szacunku dla rannego!

- Opatrzę ci głowę, a ty leż spokojnie. - Wyjęła gazę i plaster. - A jeżeli nie będziesz mógł zapanować nad rękoma, zafasuję ci guza dwa razy większego niż ten.

- Tak, proszę pani. - Jej dłonie były kojące i Tucker poczuł się o wiele lepiej, jeżeli nie liczyć łupania w mózgu.

- Nie masz innych obrażeń?

Dotyk jej rąk przypominał muśnięcia chłodnych kropel deszczu.

- Nie wiem. Może sprawdzisz?

Zignorowała zaczepną nutę w jego głosie i rozpięła mu koszulę.

- Mam nadzieję, że to cię nauczy... O, Boże! Tucker! Natychmiast otworzył oczy.

- Co? Co?

- Jesteś sinofioletowy.

Przez dobrą chwilę cieszył się myślą, że nie ma na wierzchu zebra.

- To stare. Austin.

- Oburzające! - W jej głosie brzmiała zgroza, oczy zrobiły się zielone jak szmaragdy. -

Powinno się go zamknąć.

- Złotko, zamknęli go. W okręgowym mamrze. Carl odtransportował go tam wczoraj.

Caroline położyła delikatnie rękę na jego sonej klatce piersiowej.

- On cię naprawdę pobił.

- Nie wyszło mu to na zdrowie - powiedział z dumą.

- I to, oczywiście, załatwia sprawę. - Caroline cofnęła rękę i otworzyła fiolkę proszków przeciwbólowych, którymi doktor Palamo leczył jej migreny. - Mężczyźni to idioci.

Tucker uniósł ostrożnie głowę i wsparł się na łokciach.

- Nie ja zacząłem. To on na mnie napadł.

- Zamknij się i łyknij to.

- Co to jest?

- Coś, co zlikwiduje twój ból głowy. Przypuszczam, że go masz. Wziął tabletkę z wdzięcznością, obrzuciwszy wzrokiem etykietkę na fiolce. Jeżeli zadziała, poprosi doktora Shaysa, żeby przepisał mu tego więcej. Bolało go kompletnie wszystko.

- Czy dostanę piwo, jeżeli uda mi się wstać?

- Nie.

Oparł głowę z powrotem na poduszce.

- Trudno. Złotko, czy wyświadczysz mi przysługę i zadzwonisz do Juniora Talbota?

Będzie musiał tu przyjechać i odholować samochód.

- Zajmę się tym. - Wstała, rzucając mu groźne spojrzenie. - Nie zasypiaj. Człowiek ze wstrząsem mózgu nie powinien spać.

- Dlaczego?

- Nie wiem - zawołała z irytacją. - Nie jestem lekarzem. Ale ciągle się o tym słyszy.

- Nie zasnę, jeżeli obiecasz, że zaraz wrócisz i potrzywasz mnie za rękę.

Caroline uniosła brew.

- Jeżeli zaśnie, zadzwonię po doktora Shaysa i każę mu przywieźć najdłuższą igłę, jaką posiada.

- Chryste, ale z ciebie babsztyl. - Mimo to uśmiechnął się, kiedy wyszła.

Pała mu trzy minuty na ewentualne zaśnięcie, po czym zjawiała się z woreczkiem lodu.

- Junior powiedział, że przyjedzie, jak tylko będzie mógł się wyrwać. - jęknął w odpowiedzi, więc przyłożyła mu do czoła woreczek, a wtedy jęk przerodził się w długie westchnienie ulgi. - Nie wiem, czy mam powiadomić twoją rodzinę.

- Na razie nie. Della jest jeszcze w mieście. Zapomniałem, że prowadzi dzisiaj sprzedaż ciast. Josie nie ruszy się z domu, zwłaszcza że Dwayne ma jak zwykle w niedzielę kaca. - Boże, ależ się czuł zmęczony. Nie było to przyjemne, senne zmęczenie, jakie odczuwa się pod koniec leniwego popołudnia, ale prawdziwe wyczerpanie. - Rozbijanie samochodów to rodzinne hobby Longstreetów.

Spojrzała na niego ponuro. Kolory wracały mu na twarz, uznała więc, że ma prawo zażądać wyjaśnień.

- Może powinniście zacząć grać w krokieta albo dziergać koronki. Dokąd się tak spieszyłeś?

- Nie wiem. Przed siebie.

- Trochę głupio gnać przed siebie boso i z prędkością stu sześćdziesięciu na godzinę.

- Raczej stu dwudziestu. Masz skłonności do przesady.

- Mogłeś się zabić!

- Miałem chęć zabić kogoś innego, nie byłoby więc to takie głupie rozwiązanie. -

Otworzył oczy. Nie było już w nich cierpienia, specyfik doktora Palamo działał cuda, lecz coś o wiele bardziej dojmującego niż ból fizyczny.

- Co się stało?

- Nie było dziecka - usłyszał swój głos.

- Słucham?

- Ona nie była w ciąży. Okłamała mnie. Stała tam, patrzyła mi prosto w oczy i powiedziała, że ma w sobie moje dziecko. To było kłamstwo.

Caroline potrzebowała chwili, by zrozumieć, że on mówi o Eddzie Lou, Eddzie Lou, którą znalazła pływającą w stawie.

- Przykro mi. - Splotła ręce na kolanach, niepewna, co powiedzieć i jak to powiedzieć.

Tucker nie wiedział, dlaczego jej to wszystko mówi, ale kiedy już raz zaczął, nie był w stanie przestać.

- Te ostatnie dni... Gryzłem się tym. Myśl, że umarła w ten sposób. Kiedyś coś dla mnie znaczyła. Prawie coś dla mnie znaczyła. Myśl o tym i świadomość, że wraz z nią umarła jakaś częśćka mnie... Ale Edda Lou kłamała.

- Może się pomyliła. Mogła myśleć, że jest w ciąży. Zaśmiał się krótko.

- Nie spałem z nią od dwóch miesięcy. Kobieta pokroju Eddy Lou ma bardzo dobre rozeznanie w tym kobiecym interesie. Wiedziała. - Przymknął na chwilę oczy, a kiedy je znowu otworzył, płonął w nich gniew. - Dlaczego jestem taki zły, że nie było dziecka?

Skłamała, i to oznacza, że dziecko nie umarło i nie muszę się dręczyć myślą o nim.

Caroline wzięła go za rękę, podniosła ją nawet do policzka. Nie zdawała sobie sprawy, że Tucker w ogóle się czymś przejmuje, w dodatku tak głęboko. W jej uczuciach coś się zmieniło. Nigdy już nie będzie potrafiła oceniać Tuckera z dawną surowością.

- Czasem to, co mogło być, boli bardziej niż to, co się faktycznie zdarzyło -

powiedziała cicho.

Odwrócił dłoń splatając ich palce. Miała najpiękniejsze, najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział.

- Zdaje się, że wiesz coś o tym.

Uśmiechnęła się i nie zaprotestowała, kiedy pocałował jej rękę.

- Wiem. - Jak zwykle czujna, uwolniła dłoń. - Może pójde i sprawdzę, czy przyjechał

Junior?

Nie chciał się z nią rozstawać, jeszcze nie. Podniósł się z trudem.

- Może pójdziemy oboje? - Pokój zakołysał się i wrócił do normalnej pozycji. - Podasz mi rękę?

Spojrzała na jego wyciągniętą dłoń. Pomyślała, że to niemądrze z jej strony podejrzewać, że on prosi o coś więcej. Podała mu rękę.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Junior Talbot wysiadł ze swojej półciężarówki holowniczej, wsunął palec pod czapkę z daszkiem i przebił się przez kołtun rądrych włosów, żeby podrapać się w głowę. Obszedł

wolno rozbitego porsche'a, miażdżąc ciężkimi butami rozbite szkło. Jasno niebieskie oczy spoglądały ponuro z okrągłej, mocno piegowatej twarzy. Z namysłem skubał dolną wargę.

Caroline pomyślała, że wygląda jak Howdy Doody na środkach uspokajających.

- Widzi mi się, że masz tu mały kłopot - powiedział przeciągając słowa.

- Aha - przytaknął Tucker. - Poczęstujesz mnie fajką. Junior?

- Rozumie się. - Junior wyciągnął paczkę winstonów z kieszeni koszuli poplamionej olejem. Wytrząsnął papierosa z paczki i kiedy Tucker się poczęstował, schował ją starannie do kieszeni. Potem przykucnął, żeby przyjrzeć się zgniecionemu błotnikowi. Zapadła kolejna długa cisza.

- Niezła z niej była gablota.

Tucker wiedział, że Junior nie chce rozdrapywać jego ran. Po prostu w jego naturze leżało stwierdzanie rzeczy oczywistych. Tucker wsunął rękę do samochodu i ze skrytki na rękawiczki wyjął pudełko zapalek.

- Chyba złożą mi ją do kupy w Jackson. Junior namyślał się nad tym przez chwilę.

- Chyba - zdecydował. - Chociaż mogłeś wygiąć kadłub. Mają teraz sposoby, żeby go naprostować. Kiedyś wygiąłeś kadłub i mogłeś się pożegnać z gablota.

Tucker uśmiechnął się przez chmurę dymu.

- Nie ma jak postęp.

- Prawda. - Nie śpiesząc się, Junior wstał, obejrzał bruzdy na poboczu drogi, odłamki szkła, stwierdził brak śladów poślizgu. Po krótkim namyśle zdecydował, że on też zapali.

- Wiesz, Tucker, zawsze mówiłem, że jesteś najlepszym kierowcą, jakiego widziałem, od czasu, gdy pojechałem na pięćsetkę w Daytonie.

Caroline parsknęła niecierpliwie, co zostało zignorowane.

- Pamiętam, jak skasowałeś Bonnych na dwadzieścia dolców w wyścigu na szosie numer jeden. W lipcu siedemdziesiątego szóstego. Wystawił camaro przeciwko twojemu mustangowi. - Junior wziął zapalną od Tucke i zapalił pocierając o paznokcie kciuka. - Nie mieli szans.

Tucker przypomniał sobie wyścig z przyjemnością.

- Mieliby większe, gdyby Billy T. pozwolił prowadzić Johnowi Thomasowi.

Junior skinął głową.

- Większe, może. Ale żaden z nich nie ma twojego talentu do kółka.

- Idioci - mruknęła Caroline pod nosem. Nawet jeżeli Junior ją usłyszał, udawał, że nie. Był żonaty od ponad roku i wiedział, kiedy mężczyzna, powinien udawać głuchego.

- Powiedz mi - ciągnął Junior tym samym powolnym, spokojnym głosem - jak to się stało, że wjechałeś w ten słup.

- No cóż... - Tucker zaciągnął się w zamyśleniu. - Można powiedzieć żeśmy się rozeszli, wóz w jedną, a ja w drugą. Układ sterowniczy.

Junior skinął głową i spokojnie palił dalej. Caroline miała wielką ochotę zapytać, czy nie przynieść im ogrodowych krzeseł, żeby mogli pogawędzić na siedząco.

- Coś mi się zdaje, że nawet nie zdążyłeś przydepnąć hamulca.

- Zdążyłem - odparł Tucker. - Hamulce nie działały.

W oczach Juniora błysnęło ozywienie. Ktoś inny na jego miejscu zlekceważyłby całą historię. Ale Junior znał i podziwiał umiejętności Tuckera jako kierowcy.

- Zagadkowa sprawa - powiedział. - Zły układ kierowniczy, złe hamulce. Wszystko naraz w takiej bryce? Miała coś ze sześć miesięcy, no nie?

- Zgadza się. Junior pokiwał głową.

- Trzeba jej się przyjrzeć.

- Byłbym wdzięczny, Juniorze.

Caroline milczała, dopóki Junior nie wrócił do swojej ciężarówki.

- Co ma wspólnego wyścig sprzed piętnastu lat z faktem, że wjechałeś w moją skrzynkę pocztową?

Tucker uśmiechnął się.

- Co to była za noc! Odsuń się od wozu, skarbie. Może się przechylić przy szarpnięciu.

- Żeby utrwalić jej kielkujące współczucie. Tucker zarzucił jej rękę na ramię i pozwolił się odprowadzić parę kroków w tył.

- Słabo ci?

Nie było mu słabo, ale w jej głosie usłyszał tyle troski!

- Odrobinę - powiedział z wolna, jakby nadrabiał miną. - To minie. - Stłumił uśmiech, kiedy opasała go w pasie ramieniem.

- Chodźmy do samochodu. Odwiozę cię do domu.

Do domu! Cholera! A już zaczynał robić postępy. - Wolałbym wyciągnąć się na kanapie, zanim odzyskam siły. Czuł, że ona się waha. Wtedy usłyszał klakson i zmełł w ustach przekleństwo. Dwayne zatrzymał swojego białego caddy na samym środku drogi i wyskoczył. Był nie ogolony, a włosy sterczały mu na wszystkie strony. - Jezu miłosierny, chłopie!

Obrzucił Tuckera szybkim spojrzeniem, stwierdził, że brat stoi na obu nogach i przeniósł całą uwagę na samochód, który Junior zdejmował ze słupa.

- Wybrałeś się na niedzielną przejażdżkę, Dwayne?

- Crystal dzwoniła. - Dwayne gwizdnął przez zęby, kiedy zobaczył przód porsche'a. -

Singleton Fuller był na stacji, kiedy Junior odebrał telefon. Wpadł na Jeda Larssona, który opowiedział wszystko Crystal, która przyszła po skrzynkę coli. Dobrze, że to ja odebrałem telefon, a nie Josie. - Pod wpływem cudownych leków Josie jego kac ustąpił na tyle, że Dwayne był w stanie odczuwać coś poza własnym bólem głowy. - Kurczę blade, Tucker, załatwiłeś to cacuszko.

Tracąc cierpliwość, Caroline wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Twój brat czuje się lepiej, niż można by się spodziewać w tych okolicznościach -

wystrzeżliła. - Mogło być gorzej, a tak, zadrapał sobie tylko czerep. To zrozumiałe, że niepokoi cię stan brata, ale proszę mi wierzyć, nic mu nie będzie.

Junior przerwał robotę i zamarł z papierosem zwisającym z kącika ust. Dwayne zamrugał bezradnie powiekami. Tucker robił co w jego mocy, by nie ryknąć śmiechem.

Ona za mną szaleje, zdecydował.

- Tak - powiedział Dwayne ze skrupulatną uprzejmością. - Widzę, że nic mu nie jest.

Przyjechałem zabrać go do domu.

- Cóż za troskliwa rodzina.

- Faktycznie, trzymamy się razem. - Kiedy się uśmiechał, było w nim coś zniewalającego, mimo przekrwionych oczu i aury przepicia.

- Nigdy nie spotkałam podobnej rodziny - powiedziała Caroline szczerze.

- Załatwione, Tuck - zawołał Junior. - Sprawdzę, co i jak, i dam ci znać.

- Dzięki, Junior. - Tucker musiał się odwrócić. Po prostu nie mógł patrzeć, jak odholowują jego samochód. Było to niemal tak przykre, jak Widok kogoś bliskiego na noszach.

- Miło cię było znowu widzieć, Caroline - powiedział Dwayne, po Czym ruszył w stronę swojego samochodu. - Chodź, Tucker. Zaczynał się mecz, kiedy Crystal zadzwoniła.

Straciłem już pierwszą połowę.

- Za chwilę. - Tucker odwrócił się ku Caroline. - Dziękuję za opiekę. - Dotknął jej włosów. - I za to, że mnie wysłuchałaś. Nie cwałem sobie sprawy, jak bardzo chcę z kimś porozmawiać.

Potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że Tucker mówi poważnie. Nie dostrzegła kpiącego błysku w jego oczach.

- Zawsze do usług - powiedziała.

- Chciałbym ci się jakoś odwdzińczyć. - Kiedy cofnęła głowę przed jego dotknięciem, Tucker ujął ją za podbródek. - Chciałbym zaprosić cię dzisiaj na kolację do Sweetwater.

- Naprawdę, Tucker, nie musisz tego...

- Nagle zapragnąłem, byś zobaczyła mnie w bardziej sprzyjających okolicznościach niż te, które udawało mi się stworzyć dotychczas. - Błądził palcami między jej uchem a podbródkiem. - Zapragnąłem cię zobaczyć, kropka.

- Nie chcę niczego zaczynać, z nikim - powiedziała spokojnie, choć puls walił jej w skroniach.

- Zapraszanie sąsiadów na niedzielną kolację jest starą tradycją w tych okolicach.

Musiała się uśmiechnąć.

- Nie będę łamała starych tradycji.

- Cholera, Tuck, pocałuj ją po prostu i chodźmy - zawołał Dwayne. Oddając uśmiech, Tucker przesunął kciukiem po jej wargach.

- Nie pozwoli mi. Na razie. Czekam o piątej, Caro. Oprawdę cię po Sweetwater.

- Dobrze.

Patrzyła, jak idzie do cadillaka i sadowi się ostrożnie na przednim siedzeniu. Zdążył

jeszcze posłać jej szybki uśmiech, zanim Dwayne wystrzelił w stronę Sweetwater, jadąc dokładnie środkiem drogi.

- Lecę jak głupia z kiermaszu, myśląc, że rozbiłam sobie głowę albo co gorszego, a ty mi mówisz, że mamy gości na kolacji! - Della grzmotnęła wałkiem w bryłę ciasta. - Teraz nie wiem, ile pieniędzy zebrałyśmy. Musiałam zostawić wszystko w rękach Susie Truesdale, a ona tak się zna na handlu jak nie przymierzając ty.

Ponieważ refren ten rozbrzmiewał od dobrych trzech godzin, Tucker uznał, że czas działać. Wyciągnął z kieszeni dwadzieścia dolarów i położył jej na kuchennym blacie.



- Masz. To mój wkład w kiermasz ciast Świętej Trójcy.

- Hmm. - Zwinne palce Delii chwyciły banknot i upchnęły go w czeluściach fartucha. Ale pieniądze nie mogły kupić jej milczenia.

- Myślałam, że dostanę zawału. Przylatuje Earleen i mówi, żeś rozbił samochód. A mówiłam ci, kiedyś go kupowałam, że zrobili go cudzoziemcy i nic dobrego z tego nie wyniknie.

Podobnie jak ze ścigania się po drogach w dzień świąty. - Włożyła rozwałkowane ciasto do formy. - A kiedy przybiegam do domu zobaczyć, czy jesteś żywy czy martwy, ty mi mówisz, że zaprosiło gościa na kolację.

Pofukując, przycinała odstające końce ciasta.

- Jakby szynka się miała upiec sama. Wnuczka Etidht! Miałam dużo sympatii dla Edith. Opowiadała mi, jak to jej wnuczka jeździ do Paryża i Włoch, że była w samym Pałacu Buckingham i jadła kolację z prezydentem w Białym Domu. - Rozwałkowała następną grudę ciasta. - I ona przychodzi na kolację, a ja nie mam nawet czasu sprawdzić, czy nie trzeba wyczyścić sreber. Twoja mama przewróciłaby się w grobie, niech spoczywa w pokoju, gdybym nie użyła dobrych sreber. - Otarła wierzchem dłoni czoło, zadzwoniły ciężkie bransolety na jej przegubach. - A on myśli, że niedzielna kolacja zrobi się sama. Iście po męsku.

Tucker spojrzął wilkiem na ziemniaka, którego właśnie obierał.

- Przecież ci pomagam, prawda? Parsknęła pogardliwie.

- Wielka mi pomoc. Za grubo obierasz ziemniaki i rozrzucasz łupiny na mojej czystej podłodze.

- Jezu Chryste!

Oczy Delii błysnęły gniewem. Tucker skulił się w sobie.

- Nie używaj imienia Pańskiego nadaremnie, nie w mojej kuchni w niedzielę.

- Zmyję podłogę, Della.

- Pewnie, że zmyjesz. Tylko nie waż się brać najlepszego ręcznika, jak ostatnim razem.

- Tak jest. - Czas wytoczyć największą armatę, uznał Tucker. Wstawił miskę z ziemniakami do zlewu i otoczył ramionami okazałą talię Delii.

- Chciałem tylko zrobić coś miłego dla Caroline po tym, jak opatrzyła mi głowę.

Della chrząknęła znacząco.

- Widziałam ją i mogę sobie wyobrazić, co to jest, to coś miłego. Uśmiechnął się zanurzając twarz w jej czerwonych lokach.

- Nie mogę zaprzeczyć. Taka myśl zaświtała mi w głowie.

- Chyba w rozporoku. - Ale usta jej drżały od hamowanego śmiechu. - Trochę za chuda jak na twój gust.

- Cóż, liczę na to, że się podtuczy na twoim wikcie. Wiesz, że nikt nie serwuje takich frykasów jak ty. Prawdę mówiąc, chciałem jej trochę zaimponować. Najpewniejszy sposób to kazać jej spróbować twojej marynowanej szynki.

Della parskała, prychała i rumieniła się z dumy.

- Myślę, że nie zaszkodzi nakarmić dziewczuszyny przyzwoitą kolacją.

- Przyzwoitą?! - Uścisnął Delię. - Złotko, nie jadła lepszej w Białym Domu. Masz to jak w banku.

Della zachichotała i odepchnęła jego rękę.

- Dostanie figę z makiem, jeżeli nie skończę. Wrzuć ziemniaki do wrzątku i zmiataj stąd. Skończę prędzej, jeżeli nie będziesz mi pomagał.

- Sie robi! - Tucker wycisnął na jej policzku pocałunek. Wymruczała coś z zadowoleniem. Wychodząc parę minut później z kuchni, Tucker natknął się na Dwayne'a rozciągniętego na podłodze w salonie. Oglądał kolejny mecz baseballowy.

- Mógłbyś się ogolić.

Dwayne przekreślił się na bok i sięgnął po butelkę coca - coli.

- Jest niedziela. Nigdy nie golę się w niedzielę.

- Mamy gościa na kolacji.

Dwayne pociągnął tęgi łyk i zaklął, kiedy baseballista puścił piłkę.

- Jeżeli się ogolę, ona zobaczy, że jestem przystojniejszy od ciebie. I jak będziesz wtedy wyglądał?

- Zaryzykuję.

Dwayne parsknął pogardliwie.

- Przycisną tego miotacza jeszcze w tej części gry, jeżeli mają trochę oleju w głowie.

Dobra, ogolę się.

Zadowolony z takiego obrotu spraw, Tucker ruszył w górę po schodach. Zanim dotarł do swojego pokoju, wezwała go Josie.

- Tucker? Czy to ty, skarbie?

- Idę wziąć prysznic.

- Chodź tu na chwilę i pomóż mi.

Zerknął na zegarek dziadka, stwierdził, że do przyścia Caroline zostało jeszcze pół godziny, i wszedł do pokoju Josie.

Wyglądał jak dom towarowy po wyprzedaży. Bluzki, sukienki, halki, buty leżały rozrzucone na krzesłach, łóżku, parapecie okiennym. Pajacyk z czarnej koronki zwisał bardzo sugestywnie z trąby różowego słonia, którego jakiś zapomniany adorator Josie wygrał na stanowym festynie.

Wciąż miała na sobie czerwony szlafrok, a głowę trzymała w szafie. między resztą odzieży.

Jak zwykle w pokoju unosił się zapach będący kombinacją perfum, pudrów i rozmaitych płynów kosmetycznych. W rezultacie pachniało trochę jak w sklepie perfumeryjnym, trochę jak w luksusowym burdelu.

Tucker obrzucił wewnątrz szybkim spojrzeniem i doszedł do oczywistego wniosku.

- Masz randkę?

- Teddy zawozi mnie na przedstawienie do Greenville. Powiedziałam żeby wpadł na kolację, skoro i tak mamy gościa. Co powiesz na to? - Odwróciła się, trzymając na wysokości bioder skórzaną minispódniczkę.

- Za gorąco na skórę.

Ubolewała nad tym przez chwilę, ponieważ spódnica odsłaniała pięknie jej nogi, po czym odrzuciła ciuch na łóżko.

- Masz rację. Wiem, czego mi potrzeba, tej skąpej różowej kiecki. Miałam ją na sobie na przyjęciu w Jackson w zeszłym tygodniu i otrzymałam jedną. ofertę małżeńską i trzy niemoralne propozycje. Gdzie ona jest, do cholery.

Tucker patrzył, jak przetrząsa ubrania już odrzucone.

- Myślałem, że wypróbujesz doktora dla Crystal.

- Prawda. - Podniosła głowę i uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Ale uznałam, że on wcale nie jest w typie Crystal. Zresztą wraca za parę dni na Północ i rozstanie złamałoby jej serce. Nie może pozwolić sobie na podróż do Waszyngtonu, a ja, owszem. Głowa boli cię jeszcze?

- Nie bardzo.

- Spójrz tutaj. - Pokazała na niewielki siniak na łydce. - Wyrwałeś stąd tak prędko, że poleciał żwir. Teraz będę musiała zapudrować nogę albo włożyć spodnie.

- Przepraszam.

Wzruszyła ramionami i podjęła poszukiwania różowej sukienki.

- Nie ma sprawy. Byłeś zdenerwowany. Wszyscy się dowiedzą, że ona kłamała, Tucker. Dowiedzą się, zanim pogrzebią ją we wtorek.

- Chyba tak. - Dostrzegł rąbek czegoś różowego i wyciągnął spod stosu sukienkę. - Już się uspokoilem. W pierwszym momencie faktycznie trochę mnie poniosło.

Dotknęła bandażu na jego czole i przez chwilę stali przy sobie, w obłoku perfum Josie.

Łączyło ich coś więcej niż twarz matki, więcej niż nazwisko ojca. Istniała między nimi więź mocniejsza niż wspólnota krwi. Kochali się.

- Przykro mi, że ona cię zraniła, Tucker.

- Pokieroszowała trochę moją męską dumę, to wszystko. - Pocałował Josie leciutko w usta. - Już się zablźnia.

- Jesteś za dobry dla kobiet, Tucker. Zakochują się w tobie. Masz z tego tylko kłopoty.

Gdybyś był dla nich trochę twardszy, nie wzbudzałbyś takich nadziei.

- Będę o tym pamiętał, Josie. Następnym razem, kiedy umówię się z kobietą, powiem jej, że jest brzydka.

Josie roześmiała się i przyłożywszy do siebie sukienkę, zaczęła się okręcać przed kryształowym lustrem.

- I nie mów wierszy.

- Kto twierdzi, że mówię?

- Caroline. Mówiłeś wierszem, kiedy zabrałeś ją nad Lake Village, żeby Podziwiała gwiazdy.

Tucker wepchnął ręce w kieszenie spodni.

- To niebywałe! Żeby kobiety opowiadały sobie najbardziej intymne szczegóły życia, robiąc trwałą albo manikiur!

- A co sądzisz o mężczyznach omawiających przy piwie wielkość kobiecych cycków?

Patrzył na nią spode łba.

- Już nigdy w życiu nie powiem kobiecie komplementu. Josie skwitowała to śmiechem.

Sweetwater wywarło na Caroline takie wrażenie, że zatrzymała samochód w połowie alei i patrzyła. W południowym słońcu wydawało się, że dom jest perłowobiały i składa się wyłącznie z delikatnych żelaznych barierek, wiotkich kolumn i połyskliwych okien.

Nietrudno było sobie wyobrazić kobiety w krynolinach spacerujące na trawnikach i dżentelmenów we frakach dyskutujących na werandzie o możliwości secesji, podczas gdy czarna służba roznosiła bezszelestnie zimne napoje.

Kwiaty rosły wszędzie, oplatały kratki, wylewały się z terakotowych donic. Zapach gardenii, magnolii i róż wypełniał powietrze.

Z białego masztu na środku frontowego trawnika zwisała flaga Kon. federacji, wyblakła i nadgryzioną przez czas.

Za domem Caroline dostrzegła rzędy kamiennych budynków, gdzie, jak się domyślała, mieściły się kiedyś kwatery niewolników, wędzarnie i letnie kuchnie. Trawnik z tyłu domu przechodził w płaskie, ciągnące się w nieskończoność pola bawełny. Na środku jednego z nich stało samotne drzewo, potężny cyprys, pozostawiony tym przez niedopatrzenie, a może sentyment.

Z jakiegoś powodu widok tego drzewa, jego surowy majestat wzruszył ją niemal do łez. Z pewnością tkwił tam od ponad stu lat, przetrwał upadek Południa, widział walkę o zachowanie stylu życia i ostateczną klęskę.

Przeniosła wzrok z powrotem na dom. On również symbolizował ciągłość i zmianę, majestatyczną elegancję starego Południa, która ludziom z Północy wydawała się gnuśnością.

Dzieci rodziły się w tym domu, dorastały i umierały, a życie tego cichego zakątka delty toczyło się dalej. Przetrwała kultura i tradycja.

A dowód tego miała przed oczami. Dowodem był również dom jej babki i wszystkie te domy i farmy, i pola wokół Innocence. I samo Innocence.

Właśnie zaczynała to rozumieć.

Kiedy zobaczyła Tuckera, który ukazał się na frontowej werandzie, pomyślała, że może i jego zacznie rozumieć. Uruchomiła silnik i objechała powoli gazon peonii.

- Stałaś tam tak długo. Już zacząłem się bać, że się rozmyśliłaś.

- Nie. - Wysiadła z samochodu. - Po prostu patrzyłam.

On również dokonał pewnych obserwacji i uznał, że będzie lepiej, jeżeli poczeka z mówieniem, aż obręcz, która ścisnęła jego serce, zostanie trochę rozluźniona. Caroline ubrana była w cienką białą sukienkę, rozkloszowaną ku dołowi. Wyobraził sobie, jak powiewa na wietrze; trzymała się na dwóch ramiączkach szerokości palca. Szyję Caroline otaczał

naszyjnik z jakichś wypolerowanych kamieni. Zaczesała w tył włosy odsłaniały kolczyk harmonizujący z naszyjnikiem. Zrobiła coś tajemniczego i bardzo kobiecego z twarzą, pogłębiając oczy i podkreślając usta.

Kiedy szła ku niemu po schodach, poczuł pierwsze tchnienie jej zapachu. Prawą ręką ujął jej lewą dłoń i obrócił ją w koło pod łukiem swojego ramienia, niby w tańcu. Roześmiała się. Kiedy ujrzał głębokie wycięci sukienki na plecach, przełknął głośno ślinę.

- Muszę ci coś wyznać, Caroline.

- Słucham.

- Jesteś brzydka. - Potrząsnął głową, zanim zdołała coś powiedzieć. - Musiałem wyrzucić to z siebie.

- Interesujące podejście.

- Pomysł mojej siostry. To powinno powstrzymać kobiety przed zakochiwaniem się we mnie.

Dlaczego zawsze pobudzał ją do śmiechu?

- Metoda może okazać się skuteczna. Masz zamiar zaprosić mnie do środka?

- Wydaje mi się, że czekałem na to bardzo długo. - Poprowadził ją do drzwi, otworzył

je. Zatrzymał się na chwilę, żeby zobaczyć, jak wygląda w progu - w jego progu - na tle krzewów magnolii. Musiał stwierdzić, że wyglądała świetnie.

- Witaj w Sweetwater.

W chwili gdy znalazła się w holu, usłyszała donośne pokrzykiwania Delii.

- Jeżeli zapraszasz kogoś do mojego stołu, mogłabyś przynajmniej go nakryć! - Della stała u podnóża kręconych schodów, z jedną ręką na mahoniowym słupku, drugą na potężnym biodrze.

- Powiedziałam, że nakryję, no nie? - dobiegł z góry głos Josie. - Nie wiem, o co ten cały rwetes. Skończę robić twarz i zajmę się stołem.

- Tydzień zejdzie, zanim skończy z tymi farbami. - Della odwróciła się. Święte oburzenie na jej twarzy ustąpiło miejsca ciekawości, kiedy dostrzegła Caroline. - Proszę, proszę, to ty jesteś wnuczką Edith.

- Tak.

- Ucięłyśmy sobie z Edith niejedną miłą pogawędkę na jej frontowej werandzie.

Przypominasz ją trochę. Koło oczu.

- Dziękuję.

- To jest Della - obwieścił Tucker. - Opiekuj się nami.

- Próbuję od trzydziestu lat, ale rezultaty są mizerne. Zabierz ją do gościnnego salonu i daj dobrej sherry, Tucker. Kolacja będzie niedługo. - Po raz ostatni łypnęła okiem w stronę schodów i podniosła głos. - Dobrze by było, gdyby ktoś przestał się pacykować i nakrył stół.

- Chętnie to zrobię - zaczęła Caroline, ale Della już popychała ją w stronę salonu.

- Nawet mowy nie ma. Tucker obrał ziemniaki, a ta dziewczyna nakryje do stołu. Tyle przynajmniej może zrobić, skoro zaprosiła tego doktora od umarłaków. - Poklepała Caroline po ramieniu i popędziła do kuchni.

- Doktor od umarłaków?

Tucker uśmiechnął się i podszedł do antycznej orzechowej komody, gdzie trzymano alkohol.

- Patolog.

- A, Teddy. To... interesujący człowiek, z pewnością. - Przesunęła wzrokiem po wysokich oknach, koronkowych firankach, tureckich dywanach. Dwie bliźniacze kanapy utrzymane były w tonacji pastelowej. Ściany pokryte były tapetą w chłodnych barwach harmonizujących ze starymi meblami, podobne kolory miały ręcznie wyszywane poduszki leżące na otomanie. Na obramowaniu marmurowego kominka stała waza Waterforda wypełniona płatkami róż.

- Uroczy dom. - Wzięła z jego rąk kieliszek. - Dziękuję.

- Oprowadzę cię kiedyś. Opowiem całą historię.

- Chciałabym ją usłyszeć. - Podeszła do okna, skąd mogła widzieć ogród, a dalej pola i stary cyprys. - Nie wiedziałam, że jesteście farmerami.

- Plantatorami - sprostował Tucker stając za jej plecami. - Lorgstreetowie są plantatorami od osiemnastego wieku, od dnia kiedy Beauregard Longstreet wyłudził od Henry'ego Van Havena w dwudniowej partii pokera sześćset akrów najlepszej ziemi w delcie.

Było to w Natchez w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, w domu rozpusty o nazwie „Czerwona Gwiazda”.

Caroline odwróciła się od okna.

- Zmyślasz.

- Nie, droga pani, mój ojciec powtórzył mi to, co usłyszał od swojego ojca, który usłyszał to od swojego ojca, i tak dalej, aż do owego pamiętnego dnia w dziewięćdziesiątym szóstym, oczywiście, fragment o szachrowaniu opiera się na spekulacjach. Jest autorstwa Larssonów. Nawiasem mówiąc,

są kuzynami Van Havenów.

- To brzydko z ich strony.

Lubił kiedy tak na niego patrzyła, z leciutko wydętymi wargami, z delikatną kpina w oczach.

- W każdym razie Henry tak się zdenerwował utratą ziemi, że próbował zgładzić starego Beau, kiedy ten skończył świętowanie wygranej z jedną z najlepszych dziewczynek w

„Czerwonej Gwiazdzie”. Nazywała się Millie Jones.

Caroline cmoknęła wargami i potrząsnęła głową.

- Powinieneś zostać literatem.

- Mówię ci tylko, jak było. A więc Millie była zadowolona z Beau - wspominałem ci może, że Longstreetowie cieszyli się zawsze opinią znakomitych kochanków?

- Nie wydaje mi się.

- Udokumentowane, poprzez wieki - zapewnił ją Tucker. Lubił patrzeć, jak uśmiech rozjaśnia jej oczy, łagodzi wyraz ust. Gdyby nie znał tej historii, wymyśliłby ją na poczekaniu. - I Millie, wdzięczna Beau za jego starania, jak również za pięć dolarów w złocie, które pozostawił na nocnym stoliku, podeszła do okna, żeby pomachać mu na pożegnanie. To właśnie ona dostrzegła Henry'ego, który czaił się w krzakach z naładowaną flintą. Krzyknęła ostrzegawczo. Henry wystrzelił. Kula przeszła rękaw surduta Beau, ale nie ucierpiał na tym jego refleks. Wyciągnął nóż i cisnął nim w krzak, z którego padł strzał. Trafił Henry'ego prosto w bebechy, jak mawiał mój dziadunio.

- Był, oczywiście, ekspertem w rzucaniu nożem, tak jak był znawcą sztuki miłosnej.

- Bardzo utalentowany człowiek - przytaknął Tucker. - A ponieważ był również niezwykle roztropny, uznał, że lepiej opuścić Natchez i nie odpowiadać niewygodne pytania o karciany zakład, nieboszczyka w krzakach i arkansaski burdel. Będąc romantykiem, zabrał

Mollie z tego domku i przywiózł ją tutaj. - I zaczął sadzić bawełnę.

- Sadzić bawełnę, bogacić się i płodzić dzieci. To właśnie ich syn zaczął budowę tego domu w tysiąc osiemset dwudziestym piątym. Caroline nie odezwała się. Można było dać się łatwo porwać rytmowi, melodii jego głosu. Nieważne, co w tej historii jest prawdą, pomyślała, a co Tucker zmyślił na poczekaniu. Chodzi o sposób, w jaki opowiadał.

Odsunęła się od okna, czując, że on zaraz jej dotknie. Nie była już wcale taka pewna, że sobie tego nie życzy.

- Wiem bardzo niewiele o historii mojej rodziny - powiedziała. - A już z pewnością nic o wydarzeniach sprzed dwustu lat.



- Tutaj, w delcie, częściej oglądamy się za siebie, niż patrzymy w przyszłość. Historia to największa plotkara. A jutro... Cóż, jutro samo zadba o siebie, prawda?

Wydało mu się, że słyszy jej westchnienie, ale dźwięk był tak cichy, że mógł się pomylić.

- Przez całe życie myślałam wyłącznie o przyszłości, planowałam następny miesiąc, następny sezon. To pewnie tutejszy klimat tak na mnie wpłynął. - Tym razem westchnęła i było w tym coś tęsknego. - Od chwili, gdy weszłam do domu babci, nie pomyślałam nawet o przyszłości. Zresztą, nie chciałam myśleć - powiedziała, przypomniawszy sobie telefony od menedżera. Twierdził, że jej wyjazd do Missisipi jest ucieczką.

Tucker miał wielką ochotę objąć ją, choćby po to, by ofiarować jej schronienie ze swych ramion. Ale bał się, że taki gest zepsuje to, co się między nimi poczynało.

- Dlaczego jesteś nieszczęśliwa, Caro? Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie jestem nieszczęśliwa. - Ale wiedziała, że to tylko część prawdy. Kłamstwo było częścią prawdy.

- Słucham niemal tak dobrze, jak mówię. - Dotknął delikatnie jej twarzy. - Może spróbujesz któregoś dnia.

- Może. - Ale odsunęła się od niego. - Ktoś idzie. Wiedział, że ta właściwa chwila jeszcze nie nadeszła. Spojrzał w okno.

- Doktor od umarłaków - powiedział i uśmiechnął się szeroko, - Chodźmy zobaczyć, czy Josie nakryła do stołu.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Austin Hatinger siedział w więzieniu okręgowym w Greenville, gdzie ściany zamalowane były graffiti, a kibel nie miał spłuczki, i gapił się na paseczki światła na podłodze, tuż przy jego nogach.

Wiedział, dlaczego znalazł się w celi jak zwykły kryminalista, jak zwierzę. Wiedział, dlaczego musi patrzeć na smugi światła w klatce, na brudne ściany ze świńskimi napisami.

Ponieważ Beau Longstreet był bogaty. Był przeklętym plantatorem i zostawił

wszystkie swoje brudne pieniądze swoim bękartom.

Są bękartami, pomyślał Austin. Madeline mogła nosić na palcu pierścionełk zdrajcy, ale wobec Boga należała do jednego tylko mężczyzny.

Beau nie pojechał do tego kloacznoego dołu, Korei, żeby służyć ojczyźnie i ratować dobrych chrześcijan przed żółtą zarazą. Został w domu, w grzechu i luksusie, i robił

pieniądze. Austin od dawna podejrzewał, że Beau zwabił Madeline podstępem. To oczywiście nie

usprawiedliwia jej zdrady, ale kobiety są słabe, słabe ciałem, słabe wolą, słabe umysłem.

Pozbawione kierownictwa i okazjonalnych kontaktów z męską pięścią, wykazywały głupotę i skłonność do grzechu. Bóg mu świadkiem, że zrobił co w jego mocy, by utrzymać Mavis na wąskiej dróżce cnoty.

Poślubił ją z rozpaczy, zaślepiony gniewem i pożądaniem. „Kobieta, która mi dałaś, podała mi owoc z drzewa, i ja go zjadłem”. Och, tak, Mavis skusiła go, a on uległ.

Austin wiedział, że szatan zawsze przemawia najpierw do kobiety, swoim miękkim uwodzicielskim głosem. Kobieta jest bardziej podatna na grzech, upada i pociąga za sobą mężczyznę.

Ale był wiemy żonie. Przez trzydzieści lat tylko raz zwrócił się ku innej kobiecie.

Nawet jeżeli, egzekwując prawa małżonka i biorąc czasem Mavis, czuli smakował

Madeline w ciemnościach, był to jedynie znak od Pana, że Madeline należy do niego.

Udawała wobec niego obojętność. Wiedział, przez wszystkie te lata wiedział, że odeszła z Beau tylko po to, by go dręczyć, jak to zwykle kobiety.

Należała do niego. Tylko do niego. Zaprzeczyła gwałtownie, kiedy oznajmił jej to przed wiruszeniem na wojnę, ale był to zwykły wykręt.

Gdyby nie Beau, czekałaby na jego powrót. Nie czekała, i stało się to dla niego początkiem końca.

Czyż nie urabiał sobie rąk po łokcie, nie zaharowywał się prawie na śmierć próbując zapewnić godziwe życie rodzinie, którą się obarczył? A kiedy on pracował, padał i znów się podnosił, spływał potem i krwią, Beau siedział w swoim białym domu i się śmiał. Śmiał się.

Ale Beau nie wiedział. Mimo wszystkich swoich pieniędzy i pięknych ubrań, i eleganckich samochodów nigdy się nie dowiedział, że pewnego upalnego dnia w środku lata, kiedy oddech palił płuca, a niebo było rozprażone do białości, Austin Hatinger sięgnął po swoją własność.

Pamiętał, jak wyglądała tego dnia. Obraz w jego umyśle był tak wyraźny, że dłonie mu drżały, a gorące fale krwi uderzały do głowy.

Przyszła do niego, wniosła kosz na jego werandę, duży wiklinowy kosz wypełniony rzeczami dla jego rodziny. Dla jego raczkującego syna, dla jego żony, która leżała w pokoju i wypacała z siebie kolejne dziecko.

Madeline ubrana była w niebieską sukienkę i biały kapelusz przewiązany zwiewną szarfą. Zawsze miała słabość do takich szaliczków. Ciemne włosy zwinięte pod kapeluszem ujmowały w ramkę twarz o kremowej skórze, skórze, którą smarowała mazidłami kupionymi za śmierdzące pieniądze Beau. Wyglądała jak wiosenny poranek. Szła wolno zakurzoną ścieżką ku jego walącej się werandzie, oczy jej się śmiały jakby nie widziała nędzy, stopni z betonowych bloków, nędznych ubrań wiszących na sznurze, chudych kur dziobiących w kurzu.

Głos miała tak czysty, kiedy ofiarowała mu ten koszt z używanymi rzeczami. Beau kupił je dla dzieci, które miał z jego. Austina, kobietą. Myśl ta huczała mu w głowie, zagłuszając jęki jego własnej żony, nawołującej o lekarza.

Pamiętał, że Madeline chciała wejść do środka, zatroskana o kobietę, która nigdy nie znalazłaby się w jego łóżku, gdyby nie zdrada innej.

- Jedź po doktora, Austin - powiedziała tym swoim głosem, chłodnym jak źródłana woda. Współczucie malujące się w jej złocistych oczach wwiercało się w niego jak świder. -

Pośpiesz się, ja zostanę z twoją żoną i synkiem.

To nie szaleństwo nim owładnęło. Nie, Austin nigdy by tego tak nie określił. To było poczucie sprawiedliwości. Owładnął nim słuszny gniew, kiedy zwałówał Madeline z werandy.

Kierowała nim prawda, kiedy rzucił ją na ziemię, w brud i kurz.

O, udawała, że go nie chce. Krzyczała i walczyła, ale to było tylko udawanie. Miał prawo, prawo dane mu od Boga, wdrzeć się w nią. Nieważne, że ani na chwilę nie przestała udawać, że szlochała i błagała o litość. W końcu ona też musiała uznać to prawo.

Wypełnił ją swoim nasieniem i jeszcze teraz, po tylu latach, pamiętał, jaką przyniosło mu to ulgę. Pamiętał, jak dygotało jego ciało, kiedy oddawał jej to, co było w nim mężczyzną.

Przestała w końcu płakać. Kiedy stoczył się z niej i leżał w piachu wpatrując się w to białe od żaru niebo, wstała, odeszła, zostawiła go z triumfem w duszy i smakiem goryczy w ustach.

Czekaj, dzień po dniu, noc w noc, na przyście Beau. Narodził się jego drugi syn, żona leżała w łóżku z kamienną twarzą, a Austin czekał z winchesterem w dłoni. I tęsknił aż do bólu za tym, by móc zabić.

Ale Beau nigdy nie przyszedł. Austin zrozumiał, że Madeline zachowała tajemnicę. I

skazała go na zagładę.

Teraz Beau nie żył. Nie żyła również Madeline. Leżeli we wspólnym grobie na Cmentarzu Błogosławionego Spokoju.

Ale został syn, syn, który obrócił koło przeznaczenia. Syn uwiódł jego córkę.

Dziewczyna nie żyła.

Zemsta była jego prawem.

Austin zamrugał powiekami i skupił wzrok ponownie na smugach słonecznego światła, które przenikały przez pręty, przesuwając się wraz ze słońcem. Nadchodził zmierzch.

Austin tkwił w przeszłości przeszło dwie godziny.

Nadszedł czas, by zaplanować przyszłość. Z obrzydzeniem spojrzał na swoje szerokie niebieskie spodnie. Więzienne ubranie. Wkrótce się go pozbędzie. Ucieknie. Bóg pomaga tym, którzy pomagają sami sobie. Znajdzie sposób.

Wróci do Innocence i zrobi to, co powinien zrobić przeszło trzydzieści lat temu.

Zabije cząstkę Beau, która żyła w jego synu.

I wyrówna rachunki.

Caroline wyszła na ukwiecone patio i wciągnęła głęboko powietrze pachnące latem.

Światło złagodniało, nadciągał zmierzch i owady brzęczały w trawie. Caroline doznała uczucia niemal przesytu. Zapomniała, jak bardzo to uczucie może być przyjemne.

Kolacja okazała się furą pysznego jedzenia podawanego na srebrnych tacach. Była to powolna, wykwinna ceremonia wypełniona zapachem, smakiem, rozmową, śmiechem.

Teddy pokazywał sztuki magiczne z serwetka i sztucami. Dwayne, ponury, ale w stopniu możliwym do przyjęcia, zaprezentował niezwykle talent mimiczny, naśladując Jimmy'ego Stewarta. Jacka Nicholsona i miejscowych oryginałów w rodzaju Juniora Talbota.

Tucker i Josie bawili ją obrazowymi opowieściami o skandalach seksualnych, jakie zdarzyły się przed pięćdziesięciu laty.

Jak bardzo różniła się ta kolacja od posiłków w jej domu rodzinnym.

Matka narzucała stosowny temat rozmowy i ani kropla nie spadała na wykrochmalony adamaszkowy obrus. Posiłki te przypominały bardziej konferencje biurowe niż rodzinne biesiady. Nigdy nie omawiano przeszłości przodków, a Georgia McNair Waverly wcale nie byłaby ubawiona, gdyby gość wyciągnął zza jej stanika widelec do sałaty. Za to Caroline bawiła się jak nigdy dotąd w życiu i było jej przykro, że wieczór się kończy.

- Wyglądasz na szczęśliwą - zauważył Tucker.

- Dlaczego nie miałabym być szczęśliwa?

- Nie wiem. To mnie po prostu cieszy. - Wziął ją za rękę. Kiedy ich palce się splotły.

Tucker wyczuł w niej więcej niepewności niż oporu. - Masz ochotę na spacer?

Był ładny wieczór, urocza sceneria, nastrój sprzyjał przechadzce.

- Tak.

Niewiele ma to wspólnego ze spacerem, pomyślała, kiedy błakali się pośród krzewów różanych i gazonów gardenii. Przypomina bardziej wałęsanie się. Bez pośpiechu, bez celu, bez problemów. Pomyślała, że takie wałęsanie doskonale pasuje do Tuckera.

- Czy to jest jezioro? - zapytała, kiedy ujrzała błysk wody w ostatnich promieniach słońca.

- Sweetwater. - Posłusznie zmienił kierunek przechadzki. - Beau wybudował tam swój dom, na południowym brzegu jeziora. Zostały jeszcze fundamenty.

Caroline zobaczyła tylko kupę kamieni.

- Jaki piękny mieli stąd widok. Akry własnej ziemi. Jakie to uczucie?

- Nie wiem. Ono po prostu jest.

Rozczarowana patrzyła na szerokie, płaskie pola bawełny. Była dzieckiem miasta, gdzie nawet najbogatsi posiadali na własność jedynie skrawki przestrzeni, a ludzie mieszkali sobie nad głowami. - Posiadać tyle ziemi...

- To ona posiada ciebie. - Zaskoczyły go własne słowa, ale wzruszył ramionami i dokończył myśl. - Nie można się od niej odwrócić, skoro została ci przekazana. Nie można oddać jej w cudzie ręce, kiedy wszystko przypomina ci, że Longstreetowie posiadali tę ziemię od dwóch stuleci.

- Czy tego pragniesz? Odwrócić się?

- Jest parę miejsc na świecie, które chciałbym zobaczyć. - Wzruszył ponownie ramionami i był w tym ruchu niepokój, którego się po nim nie spodziewała. - Tylko że podróżowanie to skomplikowana sprawa. Wymaga tyle wysiłku.

- Przestań!

Omal się nie uśmiechnął, słysząc niecierpliwość w jej głosie.

- Nic jeszcze nie zrobiłem. - Przesunął dłonią po jej ramieniu. - Ale myślę o tym.

Odsunęła się, zła.

- Wiesz, o co mi chodzi. W jednej chwili sprawiasz wrażenie, jakbyś myślał o czymś więcej poza znalezieniem najłatwiejszej drogi ucieczki. W następnej odtrącasz wszystko.

- Nigdy nie widziałem sensu w obieraniu najtrudniejszej drogi.

- Co powiesz na właściwą? Nieczęsto spotykał kobietę, która chciała toczyć filozoficzne dyskusję.

Wyjmując papierosa. Tucker podjął swobodnie wątek rozmowy.

- No cóż, to co właściwe dla jednych, może być niewłaściwe dla drugich. Dwayne pojechał na studia

i zrobił dyplom, który zda się psu na budę, ponieważ Dwayne woli siedzieć i dumać o tym, co mogłoby być, a nie jest. Josie wyszła dwa razy za męża i ucieka stąd trzy razy do roku po to, by wrócić i udawać, że lepiej być nie może.

- A ty? Jaki jest twój sposób na życie?

- Brać je, jak leci. A twój... Twój sposób polega na rozpatrywaniu zdarzeń, zanim one się zdarzą. To nie oznacza, że któreś z nas postępuje źle.

- Ale skoro doszedłeś do wniosku, że moje życie nie wygląda tak, jakbyś chciał, możesz je zmienić.

- Mogę próbować - zgodził się. - „Wiesz przecież, że to rzecz zwyczajna. Życie kończy się śmiercią. Nasz pobyt na ziemi wiedzie nas ku wieczności”. - Zaciągnął się dymem.

- „Hamlet”.

Caroline wybałuszyła na niego oczy. Był ostatnim człowiekiem na ziemi, którego by podejrzewała o cytowanie Szekspira.

- Weźmy choćby to pole. - Objął ją za ramiona i odwrócił. - Ta oto bawełna urośnie.

Urośnie, ponieważ ma pod sobą stopę najlepszej ziemi pełną nawozu. Wytrujemy cholerne wołki i kiedy nadejdzie lato, bawełna zostanie zebrana, oczyszczona, załadowana na ciężarówki i sprzedana. Zamartwianie się, czy wszystko to na pewno się zdarzy, ani na jotę nie zmieni sytuacji. Zresztą, mam zarządcę, który odwała za mnie zamartwiania się.

- To nie może być aż tak proste... - zaczęła.

- Sprowadziliśmy kwestię do podstaw, Caro. Bawełna jest sadzona, zbierana i przetwarzana, choćby w tak uroczej sukience, jaką masz obecnie na sobie. Oczywiście, mógłbym spędzać bezsenne noce martwiąc się, czy będzie dość deszczu, czy nie będzie go za mało. Czy nie zastrajkują kierowcy, czy kretyni w Waszyngtonie znowu nie spieprzą sprawy i nie wpakują nas w kryzys gospodarczy. Albo mogę się dobrze wyspać. Rezultat będzie identyczny.

Odwróciła się ku niemu ze śmiechem.

- Dlaczego to brzmi tak rozsądnie? - Potrząsnęła głową. - Musi być jakiś błąd w tym rozumowaniu.

- Zawiadom mnie, jak go znajdziesz. Myślę, że to się trzyma kupy. Dam ci inny przykład. Nie pozwolisz mi się pocałować ze strachu, że ci się to za bardzo spodoba.

Uniosła brwi.

- To niewiarygodnie egocentryczne stanowisko. A może ze strachu, że mi się w ogóle nie spodoba?

- Istnieje taka możliwość - powiedział Tucker ugodowo, otaczając ją w talii ramieniem. - Tak czy inaczej, próbujesz znaleźć odpowiedź, zanim jeszcze pojawił się problem. To jedna z tych rzeczy,

które wywołują ból głowy. - Naprawdę? - zapytała sucho, trzymając ramiona wzdłuż ciała. - Zaufaj mi, Caroline, przestudiowałem zagadnienie. To tak, jakbyś stała nad brzegiem basenu martwiąc się, że woda jest za zimna. Potrzebujesz kogoś, kto przyłoży stopę do twojej pupy i pchnie. - J to właśnie robisz? Uśmiechnął się szeroko.

- Mógłbym powiedzieć, że robię to dla ciebie, żebyś przestała gdybać. Ale prawda wygląda tak... - Pochylił głowę. Coś ciepłego poruszyło się w niej, kiedy poczuła na wargach jego oddech. - Myśl o tym pocałunku spędza mi sen z powiek. - Dotknął wargami jej policzka. - A ja bardzo potrzebuję snu.

Zesztywniała, kiedy jego usta musnęły jej wargi, lekko jak skrzydełka motyla.

Typowe uwodzenie, powiedziała sobie. Serce zaczęło walić jej w piersi. Nie zapomniała jeszcze, ile przebiegłości potrafi wykazać mężczyzna, żeby wykorzystać kobiecą potrzebę czułości.

- Możesz oddać pocałunek - wyszeptał Tucker tuż przy jej ustach. - Albo będę całował cię sam.

Przesunął wargami wzdłuż jej skroni, po zamkniętych powiekach, w dół policzków.

Miał w sobie dość delikatności, by zdławić chęć natychmiastowego zaspokojenia swoich pragnień. Skoncentrował się natomiast na pierwszym, ledwo uchwytnym drzeniu, stopniowym, cudownym rozluźnianiu się jej ciała w jego ramionach. Kiedy wyczuł

przyspieszony oddech Caroline, wolno, delikatnie wrócił wargami do jej ust.

Cudownie, cudownie było znów czuć pożądanie kobiety, słyszeć przyspieszony oddech, wdychać jej zapach silniejszy niż zapach wody i wilgotnej zieleni.

Tym razem jej usta rozchyliły się pod pierwszym dotknięciem. Poderwała dłonie do jego ramion. W ostatnim przebłysku trzeźwości pomyślał, że woda nie okazała się zimna, lecz o wiele, wiele głębsza niż oczekiwał.

Ona nie myślała zupełnie nic, nie mogła myśleć z tym natrętnym szumem w Uszach.

Uczepiła się Tuckera, żeby nie upaść, ale choć trzymała się go kurczowo, świat wirował dalej.

Rozsądek zniknął jak płomyk świecy zdmuchnięty wiatrem. Z cichym, bezradnym jękiem zatopiła się w pocałunku.

Smakował, chłonał jej wargi. Ale to mu nie wystarczało. Ich smak obudził tylko tęsknotę za czymś więcej. Użył zębów, języka, ale to też nie przyniosło mu ulgi. Dalej tęsknił.

Pocałunek nie powinien sprawiać bólu. Dotyk rąk nie powinien przyprawiać go o zawrót głowy. Nie powinien drzeć z rozkoszy, kiedy wyszeptała z jękiem jego imię.

Wiedział, co to znaczy pragnąć kobiety. Była to bardzo przyjemna nieodłączna część bycia

mężczyzną. Nie targało to duszy na strzępy i nie wypalało dziury w trzewiach. Nie powodowało drżenia kolan, aż człowiek się bał, że uklęknie i zacznie błagać.

Miał wrażenie, że balansuje na wysokiej, ostrej krawędzi. Odruchowo zamachał

rękoma i cofnął się o krok, żeby nie upaść. Delikatnie położył dłonie na ramionach dziewczyny i odsunął ją od siebie. Wsparł czoło o jej czoło, próbując złapać oddech.

Caroline nie cofnęła drżących dłoni z jego bioder. Z mgły, która wypełniała jej głowę, wyłowiła pierwszą trzeźwą myśl i siłą zatrzymała ją na powierzchni. Upłynęło po prostu zbyt dużo czasu, odkąd czerpała otuchę w ramionach mężczyzny, czuła prawdziwe pożądanie w jego pocałunki. Wystarczający powód, by usprawiedliwić chwilową niepoczytalność.

Odzyskała już jasność widzenia. Krew przestała szumieć jej w głowie. Słyszała bzykanie owadów i kumkanie żab, słodkie nawoływanie lelka kozodoja.

Światło dogasało, uwięzione w tym cudownym momencie między dniem a nocą.

Dzień już przegrywał cichą bitwę i umykał, zabierając z sobą żar dnia.

- Chyba oboje byliśmy w błędzie - odezwał się Tucker.

- Słucham?

- Ty myliłaś się, sądząc, że ci się to nie spodoba, ja łudząc się, że kiedy już cię pocałuję, będę mógł spać. - Westchnął przeciągle. - Mówię ci, Caroline, pożądanie było dla mnie zawsze najprostsza z przyjemności. Odkąd skończyłem piętnaście lat i zapoznałem z Laureen O'Hara w stodole jej ojca. Jesteś pierwszą kobietą w mojej karierze, której udało się skomplikować tę przyjemność.

Chciała mu uwierzyć, chciała uwierzyć, że to, co teraz czuł, było trudniejsze, bardziej intymne, bardziej niebezpieczne od wszystkiego, co czuł dotychczas. Więc uwierzyła, i to przstraszyło ją bardziej niż sam pocałunek.

- Myślę, że będzie najlepiej, jeżeli zapomnimy o wszystkim.

Jego spojrzenie powędrowało ku jej ustom, nabrzmiałym od pocałunku.

- Prędkiej mnie gęś kopnie - powiedział łagodnie.

- Mówię poważnie. Tucker! - zawołała z rozpaczą. - Właśnie zakończyłam nieudany związek i nie mam zamiaru rozpoczynać następnego. A ty... Masz obecnie w swoim życiu dość komplikacji.

- W normalnych warunkach pewnie przyznałbym ci rację. Wiesz, twoje włosy wyglądają zupełnie jak aureola w tym świetle. Może chcę odkupienia. Anioł i grzesznik. Bóg wie, że taka mniej więcej jest między nami różnica.

- To najbardziej idiotyczne...



Podniósł dłonie tak szybko, że połknęła resztę zdania. Wsunął palce w jej włosy i przytrzymał głowę.

- Jest coś w tobie, Caroline. Nie wiem co, do diabła, ale to dopada mnie w najmniej spodziewanych momentach. Zwykle istnieje bardzo dobrze uzasadniony powód dla takich odczuć i prędzej czy później znajdę go. - Nie będziesz miał po temu okazji, Tucker. -

Pomyślała, że jej głos brzmi zadziwiająco spokojnie, zważywszy że serce miała w gardle. - Za parę miesięcy będę w Europie. Szybki letni romans nie leży w moich planach. Cię uśmiechu przemknął przez jego usta.

- Faktycznie lubisz planować. Już to 7. auważyłem. - Pochylił się rozgniół jej usta w krótkim, mocnym pocałunku, który ponownie zwałił ją z nóg. - Będę cię miał, Caroline.

Prędzej czy później będziemy się mieli nawzajem, i to jak jeszcze! Tobie pozostawię oznaczenie dnia i godziny.

- To najbardziej niesłychane, aroganckie, szowinistycznie - męskie stwierdzenie. Jakie w życiu słyszałam.

- Zależy od punktu widzenia - przyznał Tucker. - Chciałem cię po prostu ostrzec, Ale nie chcę cię wkurzyć tak bardzo, żebyś dostała niestrawności. - Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę domu. W ciemnościach tańczyły robaczki świętojańskie. - Może posiedzimy chwilę na werandzie?

- Nigdzie z tobą nie usiądę.

- Oj, kochana, jeżeli będziesz tak mówiła, uznam, że nie możesz mi się oprzeć.

Wybuchnęła śmiechem. - Dzień, w którym nie będę mogła się oprzeć samozwańczemu Don Juanowi z delty Missisipi... Porwał ją wpół i okręcił! wokół siebie.

- Mam bzika na punkcie tych twoich słodkich ust. - Pocałował ją ze smakiem. - Założę się, że chodziłaś do jednej z tych eleganckich szkół w Szwajcarii.

- Nie chodziłam i proszę mnie postawić na ziemi. - Próbowała się uwolnić. - Mówię serio, Tucker. Ktoś jedzie.

Nie postawił jej, ale odwrócił się w stronę drogi. Światła reflektorów zbliżały się szybko ku domowi.

- Zdaje się, że mamy gościa. Zobaczmy, kto to.

Zaniósł ją na werandę, po części dlatego, żeby ją zirytować, po części, żeby czuć przy sobie to smukłe, giętkie ciało. Poza tym uznał, że kiedy przejdzie jej złość, dostrzeże romantyczny aspekt sprawy.

- Wiesz, nie wazysz więcej niż worek mąki. A o ile jesteś przyjemniejsza w dotyku! -

zauważył tonem pogawędki i usłyszał w odpowiedzi coś bardzo zbliżonego do warknięcia.

- Szczyt romantyzmu - powiedziała Caroline przez zaciśnięte zęby. Wolałaby nie dostrzegać śmieszności sytuacji. Tucker nie oparł się pokusie.

- „Jasna jak gwiazda, gdy błyszczy na niebie samotnie”. Zdaje się, że Wordsworth ujął to lepiej.

Zanim zdołała odpowiedzieć coś mądrego, postawił ją na nogach, klepnął przyjaźnie w pupę i pomachał Bobby'emu Lee, który gramolił się przerdzewiałego cutlassa.

- Hej, synu, dlaczego nie jesteś na randce i nie olśniewasz Marvelli?

- Cześć, Tucker. - Bobby Lee przeciągnął ręką przez opadającą grzywkę. W świetle reflektorów jego twarz była blada z przejęcia Przyjechałem, jak tylko skończyłem przegląd. -

Skinął głową Caroline. - Dobry wieczór, panno Waverly.

- Cześć, Bobby Lee. Jeżeli pozwolicie, podziękuję Delii za kolację i pójde.

Nie zdążyła zrobić kroku, kiedy Tucker chwycił ją za rękę.

- Jeszcze wcześniej. Co się sprowadza? - zwrócił się do Bobby'ego Lee.

- Junior przywiózł twój samochód dziś popołudniu. Jezu Chryste! Wrak Tucker skrzywił się i ostrożnie dotknął zabandażowanej głowy.

- Tak, rozdzierający serce widok, nie da się ukryć. A miał zaledwie osiem tysięcy przebiegu. Wygięty kadłub?

- Wygięty, ścierwo... O! Przepraszam panią. Widać jak na dłoni, ledwo wzięliśmy go na kanał. Zdaje się, że będziesz go musiał odholować do Jackson, ale że nie mieliśmy porządnego rozbitka od czasu, gdy Bucky Larsson rozkwasił swojego buicka na lodzie w styczniu, chcieliśmy sobie popatrzeć.

Tucker oparł się biodrem o cutlassa.

- Ten buick wyglądał jakby przejechał po nim czołg. Nigdy nie mogłem się nadziwić, jakim cudem Bucky wyszedł z tego ze złamanym obojczykiem i osiemnastoma szwami.

- No, ma czasem takie dziwne spojrzenie - powiedział Bobby Lee z namysłem. - Ale jak się nad tym zastanowić, zawsze dziwnie patrzył.

Tucker skinął głową.

- Jego mama przestraszyła się miedzianki, kiedy chodziła z nim w ciąży. Może to zaszkodziło.

Carolinie nie miała już ochoty odchodzić. Miała ochotę ukryć twarz w dłoniach i wybuchnąć śmiechem.

- Przyjechałeś taki kawał drogi, żeby powiedzieć Tuckerowi, że rozbił samochód?!

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią z identycznym wyrazem zdziwienia. Dla nich było oczywiste, że Bobby Lee przygotowuje tylko grunt pod to, co ma zamiar powiedzieć.

- Nie, psze pani - powiedział uprzejmie. - Przyjechałem powiedzieć Tuckerowi, jak to się stało, że rozbił samochód. Tucker prowadzi jakby się urodził za kierownicą. Wszyscy to wiedzą.

- Dzięki, Bobby Lee.

- Mówię tylko, jak jest. W każdym razie, Junior powiedział, że nie było śladów na asfalcie ani w ogóle nic.

- Hamulce wysiadły.

- Tak powiedział. Zacząłem główkować i kiedy stara Juniora zadzwoniła, że obiecał zabrać ją i dziecko do Greenville na spaghetti, powiedziałem, że zostanie i przypilnuję stacji.

W niedzielę i tak jest spokojnie, więc pomyślałem, że przyjrzę się tym twoim hamulcom.

Wyciągnął z kieszeni kawałek gumy balonówy, rozwinął i wsadził sobie do ust. -

Przyjrzałem się dobrze przewodom hydraulicznym wspomaganie kierownicy. Może bym tego nawet nie zauważył, gdybym specjalnie nie szukał. No i znalazłem.

- Znalazłeś, ale co? - nie wytrzymała Caroline, kiedy Bobby Lee umilkł i nic nie wskazywało na to, by miał zamiar kontynuować.

- Dziury w przewodach. Przewiercone na wylot. Jakby szydłem albo szpikulcem do lodu. Płyn wyciekał. Dlatego wysiadł układ kierowniczy. Gdybyś się tego spodziewał, mógłbyś kombinować, a tak, przy ostrym zakręcie, wóz jak nic pojedzie prosto. Wtedy hamulec zda ci się jak bykowi cycki. O, przepraszam, panno Waverly.

- Mój Boże! - Caroline zacisnęła palce na ramieniu Tuckera. - Chcesz powiedzieć, że ktoś specjalnie uszkodził samochód... Tucker mógł się zabić!

- Mógł - zgodził się Bobby Lee. - Ale nie musiał. Wszyscy wiedzą, że Tucker radzi sobie z wozem jak ci faceci z formuły jeden.

- Dziękuję, że przyjechałeś mi o tym powiedzieć. - Tucker odrzucił papierosa i śledził

wzrokiem luk żaru. Czuł straszny gniew i musiał zaszyć się gdzieś, żeby ochłonać. - Będziesz widział się dzisiaj z Marvella?

- Miałem taki zamiar.

- Więc jedź do szeryfa i powiedz mu, co odkryłeś. Ale nikomu więcej, rozumiesz? Nie mów nikomu więcej.

- Jak chcesz.

- Byłbym wdzięczny, gdyby na razie zostało to między nami. Wracaj do miasta, zanim Marvella zmyje ci głowę za spóźnienie.

- To na razie, Tucker. Dobranoc, panno Waverly.

Caroline odezwała się dopiero, gdy tylne światła cutlassa zniknęły za zakrętem.

- Mógł się pomylić. To jeszcze dziecko.

- To jeden z najlepszych mechaników w tej części kraju. Zresztą to ma sens. Gdybym nie dostał w łeb, sam bym na to wpadł. Teraz muszę się tylko zastanowić, kogo wkurwiłem do tego stopnia, że chce mi przyczynić zmartwień.

- Zmartwień? - powtórzyła Caroline. - Tucker, niezależnie od tego, co Bobby Lee mówi o twoich nadludzkich umiejętnościach, mogłeś zostać poważnie ranny, nawet zabity.

- Martwisz się o mnie, skarbie? - Choć umysł zajęty miał czym innym, uśmiechnął się i przesunął dłońmi po jej nagich ramionach. - To mi się podoba.

- Nie bądź idiotą!

- Nie złość się, Caro. Choć, Bóg mi świadkiem, lubię na ciebie patrzeć. kiedy się wkurzasz.

- Nie mam zamiaru pozwolić, byś klepał mnie po główce jak malutkie, bezradne kobieciątko - powiedziała chłodno. - Chcę ci pomóc.

- To bardzo miło z twojej strony. Nie! - Chwycił ją za ramię, kiedy odwróciła się, żeby odejść. - Mówię szczerze. Tylko dopóki sobie tego wszystkiego nie poukładam w głowie, nie mogę działać.

- To oczywiste, że zrobił to ktoś blisko związany z Eddą Lou. Hatinger. - Odrzuciła głowę. - Chyba że masz listę zazdrosnych mężów których musisz brać pod uwagę.

- Nie umawiam się z mężatkami. Była tylko ta jedna... - Podchwycił jej spojrzenie. -

Nieważne. Austin jest w więzieniu, a jakoś nie mogę sobie wyobrazić biednej Mavis wczółgującej się pod mój samochód ze szpikulcem do lodu.

Caroline ujęła się dwoma palcami za podbródek.

- Miała braci.

- Prawda. - Tucker wydał z namysłem wargi. - Vernon nie odróżniłby korby od kołka w płocie. I nie jest przebiegły. Przypomina w tym ojca. A mały Cyr... Nie ma w nim śladu złości.

- Mogliby kogoś wynająć. Tucker parsknął.

- Za co? - Przycisnął lekko wargi do jej skroni. - Nie martw się, kochanie. Muszę to przespać.

Caroline cofnęła się o krok.

- Myślę, że rzeczywiście mógłbyś to zrobić - powiedziała wolno. - Rzeczywiście mógłbyś zamknąć oczy i spać jak dziecko.

- Posłuchaj, rozbiłem już samochód i głowę. Nie widzę powodu, dlaczego ten ktoś, kto się do tego przyczynił, miałby mnie pozbawić również snu. - W jego oczach pojawił się znajomy wyraz. Błysk, który uruchamiał dzwonek alarmowy w jej głowie i powodował

łaskotanie w żołądku. - Jedyną osobą, która pozbawia mnie snu, jesteś ty. Gdybyśmy tak.. -

Urwał, kiedy na drodze rozbłysły kolejne reflektory. - Boże Wszechmogący, ale mamy ruch w interesie.

- Idę - powiedziała Caroline stanowczo. - Zadzwoń do Delii jutro.

- Poczekaj chwilę. - Próbował rozpoznać markę samochodu. Wszystko, co mógł

stwierdzić na pewno, to że tłumik urwał się już jakiś czas temu. Hałas obudziłby umarłego.

Aż trudno było uwierzyć, że stateczny czarny lincoln, który zarył się kołami w żwir tuż za BMW Caroline, może wydawać z siebie tak nieprzystojne dźwięki.

Kiedy drzwi się otworzyły i ukazała się siwowłosa kobieta w bawełnianej koszulce, dżinsach i wojskowych butach. Tucker ryknął śmiechem.

- Kuzynka Lulu!

- To ty, Tucker? - Jej głos nasuwał myśl o pociągu towarowym w pełnym biegu.

Huczał i turkotał. - Co ty tam robisz w ciemnościach z tą dziewczyną?

- Mniej niżbym chciał. - W dwóch susach znalazł się przy Lulu i zgiąwszy się niemal wpół ucałował jej upudrowany policzek o skórze cienkiej jak pergamin. - Śliczna jak zawsze -

oznajmił. Lulu zachichotała i grzmotnęła go w plecy.

- Sam jesteś śliczny. Wyglądasz bardziej na swoją matkę niż ona sama. Hej, ty tam! -

Kiwnęła na Caroline kościstym palcem. - Chodź tu, żeby cię mogła obejrzeć.

- Tylko jej nie przestrasz - ostrzegł Tucker. - Kuzynko Lulu, to jest Caroline Wavedy.

- Waverly, Waverly. Nie z tych stron. - Obejrzała dziewczynę od stóp do głowy. - I

nie w twoim typie, Tucker. Nie ma zbyt wiele w głowie ani nie jest całkiem głupia.

- Dziękuję - powiedziała Caroline.

- Jankeska! - Lulu wydała skrzek, który rozbiłby kryształ, gdyby jakiś znajdował się w pobliżu. - I Panie na wysokościach. Ona jest Jankeska!

- Tylko w połowie - powiedział Tucker szybko. - To wnuczka panny Edith.

- Edith McNair? - zapytała Lulu przymrużając oczy. - George'a i Edith?

- Tak, psze pani - powiedziała Caroline, wepchnąwszy sobie język pod policzek. -

Zwekslowałam się na lato do domu dziadków.

- Umarli, zdaje się? Tak, umarli, ale byli Missisipijszymi z krwi i kości, a to już coś.

Czy to twoje włosy, dziecko, czy peruka?

- Moje... - Odruchowo Caroline podniosła dłoń do głowy. - Moje włosy.

- Dobrze. Nie ufam łysym kobietom ani trochę bardziej niż Jankeskom. No, zobaczymy. A teraz, Tucker, weź moje walizki i załatw mi kieliszek brandy. I zadzwoń do Talbota w sprawie mojego wozu. Zgubiłam tłumik gdzieś w Tennessee. A może było to w Arkansas? - Przystanęła u podnóża schodów. - No, na co czekasz, dziewczyno? Chodź!

- Ja... Właśnie odjeżdżałam...

- Tucker, powiedz tej dziewczynie, że kiedy proponuję kieliszek brandy Jankesowi, niech ten Jankes lepiej go wypije.

I kuzynka Lulu weszła na schody, dudniąc wojskowymi buciorami.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Cyr Hatinger miał wilgotne dłonie. Reszta jego osoby też nie była idealnie sucha, jak to mówią w reklamach dezodorantów. Czuł wilgoć pod pachami, mimo obfitejki Banu w kulce. Już dobry rok temu pojawiło mu się tam owłosienie. Między nogami też. Fakt ten zawstydział go i zachwycał zarazem.

Jego pot był potem młodości, czystym i bezzapachowym. Wywołał go poranny upał, strach i podniecenie. Cyr miał zamiar zrobić coś, co sprowadziłoby na niego ojcowski gniew w formie tęgiego lania.

Szedł prosić Longstreetów o pracę.

Przypomniawszy sobie, że ojciec jest w więzieniu i fakt ten trochę go pocieszył.

Jednocześnie poczuł ukłucie winy i spociał się jeszcze bardziej.

„Jak to dobrze, że użyłeś Dialu! Czy nie było miło, gdyby inni używali go również?” Od dawna już zauważył, że myśli reklamami. Pewnie dlatego, że matka trzymała włączony telewizor dzień i noc. Dla towarzystwa, mawiała, wyłamując sobie palce i patrząc na niego pustym wzrokiem. Powieki miała wiecznie zaczerwienione, ponieważ płakała nieustannie, prawie nie dostrzegając jego i Ruthanne.

Czasem natykał się na nią w środku dnia, siedzącą w szlafroku na wyblakłej, zapadniętej sofie. Kosz z brudną bielizną stał u jej nóg, a ona chlipała i oglądała „Dni naszego życia”. W takich razach Cyr nie wiedział, czy matka płacze nad sobą, czy nad mieszkańcami mitycznego miasta Salem.

Dla Cyra Brady'owie z Salem byli bardziej realni niż jego własna matka, która snuła się nocami po domu jak duch, podczas gdy telewizja nadawała monologi Leno, powtórki seriali albo reklamy gadżetów takich jak Clapper, magicznego przełącznika, który gasił

światła i uruchamiał telewizor na odgłos kłaśnięcia.

Przypominało to oklaskiwanie urządzenia elektronicznego.

Cyr wyobrażał sobie matkę z Clapperem, jak szlocha i klaszcze jednocześnie, podczas gdy światła gasną i zapala się ekran.

- Dziękuję, dziękuję - mówi stary, obdrapany telewizor. - A oto mój następny punkt programu, wielbny Samuel Harris powie wam, grzesznikom, jak przekroczyć bramy raj.

O tak, mama lubiła programy religijne z nawiedzonymi pastorem hipnotycznych głosach, którzy potępiali grzech i obiecywali zbawienie zamian za czek.

Poprzedniego dnia, kiedy wrócił z wyprawy na ryby, dom wypełniała muzyka organowa i chóralne alleluja. Przeszedł przez kuchnię do salonu i zobaczył matkę wpatrującą się w telewizor szklonym wzrokiem. Przestraszył się trochę, ponieważ przez chwilę - tylko przez chwilę - twarz kapłana była twarzą jego ojca i z ekranu wpatrywały się w niego wszytkowidzące oczy ojca. - Masz włosy między nogami i grzeszne myśli w głowie -

ostrzegał go ojciec. - Następny etap to cudzołóstwo. Cudzołóstwo! Między nogami masz też narzędzie szatana, synu!

Idąc poboczem zakurzonej drogi, Cyr poprawił sobie narzędzie szatana, które zdawało się kurczyć pod wpływem głosu ojca.

Ojciec nie może mnie zobaczyć, powiedział sobie Cyr i otarł czoło wierzchem dłoni.

Ojciec jest w więzieniu i pozostanie tam przez jakiś czas. Tak jak A.J., który przerzucił się z kradzieży papierosów i czekoladowych Marsów na kradzież samochodów. W chwili, gdy drzwi celi zamknęły się za jego najstarszym bratem, ojciec powiedział, że nie ma już syna o imieniu Austin Joseph. Teraz znalazł się w takich samych tarapatach i Cyr zastanawiał się, czy to oznacza, że on nie ma już ojca.

Ulga, jakiej doznał na tę myśl, wywołała kolejny sygnał poczucia winy, tym razem o wiele boleśniejszy.

Nie będzie myślał o ojcu. Będzie myślał o tym, by dostać pracę. Cyr wiedział, że matka nie pozwoliłaby mu postawić nogi na ziemi Longstreetów. Spojrzałaby na niego tym pustym, udęczonym wzrokiem, który pojawiał się w jej oczach, ilekroć ojciec uznał, że zasłużyła na karę.

Jakie grzechy popełniła jego matka? zapytywał Cyr sam siebie, zaciskając i rozprostowując palce. Jakże to mogły być grzechy, które musiała zmywać własną krwią?

A kiedy ojciec uratował ją już z rąk szatana, podbijając jej oko albo rozcinając wargę, matka szła do sąsiadów opowiedzieć o swoim upadku. Przyjeżdżał szeryf, a ona przywoływała ten swój okropny, przerażający uśmiech na twarz i powtarzała ciągle od nowa, że zleciała ze schodków Werandy.

Niezależnie do tego, jak często i z jaką mocą spadały na nią te wielkie Pieści, matka stała niewzruszenie po stronie ojca.

Więc Cyr zdawał sobie sprawę, że nie pozwoli mu pójść do Sweetwater. Dlatego w ogóle jej o tym nie powiedział.

Ostatnio nie istniało dla niej nic poza telewizyjnym światem i płaczącymi telefonami do prawnika. Cyr nie miał żadnych trudności z wymknięciem się z domu. Nie przyspieszył

nawet kroku, wiedząc, że gdy matka wyjrzy przez okno i zobaczy go na ścieżce, jej wzrok przemknie tylko po nim i natychmiast wróci do ekranu telewizora.

Przebył pięć kilometrów bitej drogi i wszedł na Gooseneck Road, skąd udało mu się podjechać trzy kilometry w ciężarówce Hartfrodta Pretta. Pozostawał jeszcze co najmniej sześciokilometrowy spacer do Sweetwater.

Mijając rozszczępiony słup przy drodze McNairów, miał już niezłe pragnienie. Asfalt parzył go przez podeszwy butów, gardło wyschło mu na wiór. W ciszy poranka słyszał, jak ojciec Jima śpiewa o słodkiej przyszłości.

Nagła, nieokreślona tęsknota spętała mu nogi. Wiedział z opowiada Jima, że przyjaciel nie raz poczuł twardą rękę ojcowską na swoim siedzeniu. Kiedy Jim miał cztery lata i zabłądził na bagnach, ojciec odnalazł go, wsadził mu różgę między kolana i kazał skakać całą drogę do domu.

Ale ojciec Jima nigdy nie zamknął go na dwa dni w pokoju o chlebie i wodzie i nigdy, ani razu nie uderzył jego matki.



I Cyr na własne oczy widział, jak ciężka ręka Toby'ego spoczywała łagodnie, z dumą, na ramieniu Jima. A sposób, w jaki szli obok siebie z wędkami na ramionach! Nie dotykali się, ale widać było, że są razem.

Gardło skurczyło mu się boleśnie i Cyr musiał oprzeć się pokusie, by skrócić w aleję i popatrzeć na Jima i jego ojca malujących dom panny Edith. Wiedział, że Toby odwróciłby się z uśmiechem, ukazując białe zęby jak księżyc w czarnej twarzy, twarzy rozplątanej przez ojca Cyra niemal dwadzieścia lat temu.

- Spójrz tylko, Jim - powiedziała by. - Widzi mi się, chłopak aż piszczy, żeby trochę pomalować. Mamy pyszne kanapki z pomidorem na lunch. Złap się za pędzel, to może znajdzie jedną dla ciebie.

Ciągnęło go na tę ścieżkę. Ciągnęło tak bardzo, że niemal pochyłał się w jej stronę, mimo że jego stopy tkwiły na asfalcie między okruchami szkła.

„Mój syn nie będzie zadawał się z czarnuchami”, głos Austina przeciął mu mózg jak zardzewiałe ostrze. „Gdyby Pan chciał, żebyśmy się z nimi zadawali, zrobiłby ich białymi”.

Ale nie dlatego odwrócił się od alei McNairów. Wiedział, że jeżeli spędzi rano malując domy i jedząc kanapki z Jimem i jego ojcem, nigdy się nie odważy przebyć tych ostatnich kilometrów do Sweetwater.

Kiedy minął żelazną bramę, jego sprana bawełniana koszula była mokra od potu.

Przeszedł prawie trzynaście kilometrów w morderczym upale i pożałował teraz, że nie zjadł

śniadania. Jego żołądek burczał złowieszczo w jednej chwili, kurczył się w następnej, wywołując mdłości.

Cyr wyjął spraną chustkę z kieszeni spodni i otarł nią twarz i szyję. Może to i lepiej, że nie zjadł śniadania. Z pełnym żołądkiem pojechałby jak nic do rygi. Z wczorajszej kolacji też zrezygnował, chory po zjedzeniu swojej części cytrynowego ciasta.

Na myśl o tym cieście zrobiło mu się naprawdę niedobrze. Przełknął parę razy ślinę i poczuł się lepiej. Spojrzał tęsknie ku chłodnej połaci trawy rozciągającej się za krzewami magnolii. Gdyby mógł wyciągnąć się na niej na chwilę. przycisnąć rozpaloną twarz do słodkiej trawy! Ale pomyślał, że jeżeli ktoś go zobaczy, z pracą będzie się mógł pożegnać, Podniósł nogę i przeniósł ją o kilkadziesiąt centymetrów wprzód, Był kiedyś w Sweetwater.

Czasem zdawało mu się, że wyobraził sobie ten dom, z jego białymi ścianami i wysokimi oknami. Ale w jego wyobraźni nigdy nie był tak wspaniały jak w rzeczywistości. Myśl, że ludzie w nim mieszkają, jedzą i śpią, była niewiarygodna dla kogoś, kto całe życie spędził w zagraconej ruderze.

Z głową jasną od gorąca i głodu, Cyr patrzył na dom zalany słońcem. W oparach rozgrzanej ziemi zdawał się stać pod wodą. Podwodny pałac, pomyślał Cyr i przypomniał

sobie niejasno, że czytał kiedyś o syrenach i trytonach, którzy mieszkali w morzu.

Miał wrażenie, że sam porusza się w wodzie. Parł naprzód wolno, ociężale, a powietrze, którym oddychał, było jak ciepła ciecz wypełniająca mu powoli płuca. Trochę zaniepokojony, spojrzął w dół na swoje nogi i nie wiedział, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie ujrzawszy rozklapane buty zamiast rybiego ogona.

Odurzony wonią kwiatów okrążył gazon peonii, gdzie jego ojciec złożył skórę Tuckerowi.

Cyr miał nadzieję, że drzwi otworzy mu panna Della. Lubił pannę Delię, z jej czerwonymi włosami i kolorową biżuterią. Dała mu kiedyś dwadzieścia pięć centów za to, że zaniósł jej zakupy ze sklepu do samochodu. A ponieważ panna Della miała niezłe mięśnie pod skórą, Cyr wiedział, że mogła zanieść te zakupy sama i zaoszczędzić ćwierć dolara.

Panna Della otworzy mu drzwi i powie, żeby zaszedł od tyłu. Kiedy okrąży dom i stanie w kuchennych drzwiach, panna Della da mu szklanekę zimnej lemoniady, a może nawet suchara. On jej podziękuje, bardzo grzecznie, i zapyta, gdzie mógłby znaleźć Luciusa Gunna, żeby porozmawiać z nim w sprawie pracy.

Trochę oszołomiony wszedł na werandę i stanął przed wielkimi drzwiami z wypolerowaną mosiężną kołatką. Przesunął językiem po wargach, uniósł dłoni...

Drzwi otworzyły się na oścież, zanim zdążył dotknąć kołatki. Nie stanęła w nich panna Della, ale drobna, starsza pani. Usta pomalowane miała pomarańczową szminką, a we włosach coś jakby orle pióro. Cyr nie wiedział, że błyszczące kamienie wokół jej żylastej szyi to rosyjskie brylanty. Była bosa, a w rękę trzymała łuk.

- Mój prapradziadek ze strony matki był pół krwi Czikasawem - oznajmiła Lulu oszołomionemu Cyrowi. - Mogło się zdarzyć, że moi przodkowie oskalpowali paru twoich.

- Tak, psze pani - powiedział Cyr, ponieważ żadna inna odpowiedź nie przyszła mu na myśl.

Lulu rozciągnęła w uśmiechu pomarańczowe wargi.

- A ty, synku, masz na głowie całą kupę pięknych włosów. - Wybuchnęła skrzekliwym śmiechem. Cyr cofnął się o krok.

- Ja tylko... ja tylko...

- Kuzynko Lulu, po co tak straszyc dzieci. - Tucker stanął w drzwiach Uśmiechał się pobłaźliwie. - Ona żartuje. - Uświadomienie sobie, kim jest ten chłopiec, zajęło mu chwilę, uśmiech zniknął z jego twarzy. - Co mogę dla ciebie zrobić, Cyr?

- Ja... Ja szukam pracy - powiedział tylko Cyr i zemdlał.

Coś sływało mu po skroniach. Przez jedną przerażającą chwilę myślał, że starsza kobieta oskalpowała go jednak i że to jest krew. Miotał się na granicy przytomności, próbując wydostać się na powierzchnię szarej, gęstej mgły.

- Spokojnie, chłopcze.

Był to głos panny Delii i Cyr odczuł taką ulgę, że o mało znów nie zemdlał. Ale Della klepała go delikatnie po twarzy dopóki nie otworzył oczu.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, były jej kolorowe drewniane kolczyki w kształcie papużek. Cyr patrzył jak się kołyszą, podczas gdy Della przykładła mu do czoła wilgotny okład.

- Zemdlałeś - poinformowała go pogodnie. - Tucker nie zdążył cię złapać i wyrzucił cię głową w werandę. - Uniosła mu głowę i podała coś do picia. - Widziałam to na własne oczy.

Nie pamiętam, by Tucker ruszał się tak prędko od czasu, gdy jego tata odkrył, że wybił szybę w oranżerii.

Stojąca u wezłowania kanapy Lulu pochyliła się dotykając niemal nosem jego twarzy.

Cyr stwierdził, że pachnie jak kwiat lili.

- Nie chciałam cię tak nastraszyć, chłopcze.

- Nie, psze pani. Ja tylko... Myślę, że za długo byłem na słońcu. Słyszac w głosie chłopca śmiertelne przerażenie, Tucker wkroczył do akcji.

- O co ten cały raban? Mało to osób mdlało już w tym domu? Delia odwróciła się gniewnie, gotowa go zbesztać, ale wyraz twarzy Tuckera dał jej do myślenia.

- Mam robotę. Kuzynko Lulu, byłabym wdzięczna, gdybyś poszła ze mną. Myślę o wymianie zasłon w różnym pokoju.

- Nie wiem po co. - Ale sprawa wymiany zasłon wydała jej się na tyle interesująca, że poszła za Delią.

Tucker usiadł przy stoliku do kawy.

- Kuzynka Lulu odkryła właśnie swoje indiańskie pochodzenie.

- Tak, proszę pana. - Cyr czuł, że skompromitował się w sposób nieodwracalny. Stał chwiejnie na nogi. - To ja już pójdę.

Tucker spojrział na bladą twarz, na której malowała się męka zażenowania.

- Przeszedłeś długą drogę, żeby porozmawiać w sprawie pracy. - Prawie szesnaście kilometrów, pomyślał Tucker. Panie na wysokościach, w tym upale! - - Może zajdziesz ze mną do kuchni. Miałem właśnie zamiar zjeść śniadanie. Możesz się do mnie przyłączyć i przy okazji powiedzieć, o co chodzi.

Cyr dostrzegł światółko we mgle.

- Tak, proszę pana. Będę wdzięczny.

próbował nie gapić się, kiedy szedł za Tuckerem przez hol. Na ścianach wisały obrazy, piękniejsze, bardziej eleganckie niż wszystko, co zdarzyło mu się widzieć. Miał

wielką ochotę dotknąć takiego malowidła, ale trzymał ręce przy sobie.

Kuchnię wyłożoną białymi kafelkami wypełniała złotawa poświata, dająca wrażenie chłodu.

Soki trawienne w żołądku Cyra przystąpiły do ataku w chwili, gdy Tucker otworzył

lodówkę odsłaniając półki z jedzeniem. Wyjął tacę z szynką i Cyrowi oczy omal nie wyszły z głowy.

- Siadaj, a ja podsmażę szynkę.

Cyr zjadłby ją na zimno. Chryste, zjadłby ją na surowo, ale zdławił jęk protestu i usiadł.

- Tak, proszę pana.

- Zdaje się, że mamy też jakieś suchary. Chcesz kawy czy coli? Cyr otarł wilgotne dłonie o spodnie.

- Poproszę o cokę, panie Longstreet.

- Możesz mówić mi Tucker, skoro zemdlałeś na mojej werandzie. - Tucker odkręcił

litrową colę i postawił ją przed Cyrem.

Cyr opróżnił pół butelki, zanim Tucker zdążył pokroić szynkę. Beknął, aż echo poszło po kuchni, a jego blada twarz nabrała koloru miedzi.

- Bardzo przepraszam - wymamrotał, i Tucker z trudem zdławił chichot.

- Te bąbelki to nie żarty - powiedział.

Kiedy szynka zaczęła skwierczeć, torturując Cyra swoim aromatem. Tucker rzucił mu zimnego suchara.

- Zjedz go - poradził. - Resztę podsmażę w tym atomowym piecyku. Jeżeli uda mi się go uruchomić.

Podczas gdy Tucker dumał nad kuchenką mikrofalową, Cyr pochłoniął suchara w dwóch kęsach. Tucker obserwował go kątem oka i postanowił dorzucić do szynki parę jajek.

Dzieciak jadł jak wygłodzony wilk.

Jajka okazały się trochę za rzadkie w środku i przypalone na krańcach, ale Cyr spojrzał na swój talerz z wyrazem niebotycznego zachwytu i wdzięczności.

Jedli w milczeniu, a Tucker obserwował chłopca, który zmiatał z talerza jaja na szynce.

Ładny dzieciak, dumał. Przypominał mu apostoła Jana ze zdjęcia w rodzinnej Biblii.

Młody, wąty i rozświetlony jakimś wewnętrznym światłem. Ale był chudy jak patyk, nie tyle wyrosnięty, jak to zwykle nastolatki, ile strasznie wychudzony. Łokcie zdawały się przybijać skórę. Co ten drań robi najlepszego? pomyślał Tucker. Głodzi dzieciaki, czy co? Czekał

cierpliwie, aż Cyr spałaszuje ostatni kawałek jajka.

- Więc szukasz pracy - zagaił i Cyr skinął głową, ciągle z pełnymi ustami. - Masz na uwadze coś konkretnego?

Cyr przełknął z wysiłkiem.

- Tak, proszę pana. Słyszałem, że zatrudniacie do pracy w polu.

- Naborem robotników rolnych zajmuje się Lucius - powiedział Tucker. - Pojechał do Jackson na parę dni.

Cyr poczuł, jak ulatuje z niego energia, jaką dostarczyły mu jaja na szynce. Przeszedł

tak kawał drogi na próżno. Jak nic odeślą go z kwitkiem.

- Może pan mógłby mi powiedzieć, czy bierzecie robotników? Tucker wiedział, że biorą, ale żadna ludzka siła nie zmusiłaby go do zatrudnienia na polu bawełny tego bladego chłopca o zapadniętych oczach i ramionach jak patyki. Otwierał już usta, aby powiedzieć, że mają dość rąk do pracy, ale powstrzymało go coś w tych ciemnych, podkrążonych oczach. On jest bratem Eddy Lou, przypomniał sobie. Synem Austina. Nie życzył sobie żadnych Hatingerów na swojej ziemi. Ale oczy chłopca patrzyły na niego nieruchomo, pełne rozpaczy i młodzieńczej, bolesnej nadziei.

- Umiesz prowadzić traktor? Cyrowi błysnęła nadzieja.

- Tak, proszę pana.

- Potrafisz odróżnić chwast od cynii?

- Tak myślę.

- Potrafisz machnąć młotkiem i nie trafić we własny palec? Niespodziewanie Cyr uśmiechnął się.

- Czasem.

- Potrzebuję kogoś więcej niż robotnika w polu. Potrzebuję kogoś, kto dopilnowałby tu różnych spraw. Majstra do wszystkiego.

- Ja... Zrobię wszystko, co pan każe. Tucker wyjął papierosa.

- Płacę cztery dolce za godzinę. - Udawał, że nie słyszy, jak Cyr wciąga powietrze. -

W południe Della da ci lunch. Nie śpiesz się przy jedzeniu, ale i nie marudź. Nie płacę ci za chrupanie sucharów.

- Nie oszukam pana, Longstreet... panie Tucker. Przysięgam.

- Wiem, że nie.

Chłopak jest tak podobny do swego ojca, jak dzień do nocy. Tucker nie mógł się temu nadziwić. -  
Zacznij od dzisiaj, jeżeli chcesz.

- Pewnie, że chcę. - Cyr już wstawał od stołu. - Będę tu codziennie, z samego rana.

Mogę... - Urwał, przypomniawszy sobie, że jutro jest pogrzeb Eddy Lou. - Ja... tego, no., jutro...

- Wiem - powiedział Tucker, bo nic innego nie przyszło mu głowy. - Zrobisz dzisiaj, co ci każe, i wrócisz w środę.

- Tak, proszę pana. Będę w środę. Na pewno.

Chodźmy więc.

Tucker przeprowadził go przez patio i trawnik do szopy. Tupnął parę razy na wypadek, gdyby w  
środku drzemał wąż, po czym otworzył drzwi.

sypnęły jak stare kości.

- Trzeba by je naoliwić - mruknął Tucker.

W nozdrza uderzył go zapach wilgotnego torfu. Matka używała go pod upraw? roślin.

Przedmiot, którego szukał, stał oparty o ścianę obok grabi środowych, szpadli i motyk.

Uśmiechając się do siebie, Tucker wydobył na światło dzienne starego schwinna z przerzutką.

Opony były sflaczałe, ale na ramie znajdowała się pompka i łąty do dętek. Łańcuch wymagał  
naoliwienia bardziej niż drzwi do szopy, a siodełko pokrywała gruba warstwa pleśni.

Tucker pociągnął za uchwyt dzwonka połączonego przewodem z rączkami kierownicy. Dzwonek  
zadźwięczał. Tucker ujrzał siebie, jak pędzi drogą w stronę Innocence -

już w dzieciństwie jeździł szybko - pokonuje kilometry, które dzielą go od lizaków i morza coca -  
coli. Słońce ma w plecy, a przed sobą całe życie.

- Chcę, żebyś doprowadził go do porządku.

- Tak, psze pana. - Cyr dotknął z czcią rączek. Miał kiedyś rower, starego grata, za którego

przehandlował flet wystrugany z brzozywej gałęzi. Pewnego popołudnia zostawił

rower w bramie i ojciec rozjechał go swoją ciężarówką.

„To cię nauczy szanować dobra doczesne”.

- Doszykujesz go, a potem będziesz o niego dbał - mówił Tucker i Cyr wrócił do terażniejszości. - Dobry rower jest jak... - Cholera, o mały włos byłby powiedział: „kobieta”. -

...koń. Trzeba na nim jeździć, i to jeździć często. Myślę, że twoje codzienne jazdy z pracy do domu powinny załatwić sprawę.

Cyr dwukrotnie otworzył i zamknął usta.

- Chce pan. żeby na nim jeździł? - Cyr zdjął rękę z kierownicy. - Nie mógłbym tego zrobić.

- Nie umiesz jeździć na rowerze?

- Umieję, proszę pana, ale... To nie jest właściwe.

- A ja uważam, że niewłaściwe są wielokilometrowe spacery i omdlenia na mojej werandzie. - Położył dłonie na ramionach chłopca. - Mam rower, ale go nie używam. Cyr. nie możesz odmówić wykonania pierwszego polecenia pracodawcy.

- Nie, proszę pana. - Cyr zwilżył wargi językiem. - Jeżeli tata się dowie, będzie strasznie zły.

- Wyglądasz mi na mądrego chłopca. Mądry chłopiec powinien znać jakieś miejsce w pobliżu domu, gdzie można schować rower bez zwracania niczyjej uwagi.

Cyr pomyślał o przepuście pod drogą Dead Possum, gdzie bawili się z Jimem w wojnę.

- Zdaje się, że znam takie miejsce, proszę pana.

- Świetnie. W szopie powinno być wszystko, czego możesz potrzebować Jeżeli nie, poproś Delię albo mnie. Zapisuj godziny pracy. Wypłata w piątek.

Cyr patrzył, jak Tuck odchodzi, potem spuścił wzrok na łuszczącą się ramę niebieskiego schwinna.

Trzy godziny później, po wykonaniu całej niecierpiącej zwłoki pracy, jaką Tucker zdołał wymyślić w tak krótkim czasie, Cyr gnał ile sił w pedałach ku Innocence. Rower nie był już tą wyścigową, jaką był za czasów Tuckera ale Cyrowi wydawał się rumakiem, ogierem, skrzydlatym Pegazem.

Tym razem skręcił w drogę McNairów. Pośliznął się niebezpiecznie na żuźlowej nawierzchni, mruknął „Hola, chłopie” pod adresem swego wierzchowca i wyprowadził go z poślizgu.

Zobaczył Jima i jego ojca na drabinach opartych o boczną ścianę domu. Świeża niebieska farba połyskiwała w słońcu. W połowie podjazdu Cyr nie wytrzymał i wydał

triumfalny okrzyk radości.

Jim zamarł z pędzlem w ręku.

- Niech mnie licho, tata, spójrz na Cyra. Skąd to masz? - zawołał. - Ukradłeś?

- Coś ty! - Zatrzymał rower w ostatniej chwili. Jeszcze sekunda, a przejechałby petunie, trochę jednak wyszedł z wprawy. - To środek transportu. - Zszedł z roweru i ustawił

go na podpórcę. - Dostałem pracę w Sweetwater.

- Nie chrzań! - zawołał Jim, zapominając o obecności ojca. Kosztowało go to niegroźne pacnięcie w głowę. - Wymusło mi się, tato. Przepraszam. - Ale uśmiechał się do Cyra. - Robisz w polu?

- Skąd! Pan Tucker powiedział, że zostanę jego majstrem do wszystkiego. Płaci mi cztery dolce za godzinę.

- Wy... wygłupiasz się?

- Przysięgam na Boga. Powiedział...

- Hola, panowie! - Toby potrząsnął głową. - Macie zamiar stać tak i wrzeszczeć przez cały dzień? Panna Waverly każe nam zwijać manatki.

- Nie każe. - Ubawiona tą sceną Caroline wychyliła głowę z okna. - ale wydaje mi się, że czas na małą przerwę. Cały dzień czekam, żeby poczęstował mnie pan lemoniadą wyrobu pańskiej żony.

- Z przyjemnością. Jim, złaź! Uważaj na stopnie. - Prawda wyglądała tak, że Toby sam skręcał się z ciekawości.

Zanim zdążył zejść z drabiny, Jim rozplątywał się już w zachwytach nad schwinem.

Toby poszedł po przenośną lodówkę, a Jim relacjonował swoją przygodę.

- Zemdląłeś? - Jim był pod wrażeniem. - Zemdląłeś na werandzie?

Caroline pchnęła siatkowe drzwi i usłyszała ostatnie słowa Dyrą. Zmarszczyła brwi.

Podziękowała z roztargnieniem Toby'emu, który wręczył jej papierowy kubek z cierpką lemoniadą. Tucker zatrudnił chłopca, pomyślała ze zdumieniem. Jako majstra do wszystkiego! Żeby odwał za niego całą nieprzyjemną robotę. Dzieciak był chudy jak patyk i miał podkrążone oczy. Nie tak dawno temu sama tak wyglądała i zrobiło jej się żal chłopca.

- Nie ma powodu, żeby pracował - mruknęła pod nosem.

- Och, przyda mu się kieszonkowe - powiedział Toby lekko.



- Bardziej przydałby mu się gorący posiłek. - Chciała go zawołać, gotowa przygotować mu spóźniony lunch. - Jak on się nazywa?

- To Cyr, panno Waverly. Cyr Hatinger. Zesztywniała.

- Hatinger?

Toby odwrócił wzrok od jej przerażonych oczu.

- On nie jest taki jak jego ojciec, panno Waverly. - Odruchowo Toby przesunął palcem po bliźnie na policzku. - To dobry chłopak. Mam do niego słabość. Jest bliskim przyjacielem Jima.

Caroline toczyła bój z sumieniem. Cyr był tylko dzieckiem. Nie wolno jej ulec pokusie i wygonić go ze swej ziemi tylko dlatego, że nosi nazwisko Hatinger.

Dzwonek roweru dźwięczał raz za razem. Jim i Cyr naciskali go na zmianę.

Grzechy ojców. Słowa samego Austina. Jego groźba. Nie wierzyła w to, patrząc na chłopca o szczupłej twarzy, który uśmiechał się jak rozmarzony anioł.

- Cyr!

Poderwał głowę, wcale nie jak anioł, ale jak młody wilk, czujny i gotowy do ucieczki.

- Tak, psze pani?

- Właśnie miałam zamiar przyszykować sobie lunch. Miałbyś ochotę coś zjeść?

- Nie, psze pani, dziękuję, psze pani. Zjadłem śniadanie w Sweetwater. Pan Tucker sam zrobił dla mnie szynkę i jajka.

- Sam... Rozumiem. - Ale wcale nie rozumiała. Stojący obok niej Toby zarechotał

radośnie.

- Tuck ugotował, tyś zjadł i jeszcze trzymasz się na nogach? Musisz mieć strusi żołądek.

- Dobrze ugotował. W mikrofalówce. Włożył w nią suchary i one zaraz wyskoczyły gorące. - Cyr mówił dalej o tym, że będzie dostawał codziennie lunch od panny Delii, że pan Tucker pożyczył mu rower i dał dwa dolary zaliczki.

- Powiedział, że powinienem je wydać na przyjemności. - Taki jest przywilej mężczyzny otrzymującego pierwszą wypłatę. Byłe nie na whisky i kobiety. - Zaczerwienił się lekko i rzucił spojrzenie Caroline. - On tylko żartował.

- Jestem tego pewna - powiedziała z uśmiechem.

Cyr pomyślał, że jest najładniejszą kobietą, jaką zdarzyło mu się widzieć. Bał się, że jeżeli będzie dalej na nią patrzył, uruchomi swoje narzędzie szatana. Utkwił więc oczy w ziemię.

- Bardzo mi przykro, że mój tata wybił pani okna.

- Są już całe, Cyr.

- Tak, psze pani. - Chciał coś powiedzieć, może oddać jej te dwa dolary na pokrycie szkód, ale usłyszał warkot silnika. Obejrzał się przez ramię, zanim inni usłyszeli szum motoru i chrzęst opon na żuźlowej alei.

- To ten facet z FBI - powiedział bezosobowo.

Patrzyli w milczeniu, jak Matthew Burns parkuje samochód na końcu podjazdu.

Nie ucieszył go widok tłumu na werandzie. Zajechał w nadziei, że zostanie Caroline samą i będą mogli spokojnie pogawędzić. Ale przywołał uśmiech na twarz i wysiadł z samochodu.

- Dzień dobry, Caroline.

- Cześć, Matthew. Czym mogę ci służyć?

- Och, to nie jest oficjalna wizyta. Miałem wolną godzinę, pomyślałem więc, że wpadnę i zobaczę, jak się miewasz.

- Miewam się doskonale. - Ale wiedziała, że Burns się tym nie zadowoli. - Napijesz się mrożonej herbaty?

- Z przyjemnością. - Zatrzymał się przez Cyrem, który stał z oczami wbitymi twardo w ziemię. - Młody Hatinger, zgadza się?

- Tak, psze pana. - Cyr przypomniał sobie wizytę Burnsa w ich domu, kiedy agent próbował wydusić coś z matki szlochającej w fartuch. - To ja już pójdę.

- Chodź, Jim. Wracamy do pracy.

- Toby, może zrobilibyście sobie dłuższą przerwę. Jest tak gorąco.

- Toby? - Spojrzenie Matthewa spoczęło na barczystym Murzynie. - Toby March?

Toby skinął sztywno głową.

- Zgadza się.

- Tak się składa, że pańskie nazwisko figuruje na mojej liście osób, z którymi chcę rozmawiać. Ta blizna na twarzy. Hatinger jest za to odpowiedzialny?

- Matthew! - zawołała Caroline z oburzeniem, spojrzawszy na twarz Cyra.

- Muszę lecieć - powiedział szybko Cyr. - Do jutra, Jim. - Wskoczył na rower i odjechał, pedałując zawzięcie.

- Matthew, musiałeś mówić o tym w obecności dziecka? Burns rozłożył ręce.

- Jestem pewny, że on i tak wie. W takim miasteczku wszyscy wszystko wiedzą. A więc, panie March, zechce pan poświęcić mi chwilę.

- Jim, idź zeskrobać starą farbę z tylnych okien.

- Ale, tato...

- Rób, co ci każę.

Jim odszedł z pochyloną głową i obwisłymi ramionami.

- Chciał pan o coś zapytać, panie Burns.

- Agencie Burns. Tak. O bliznę.

- Mam ją od dwudziestu lat. Austin Hatinger mnie pobił. - Toby pochylił się i podniósł zamkniętą puszkę farby. Obracał ją w swoich wielkich dłoniach.

- Oskarżył pana o kradzież.

- Powiedział, że wzięłem sznur z jego szopy. Nigdy w życiu nie tknąłem cudzego.

- I od tamtego czasu żywicie do siebie urazę.

Toby dalej obracał puszkę w dłoniach. Caroline słyszała chlupotanie farby.

- Przyjaciółmi nie jesteśmy. Burns wyjął z kieszeni notatnik.

- Szeryf Truesdale odnotował przypadek spalenia krzyża przed pańskim domem jakieś sześć miesięcy temu. Obciążył pan odpowiedzialnością Hatingera i jego syna, Vernona.

W oczach Toby'ego pojawił się zimny błysk.

- Nie mogłem tego udowodnić. Tak jak nie mogłem udowodnić, że Hatinger przeciął

opony mojej ciężarówki, kiedy byłem w sklepie Larrsona. Chociaż kiedy wyszedłem, Vernon Hatinger stał po drugiej stronie ulicy i czyścił sobie nożem paznokcie. Nawet kiedy Vernon powiedział, że mam szczęście, że tym razem są to moje opony, a nie moja twarz, też nie mogłem niczego udowodnić. Więc powiedziałem, co myślę. Hatingerowi nie podobało się, że widuje się jego chłopaka w towarzystwie mojego syna.

- Dwa tygodnie później między panem a Hatingerem doszło do bójk. W sklepie z narzędziami. Groził, że skrzywdzi pańskiego syna, jeżeli nie będzie trzymał się z dala od Cyra. Czy to prawda?

- Wszedł, kiedy kupowałem gwoździe. Gadał różne rzeczy.

- Pamięta pan, jakie to były rzeczy? Tedy zwał szczęki.

- Powiedział: „Czarnuchu, trzymaj swojego czarnego bachora z dala od tego, co moje, bo obedrę go ze skóry”. Powiedziałem, że jeżeli tknie mojego chłopca, zabiję go.

Cichy, beznamiętny głos Toby'ego sprawił, że Caroline dreszcz przeleciał po plecach.

- Powiedział jeszcze parę rzeczy, cytował Pismo Święte i gadał bzdury o tym, jak to my, „czarnuchy”, zapominamy, gdzie nasze miejsce. Potem złapał młotek. Zaczęliśmy się bić, tam w sklepie, ktoś musiał pobiec po szeryfa, bo przyleciał wściekły i nas rozdzielił.

- A pan powiedział Haungerowi... - Burns zajrzał do notatnika. - „Zamiast o to, z kim Cyr łowi ryby, martwiłbyś się lepiej, dla kogo twoja dziewczyna rozkłada nogi”. Powiedział

pan to?

- Może być.

- A dziewczyną, do której pan odnosił to stwierdzenie, była zmarła Edda Lou Hatinger?

Bardzo wolno Toby odłożył puszkę farby.

- On obrażał moją rodzinę. Wykrzykiwał paskudztwa o moim Jimie, małej Lucy i mojej żonie. A tydzień wcześniej Vernon zatrzymał moją żonę na ulicy i powiedział jej, żeby pilnowała chłopaka, bo inaczej złamie sobie rękę albo nogę. Mężczyzna nie musi znosić takich rzeczy od nikogo.

- Więc poruszył pan kwestie seksualnych obyczajów panny Hatinger. Toby poczerwieniał z gniewu.

- Byłem wściekły. Może nie powinienem tak mówić o jego dziecku.

- Ale ciekawi mnie, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie informacji o seksualnych obyczajach denatki.

- Wszyscy wiedzą, że nie trzeba było wielkich starań, żeby dopuściła do siebie mężczyznę. - Rzucił Caroline przeprasające spojrzenie.

- Mówi to pan na podstawie własnych doświadczeń?

Oczy Toby'ego błysnęły dziko. Przestraszona Caroline postąpiła krok i położyła ostrzegawczo dłoń na jego ramieniu.

- Piętnaście lat temu ślubowałem kobiecie - powiedział Toby zaciskając pięści. -

Jestem jej wierny.

- No cóż, panie March, mam świadka, który twierdzi, że odwiedzał pan Eddę Lou Hatinger wielokrotnie w jej pokoju w hoteliku.

- To wierutne kłamstwo. Nigdy nie byłem w jej pokoju razem z nią.

- Ale był pan w jej pokoju?

Toby miał wrażenie, że na szyi zaciska mu się pętla.

- Pani Koons najęła mnie do pracy. Wymieniałem framugi we wszystkich oknach.

- Więc kiedy pracował pan w pokoju Eddy Lou, jej tam nie było?

- Zgadza się.

- Nigdy nie był pan z nią razem w pokoju? Toby patrzył na Burnsa przez długie pięć sekund.

- Wychodziłem, kiedy wracała - powiedział po prostu. - A teraz muszę już iść do pracy.

Toby zszedł z werandy i zniknął za węgłem domu, a Caroline uświadomiła sobie, że cała drży.

- To było straszne.

- Bardzo mi przykro, Caroline. - Burns schował notatnik. - Przesłuchiwanie podejrzanych bywa nieprzyjemne.

- Nie myślisz chyba, że on zabił tę dziewczynę, bo jej ojciec mówił takie straszne rzeczy? - Miała ochotę wykrzyknąć mu to w twarz, ale starała się zachować spokój. - To człowiek bardzo rodzinny. Wystarczy zobaczyć go z synem, by wiedzieć, co to za człowiek.

- Wierz mi, Caroline, morderca nie zawsze wygląda na mordercę.

zwłaszcza masowy morderca. Zdziwiłabyś się, gdybym przytoczył ci dane statystyczne i portrety psychologiczne.

- Nie, dziękuję - odparła chłodno.

- Przykro mi, że jesteś ciągle wciągana w tę brzydką sprawę. - Uśmiechnął się. -

Miałem nadzieję, że spędzimy spokojną godzinę, kontynuując naszą rozmowę sprzed paru dni. No i oczywiście, liczyłem na to, że zagrzasz dla mnie.

Odetchnęła trzy razy, zanim odważyła się odezwać. Może to nie jego wina, pomyślała, że jest takim niewrażliwym, aroganckim жоłопem.

- Przykro mi, Matthew, obecnie nie dają koncertów.

- O! - Rozczarowanie odbiło się na jego twarzy. - Cóż, może innym razem. Pod koniec tygodnia będę miał chyba trochę więcej czasu. Zrobiłem małe rozeznanie i dowiedziałem się, że w Greenville jest przyzwoita restauracja rybna, do której chciałbym cię zaprosić.

- Dziękuję, Matthew, ale na razie wolałabym trzymać się blisko domu. Odprawa trochę go usztywniła.

- Szkoda. Cóż, muszę chyba wracać do pracy. - Ruszył w stronę samochodu, zirytowany, ale nie pokonany. - Przypomnę się kiedyś o tę mrożoną herbatę.

- Tak. Do widzenia.

Z chwilą, gdy opadł po nim kurz, odwróciła się i weszła do domu. Po raz pierwszy od wielu dni sięgnęła po skrzypce i zaczęła grać.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W nocy nadciągnęły chmury. Równomierny, posępny deszcz napoił spragnioną ziemię, a rankiem przeniósł się niemrawo nad Arkansas. Zmienił kurz w śliskie błoto, które do południa spierzchnęło w skorupę.

Nad otwartym grobem gromadka żałobników stała po kostki w wypalanej słońcem trawie. Z drzew skapywała woda, wydając rozpraszający uwagę dźwięk, który przypomniał

Cyrowi o zardzewiałym kurku w łazience. Przeciekał dzień i noc.

Kiedy w nocy Cyr leżał w łóżku, myślał chwilami, że to monotonne kap, kap, kap doprowadzi go do szału. Zupełnie jak chińskie tortury, o których czytał. Jest Cyrem Hatingerem, tajnym agentem, woda kapie, kapie, krople rozpryskują się na jego czole, ale on się nigdy nie złamie, nawet wtedy, gdy woda przebije się przez skórę, przez kości do mózgu.

Nie, nigdy go nie złamią. Jest Bondem, Jamesem Bondem. Jest Rambo. Jest Indianą Jonesem.

Był Cyrem, leżącym pośród zapachu stęchlizny, Cyrem, który wstaje i wkłada szmatę pod kran, żeby stłumić kapanie o jeden ton.

Tym razem nie próbował blokować tego dźwięku, przeciwnie, skoncentrował się na nim, żeby zapomnieć, gdzie jest i co robi.

Wielebny Slater wydawał mu się osobnikiem sędziwym, w rzeczywistości biedny człowiek dobiegał dopiero sześćdziesiątki. Ale młode oczy Cyra widziały jedynie rzadkie kępkę białych włosów na opalonej czaszce, mapę bruzd na ogorzalej od wiatru twarzy i fałdy luźnej skóry zwisające z podbródka i gnijące pod koloratką.

W oczach Cyra pastor był zbyt stary, by wiedzieć cokolwiek o życiu - Z drugiej strony, dzień przeznaczony był dla umarłych, a w tej dziedzinie wielebny powinien być ekspertem.

Głos pastora wznosił się i opadał, przemykając melodyjnie przez frazesy o zbawieniu, życiu wiecznym i woli boskiej.

Ciekawe, co by się stało, myślał Cyr, gdybym wystąpił naprzód i wyrwał Biblię z rąk wielbego Slatera?

Przepraszam bardzo, mógłby powiedzieć, ale to wszystko są główniane brednie. Bóg nie miał nic wspólnego z tym, że Edda Lou została posiekana na kawałki. Dlaczego mamy zawdzięczać to Jemu, że ona idzie do piachu?

Jak to się dzieje, że zwalamy winę na Boga, skoro wszyscy wiemy, że nóż trzymał w ręku człowiek?

Wściekało go, że usprawiedliwiano w ten sposób całe zło. Przyjdzie grad, wbije bawełnę w ziemię, i to też będzie wola boska.

Wiedział mniej więcej, skąd bierze się grad. Gorące powietrze spotyka się z zimnym i deszcz zmienia się w twarde kulki lodu. Cyr nie mógł sobie wyobrazić Boga, jak siedzi spokojnie na złotym tronie i nagle postanawia wybić gradem żalosne zbiory Austina Hatingera.

Podobnie jak nie potrafił sobie wyobrazić, by Bóg zaplanował zarżnięcie Eddy Lou i wrzucenie jej do stawu.

Chciał to wszystko powiedzieć. Słowa niemal paliły go w język. Wiedział, że jeżeli się odezwie, matka rozplacze się jeszcze głośniejsze, Ruthanne będzie go uciszać, śmiertelnie zawstydzona, a Vernon da mu takiego kuksańca, że zadzwoni mu w uszach. Inni po prostu wybałuszają na niego oczy. W pogrzebie uczestniczyły głównie kobiety odziane w czarne suknie na każdą okazję.

Pani Fuller i pani Sahys stały w grupce z panią Larsson i panią Koons. Była wśród nich Darleen. Zanosila się takim płaczem, że pani Fuller podeszła do niej w końcu i wzięła dziecko, które Darleen przyciskała kurczowo do siebie.

Były również inne panie, niektóre z nich przyjaźniły się z Eddą Lou, inne przyszły wypełnić chrześcijańską powinność. Mężczyzn było niewielu. Szeryf Truesdale trzymał za rękę swoją żonę. Federalny stał na uboczu w uroczystej postawie, z pochyloną głową, ale Cyr wiedział, że on patrzy, patrzy, patrzy.

„Ja jestem drogą, prawdą i światłem” - zaintonował Slater i Mavis gibnęła się gwałtownie, potrącając Vernona, który oparł się o żonę, uruchamiając reakcję domina wśród żałobników. Przez chwilę wszyscy chwiali się i podrygiwali, a wielbny ciągnął

niewzruszenie swój monolog.

- „A kto we Mnie wierzy, dostąpi Królestwa Niebieskiego...” Cyr chciał krzyknąć, że jedyną rzeczą, w jaką wierzyła Edda Lou, była ona sama. Że cały ten modlitewny cyrk pogarsza tylko i tak kiepską sprawę. Ale milczał i trzymał głowę spuszczoną na piersi, ponieważ w pogrzebie uczestniczył człowiek, którego Cyr bał się bardziej, niż bał się Boga pastora Slatera.

Jego ojciec.

Austin Hatinger stał wyprostowany jak struna w swoim niedzielnym ubraniu. Ręce i nogi miał skute kajdankami, dwaj posępni policjanci stali u jego boków.

Słuchał słowa Bożego. Patrzył, jak trumna schodzi do swego mrocznego wilgotnego domu. I obmyślał plan.

Słyszał zawodzenia swojej żony. Podniósł na nią oczy i ujrzał zniszczenia jakich dokonała na jej twarzy nieustanna rozpacz.

Bóg dał, Bóg wziął, pomyślał. Patrzył szeroko otwartymi oczami w dół który wykopano dla jego córki. W efekcie oczy zaczęły mu łzawić. Niech myślą, że się załamał.

Niech myślą, że jest słabym, złamanym człowiekiem.

Czekał. Czekał, aż skończy się modlitwa, czekał, aż kobiety podejda do jego żony z durnymi kondolencjami.

Kiedy zaczęły się rozchodzić do samochodów, jeden z policjantów trącił go łokciem.

- Hatinger.

- Proszę. - Skupił całą uwagę na dziurze w ziemi i głos mu zadrżał. - Muszę się pomodlić. Razem z moją żoną.

Wiedział - ze sposobu, w jaki przestępowali z nogi na nogę - że policjanci są poruszeni modlitwą i łzami kobiet. Starannie maskując swe prawdziwe uczucia podniósł

głowę. Na jego twarzy malowała się jedynie beznadziejna rozpacz ojca, który utracił swoje dziecko.

- Proszę - powtórzył. - To była moja córka. Moja jedyna córka. To nie jest naturalne grzebać swoje dziecko. Wiecie, co on jej zrobił, prawda? - Spuścił wzrok, żeby nie dostrzegli nienawiści. - Muszę pocieszyć żonę. Jest słaba, to ją zabije. Pozwólcie mi przytulić żonę. -

Wyciągnął skute ręce. - Człowiek ma prawo przytulić żonę nad grobem córki, prawda?

- Słuchaj, Hatinger, naprawdę mi przykro, ale...

- Daj spokój, Lou - powiedział drugi policjant, który miał córkę. - Przecież ci nie ucieknie ze skutymi nogami. Możemy mu dać minutę.

Austin stał ze spuszczoną głową i z radością w sercu patrzył, jak klucz obraca się w kajdankach.

- Ale będziemy musieli przy tobie stać - powiedział policjant o imieniu Lou. - 1 masz tylko pięć minut.



- Niech Bóg was błogosławi. - Kątem oka Austin zobaczył, że Burke odjeżdża.

Nieliczna grupka kobiet rozproszyła się po cmentarzu, korzystając z okazji, by odwiedzić dawniejsze groby i własnych zmarłych. Austin postąpił krok i otworzył ramiona. Mavis padła w nie bezwładnie.

Trzymał ją przez chwilę, czekając. Widział jak policjanci odwracają oczy. pełni zażenowania i szacunku dla cudzego cierpienia. W naturze ludzkiej leży zapewnienie prywatności głównym żałobnikom.

Austin wykonał ruch tak szybki, że Cyr, który nigdy nie widział obejmujących się rodziców, odruchowo odskoczył w tył.

Hatinger cisnął żonę w policjanta z taką siłą, że oboje wpadli do świeżego grobu.

Kiedy drugi policjant sięgnął po broń. Austin natarł na niego głową jak szarżujący byk i zwałił go z nóg. Błyskawicznie przechwycił broń, podczas gdy unieruchomiony w grobie Lou próbował uwolnić się od wrzeszczącej Mavis.

Austin uderzył policjanta rękojeścią pistoletu w głowę pozbawiając go przytomności, po czym chwycił osłupiałą Birdie Shays i opasał jej szyję ramieniem.

- Zabiję ją - wrzasnął. pełen gniewu bożego. - Zabiję ją tak, jak zabili moją córeczkę, słyszysz mnie, glino? Rzuć mi broń i kluczyki albo wywiercę jej łaką dziurę w "głowie, że przejedzie przez nią traktor.

Birdie popiskiwała i czepiała się jego ramienia. Ruthanne zaczęła płakać, pewna, że nie przeżyje tego nowego upokorzenia.

- Dokąd uciekniesz, Hatinger - Lou podjął próbę dialogu, głęboko sfrustrowany faktem, że siedzi okrakiem na trumnie z łkającą kobietą uczepioną jego pleców. Chłopaki nie dadzą mu żyć, kiedy się o tym dowiedzą. - Przemyśl to, Hatinger. Dokąd pójdziesz?

- Pójdę tam, dokąd mnie Bóg zaprowadzi! - O tak, czuł już tę siłę, którą dawał mu Bóg, Oczy mu płonęły. - Panie, pójdę za tobą! - wrzasnął w ucho Birdie, zaciskając mocniej ramię wokół jej szyi. Zaczęła się dusić. - Dziesięć sekund i załatwię ją. A potem wypełnię ołowiem tę dziurę, w której siedzisz.

Wściekły, spocony Lou rzucił kluczyki, - Pistolet też.

- Niech cię diabli!

- Pięć sekund. - Ruchem głowy nakazał Vernonowi rozpiąć kajdanki.

- Powinieneś ich zabić, tato - powiedział Bernon przez zaciśnięte zęby. Na tę myśl krew napłynęła mu do twarzy. - Zastrzel tych antychrystów i jedźmy do Meksyku.

- Nigdzie nie jadę, dopóki wszystkiego nie załatwię.

Lou wychylił się z grobu w nadziei, że uda mu się oddać przynajmniej jeden strzał i schował się błyskawicznie, kiedy pocisk wystrzelony z trzydziestkiósemki wyrwał bruzdę parę centymetrów od jego głowy. - Musiałbym być pierdolonym czubkiem, żeby dać sobie przestrzelić - Lou wyrzucił pistolet.

Austin popchnął pochlipującą Birdie w stronę grobu. Przez chwilę balansowała na jego skraju, ze skupionym wzrokiem i ramionami wyciągniętymi jak do skoku z trampoliny.

Wylądowała płasko na Lou.

Zanim towarzystwo na cmentarzu zdołało dojść do siebie, Austina Hatingera już nie było. Odjechał buickiem Birdie Shays, uzbrojony w dwie trzydziestkiósemki i potężny ładunek nienawiści.

Jim March stał cierpliwie w holu, pogwizdując przez zęby i czekając, aż Caroline zejdzie z góry i powie mu, czy chce, żeby zreperować spoiny na tylnej werand/je.

I Jego tata pojechał do miasta po więcej farby, a Jim ofiarował się zostać. [Powinien malować, ale zauważył wyciętą belkę na starej werandzie i pomyślał, że Bato byłby zadowolony, gdyby namówił pannę Waverly na dodatkową robotę.

Kiedy zapukał, Caroline zawołała z góry, żeby wszedł. Starannie wytarł nogi. Jego mama była fanatyczką wycierania nóg i mycia rąk. Jim gwizdał i posuwał się wolno w stronę drzwi do salonu. Wiedział, że są tam skrzypce, ponieważ zobaczył je przez okno. Chciał

przyjrzeć się im bliżej, tak jak zapragnąłby przyjrzeć się nowej piłce Wilsona na wystawie sklepu Larssorm.

Znalazł się przy drzwiach do salonu, zupełnie przypadkiem, powiedział sobie.

Skrzypce były w środku. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę schodów, po czym dał nura do pokoju. Miał zamiar tylko popatrzeć. Jeden rzut oka i znajdzie się z powrotem w holu jakby nigdy nic.

Myślał o tych skrzypcach od poprzedniego dnia, kiedy Caroline na nich grała. Jim, jak żyje, nie słyszał takiej muzyki. To nasunęło mu przypuszczenie że jest w nich coś niezwykłego, coś, co odróżnia je od starych skrzypiec, na których rzępolił Rupert Johnson w letnie wieczory.

Jim pogmerał przy zameczkach z boku futerału i uniósł wieko. Kiedy je zobaczył, wtulone w kruczoczarny aksamit, zrozumiał, że są inne. Och, miały ten sam kształt co skrzypce Ruberta, ale błyszczały jak nowa centówka. A kiedy Jim zebrał się na odwagę, by ich dotknąć, świecąca powierzchnia okazała się gładka jak jedwab. A przynajmniej tak wyobrażał sobie jedwab Jim.

Zapominając o tym, że miał tylko rzucić okiem, przeciągnął delikatnie kciukiem przez struny.

Caroline usłyszała zdradziecki akord na schodach. Jej pierwszą reakcją był gniew.

Nikt nigdy nie dotykał jej instrumentu. Nastrajała go i polerowała sama ku zdumieniu każdej orkiestry, z którą grała.

Luis żalił się, że spędza więcej czasu na głaskaniu skrzypiec, niż na głaskaniu jego, Luisa. Czuła się z tego powodu winna, dopóki nie dowiedziała się, że on również głaszcze, i to żywy obiekt.

Ruszyła stanowczym krokiem w stronę salonu z zamiarem powiedzenia Jimowi paru ostrych słów. W drzwiach zatrzymała się. Jim klęczał przed futerałem, a jego palce muskały struny tak delikatnie, jakby głaskał policzek niemowlęcia. Ale to wyraz jego twarzy złagodził

gniew Caroline. Jim wyglądał tak, jakby właśnie odkrył jakiś cudowny sekret. Uśmiech głębokiej radości rozświetlał mu całą twarz.

- Jim - odezwała się cicho i Jim poderwał się na nogi jak kukielka na sznurku. Oczy robiły mu się coraz większe i większe, aż Caroline przeraziła się, że połkną całą twarz.

- Ja., ja... ja... tylko patrzyłem. Przepraszam. Panno Caroline, wiem, że źle zrobiłem.

Proszę nie wyrzucać z pracy mojego taty.

- Wszystko w porządku - powiedziała Caroline, i naprawdę tak czuła - To dopiero zdziwiłby się Luis, gdyby wiedział, że pozwoliła, by mały czarny chłopiec dotknął jej skrzypiec. Luisowi wolno było jedynie patrzeć na nie z przyzwoitej odległości.

- Nie musi mi pani płacić za robotę - Jim wyrzucał z siebie słowa z prędkością karabinu. - Wiem, że nie powinienem tego robić.

- Powiedziałam, że nie szkodzi, Jim. - Kiedy położyła mu dłoń na ramieniu, coś do niego dotarło.

- Pani się nie gniewa?

- Nie, ale byłoby lepiej, gdybyś poprosił o pozwolenie.

Oczywiście nie uzyskałby go. I wtedy nie ujrzałaby tego błysku zachwyty w jego oczach. Tego samego zachwyty, który odczuwała ona, dawno, dawno temu.

- Ta, psze pani. Proszę o wybaczenie. Szczerze. Nie miałem prawa wchodzić do tego pokoju. - Oszołomiony własnym szczęściem, zaczął się wycofywać w stronę drzwi. -

Przyszedłem zapytać, czy życzy sobie pani wzmocnić tylną werandę i... - Przyszło mu do głowy, że co za dużo, to niezdrowo.

- Dlaczego chciałeś obejrzeć skrzypce?

Kurcze, pomyślał, jak nic powie ojcu. A wtedy dupa biała.

- Ja tylko... Słyszałem wczoraj, jak pani gra. Nigdy nie słyszałem, żeby skrzypce tak śpiewały. Więc pomyślałem.... Pomyślałem, że może są jakieś wyjątkowe.

- Dla mnie tak. - Ostrożnie wyjęła je z futerału, jak to robiła nieskończoną ilość razy przedtem.

Ciężar, kształt, dotyk były tak znajome. Jak bardzo je kochała. I tak bardzo nienawidziła. - Trzymałeś kiedyś - skrzypce w ręku?

Jim przełknął głośno.

- No, stary Rupert, dziadek pana Johsona, nauczył mnie paru piosenek na swoich skrzypkach. Nie są ani w połowie takie ładne. I muzyka też nie taka.

Wątpiła, by stary Rupert posiadał Stradivarius. Poczła dziwny impuls. Przypomniała sobie, że hamowanie pragnień zaprowadziło ją do szpitala w Toronto, a wyrażenie ich przywiodło ją do Innocence. Na dobre i na złe.

- A więc pokaż mi, co potrafisz. - Podała mu skrzypce i Jim natychmiast schował obie ręce za siebie.

- Nie, psze pani, nie mógłbym. To nie byłoby właściwe. - Nawet kiedy cię o to proszę?

Na jego twarzy toczyła się walka między pragnieniem dotknięcia skrzypiec, a poczuciem tego, co słuszne. Wyciągnął powoli ręce po skrzypce.

- Chryste! - wyszeptał. - Ależ one błyszczą! W milczeniu wyjęła smyczek, potarła go kalafonią.

- Nie byłam wiele starsza od ciebie, kiedy po raz pierwszy na nich grałam. - Wróciła myślami do tego odległego, jakże odległego dnia, kiedy otrzymała je od rodziców w prezencie. W garderobie Akademii Muzycznej w Filadelfii, tuż przed jej pierwszą poważną solówką. Miała szesnaście lat i właśnie skończyła wymiotować - tak dyskretnie i cicho, jak to możliwe - w przyległej toalecie.

Wtedy weszli rodzice, ojciec przepełniony radosną dumą, matka rozpaczliwą ambicją.

Choroba nie miała z nimi żadnych szans.

Caroline nigdy nie była pewna, czy skrzypce są prezentem, łapówką, czy groźbą. Ale nie potrafiła im się oprzeć.

Co ja wtedy grałam, usiłowała sobie przypomnieć. Wtedy w tej garderobie, dusznej od zapachu kwiatów i szminek?

Ach, tak! Mozarta. Uśmiechnęła się leciutko.

- Zagraj mi coś - powiedziała po prostu, wręczając Jimowi smyczek Jim szukał gorączkowo w myślach odpowiedniej melodii. Przycisnął skrzypce brodą, przeciągnął smyczkiem po strunach próbując dźwięk i zagrał „Salty Dog”.

W miarę jak grał, wyraz otępienia zniknął z jego oczu, a twarz rozjaśniał uśmiech.

Wiedział, że nigdy nie grał równie dobrze, i zatraciwszy się zupełnie w muzyce, przeszedł na

„Casey Jones”.

Caroline siedziała na poręczy fotela i patrzyła. Och, raz po raz rozbrzmiewała fałszywa nuta i technika pozostawiała wiele do życzenia, ale Caroline była pod wrażeniem, nie tylko gry, żywej i pełnej polotu, ale samego muzykanta. Jim grał dla przyjemności.

To było coś, czego ją pozbawiono, coś, czego odmawiała sobie przez blisko dwadzieścia pięć lat.

Jim wrócił do rzeczywistości i odchrząknął. Muzyka nadal rozbrzmiewała mu w głowie, wibrowała w palcach. Ale bał się, że wyzywa los.

- To tylko niektóre z melodii, których nauczył mnie stary Rubert. Nie to, co pani grała.

Tamto było... święte.

Musiała się uśmiechnąć.

- Myślę, że możemy ubić interes, Jim.

- Psze pani?

- Nauczysz mnie, jak grać to, czego nauczył cię stary Rubert, a ja... Oczy omal nie wyszły mu z głowy.

- Pani chce, żebym ją uczył tych piosenek?!

- Zgadza się, a ja w rewanżu nauczę cię moich.

- Jak ta, co ją pani grała wczoraj?

- Tak.

Czuł, że pocałował mu się dłonie i zmusił się, by oddać jej skrzypce, zanim je poplamie i wszystko zepsuje.

- Muszę zapytać taty.

- Ja zapytam. - Caroline przekrzywiła głowę. - Jeżeli taki układ ci odpowiada.

- Bardzo mi odpowiada.

- Więc podejdź tu i patrz na mnie. - Usiadła na fotelu, żeby mógł obserwować jej palce. - Ten utwór nosi tytuł „Walc minutowy”. Skomponowany przez Fryderyka Szopena.

- Szopena - powtórzył Jim z czcią.

- Ale na razie nie odegramy go w minutę. To nie wyścig, gramy dla...

- Zabawy?

- Tak. - Wsadziła skrzypce pod brodę, rozkoszując się tym krótkim słowem - Dla zabawy.

Byli bez reszty pochłonięci nauką, kiedy zjawił się Carl Johnson z wiadomością, że Austin Hatinger zbiegł.

Po tym jak Carl Johnson odjechał, żeby zanieść wieść do Sweetwater, Caroline podjęła dwa postanowienia. Po pierwsze, odnowi lekcje strzelania, po drugie, kupi sobie psa.

Myśl, żeby spakować walizki i uciec, zbladła, zanim się na dobre wykluła. Jej miejsce zajęło uczucie o wiele głębsze i silniejsze. Znalazła dom i miała zamiar go bronić.

Idąc za radą Jima, pojechała na farmę Fullerów. Jim powiedział jej, że suka Happy Fuller, Księżniczka, oszczeniła się dwa miesiące temu.

Happy, który przebrała się już z żałobnej szaty w strój ogrodniczy, powitała Caroline z radością. Była zachwycona perspektywą pozbycia się ostatniego szczeniaka i zdobyciem nowej słuchaczki, której mogła opowiedzieć swoje cmentarne przeżycia.

- Nigdy nie byłam tak przerażona - mówiła Happy, prowadząc Caroline obok stadka ceramicznych gęsi i gazonu niecierpków. - Stałam niedaleko, przy grobie mamy. Zmarła na raka jajników w wieku osiemdziesięciu pięciu lat. Nie pozwoliła zabrać się do lekarza. Rak przeszedł przez nią jak huragan przez zboże. Ja odwiedzam regularnie doktora Shaysa i robię wymazy równo co sześć miesięcy.

- Bardzo rozsądnie.

- Nie ma sensu uciekać przed problemami. - Happy stanęła przed wiatrakim w kształcie człowieka piłującego drzewo. Dzień był duszny, zupełnie bezwietrzny i człowieczek odpoczywał sobie w spokoju.

- No więc - ciągnęła Happy pochylając się, żeby wyrwać chwast, który miał czelność wyrosnąć pośród jej cynii. - Stoję sobie koło mamy i nagle słyszę potworny harmider.

Wrzaski i krzyki. Odwracam się i co widzę? Policjant z Greenville wlatuje z Mavis do grobu Eddy Lou, a Austin wali tego drugiego glinę - wyglądał jakby nie miał nawet osiemnastu Jat -

w głowę jego własnym pistoletem. Myślę sobie, Panie w niebiosach, zacznij strzelać! A on co robi? Chwyta Birdie za gardło i rozkazuje temu drugiemu glinie - temu w grobie - żeby wyrzucił kluczyki o d kajdanków. A Mavis wrzeszczy jakby chciała obudzić umarłego. I ta biedna Birdie, biała jak ściana, z lufą przy skroni. Myślałam, że padnę na serce. Birdie jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Tak, wiem. - Caroline usłyszała już pełną relację od Carola Johnsona, ale pogodziła się z faktem, że usłyszy ją jeszcze raz. I jeszcze raz.

- Kiedy Austin wypalił z tego pistoletu, schowałam się za nagrobek mamy i wcale się tego nie wstydzę. Nagrobek jest niczego sobie, duży, choć musiałam toczyć o niego boje z moim bratem, Dickiem. Zawsze był dusigroszem. Rany, potrafi wycisnąć centówkę jak cytrynę. Wtedy Vernon - który jest jeszcze bardziej szczywany od swego ojca - rozkuł

kajdanki. Nagle patrzę, a tu Austin wpycha biedną Birdie do grobu prosto na tego policjanta z Greenville i biedną Mavis. No, wtedy dopiero rozpętało się piekło. Birdie piszczała, Mavis zawodziła, a ten policjant klął jak pijany marynarz na dwudniowej przepustce.

Usta Happy zadrżały i pewnie powstrzymałaby uśmiech, gdyby nie wyraz twarzy Caroline. Przez chwilę spoglądały na siebie, walcząc dzielnie o zachowanie powagi. Caroline przegrała pierwsza. Parsknęła śmiechem i próbowała zatuszować to pokasływaniem. A potem śmiały się już obie. Stały w jasnym popołudniowym słońcu i ryczały ze śmiechu, aż Happy musiała wyjąć chustkę i otrzeć załzawione oczy.

- Mówię ci, Caroline, nie zapomnę tego widoku, choćbym żyła sto lat. Po tym, jak Austin odjechał w buicku Birdie, podbiegłam do grobu. Siedzieli w nim wszyscy, kłębili się na wieku trumny, same ręce i nogi. A ja pomyślałam, Boże bądź miłościw, wygląda to jak jedna z tych udziwnionych scen w pornosach. - W jej oczach pojawił się figlarny błysk. - Nie żebym coś takiego oglądała.

- Nie - powiedziała Caroline słabym głosem. - Oczywiście, że nie.

- Birdie miała spódnicę zadartą prawie do pasa. Jest dość tęgawa i musiała zdrowo przydusić tego policjanta, kiedy na nim wylądowała. Twarz miał czerwoną jak burak. Mavis uczepliła się jego nogi i wykrzykiwała coś o woli boskiej.

- Straszne - wykrztusiła Caroline i dostała nowego ataku śmiechu. - Och, to straszne.

Happy przycisnęła chusteczkę do ust i zakwiczała.

- Potem ocknął się młody policjant. Wyciągaliśmy akurat Birdie i nikt nie zwracał na niego uwagi. Biedny chłopiec zataczał się jak pijany, i gdyby go Cyr nie złapał, byłby wleciał

do tego grobu na czwartego. Mówię ci, to było lepsze niż „Kocham Lucy”.

Caroline wyobraziła sobie Ricky'ego Ricardo nurkującego do grobu z okrzykiem

„Luuucy, już jestem!”. Usiadła na kamiennym murku otaczającym cynie i złapała się za boki.

Happy przysiadła koło niej.

- Och, cieszę się, że to z siebie wyrzuciłam. Birdie nigdy by mi nie wybaczyła tego śmiechu.

- Straszne. Okropne!

To opóźniło ich powrót do równowagi o dalszych pięć minut.

- No cóż - Happy schowała chustkę, krztusząc się od hamowanego śmiechu. - Pójdę po tego cholernego psa. Obejrzyj go sobie, a ja zrobię nam coś zimnego do picia.

Księżniczko! Księżniczko, chodź do nas i przyprowadź ze sobą tego kundla. Został jej ten jeden - powiedziała Happy tonem pogawędki. - Nie powiem ci nic o ojcu, bo Księżniczka nie jest

brzemienna. Chyba ją jednak wysterylizuję.

Przez podwórko przeszła, nie śpiesząc się, potężnie zbudowana suka żółtej sierści i znudzonym wyrazie pyska. Zataczając kręgi wokół niej, biegł wyrosnięty szczeniak takiej samej maści. Co parę sekund dawał nura pod jej brzuch próbując złapać któryś z obwisłych sutków. Księżniczka, która miała najwyraźniej dość macierzyństwa, odsuwała się ze wstrętem.

- Hej tam! - Happy klasnęła w dłonie. Szczeniak porzucił pogoń za matczynym mlekiem i przybiegł w podskokach. - Jesteś małe ladaco, powiedz, jesteś?

Szczeniak szczeknął potwierdzająco, machając ogonem tak zawzięcie, że jego tłusta pupa prawie spotykała się z nosem.

- Zapoznajcie się ze sobą, a ja przyniosę mrożonej herbaty. - Happy wstała.

Caroline przyglądała się psu sceptycznie. Był zabawny, to prawda, i bardzo przymilny, kiedy wsparł się grubymi łapami o jej kolana. Ale potrzebowała psa obronnego, nie szczeniaka. Nie wyjdzie jej na dobre, jeżeli przywiąże się do zwierzaka, którego będzie musiała opuścić za parę miesięcy. i choć potomek Księżniczki już teraz był duży, wcale jednak nie wyglądał groźnie ze swymi klapniętymi uszami i wywieszonym językiem. Jego matka sięgała Caroline głową do pasa, ale kto wie, ile czasu zajmie jej synowi osiągnięcie takich rozmiarów.

Popełniłam błąd, zdecydowała Caroline. Trzeba było spytać o najbliższy przytułek dla psów i wyzwolić toczącego pianę dobermana, którego mogłaby uwiązać przy tylnych drzwiach.

Ale szczeniak był taki ciepły i miękki. Kiedy mu się przyglądała, polizał jej rękę i machał ogonem tak zamasyście, że go zobaczył i ruszył w pogoń.

Zaskomlał, kiedy go w końcu złapał. Przybiegł z powrotem do Caroline, patrząc na nią oczami pełnymi zdumienia i psiego smutku.

- Małe głupiątko - mruknęła i wzięła go na ręce. A, co mi tam!, pomyślała, kiedy lizał

ją po twarzy i szyi.

Zanim Happy wyłoniła się z kuchni z mrożoną herbatą, Caroline zdążyła już nazwać psa Nieprzydatny. Uznała, że będzie wyglądał bardzo wytwornie w czerwonej obróżce.

Kupiła mu ją w sklepie Larssona, razem z pięciokilowym workiem karmy dla szczeniaków, smyczą, plastikowym naczyniem z dwiema miseczkami i poduszką w kwiatki, która miała posłużyć za psie posłanie.

Wył w samochodzie przez cały czas, który spędziła w sklepie. Wyjrzała raz i zobaczyła, jak stoi oparty przednimi łapami o okno i patrzy na nią z wyrzutem i grozą w wielkich brązowych oczach. W chwili, gdy usiadła za kierownicą, wdrapał jej się na kolana.

Po krótkiej walce pozwoliła mu tam zostać.



- Nie przydasz mi się kompletnie na nic - powiedziała, kiedy szczeniak westchnął z zadowoleniem. - Już teraz to wiem. I wiem, w czym tkwi problem. Kiedy byłam mała, bardzo chciałam mieć psa. Ale to było wykluczone. Psie kłaki w salonie i pchły w dywanie. Zresztą od chwili, gdy skończyłam osiem lat, byłam zawsze w drodze. Pies nie wchodził w rachubę.

Głaskała go jedną ręką, zadowolona z obecności ciepłego kłębuszka kolanach.

- Chodzi o to, że zostanę tu jeszcze tylko przez miesiąc, dwa, więc nie możemy sobie pozwolić na bliski związek. Co nie oznacza, że nie możemy być przyjaciółmi - ciągnęła, kiedy Nieprzydatny uniósł głowę, dziwiąc się jej zmarszczonym brwiom, i spojrzał żałośnie. -

Chcę przez to powiedzieć że nie zaszkodzi nam z pewnością trochę serdeczności, szacunku, nawet pewna dawka wzajemnej radości. Musimy mieć jednak świadomość, że będzie to...

Pies przytulił się jej do piersi i polizał w brodę.

- Cholera...

Kiedy skręcała na drogę do domu, była już zakochana i wymyślała sobie od idiotek.

Humoru nie poprawił jej widok Tuckera siedzącego na schodkach werandy z butelką wina i bukietem żółtych róż na kolanach.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

- Czy ty nigdy nie pracujesz? - zapytała Caroline, próbując wyjąć z samochodu szczeniaka, torebkę i część zakupów. - Unikam wysiłku. - Tucker odłożył róże i wstał bez po-

śpiechu. - Co tam masz, Caro?

- Nazywam to psem.

Zachichotał i podszedł do miejsca, gdzie wcisnęła samochód, między ścianą domu a oldsmobilem rozmiarów niedużego jachtu.

- Zabawny gość. - Potar mosił szczeniaka po głowie, po czym zerknął na tylne siedzenie BMW. - Potrzebujesz pomocy?

Zdmuchnęła włosy opadające jej na oczy.

- A jak sądzisz?

- Sądzę, że cieszy cię mój widok. - Korzystając z tego, że ma zajęte ręce, pocałował ją w usta. - Choć wolałabyś, żeby tak nie było. Zanieś tego obywatela do domu. Ja przytargam resztę.

Posłuchała, głównie dlatego, żeby sprawdzić, czy potrafi zrobić rękoma coś więcej niż podnieść

kobiecie ciśnienie. Usiadła na stopniach werandy i próbowała założyć psu obrózkę.

- Wygląda na to, że zdobyłaś wszystkie akcesoria - zauważył Tucker. Wyciągnął

worek z karmą i zarzucił go sobie na plecy. Caroline uchwyciła interesującą grę mięśni ramion. Potem natknął się na kwiecistą poduszkę. - A to co?

- Musi na czymś spać.

Na twoim łóżku, pomyślał Tucker i uśmiechnął się.

- A więc... - Złożył wszystko na werandzie i usiadł przy niej. - To szczeniak Fullerów?

- Tak. - Psiak zszedł jej z kolan, żeby obwąchać rękę Tuckera. Caroline czuła zapach róż, ale postanowiła, że nie da się nimi oczarować, nie zapyta o nie, nie będzie nawet na nie patrzeć.

- Hej, chłopie! - Tucker podrapał psa we wrażliwe miejsce i Nieprzydatny zaczął

uderzać rytmicznie tylną łapą w deski werandy. Minę miał rozanieloną. - Dobry pies, tak, dobry pies. Jak się nazywa?

- Nieprzydatny - mruknęła Caroline, gdy szczeniak - jej szczeniak! rozciągnął się z zachwytem na kolanach Tuckera. - Nie przyda mi się kompletnie na nic. Jako pies obronny jest do niczego.

Tucker zmarszczył brwi.

- Pies obronny, he? - Przewrócił psa na grzbiet. - No, bracie, pokaż zęby. -

Nieprzydatny posłusznie zaczął żuć jego kciuk. - No, urosną, i to wkrótce. Cała reszta też. Za parę miesięcy będzie olbrzymem.

- Za parę miesięcy będę w Europie - powiedziała. - Może nawet wcześniej. Nie wiem, czy we wrześniu nie będę musiała podpisać kontraktu. To oznacza, że w sierpniu powinnam być w Waszyngtonie, żeby zaczął próby.

- Będiesz musiała podpisać? Nie chciała ująć tego w ten sposób.

- Jest angaż - powiedziała, pomijając resztę. - Ale mam nadzieję, że uda mi się znaleźć dom dla szczeniaka, zanim wyjadę.

Tucker spojrzał na nią spokojnym, odrobinę kpiącym wzrokiem. Ma taki sposób patrzenia, pomyślała, który wyśmiewa wszelkie nonsensy i obnaża nagą prawdę.

- Mogłabyś chyba wziąć psa ze sobą. - Jego głos był niemal szeptem w gorącym, nieruchomym powietrzu. - Jesteś przecież grubą rybą, prawda?

Musiała odwrócić wzrok, ale nie zrobiła tego dość szybko. Dostrzegł w jej oczach to, co ukrywała

nawet przed sobą.

- Tournée to skomplikowana sprawa - powiedziała. Nie dał się zbyć.

- Lubisz to?

- To część mojej pracy. - Próbowała schwytać szczeniaka, który zszedł z kolan Tuckera i wybrał się na wyprawę rozpoznawczą. - On może się zgubić.

- Po prostu obwąchuje terytorium. Nie odpowiedziałaś mi, Caroline. Lubisz to?

- To nie jest kwestia lubienia. Dawanie koncertów wymaga podróżowania. - Lotniska, miasta, hotele, próby, sale koncertowe, lotniska. Poczula skurcz w żołądku, mały twardy węzełek w brzuchu. Wiedziała, że musi go rozluźnić, jeżeli nie chce powitać pana Wrzoda.

Kiedy mężczyźni rzadko się zdarza być spiętym, łatwo mu u kogoś rozpoznać takie symptomy. Swobodnym ruchem położył jej dłoń na karku i zaczął masować.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie wpadają w nałóg robienia czegoś, co ich w ogóle nie obchodzi.

- Nie powiedziałam...

- Oczywiście, że tak. Nie powiedziałaś: „Och, Tuck, tego się nie da z niczym porównać. Nie ma jak wyjazd do Londynu jednego dnia, do Paryża następnego, potem Wiedeń, może Wenecja”. Zawsze chciałem zobaczyć te miejsca. Ale z tego, co mówisz, nie wydaje się, żeby to była jakaś specjalna frajda.

Zobaczyć? pomyślała. Co ona naprawdę widziała między wywiadami, próbami, koncertami i pakowaniem walizek?

- Są jeszcze ludzie na świecie, dla których frajda nie jest życiową ambicją - -

Usłyszała własny afektowany głos i skrzywiła się z niesmakiem.

- Wielka szkoda. - Rozparł się wygodnie i zapalił papierosa. - Widzisz tego szczańca?

Chodzi sobie i wacha, szczęśliwy jak żaba, która najadła się much. Będzie podlewał twój trawnik, gonił za swoim ogonem, jeżeli uzna to za zabawne, potem utnie sobie małą drzemkę.

Zawsze uważałem, że psy wynalazły najlepszy sposób na życie.

Uśmiechnęła się mimo woli.

- Powiedz mi tylko, kiedy będziesz chciał podlać mój trawnik. Ale Tucker nie odwzajemnił uśmiechu. Przez chwilę przyglądał się rozżarzonej końcówce papierosa, potem rzucił jej jedno ze swoich spokojnych, przenikliwych spojrzeń.

- Pytałem doktora Shaysa o te tabletki, które mi dałaś. Percodan? Powiedział, że to petarda. Zastanawiam się, dlaczego je bierzesz.

Zesztywniała. Sposób, w jaki się kuliła, przypomniał mu jeżozwierza wysuwającego kolce w zetknięciu ze wszystkim, co mogło okazać się niebezpieczne.

- Nie twój interes. Dotknął jej policzka.

- Caroline, troszczę się o ciebie. Był świadomy, oboje byli świadomi, faktu, że mówił to tuzinom kobiet.

I oboje zdawali sobie sprawę, choć było to niepokojące, że tym razem słowa mają inne znaczenie.

- Czasem boli mnie głowa - powiedziała, zła, że zajmuje stanowisko obronne.

- Jak często?

- Co to jest? Badanie lekarskie? Mnóstwo ludzi cierpi na bóle głowy, zwłaszcza ci, którzy nie spędzają życia w bujanym fotelu.

- Osobiście preferuję dobry hamak - powiedział spokojnie. - Ale rozmawialiśmy o tobie.

Oczy miała chłodne, bez wyrazu.

- Odczep się. Tucker. Normalnie pewnie by to zrobił. Nie należał do mężczyzn, którzy pchają się tam, gdzie mogą dostać po łapach.

- Jakoś nie mogę siedzieć spokojnie i myśleć, że ty cierpisz.

- Nie cierpię. - Ale ból głowy zbliżał się nieubłaganie jak rozpędzony pociąg.

- Ale martwisz się.

- Martwię się - powtórzyła te słowa dwukrotnie, raz za razem, i nagle opuściła głowę na kolana i wybuchnęła śmiechem. Nuta hysterii w głowie sprawiła, że pies usiadł u jej nóg i zawył. - Och, czym miałabym się martwić? Przecież nie tym, że jakiś maniak zarzyna kobiety i wrzuca je do mojego stawu. I nie tym, że Austin Hatinger jest na wolności i w każdej chwili może wpaść na pomysł, by tu wrócić i znów powybić mi szyby. Z pewnością nie pozbawia mnie snu fakt, że spróbuje wywiercić parę dziur w tobie.

- W zupełności wystarczą mi te, które już mam. Nie szukam guza. - Głaskał ją delikatnie po plecach. - My, Longstreetowie, spadamy zawsze na cztery łapy.

- O, to nawet widać. Spadacie, ale z podbitym okiem i porachowanymi żebrami.

Tucker zmarszczył się z niezadowoleniem. Osobiście był zdania, że jego oko wygląda już całkiem

całkiem.

- Do przyszłego tygodnia siniaki znikną, a Austin znajdzie się znów w więzieniu.

Longstreetowie mają szczęście. Weźmy choćby kuzyna Jeremiasza.

Caroline jęknęła, ale Tucker nie zwrócił na to uwagi.

- Był dobrym znajomym Davy'ego Crocketta. Chłopak z Kentucky, rozumiesz? -

Tucker wpadł w gawędziarski ton. - Walczyli razem podczas wojny o niepodległość.

Jeremiasz był wtedy prawie dzieckiem, ale lubił walczyć. Po wojnie włóczył się trochę po kraju, nie wiedząc, co, do cholery, ze sobą zrobić. Zupełnie nie mógł sobie znaleźć celu w życiu. Kiedy doszły go słuchy o wojnie z Meksykiem, pomyślał, może wybrać się w odwiedzinach do starego przyjaciela Davy'ego i przy okazji ustrzelić paru Meksykanów? Był

jeszcze po tej stronie Luizjany, kiedy jego koń potknął się na króliczej jamie i rzucił

Jeremiasza. Koń złamał nogę, Jeremiasz też. Musiał zastrzelić wierzchowca, co sprawiło mu dużą przykrość, jako że spędzili razem coś 7. osiem lat. Zdarzyło się, że przejeżdżający tamtędy farmer zapakował Jeremiasza na wóz i zawiózł do domu. Farmer miał córkę, jak każdy przyzwoity farmer, i do spółki z tą córką nastawił Jeremiaszowi nogę. Złamanie było skomplikowane i Jeremiasz o mały włos byłby się przejechał na tamten świat, ale po paru tygodniach kuśtykał już po zagrodzie. Zakochał się w córce farmera i dochował gromadki dorodnych dzieci, które wzbogaciły się na bawełnie czy na innym zbożu. Nie o to jednak w tym wypadku chodzi. Chodzi o to, że chociaż Jeremiasz stracił konia i chodził o lasce przez resztę życia, nigdy nie dołączył do Davy'ego. W Alamo.

Odwróciła głowę i z policzkiem przytulonym do kolan patrzyła na niekiedy kończył

opowiadanie, najprawdopodobniej wyssane z palca. Co dziwne - ból głowy ustąpił wraz z ostrzegawczym dławieniem w żołądku.

- A więc - powiedziała - Longstreetowie łamią nogi, żeby uniknąć większych nieszczęść, i na tym polega ich szczęście, tak?

- Tak. Posłuchaj, skarbie, spakuj swojego psa i co ci tam jeszcze trzeba, i przeprowadź

się do Sweetwater na jakiś czas. - Uśmiechnął się, widząc błysk czujności w jej oczach. -

Mamy tuzin sypialni, więc nie musisz zamieszkać w mojej. - Przesunął palcem wzdłuż jej nosa. - Chyba że jesteś gotowa przyznać, że wylądujesz tam prędzej czy później.

- Dziękuję ci za tak wielkoduszną propozycję, ale niestety jestem zmuszona odmówić.

W jego oczach mignął cień zniecierpliwienia.

- Caroline, będziesz tam miała tyle przyzwoitek, ile zechcesz, oraz porządny zamek w każdej sypialni, jeżeli obawiasz się, że spróbuję wdrzeć się do twojego łóżka.

- Jestem pewna, że spróbujesz - powiedziała, ale ze śmiechem. - I nie pochlebiaj sobie.

Naprawdę nie obawiam się, że mogłabym ci ulec. Mimo to muszę tu zostać.

- Nie proponuję ci przecież przeprowadzki na stałe. - Ze zdziwieniem stwierdził, że ta myśl nie przyprawiła go o dreszcz zgrozy. - Zamieszkać u nas, dopóki Austin nie wróci tam, gdzie jest jego miejsce.

- Muszę tu zostać - powtórzyła. - Tucker, aż do tego lata nigdy nie podjęłam samodzielnie żadnej decyzji. Robiłam, co mi kazano, jechałam tam, gdzie mi kupowano bilet, postępowałam tak, jak tego po mnie oczekiwano.

- Opowiedz mi o tym.

- Nie, nie teraz. - Westchnęła przeciągle. - Może kiedy indziej. To jest mój dom, moje miejsce na ziemi i zostanę tu. Moja babcia mieszkała tu przez całe dorosłe życie. Moja matka tu się urodziła, choć wolałaby, żeby o tym nie wspominać. Chcę się upewnić, że jestem McNair na tyle, by przetrwać tu jedno lato. - Uśmiechnęła się, zmieniając nastrój. - Dasz mi te kwiaty czy pozwolisz im zwiędnąć na schodach?

Mógłby przytoczyć jeszcze parę ważkich argumentów, ale dał spokój. Nie zwykł naginać ludzi do swojej woli.

- Ten wiecheć? - Z niewinną miną podniósł róże. Wilgotne waciki, w które owinięta była każda łodyga, pozwoliły zachować kwiatom świeżość. - Chcesz go?

Wzruszyła ramionami.

- Nie chciałabym, żeby się zmarnowały.

- Ja też nie, zważywszy że pojechałem po nie aż do Rosedale. Po to wino też. Na dodatek musiałem pożyczyć od Delii samochód. - Podniósł kwiaty do twarzy i ostentacyjnie wciągnął nosem powietrze. - A z Delią nie ma nic darmo. Powinnaś zobaczyć listę zadań, którą mi wręczyła. Pralnia chemiczna, rynek warzywny, wyprzedaż u Woolwortha, nawet to nie zostało mi oszczędzone. Zrobiłem zator w sklepie z bielizną damską wybierając negliż dla jej siostrzenicy, która urządza przyjęcie zaręczynowe w przyszłym tygodniu. Mam swoje zasady i nie kupuję wytwornej bielizny dla kobiety, z którą nie pozostaję w intymnych stosunkach.

- Bardzo jesteś zasadniczy, Tucker.

- Tak, grunt to zasady. - Położył róże na jej kolanach. Żółte pączki połyskiwały jak krople słońca. - Pomyślałem, że żółte najbardziej do ciebie pasują.

- Są piękne. - Wciągnęła w nozdrza zapach, słodki i mocny. - Chyba powinnam ci podziękować za trud, jaki sobie zadałeś, żeby je dla mnie zdobyć.

- Wolałbym, żebyś mnie pocałowała. - Uśmiechnął się, kiedy zmarszczyła brwi.

Patrzył na nią wsparłszy brodę na dłoni. - Nie zastanawiaj się nad rym, Caroline. Po prostu zrób to. Działa na ból głowy lepiej niż proszek.

Więc z różami na kolanach pochyliła się ku niemu i dotknęła ustami jego warg. Smak pocałunku był równie silny i słodki jak zapach róż. I równie kojący. Trochę oszołomiona chciała się cofnąć, ale przytrzymał jej głowę.

- Jankesi! - mruknął. - Zawsze w pośpiechu. - Zagarnął ustami jej wargi.

Wiedziała, jak powolny, jak głęboki mógłby być ten pocałunek, gdyby na to pozwoliła. Więc westchnęła cichutko i dała się unieść fali.

Nie przestraszyła się nawet wtedy, gdy zacisnął jej palce na karku. Pod dłonią czuła szalone bicie jego serca. Sprawilo jej to przyjemność.

Tym razem to on się odsunął. Nie dotknął jej, jeżeli nie liczyć palców na karku. Nie dotknął jej, jeżeli nie liczyć palców na karku. Nie dotknął jej. Nie śmiał. Wiedział, że jeżeli to zrobi, nie będzie w stanie się opanować.

Coś tutaj było cholernie nie w porządku. Tucker wiedział, że musi to sobie dobrze przemyśleć.

- Nie sądzę, żebyś zaprosiła mnie do środka?

- Nie - powiedziała, i głęboko odetchnęła. - Jeszcze nie teraz.

- Więc pojedę do domu. - Po krótkiej wewnętrznej walce między „jechać” a „zostać”, wstał. - Obiecałem kuzynce Lulu partyjkę warcabów. Ona oszukuje. - Uśmiechnął się szeroko. - Ja też, tylko jestem szybszy.

- Dziękuję za kwiaty. I za wino.

Tucker przekroczył szczeniaka, który tarzał się pod schodami. Ponieważ między oldsmobile'em Delii a BMW zostało zaledwie kilka centymetrów, wsiadł od strony pasażera.

Nacisnął starter i otworzył okno.

- Wsadź to wino do lodówki, kochanie. Wrócę.

Patrząc, jak wyjeżdża tyłem z jej podjazdu, Caroline zastanawiała się, dlaczego to krótkie zdanie zabrzmiało jak groźba.

Josie i Crystal siedziały przy swoim ulubionym stoliku w „Chat'N Chew”. Pretekstem spotkania był

obiad, ale ponieważ obie się odchudzały, był to kiepski pretekst. Tak naprawdę chodziło o plotki.

Josie zerknęła bez większego zainteresowania na swoją sałatkę z kurczęcia. Miała ochotę na gruby stek i furę ślicznych tłustych frytek. Ale martwiła się o swoje ciało. Miała już

trzydziestkę z hakiem i z niepokojem wypatrywała groźących jej obwisłości i zwiotczeń.

Jej mama utrzymała szczupłą sylwetkę aż do chwili, gdy padła martwa w swoje róże.

Josie postanowiła, że będzie tak szczupła, jak się da.

Od dnia, kiedy uświadomiła sobie, że jej matka różni się zasadniczo od jej ojca, Josie znajdowała się w ciągłej rozterce. Choć czuła się z tego powodu winna, że mogła oprzeć się pragnieniu, by być równie piękna jak matka, piękniejsza. Równie pożądana przez mężczyzn.

Bardziej pożądana.

Nigdy nie zdołała przejąć spokojnej godności matki i poniosła sromotną klęskę w pierwszym małżeństwie, więc postanowiła naśladować odważny styl ojca. Czuła, że do niej pasuje: wygląd kobiety fatalnej i odrobina wulgarności. Już za młodu dopasowała elementy układanki pod tytułem „Josie Longstreet”. Teraz należało ją tylko scementować.

Podczas gdy Josie rozgrzebywała widelcem sałatkę z kurczęcia. Crystal rozprawiała się ze swoim tuńczykiem w pomidorze. Rytmicznie machając widelcem, ani na chwilę nie przestawała mówić. Josie włączała się i wyłączała, jak to robiła przez całe życie.

Lubiła Crystal, lubiła ją od czasu, gdy podjęły uroczyste postanowienie, że zostaną najlepszymi przyjaciółkami. Miały wtedy po siedem lat, uprzywilejowaną pozycję społeczną i nie wiedziały, jak różnie ułoży im się życie. Josie poszła swoją drogą: debiutanckie bale i pierwsze, stosowne małżeństwo, Crystal - swoją. Po tym jak ojciec prawnik uciekł w nieznanym kierunku ze swoją sekretarką, przypadła jej w udziale ciężka praca i nieudane małżeństwo, które po drugim poronieniu zakończyło się rozwodem.

Ale pozostały przyjaciółkami. Za każdym powrotem do Innocence Josie odnawiała więzy łączące ją z Crystal. Była na tyle sentymentalna, by pragnąć dziecinnej przyjaźni w dorosłym życiu. I cieszyło ją, że się tak ładnie z Crystal uzupełniają. Crystal była drobna i zaokrąglona, Josie wysoka i szczupła. Crystal, mając jasną skórę obsypaną piegami, wydała majątek na reklamowane środki, by w końcu zaakceptować je jako cechę charakterystyczną.

Nauczyła się dbać o cerę w Szkole Zdrowia i Urody Madame Aleksandry, którą ukończyła z trzecią lokatą i miała dyplom na potwierdzenie tego faktu.

W efekcie jej mlecznobiała karnacja stanowiła idealne dopełnienie cygańskiej twarzy Josie. Crystal zmieniała uczesanie co parę miesięcy, reklamując w ten sposób swoje fryzjerskie umiejętności. Obecnie miała włosy w kolorze sherry, uczesane w wysoki kok.

Twierdziła z uporem, że koki znów stają się modne.



- I kiedy Bea robiła paznokcie Nancy Koons, ta Justine zaczęła gadać, że Willi jej powiedział, że federalny podejrzewa jakiegoś czarnego o te wszystkie morderstwa. Że wiedzą o tym ze sposobu, w jaki dziewczyny zostały zamordowane, i że znaleźli jakiś włos publiczny.

- Crystal dokopała się już niemal do dna pomidora. - Ja tam nie wiem, czy to był czarny, czy nieczarny, ale uważam, że nie powinna tego mówić przy Bei. Bea jest czarna jak smoła.

Zrobiłam się czerwona ze wstydu, ale Bea zapytała tylko Nancy, jakiej długości przyprawić jej paznokcie. Josie gryzła słomkę.

- Justine jest tak zapatrzona w Willa, że gdyby jej powiedział, że żaby znoszą złote jaja, łowiłaby je w strumieniu Little Hope.

- To żadne wytłumaczenie - orzekła Crystal. - Wszyscy wiemy, że to pewnie jakiś kolorowy, ale nigdy tego nie powiem przy Bei. Rany, Bea jest moją najlepszą manikiurzystką.

Więc szarpnęłam Justine porządnie za włosy a kiedy syknęła, powiedziałam słodziutko: „Och, skarbie, czy to bolało? Strasznie mi przykro. Bardzo się denerwuję, kiedy słucham o tych morderstwach. Dobrze, że nie drasnęłam cię w ucho przy stryżeniu. Draśnięcie ucha krwawi bardziej niż zarżnięta świnia”. - Crystal uśmiechnęła się. - To ją uciszyło.

- Może poproszę dzisiaj Willy'ego, żeby odwiózł mnie do domu. - Josie odrzuciła grzywę włosów. - To da Justine prawdziwy powód do utyskiwania.

Krótki śmiech Crystal zabrzmiał jak ptasi krzyk.

- Och, Josie. Ty to jesteś! - Drzwi restauracji otworzyły się i Crystal pobiegła wzrokiem w tamtą stronę. - Darleen Talbot z dzieckiem. - Parsknęła pogardliwie i wciągnęła przez słomkę resztę coli. - Zawsze powtarzam, że hołota hołocie nierówna.

Josie podniosła wzrok, kiedy Darleen przeszła obok ich stolika.

- Billy T. Bonny, co?

- Skoro mowa o hołocie - Crystal pasjami to lubiła - widziałam go pod tylnymi drzwiami Darleen z dziesięć minut po tym, jak Junior wyszedł frontowymi. Wszystko, co miała na sobie, to koronkowy różowy negliż. Widziałam ich jak na dłoni z kuchennego okna Susie Truesdale. Stałam przy tym oknie i myłam Susie głowę w zlewie. No, ta kobieta ma idealnie czystą kuchnię, mimo tej sfory dzieciaków. Gdyby jej najmłodszy nie rozchorował

się na żołądek. Susie przyszłaby jak co tydzień na czesanie i nic bym nie wiedziała.

- Co powiedziała Susie?

- No cóż, głowę miała w zlewie, ale kiedy ją czesałam, napomknęła o Darleen. Z jej miny poznałam, że wie, ale powiedziała, że nigdy nie zwraca uwagi na to, co się dzieje u sąsiadów.

- A więc Darleen zdradza Juniora z Billym T. - Josie uśmiechnęła się ze słomką w zębach. W jej oczach pojawił się nieobecny wyraz, dobrze znany Crystal.

- Myślisz, Josie.

- Właśnie. Myślę, że Junior ma miłą twarz, choć jest trochę przymulony. Naprawdę go lubię.

Crystal dojadła resztki pomidora.

- Z tego co wiem, jest jedynym w tym mieście mężczyzną między dwudziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, któremu odpuściłaś.

- Potrafię lubić mężczyznę i nie iść z nim do łóżka. - Josie przyjrzała się słomce.

Czubek ubrudzony był szminką. - Ktoś powinien powiedzieć mu, co się dzieje w jego własnym domu, kiedy go tam nie ma.

- No, nie wiem.

- Ale ja wiem, i to wystarczy. - Sięgnęła do torebki po kartkę i długopis - -

Zastanówmy się. Napiszę kartkę, a ty mu ją zaniesiesz.

- Ja? - pisnęła Crystal i rozejrzała się płochliwie. - Dlaczego ja?

- Ponieważ wszyscy wiedzą, że w drodze do domu jeździsz na stację, żeby kupić sobie Milky Way.

- No tak, ale...

- Więc kiedy będziesz w sklepie - ciągnęła Josie, pisząc zawzięcie - musisz tylko odwrócić uwagę Juniora, kiedy otworzy kasę, i podrzucić mu kartkę. Chleb z masłem.

- Wiesz, że się pocę, kiedy jestem zdenerwowana. - Już czuła pieczenie pod pachami.

- Dwie sekundy i po bólu. - Zobaczyła, że Crystal się waha, więc wytoczyła największą armatę. - Mówiłam ci już, co Darleen opowiada. Że farba, którą jej nałożyłaś, wyblakła, i że odtąd będzie sama robiła sobie kolor? Powiedziała, że to kryminał, że każesz sobie płacić siedemnaście pięćdziesiąt za coś, co kosztuje w sklepie pięć dolców.

- Ta mała suka miała czelność powiedzieć coś takiego przy moich klientkach. - Crystal była wściekła. - Ma włosy jak siano. Mówiłam jej raz, mówiłam tysiąc razy, że musi farbować je w zakładzie albo zacząć wyłazić garściami. - Parsknęła gniewnie. - Czego jej szczerze życzę.

Josie uśmiechnęła się i pomachała kartką. Crystal pochwyciła ją błyskawicznie.

- Spójrz tylko na nią - ciągnęła. - Siedzi i maluje sobie usta, a dzieciak packa się w lodach.

Niedbałym ruchem Josie odwróciła głowę. Zaczęła już mówić, że samej Darleen przydałoby się też trochę lodów malinowych, ale urwała w pół słowa. Pochwyciła błysk złotej oprawki szminki.

- Dziwne - szepnęła.

- Co?

- Nic. Zaraz wracam. - Josie wstała i podeszła wolno do stolika Darleen. - Cześć, Darleen. Ten twój mały rośnie jak na drożdżach.

- Ma osiem miesięcy. - Zdziwiona i mile połączona zainteresowaniem Josie, Darleen odłożyła szminkę na stolik i wytarła buzię dziecka papierową serwetką. Rozeźlony Scooter ryknął płaczem. Podczas gdy Darleen próbowała go przekrzyczeć, Josie przyglądała się szmince.

Nie pomyliła się. Kupiła tę szminkę w Jackson w sklepie Elizabeth Arden. Złota oprawka przyciągnęła jej wzrok, no i ten niezwykle odcień czerwieni.

Jej własna zniknęła, kamień w wodę. Zgubiła ją w dniu, w którym odwiedziła wraz z Teddym Rubensteinem salę do balsamowania w zakładzie Palmera. Wróciła do domu i wysiadając z samochodu upuściła torebkę. Wszystko się wysypało.

A następnego dnia Tucker rozbił samochód, ponieważ ktoś zrobił dziury w jakichś linkach.

- Ładną masz szminkę, Darleen. Do twarzy ci w niej.

Oczy Josie rozbłysły jak oczy myśliwego na tropie zwierzyny, ale Darleen tego nie zauważyła.

- Uważam, że czerwona szminka jest seksowna. Mężczyźni lubią widzieć usta kobiety.

- Sama lubię czerwone szminki, a nigdy nie widziałam takiego odcienia. Gdzie ją kupiłaś?

- Och! - Darleen zaczerwieniła się lekko, ale zainteresowanie Josie bardzo jej pochlebiło. Podniosła szminkę i obróciła ją w palcach. - To prezent.

Josie uśmiechnęła się jowialnie.

- O rany, uwielbiam prezenty. A ty?

Odwróciła się, nie czekając na odpowiedź, i wyszła z restauracji mijając bez słowa osłupiałą Crystal.

Piętnaście minut później Tucker, który odpoczywał po trzech ciężkich partiach warcabów, został obudzony brutalnie przez Josie i zalany potokiem słów.

Mrużąc oczy przed ostatnimi promieniami słońca, próbował wyłapać sens opowieści.

- Zwolnij, Josie, na litość boską, jeszcze się nawet nie obudziłem.

- Więc się obudź, do cholery! - Potrząsnęła nim tak, że omal nie zleciał z hamaka. -

Mówię ci, że to Billy T. Bonny babrał przy twoim samochodzie i chcę wiedzieć, co masz zamiar z tym zrobić.

- Twierdzisz, że użył szminki, by przekłuć linki w moich przewodach hydraulicznych?

- Nie, baranie! - Wzięła głęboki oddech i zaczęła od początku.

- Słonko - powiedział Tucker, kiedy skończyła. - Fakt, że Darleen ma taką samą szminkę...

- Tucker! - Cierpliwość nie należała do zalet Josie. Uderzyła brata pięścią w ramię. -

Kobieta pozna swoją szminkę, tak samo jak pozna swoje dziecko.

Roztarł sobie ramię.

- Mogłaś ją zgubić wszędzie.

- Nie zgubiłam jej wszędzie, tylko upuściłam na naszym własnym podjeździe.

Używałam jej na randce z Teddym, a następnego ranka już śladu po niej nie było. Po lusterku w perłowej ramce też nie. - Gniew zabłysnął w jej oczach. - Ma je pewnie ta suka.

Tucker wstał z westchnieniem. Wiedział, że na drzemkę nie ma już co liczyć. Nie był zły, choć teoria Josie wydała mu się mocno naciągana.

- Dokąd idziesz?

- Muszę opowiedzieć to Burke'owi.

Josie oparła ręce na biodrach.

- Tata poszedłby tam i wsadził Billy'emu T. lufę karabinu w tyłek.

Tucker odwrócił się, i choć jego twarz pozostała spokojna, oczy błysnęły złowrogo.

- Nie jestem tatą, Josie.

Pożałowała natychmiast swych słów i pobiegła, żeby go uściskać.

- Kochany, to podle z mojej strony. Wcale tak nie myślałam, naprawdę. Ale jestem taka strasznie zła.

- Wiem. - Tucker oddał jej uścisk. - Pozwól, że załatwię to po swojemu. - Odsunął się, żeby ją pocałować. - Następnym razem gdy będę w Jackson, kupię ci nową szminkę.

- Ognista Czerwień.

- Wezmę twój samochód.

- Okay. Tuck? - Odwrócił się i zobaczył, że Josie się uśmiecha. - Może Junior odstrzeli mu jaja?

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tucker pojechał do biura szeryfa, ale zastał tam tylko Barbarę Hopkins, dyspozytorkę na pół etatu, i jej sześciolatniego Marka, który bawił się w złoczyńcę.

- Cześć, Tuck. - Barbara przybrała dwadzieścia pięć kilogramów od dnia, w którym ukończyła wraz z Tuckerem szkołę średnią imienia Jeffersona Davisa. Teraz poprawiła się na krześle i odłożyła książkę. Jej okrągła, pogodna twarz była cała w uśmiechach. - Trochę się tu ostatnio dzieje, no nie?

- Na to wygląda. - Tucker zawsze lubił Barbarę, która jako dziewiętnastolatka poślubiła Lou Hopkinsa i od tamtego czasu rodziła nieprzerwanie dzieci. Jednego chłopca co dwa lata. Po wydaniu na świat Marka postawiła Lou ultimatum - albo zawiesi fujarkę na kołku albo zaweksłuje się na kanapę w salonie.

- Gdzie reszta potomstwa, Barbaro?

- Rozrabia na mieście.

Tucker wszedł do celi, żeby spojrzeć na jasnowłosego, umorusanego Marka.

- Co słyszeć, chłopie?

- Zabiję ich. - Mark uśmiechnął się złowieszczo i uczepił kraty. - Zabiję ich wszystkich. Kraty mnie nie powstrzymają.

- Nie wątpię. Masz tu niebezpiecznego kryminalistę, Barbaro.

- Jakbym o tym nie wiedziała. Wyszłam na chwilę z domu dzisiaj rano. a on podkręcił

ogrzewanie w akwarium i ugotował wszystkie rybki. Mam w swoich rękach psychopatycznego mordercę ryb. - Zagłębiła rękę w paczce kulek serowych. - W czym mogę ci pomóc, Tucker?

- Szukam Burke'a.

- Zebrał paru chłopaków i razem z Carlem pojechali tropić Austina Hatingera.

Przyleciał nawet szeryf okręgowy. Własnym helikopterem. Mamy tu regularne polowanie na zbiega. Nie chodzi o to, że postrzelał trochę do ciebie i wybił okna tej Caroline Waverly -

oznajmiła z głębokim zadowoleniem. - To pestka. Ale nabił policjantowi z Greenville potężnego guza, a z tego drugiego zrobił konkursowego idiotę. Teraz Austin jest zbiegłym zbrodniarzem. Poważnym zagrożeniem. - FBI?

- Agent specjalny Garniturek? Zostawił sprawę w rękach miejscowej policji. Pojechał

z nimi dla formy, tak naprawdę interesują go tylko przesłuchania. - Wzięła następną garść kulek serowych. - Wpadła mi w ręce jedna z tych jego list. Wygląda na to, że chce gadać z Vernonem Hatingerem, Tobym Marchem, Darleen Talbot i Nancy Koons. - Barbara zlizwała sól z palców. - Z tobą też. Tuck.

- Aha, spodziewałem się, że odnowi naszą znajomość. Możesz połączyć się z Burke'em z tej maszyny? - Wskazał radio. - Chciałbym z nim porozmawiać, jeżeli znalazłby wolną chwilę.

- Jasne. Wzięli krótkofalówki. - Barbara otarła poplamione na pomarańczowo palce, przekręciła parę gałek, odchrząknęła i włączyła mikrofon. - Baza wzywa jedynekę. Baza wzywa jedynekę. Over. - Zakryła dłonią mikrofon i uśmiechnęła się do Tuckera. - Jed Larsson kazał nam używać kodów Srebrny Lis i Wielka Niedźwiedzica. Dowcipas. - Potrząsnęła głową i pochyliła się znów nad mikrofonem. - Baza wzywa jedynekę. Burke, złotko, jesteś tam?

- Jedyńska do bazy. Przepraszam, Barbaro, miałem zajęte ręce. Over.

- Mam tu Tuckera. Mówi, że to coś ważnego.

- Dawaj go.

Tucker pochylił się nad mikrofonem.

- Burke, muszę z tobą pogadać.

Rozległy się trzaski, czyjeś przekleństwo, znowu trzaski.

- Jestem zajęty. Tucker, ale przyjedź. Siedzimy na skrzyżowaniu Dog Street Road i Lone Tree. Mamy tu blokadę. Over.

- Zaraz tam będę. - Spojrzał niepewnie na mikrofon. - Aha, już wiem. Over and out.

Barbara pokazała mu zęby w uśmiechu.

- Na twoim miejscu wzięłabym karabin i trzymała go w pogotowiu. Austin zdobył dziś rano dwie trzydziestkiósemki.

- Dzięki, Barbaro.

Tucker był już w drzwiach, kiedy Mark wrzasnął radośnie: - Zabiję was. Zabiję was wszystkich. I nie miał na myśli rybek w akwarium.

Zauważył dwa helikoptery krążące nad drogą z miasta. Na polu starego Stokeya stała tyraliera mężczyzn, następna grupa przeszukiwała farmę hodowlaną zębaczy Charlie'ego O'Hary. Wszyscy byli uzbrojeni.

Tucker przypomniał sobie nieszczęsne poszukiwania Francie. Jej martwa, biała twarz wypłynęła z zakamarków jego podświadomości, zanim zdążył uruchomić mechanizm obronny. Zaklął brzydki i sięgnął na oślep po kasetę. Ku jego ogromnej uldze z głośnika nie popłynął głos Tammy'ego Wynette ani Loretty Lynn, ulubieńców Josie, ale Roya Orbisona.

Żalodne, płaczliwe dźwięki „Crying” podziały na niego kojąco. Ci faceci nie szukają żadnego ciała, powiedział sobie. Urządzają polowanie na idiotę. Idiotę z parą trzydziestekósemek.

Droga była płaska i prosta. Dostrzegł barykadę na kilka kilometrów naprzód. Przyszło mu do głowy, że gdyby Austin jechał tą drogą, miałby ten sam piękny widok. Drewniane, jaskrawopomarańczowe blokady połyskiwały w zachodzącym słońcu. Za nimi stały dwa wozy policyjne zwrócone do siebie nosami, jak dwa obwąchujące się czarno - białe psy.

Na poboczu widać było nowiuteńkiego dodge'a Larssona (zębacz i sklep przynosiły Jedowi niezły dochód), półciężarówkę Sonny'ego Talbota z reflektorami jak wielkie żółte ślepia, terenowiec Burke'a i chevroleta Lou Hopkinsa.

Wóz Lou był ubłocony jak stary pies gończy. Ktoś napisał „Umyj mnie” na tylnej szybie.

Kiedy Tucker zwolnił, przed barykadę wybiegło dwóch policjantów z karabinami gotowymi do strzału. Choć nie wątpił, że najpierw zadają pytania, a dopiero potem strzelają, ulżyło mu, kiedy Burke ich odwołał.

- Prowadzisz tu prawdziwą operację wojskową - zauważył Tucker wysiadając z wozu.

- Szeryf okręgowy zionie ogniem - mruknął Burke. - Nie jest zadowolony, że federalny był świadkiem, jak jego chłopcy schrzanili robotę. Uważa, że Austin jest w połowie drogi do Meksyku, ale nie chce się do tego przyznać.

Tucker wyjął paczkę papierosów. Poczęstował Burke'a i przez chwile palili w milczeniu.

- A co ty o tym myślisz?

Burke wydmuchał powoli dym. Miał za sobą cholernie długi dzień i cieszył się, że może porozmawiać z Tuckerem.

- Mnie się zdaje, że ktoś, kto zna bagna, może się na nich ukrywać bardzo długo.

Zwłaszcza gdy ma po temu powód. - Spojrzał uważnie na Tuckera. - Przyślemy ci do Sweetwater paru mundurowych.

- Wypchaj się.

- Muszę to zrobić, Tuck. Daj spokój. - Położył rękę na ramieniu Tuckera. - Masz w domu kobiety.

Tucker pobiegł wzrokiem do miejsca, gdzie płaskie pole przechodziło w las.

- Ale się wpackowałem.

- Można było gorzej.

Jakaś nuta w głosie Burke'a zaniepokoiła Tuckera.

- Coś cię gniecie?

- Austin to nie dość?

- Znamy się od dawna.

Burke spojrzał ponad ramieniem Tuckera na grupę mężczyzn, i postąpił parę kroków w stronę lasu.

- Był u nas wczoraj Bobby Lee.

- Też mi nowina!

Burke spojrzał na Tuckera boleściwie.

- Chce się ożenić z Marvella - Zebrał się na odwagę i poprosił mnie o rozmowę na osobności. Poszliśmy na tylną werandę. Cholera, Tuck, przestraszył mnie jak diabli. Bałem się, że zaraz powie, że ona jest w ciąży i będę go musiał zabić albo co? - Zobaczył minę Tuckera i uśmiechnął się blado.  
- Tak, tak, wiem. Ale to zupełnie co innego, kiedy chodzi o twoją małą dziewczynkę. W każdym razie  
- . - Wydmuchał chmurę dymu - ... nie jest w ciąży.

Zdaje się, że dzisiejsza młodzież wie więcej o zapobieganiu niż my swego czasu. Pamiętam, jak przed decydującą randką z Susie pojechałem do Greenville kupić prezerwatywy. • -

Uśmiechnął się szerzej. - My byliśmy na tylnym siedzeniu chevroleta taty, a one w schowku na przednim. - Uśmiech znikł. - Gdybym o nich pamiętał, nie mielibyśmy Marvelli.

- Co mu powiedziałaś. Burke?

- Cholera, a co miałem powiedzieć? - Burke położył dłoń na kolbie rewolweru. - Jest dorosła. Chce go, koniec, kropka. Bobby Lee ma przyzwoitą pracę u Talbota i jest dobrym chłopcem. Kochają do szaleństwa i krzywdy jej nie robi. Ale to mi o mało nie złamało serca.

- Jak Susie to przyjęła?

- Wypłakała parę wiader. - Burke odrzucił niedopałek i rozgniół go butem. - A kiedy Marvella zaczęła mówić o przeprowadzce do Jackson, myślałem, że zatopi dom. Potem popłakały się obie. A potem usiadły i zaczęły mówić o sukniach drухen. Były jeszcze przy temacie, kiedy wychodziłem.

- Starzejemy się, co?

- Taka jest prawda. - Ulżyło mu, kiedy mógł się wygadać przed Tuckerem. - Nie rozpowiadaj o tym



na razie. Dzisiaj wieczorem chcą obwieścić nowinę Fullerom.

- Jesteś w stanie pomyśleć przez chwilę o czymś innym?

- To będzie przyjemność zapomnieć o tym chociaż na chwilę. Tucker oparł się o maskę samochodu Josie i opowiedział historię.

Przywłaszczenia szminki.

- Darleen i Billy T.? - Burke zmarszczył z namysłem czoło. - Nic o tym nie słyszałem.

- Zapytaj Susie.

Burke westchnął i kiwnął głową.

- Ta kobieta potrafi zachować tajemnicę. Chodziła z Tommym trzy miesiące, zanim powiedziała mi, że jest w ciąży. Martwiła się, że będę zły, bo i tak ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Zatrzymała dla siebie rewelacje o Darleen ze względu na Marvelle i Bobby'ego Lee.

- Bezwiednie bawił się kluczami. - Rzecz w tym, że nie mogę pójść do Billy'ego T. tylko na tej podstawie, że Darleen używa takiej samej szminki co Josie.

- Wiem, że masz teraz mnóstwo na głowie, Burke. Pomyślałem tylko, że lepiej ci o tym powiedzieć.

Burke mruknął coś w odpowiedzi. Myślał już tylko o tym, że za chwile zrobi się ciemno, a Austin jakby się pod ziemię zapadł.

- Porozmawiam dzisiaj z Susie. Jeżeli wyjdzie na jaw, że Billy T. odwiedza cichaczem Darleen, postaram się go wybadać.

- Dziękuję ci, stary. - Teraz, kiedy spełnił swój obowiązek, Tucker uznał, że czas przeprowadzić parę badań na własną rękę.

Burke siedział przy kuchennym stole, otępieła po niecałych pięciu godzinach snu.

Wyławiał z mleka płatki kukurydziane i martwił się, że na zbiegłego przestępcę na swoim terenie, znaleźli bowiem buicka przy Cattonseed Road i nikt już nie myślał, że Austin jest w Meksyku. Na domiar złego powstała kwestia, czy musi czy nie musi pożyczyć frak na ślub córki.

Susie rozmawiała przez telefon z Happy Fuller. Wytyczały planu ślubu z energią i przebiegłością generałów opracowujących zasadniczą kampanię.

Zastanawiał się właśnie, ile czasu upłynie, zanim szeryf okręgowy zwali mu się na głowę, kiedy od strony domu Talbotów dobiegły krzyki i potworny rumor. Burke porwał się na równe nogi.

Święty Boże, pomyślał, jak mogłem zapomnieć o Talbotach! Kiedy nadbiegła Susie, Burke przesadzał już płot dzielący podwórka.

- Zabiłeś go! Zabiłeś go! - wrzeszczała Darleen. Stała wciśnięta w kąt zdemolowanej kuchni i targała się za włosy. Dekolt elastycznej kusej piżamki odsłaniał białe podskakujące piersi.

Burke odwrócił z zażenowaniem wzrok i spojrzał na przewrócony stół, resztki kukurydzianej papki i skuloną postać Billy'ego T. Bonny'ego, który leżał twarzą do podłogi w kałuży mleka.

Burke potrząsnął głową i spojrzał na Juniora Talbota stojącego nad Billym T. z żelaznym rondlem w dłoni.

- Mam nadzieję, że go nie zabiłeś, Junior.

- Nie zdaje mi się - Junior odstawił rondel. - Rąbnąłem go tylko raz.

- No, zobaczymy. - Burke pochylił się, a Darleen dalej wrzeszczała i wrywała sobie włosy. Zamknięty w kojcu Scooter sprawdzał, czy nie uda mu się krzykiem zerwać dachu.

- Uszkodziłeś go tylko - powiedział Burke, obserwując potężnego guza, który wyrastał na potylicy Billy'ego T. - Ale trzeba go chyba zawieźć do doktora.

- Pomogę ci.

Burke podniósł na niego wzrok.

- Może powiesz mi, co się tutaj stało, Junior?

- No... - Junior ustawił przewrócone krzesło. - Zapomniałem powiedzieć o czymś Darleen. Kiedy wróciłem, zobaczyłem, że Billy T. zakradł się do kuchni i napastuje moją żonę. - Rzucił Darleen takie spojrzenie, że jej zawrodoło jak nożem uciął. - Prawda, Darleen?

- Ja... - Pociągnęła nosem, przeniosła wzrok z Burke'a na Billy'ego T. i z powrotem na Juniora. - Tak. Ja... On dopadł mnie tak prędko, że nie wiedziałam, co robić. Wtedy wrócił

Junior i...

- Idź sprawdzić co z dzieckiem - powiedział Junior cicho. Z tym jasnym niewzruszonym spokojem naciągnął różowy trykot na jej piersi. - Nie musisz się już obawiać Billy'ego T. Nie będzie cię więcej napastował. Przełknęła ślinę i dwa razy skinęła głową.

- Tak, Juniorze. Wybiegła z kuchni i po chwili wycie dziecka przeszło w spazmatyczne łkania. Junior spojrzał na Billy'ego T. Zaczynał się ruszać.

- Mężczyzna ma prawo chronić swoją własność, prawda, szeryfie? Burke chwycił

Billy'ego T. pod pachy.

- Sądzę, że tak, Juniorze. Pomóż mi zataścić go do samochodu.

Cyr był szczęśliwy. Uważał, że to nieładnie z jego strony, zważywszy że siostra dopiero co spoczęła w grobie, a ojca szuka policja. Ale był szczęśliwy.

Szczęściem było już samo to, że może wyjść z domu, gdzie matka leżała na kanapie, otumaniona jakimiś proszkami doktora Shaysa i szklistym wzrokiem patrzyła w telewizor.

Mógł zostawić za sobą samochód policyjny, który stał przed domem na wypadek, gdyby ojciec zdecydował się wrócić. Mógł pójść do pracy. I to pójść z szykiem.

Maszerował pogwizdując. Nie przerażała go perspektywa piętnastokilometrowej drogi. Zakładał Fundusz Wyzwolenia Cyra Hatingera. Fundusz, który pozwoli mu uciec z Innocence w dniu osiemnastych urodzin.

Cztery lata wydawały się boleśnie, nieskończenie długie, ale już nie takie beznadziejne teraz, kiedy został majstrem do wszystkiego.

Podobał mu się ten tytuł, wyobrażał sobie, jak będzie wydrukowany na takiej samej wizytówce, jaką sprzedawca Biblii z Vicksburga dał matce w kwietniu.

CYRUS HATINGER Majster do wszystkiego

\* \* \*

Żadnej pracy się nie boi.

Tak, proszę pana, Cyrus Hatinger przystąpił do działania. Oszczędzi dość pieniędzy, żeby kupić bilet do Jackson. Może nawet do Nowego Orleanu. Co tam! Pchnie się do Kalifornii, jeżeli zechce.

Nucąc „Kalifornio, oto przybywam”, zszedł z bitej drogi, żeby przeciąć wschodni kraniec pola Toby'ego Marcha. Zastanawiał się, czy Jim maluje u panny Waverly, i czy będzie miał czas zajść do McNairów i powiedzieć mu „cześć”.

Przekroczył strumień Little Hope, który o tej porze roku był zaledwie cuchnącą strużką wody i szedł dalej jego brzegiem w stronę przepustu.

Wryli kiedyś z Jimem swoje imiona w jego betonowej ścianie. A w czasach mniej odległych chłonęli „Playboye”, wykradane przez Cyrusa spod łóżka najstarszego brata.

Nieźle fotki, przypomniał sobie. Dla Cyra, który nigdy przedtem nie widział nagiej kobiety, było to wstrząsające, budzące grozę przeżycie. Jego ptak stwardniał na kamień i tej nocy narzędzie szatana wymknęło się spod kontroli w pierwszym, fascynującym wilgotnym śnie.

A jak zdziwiła się jego mama, kiedy zrobił pranie za nią!

Uśmiechając się leciutko na to wspomnienie, Cyr zsunął się z łagodnego brzegu Little Hope i wszedł do przepustu.

Dłoń zamknęła się na jego ustach, ucinając radosne pogwizdywanie. Nie próbował

krzyczeć, nie drgnął nawet. Znał tę rękę, kształt, nawet zapach. Strach był zbyt wielki, zbyt obezwładniający na krzyk.

- Znalazłem waszą małą kryjówkę - szepnął Austin. - Waszą jaskinię grzechu ze sprośnymi pismami i napisami na ścianach. Przychodźcie tu obciągać sobie druty?

Cyr potrząsnął tylko głową. Jęknął, kiedy Austin cisnął nim o betonową ścianę przepustu. Czekał na uderzenie pasa i zebrał się w sobie, kiedy nagle zrozumiał, że ojciec nie nosi już pasa.

Zabierają pas, kiedy zamykają człowieka w więzieniu, przypomniał sobie. Żeby nie mógł się powiesić.

Przełknął głośno ślinę. Ojciec stał na przygiętych nogach, ponieważ przepust był dla niego za niski. Ale ta pozycja wcale go nie pomniejszała. Wręcz przeciwnie, wydawał się większy, silniejszy. Pochylony, z ugiętymi nogami i rękoma czarnymi od brudu wyglądał jak zwierzę szykujące się do skoku.

Cyr poczuł w gardle gulę strachu i odchrząknął.

- Szukają cię, tato.

- Wiem, że mnie szukają. Ale jeszcze mnie nie znaleźli, no nie?

- Nie.

- A wiesz dlaczego, synu? Ponieważ Bóg jest po mojej stronie. Te antychrysty nigdy mnie nie znajdą. Mamy tu świętą wojnę. - Uśmiechnął się i Cyr poczuł lód w żołądku. -

Wsadzili mnie do więzienia, a tego syna dziwki zostawili na wolności. Była dziwką. Dziwką Babilonu - powiedział miękko. - Sprzedała się, chociaż była moja.

Cyr nie wiedział, o czym ojciec mówi, ale skinął głową.

- Tak.

- Zostaną ukarani. „Poniosą karę za swe grzechy”. - Zaciskał i rozprostowywał palce. -

Oni wszyscy. Aż do ostatniego pokolenia. - Skupił znowu wzrok na Cyrze. - Skąd masz ten rower, chłopcze?

Cyr otworzył już usta, żeby powiedzieć, że należy do Jima, ale przeraził się, że kłamstwo wypali mu język.

- Ktoś mi go pożyczył. - Zaczął się trząść, wiedząc, że nie ma wyboru. - Znalazłem pracę. Pracuję w Sweetwater.

Austin postąpił krok naprzód, oczy mu się zamgliły. Zaciskał i rozprostowywał

rytmicznie pięści.

- Poszedłeś tam? W to gniazdo żmij?

Cyr wiedział, że istnieją gorsze rzeczy niż pas. Istnieją pięści. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Nie wrócę tam, tato. Przysięgam. Myślałem tylko... - Dłoń zamknęła się na jego ustach, dławiąc słowa.

- Nawet mój syn mnie zdradza. Ciało z mego ciała, krew z mej krwi. - Odrzucił Cyra na bok, jak tłumok. Chłopiec uderzył boleśnie łokciami w ścianę, ale nie krzyknął. Przez długą chwilę słychać było tylko ich ciężkie oddechy.

- Wrócisz tam - powiedział w końcu Austin. - Wrócisz i będziesz patrzył. Powiesz mi, co on robi, w którym pokoju śpi. Powiesz mi wszystko, co tam zobaczysz i usłyszysz.

Cyr otarł oczy.

- Tak.

- I przyniesiesz mi jedzenie. Wodę i jedzenie. Będziesz mi je przynosił każdego ranka i wieczora. - Pochylił się nad synem z uśmiechem. Miał nieświeży oddech. Światło padające przez otwór w przepuście uderzyło go w oczy. - Nie powiesz mamie, nie powiesz Vernonowi, nie powiesz nikomu.

- Tak. - Cyr kiwał miarowo głową. - Ale, tato, Vernon mógłby ci pomóc. Mógłby przyjechać ciężarówką i...

Austin chwycił Cyra za ramię.

- Powiedziałem: nikomu. Będą obserwować Vernona. Będą go obserwować dzień i noc, ponieważ wiedzą, że stoi po mojej stronie. Ale ty, tobą nie będą sobie zaprzętać głowy.

Pamiętaj, że będę na ciebie patrzył. Czasem będę tutaj, czasem nie. Ale zawsze będę na ciebie patrzył. I słuchał. Bóg pozwoli mi widzieć, pozwoli mi słyszeć. Jeżeli popełnisz błąd, jego gniew spadnie na ciebie i zetrze cię na proch.

- Przyniosę jedzenie - zadzwonił zębami Cyr. - Obiecuję. Przyniosę. Austin położył

ciężkie ręce na ramionach chłopca.

- Powiesz komuś, żeś mnie widział, a sam Pan Bóg ci nie pomoże.

Dojazd do Sweetwater zajął Cyrowi prawie godzinę. W połowie drogi musiał się zatrzymać i zrzucić śniadanie w rowie. Obmył twarz w cuchnącej wodzie Little Hope. Nogi mu drżały i z trudem pedałował. Co parę minut oglądał się niespokojnie, pewny, że ujrzy ojca, z uśmiechem odpinając

pas, który zabrali mu w więzieniu okręgowym.

Kiedy dotarł do Sweetwater, Tucker siedział na tarasie i przeglądał poranną prasę. Cyr zaparkował rower uważając na każdy swój ruch.

- Dzień dobry, Cyr.

- Panie Tucker! - Jego głos zabrzmiał chropawo i Cyr odchrząknął. - Przepraszam za spóźnienie. Ja...

- Nie masz ustalonych godzin pracy, Cyr. Przychodzisz kiedy chcesz. - Tucker rzucił okiem na sprawozdanie giełdowe i odłożył go na bok.

- Tak, proszę pana. Proszę mi tylko powiedzieć, od czego mam zacząć.

- Nie popędzaj mnie - powiedział Tucker przyjaźnie i podał kawałek bekonu nie tracącemu nadziei Busterowi. - Jadłeś śniadanie?

Cyr pomyślał o tym, co zostawił w przydrożnym rowie.

- Tak, proszę pana.

- Więc chodź na górę. Poczekasz, aż ja skończę swoje. Potem zastanowimy się, co dalej.

Cyr wspiał się niechętnie na trzy kondygnacje schodów, które prowadziły na taras.

Buster podniósł łeb, machnął raz ogonem i puścił bąka.

- Uwielbia towarzystwo - powiedział Tucker sucho. Odłożył katalog Josie na krzesło i uśmiechnął się do chłopca. - Skoro tak się palisz do... Chryste, coś ty sobie zrobił?!

W oczach Cyra błysnęło przerażenie.

- Nic sobie nie zrobiłem!

- Do diabła, chłopcze, masz łokcie pozdzierane do kości. - Ujął Cyra za ramię i odwrócił mu rękę. Krew sączyła się jeszcze, a w rankach tkwiły okruchy żwiru.

- Spadłem z roweru. Tucker przymrużył oczy.

- Vernon ci to zrobił? - Znał Vernona i wiedział, że facet nie wahałby się pobić dziecka.

Jaki ojciec, taki syn.

- Nie, proszę pana. - Cyr odczuł falę ulgi, że w końcu może powiedzieć prawdę. -

Przysięgam, Vernon mnie nie bije. Wpada czasem w złość, schodzę mu wtedy z oczu, i on zapomina. Nie to, co tato... - Urwał, blady z przerażenia. - To nie Vernon. Spadłem z roweru.

Tucker słuchał bełkotliwych wyjaśnień Cyra z uniesionymi brwiami. Nie było sensu przyciskać chłopca ani pogłębiać jego zażenowania zmuszając go, by przyznał, że ojciec i brat używają go w charakterze worka treningowego.

- Idź do Delii i powiedz, żeby cię opatrzyła.

- Nie muszę...

- Chłopie, posłuchaj! - Tucker odchylił się na krześle. - Jednym z przywilejów pracodawcy jest wydawanie rozkazów. Idź do Delii, obmyj się, weź sobie z lodówki coca -

colę. Kiedy wrócisz, powiem ci, co będziesz dzisiaj robił.

- Tak, proszę pana. - Cyr wstał, przygnieciony poczuciem winy. powlókł się do kuchni.

Tucker spoglądał za nim z zatroskaną twarzą. Chłopak wyglądał jak przekreślony przez maszynkę. I nie dziwota. Tucker rzucił Buckerowi jeszcze jeden kawałek bekonu i postanowił, że zajmie Cyra tak, by chłopak nie miał czasu myśleć o swoich kłopotach.

Do południa Tucker i Cyr rozpracowali działanie kosiarki do trawy. Wieść o aferze Talbotów obiegła już miasto i dzięki czerwonej linii między Delią i Arleen dotarła do Sweetwater, kiedy bandaż na głowie Billy'ego T. były jeszcze ciepłe.

Jak dobre, domowe lody, historyjka przekazywana w wielu wariantach została skonsumowana z zadowoleniem. Ale Tuckera interesował tylko jeden jej aspekt.

Junior zastał żonę owiniętą wokół Billy T. Bonny'ego na kuchennym stole. Billy T.

wylądował z guzem na potylicy, ale żadna ze stron nie wysunęła oskarżeń.

Dopóki nie zdarzy się coś, co zepchnie Talbotów na drugi plan, zdarzenie to będzie głównym tematem rozmów w Innocence.

Tucker myślał nad tym przez całe popołudnie, potem zjadł kawałek ciasta bananowego wypieku Delii i rozmyślał dalej. Była to, bądź co bądź, kwestia zasad.

Mężczyzna może przejść do porządku dziennego nad wieloma sprawami, ale nie zajdzie daleko odstępując od swoich zasad.

Wyżebrał od Delii samochód, kusząc ją nowymi kolczykami i pełnym bakiem benzyny. Minął drogę prowadzącą do domu McNairów. Ciekawe, czy uda mu się wieczorem wyciągnąć Caroline do kina. Zaparkował trochę dalej, w miejscu, gdzie Old Cypress Road przecinała Longstreet.

Żeby dostać się z domu do miasta lub z miasta do domu, Billy T. musi tędy przejeżdżać. Tucker wiedział, że Billy T. nie opuścił wieczoru u McGreedy'ego od czasu, gdy mógł utrzymać kufel w ręku.

Wyjął papierosa i rozpoczął czaty.

Siedział na masce samochodu Delii, zastanawiając się, czy zapalić następnego, kiedy zobaczył Caroline ciągniętą przez psa na czerwonej smyczy.

Posuwała się w tempie określonym przez Nieprzydatnego i bezskutecznie usiłowała przywołać go do nogi. Gdyby mogła się zatrzymać, stanęłaby jak wryta na widok błysku irytacji w oczach Tuckera. Kiedy spojrzała po raz drugi, już się uśmiechał.

- Złotko - zawołał. - Dokąd on cię prowadzi?

- Idziemy na spacer - wydyszała. Machając radośnie ogonem, Nieprzydatny dopadł

Tuckera i zaczął obgryzać mu kostki u nóg.

- To nie miasto. - Pochylił się, żeby podrapać psa za uchem. - Tutaj wypuszcza się psy na podwórko.

- Próbuję nauczyć go chodzić na smyczy.

Aby ukazać bezowocność tych wysiłków. Nieprzydatny okręcił się i chwycił smycz w zęby.

- Chyba nie jest z tego zadowolony - zauważył Tucker. - Wyglądasz na zmęczoną, Caro. Niedobra noc?

- Cóż, on cały czas płakał. - A kiedy się w końcu uspokoił, nie mogła zasnąć z obawy, że przyjdzie Austin Hatinger i zacznie dobijać się do drzwi.

- Papierowe pudło i budzik.

- Słucham?

- On tęskni za swoją mamą. Wsadź go do pudła, choćby z tą poduszką, którą kupiłaś, a pod nią wepchnij budzik. Doskonale imituje bicie serca. będzie spał jak aniołek.

- Ach tak? - Po krótkim namyśle postanowiła, że nie powie mu, iż pies zasnął, kiedy wzięła go do siebie do łóżka. - Będę musiała spróbować, Dlaczego stoisz na drodze?

- Siedzę - sprostował Tucker. - Spędzam czas.

- Dziwne wybrałaś sobie po temu miejsce. Nie złapali jeszcze Hatingera. prawda?

- Ja w każdym razie nic o tym nie wiem.

- Tucker, była u mnie dzisiaj Susie i wspomniała o Vernonie Hatingerze. Powiedziała, że jest taki sam jak jego ojciec.

Tucker strzelił palcami, żeby zabawić Nieprzydatnego.



- No, trochę mu brakuje.

- Susie powiedziała, że on zawsze szuka zwady i...

- Szukał i ze mną - przerwał Tucker. - Muszę z przykrością stwierdzić, że skopał mi tyłek. Potem Dwayne skopał jemu. - Uśmiechnął się błogo na wspomnienie człowieka, jakim był Dwayne, zanim dopadł go w swoje szpony alkohol. - Jakoś nigdy nie mogłem wyrobić sobie bicepsów. Nie pomogła mi nawet praca w polu. Mam ramiona jak patyki. Za to Dwayne wyglądał jak bokser. Używał kiedyś tych ramion do ćwierćbacku w footballu i dziewczyny zlatywały się do niego jak pszczoły do miodu. Po tym, jak Vernon obił mi twarz, Dwayne zrobił z niego surowy befsztyk. Było pięknie.

- Jestem pewna, że to wzruszający przykład męskiej solidarności, ale chodzi o to, że powinieneś wystrzegać się nie tylko Austina, ale również Vernona.

- Nie sądzę, żebym musiał obawiać się któregoś z nich.

- Dlaczego? - wybuchnęła. - Ponieważ twój starszy brat obije im mordę?

- Niestety, ostatnio jest zbyt zajęty. - Tucker spojrział w dół Old Cypress Road i zobaczył chmurę kurzu, wśród której posuwał się thunderbird Billy'ego T. - Będzie lepiej, jeżeli wrócisz do domu i o wszystkim zapomnisz. Może wpadnę później i zobaczę, jak idzie malowanie.

- Co się stało? - Widziała już kiedyś ten wyraz w jego oczach. Kiedy leżał na niej pośród dźwięku tłuczonego szkła. Kiedy zapytał, czy ma w domu broń. Ten człowiek nie potrzebował starszego brata ani nikogo innego, żeby się za niego bił - Usłyszała ryk thunderbirda i odwróciła się. - Co się dzieje, Tucker?

- Nic, co by ciebie dotyczyło. Idź do domu, Caroline. - Zsunął się maski wozu w chwili, gdy Billy T. zahamował.

- Hej, Tucker - Billy T. ukazał w sztucznym uśmiechu pełen garnitur zębów - Nie był w najlepszym humorze. Głowa go ciągle bolała, a duma ucierpiała bardziej niż czaszka.

Prawdę mówiąc, miał ochotę skopać komuś tyłek.

- Billy T - - Tucker podszedł z rękami w kieszeniach. - Słyszałem, że miałeś rano mały wypadek.

- Nie twój kurewski interes.

- Staram się po prostu nawiązać rozmowę. Wiesz, tak się składa, że siedzę tu i czekam na ciebie.

- Doprawdy?

- Aha. - Kątem oka Tucker zobaczył, że Caroline również przeszła przez drogę. Choć zatrzymała się kilka kroków za nim, jej obecność denerwowała go jak cholera. - Chciałbym wyjaśnić jedną drobną sprawę. Jeżeli masz chwilę.

Zanim Billy T. zrozumiał, co się dzieje, Tucker wsunął rękę do jego wozu i wyrwał

kluczyk ze stacyjki. Ludzie zapominali często, że potrafi się ruszać.

- Bo jeżeli nie... - powiedział ze spokojem.

- Kurza dupa! - Billy T. otworzył drzwi wozu. - Chcesz, zdaje się, żeby ci podbić drugie oko.

- Porozmawiamy o tym za chwilę. Caroline, jeżeli podejdziesz jeszcze bliżej, będę na ciebie bardzo zły.

Wzrok Billy'ego T. spoczął na Caroline, powędrował niespiesznie w górę jej nóg, zatrzymał się na brzuchu i piersiach.

- Zostaw ją, Tucker. Może, kiedy już rozsmaruję cię po asfalcie, zechce Pójść na piwo z prawdziwym mężczyzną.

Caroline uniosła dumnie głowę.

- Widzę tu tylko dwóch gówniarzy. Tucker, nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale chcę, żebyś mnie odwiózł do domu. Natychmiast.

Billy T. uśmiechnął się szeroko i wypluł wykałaczkę. - Przeleciałeś ją już, Tucker?

Daje ci regularnie?

Rozwścieczona Caroline postąpiła krok naprzód, ale zatrzymał ją stanowczy gest Tuckera.

- Billy T., nieładnie mówić tak do kobiety, ale tym zajmiemy się Później. Teraz pogadamy o moim samochodzie.

- Słyszałem, że odstawili go do Jackson, żeby go trochę rozprasować.

- Dobrze słyszałeś. Między nami nigdy nie układało się najlepiej. I nie Przypuszczam, by stosunki polepszyły się w przyszłości, ale nie mogę Pozwolić, by to, co zrobiłeś z moim samochodem, uszło ci na sucho.

Billy T. splunął.

- Zdaje się, że to ty rozwaliłeś tę gablotę.

- Po tym jak ty zrobiłeś z niej złom. - Tucker wiedział, że Billy T. nie grzeszy rozumem, kłamał mu więc w żywe oczy. - Darleen powiedziała że zrobiłeś te dziury w przewodach. Trochę nieładnie z jej strony, skoro dałeś jej szminkę Josie.

- Kłamliwa suka!

- Może, ale coś mi się zdaje, że tym razem powiedziała prawdę. Billy T. odgarnął

włosy, które opadły mu na czoło.

- Może i powiedziała, ale nic mi nie udowodnisz. - Rozciągnął usta w szyderczym uśmiechu. - Przyszedłem sobie twoją fikuśną aleją i wywierciłem dziury w twoim fikuśnym samochodziku. Darleen było przykro, że złamałeś serce Eddzie Lou, więc zrobiłem to, żeby poprawić jej humor. I ponieważ nienawidzę cię, skurwielu. Ale nic mnie nie udowodnisz.

Tucker w zamyśleniu sięgnął po papierosa.

- Masz sporo racji, ale to nie oznacza, że wykręcisz się sianem. - Odciął kawałek papierosa, resztę podпалиł. Caroline cofnęła się o krok. Znała ten ton głosu. - Przyszło mi właśnie do głowy, że ktoś z mojej rodziny mógł pożyczyć ode mnie samochód tego ranka.

Ktoś, kto nie radzi sobie za kierownicą równie dobrze jak ja. Wiesz, Billy T., to mnie naprawdę wkurwia.

- No i co z tego?

Tucker przyjrzał się koniuszkowi papierosa.

- Myślę, że jednak coś z tym zrobię. Choć muszę przyznać, że nie chciałbym oberwać znowu po gębie.

- Zawsze byłeś tchórzliwym śmierdzielem. - Uśmiechając się, Billy T. rozłożył

szeroko ramiona. - No dalej, pokaż, co potrafisz. Wal!

- Cóż, skoro nalegasz. - Tucker kopnął go prosto w krocze.

Billy T. zgiął się wpół. Wydawał odgłosy szybkowara pracującego na pełnych obrotach. Trzymając się za przyrodzenie, upadł na ziemię. Kiedy Tucker pochylił się i zacisnął rękę na jego uszkodzonych genitaliach, oczy uciekły Billy'emu T. w tył głowy.

- Nie mdlej jeszcze, mam ci coś do powiedzenia. Może zaczniesz znowu pracować mózgownicą, kiedy twoje jaja wrócą na miejsce, bo chcę, żebyś coś sobie przemyślał.

Słuchasz mnie?

- Hm - Był to jedyny dźwięk, jaki Billy T. mógł z siebie wydobyć.

- Dobrze. Wiesz, kto ma weksel na ziemię twojej rodziny? Zalegacie ze spłatami trzy miesiące. Byłoby mi szalenie przykro, gdybym musiał wysłać wam komornika. A ta oczyszczalnia bawełny, do której zaglądasz łaskawie, żeby popracować parę godzin w tygodniu? Tak się składa, że ja jestem jej właścicielem. Jeżeli zechcesz zastosować wobec mnie środki odwetowe, nie będę cię mógł powstrzymać. Ale stracisz ziemię, stracisz pracę i, Bóg mi świadkiem, zrobię z ciebie eunucha. Nie

wiem, czy nie powinienem skorzystać z okazji, skoro już się nadarzyła. - Zaciśnął palce na podkreślenie swoich słów Billy T. jęknął i zwinął się w kłębek. - Lubiłem ten samochód - westchnął Tucker. - I bardzo lubię tę panią, którą obraziłeś. Więc nie zadzieraj ze mną, Billy. Nie jestem już chuderlawym dziesięciolatkiem. - Zostaw mnie! - Billy T. uwolnił się w końcu. - Coś mi złamałeś. ś tu nie mam!

- Nie martw się, one wrócą na swoje miejsce. Zupełnie jak podrzucona piłka. -

Podniósł się. Zauważył, że Caroline puściła szczeniaka, który teraz odlewał się na buty Billy'ego T. Podniósł psa z uśmiechem. - Nieładnie, Nieprzydatny, nie należy kopać leżącego.

Caroline stała na skraju drogi z rozdziawionymi ustami i wybałuszonymi oczyma.

Tucker wsadził sobie szczeniaka pod pachę.

- Chodź, złotko - zwrócił się do Caroline. - Odwiozę cię teraz do domu.

- Masz zamiar go tutaj zostawić? - Oglądała się za siebie, kiedy Tucker popychał ją w stronę oldsmobile'a.

- Taki mam plan. Myślałem, że może wybierzemy się dzisiaj do kina.

- Do kina - powtórzyła bezmyślnie. - Tucker, stałam i patrzyłam, jak kopiesz tego człowieka w...

- W kulturalnym towarzystwie nazywamy to dobrami osobistymi. Posuń się, chyba że chcesz prowadzić.

Posunęła się więc, trąc dłonią skroń.

- Ale to nie było nieczyste zagranie, prawda?

- Każda walka jest nieczysta, Caroline, dlatego właśnie robię, co mogę, by jej unikać. -

Pocałował ją szybko, zanim nacisnął starter. Niedbałym gestem wyrzucił przez okno kluczyki od thunderbirda. - To co z tym kinem? Caroline odetchnęła głęboko.

- A co grają?

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Może napiłaby się pani wody, pani Talbot? Darleen spojrzała na agenta Burnsa zapuchniętymi oczami w czarnych obwódkach tuszu. - Tak, proszę pana - powiedziała pokornie. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin nauczyła się pokory. - Będę wdzięczna.

Burns wstał usłużnie, poszedł do łazienki i nalał ciepławej wody do papierowego kubka. Uważał się za eksperta w dziedzinie przesłuchań, wykladał nawet ten przedmiot w akademii FBI. Warunkiem udanego przesłuchania było poznanie osoby przesłuchiwanej.

Burns był przekonany, że ma Darleen Talbot w jednym palcu. Kluczem było współczucie, pochlebstwo i stanowczość. Burns przeznaczył trzydzieści minut na przesłuchanie, cztery minuty na monolog wstępny, który miał zdobyć jej zaufanie. Wraz z kubkiem wody ofiarował jej łagodny uśmiech.

- Jestem wdzięczny, że zechciała poświęcić pani ten ranek na rozmowę ze mną, pani Talbot.

Ostrożnie podniosła kubek do nie umalowanych ust. Nie lubiła już czerwonych szminek.

- Junior powiedział, że muszę.

- Wiem, jak trudno jest młodej matce wykroić trochę czasu z jej napiętego dnia. Gdzie przebywa dzisiaj synek?

- Jest u mamy. Mama lubi z nim zostawać. - Jej oczy przesuwają się z przedmiotu na przedmiot, starannie omijając agenta Matthewa Burnsa, podczas gdy palce gmerały przy kołnierzyku kwiecistej bluzki. - Scooter to jej jedyny wnuk. Moje dwie siostry urodziły dziewczynki.

- Ładny malec - powiedział Burns, choć nie przypominał sobie, żeby natknął się wzrokiem na najmłodszego Talbota.

- Jest ładny. A włoski kręcą mu się jak u owieczki. - Cień uśmiechu rozjaśnił jej oczy.

Doszła do wniosku, bardzo trafnego zresztą, że Junior nie wykopał jej z domu tylko ze względu na swoje przywiązanie do syna. - I pojętny. Żywe srebro, jak to mówią. Nie wiem, jak sobie poradzę, kiedy zacznie chodzić.

- Jestem pewien, że nie może go pani ani na chwilę spuścić z oka.

Darleen odprężyła się wyraźnie. Odstawiła nawet kubek na biurko. Ten federalny wcale nie jest taki zły, uznała. Ludzie go po prostu nie znają.

- Ma pan dzieci?

- Niestety, - I nie zamierzał mieć. Nigdy. - Obawiam się, że praca mi to uniemożliwia.

- Ściganie przestępców.

- Właśnie! - Uśmiechnął się do niej radośnie, jakby znalazła odpowiedź na bardzo złożony problem. - I właśnie tacy odpowiedzialni obywatele jak pani ułatwiają mi to zadanie.

- Nie przestając się uśmiechać, wyjął miniaturowy magnetofon. - To mi pozwala wszystko zapamiętać.

Darleen zerknęła na magnetofon nieufnie. Zaczęła wyłamywać sobie palce.

- Czy nie powinnam mieć prawnika albo co?

- Jak pani sobie życzy. - Burns usiadł za biurkiem Burke'a. - Ale zapewniam panią, że to nie jest konieczne w przypadku takiej nieformalnej pogawędki. Potrzebuję tylko paru informacji o pani przyjaciółce Eddzie Lou Hatinger. - Poklepał ją dobrotliwie po ręce. -

Wiem, że to dla pani ciężkie przeżycie, Darleen. Mogę mówić do pani Darleen?

Rany, był tak uprzejmy jak kelner w eleganckiej restauracji. Choć Burns skrzywiłby się na to porównanie, ono właśnie skłoniło Darleen do współpracy.

- Proszę bardzo.

- Strata przyjaciela jest zawsze bolesna, a jeszcze w tak tragiczny sposób... - urwał, jakby z szacunku dla jej cierpienia. - Spróbuję sprawić pani jak najmniej przykrości. Wiem, jakie to trudne.

Było to nie tyle trudne i bolesne, ile szalenie ekscytujące. Darleen wydobyła podartą papierową chusteczkę i osuszyła oczy.

- Mówienie o tym rozdziera mi serce, ale chcę pomóc - dodała dzielnie. - Ona była moją najlepszą przyjaciółką.

- Tak. wiem. - Burns włączył magnetofon. - Agent specjalny Matthew Burns, rozmowa z Darleen Talbot odnośnie do Eddy Lou Hatinger. Dwudziesty piąty czerwca. A więc, Darleen, niech mi pani opowie o Eddzie Lou.

Darleen wydmuchała głośno nos i Burns skrzywił się boleśnie.

- Była moją najlepszą przyjaciółką - powtórzyła. - Chodziłyśmy razem do szkoły, była druzną honorową na moim ślubie. Byłyśmy jak siostry.

- I, jak to siostry, zwierzałyście się sobie z wszystkiego.

- Nigdy nie miałyśmy sekretów. Moje rodzone siostry, Belle i Starita? Z nimi nigdy nie mogłam rozmawiać tak jak z Eddą Lou. - Wycisnęła Jeszcze jedną łzę i otarła ją palcem.

- Jestem pewien, że ona darzyła panią równą sympatią. Darleen skrzywiła się lekko. -

Zdaje się.

- Zwracała się zapewne do pani po radę, jako do osoby zameżnej. Po radę, pomyślała Darleen z przekąsem. Diabła tam! Edda Lou wolała pouczać niż się radzić. Ale Darleen pomyślała, że nie powinna tego mówić.

- Dużo rozmawiałyśmy. Dzwoniłyśmy do siebie codziennie.

- Czy w okresie bezpośrednio przed śmiercią Edda Lou była zaangażowana w związek z mężczyzną?

- Jasne! Wszyscy wiedzieli, że wdepnęła po uszy w Tuckera Longstreeta. Mogła mieć mnóstwo

innych chłopaków. Edda Lou nosiła się naprawdę dobrze. Przeglądała zdjęcia w czasopiśmie, więc wiedziała, co i jak. To znaczy, jak się uczesać i co zrobić z twarzą. Nie przekroczyłaby progu swojego pokoju bez makijażu. Ale wpadł jej w oko Tucker.

Umówiliśmy się że kiedy go w końcu złapie, zostanę... chciałam powiedzieć, kiedy już ustalą datę ślubu, zostanę jej druhną honorową. Pojechaliśmy do Greenville, wybrałyśmy suknie i wszystko.

Jaka szkoda, że Edda Lou nigdy nie włoży tej ślicznej różowej organtynowej sukni z bufiastymi rękawami i wielkim dekoltem. Burns kiwał zachęcająco głową i robił notatki.

- Pan Longstreet i Edda Lou planowali się pobrać?

Darleen oblizwała wargi i spojrzała na magnetofon. Była rozdarta między lojalnością a prawdą. Instynkt samozachowawczy optował za prawdą. Epizod z Juniorem nauczył ją ostrożności.

- Edda Lou była zdecydowana doprowadzić do ślubu.

- A pan Lonstreet?

- No... jakoś by go przekonała. Edda Lou nie była z tych, co to łatwo rezygnują.

- Więc uważa pani, że nakłoniłaby pana Longstreeta do oświadczenia?

- Powiedzmy.

- Zmusiłaby go? - Burns uśmiechał się łagodnie. - Czy wiedziała może o jakiejś słabości pana Longstreeta, znała sposób nakłonienia go do małżeństwa?

Darleen namyślała się przez chwilę, potem, ku rozczarowaniu Burnsa, potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, Tucker nie z tych, co mają jakieś słabości. Mówiłam Eddzie Lou, że zerwał z nią, bo była nachalna. Mężczyźni nie lubią być popychani do małżeństwa. - Darleen czerpała z niewyczerpanego źródła własnych doświadczeń. - Weźmy mojego Juniora. Czekałam sobie spokojnie, jak prawdziwa dama, aż się zdecyduje oświadczyć. Gdybym to ja zaczęła napominać o małżeństwie, zwinąłby żagle i tyle bym go widziała. Mężczyźni są z natury niechętni stałym związkom. Mówiłam jej, ale nie chciała słuchać. Uparła się, że zamieszka w Sweetwater. To znaczy, że będzie z Tuckerem - poprawiła się. - Edda Lou miała bzika na jego punkcie.

- Jestem pewien, że darzyła go głębokim uczuciem - mruknął Burns. Darleen uśmiechnęła się nie dostrzegając sarkazmu.

- Edda Lou pokłóciła się z panem Longstreetem w dniu swojej śmierci?

- Przyszła do mnie po tej awanturze. - Darleen rozsiadła się na krześle. Zupełnie jak u Perry'ego Masona, pomyślała. - Była maksymalnie wkurzona. Widzi pan, Tucker zerwał z nią, a ona wykombinowała, że odczeka parę zgodni, aż on nie będzie mógł bez niej wytrzymać. Powiedziała, że nie wytrzyma bez bzykania i przyleci po więcej. - Zreflektowała się. - Chciałam powiedzieć,

wiedziała, że on ją kocha.

Z twarzą pozbawioną wyrazu, Burns skinął głową.

- Rozumiem doskonale.

- Ale jakoś nic się nie działo. I wtedy Tucker zaczął spotykać się z Chrissy Fuller, była już po rozwodzie i w ogóle. Edda Lou nie miała zamiaru na to pozwolić, nigdy w życiu.

Przydybała Tuckera w „Chat'N Chew” i powiedziała mu co i jak.

- Powiedziała, że jest w ciąży.

Darleen zacisnęła usta i gapiła się na swoje buty.

- Zdaje się, że się pomyliła. Była taka zdenerwowana, rozumie pan, bo Tucker mógł się jej wymknąć.

- Czy to właśnie powiedziała pani tego popołudnia?

- Była taka zdenerwowana. - Darleen wykręcała dłonie. - Kobieta mówi różne rzeczy, kiedy ma złamane serce. Biegała w te i we w te po moim salonie. Powiedziała, że on chce ją odrzucić jak zużytą szmatę. Że nie pozwoli, by zrobił jej to, co jego tata zrobił jej tacie.

- Słucham?

Darleen odzyskała animusz. Przekazywanie plotek jest zawsze przyjemne, nawet jeżeli te plotki mają już z górą trzydzieści lat.

- Dawno, dawno temu tata Eddy Lou starał się o pannę Madeline, mamę Tuckera. No, może niezupełnie się starał, ale bardzo chciał. Uparł się, że poślubi pannę Madeline, chociaż jej tata był senatorem stanowym, a on zwykłym farmerem. Edda Lou zawsze mówiła, że to powtórka z Kopciuszka, tyle że na odwrytkę. Ale panna Madeline miała bzika na punkcie Beau Longstreeta. Im bardziej kochała pana Beau, tym bardziej Austin Hatinger jej chciał.

Nigdy nie miał serca do Longstreetów.

- Tak więc - przerwał Burns w nadziei, że uda mu się dotrzeć do jakiegoś sedna. -

Istniały animozje między obiema rodzinami.

- Co? A tak, istniały. Hatinger i pan Beau omal się nie pozabijali na zebraniu kościelnym. Mój tata był jednym z tych, co ich rozdzielali. Opowiada o tym czasem...

Burns chrząknął.



- To wszystko jest bardzo interesujące, Darleen, ale...

- Chcę powiedzieć, że jej ojciec uważał, że Beau zabrał mu jego Własność, więc Edda Lou uznała, że należy jej się Sweetwater. A na Tuckera Uparła się, bo... No, jest naprawdę przystojny i nie dusi tak grosza jak jego ojciec. Ale tak naprawdę to chciała dogryźć ojcu.

Więc była na niego naprawdę wściekła - to znaczy, na Tuckera - kiedy powiedział przy wszystkich, że jej nie chce. Powiedziała do mnie: „Wepchnę mu te słowa z powrotem do gardła, Darleen. Zobaczysz”.

- Czy zdradziła, jakich metod zamierza użyć?

- Chciała dopaść go gdzieś samego i pozwolić działać naturze. - Darleen posłała Burnsowi kokietyjne spojrzenie. - Ona świetnie o sobie dbała. Wiedziała w co się ubrać, żeby wpaść mężczyźnie w oko.

- Jakiemuś konkretnemu mężczyźnie?

- Przed Tuckerem? O, było ich wielu. Zeszłej zimy lepił się do niej John Thomas Bonny, a przed nim Judson O'Hara i Will Shiver. Był też Ben Koons. Ale on jest żonaty i Edda Lou nie brała go pod uwagę.

Burns zanotował nazwiska starannie, drukowanymi literami.

- W przypadku kobiety tak atrakcyjnej jak Edda Lou byłoby zupełnie naturalne, gdyby jakiś mężczyzna dalej... lepił się do niej po tym, jak oddała swe serce panu Long sweetowi.

- Och, Edda Lou chełpiła się, że żaden mężczyzna nie zapomni o niej tak łatwo. Mogła mieć każdego, kogo chciała.

- Rozumiem. Toby'ego Marcha też?

- O! - Darleen podniosła kubek i wypila resztę wody. - No cóż.

- Tak?

- Tam nic nie było, panie Burns. Naprawdę. Edda Lou lubiła się podrażnić z mężczyznami. Taka już była.

- Drażniła się z panem Marchem?

- To była tylko taka zabawa. - Darleen podniosła kciuk do ust i zaczęła obgryzać paznokcie. - Edda Lou nie zainteresowałaby się czarnym mężczyzną. Może była po prostu ciekawa.

- Ciekawa pana Marcha?

- Robiła to tylko po to, żeby odegrać się na ojcu. Sprzał kiedyś Toby'ego. To przez niego Toby ma tę

bliznę. A brat, Eddy Lou, Cyr, przyjaźni się z synem Toby'ego. Austin Hatinger straszenie się o to wścieka. Edda Lou lubiła poplirtować z Tobym. Robił się cały sztywny i czerwony.

- Miała z nim romans?

- Trudno powiedzieć. - Darleen obgryzła paznokciec do żywego mięsa. - To nie było nic poważnego. Bawiła się tylko.

Nic poważnego dla niej, ale dla Murzyna? pomyślał Burns. Dla żonatego Murzyna w małym południowym miasteczku, gdzie za przekroczenie pewnych granic płaci się głową?

- Kiedy to było, Darleen?

- Och, głównie po tym, jak Tucker ją zostawił. Toby pracował wtedy w domu noclegowym. Ale nie tam takiego nie było. Rany, ojciec by ją zabił. Powiesiłby Toby'ego, a Eddę Lou obdarł żywcem ze skóry. A jeżeli nie on, to Vernon. Edda Lou i Vernon nie przepadali za sobą, ale Vernon nie mógłby spojrzeć ludziom w oczy, gdyby się dowiedział, że Edda Lou, no wie pan, z czarnym.

Burns uśmiechnął się. To dawało mu trzech nowych podejrzanych. Trzy nowe motywy zbrodni. - Dziękuję pani, Darleen. Ogromnie mi pani pomogła.

podczas gdy Toby i Jim walili młotkami w belkę na tylnej werandzie, Caroline strzelała do puszek po rosole z kury. Spudłowała po raz kolejny.

- Celuj odrobinę bardziej w prawo - doradziła jej Susie. - Odskakujesz w lewo za każdym razem, gdy pociągasz za spust.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego to robię.

- Szalenie pocieszające. Tym razem, zanim naciśniesz spust, wstrzymaj oddech. -

Susie zacisnęła usta, kiedy Caroline strzeliła i spudłowała. - Pójdzie ci lepiej, kiedy nauczysz się trzymać oczy otwarte. Ale na razie odpuścimy sobie chyba konkurs z okazji Czwartego Lipca.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie trafię w tę puszkę.

- Może pomyślałabyś znowu o tym Luisie.

- Nie. Pozbyłam się go definitywnie.

- Cholera, a miałam nadzieję, że w chwili słabości opowiesz mi wszystkie pikantne szczegóły.

- Raczej banalne. Przyłapałam go z inną kobietą.

- O! - Susie rozmyślała przez chwilę nad tym, co usłyszała. - Złapałaś go na romansie czy faktycznie przyłapałaś?

- Faktycznie przyłapałam. - Caroline uspokoiła dłonie i wycelowała. - Weszłam do garderoby, gdy piersiasta flecistka zmieniała mu olej.

- A niech mnie! Urwałaś mu fiuta?

Caroline się roześmiała i karabin zatańczył w jej dłoniach.

- Niestety, znajdowałam się wtedy w okresie spolegliwości.

- Zdaje się, że masz go już za sobą.

- Okres spolegliwości czy Luisa? Tak. Całkowicie. - Znowu spudłowała. - Cholera!

Trafię ją. To tylko kwestia praktyki. Jestem przecież muzykiem, ekspertem w zdobywaniu wprawy. - Uniosła broń, wycelowała - Sprawię, że ta cholerna puszka zaśpiewa.

Nie zaśpiewała wprawdzie, ale cichy brzęk w pełni usatysfakcjonował Caroline.

- Niezła robota. - Susie poklepała ją z uznaniem po plecach. - Może zrobisz sobie przerwę.

- Może sobie zrobię. - Caroline rozładowała starannie broń. W przeciwieństwie do Susie, nie czuła się dobrze obnosząc po domu naładowany karabin. - Zrobiłam postępy.

Wczoraj zestrzelenie tej głupiej puszki zajęło mi dwie godziny. Dziś zrobiłam to w... -

spojrzała na zegarek - ... godzinę i czterdzieści pięć minut. - Z braku lepszego miejsca wrzuciła naboje do kieszeni. - Napijesz się czegoś?

- Myślałam, że nigdy nie zapytasz. - Ruszyły w stronę domu. - Widzę że zapędziłaś Toby'ego i Jima do roboty. Podoba mi się ta niebieska farba. Naprawdę odświeża dom.

- Pomalują mi również werandy. Na biało. Możemy tędy przejść, Toby?

- Jasne, ale proszę uważać. Dzień dobry, pani Truesdale.

- Cześć, Toby. Kiedy skończycie tutaj, może zajrzysz do nas i powiesz Burke'owi, co zrobić z tymi kuchennymi drzwiami. Nadal się zacinają.

Toby uśmiechnął się szeroko i otarł ręce chustą. Twarz miał umazana brudem spod werandy, kurz wypełniał bruzdy na jego twarzy.

- Powiedziałem mu, co trza zrobić. Kawał czasu temu. Będzie z pół roku.

- Toteż od sześciu miesięcy mówi, że zaraz robi z nimi porządek. - Obeszła pudło z narzędziami. - Zdaje się, że ma zbyt wiele na głowie.

Uśmiech Toby'ego przygasł.

- Tak, proszę pani. Jim, przytrzymaj dobrze tę belkę. - Nie odrywał oczu od swych rąk, kiedy Caroline przechodziła z Susie do kuchni.

- A, tu jest ten szczeniaczek, o którym tyle słyszałam. - Susie przykucnęła przy krześle, pod którym kulił się Nieprzydatny. Wlazł tam w chwili, gdy rozległ się pierwszy strzał.

- Tak, mój pies obronny. Bardzo groźny. - Pies popiskiwał, cały drżący, i lizał Susie po ręce. - Muszę być szalona.

- Masz po prostu miękkie serce. Dzięki. - Susie wstała biorąc z rąk Caroline szklankę mrożonej herbaty. - Chciałam zajrzeć do ciebie wcześniej, ale nie miałam jednej wolnej chwili. Od czasu zaręczyn Marvelli dom stoi na głowie.

- Słyszałam o zaręczynach. - Widząc głód w oczach Susie, przejrzała szafki w poszukiwaniu produktu o wysokiej zawartości cukru, całkowicie pozbawionym wartości odżywczych. Znalazła paczkę pierników, które kupiła dla Jima. - Proszę, poczęstuj się czekoladą i konserwantami.

- Dzięki. - Susie westchnęła z łakomstwa i rozerwała celofan. - Mówię ci, od chwili gdy się o tym dowiedziałam, jestem jak ciekący kran. Wystarczy, że o tym pomyślę i już ryczę. - Odgryzła kawał piernika. - Wiedziałam, oczywiście, co się święci. Chodzili dookoła siebie przez dwa lata, a kiedy nie chodzili, brali się za łby. To nieomylny znak.

- Ale to twoja mała córeczka.

- No właśnie. - Susie otarła łzę. - Moje dziecko. Moje pierwsze dziecko. Wszystko jest dobrze, dopóki tkwię w tym weselnym kieracie, ale wystarczy, że przysiądę, a zaczynam przeciekać.

Caroline zerknęła na drugie ciastko i uznała, że na nie zasłużyła.

- Ustalili już datę?

- Wrzesień. Marvella miała zawsze słabość do chryzantem. Chce mieć ich pełen kościół i pięć drухen w sukniach w barwach jesieni. Na tym nie koniec. Kolor rdzawy i złoty, mówi. - Rozzłoszczona Susie zlizwała okruchy z palców. - Ja jej na to, rdzawy to prawie jak czerwień, nie nadaje się na ślub kościelny, ale ona jest uparta jak muł. Nie chce nawet słyszeć o pastelach. - Susie podchwyciła spojrzenie Caroline i roześmiała się. - Wiem, wiem, kolory nie są takie ważne. Ale ja wolę myśleć o kolorach, muzyce, kwiatach i czy urządzimy przyjęcie przed domem, czy wynajmiemy Moose Hall. - Westchnęła ciężko. - Burke i ja mieliśmy cichy ślub.

- Jestem przekonana, że do spółki z Marvella urządzicie piękny ślub.

- Czułabym się lepiej, gdyby udało mi się namówić ją na róże.

W przyszłym tygodniu jedziemy do Jackson na zakupy. Może wybrałabyś się z nami?

- Z przyjemnością. Ale nie wiem, co mogłabym kupić.

- Kiedy kobieta potrzebuje pretekstu, żeby wybrać się na zakupy, to znaczy, że coś jej leży na wątrobie.

Caroline zlizwała trochę lepkiego nadzienia z palców.

- Zdaje się, że wszystkim nam leży.

- Od czasu, gdy Austin Hatinger zbiegł, Burke przychodzi do domu tylko po to, by paść na łóżko. - Susie przechyliła głowę. - Kotku, nie boisz się, że on może tu wrócić?

- Nie wiem. - Caroline wstała, zdenerwowana. - Nie mogę o tym nie myśleć, choć nie istnieje żaden logiczny powód, dlaczego miałyby to zrobić. - Popatrzyła przez okno w stronę ściany drzew, stawu, który rozciągał się za nimi. - Poszukiwania Austina Hatingera zepchnęły na dalszy plan wszystko inne. A ja nie mogę zapomnieć, że zaledwie parę tygodni temu wybrałam się na spacer nad staw i znalazłam w nim jego córkę.

- Nikt nie zapomniał o Eddzie Lou. Ani o Francie i Arnette. Ale nie możemy myśleć o nich za często, jeżeli chcemy pozostać przy zdrowych zmysłach. - Susie zniżyła głos. - Ten agent Burns rozmawia ze wszystkimi w mieście. Dzisiaj rano przesłuchiwał Darleen. Happy mi o tym powiedziała. Sprawę pogarsza to, że on nie pracuje z Burke'em. Pracuje obok niego.

Nie chce, żeby lokalny szeryf wmieszał się w jego federalną sprawę, ale to błąd. Burke zna tych ludzi, oni mu ufają. Nie ufają Jankesowi w wyglancowanych butach.

Caroline musiała się uśmiechnąć. Spojrzała na własne buty.

- Nie glancowałam moich od tygodni.

- Och, ty to co innego. - Susie wzruszeniem ramion rozprawiła się z północnymi koneksjami Caroline. - Tutaj są twoje korzenie. Oczywiście, mogłabyś powiedzieć, że ty i ten facet Burns mówicie tym samym językiem.

Caroline uniosła brew.

- Mogłabym, ale nie sądzę, żeby to odpowiadało prawdzie. - Zdaje mi się, że ma dla ciebie mnóstwo szacunku.

- Ma szacunek dla Caroline Waverly, skrzypaczki. To zupełnie co innego. - Caroline usiadła z westchnieniem. - Może powiesz mi wprost, do czego zmierzasz, Susie?

- Myślałam, że skoro obracacie się z agentem Burnsem w tych samych kręgach, może mogłabyś mu coś zasugerować?

- Co?

- On nie może wykluczyć Burke'a z tej sprawy! - wybuchnęła Susie. - Nie mówię w tej chwili jako żona Burke'a, ponieważ go kocham i wiem, że to go gryzie. Mówię jako kobieta i mieszkanka tego

miasta. Ktokolwiek zabił te dziewczęta, musi zostać schwytany. Będzie to o wiele trudniejsze bez udziału Burke'a. Tylko on potrafi skłonić ludzi do mówienia.

- Zgadzasz się z tobą. Susie. Całkowicie. Ale naprawdę nie wiem, jak mogłabym ci pomóc.

- Pomyślałam tylko, że mogłabyś wspomnieć mu o tym przy okazji. Mimochodem.

- W porządku, jeżeli okazja się nadarzy, spróbuję.

- Zdaje się, że on na ciebie nie działa - zauważyła Susie. - 'W kontekście męsko - damskim.

Caroline roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Nie, nie działa. Już nigdy nie podziła na mnie żaden mężczyzna, który będzie myślał najpierw o muzyce, a dopiero potem o mnie.

- Wietrzę romantyczną historię. - Susie wsparła podbródek na dłoni i zamieniła się w słuch.

- Powiedzmy, że byłam zaangażowana w związek z kimś, kto widział we mnie bardziej instrument niż kobietę. Agent Burns patrzy na mnie właśnie w ten sposób.

- Tamten ktoś? Złamał ci serce? Usta Caroline drgnęły w uśmiechu.

- Powiedzmy, że je obłupał.

- Najlepszym sposobem na obłupane serce jest miły romansik z nieskomplikowanym facetem. - Dotknęła koniuszkiem języka górnej wargi. - Słyszałam, że byłaś wczoraj z Tuckerem w kinie.

- Czy coś mnie jeszcze może zadziwić?

- Iosie napomknęła o tym Earleen. Myślę, że Tucker Longstreet będzie miłym, bezbolesnym środkiem na złamane serce.

- Obłupane - poprawiła Caroline. - Poszliśmy tylko do kina. To jeszcze nic nie znaczy.

- Mężczyzna, który przynosi kobiecie róże, przygotowuje grunt pod romans. -

Zachichotała, kiedy Caroline przymknęła oczy. - Spotkał Marvelle w Rosedale i zabrał ją na lunch.

- To był czysto sąsiedzki gest.

- Aha. Kiedyś Burke przyniósł mi bukiet takich sąsiedzkich fiołków. Dziewięć miesięcy później urodził się Parker. Hej, nie musisz się czerwienić. - Susie pomachała dłońmi. - Jestem po prostu wścibska. A tak na wszelki wypadek, gdybyś wykazywała...

sąsiedzkie zainteresowanie Tuckerem, agent Burns rozpytuje o niego.

- W związku z czym?

- Z Eddą Lou.

- Ale... - Serce uderzyło jej mocno, niespokojnie. - Myślałam, że nie jest podejrzany, że był w domu tej nocy, kiedy ją zabito.

- Zdaje się, że federalny stara się to jakoś obejść. Oczywiście rozpytuje i o innych. -

Spojrzała znacząco na drzwi, za którymi Toby nucił „In the Garden”.

- Susie! - Caroline zagryzła wargę i zniżyła głos niemal do szeptu. - To absurd.

- Ty to wiesz, i ja to wiem. Znam Toby'ego i jego Winnie całe życie. Ale agent Burns nie ma takiego rozeznania. - Nachyliła się ku Caroline. - Wziął na spytki Nancy Koons.

Chciał wiedzieć, czy Edda Lou i Tucker kłócili się w barze. Czy stosował wobec niej przemoc. O Toby'ego też ją pytał.

- Co mu powiedziała?

- Tyle co nic, bo nie podobał jej się sposób, w jaki pytał. - Susie rysowała wzorek na wilgotnej ścianie szklanki. - Dlatego właśnie musi wciągnąć do śledztwa Burke'a. Burke wie, jak podejść do tych ludzi. Będą z nim rozmawiali. Burns zawita wkrótce do ciebie. W końcu to ty znalazłaś ciało.

- Nie mam mu nic do powiedzenia.

- Złotko, zdaje się, że zainteresuje go fakt, że Tucker często tu zagląda. Caroline potarła środek czoła, gdzie tym razem ulokował się ból.

- Nie jego zakichany interes. To mu powiem.

Caroline denerwowała się tą rozmową jeszcze długo po odejściu Susie. Usłyszała, jak Toby i jego syn pakują narzędzia i zdenerwowała się jeszcze bardziej. Błąkała się po domu, próbując umiejscowić własną osobę w obrazie nakreślonym przez Susie.

Była obca. Jednak jej rodzina pochodziła z Innocence. Nie знаła Eddy Lou, jednak to ona ją znalazła. Nigdy nie zamieniła słowa z Austinem Hatingerem, a jednak to on do niej strzelał.

Nie znała Matthewa Burnsa. Och, znała ten typ mężczyzn, z pewnością, ale nie jego samego. Mimo to obracali się w tych samych kręgach, jak słusznie zauważyła Susie, odwiedzali te same miejsca, mówili tym samym językiem. W jaki sposób mogłaby pomóc w rozwiązaniu zagadki kryminalnej, przekraczało jej pojęcie. A jednak Susie obarczyła ją tą odpowiedzialnością. Była zaangażowana, z braku innego słowa, w związek z jednym z podejrzanych. Drugi podejrzany pracował dla niej.

Tak, była za to odpowiedzialna.

Dużo wiedziała o odpowiedzialności, o obowiązkach. Ludzie zrzucają ci je na barki, przyczepiają się do ciebie jak pijawki i wysysają do ostatniej kropli krwi.

Miała obowiązki wobec rodziców, wobec swojej muzyki, nauczycieli, maistrów, kolegów muzyków, fanów. I miała obowiązki wobec Luisa, który do ostatka domagał się ich wypełnienia.

Przyjechała do Innocence, żeby umknąć na chwilę przed odpowiedzialnością, i natychmiast znalazła sobie nowy zestaw obowiązków.

Była wobec siebie bezradna. Teraz to rozumiała. Sama dokonała takiego wyboru, poddawała się zamiast walczyć.

Ale czy tym razem sprawa nie wyglądała inaczej? Caroline wątpiła wprawdzie, czy ma coś do zaoferowania, była jednak zaangażowana. Nie tylko w związek z Tuckerem. Była zaangażowana w sprawę Innocence. A na razie to Innocence było jej domem.

- No dobrze, dobrze! - Przycisnęła palce do skroni. - Pojadę z nim porozmawiać, zasugeruję to i owo. Między nami, Jankesami.

Chwyciła torebkę i była już w drzwiach, kiedy na podjeździe zahamował samochód Matthewa Burnsa.

Coś takiego, pomyślała. To musi być przeznaczenie.

- Wychodzisz - stwierdził Burns, wysiadając z samochodu.

- Nie. To znaczy, tak. - Caroline uśmiechnęła się i zmieniła plany. - Ale zostało mi jeszcze parę minut. Wejdiesz?

- Z przyjemnością. - W chwili, gdy znalazł się na werandzie, zza siatkowych drzwi dobiegło warczenie Nieprzydatnego.

- To tylko szczeniak - uspokoiła Burnsa. - Trochę obawia się obcych. - Otworzyła drzwi i podniosła psa.

- Milutki - zauważył Burns, ale Caroline usłyszała słowo „kundel” tak wyraźnie, jakby zostało wypowiedziane.

- Doskonały z niego towarzysz. - Po krótkim namyśle zdecydowała, że nie zamknie psa na werandzie, lecz weźmie ze sobą do salonu. - Mogę cię czymś poczęstować? Kawa?

Mrożona herbata?

- Mrożona herbata. Dziękuję. Obawiam się, że nigdy nie przywyknę do tego upału.

- Upału? - powiedziała Caroline kpiarskim tonem, jaki tyle razy słyszała w ustach Południowców. - Och, upały zaczną się dopiero w sierpniu. Siadaj, proszę. Za chwilę będę z powrotem. - Cmoknęła na



psa. Kiedy wróciła z kuchni. Burns stał, z rękoma założonymi na plecach i przyglądał się dziurze po kuli.

- Chyba nie zreperuję tej kanapy. - Postawiła tacę na stole. - Stanowi doskonały temat do rozmowy.

- To godne ubolewania. Hatinger strzelał w okna, nie troszcząc się, że może cię zranić.

Nawet cię nie znał.

- Na szczęście Tucker wykazał przytomność umysłu.

- Gdyby miał trochę oleju w głowie, nie wystawiłby cię na takie niebezpieczeństwo.

Caroline usiadła, rozumiejąc, że jeżeli tego nie zrobi, Burns będzie tak sterczał do skończenia świata.

- Sądzę, iż nie zdawał sobie sprawy, że za oknem znajduje się Austin z karabinem. To było niemałym zaskoczeniem dla nas obojga. Cukier, cytryna?

- Tylko odrobina cytryny, dziękuję. - Zajął miejsce na kanapie. - Caroline, od tak dawna czerpię radość z twojej muzyki! Mam wrażenie, że znamy się od lat.

Nie przestawała się uśmiechać.

- To zabawne, jak często ludzie popełniają tę omyłkę. Muzyka, którą gram. Jest tworem wielu kompozytorów, nie moim. Burns odchrząknął.

- Chciałem przez to powiedzieć, że podziwiałem twój talent, śledziłem twoją karierę, więc odczuwam pewien związek z tobą. Mam nadzieję, że mogę mówić otwarcie.

Łyknęła herbaty.

- Ja też mam taką nadzieję.

- Martwię się, Caroline, bardzo się martwię. Doszły mnie słuchy, że spotykasz się z Tuckerem Longstreetem.

Rozsiadła się w fotelu.

- To wspaniała cecha małych miasteczek, nie uważasz? Wystarczy posiedzieć w jednym miejscu przez pięć minut, żeby dowiedzieć się wszystkiego.

Zrobił się sztywny jakby kij połknął.

- Osobiście nie słucham plotek, pomówień i insynuacji. - Zacisnął wargi, kiedy wybuchnęła śmiechem.

- Przepraszam, ale zabrzmiało to jak nazwa grupy rockowej albo firmy prawniczej. -

Zdławiła chichot. Musi przestać z niego kpić. Z całą pewnością nie jest to metoda zmiękczenia agenta specjalnego Burnsa. - Matthew, miasteczka takie jak to żyją z plotek.

Sądzę, że czasem nawet plotki mogą okazać się przydatne.

- W rzeczy samej. Choć budzą we mnie obrzydzenie, muszę brać je pod uwagę.

Postąpisz rozsądnie, idąc w moje ślady. Tucker Longstreet jest nadal przesłuchiwany w sprawie brutalnego morderstwa.

Caroline przekładała nerwowo szklankę z ręki do ręki, ale nie spuściła wzroku.

- Rozumiem, że przesłuchiwanym jest wiele osób i że przyjdzie kolej również na mnie.

- Jesteś tylko przypadkowym widzem, któremu zdarzyło się znaleźć ciało. - Nie ma mowy o żadnej przypadkowości, Matthew. Znalazłam ciało, jestem mieszkanką Innocence.

Mam tu... - Uśmiechnęła się. - Mam tu przyjaciół i prawdopodobnie liczną gromadę kuzynów rozmaitego stopnia.

- Uważasz Tuckera Longstreeta za przyjaciela?

- Właściwie nie jestem pewna, do jakiej kategorii zaliczyć Tuckera. - Rzuciła mu kpiące spojrzenie.  
- Czy to pytanie natury zawodowej? .

- Prowadzę śledztwo w sprawie serii morderstw - powiedział beznamiętnie. - Nie skreśliłem jeszcze pana Longstreeta z listy podejrzanych. Uważam go za kogoś, kogo należy obserwować, bardzo uważnie obserwować. Może nie zdajesz sobie sprawy, że był związany również z dwiema pierwszymi ofiarami.

- Matthew, jestem tu od ponad dwóch tygodni. Doskonale zdaję sobie sprawę, że Woddrow i Sugar Pruetowie mają kłopoty małżeńskie, że syn Bei Stokey, LeRoy, dostał

mandat za przekroczenie prędkości na drodze numer jeden. I wiem doskonale, że Tucker jest niezdolny do zamordowania nikogo, zwłaszcza kobiety.

Jedno długie westchnienie, mające znamionować świętą cierpliwość i Burns odstawił

filizankę. Nigdy nie przestawał dziwić się łatwości, z jaką można omamić kobietę.

- Ludzie byli pod urokiem Teda Bundy'ego. Masowego mordercy nie da się rozpoznać w życiu codziennym. Jest sprytny, fałszywy, często bardzo inteligentny. I czasem, nawet dość często, przechodzi okresy, kiedy nie pamięta, co zrobił. A jeśli pamięta, ukrywa to pod maską łagodności i troskliwości. Ale kłamie, Caroline. Kłamie, ponieważ żyje po to, by zabijać. Żyje w oczekiwaniu następnego razu, kiedy znów będzie tropił, skradał się, mordował.

Zobaczył, że blednie, i ujął ją za rękę.

- Przestraszyłem cię, ale zrobiłem to umyślnie. Ktoś, najprawdopodobniej któryś z mieszkańców tego małego miasteczka, ukrywa się pod maską dobroduszości i knuje następne zabójstwo. Użyję całej swojej wiedzy, wszystkich umiejętności, by go zatrzymać.

Ale może się okazać, że to nie dość. Wtedy on znowu uderzy.

Musiała odstawić filiżankę. Nie potrzebowała już zimnego napoju, w żyłach czuła lód.

- Jeżeli to prawda...

- To jest prawda.

- Jeżeli to prawda - powtórzyła - powinieneś korzystać z każdej dostępnej pomocy.

- Słucham?

- Jesteś tu obcy, Matthew. Twoja odznaka tego nie zmieni. Przeciwnie, potwierdza tylko to, że jesteś kimś z zewnątrz. Jeżeli chcesz pomóc tym ludziom, skorzystaj z pomocy Burke'a Truesdale'a.

Wyprostował się na kanapie, sztucznie uśmiechnięty.

- Jestem ci wdzięczny za troskę, Caroline, ale ty po prostu nie znasz wszystkich aspektów tej sprawy.

- Fakt, nie znam. Wiem natomiast, że ty, Matthew, podobnie jak ja, jesteśmy tu obcy.

Burke zna tych ludzi. Ty nie.

- I na tym właśnie polega problem. On ich zna, identyfikuje się z nimi. Jest z nimi związany pokrewieństwem albo starą przyjaźnią.

- Mówisz o Tuckerze.

- Mówi? o Tuckerze. Jak to się określa w tych stronach? „Starzy kumple”? Wychylą razem parę piw, zastrzelą parę królików lub innych drobnych stworzeń, posiedzą trochę na werandzie, pogadają o bawelnie i kobietach i są najlepszymi przyjaciółmi. - Strzepnął pyłek ze spodni. - Nie, nie znam tych ludzi, Caroline, ale wiem o nich wszystko. Ostatnią rzeczą, takiej mi potrzeba, jest Burke Truesdale w charakterze kuli u nogi. Wierzę, że jest uczciwym człowiekiem. Lojalnym, ceniącym swoje zobowiązania. To właśnie jego zobowiązania mnie niepokoją.

- Czy teraz ja mogę mówić szczerze, Matthew?

Rozłożył ręce.

- Proszę.

- Zachowujesz się jak pompatyczny dupek. - Twarz mu się wydłużyła. - Twoje metody są może skuteczne w Waszyngtonie albo Baltimore, ale nie tutaj w delcie Missisipi.

Jeżeli zginie ktoś jeszcze, o czym wydajesz się przekonany, będziesz musiał się zastanowić, czy nie można było tego uniknąć. Czy nie mógłbyś temu zapobiec, współpracując z ludźmi, zamiast traktować ich z góry.

Burns podniósł się z godnością.

- Przykro mi, Caroline, że tak się różnimy w tej kwestii. Radzę ci jednak ograniczyć kontakty z Tuckerem Longstreetem aż do chwili rozwiązania sprawy.

- Mam okropny zwyczaj ignorowania rad.

- Wybór należy do ciebie. - Skłonił głowę. - Muszę cię prosić, żebyś przyszła jutro do mojego tymczasowego biura. Około dziesiątej, jeżeli nie sprawi ci to kłopotu?

- Po co?

- Mam parę pytań. Oficjalnych pytań.

- Więc udzielę ci odpowiedzi. Oficjalnych odpowiedzi. Nie odprowadziła go do drzwi.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Caroline nie potrzebowała się nawet zastanawiać, komu jest winna lojalność. Ledwo opadł kurz za Burnsem, biegła już do samochodu z Nieprzydatnym pod pachą. Kluczyk tkwił

w stacyjnej, tam gdzie go zostawiła.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na dom. Nie zamknęła drzwi. Nawet o tyra nie pomyślała. Bardzo nierozsądnie, biorąc pod uwagę przemoc, która nagle rozszalała się w Innocence. Ale zamknięcie drzwi bez zaryglowania okien było pozbawione sensu.

Zaryglowanie zaś okiennic równało się zamienieniu domu w rozgrzany piec.

W niespełna miesiąc nabrała wiejskich zwyczajów.

- Nie będę się bała we własnym domu - powiedziała Nieprzydatnemu, wsadzając go do samochodu. Natychmiast oparł przednie łapy na tablicy rozdzielczej i z wywieszonym ozorem czekał na przejazd.

- Mój dom - powtórzyła, przyglądając się niebieskim ścianom, wypucowanym oknom, odrapanemu fotelowi na werandzie. Z poczuciem satysfakcji i celowości życia wsiadła do samochodu.

- Jedziemy, Nieprzydatny, czas wziąć czynny udział w tej zabawie. Wyjechała tyłem z podjazdu, nie wiedząc, że ktoś ją obserwuje, ukryty w cieniu drzew.

Statler Brothers wydzierali się z metrowego głośnika na werandzie w Sweetwater.

Towarzystwa dotrzymywali im Lulu i Dwayne. Lulu nadal miała we włosach orle pióro, a na nogach wojskowe buciory. Poplamiony fartuch malarski i rubinowe kolczyki z kamieniami wielkości przepiórczych jaj dopełniały jej stroju.

Stała przed sztalugami na rozstawionych nogach, pochylona lekko do przodu. Bardziej jak bokser rozpoczynający trzecią rundę niż artystka, pomyślała Caroline. Dwayne siedział

rozwalony na fotelu, ze szklanką wild turkey i dobrodusznym uśmiechem, który oznaczał, że upija się na spokojnie.

- No to lu, Caroline - pozdrowił ją uniesieniem szklanki. - Co tam masz?

Caroline postawiła Nieprzydatnego na ziemi. Natychmiast zaczął obwąchiwać krzaki oznaczone przez Bustera.

- Mojego psa. Dobry wieczór, panno Lulu.

Lulu mruknęła coś pod nosem, nakładając odrobinę farby na płótno.

- Moja praprababcia przegoniła ze swojej plantacji dwóch jankeskich dezertków w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim.

Caroline skinęła głową. Była przygotowana.

- Dziadek mojej babci stracił nogę w Antietam, spychając oddziały generała Buniside'a z kamiennego mostu.

Lulu zacisnęła usta i rozważała przez chwilę to, co usłyszała.

- A kiedy to było?

- Siedemnastego września, tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku. - Caroline uśmiechnęła się błogosławiąc rodzinną Biblię prowadzoną sumiennie przez babcię. - Nazywał

się Silan Henry Sweeney.

- Sweeney, Sweeney... Zdaje się, że byli jacyś Sweeneyowie ze strony mojego męża, Maxwella Breezeporta. - Lulu rzuciła ukośne spojrzenie Caroline i stwierdziła, że podoba jej się to, co widzi. Dziewczyna była apetyczna jak świeżo ubita śmietana. W układzie twarzy i wyrazie oczu znać było upór. Kuzynka Lulu lubiła tę cechę u kobiet.

Jankeska krew uległa prawdopodobnie rozwodnieniu, zdecydowała, a poza tym najwyższy czas, by Tucker się ustatkował. - Przyszłaś zakręcić się wokół Tuckera, co?

- Z całą pewnością nie. - Caroline uświadomiła sobie, że nie potrafi się obrazić. - Choć chciałam z

nim porozmawiać. Jeżeli jest w domu.

- Och, jest tu gdzieś. - Lulu przyjrzała się palecie, po czym zatopiła pędzel w jadowitej zieleni.

- Wejdź na werandę, dziewczyno, nie stój i nie gap się na mnie, kiedy pracuję.

Dwayne, gdzie jest twój brat? Nie widzisz, że dziewczyna przyszła go uwieść?

- Nie przyszłam, żeby... - Caroline urwała i cofnęła się o krok, kiedy Lulu pochyliła się, żeby ją obwąchać.

- Nie uperfumowałaś się, niezły chwyt. - Lulu pogroziła jej ociekającym farbą pędzlem. - Mężczyzna, który przywykł do kobiet zalanych perfumami, zakocha się z miejsca w takiej, która pachnie mydłem i wodą.

Caroline uniosła brew.

- Czy rzeczywiście?

- Wiesz o tym doskonale. Nie na darmo dożyłam... Dwayne, ile ja mam właściwie lat do cholery? - Chyba osiemdziesiąt cztery, kuzynko Lulu.

- Osiemdziesiąt cztery? Osiemdziesiąt, cztery?! - Farba skapywała jej z pędzla na buty. - Jesteś pijany jak prosię, Dwayne. Żadna dama z Południa nie pozwoliłaby sobie na osiągnięcie potwornego wieku osiemdziesięciu czterech lat. To nie wypada.

Dwayne zajrzał do szklanki z whisky. Był zalany, ale nie głupi.

- Sześćdziesiąt osiem - zdecydował. - Chciałem powiedzieć sześćdziesiąt osiem.

- To już lepiej. - Lulu rozmazała sobie farbę na policzku. - Godny wiek. Idź, Jankesko, użyj swoich wdzięków na tym biednym, niewydarzonym chłopcu. Liczę na ciebie.

- Będę o tym pamiętać. - Uległa pokusie i zerknęła na obraz Przedstawiał Dwayne'a rozpartego w bujanym fotelu, dzierżącego szklanice whisky nadnaturalnych rozmiarów. Styl przypadał gdzieś pośrodku między Picassem a karykaturami w „Mad”. Twarz Dwayne'a była zielona, białka oczu rozorane siecią czerwonych krech. Z głowy sterczały mu różowe uszy osła.

- Interesujący pomysł - skomentowała Caroline.

- Mój tata mawiał, że zawodowy pijak prędzej czy później wychodzi na bęcwał.

Caroline przeniosła wzrok z obrazu na malarkę. Zrozumiała, że kuzynka Luli wcale nie jest taką wariatką, za jaką chce uchodzić.

- Zastanawiam się, jaki powód może mieć ktoś, kto pije zawodowo?

- Dla niektórych powodem jest samo życie. Dwayne, gdzie jest twój brat? Ta dziewczyna czeka, a ja nie mogę malować, kiedy dyszy mi w kark.

- W bibliotece. - Dwayne pociągnął ze szklanki. - Wchodź, Caroline, nie krępuj się.

Trzecie drzwi na prawo z holu.

Caroline weszła do domu. Był tak cichy, że stłumiła pragnienie głośnego zaanonsowania swojej osoby. Łagodne żółte światło skojarzyło jej się z muzeum, ale cisza przywodziła na myśl wytworny buduar południowej damy.

Zaczynała wątpić, czy ktoś w ogóle jest w domu. Złapała się na tym, że stąpa na palcach.

Drzwi do biblioteki były zamknięte. Położyła dłoń na klamce i wyobraziła sobie Tuckera. Rozciągnięty na jakiejś wypoduszkowanej płaszczyźnie, ręce pod głową, nogi skrzyżowane

w

kostkach.

Ucina

sobie

wczesnowieczorną,

późnopopłudniową,

przedkolacyjną drzemkę.

Zapukała cicho, ale nikt nie odpowiedział. Wzruszyła ramionami, nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi. Po prostu go obudzę, powiedziała sobie. Miała mu parę rzeczy do powiedzenia, on ze swej strony może zdobyć się na ten wysiłek i ocknąć się ze śpiączki na tak długo, by jej wysłuchać. Ponieważ w czasie gdy on przesypiał swoje życie, sprawy wymknęły się...

Ale nie było go na sofie w oknie wykuszowym. Nie było go również na fotelu przed kamiennym kominkiem. Caroline zmarszczyła brwi i obróciła się wokół własnej osi, obrzucając ciekawym spojrzeniem ściany książek, świetnego Georgia O'Keeffe'a i filigranowy stolicek w stylu Ludwika XV.

Zobaczyła Tuckera za masywnym dębowym biurkiem, pochylonego nad stosem papierów. Jego palce przemykały niedbale... Nie! Wprawnie, po klawiaturze małego komputera biurowego.

- Tucker?! - W tym jednym słowie zawarła całe swoje zdumienie. uniknął coś w odpowiedzi, wpisał parę liczb, po czym podniósł wzrok. oprzytomniał w jednej chwili.

- Witaj. Caroline! Jesteś najmilszą niespodzianką, jaką przyniósł mi dzień.

- Co robisz?

- Coś tam obliczam. - Odsunął się od biurka i wstał, bardzo szczupły i bardzo niedbały w bawełnianej koszulce i džinsach. - Co się odwlecze, to nie uciecze. Może wyjdziemy na werandę, posiedzimy, pooglądamy zachód słońca?

- Słońce nie zajdzie jeszcze przez dobre dwie godziny. Uśmiechnął się.

- Mamy czas.

Potrząsnęła głową, kiedy obszedł biurko, żeby ją objąć. Powstrzymując go jedną ręką, przysunęła się do biurka i zobaczyła wydruki z kolumnami cyfr, faktury, rachunki. Oczy jej się zwęziły. Przesunęła palcem wzdłuż katalogów na ekranie komputera.

PRALNIA, CHAT'N CHEW, TOWARY ŻELAZNE, GOOSENECK, DOM

NOCLEGOWY, PRZYCZEPY KAMPINGOWE.

Na biurku leżał stos raportów dotyczących bawełny, nasion, pestycydów, nawozów, cen, przedsiębiorstw przewozowych. Drugi stos składa} się z folderów, informatorów i sprawozdań giełdowych.

Caroline przesunęła ręką przez włosy.

- Pracujesz!

- W pewnym sensie. A teraz, pozwolisz mi się pocałować czy nie? Machnęła niecierpliwie dłonią, próbując się skupić.

- Rachunkowość. Prowadzisz księgę rachunkową! Uśmiechnął się szeroko.

- Złotko, to jest niezgodne z prawem tylko wtedy, gdy prowadzisz dwie równoległe.

Co mój dziadek robił z powodzeniem przez dwadzieścia pięć lat. Więc może bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że jest to nielegalne tylko wtedy, gdy dasz się złapać na prowadzeniu dwóch ksiąg równoległe, co mojemu dziadziusiowi się nigdy nie przytrafiło. Był aż do śmierci filarem tej społeczności. - Tucker przysiadł na krawędzi biurka. - Jeżeli nie chcesz usiąść ze mną na werandzie, to czym mogę ci służyć?

- Używasz komputera.

- No cóż, przyznaję, że z początku podchodziłem do nich z dużą rezerwą. Ale te małe diabełki oszczędzają mnóstwo czasu, kiedy już dadzą się ujarzmić.

- Robisz to wszystko sam?

- Co?



- To! - Sfrustrowana, chwyciła garść papierów i podsunęła mu je pod nos. -

Prowadzisz wszystkie te przedsiębiorstwa? Te wszystkie księgi?

Potań z namysłem podbródek, potem wcisnął parę guzików w komputer.

- Prowadzą się same. Ja tylko wpisuję liczby.

- Jesteś oszustem. - Pacnęła papierami o biurko. - Ta cała poza leniwego Południowca darmozjada. „Wolę leżeć niż siedzieć”. To tylko fasada!

- Mylisz się, złotko - sprostował, ubawiony patrząc, jak biega po pokoju. - Wydaje mi się, że macie tam na północy inną definicję słowa „leniwy”. U nas leniwy znaczy rozluźniony.

- Spojrzał na nią z boleścią. - Słonko, naprawdę chciałbym, żebyś się tego nauczyła.

Powodujesz okropne zawirowania.

- Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że znalazłam na ciebie sposób, wymykasz się.

Jak wirus. - Zrobiła w tył zwrot. - Jesteś biznesmenem!

- Nie sądzę, żeby określenie to pasowało do mnie, Caro. Kiedy myślę o biznesmenie, widzę kogoś takiego jak Donald Trump albo Lee Iacocca. Eleganckie garniturki, paskudne rozwody, wrzody jak kurze jaja. No, jest jeszcze Jed Larsson. Z zasady nosi garnitur tylko w niedzielę i był mężem swojej Jollette, odkąd pamiętam. Ale cierpi na pieczenie w żołądku.

- Zmieniasz temat.

- Nie, cały czas krążę wokół niego. Można powiedzieć, że nadzoruję od czasu do czasu jakieś przedsięwzięcie. A ponieważ mam smykałkę do liczb, nie wymaga to specjalnego wysiłku.

Opadła na kanapkę i spojrzała na niego spode łba.

- Nie marnujesz życia.

- Zawsze odnosiłem wrażenie, że się nim cieszę. - Przysiadł obok niej. - Ale jeżeli to cię uszczęśliwi, spróbuję je zmarnować.

- Och, zamknij się na chwilę. Próbuję myśleć. - Skrzyżowała ramiona na piersiach.

Niewydarzony? przypomniała sobie. Czy nie tak nazwała go Lulu? Ha, ha! Facet doskonale wie, co robi, i najwyraźniej robi to od lat, według własnego systemu. Czy nie dostrzegła tego sama? Sposób, w jaki uśmiechał się sennie w jednej chwili, przewiercał ci mózg spojrzeniem w drugiej?

- Tego dnia, przed tą historią z Bonnym, powiedziałaś, że pracowaliście z Dwayne'em w polu?

- Zdarzało się.

- I wspomniałeś kiedyś, że Dwayne ma dyplom, którego nie chce wykorzystać. Czy ty też go masz?

- Nie mam. Nigdy nie miałem umiejętności Dwayne'a prześlizgiwania się przez szkoły. Nie zrobiłem dyplomu. Ale studiowałem zarządzanie i księgowość. - Uśmiechnął się swobodnie. - Nie trzeba wielkiego rozumu, by wykombinować, że lepiej siedzieć za biurkiem, niż pocić się na polu bawełny.

Syknęła tylko.

- Nie mogę uwierzyć, że przyszedłam tu, aby cię bronić.

- Bronić mnie? - Objął ją przez plecy, żeby zanurzyć twarz w jej włosach. - Złotko, to strasznie miło z twojej strony. Boże, ślicznie pachniesz. Lepiej niż ciasto wiśniowe.

- To mydło - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - I woda.

- Doprowadza mnie do szaleństwa. - Zaczął całować jej szyję. - Do zupełnego szaleństwa. Zwłaszcza to miejsce tutaj.

Zadrzała, kiedy pocałował ją pod brodą.

- Przyszedłam z tobą porozmawiać, Tucker, nie... Och! - jęknęła kiedy zaczął robić podstępne, uwodzicielskie rzeczy z jej uchem.

- Mów, mów - zachęcił ją. - Mnie to w ogóle nie przeszkadza.

- Gdybyś tylko przestał na chwilę.

- Okay. - Przerzucił się z ucha z powrotem na szyję. - No, słucham. Czują, że myśl jej się mąci i odchyliła głowę, żeby ułatwić mu dostęp.

- Matthew Burns był dzisiaj u mnie. - Jego usta zatrzymały się, poczuła, jak cały sztywnieje, po czym powoli, powoli się rozluźnia.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to dziwiło. Ma na ciebie oko. Ślepy na galopującym koniu by to zobaczył.

- To nie ma nic wspólnego z... To nie była wizyta towarzyska. - Do diabła z rozsądkiem, zdecydowała Caroline i poszukała ustami jego warg. Westchnęła cicho, kiedy dostarczał im obojgu przyjemności długimi powolnymi pocałunkami. - Mówił, żebym się od ciebie odczepiła.

- Hmm. Ku mojej głębokiej frustracji, nawet się jeszcze nie doczepiłaś.

- Nie, on mówił o sprawie. O morderstwie. - Światło rozbłysło jej w głowie i odskoczyła od Tuckera. - O morderstwie - powtórzyła. Spojrzała na swoją rozpiętą bluzkę i rozdziawiła usta. - Co ty robisz?

Odetchnął głęboko.

- Rozbieram cię. Już od dłuższego czasu. - Wyprostował się, patrząc na nią uważnie. -

A teraz sprawa znów się odwlecze.

Drżącymi palcami zapinała guziki.

- Powiem ci, kiedy będę chciała, żeby mnie rozebrać.

- Caroline, mówiłaś mi to bardzo wyraźnie. Do momentu, kiedy zaczęłaś znowu myśleć. - Podeszedł do barku przyrządzić sobie drinka w nadziei, że ugasi ogień w żyłach. -

Napijesz się?

- Nie.

- A ja tak. - Nalał sobie whisky na dwa palce. Uniosła dumnie głowę.

- Możesz być tak zirytowany, jak ci się...

- Zirytowany? - Błysnął ku niej oczami i podniósł szklankę do ust. - Skarbie, to bardzo łagodne określenia na stan, w jakim się znajduję. Żadna kobieta nie podniecała mnie tak, w dodatku bez żadnego wysiłku ze swej strony.

- Przyszłam tu, żeby cię ostrzec, nie podniecać.

- Dokładnie o tym mówię. - Dopił drinka, przez chwilę zastanawiał się, czy nie zrobić sobie następnego, w końcu zdecydował się na połówkę papierosa. - Kto to jest Luis?

Dwukrotnie otworzyła i zamknęła usta, zanim udało jej się przemówić.

- Słucham?

- Słyszałaś doskonale. Po prostu nie chcesz mi odpowiedzieć. Susie napomknęła, że jest jakiś Luis, na którego jesteś skurwiona. - Spojrzał na ogryzek papierosa, który palił. -

Idiotyczne imię.

- „Tucker” brzmi o tyle bardziej dystyngowanie. Odprężył się na tyle, by móc przywołać swój zwykły uśmiech.

- Zależy od punktu widzenia. Kim on jest, Caro?

- Ktoś, na kogo jestem wkurwiona - powiedziała lekko. - Może byś jednak wysłuchał, co mam...

- Zranił cię?

Patrzyli na siebie przez chwilę. W oczach Tuckera Caroline zobaczyła cierpliwość, współczucie i, ku swojemu zdumieniu, spokojną siłę.

- Tak.

- Chciałbym obiecać, że ja tego nie zrobię, ale chyba nie mogę.

Coś w niej drgnęło. Drzwi, które dokładnie za sobą zamknęła, uchylały się cichaczem.

- Nie chcę obietnic - zawołała prawie z rozpaczą.

- Nigdy ich nie dawałem. To niebezpieczne. - Spojrzał spode łba na papierosa i zdusił

go w popielniczce. - Ale zależy mi na tobie. Można powiedzieć, zależy jak cholera.

- Ja... Chyba nie jestem jeszcze gotowa... - Stała przed nim nie wiedząc, co zrobić z rękami. - Mnie też na tobie zależy, Tucker. I na tym musimy poprzestać. Przyszłam, ponieważ zależy mi na tobie i chcę, żebyś wiedział, że Matthew Burns szuka sposobu, by udowodnić, że zabiłeś Eddę Lou Hatinger.

- Będzie musiał długo szukać. - Nie spuszczać z niej wzroku, Tucker wcisnął ręce w kieszenie spodni. - Nie zabiłem Eddy Lou.

- Wiem. Może nie rozumiem ciebie, ale wiem, że jej nie zabiłeś. Matthew szuka powiązania między Arnette, Francie i Eddą Lou. Jesteś jego faworytem. Rzucił również parę uwag wskazujących na Toby'ego, i to mnie martwi. Wiem, że mamy lata dziewięćdziesiąte, ale to jest wiejskie Missisipi i konflikty rasowe... - wzruszyła ramionami.

- Większość tutejszych ludzi darzy Toby'ego i Winnie dużym szacunkiem. Nie ma to wielu takich jak Hatingerowie i Bonny'owie.

- Wystarczy paru. Nie chcę, żeby coś się stało Toby'emu lub jego rodzinie. - Postąpiła krok naprzód. - I nie chcę, żeby coś stało się tobie.

- Więc będę musiał zadbać o to, by nic nam się nie stało. - Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał prosto w oczy. - Boli cię głowa. - Łagodnie rozmasował poprzeczną zmarszczkę na jej czole. - Nie podoba mi się myśli że się do tego przyczyniłem.

- To nie ty. - Jak zawsze poczuła zawstydenie słabością, która idzie w parze z bólem.

- To sytuacja.

- Wiec przez chwile nie będziemy myśleć o tej sytuacji. Posiedzimy na werandzie i pooglądamy zachód słońca. - Przycisnął wargi do jej czoła. - i nie musisz się nawet ze mną całować. Chyba że będziesz bardzo chciała.

Udało mu się wywołać uśmiech na jej twarzy.

- A co z twoją pracą?

Opasał ją w talii ramieniem i poprowadził do drzwi.

- Złotko, jedno jest pewne. Praca nie zajęc, nie ucieknie.

Siedzieli więc na werandzie, rozmawiali o pogodzie, o ślubie Marvelli, o postępach Jima w grze na skrzypcach. Patrzyli, jak słońce zniża się ku zachodowi, jak rozbrykany szczeniak próbuje namówić sędziwego Buslera na zabawę, słuchali Oak Ridge Boys, i żadne z nich nie zauważyło błysku światła odbijającego się od szkieł lornetki.

Austin obserwował ich, a jego usta poruszały się w bezgłośnej, żarliwej modlitwie.

Jego umysł pogrążał się coraz głębiej i głębiej w szaleństwo, a za pasem niedzielnych spodni tkwiły dwie trzydziestkiósemki.

Kiedy Cyr zjawił się w przepuście następnego ranka, jego ojciec czekał. Chwycił chłopca za przód koszuli, mrużąc oczy przed ostrym światłem.

- Nie powiedziałaś nikomu? Poznam się na kłamstwie.

- Nie, tato. - Co rano padały te same pytania i te same odpowiedzi. - Przysięgam, że nie. Przyniosłem ci kurczaka i suchary.

Austin chwycił papierową torbę.

- Resztę masz?

- Tak, tato. - Cyr podał mu plastikowy pojemnik z wodą, mając nadzieję, że ojciec tym się zadowoli. Wiedział jednak, że to niemożliwe.

Austin odkręcił pojemnik i wziął trzy długie łyki, po czym otarł usta wierzchem dłoni.

- No, dawaj!

Dłonie Cyra drżały. Strach dławiał go w gardle. Odpiął skórzaną pochwę od paska i podał ją ojcu.

- Tato, policja jest ciągle koło domu, ale znieśli blokady na szosie numer jeden.

Mógłbyś przedostać się do Arkansas.

- Nie możesz się już doczekać, żeby się mnie pozbyć, co? - Austin odsłonił zęby w uśmiechu. Wyjął nóż z pochwy. Ostrze pochwy cięło promień światła i rozbłysło.

- Nie, tato, ja tylko...

- Chciałbyś, żebyś uciekł, co? - Odwrócił nóż w dłoni. Cyr nie odrywał przerażonych oczu od

ostrza. - Chcesz się mnie pozbyć, żeby mieć wolną drogę do grzechu i rozpusty. Żeby bratać się z czarnuchami i włączyć w różowy tyłek wielmożnemu Tockerowi Longstreetowi.

- Nie, tato. Ja tylko... ja tylko... - Cyr gapił się na nóż. Jedno cięcie, jedno szybkie, niedbałe cięcie i jest martwy. - Tylko oni ciągle cię szukają. Nie tak jak przedtem, ale szukają.

- Pan jest moim pasterzem, synu. On mnie chroni. - Nie przestając się uśmiechać, Austin przesunął kciukiem po ostrzu. Na skórze ukazała się cienka czerwona linia. - Ostry jak Jego miecz. A teraz powiem ci, co zrobisz.

Austin zwrócił ostrze ku swojemu synowi. Przez jedną straszną chwilę. kiedy wnętrzności ściał mu łód, Cyr był pewien, że ostrze zatopi się w jego gardle. Ale zatrzymało się o milimetr od skóry.

- Czy słuchasz mnie, synu? Słuchasz mnie?

Cyr zamrugał oczami w odpowiedzi. Bał się odetchnąć. Bał się, że jeżeli to zrobi, nóż przetnie mu jabłko Adama.

- I zrobisz dokładnie to, co ci powiem, prawda? Cyr spojrzał ponad ostrzem w oczy swojego ojca.

- Tak, tato.

Cyr pracował jak oszalały, próbując zabić strach. Rozwoził po ogrodzie taczki mierzwy, kopał doły pod nowe krzewy peonii. Zdrapywał starą farbę i nakładał nową.

Wyrywał chwasty, aż zdrętwiały mu palce, ale strach ciążył mu jak nieświeże jedzenie w żołądku.

Nie zjadł nawet połowy lunchu, który wystawiła mu Della. Zapakował grube sandwicze z wieprzowiną i duży kawał cytrynowego ciasta do płóciennej torby.

Nie mógł nawet patrzeć na jedzenie, ale podejrzewał, że ojciec będzie miał apetyt wieczorem, kiedy już rozprawi się z Tuckerem.

Cyr otarł pot zalewający mu oczy i próbował nie myśleć o tym, co słuszne i niesłuszne, dobre i złe. Musiał myśleć o tym, jak przeżyć. Przetrwać do zachodu słońca, przez noc, do następnego rana, aż do końca tych czterech lat.

Objął wzrokiem Sweetwater, zielone pola pełne bawełny, ciemne, nieruchome wody, kolorowe plamy kwietników. Może to prawda, co mówił ojciec. Może tylko ludzie tacy jak Longstreetowie mogą sadzić kwiaty zamiast ziemniaków i kapusty, i kukurydzy. Może to prawda, że nie zasługują na śliczny, wielki dom, i całą tę ziemię, i łatwe życie. Może to ich wina, że jego własna rodzina klepie biedę i ledwo wiąże koniec z końcem.

A Edda Lou była jego rodzoną siostrą. Rodzina troszczy się o siebie. Tato powiedział, że śmierć Eddy Lou to robota Tuckera.

Gdyby uwierzył ojcu, gdyby mógł mu uwierzyć, wtedy to, co miał zrobić, nie wydawałoby się takie

trudne.

Nieważne, czy jest trudne, czy łatwe, powiedział sobie Cyr podchodząc do bocznej ściany domu, żeby węzem ogrodowym obmyć twarz i ręce. Jest to coś, co musi zrobić, ponieważ jeżeli tego nie zrobi, ojciec przyjdzie po niego. Znajdzie go, choćby nie wiem jak dobrze się ukrył. Przyjdzie po niego już nie z pasem czy piętami. Z czymś gorszym.

- „Jeżeli oko cię zgorszy, wykol je” - powiedział jego ojciec. - Jesteś moim okiem, synu. Moimi oczami.

I przysunął ostrze noża tak blisko, tak blisko jego lewego oka, że Cyr bał się mrugnąć.

- Nie zawieź mnie, synu. Przyrowadź go tutaj, ja będę czekał.

- Skończyłeś na dzisiaj?

Cyr podskoczył na głos Tuckera i oblał sobie wodą buty. Tucker uśmiechnął się i przytknął zapalną do połówki papierosa.

- Della mówiła mi, że jesteś dzisiaj jakiś nerwowo. Lepiej zakręć tego węża, zanim się utopisz.

- Tak, proszę pana. Skończyłem. - Cyr gapił się na swoją rękę. Widział, jak palce zaciskają się na metalowym kurku i przekręcają go.

- Całe szczęście, bo już patrząc na ciebie czuję się przepracowany. Chcesz coli albo cytrynowego ciasta?

- Nie, proszę pana. - Z opuszczoną głową zwijał węża. W gardle czuł coś bardzo zbliżonego do łez. Może się nie uda, pomyślał z rozpaczą. Może Tucker każe mu po prostu zmiatać do domu. Z zaciśniętymi wargami Cyr pokuśtykał w stronę roweru.

- Co ci się stało w nogę?

Cyr stanął tyłem do domu i patrzył niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. „Niech cię pożałuje, chłopcze. Niech cię wsadzi w któryś z tych swoich eleganckich samochodów. I sprowadź go tu do mnie”.

- To nic, panie Tucker. Chyba coś sobie naciągnąłem. - Kuśtykał dalej, modląc się, żeby Tucker zbył go wzruszeniem ramion.

- Wróć do domu i pokaż tę nogę Delii.

Cyr zacisnął dłonie na rączkach kierownicy i rzucił spłoszone spojrzenie w stronę werandy.

- Nie, proszę pana, wolę wrócić do domu.

Tucker dostrzegł łzy w jego oczach i zmarszczył brwi. Duma nastolatka to bardzo drażliwa sprawa.

- Muszę pojechać do miasta załatwić parę sprawunków - improwizował schodząc werandy. - Ta kobieta gania mnie w tę i z powrotem, kup to, załatw tamto. Jak to się dzieje, że kobieta nie potrafi od razu powiedzieć, czego jej trzeba?

Cyr wpatrywał się w plamy rdzy na kierownicy.

- Nie wiem, proszę pana.

- Jedną z tajemnic wszechświata. - Położył chłopcu rękę na ramieniu i poczuł, że Cyr sztywnieje. Z poczuciem winy uświadomił sobie, jaki chłopiec jest chudy i jak ciężko pracuje.

- Zapakuj rower do oldsa, Cyr. Podwiozę cię do domu.

Kłkcie Cyra zbieleły.

- Nie chcę sprawiać kłopotu, panie Tucker.

- I tak muszę przejechać koło zjazdu do twego domu. Chodź, znikamy stąd, zanim ta kobieta przypomni sobie o czymś jeszcze.

- Tak, proszę pana. - Z opuszczoną głową, Cyr doprowadził rower do samochodu. W głowie mu łomotało, kiedy Tucker wyjął kluczyki ze stacyjki i otworzył bagażnik.

- Bóg jeden wie, dlaczego ona jeździ tą łodzią - mruknął Tucker. - Można by tu załadować trzech truposzy. - Odsunął na bok pudło odzieży dla ubogich, trzy pary butów, które należało oddać do szewca przy następnym pobycie w Greenville, karton słoików z kamionki i winchester.

Cyr spojrzał na broń i szybko odwrócił wzrok. Tucker zauważył to spojrzenie.

- Wozi to z sobą od paru miesięcy - powiedział. - Mówi, że będzie jak znalazł, kiedy samochód jej się zepsuje i napatoczy się jakiś zboczeniec. - Tucker przeciągnął starannie linę i przymocował ją do zderzaka. - Wprawdzie nie mogę sobie jakoś wyobrazić Delii siedzącej na masce z winchesterem na kolanach i wypatrującej zboczeńca, ale kto wie.

Cyr nie odpowiedział. Wsiadł do samochodu. Ze schowka przy kierownicy Tucker wyjął parę kaset.

- Chowam je w schowku - powiedział. - Kobieta nigdy nie zagląda do schowka. Co powiesz na Presleya?

- Okay. - Cyr splótł zeszywniałe dłonie na kolanach.

- Chłopie, Presley nie jest okay, Presley jest super. - Tucker włożył kasetę do odtwarzacza i cofnął taśmę do „Heartbreak Hotel”. - Śpiewał wraz z Królem, jadąc aleją. - W

domu wszystko w porządku?



- W domu?

- Twoja mama dobrze się czuje?

- Ona... Jako tako.

- Jeżeli czegoś potrzebujesz, pieniędzy albo czegokolwiek, wystarczy mi o tym powiedzieć. I nie musisz mówić mamie, skąd to masz.

Cyr odwrócił głowę. Nie mógł znieść troski, zwykłej serdeczności.

- Radzimy sobie. - Mignęła mu ciężarówka Toby'ego u wylotu drogi prowadzącej do domu Caroline i zapragnął zapłakać. Nigdy już nie będzie mógł zagwizdać na Jima. Po dzisiejszym dniu, kiedy stał się mordercą.

- Nie powiesz mi, co się dręczy, Cyr? Serce podeszło mu do gardła.

- Nic, panie Tucker. Nic mnie nie dręczy.

- Skończyłem czternaście lat już jakiś czas temu - powiedział Tucker swobodnie. - Ale pamiętam, jak to jest. I pamiętam jak to jest, kiedy ojciec ma ciężką rękę i krótki lont. -

Tucker popatrzył na niego z takim zrozumieniem, że Cyr musiał znowu odwrócić głowę. -

Nie kulałeś, wsiadając do samochodu, Cyr.

Gula strachu zaczęła rosnać. - Chyba... chyba mnie już nie boli ta noga. Tucker milczał przez chwilę, potem wzruszył ramionami. - Skoro tak...

Jechali teraz wzdłuż wąskiego pasemka Little Hope. Cyr wiedział, że za chwilę znajdą się nad przepustem.

- Trzy... trzymam rower w przepuście.

- Dobrze. Wysadzę cię tam, jeżeli chcesz.

- Może mógłby pan...

„Znieść rower na dół. Pomóc mi sprowadzić rower do przepustu, gdzie czeka na pana mój ojciec. Pomoże mi pan, ponieważ zawsze pan pomaga, kiedy pana o to proszą”.

- Co takiego?

Są już prawie na miejscu. Prawie na... Cyr przesunął dłonią po suchych ustach. Nie czuł już w sobie lodowatego strachu, tylko mdlącą grozę. „Muszę go tylko poprosić, i on to zrobi”. Ujrzał błysk - odbicie światła od szkieł lornetki. A może noża.

- Stać! Stać! - W panice chwycił za kierownicę. Samochód zatańczył na drodze, omal nie wpadając do strumienia.

- Co u diabła?! - Tucker odkręcił kierownicę i nacisnął na hamulec. Olds stanął w poprzek drogi. - Straciłeś rozum?

- Niech pan zawróci, panie Tucker, niech pan zawróci, na miłosierdzie boskie, trzeba zawrócić! - Szlochając Cyr uczeplił się kierownicy. - Proszę Boże, odwróć samochód, zanim on przyjdzie nas zabić. Teraz zabije nas obu.

- Cyr, uspokój się!

Oldsmobile obrócił się dostojnie jak okręt wypływający z portu i pomknął z powrotem ku Sweetwater. Skulony na siedzeniu Cyr szlochał z rękoma przy ustach. Wpatrywał się we wsteczne lusterko, podczas gdy Król śpiewał o pałacej miłości.

- On przyjdzie. Wiem, że przyjdzie. Moje oczy, wyjmie mi moje oczy! - Chwycił się za żołądek. Tucker zjechał na pobocze. Wyciągnął Cyra z wozu i trzymał go za głowę, kiedy wymiotował. Potem wyciągnął chusteczkę i otarł chłopcu twarz.

- Oddychaj wolno. Myślisz, że już?

Cyr skinął głową i zaczął płakać. Cicho, beznadziejnie. Tuckerowi ścisnęło się serce.

Siedział osłupiały w otwartych drzwiach samochodu i klepał Cyra po ręce.

- Wypłacz się. Poczujesz się lepiej.

- Nie mogłem tego zrobić. Po prostu nie mogłem. On mnie zabije.

- Kto cię zabije?

Cyr zwrócił ku niemu pocętkowaną, zrozpaczoną twarz. Tucker pomyślał, że wygląda jak zakatowany pies, który czeka na ostatni cios.

- Mój tata. Kazał mi tu pana przyprowadzić. Powiedział, że to za Eddę Lou i że jeżeli oko cię zgorzszy, musisz je wyjąć. Przynosiłem mu codziennie jedzenie. I przyniosłem mu pas i czystą koszulę. I lornetkę. Musiałem. A dzisiaj przyniosłem mu nóż.

Tucker podniósł Cyra za front koszuli i potrząsnął nim mocno.

- Twój tata jest tutaj, w tym przepuście?

- Czeka na pana. Miałem pana przyprowadzić. Ale nie mogłem. - Cyr wywrócił

oczami. - Może już idzie. Może już idzie. I ma te pistolety.

- Wskakuj do wozu.

Cyr zrozumiał z tego, że jedzie prosto do więzienia. Pomagał zbiegowi i stawał się tym samym współsprawcą czy coś takiego. Ale więzienie było lepsze niż wyjęcie oczu nożem.

- Co pan chce zrobić, panie Tucker?

- Odwiozę cię z powrotem do Sweetwater.

- Do Sweetwater? Ale., ale...

- Wejdiesz do domu, zadzwonisz do szeryfa Truesdale'a i wszystko mu opowiesz. -

Spojrzał ostro na Cyra. - Opowiesz?

- Tak, proszę pana. - Cyr otarł łzy z policzków. - Przysięgam. Powiem mu, gdzie jest tata. Opowiem mu wszystko.

- I powiedz mu, żeby przyjechał do przepustu. Szybko. Bez zwłoki. Natychmiast. -

Wjechał w bramę Sweetwater.

- Powiem mu. Przykro mi, panie Tucker. Tak się bałem.

- Porozmawiamy o tym później. - Zatrzymał samochód wzbijając żwir w powietrze. -

Biegnij do domu. Jeżeli nie złapiesz szeryfa w biurze, zadzwoń do niego do domu. Della ma numer. Jeżeli nie będzie Burke'a. szukaj Carla.

- Tak, proszę pana. Co pan chce zrobić? - Szeroko otwartymi oczami patrzył, jak Tucker otwiera bagażnik, wyrzuca rower i sięga po karabin. - Jedzie pan za nim? Będzie pan go ścigał, panie Tucker?

Tucker otworzył karabin, sprawdził magazynek. Podniósł wzrok i utkwiał spojrzenie w twarzy Cyra.

- Tak, to właśnie mam zamiar zrobić. Najlepiej powiedz Burke'owi, że mianowałem się jego zastępcą.

Cyr odwrócił się i pędem pobiegł do domu.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

Mógł sobie wyobrazić każdego, tylko nie siebie zamieszanego w strzelaninę. Już po raz drugi przez Austina Tuck znajdował się w takiej nieprzyjemnej sytuacji, że musiał brać do ręki karabin.

Było to cholernie irytujące.

Ale nie mógł wrócić do domu i siedzieć na werandzie czekając, aż Burke i Carl załatwią sprawę. W

oczach stała mu jeszcze przerażona twarz Cyra, strach dziecka zdawał się wisieć w samochodzie.

„On wyjmie mi oczy!”

Gdzie, na litość boską, usłyszał coś takiego?

Od tego szaleńca, swojego ojca, uznał Tucker.

Zatrzymał samochód. Wsiadł z wozu i używając go jako osłony, otworzył tylne drzwiczki. Jak niemal wszyscy w Innocence Della wozila na parapecie lornetkę.

Kiedy podniósł ją do oczu i nastawił ostrość, betonowa bryła przepustu wyskoczyła mu przed oczami. Nie dostrzegł niczego przy wejściu do przepustu, żadnego ruchu na brzegu Little Hope. Pusto na polu za strumieniem.

Uchwycił błysk z okna wozów mieszkalnych na parkingu, pięć kilometrów dalej.

Obniżył lornetkę i wyraźnie zobaczył siostrę Earleen, Laurilee. Wyszła z przyczepy, uderzyła patelnią w puszkę Mountain Dew i krzyknęła donośnie.

Zwołuje dzieciarnię na kolację, pomyślał Tucker z roztargnieniem i wolno przesunął

lornetkę. Zobaczył świnie ryjące w zagrodzie Marchesów i tabun kurzu posuwający się drogą w stronę miasta. Samochodu nie rozpoznał.

Cisza przerywana jedynie pochłupywaniem strumienia i głosem ptaków, które podśpiewywały bez zapachu, wydawała się czymś namacalnym.

Jeżeli Austin czeka, to w jakimś ciemnym kącie przepustu. Istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Tucker upchnął do kieszeni parę nabojów, nie tracąc nadziei, że nie będzie musiał ich użyć. Podchodził do przepustu przygięty, ze wzrokiem wlepionym w wąski otwór wejściowy. Kiedy znalazł się w odległości pięciu metrów, opadł na brzuch i wysunął

karabin.

- Boże, zrób mi tę przysługę i spraw, żebym nie musiał zabić tego padalca.

Wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

- Austin! Zakładam, że wiesz o mojej obecności - zawołał. Skórę miał wyschniętą na wiór, ręce zupełnie spokojne. - Zadałeś sobie mnóstwo trudu, żeby mnie tu zaprosić. Może wyjdiesz, żebyśmy mogli porozmawiać - rozsądnie. Albo poczekamy na przyjazd Burke'a.

Ciszę przerwał jedynie krzyk kruka.

- Utrudniasz mi życie. Austin. Będę musiał tam wejść. Torturowałeś dziecko, tego nie zdzierzę. Będziemy musieli strzelać do siebie i jeden z nas na pewno umrze. - Westchnąwszy cicho, Tucker

podniósł kamień. - Bardzo nie chcę, żebym to był ja.

Rzucił kamieniem w stronę wejścia i czekał na ostrą odpowiedź karabinu. Cisza.

- Dupa blada - mruknął Tucker i zsunął się w śmierzące koryto Little Hope. W

głowie szumiało mu z wściekłości i strachu. Chwycił karabin jak maczugę i runął ku otworowi przepustu, pewien, że lada chwila naszpikują go ołowiem.

Ale w przepuście nikogo nie było. Tucker stał z karabinem wzniesionym nad głowę, sercem dudniącym jak orkiestra dęta i czuł się odrobinę głupio. W betonowej jamie słyszał

wyraźnie swój chrapliwy oddech.

- W porządku - powiedział spokojnie. - Nikt nie widział, jak robiłeś z siebie idiotę. -

Odwrócił się i szedł już w stronę wyjścia, kiedy coś go powstrzymało.

Czy Austin mógł się gdzieś schować? Znaleźć jakimś cudem dziurę, która mogłaby go pomieścić? Czy czeka, aż Tucker wyjdzie na otwartą przestrzeń, żeby go ustrzelić jak kaczkę?

To głupie, uznał Tucker, zrobił kolejny krok, zatrzymał się i zaklął.

Lepiej być głupim niż martwym, zdecydował, nie wiedział tylko, co wobec tego powinien zrobić.

Przypomniał sobie korkową scenę z „Batch Cassidy and the Sundance Kid”, kiedy Newman i Redford zostali uwięzieni w ostatniej, beznadziejnej klatce filmu.

Sprytnie, ale nie dość sprytnie dla syna Beau Longstreeta, Tuckera. Nie, proszę pana!

On wiedział, co się wydarzyło dalej. Gruchnęły strzały i Butch. i Kid powędrowali w chwale ku wieczności.

Stał w wąskim przepuście, myśląc, że nie jest ani bohaterem, ani człowiekiem wyjętym pod sprawą, a jednak jego duma cierpi na tym, że się kuli i czeka.

Zanim został zmuszony do podjęcia decyzji, usłyszał warkot samochodu, pisk opon i szybkie, gwałtowne trzaskanie drzwiami.

- Tuck! Nic ci nie jest?!

- Tutaj, Burke! - Tucker oparł karabin o ścianę. - Nie ma go.

Usłyszał jak Burke wydaje Carlowi rozkaz, by się rozejrzał, potem światło w otworze zostało odcięte przez szerokie bary szeryfa. - Co się tu, do kurwy nędzy, dzieje? - No, cóż, stary, powiem ci.

- Nie mogłem zrozumieć połowy z tego, co mówił ten chłopak. - Burke wyciągnął

zapalniczkę w stronę połówki papierosa Tuckera. - Ale był cholernie pewny, że ty i jego tata się tu pozabijacie.

- Nie wiem, czy jestem rozczarowany, czy zachwycony tym, że nie mieliśmy okazji spróbować. Cyr to dobry chłopiec, Burke. Austin cholernie go nastraszył, ale Cyr zrobił to, co słuszne. - Wydmuchał wolno dym. - myślę, że będzie najlepiej, jeżeli zatrzymam go w Sweetwater na jakiś czas. Własny dom nie jest dla niego bezpiecznym miejscem. Nawet jeżeli Austinowi nie uda się go dopaść, zrobi to Vernon. Przysięgam na Boga, nie rozumiem, jakim cudem ten dzieciak jest krewnym ich obu.

- Przy odrobinie szczęścia Vernon dowie się o wszystkim dopiero za parę dni. Teraz skoncentrujmy się na odnalezieniu jego ojca. - Kiwnął głową w stronę Tuckera. - Wygląda na to, że się mianowałeś.

- Chwilowa niepoczytalność. - Tucker sięgnął po karabin. Wtedy zauważył napis na ścianie. - A to co? - Podeszedł bliżej. - Daj mi latarkę. Burke - powiedział, a potem zaklął

brzydtko, kiedy odczytał litery.

## OKO ZA OKO

- Boże Wszechmogący! - szepnął Burke, potarłszy palcem pierwsze "O". - Zdaje się, że napisał to krwią. Zwołam chłopaków. Przeszukamy każdy dom, każdą pędź ziemi, ale znajdziemy sukinsyna dzisiaj.

„On wyjmie moje oczy!”

Tucker przycisnął palce do własnych powiek. W uszach dźwięczał mu przerażony głos Cyra.

- Idę z wami. Dostanę tę kiczowatą gwiazdkę?

W ciągu godziny Burke zebrał piętnastu krzepkich, chętnych mężczyzn. Zaniepokoił

się trochę, widząc Billy'ego T. Bonny'ego i Juniora Talbota uzbrojonych po zęby. Mógł mieć tylko nadzieję, że podniecenie wywołane pościgiem zepchnie na dalszy plan animozje osobiste. Dla bezpieczeństwa rozdzielił ich jednak, wysyłając Juniora z grupą Carla, Billy'ego T. zatrzymał przy sobie. Na czele trzeciej grupy postawił powolnego, ale rozsądnego Jeda Larssona.

Podzielił mapę okręgu na trzy terytoria.

- To nie są zawody strzeleckie. Austin ma dwa pistolety, i jeżeli nie strzelał do królików, zmarnował tylko jeden nabój. Bardzo nie chciałbym zakończyć tego dnia kondolencyjną wizytą u czyjejś żony czy dziewczyny.

- Mamy więcej oleju w głowie niż te wypucowane dupki z policji stanowej. - Billy T.

był podniecony perspektywą zestrzelenia czegoś.

Rozległy się chóralne okrzyki dla rozładowania atmosfery. Burke poczekał aż ucichną.

- Ostatni raz widziano Austina w przepuście. Manad nami co najmniej godzinna przewagę, jest pozbawiony środka lokomocji. Sednak człowiek znający okolicę może bez trudu znaleźć sobie kryjówkę. Chcemy go tu żywego, w jednym kawałku. Jeżeli go wyśledzicie, dacie mi znać przez krótkofalówkę. Broni możecie użyć tylko w samoobronie.

Mężczyźni popatrzyli na siebie spod oka. Austin nie był lubiany.

- Jeżeli go zastrzelicie, trzeba będzie odpowiadać na mnóstwo niewygodnych pytań. -

Przenosił wzrok z twarzy na twarz. - Nie idziecie, chłopaki na polowanie. Od tej chwili jesteście w służbie publicznej. No, ruszajcie, i żadnej strzelaniny. - Odwrócił się do własnej grupy. - I niech nam Bóg pomoże.

Burke, Tucker, Billy T., Singleton Fuller i Bucky Koons wsiedli do terenowca.

Singleton natychmiast zapalił cygaro, czego nie wolno mu było robić w domu.

- Nie zawiadomiłeś chłopaków z okręgowej - zauważył mimochodem. Palce Burke'a zacisnęły się na kierownicy.

- To nasze miasto.

W chmurze dymu rozległ się pochwalny pomruk.

Na skrzyżowaniu Old Cypress i Longstreet, które obrał na Bazę A, Burke /jechał na pobocze. Miejsce miało szczególne znaczenie dla Tuckera i Billy'ego T. Ich oczy spotkały się we wstecznym lusterku.

Rozdzielili się; trzyosobowa grupa, z ostrożnym Singletonem na czele, poszła na wschód, Burke i Tucker na zachód.

- Może powiesz mi, co się szykuje między tobą a Billym T.? - zapytał Burke, kiedy zaczęli zataczać wielkie koło, które miało doprowadzić ich z powrotem nad staw McNairów.

- Och, to już historia. - Tucker spojrzał z niepokojem w stronę domu Caroline. -

Naprawdę uważasz, że mógł zajść aż tutaj?

- Nic nie uważam. Mógł pójść w każdym kierunku i może popełniłem błąd, nie zawiadamiając policji okręgowej.

- Pomogli nam ostatnim razem jak cholera! Burke pozostawił to bez komentarza.

- Może ruszył w stronę domu. - Martwił się przez chwilę o Carla i jego grupę. -

Wprawdzie okręgowi ciągle obserwują dom, i on o tym wie, ale zdaje się, że facet nie myśli logicznie.

Tucker napawał się przez chwilę myślą o kilometrach dzielących siedzibę Hatingerów od domu Caroline.

- Mam nadzieję, że tam właśnie poszedł. Schwytają go i zdejmą nam kłopot z głowy. -

Tucker obejrzał się i uchwycił błysk słońca w oknie sypialni Caroline. - Burke, on nie tylko nie myśli logicznie, ale chyba znikował. Tego dnia, kiedy wzięliśmy się za łby, myślał, że ma do czynienia z moim starym. Nie chciał zabić mnie ani w połowie tak bardzo jak starego Beau.

Opanował chęć sięgnięcia po papierosa.

- Powiem ci, co myślę. Wcale nie mnie chciał zwabić do tego przepustu.

Burke zmarszczył czoło. Wiedział cholernie mało o psychologii, jeżeli założyć, że odbiega ona od ludzkiej natury. Ale rozumiał, że mężczyzna może dokonać czynów rozpaczliwych, jeżeli popchnie go do tego kobieta. Może nawet powiesić się na belce we własnej stodole.

- Tyle lat żywiłby urazę o kobietę?

- No wiesz, tu w Innocence cierpimy na nadmiar czasu. Moja mama opuszczała pokój za każdym razem, gdy padło nazwisko Hatinger. Robiła to do końca życia. - Tucker zatrzymał

się, czekając na Burke'a, który przeszukiwał teren na pomocą lornetki. - To mnie zawsze dziwiło. Zapytałem kiedyś Eddę Lou, czy Austin nie zachowuje się dziwnie wobec niej.

Roześmiała się. - Sięgnął jednak po papierosa. - Powiedziała, że czasami, kiedy ją bije, nazywa ją imieniem mojej mamy. - Dreszcz przeleciał mu po plecach. - Widzisz coś?

- Cholera, nic!

Znowu poczuł chłód. Zaciągnął się dymem i pomyślał, że to naturalne odczuwać zdenerwowanie, kiedy człowiek ściga zbiega. A mimo to nie oglądał się już przez ramię ani nie zerkał ukradkiem. Stał na wprost okna sypialni Caroline i gapił się na połyskującą w słońcu szybę.

Coś było nie w porządku. Czuł to tak wyraźnie, jak zapach ozonu w sekundę po uderzeniu piorunu. Coś było cholernie nie w porządku.

- Burke, chcę zajrzeć do Caroline.

- Mówiłem ci już. Susie zaprosiła ją do nas. Siedzą teraz pewnie przy kuchennym stole i gadają o kwiatach i ślubnych tortach.

- Aha. - Tucker poruszył barkami, jakby chciał rozluźnić mięśnie. - Ale chcę tam zajrzeć.

Szedł już w tamtą stronę, kiedy rozległy się strzały.

Caroline piekła kukurydziany chleb według rodzinnego przepisu Happy Fuller.



Kończyła rozrabianie ciasta, kiedy zadzwoniła Susie. Najpierw z zaproszeniem na obiad, potem z żądaniem, by przyszła i przemówiła Marvelli do rozumu w kwestii chryzantem, ale Caroline nie dała się zwieść. Austin Hatinger kręcił się w odległości piętnastu kilometrów od domu McNairów i Susie nie chciała, żeby Caroline siedziała sama.

Caroline była jej wdzięczna. A ponieważ od chwili telefonu każde skrzypnięcie podłogi i każdy cień przyprawiały ją o łomotanie serca, cieszyła się szczerze z zaproszenia.

Nie przypuszczała, żeby Austin zawitał w jej progi. Z pewnością tego nie zrobi. Ale kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, myślała z przyjemnością o spędzeniu wieczoru w bezpiecznej, hałaśliwej kuchni Susie.

Wciągnęła w nozdrza powietrze i uśmiechnęła się. Kukurydziany chleb był prawie gotowy. Zapakuje bochenek. Nieprzydatnego i pojedzie do miasta.

Spojrzała na zegar. Jeszcze pięć minut. Pchnęła siatkowe drzwi i zawołała psa.

- Nieprzydatny, chodź, mały. - Zaklaskała w dłonie i spróbowała zagwizdać. -

Nieprzydatny, chodź! Jedziemy na spacer! - Słyszając popiskiwanie pod nogami, przykucnęła, żeby spojrzeć przez szpary w deskach. Pies tulił się do ściany domu i drżał.

- Głupi psiak. Wychodź zaraz. Co cię tak przestraszyło? Szczeknął dwa razy i przytulił się jeszcze mocniej do muru. Zirytowana Caroline przysiadła na piętach.

- Zobaczył pewnie zaskrońca - mruknęła. Postanowiła, że wywabi go spod werandy za pomocą kości z firmy Milky, Nieprzydatny udowodnił wielokrotnie, że jego siła woli nie wytrzyma konfrontacji z kością mleczną. Caroline zaczęła się podnosić. Wtedy zobaczyła Austina Hatingera.

Przez chwilę myślała, że ma halucynacje. Przecież to niemożliwe, żeby mężczyzna szedł przez jej trawnik z dwoma pistoletami za pasem i nożem w dłoni. Żeby deptał jej świeżo posadzone bratki i uśmiechał się, uśmiechał się sztywnymi wargami, oczami, w których czai się szaleństwo.

Była jeszcze na kolanach, kiedy się odezwał.

- Bóg mnie do ciebie zaprowadził. - Uśmiech zdawał się rozcinać mu twarz. -

Rozumiem Jego wolę. Byłaś z nim. Widziałem cię z nim, zostaniesz złożona w ofierze. -

Podchodząc do werandy, obrócił nóż w dłoniach. - Jak Edda Lou. To musi być tak jak z Eddą Lou.

Caroline poderwała się na nogi i rzuciła w tylne drzwi. Zatrzasnęła je za sobą, szarpnęła zasuway. Zegar w piecyku zaczął brzęczeć i Caroline wrzasnęła dziko. Usłyszała głucho uderzenie w drzwi i dźwięk ten wyrwał ją z bezruchu.

Nie myślała. Kierując się wyłącznie instynktem, porwała colta dziadka. Musi dostać się do

samochodu. Biegając przez dom, usłyszała trzask starego drewna. Drzwi poddały się pod naporem ciała Austina.

I przypomniała sobie, że colt, który trzyma w spoczonej dłoni, jest nie nabity.

Łkając, wybiegła przez frontowe drzwi. Sięgnęła do kieszeni. Naboje wyslizgnęły się jej z palców, potknęła się i omal nie zleciała ze schodów. Odzyskała równowagę i zobaczyła, że wszystkie cztery koła samochodu są przebite.

Austin trzepnął siatkowymi drzwiami o ścianę.

- Nie możesz uciec przed wyrokiem boskim. Jesteś jego narzędziem. Oko za oko, mówi Pan.

Ale Caroline biegła już w stronę bagien. Jeszcze jeden nabój wyslizgnął jej się z rąk i zniknął w trawie. Jej krzyk był tylko chrapliwym oddechem.

- Przestańcie, przestańcie - rozkazała swoim rozlatanym dłoniom, kiedy udało jej się włożyć jeden, potem drugi nabój do magazynku. - Och, Boże, poroszę - Jeszcze parę kroków i znajdzie się wśród drzew. Były schronieniem pułapką. Jedno rozpaczliwe spojrzenie za siebie. Austin był o wyciągnięcie ramienia. Łzy przyćmiewały jej wzrok, kiedy odwróciła się i wystrzeliła.

Rozległ się suchy trzask iglicy. Austin uśmiechnął się.

- Dziś jesteś owieczką Bożą. - Nóż zatoczył łuk ku górze połyskując srebrem. Caroline ujrzała w oczach Austina coś więcej niż szaleństwo. Ujrzała triumf.

W tym momencie Nieprzydatny wystrzelił jak żółty pocisk i wbił ząbki w łydkę Austina. Austin zawył, bardziej z wściekłości niż z bólu. Wystarczył jeden kopniak, by pies zatoczył łuk w powietrzu i wylądował bezwładnie w trawie.

- Dobry Boże! - pomodliła się Caroline i wypaliła ponownie, trzymając broń w obu rękach. Tym razem wstrząs powalił ją na ziemię. Siedziała w trawie osłupiała, patrząc jak na brudnej koszuli Austina wykwita straszna czerwona plama.

A on uśmiechał się ciągle, z nożem wzniesionym ponad głową.

- Proszę, proszę, proszę - zaskomlała Caroline. Broń ponownie podskoczyła jej w dłoni. Zobaczyła, że twarz Hatingera po prostu zniknęła. Austin zgiął się wpół. Zdawało jej się, że wciąż ku niej idzie. Cofała się, ryjąc obcasami bruzdy w trawie.

Nóż upadł u jej nóg, wkrótce po nim upadł i Austin.

Tucker dopadł podjazdu i stanął jak wryty. Z dziko walącym sercem parzył, jak Caroline idzie chwiejnie przez trawnik z psem w ramionach. Za nią leżał Austin, a jego krew barwiła trawę. - Kopnął mojego psa - powiedziała, mijając Tuckera. - Jezu Chryste, Burke! -

Ja się tym zajmę. - Burke schował pistolet i wyjął krótkofalówkę. - Idź za nią. Dopilnuj, żeby nie

wyszła, zanim skończymy. Tucker znalazł Caroline w salonie. Siedziała na bujanym fotelu z oszołomionym psem na kolanach.

- Kochanie! - Przykucnął, głaszcząc ją po twarzy, po włosach. - Kochanie, czy on cię skrzywdził?

- Chciał mnie zabić. - Dalej bujała się w fotelu. Bała się, że oszaleje, jeżeli przestanie.

- Nożem. Mógł mnie zastrzelić, ale musiał to zrobić nożem. Jak Eddzie Lou, powiedział. -

Pies zaczął popiskiwać na jej kolanach. Caroline przytuliła go do piersi jak dziecko. - Już dobrze, już wszystko dobrze.

- Caroline, spójrz na mnie, kochana. - Czekał, aż odwróci głowę. Źrenice miała tak rozszerzone, że tęczówki stanowiły tylko wąską zieloną obwódkę. - Zabiorę cię teraz na górę.

Zaniosę cię i wezwę lekarza.

- Nie. - Odetchnęła głęboko. Nieprzydatny polizał ją w brodę. - Nie wpadnę w histerię.

Nie załamie się. Załamalam się w Toronto. Zupełna dętka. Dość tego. - Przełknęła z trudem ślinę, tuląc twarz do psiego futra. - Piekłam kukurydziany chleb. Nigdy przedtem nie piekłam chleba. Happy dała mi przepis, chciałam zanieść bochenek Susie. Tak dobrze przynależeć do tego miejsca. - Nieprzydatny zlizął łzę z jej policzka. - Widzisz, myślałam, że przyjechałam tu, żeby być sama, a nie wiedziałam, jak bardzo potrzebuję stad się częścią czegoś.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Tucker bezradnie. - Obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze.

- Piekłam chleb w piecu mojej babci i zastrzeliłam Austina Hatingera z pistoletu dziadka. Czy nie wydaje ci się to dziwne?

- Caroline... - Ujął jej twarz w dłonie. Ujrzała w jego oczach gniew, który tak starannie odcedził ze swego głosu. - Przytulę cię na chwilę, dobrze?

- Dobrze.

Oparła mu głowę na ramieniu, kiedy prznosił ją wraz z psem na kanapę. Zadzwoił telefon, ale oboje go zignorowali.

- Zostanę tutaj na noc - powiedział Tucker. - Będę spał na kanapie.

- Nie załamie się. Tucker.

- Wiem, kochana. Odetchnęła głęboko.

- Zegar w piecyku ciągle buczy. - Zagryzła wargę, próbując opanować głos. - Chyba spaliłam chleb.

Ukryła twarz na jego ramieniu i rozpląkała się.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Caroline zeszła na dół czując w sobie pustkę. Efekt wstrząsu i środków nasennych.

Nie miała pojęcia, która godzina. Wiedziała tylko, że słońce świeci mocno, a jej dom jest cichy jak grobowiec. Już było parno. Nawet cienki bawełniany szlafrok zdawał się palić jej skórę. Pomyślała, że wypije kawę mrożoną w samochodzie. Przy włączonej klimatyzacji.

Zabiła człowieka.

Stała u podnóża schodów, z ręką przyciśniętą do serca, jak biegacz łapiący oddech po morderczym sprincie. Poczula, że nogi ma jak z gumy, więc usiadła na stopniu i ukryła twarz w dłoniach.

Wpakowała dwie kule w czyjeś ciało, wymieniając cudze życie na własne. Och, wiedziała, że zrobiła to w samoobronie. Nawet bez cichych, krzepiących zapewnień Burke'a, wiedziała, że zrobiła to w samoobronie. Jakieś kółeczko w umyśle Austina zacięło się i kazało mu ją zamordować.

Ale okoliczności nie zmieniały rezultatu końcowego. Zabrała komuś życie. Ona, której najgwałtowniejszym postępkim było rozbicie kieliszka o ścianę hotelu Hilton w Baltimore, wpakowała dwa czterdziestopięciomilimetrowe naboje w faceta, z którym nie zamieniła nawet dwóch słów. To wielki skok naprzód, pomyślała, przesuując dłońmi po twarzy. Nogi, być może, drżą jej troszkę po twardym lądowaniu, ale to wszystko. Może z tym żyć.

Nie będzie próbowała się za to obwiniać. Nie będzie się dręczyła myślą, że mogła coś zmienić, czemuś zapobiec. To była słabość dawnej Caroline, to Złudzenie własnej ważności, które kazało jej wierzyć, że ma prawo, że czuje się odpowiedzialna, ba, że ma siłę, aby przyjąć na siebie każdy ciężar - koncerty, wymagania matki, zdradę kochanka. Albo gwałtowną śmierć szaleńca.

Nie, Caroline Waverly nie posłucha tego cichego, zdradzieckiego głosu, który szepcze jej o winie, o błędach, o karze.

Wstała, kierując się w stronę kuchni, kiedy skrobanie w drzwi frontowe omal znowu nie zwaliło jej z nóg. Otworzyła już usta do krzyku, kiedy rozpoznała popiskiwanie Nieprzydatnego. Wypuściła powietrze z płuc i poszła otworzyć psu drzwi.

Pełen wdzięczności wpadł do środka w podskokach, a zamaszyste koła, kreślone ogonem wyrażały radość i głęboką ulgę.

- Co ty tam robiłeś? - Pochyliła się, żeby podrapać go za uszami i przyjąć pełne miłości liźnięcia. - Jak się wydostałeś na zewnątrz?

Szczeknął, płacząc się jej pod nogami i węsząc po wypolerowanej podłodze w poszukiwaniu śladu. Ruszył pędem do salonu.

- Bawisz się w Lassie? - zapytała Caroline idąc za nim. - Mam nadzieję, że nie zaprowadzisz mnie

do studni, w którą wpadł Timmy... - Urwała na widok Nieprzydatnego, który usiadł z zadowoloną miną przy kanapie, i półgołego, bosego Tuckera.

Nie wygląda niewinnie, kiedy śpi, uznała. Na jego twarzy maluje się zbyt wiele poczucia humoru i złości. I jest mu zdecydowanie niewygodnie.

Nogi Tuckera zwisały z jednego końca kanapy, zaś szyja była skrzyżowana między poduszką a oparciem. Ramiona trzymał skrzyżowane na brzuchu, nie tyle w geście mającym wyrażać dostojeństwo, ile z prostej konieczności. Gdzie indziej nie było już na niego miejsca.

Mimo niewygodnej pozycji i strumienia światła, które padało mu prosto na twarz, jego pierś unosiła się miarowo w spokojnym oddechu.

Prawda, został z nią na noc. Teraz przypominała sobie, jaki był dla niej dobry, jak czule ją obejmował, kiedy wyplakiwała mu się na ramieniu. Trzymał ją za rękę podczas przesłuchania, dodając jej siły.

To on zaniósł ją do łóżka, ignorując słabe protesty, cierpliwy jak ojciec kładący spać zbyt zmęczone dziecko. Siedział przy niej, podczas gdy proszki nasenne walczyły w niej z adrenaliną. I żeby odgonić cienie strachu, pozostał przy łóżku, opowiadając śmieszna historyjkę o kuzynie Hamie, który trudnił się handlem używanymi samochodami.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, była historia pinto, rocznik 72, który zgubił!

przekładnię biegów natychmiast po wyjechaniu ze sklepu kuzyna Hama.

Caroline poczuła, jak odskakuje zasuwa, na którą zamknęła swoje serce. Westchnęła cichutko.

- Jesteś pełen niespodzianek, co, Tucker?

Nieprzydatny podskoczył na dźwięk imienia i wspiął się przednimi łapami na kanapę, żeby sięgnąć ozorem twarzy Tuckera. Tucker jęknął.

- Okay, kochana. Za chwileczkę. Ubawiona, Caroline podeszła bliżej.

- Nie wiem, czy to będzie warte czekania - powiedziała.

Z nieprzytomnym uśmiechem, Tucker wyciągnął rękę i natknął się na Nieprzydatnego.

- Zawsze... - Przesunął dłonią po grzbiecie psa aż do rozhuśtanego radośnie ogona.

Powoli uniósł powieki i przyjrzał się owłosionej psiej mordzie. - Niezupełnie ciebie miałem na myśli.

Nie zniechęcony tym Nieprzydatny wlaźł cały na kanapę. Tucker podrapał go z

roztargnieniem po łbie, po czym zamknął znowu oczy. : - Czy mi się zdaje, czy cię wypuściłem?

- Chciał wejść z powrotem.

Tucker otworzył oczy, odsunął na bok łeb Nieprzydatnego, i spojrzał na Caroline. W

jednej chwili stracił zaspany wygląd, stwierdziła, a teraz patrzy na mnie jak na ciekawy przypadek chorobowy.

- Cześć!

- Dzień dobry. - Tucker przesunął się trochę na kanapie, a ona przyjęła zaproszenie i usiadła.

- Przepraszam, że cię zbudziliśmy.

- I tak miałem zamiar dzisiaj wstać. - Przesunął palcem po jej policzku. - Jak się czujesz?

- W porządku. Naprawdę. Chcę ci podziękować za to, że ze mną zostałeś. Skrzywił się lekko, prostując szyję.

- Mogę spać wszędzie.

- Właśnie widzę. - Wzruszona, odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów. - Jestem ci bardzo wdzięczna.

- Powinienem pewnie powiedzieć, że to sąsiedzka przysługa. - Chwycił jej rękę, kiedy chciała ją cofnąć. - Ale prawda wygląda tak, że porządnie mnie przestraszyłaś. Kiedy w końcu zasnęłaś, byłaś blada jak śmierć.

- Już mi lepiej. - Pożałowała, że nie ma lustra, w którym mogłaby to sprawdzić. -

Mogłeś skorzystać z któregoś łóżka na górze.

- Myślałem o tym. - Ale kiedy zajął do niej, czwarty albo piąty raz w ciągu nocy, myślał głównie o tym, by skorzystać z jej łóżka. Po to tylko, by ją przytulić, napawać się myślą, że jest bezpieczna. Wtedy wstrząsnęła nim świadomość, że chce by sobie wszystko powiedzieli, wyłożyli kawę na ławę, teraz pragnął po prostu bliskości.

- Chodź tutaj.

Po chwili wahania uległa potrzebie zwinięcia się w kłębek u jego boku. Westchnęła, z głową wtuloną w jego ramię, z psem rozciągniętym w poprzek ich nóg.

- Cieszę się, że tu jesteś.

- Tak żałuję, że nie okazałem się szybszy.

- Niepotrzebnie, Tucker. Musnął wargami jej włosy.

- Muszę ci to powiedzieć, Caroline. Miałem w nocy parę przykrych godzin. On nie napadłby na

ciebie, gdyby nie chodziło o mnie. Chciał zabić mnie, to ja postawiłem cię na jego drodze.

Położyła dłoń na jego sercu, myśląc, że nigdy nie czuła się tak bezpieczna.

- Ja też podchodziłam do życia w ten sposób. Uważałam, że jestem w centrum, że cokolwiek pójdzie nie tak, ja ponoszę za to odpowiedzialność. Myślę, że to niesłychany egocentryzm. Coś takiego wypala dziury, które' trzeba zalepiać proszkami i terapią. Nie zawieźdź mnie, Tucker. Właśnie zaczęłam uczyć się od ciebie, jak żyć dniem dzisiejszym.

- Przeraziłem się, - Kiedy objął ją mocniej, przytuliła się całym ciałem, żeby pocieszyć i uzyskać pociechę. - Nic nie przeraziło mnie tak jak te strzały i świadomość, że jestem za daleko.

- Ja bałam się już wcześniej, tyle razy. Ale po raz pierwszy spróbowałam temu zaradzić. - Spokojnie, świadomie rozprostowała zaciśniętą dłoń. - Nie cieszę się, że to się stało, Tucker, i pewnie nigdy nie zapomnę, jak to jest pociągnąć za spust, Ale mogę z tym żyć.

Patrzył na okruchy pyłu tańczące w smudze światła. On również nie zapomni pewnych rzeczy. Tępej grozy, jaką odczuwał gnając przez puste pola z echem strzałów w głowie. Szklistych oczu Caroline, kiedy wyminęła go i poszła do domu z bezwładnym psem w ramionach.

- Nie jestem bohaterem, Caroline. Bóg wie, jak bardzo nie chcę nim zostać, ale dopilnuję, żeby już nigdy nie przytrafiło ci się nic złego.

Uśmiechnęła się.

- Masz wielkie ambicje - zaczęła i uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Ale w jego oczach nie było uśmiechu. Ujął ją mocno za podbródek.

- Jesteś dla mnie ważna - powiedział wolno, jakby sam chciał zrozumieć te słowa. -

Nikt nigdy nie był dla mnie taki ważny i to jest bardzo trudne do przyjęcia.

Powietrze zdawało się dławić jej płuca, jak wtedy gdy stała na ciemnej scenie, czekając, aż odnajdzie ją snop reflektora.

- Wiem. To jest trudne dla nas obojga.

Ujrzał cień strachu w jej oczach, choć nie spuściła wzroku. A ponieważ była dla niego ważna, ponieważ wszystko w niej nabrało nagle żywotnego znaczenia, nadał głosowi lżejsze brzmienie.

- Dla mnie przede wszystkim nowe. - Pogłaskał ją po policzku. - Oto leżę na jednej kanapie z kobietą i nawet nie próbuję pozbawić ją ubrania. Jeżeli to się rozniesie, stracę reputację.

- Więc może spróbuj. Zamarł z palcem na jej policzku.

- Co?

- Pozbawić mnie ubrania. - Z oczami pełnymi łęków, wątpliwości i pragnień, zbliżyła wargi do jego ust.

Poczuł, że się w niej zatapia, i to także było coś nowego. Powolne, urocze zapadanie się w słodycz. Nie było gwałtownego przyływu pożądania, który witał zawsze z zadowoleniem. Teraz doznawał łagodnego natężenia uczuć, tak subtelnego, jak przejście nocy w dzień.

Kiedy tak tuliła się do niego, mieszając ich oddechy, zrozumiał, że ona ofiarowuje mu coś więcej niż namiętność. Zaufanie. To go niepokoiło. Nie należała do kobiet, które oddają coś mężczyźnie o tak sobie. A on? On zawsze brał od kobiety tyle tylko, ile chciała mu dać.

Brał z uśmiechem i nigdy nie oglądał się za siebie. - Caroline! - Przeczesał pakami jej włosy.

- Chcę ciebie. Czują przy sobie dudnienie jego serca. Powaga, z jaką to powiedział, kazała się jej uśmiechnąć, choć błędził już ustami po jej twarzy. - Wiem.

- Chcę powiedzieć, że naprawdę cię pragnę. - Szlafrok zsunął jej się z ramion i Tucker wtulił usta w ciepłe zagłębienie jej szyi. - Pragnąłem cię już w trzydzieści sekund po tym, jak cię zobaczyłem.

Drżała pod nim z pożądania. Dlaczego rozmawiają? Po co im słowa, skoro ona chce tylko czuć?

- Wiem.

- Tylko że... - Jej szyja była taka biała, taka gładka. - Dotąd nie byłem specjalnie stały w sprawach z kobietami.

Przesunęła dłońmi po jego nagich plecach, badając intrygującą falistość mięśni.

- Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.

- Nie chcę. żebyś żałowała. - Otarł się policzkiem o jej policzek, potem odsunął twarz.

W jego pociemniałych oczach malowały się uczucia, nad którymi wołała się nie zastanawiać.

- Nie zniósłbym, gdybyś żałowała.

- Kto by pomyślał, że zaczniesz komplikować tę sprawę.

- Wierz mi, też się czuję zaskoczony. - Wplątał dłonie mocno w jej włosy. - Z tobą nic nie jest proste, Caroline. Chciałbym ci to jakoś wyjaśnić.

Nie musiał nic wyjaśniać. Jego oczy powiedziały jej wszystko. Poczwała liźnięcie strachu.

- Nie chcę żadnych wyjaśnień. - Rozpaczliwie przyciągnęła go do siebie. - Chcę czuć, że żyję. Chcę tylko czuć.

Jej pożądanie uniosło go, wchłonęło. Chciała od niego tego, czego on chciał zawsze od kobiety:



zwykłej, naturalnej przyjemności. Jeżeli tkwił w tym okruchu żalu, postara się o nim zapomnieć. Jednym szarpnięciem rozchylił poty szlafroka i napawał się widokiem jej białego, smukłego, gładkiego jak atlas ciała. I jeżeli nawet nie różniła się od tamtych kobiet, które znał, odsunął od siebie niepokojące myśl i po prostu brał, co mu ofiarowała.

Rzuciła się w ten wir bezrozumnie, chłonęła jego pożądanie, jak wygłodniały człowiek połyka kęs chleba. Ona szukała tylko przyjemności w ciele drugiego człowieka.

Żadnych myśli, przysięgła sobie. Żadnych uczuć.

Potrzebowała jedynie wyzwolenia, jakie daje dobry, oczyszczający seks.

Krzyknęła z ulgi, kiedy doprowadził ją do ostrego, rozdzierającego orgazmu.

Słyszała jego przerywany oddech, kiedy swoimi dłońmi zaczął koić, uciszać.

Wyszeptał coś i choć nie rozumiała słów, słodki ton głosu omal nie doprowadził jej do łez.

Siłą woli powstrzymała się, by nie ucześcić się go i nie zapłakać.

Przeraziły ją uczucia, które wkradły się w nią jakoś tak niepostrzeżenie. Nie chciała ich i zniszczyła je w zarodku, brutalnie i pewnie. Tucker szeptał coś jeszcze z ustami na jej ustach, kiedy zaczęła ścigać mu dzinsy. Zesztywniał, kiedy go dotknęła, objęła gorącą, pożądaną dłońią. Pokój zakołysał się, ona już owijała się wokół niego.

- Caroline, poczekaj!

Ale już go otaczała, wciągała w siebie, w swój oszalały rytm.

Złapała go w pułapkę jego własnych pragnień. Więc dał się ponieść ku spełnieniu, wiedząc już, że to spełnieniem nie będzie.

Leżała bardzo spokojnie, ze szlafrokiem skłębionym pod pośladkami. Tak, teraz czuła, że jest żywa. Obolała, opuchnięta, rozedrgana i żywa. Gdyby tylko nie czuła w środku takiej pustki.

Gdyby tylko on coś powiedział! Gdyby podniósł głowę, uśmiechnął się, zażartował głupio i rozładował napięcie.

Cisza się przeciągała. Rytm jego serca wrócił do normy, a cisza się przeciągała.

Wiedział, że jest ciężki, ale odwlekał chwilę, gdy będzie się musiał odsunąć. I spojrzeć jej w twarz.

Dobry seks, pomyślał. Tak, to był dobry, czysty seks, z pominięciem tych wszystkich zdradliwych, niezrozumiałych emocji. Dobry seks, pomyślał z pewnym niesmakiem. Nie było powodu, by czuć się... „wykorzystanym”, tak chyba brzmi to słowo. Pożałował, że nie może się z tego pośmiać.

Czy dlatego Edda Lou była taka rozgoryczona? zastanowił się. Z westchnieniem otworzył oczy i gapił się na pusty pokój. Nie, Edda Lou nie myślała o nim. Myślała o jego pieniądzach, jego nazwisku, pozycji, ale nie o nim. Seks był dla niej tylko środkiem prowadzącym do celu.

Przynajmniej mieli ze sobą coś wspólnego.

Ale musiał być przecież ktoś, między jego pierwszą młodzieńczą przygodą a tą potyczką z Caroline, kto o nim myślał. Kto chciał czegoś więcej, a zadowolił się byle czym.

Ktoś, kto leżał w bolesnej ciszy po burzy.

Otrzymałem dokładnie to, na co zasłużyłem, pomyślał. Po raz pierwszy zapragnął

więcej i natknął się na kobietę, która nie chciała ani brać, ani dawać.

No cóż, miał jeszcze swoją dumę. Słaba to pociecha, ale lepsza niż skomlenie.

Odsunął się od Caroline i siadając naciągnął spodnie.

- Wzięłaś mnie przez zaskoczenie, skarbie. - Uśmiech wykrzywił mu wargi nie sięgając oczu. - Nie dałaś mi czasu, żeby się odpowiednio przystroić.

Dopiero po chwili zrozumiała, że mówi o braku kondomu. Uznała, że najlepiej wzruszyć ramionami.

- To było przyjęcie - niespodzianka. - Unikając jego oczu usiadła i otuliła się połamami szlafroka, - Wezmę pigułkę.

- A więc wszystko gra. - Chciał pogłaskać ją po zmierzwionych włosach, ale nie zrobił

tego. Wstał. - Wygląda na to, że uspiliśmy twojego - Wskazał na Nieprzydatnego, który spał pod krzesłem pochrupując. Tucker wsadził ręce w kieszenie. - Caroline.

- Myślę, że zrobię kawy. - Poderwała się z kanapy, jakby głos Tuckera uruchomił dźwignię. - I śniadanie. Jestem ci winna śniadanie.

patrzył, jak przygryza dolną wargę, jak jej oczy, pociemniałe z napięcia, omijają jego twarz.

- Skoro tak chcesz. Pozwolisz, że wezmę prysznic?

- Nie krępuj się. - Westchnęła, nie wiadomo, z ulgą, czy żalem, i starała się to zatuszować słowami. - Na górze, drugie drzwi na prawo. Na półce są świeże ręczniki. Trzeba trochę poczekać, aż woda się nagrzeje.

- Nie śpieszy mi się - powiedział i wyszedł wolno z pokoju.

Umycie się jej mydłem wprowadziło go w lepszy humor. Wyszorowanie zębów szczoteczką Caroline -

nie mógł znaleźć innej - pozostawiło mu w ustach jej smak.

Sprawy czysto fizyczne. Będzie o wiele lepiej, jeżeli skoncentruje się na sprawach fizycznych. Naprawdę nie ma potrzeby doszukiwać się głębszego znaczenie w miłej porannej przygodzie miłosnej.

Schodząc ze schodów wkładał koszulę. Poczul zapach kawy i bekonu. Zwyczajne poranne wonie, które nie powinny wywołać paroksyzmu tęsknoty za kobietą. Szedł przez hol w stronę kuchni, kiedy usłyszał warkot samochodu.

Z rozpiętą koszulą, kciukami zatkniętymi w kieszenie spodni, stanął w siatkowych drzwiach i patrzył, jak agent specjalny Matthew Burns parkuje samochód. Przez chwilę dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Jeden odziany w czarny garnitur i jedwabny krawat, drugi nie ogolony i niezupełnie ubrany. Wzajemna niechęć wisiała w powietrzu.

Tucker otworzył siatkowe drzwi i oparł się o nie niedbale.

- Trochę wcześniej na składanie wizyt.

Burns zamknął samochód, schował kluczyki do kieszeni.

- Sprawy zawodowe. - Obrzucił wzrokiem nagą pierś i wilgotne włosy Tuckera.

Doszedł go zapach śniadania i zacisnął wargi. - Muszę wam niestety przeszkodzić.

- Już nie jesteś w stanie - powiedział Tucker uprzejmie. - Co możemy dla ciebie zrobić?

- Bardzo się tym chlubisz, co? Longstreet?

Tucker uniósł brwi. - Czym, proszę?

- Zdolnością uwodzenia kobiet?

- Po to tu przyjechałeś? Żeby udzielić ci paru wskazówek? - Tym razem jego uśmiech nie był czarujący, był nieprzyjemny. - Zajmie nam to trochę czasu, Burns. Masz spore zaległości.

Burns zacisnął zęby. Prosty fakt, że kobieta taka jak Caroline wybrała Tuckera zamiast jego, Burnsa, paliła go żywym ogniem.

- Uważam, że twój... styl, nazwijmy to tak z braku lepszego określeni jest żalorny.

- Jeżeli chciałeś mnie obrazić, nie udało ci się. Nie staram się zrobić na tobie wrażenia.

- Wolisz bezradne kobiety.

- Wiesz - Tucker przesunął dłońią po szczecinie na brodzie. - W życiu nie spotkałem bezradnej kobiety. Caroline nie jest nią z pewnością. W tej chwili jest być może trochę roztrzęsiona. Potrzebuje

kogoś, na kim mogłaby się oprzeć, zanim znów stanie mocno na nogach. Ma mnie, jak długo tylko zechce. Lepiej przyjmij to do wiadomości.

- Wiem jedno, bez skrupułów wykorzystujesz kobietę w chwili jej słabości. Masz dojrzałość emocjonalną grzyba. Edda Lou Hatinger była ostatnią pozycją na długiej liście twoich ofiar. A co do Caroline...

- Caroline może mówić za siebie. - Stała w drzwiach i położyła rękę na ramieniu Tuckera. Żadne z nich nie wiedziało, czy był to gest zachęty, czy ostrzeżenia. - Chcesz ze mną porozmawiać, Matthew?

Ogarnęła go nagła fala strasznego gniewu. Caroline była naga pod szlafrokiem, a sposób, w jaki stała przy boku Tuckera, świadczył nie tylko o tym, że dokonała wyboru.

Świadczył o intymności. Niezależnie od swego geniuszu, swojej delikatnej urody, w jego oczach spadała do poziomu dziwki.

- Myślałem, że będzie ci wygodniej rozmawiać ze mną tutaj niż w biurze szeryfa.

- Tak, rzeczywiście. Dziękuję ci. - zaproponowałyby mu kawę w salonie, ale nie miała zamiaru zostawiać ich samych. - Może pójdziemy do kuchni... Szykowałam właśnie śniadanie.

- Pana Longstreeta przesłucham później - powiedział sztywno Burns.

- Ale w ten sposób oszczędzisz masę czasu. - Caroline obserwowała ich czujnie, kiedy szli przez hol.

- Masz ochotę na jajka, Matthew?

- Dziękuję, już jadłem. - Burns usiadł przy stole. Pasował do wiejskiej kuchni jak pięść do nosa. - Ale z przyjemnością napiłbym się kawy, jeżeli nie sprawi ci to kłopotu.

Caroline postawiła dzbanek na drucianej podstawce w kształcie koguta. Dziwne, pomyślała nakładając na talerze jajka i bekon. Prawie zapomniała, że wczoraj wpadła tu krzycząc i szlochając, podczas gdy zabójca rozbijał pięściami drzwi.

Spojrzała na nie teraz. Została tylko siatka. Ktoś, Burke albo Tucker, zabrał połamane framugi. Parę drzazg leżało jeszcze na podłodze.

- Chcesz, żebym złożyła zeznanie w związku z wczorajszym wydarzeniem -

powiedziała, pochłonięta nalewaniem śmietanki do kawy. - Opowiedziałam już wszystko Burke'owi.

- Tak, czytałem twoje oświadczenie.

Tucker zauważył, że Caroline spogląda niespokojnie w stronę drzwi, pogłaskał ją delikatnie po ramieniu.

- Nie znam się na prawie - powiedział - ale czy to, co się tu wczoraj wydarzyło, nie jest problemem miejscowej policji?

- Nie. Caroline, byłbym wdzięczny, gdybyś opowiedziała mi wszystko po kolei. -

Burns włączył magnetofon.

Nie było to trudne. Wydarzenie poprzedniego dnia wydawały się tak odległe, przyćmione. Odtwarzała je w myślach, zupełnie jakby miała je nagrane w głowie na taśmę.

Burns pozwolił jej mówić. Robił tylko krótkie notatki.

- To dziwne, że uważasz, że Hatinger nie użył żadnego ze swych pistoletów? -

stwierdził tonem pogawędki, dopijając drugą filiżankę kawy. - Oba były naładowane, a z tego co wiem, był doskonałym strzelcem. Z opisu twojej ucieczki, z tylnej werandy, przez cały dom, kuchnię na trawnik, wynika, że mógłby cię zastrzelić dziesięć razy. A on nawet nie wyciągnął pistoletu.

- Miał nóż - powiedziała i nie usłyszała nuty hysterii w swoim głosie. Usłyszał ją Tucker.

- Nie widzę sensu tych pytań, Burns. Może on nawet nie pamiętał, że ma pistolety.

- Może. A jak myślisz, Caroline, czy on był świadomy tego, że posiada pistolet? -

Podniósł filiżankę, łyknął kawy i ciągnął, nie czekając na jej odpowiedź. - Powiedziałaś, że chwyciłaś pistolet w biegu, kiedy Hatinger był jeszcze na zewnątrz.

- Tak. Strzelałam do celu. Zawsze rozładowuję broń, kiedy kończę strzelać. Czasem wkładam naboje do kieszeni. Pomyślałam nawet, że to brzydki zwyczaj i że muszę się od tego odzwyczaić. - Opuściła widelec, uderzając nim o talerz. Zapach jajek i bekonu przyprawiał ją o mdłości. - Chyba jednak dobrze, że się nie odzwyczaiłam.

- Co za szczęście, że miałaś dość przytomności umysłu, by w ogóle załadować pistolet.

Uśmiechnęła się do Burnsa z przymusem.

- Można powiedzieć, że przywykłam do działania w warunkach stresu. Skinął tylko głową.

- Rekonstruując te ostatnie momenty, kiedy odwróciłaś się i wystrzeliłaś, czy mogłabyś zaryzykować stwierdzenie, że Hatinger nie zdawał sobie sprawy, iż jesteś uzbrojona?

- To stało się bardzo szybko. Miała wrażenie, że trwa wiecznie. Wydawało jej się, że biegnie w gęstym syropie. Potrafiła z łatwością odtworzyć tę scenę, ten horror na zwolnionych Obrotach. Ściana gorąca, która dławi oddech. Przerazające uczucie, że trawa zrobiła się grząska i pęta nogi. Srebrny błysk noża w bezlitosnym słońcu. I ten grymas, wzdargliwy, głodny uśmiech.

- Ja... - Zacisnęła usta i zdławiła ostatnie, brzydkie pozostałość strachu. - Strzeliłam, ale nic się nie stało. On dalej szedł ku mnie. Trzymał nóż i uśmiechał się. Tylko się uśmiechał. Myślę, że płakałam albo krzyczałam, albo się modliłam, nie wiem, a on ciągle się zbliżał i ciągle się uśmiechał. Trzymała pistolet w wyciągniętych rękach, a on powiedział, że jestem owieczką bożą, ofiarą. Że to

będzie tak, jak z Eddą Lou. Musi być tak, jak z Eddą Lou.

- Jesteś tego pewna? - Burns trzymał filiżankę pięć centymetrów nad talerzykiem. - Na pewno powiedział, że to musi być tak jak z Eddą Lou?

- Tak. - Wzdrygnęła się i odsunęła nietknięte śniadanie. - Nie sądzę żebym zapomniała o czymkolwiek, co powiedział.

- Poczekaj chwilę. - Tucker położył dłoń na ramieniu Caroline. Przez ostatnie minuty nie tylko słuchał, ale i obserwował. Burns wyglądał jak ogar na tropie. - On cię nie przesłuchuje w sprawie jakiegoś zbiegłego szaleńca. To dla niego za drobna sprawa, lokalna burda nie zainteresowałaby przecież agenta federalnego. Ty sukinsynu!

- Tucker, proszę!

- Nie. - Spojrzał płonąącym wzrokiem na Caroline. - Nie rozumiesz? Jemu chodzi o Eddę Lou. O Eddę Lou i te inne dziewczęta. To nie ma nic wspólnego z tobą, poza tym, że udało ci się nie zostać następną ofiarą.

- Następną... - zaczęła i urwała. Krew uciekła jej z twarzy. - Och, Boże, nóż! Nie zastrzelił mnie, ponieważ... to musiało być tak jak z Eddą Lou. Musiał użyć noża.

- Tak, noża. - Dłoń Tuckera zsunęła się z ramienia Caroline, szukając jej dłoni. - I ty mówisz o wykorzystywaniu, Burns? - Głos Tuckera stracił nagle południową rozwlekłość. -

Wykorzystujesz Caroline w celu zebrania dowodów przeciwko Hatingerowi. Wykorzystujesz ją do rozwiązania sprawy, nie mówiąc jej o tym.

Burns odstawił skrupulatnie filiżankę na podstawkę.

- Prowadzę śledztwo w sprawie serii morderstw. Nie jestem zobowiązany do informowania osób postronnych o moich poglądach na sprawę.

- Pieprz się! Wiesz, przez co ona przeszła. Poinformowanie jej, że koszmar się skończył, nic by cię nie kosztowało.

- Regulaminowa procedura - powiedział Burns krótko.

Caroline zacisnęła palce na dłoni Tuckera, zmuszając go do milczenia.

- Mogę mówić za siebie. - Odetchnęła głęboko. - Nie znałam Eddy Lou, ale zawsze będę widziała ją pływającą w moim stawie. Nigdy w życiu nie popełniłam gwałtownego czynu. Och, kiedyś rzuciłam w kogoś kieliszkiem do szampana, ale nie trafiłam, więc to się nie liczy. Wczoraj zabiłam człowieka. - Przycisnęła dłoń do żołądka. Zagnieździł się tam znajomy, tępy ból. - Może tobie nie wydaje się to straszne, Burns, zważywszy rodzaj twojej pracy oraz fakt, że zrobiłam to w obronie własnej. Ale zabiłam człowieka. Teraz ty przychodzisz i prosisz mnie, żebym przeżyła to w myślach jeszcze raz. I nawet nie raczysz mi powiedzieć, po co.

- Caroline, to są jedynie zwykłe rozważania. Dla twojego dobra... - jęknął się kiedy gwałtownie poderwała głowę.

- Czy wiesz - powiedziała wolno - że kiedyś zagroziłam mężczyźnie że go zabiję, jeżeli jeszcze raz użyje w stosunku do mnie tego zwrotu? Oczywiście, nie myślałam tego poważnie. Była to jedna z tych typowych gróźb, które rzucają ludzie nie mający pojęcia, co to znaczy zabić człowieka. Ale radzę ci nie używać tego zwrotu w rozmowie ze mną. Denerwuje mnie.

Zachwycony Tucker rozparł się z uśmiechem na krześle.

- Ma ostry język - zwrócił się do Burnsa. - To wielka przyjemność słyszeć, jak używa sobie na kimś innym dla odmiany.

- Przepraszam, jeżeli cię uraziłem - powiedział Burns cierpko. - Wykonuję swoją pracę najlepiej jak potrafię. Nie mamy dowodów na to, że Austin Hatinger jest sprawcą trzech morderstw w Innocencie i jednego w Nashville. Jednakże, biorąc pod uwagę wczorajszy incydent, śledztwo skupi się na jego osobie.

- Będziecie w stanie udowodnić, że to jego nóż? - zapytała Caroline.

- Po pewnych testach laboratoryjnych będziemy w stanie stwierdzić, czy był to ten sam rodzaj noża - przyznał Burns niechętnie. - Teraz mogę tylko powiedzieć, że Hatinger spełnia warunki psychologiczne masowego mordercy. Głęboka niechęć do kobiet, której dał

wyraz maltretując żonę. Mania religijna, przeświadczenie, że powierzono mu misję walki z grzechem. Wrzucając ciała do wody mógł się kierować nie tyle chęcią pozbycia się dowodów, ile dążeniem do oczyszczenia ofiary. Niestety już nigdy nie dowiemy się, jakie były motywy jego czynów. W zaistniałych okolicznościach mogę jedynie starać się odtworzyć jego zachowania, zbadać jego alibi na czas dokonania trzech morderstw. Jednocześnie będę prowadził śledztwo w innych kierunkach.

Jego spojrzenie spoczęło na Tuckerze. Tucker tylko się uśmiechnął.

- Masz więc jasno wytyczoną linię postępowania i mnóstwo pracy. Nie będziemy cię zatrzymywać.

- Chcę porozmawiać z Cyrem Hatingerem. Uśmiech Tuckera przygasł.

- Jest w Sweetwater.

Burns wstał, ale nie odmówił sobie przyjemności dobicia przeciwnika.

- Czy to nie dziwne, że Hatinger chciał zapolować na ciebie, a dopadł Caroline?

Niektórzy ludzie przynoszą pecha. - Był ekspertem w rozpoznawaniu poczucia winy. Z

przyjemnością patrzył, jak cień zasnuwa twarz Tuckera. - Jeżeli przypomnisz sobie o czymś, Caroline, wiesz, gdzie mnie szukać. Dziękuję za kawę. Nie fatyguj się, znam drogę do drzwi.

- Tucker... - zaczęła Caroline, kiedy zostali sami, ale on potrząsnął tylko głową i wstał.

- Muszę przemyśleć to i owo. - Przeciągnął dłonią przez włosy. Były suche, ale pachniały jej szamponem. Nawet taki drobiazg wywołał tęsknotę. - Poradzisz sobie? Może mam zadzwonić do Josie albo Susie?

- Nie, nie, poradzę sobie. - Ale miała wątpliwości co do niego. - Ludzie tacy jak Matthew muszą rozumować w kategoriach winy i kary.

- I mają po części rację. Słuchaj, muszę lecieć. Nie chcę zostawiać z nim Cyra samego.

- Wsadził ręce do kieszeni. - To tylko dzieciak.

- Jedź. - Będzie lepiej, pomyślała, jeżeli zostanie sama. Odłoży rozmowę o tym, co wydarzyło się między nimi tego ranka. - Poradzę sobie naprawdę. - Zebrała talerze.

Nieprzydatny dostanie królewskie śniadanie.

Kiedy odwróciła się w stronę zlewu, położył dłoń na jej ramieniu.

- Wrócę.

- Wiem. - Był już przy drzwiach. - Tucker, dziękuję ci, że powiedziałeś Matthewowi, że nie jestem bezradna. To wiele znaczy dla kogoś, kogo ludzie przywykli postrzegać w ten sposób.

Stała odwrócona do niego tyłem, widział tylko jej wyprostowane plecy. Patrzyła na miejsce, gdzie krew zaschła na trawie.

- Będziemy musieli porozmawiać, ty i ja. O bardzo wielu sprawach. Nie odpowiedziała, więc zostawił ją samą.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Jego tata nie żyje. Powiedziała mu o tym panna Della. Tata nie żyje. Nie będzie więcej bicia pasem, nie będzie bicia w ogóle. Nie będzie nawoływań do groźnego Boga, by ukarał

grzeszników za ich nieczne czyny, lenistwo, sprośne myśli.

Panna Della usadziła go w jasnej kuchni i powiedziała mu, że jego tata nie żyje, a w jej oczach malowało się serdeczne współczucie.

Bał się, tak się bał, że skończy w piekle. W gorącym czarnym kotle, które tak obrazowo opisywał mu ojciec. Czy mógł oczekiwać wybaczenia i miejsca przy stole Bożym, skoro skrywał w sercu tak straszną tajemnicę? Tajemnicę, o której szeptał mu diabeł z piekielnym chichotem? Jego tata nie żyje. A on się z tego cieszy.

Łzy, które panna Della cierpliwie ocierała, nie były łzami żalu czy rozpacz. Były łzami ulgi. Rzeką



radości i nadziei.

Zostanie skazany na wieczne męki piekielne, myślał podlewając ogród.

Jest odpowiedzialny za śmierć swego ojca. I nie czuje skruchy.

Panna Della zawiadomiła go, że może zostać w Sweetwater, jak długo będzie chciał, pan Tucker tak powiedział. Nie musi wracać do domu, do tego przybytku strachu i beznadziei. Nie stanie przez Vernonem, nie zobaczy oczu ojca w twarzy brata, nie odczuje kary Austina wymierzonej pięściami Vernona.

Dzięki zwykłemu tchórzostwu skreślił cztery lata oczekiwania.

Jego ojciec nie żyje i on jest wolny.

Cyr przykucnął, a wąż ogrodowy sikał wodą, tworząc kałużę wokół jego nóg.

Wpychając pięści do oczu, płakał ze szczęścia nad swoim życiem, ze strachu o swoją duszę.

- Cyr.

Zerwał się na równe nogi. Tylko szybki refleks pozwolił Burnsowi uskoczyć poza zasięg ogrodowego węża. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie, rozdzieleni strugą wody,

chłopiec z zapuchniętą twarzą i przerażonymi oczami, mężczyzna, który chciał udowodnić, że ojciec Cyra zarzynał kobiety w wolnych od pracy chwilach.

Burns uśmiechnął się przymilnie, co sprawiło, że Cyr podwoił czujność.

- Chciałbym porozmawiać z tobą przez chwilę.

- Muszę podlać kwiaty.

Burns spojrzał na rozmokłą ziemię.

- Zdaje się, że już to zrobiłeś.

- Mam inną robotę.

Burns wyciągnął rękę i zakręcił kurek. Władczość była jego cechą charakterystyczną, podobnie jak elegancja.

- To nie potrwa długo. Wejdzmy do domu, tam na pewno jest chłodniej.

- Nie, proszę pana, nie mogę zabrudzić podłogi pannie Delii.

Burns spojrzał w dół. Ostatni ślad biel na trampkach Cyra zniknął pod powłoką trawy i błota.

- Faktycznie. Chodźmy więc na boczny taras. - Zanim Cyr zdołał zaprotestować, Burns ujął go za ramię i poprowadził wzdłuż bocznej ściany domu. - Lubisz pracować w Sweetwater?

- Tak, proszę pana. I nie chciałbym, żeby ktoś przyłapał mnie na tym, że siedzę i gadam.

Burns wszedł na taras i wskazał Cyrowi jedno z wyściełanych krzeseł pod parasolem.

- Pan Longstreet jest taki surowy?

- O, nie, proszę pana. - Cyr usiadł z ociąganiem. - Moim zdaniem, to on nigdy nie daje mi tyle pracy, ile by mógł. I zawsze powtarza, że bym się nie spieszył i nie przemęczał. A po południu sam przynosi mi colę.

- Liberalny pracodawca. - Burns wyjął notatnik i magnetofon. - Jestem pewien, że nie miałby nic przeciwko temu, żebyś zrobił sobie małą przerwę i odpowiedział na parę pytań.

- Sam go o to spytaj - zasugerował Tucker, stając w kuchennych drzwiach z butelką coli w ręku. - Proszę, Cyr. - Postawił butelkę przed chłopcem. - Przepłucz sobie gardło.

- Pan Burns powiedział, że muszę przyjść tu i rozmawiać - zaczął Cyr. Patrzył na Tuckera z takim samym przerażeniem, jakie maluje się w oczach królika złapanego w strumień światła reflektorów.

- Wszystko w porządku. - Tucker dotknął przelotnie jego ramienia, po czym przysunął sobie krzesło. - Nikt nie oczekuje, że będziesz dzisiaj pracował.

Cyr gapił się w biały blat stołu.

- Nie wiedziałem, co innego mógłbym robić.

- Przez następnych parę dni możesz robić, co ci się podoba. - Tucker sięgnął po papierosa. Obliczył, że dzięki metodzie skracania zszedł na pół paczki dziennie. Bezlitośnie odłamał połowę papierosa. - Ma pan pracowity ranek, agencie Burns. - Patrzył na Burnsa ponad płomieniem zapalki.

W jego oczach malowało się ostrzeżenie, równie wyraźne jak krwią wypisane posłannictwo Hatingera. - Powiedz chłopcu, ile możesz, a ja zabiorę go potem na ryby.

Burns skrzywił się z niesmakiem. Też pomyślał, zabierać dziecko na ryby nazajutrz po śmierci ojca.

- Zawiadomię cię, kiedy skończę. A tymczasem ty możesz poszukać robaków.

Tucker napił się z butelki Cyra.

- Nie. Tak sobie myślę, że skoro chłopak tu pracuje, jestem jego opiekunem. Zostanę, chyba że Cyr sobie tego nie życzy.

Cyr podniósł na niego przerażone oczy.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan został, panie Tucker. Boję się, że powiem coś nie tak.

- Wystarczy, że powiesz całą prawdę, zgadza się, agencie Burns?

- Absolutnie. A więc... - urwał, kiedy na taras weszła Josie ubrana w przeźroczysty szlafroczek.

- Patrzcie państwo! - zawołała. - Nieczęsto się zdarza, by kobieta wyszła z kuchni i natknęła się na trzech przystojnych mężczyzn. - Potargła Cyra po głowie, ale nie odrywała wzroku od Burnsa. - Agencie specjalny, zaczęłam już podejrzewać, że mnie pan nie lubi. Ani razu nie zjawił się pan na pogawędkę. - Wsparła się biodrem o krzesło Tuckera. Sięgnęła po paczkę papierosów, oferując Burnswi widok, od którego zakręciło mu się w głowie. -

Chciałam już coś przeskrobać, żeby musiał mnie pan przesłuchać.

Burns był sztywny, ale nie martwy. Poczuł, że w gardle go dławi, a krawat uwiera w szyję.

- Niestety, niewiele mam czasu na życie towarzyskie podczas prowadzenia śledztwa, panno Longstreet.

- Cóż za szkoda! - Jej lekko ochryply głos uderzał do głowy jak zapach magnolii.

Mrugając rzęsami, wręczyła Burnswi pudełko zapalek, po czym przytrzymała mu dłonie, kiedy podawał jej ogień. - A ja tak czekałam, żeby pan przyszedł i opowiedział mi o swoich przygodach. Założę się, że miał ich pan mnóstwo.

- Rzeczywiście, przeżyłem parę interesujących chwil.

- Musi mi pan o nich opowiedzieć albo pęknię z ciekawości. - Przesunęła palcem wzdłuż szyi do miejsca, gdzie spotykały się poły szlafroka. Nie mógłby śledzić tego palca z większą uwagą, nawet gdyby miał do niego przytwierdzone oczy. - Teddy mówił, że z pana prawdziwy as.

Burns przełknął głośno ślinę.

- Teddy?

- Doktor Rubenstein. - Posłała mu uwodzicielskie spojrzenie spod ciężkich rzęs. -

Powiedział, że jest pan niekwestionowanym mistrzem w dziedzinie masowych morderstw. Po prostu uwielbiam rozmowy z mężczyznami, którzy prowadzą niebezpieczne życie.

- Josie - Tucker spojrzał na nią figlarnie. - Zdaje się, że miałaś zrobić sobie rano manikiur czy coś takiego.

- Faktycznie, kochanie, mam w planie manikiurzystkę. - Rozłożyła dłonie i szlafrok rozchylił się szerzej. - Wyznaję pogląd, że kobieta nie może być w pełni atrakcyjna, jeżeli nie dba o dłonie. - Wstała od stołu zadowolona, że udało się jej rozproszyć uwagę Burnsa. - Może zobaczymy się później w mieście, agencie Burns. Zazwyczaj wpadam do „Chat'N Chew” po wizycie u manikiurzystki.

Zostawiła go z obrazem swych bioder rozkołysanych pod cienkim różowym szlafrokiem.

Tucker zdusił papierosa w miedzianym pudełku wypełnionym piaskiem.

- Włączysz ten magnetofon?

Burns spojrzał na niego niewidzącym wzrokiem, po czym zebrał rozproszone władze umysłowe.

- Będę zadawał Cyrowi pytania - zaczął, ale jego spojrzenie powędrowało w stronę kuchennych drzwi. - Nie mam nic przeciwko twojej obecności, jeśli nie będziesz się wtrącał.

Tucker skinął głową i rozsiadł się na krześle.

Burns włączył magnetofon, podał wszystkie dane i zwrócił się do Cyra z poważnym uśmiechem.

- Wiem, że to dla ciebie ciężkie chwile, Cyr. Przykro mi z powodu straty, jaką poniosłeś.

Cyr chciał podziękować, kiedy uświadomił sobie, że agent nie mówi o Eddzie Lou, ale o jego ojcu. Wbił oczy w blat stołu.

- Wiem, że rozmawiałaś z szeryfem Truesdale'em wczoraj wieczorem i że twoje informacje okazały się bardzo pomocne. Musimy jeszcze raz wrócić do tej sprawy, ale zaczniemy od czego innego. Czy twój ojciec wspominał kiedyś o pannie Caroline Waverly?

- Nie znał jej.

- A więc nigdy o niej nie mówił? Cyr zerknął spod oka na Tuckera.

- Może coś mówił. Czasem mówił bardzo dużo, kiedy nachodził go taki nastrój.

- Nastrój?

- Kiedy mówił, że Bóg do niego przemawia.

- Miewał te nastroje regularnie?

- Dostyc. - Cyr łyknął coli, żeby zwilżyć zaschnięte gardło. - A. J. mówił, że on po prostu lubi pomstować na ludzi i używa do tego Boga.

- Czy stosował przemoc wobec ciebie lub innych członków twojej rodziny?

- On... - Cyr przypomniał sobie wyrażenie Tuckera. - Miał ciężką rękę. - To nie brzmiało tak okropnie. Zupełnie jakby powiedział, że ojciec miał chłodną głowę. - Nie tolerował żadnego nieposłuszeństwa. Biblia mówi, że należy szanować ojca.

Tucker zauważył, że Cyr nie powiedział „ojca i matkę”. Widocznie Austin faszerował

syna Pismem Świętym wybiórczo.

- I używał tej ciężkiej ręki, kiedy nachodził go nastrój?

Cyr wzruszył chudymi ramionami.

- Używał ręki zawsze. Kiedy miał nastrój, używał jej mocniej.

- Rozumiem. - Lakoniczny opis przemocy podziałał nawet na Burnsa - I kiedy przynosiłeś mu jedzenie i inne rzeczy do przepustu, był ciągle w nastroju?

- Musiałem to zrobić. - Kłytocie Cyra zbieleły na butelce coli. - Zabiłby mnie, gdybym go nie posłuchał. Musiałem to zrobić.

- Agent Burns wcale cię za to nie wini, Cyr. - Tucker ponownie położył dłoń, krzepiącą, ciepłą dłoń, na jego ramieniu. - Nikt cię nie obwinia. Nie zrobiłeś nic złego.

- Nie, nie winię cię - powiedział Burns lekko ochrypłym głosem. Odchrząknął.

Chłopak bał się, i to go irytowało. - Nikt cię nie wini. Chcę tylko, żebyś mi powiedział, co mówił twój ojciec o pannie Waverly.

Cyr zamrugał powiekami, żeby odegnać łzy.

- Powiedział, że jest pełna grzechu. Że wszystkie kobiety takie są. Jak żona Lota.

Została zamieniona w słup soli.

- Tak. - Burns splótł dłonie. - Wiem. Czy powiedział, dlaczego panna Waverly jest pełna grzechu?

- Powiedział, że... - Rzucił Tuckerowi zrozpaczone spojrzenie. - Czy muszę?

- Tak będzie lepiej - powiedział Tucker. - Nie denerwuj się. Cyr wypił duszkiem colę, otarł usta, pokręcił się na krześle.

- Powiedział, że rozkłada nogi dla pana Tuckera - wyjąkał w końcu, czerwony jak burak. - I że jest nie lepsza od dziwki. I że już czas rzucić kamieniem. Przykro mi, panie Tucker.

- To nie twoja wina, Cyr.

- Ja nie wiedziałem, że on chce ją skrzywdzić. Przysięgam, że nie wiedziałem. On zawsze opowiadał takie rzeczy. Nie zwracałem na to uwagi, jak długo mnie nie bił. Nie wiedziałem, że on na nią napadnie, panie Burns. Przysięgam, że nie wiedziałem.

- Jestem o tym przekonany. Twój ojciec bił twoją matkę, prawda. Ognista czerwień policzków Cyra przybladła.

- Nic nie mogliśmy na to poradzić. Ona nie chciała. Nie pozwoliła szeryfowi sobie pomóc, ponieważ kobieta jest winna mężowi posłuszeństwo. Czasem szeryf przychodził, a ona mówiła, że spadła ze

schodów, albo coś. - Opuścił głowę. Wstyd ciążył mu niemal tak samo jak strach. - Ruthanne mówiła, że ona to lubi. Lubi być bita. Ale mnie się to wydaje nie w porządku.

Burns uznał, że nie czas tłumaczyć chłopcu zawilości psychiki maltretowanych kobiet.

Była to robota dla pracownika socjalnego albo psychiatry.

- Czy bił również Ruthanne?

Cyr uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Umiała schodzić mu z drogi.

- A Vernon?

- Czasem skakali sobie do oczu. - Cyr wzruszył niedbale ramionami. Ale najczęściej trzymali się razem. Vernon był ulubieńcem taty. Mama mówiła, że jest tak podobny do taty, jakby z niego skórę zdarł.

- A jak było z Eddą Lou. Czy twój ojciec ją bił?

- Sprzeciwiała mu się, miała zawsze jakieś „ale”. Oddawała mu. Kiedyś rozbiła mu głowę butelką, po tym jak przyłał jej pasem. Wtedy się wyprowadziła. Zamieszkała w mieście i w ogóle nie pokazywała się w domu.

- Czy twój ojciec mówił o Eddzie Lou to samo, co o pannie Wawerly? Osa zajrzała do butelki coli i została odegnana.

- Nie wolno nam było wspominać jej imienia. Czasem ojciec się wściekał i nazywał ją dziwką Babilonu. Vernon jeszcze tatę podburzał. Chciał ściągnąć ją do domu, żeby mogli ją ukarać. Vernon mówił, że to nasz obowiązek jako rodziny i chrześcijan, ale chyba nie wierzył

w to tak, jak tata. Vernon po prostu lubi bić ludzi - powiedział zwyczajnie jakby stwierdzał, że Vernon lubi lody waniliowe w waflu. - Potem tato usłyszał, że Edda Lou umawia się z panem Tuckerem i powiedział, że wolałby ją widzieć martwą. I pobił mamę.

Tucker przycisnął palce do powiek, zastanawiając się, czy wyzwoli się kiedyś z poczucia winy.

- Cyr, czy pamiętasz dzień, kiedy twój ojciec pokłócił się z panem Longstreetem?

Tucker opuścił ręce. Omal się nie roześmiał. Określenie „pokłócił się” było nie lada eufemizmem wobec siniaków, które miał na całym ciele.

- Chyba tak. Tata przyszedł do domu z twarzą jak befsztyk.

- A dwie noce przedtem? - W tę noc, kiedy Edda Lou została zamordowana. - Czy ojciec miał jeden ze swoich nastrojów?

Po raz pierwszy Cyr musiał się zastanowić nad odpowiedzią. Stracił wygląd ściganego zająca. W roztargnieniu odgonił natrętną osę.

- Nie pamiętam dobrze. Kiedy dowiedział się, że Edda Lou niby to jest w ciąży, był naprawdę wściekły. Ale nie pamiętam, kiedy to było.

Przez parę minut Burns krążył wokół tematu, próbując odświeżyć pamięć chłopca, ukrywając jednocześnie powód swojego zainteresowania, potem dał spokój. Miał jeszcze Ruthanne i Mavis Hatinger. Im pamięć może lepiej dopisywać.

- Dobrze, Cyr, jeszcze tylko parę pytań. Nóż, który zaniósłeś ojcu. Często go ze sobą nosił?

- Tylko kiedy szedł na polowanie. Nóż jest za wielki, żeby go nosić ot tak sobie.

- Czy mógłbyś określić, jak często go brał przez ostatnie, powiedzmy sześć, siedem miesięcy?

- Cztery albo pięć razy. Może więcej. Lubił polować na wiewiórki.

- Czy kiedykolwiek groził nożem tobie albo komuś z twojej rodziny?

Czy mówił, że wymierzy nim komuś karę?

- Chciał wypatroszyć pana Tuckera. - Cyr zakrył twarz dłońmi, tłumiąc swój głos. -

Powiedział, że muszę sprowadzić pana Tuckera do przepustu, żeby mógł go wypatroszyć jak królika. Chciał odciąć mu... no, wie pan. Powiedział, że to boska sprawiedliwość. Chciał go posiekać, żeby wyglądał jak Edda Lou. A gdybym zwrócił się przeciwko niemu, gdybym nie uszanował swego ojca, wtedy wyjąłby mi moje oczy, ponieważ oko zgrzeszyło przeciw niemu. Bóg mówi, że tak powinno się wtedy zrobić. Proszę, panie Tucker. - Nie płakał, ale zakrywał twarz dłońmi, jak dziecko oglądające film grozy zakrywa się przed straszny obrazem. - Proszę, ja nie chcę już o tym myśleć.

- Już dobrze, Cyr. - Tucker stanął za jego krzesłem. - Zostaw go, Burns.

Burns wyłączył magnetofon i schował go razem z notatnikiem do kieszeni.

- Nie jestem bez serca, Longstreet. - Wstając od stołu przeniósł wzrok z drżącego chłopca na człowieka, który mianował się jego obrońcą. - I zdaję sobie sprawę, że ofiar jest więcej niż te trzy dziewczyny pogrzebane na waszym cmentarzu. - Przez jedną krótką chwilę pożałował, że nie potrafi okazać współczucia tak łatwo, jak Tucker, przez dotknięcie ręką.

Skinął chłopcu głową i, choć ton jego głosu był oficjalny, naprawdę myślał to, co mówił. -

Postąpiłeś słusznie, Cyr. Mężczyzna nie mógł zrobić inaczej. Pamiętaj o tym.

Tucker położył dłonie na ramionach chłopca i patrzył, jak Burns odchodzi. Po raz pierwszy, odkąd jego oczy spoczęły na agencji FBI, Tucker poczuł dla niego szacunek.

- Cyr, skoczę teraz po wędkę. Zrobimy sobie dzisiaj wolne.

- Łowienie ryb - powiedział Tucker oparty plecami o pień cyprysa - to sport dla myślącego mężczyzny.

- Nigdy nie używałem czegoś takiego na przynętę. - Cyr pokręcił nosem na foliową torebkę w puszcze na robaki. - Jak pan mówił, że to się nazywa?

- Pate - Tucker uśmiechnął się i zsunął czapkę bardziej na oczy. - W tym przypadku kacza wątróbka. - A Della podniesie nieludzki wrzask, kiedy odkryje jej brak.

- Kacza wątróbka. - Cyr wykrzywił twarz i przez chwile wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać czternastolatek. - Obrzydliwe.

- Rzecz gustu, stary. Zębacze to uwielbiają. - Tucker rozsmarował trochę wątróbki na krakersie, wpakował sobie do ust i zapił lemoniadą.

Siedzieli na odległym krańcu stawu Sweetwater, w pstrokatym cieniu wierzby, którą zasadziła matka Tuckera przed jego urodzeniem.

- Bawełna wygląda źle, panie Tucker.

- Aha. - Tucker zerknął na pola spod daszka czapki. Zobaczył zarządcę i kilkunastu robotników szukających wołków. - Mamy dobre zbiory tego roku. Bawełna włada tym miejscem. - Westchnął cicho. - A uprawa bawełny zniszczyła ten staw, więc będziemy musieli wypuścić ryby, które złowimy. Zastanawiałem się nawet, czy nie sprowadzić trochę tych robali.

- Robali, panie Tucker?

- Mają takie specjalne robale, naukowcy je wymyślili. Wyjadają truciznę z wody.

- Robale wyjadają truciznę? - zaśmiał się cicho Cyr. - Wpuszcza mnie pan w maliny, panie Tucker.

Śmiech chłopca, choć tak słaby, podniósł Tuckera na duchu.

- To święta prawda. Wsadzili te robale do Potomaku i wyjadły wszystko do czysta. -

Spojrzał z żalem na ciemną, zatrutą wodę jeziora. - Mówię ci, Cyr, wiele bym dał, żeby zobaczyć tę wodę znowu czystą. Moja mama chciała zbudować nad nią mostek. No wiesz, takie łukowate caczuszko, jakie mają w Japonii. Nigdy go nie zbudowaliśmy, i teraz mi żal.

Mama by się cieszyła.

Cyr niewiele wiedział o Japonii i łukowatych mostkach, ale lubił przysłuchiwać się Tuckerowi. Zdaniem Cyra, Tucker mógł mówić o czymkolwiek i nadać temu sens.

Łowili leniwie ryby, a głos Tuckera koił jak poranna bryza. Cyr złapał zębacza, pozachwycał się nim



i wrzucił z powrotem do wody.

- Zawsze chciałem podróżować - powiedział Tucker, kiedy Cyr nadziewał na haczyk kawałek bezcennej wątróbki. - Kiedy byłem w twoim wieku, miałem cały album wycinków z czasopism. Rzym, Paryż, Moskwa. Szkoda, że nigdy nie zebrałem dość energii, by naprawdę pojechać w te miejsca. - Umilkł na chwilę. - A ty masz jakieś marzenie, Cyr? Coś, co chciałbyś zrobić?

- Chciałbym pójść na studia. - Cyr zaczerwienił się, czekając na wybuch śmiechu.

Kiedy nie nastąpił, Cyr wyrzucił z siebie resztę. - Lubię szkołę. Jestem w tym dobry i w ogóle. Pan Baker, mój nauczyciel historii, mówi, że mam dociekliwy umysł i dobre nawyki uczenia się.

- Naprawdę?

- Trochę to żenujące, kiedy mówi tak przy całej klasie i w ogóle. Ale i przyjemne. Raz nawet powiedział, że powinienem złożyć podanie o stypendium na uniwersytecie stanowym, ale tata powiedział, że muszę rzucić naukę jak szybko się da i pracować na farmie.

Powiedział, że na uniwersytecie uczą bezceństw i że... - urwał, przypomniawszy sobie, że jego tata nie żyje.

W zapadłej ciszy Tucker poderwał rybę z wody. Trzymał ją przez chwilę w górze, patrząc, jak szamocze się, walczy z nieuniknionym. Tak samo czuł się pewnie ten chłopiec, pomyślał Tucker, delikatnie wyjmując haczyk.

Wrzucił rybę do wody. Nieczęsto ryba albo dziecko otrzymują od losu drugą szansę.

Nieczęsto mężczyzna ma okazję, by tę szansę ofiarować.

Cyr pójdzie na studia, zdecydował Tucker. Już jego w tym głowa.

- Panie Tucker? - Cyr poczuł wzbierające łzy i pomyślał o nich nienawiścią. Robiły z niego mazgajową dziewczynę.

- Tak?

- Uważa pan, że go zabiłem?

Tucker chciał zaprotestować gwałtownie, ale ugryzł się w język. Nabrał głęboko powietrza i sięgnął po papierosa.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie postąpiłem tak, jak mi kazał. Nie usłuchałem go i on uciekł. Prawdopodobnie wściekł się na mnie i wyładował złość na pannie Waverly. Teraz nie żyje. Nie uszanowałem mojego ojca, a teraz on nie żyje.

Tucker potarł wolno zapałkę, jakby się zastanawiał.

- Może tak jest, a może nie. Musisz zadać sobie jedno pytanie. Czy uważasz, że to przykazanie oznacza, że musisz szanować ojca, pomagając mu zabić bezbronnego człowieka?

- Nie, ale...

- Wczoraj uratowałeś mi życie, Cyr. - Czekał, aż chłopiec podniesie na niego wzrok. -

To fakt. Gdybyś usłuchał ojca, może by żył jeszcze, a może poszedłby do Caroline tak czy inaczej. Ja za to byłbym martwy. Nie ma innej możliwości, prawda?

- Nie. chyba nie ma, proszę pana.

- Austin sam się zabił.

Cyr chciał w to uwierzyć, rozpaczliwie.

- Nie żałuję, że on nie żyje - powiedział łamiącym się głosem. - Nie żałuję. Teraz pójdę do piekła i będę się smażył przez całą wieczność, bo ucieszyłem się, kiedy mi szeryf o tym powiedział.

Chryste, pomyślał Tucker zaciągając się mocno dymem. Wkraczamy na grząski grunt.

Nie czuł się dobrze w roli przewodnika w labiryncie nieba i piekła. Ale chłopiec potrzebował czegoś więcej niż paru komunałów.

- Nie jestem mocny w religii - powiedział. - Było to ogromne rozczarowanie dla mojej mamy. W porządku, może faktycznie istnieje piekło, z całą pewnością istnieją ludzie, którzy powinni tam spędzić jakiś czas. Ale nie sądzę, żeby ludzie szli tam za to, że coś sobie pomyśleli. Liczy się, co robisz, jaki jesteś w stosunkach z innymi ludźmi, kim jesteś.

- Ale grzeszne myśli...

Tym razem Tucker się roześmiał. Zepchnął czapkę na tył głowy i uśmiechnął się do Cyra całą gębą.

- Synu, gdybyśmy szli do piekła za nasze myśli, niebo zostałoby kompletnie wyludnione. - Pogłaskał Cyra po głowie. - Nie rozumiem, dlaczego twój tata zrobił to, co zrobił. Ale postępował źle. Raniąc ciebie i twoją mamę postępował źle, Cyr, nawet jeżeli cytował przy tym Pismo Święte. To nie grzech, że czujesz ulgę.

Cyr poczuł się trochę lepiej.

- Moja mama nie będzie się cieszyć.

- Nie możesz brać na siebie cudzych uczuć. Masz własne. Jest coś, o czym chciałem z tobą porozmawiać, coś nad czym musisz się zastanowić.

- Tak, proszę pana.

- Della powiedziała ci, zdaje się, że możesz zostać tu, jak długo zechcesz? Paniczny strach rozszerzył mu żrenice.

- Nie będę sprawiał kłopotów, panie Tucker. Nie będę dużo jadł obiecuję, i będę ciężko pracował. Mogę...

- Chwila, moment! Nikt cię nie wyrzuca. - Tucker zdusił papierosa zastanawiając się, jak najlepiej ująć to, co chciał powiedzieć. - Myślę, że Vernon przejmie farmę i zadba o potrzeby twojej mamy. Ruthanne jest już prawie dorosła.

- Oszczędza pieniądze na wyjazd. - Zagryzł wargę. - To miał być sekret.

- Potrafię świetnie zachować sekret damy. Posłuchaj, myślę, że mógłbyś dalej dla mnie pracować, w zmniejszonym zakresie, po rozpoczęciu szkoły. Część zarobków mógłbyś oddawać matce, a ja zapewniłbym ci mieszkanie i wyżywienie.

Cyr poczuł, że coś rośnie mu w gardle.

- To znaczy, że mógłbym przeprowadzić się do Sweetwater? Na dobre?

- Do czasu, gdy znajdziesz sobie coś lepszego. Jeżeli chcesz. Cyr, postaram się to załatwić. Twoja mama musiałaby wyrazić zgodę, i trzeba by załatwić jakieś formalności, żebym mógł występować w charakterze twojego opiekuna.

Cyr gapił się na niego, bojąc się głębiej odetchnąć.

- Zrobię wszystko, co pan każe. Nie sprawię najmniejszego kłopotu.

- Najlepiej przedstawię ci parę zasad, żebyś wiedział, w co się pakujesz. - Pragnąc dać Cyrowi czas na opanowanie się, Tucker rozsmarował wątróbkę na krakersie. Nie mógł nic więcej zrobić w tym dniu, co przyniosłoby mu chlubę, ale przynajmniej odwrócił uwagę chłopca od jego nieszczęścia. - Żadnego alkoholu, aż do pełnoletności.

- Tak, proszę pana.

- Żadnych rozpasanych prywatek, chyba że mnie na nie zaprosisz. Cyr zachichotał.

Dźwięk jemu samemu wydał się dziwny. Zamrugał niepewnie powiekami.

- Nie, proszę pana.

- Żadnych flirtów z moją kobietą. - „Kobietami”, poprawił się w myślach. Chciał powiedzieć „kobietami”. Prawda? Ale myślał o Caroline.

Cyr znów oblał się rumieńcem.

- Nie, proszę pana.

- A ja nie będę flirtował z twoimi. - Puścił do niego oko. - Masz już dziewczynę, Cyr?

- Nie, proszę pana. Niezupełnie. Czasami tylko patrzę, to wszystko.

- Masz jeszcze sporo czasu na coś więcej niż patrzenie. Patrzysz na kogoś w szczególności?

Cyr zwilżył wargi językiem. Nie potrafił skłamać Tuckerowi. Nie ze strachu, uświadomił sobie. Z miłości.

- Ja... Eee... Patrzę na LeeAnne Hardesty. Zeszłej zimy urosły jej piersi. To duża zmiana.

Tucker zakrztusił się wątróbką.

- Chryste, ogromna! - zgodził się. - Tylko patrzysz? - Brnął dalej.

- No... - Cyr opuścił głowę. Był czerwony jak rak. - Kiedyś stała za mną w kolejce do stołówki i ktoś ją na mnie popchnął. Wpadła mi na plecy tymi piersiami. Są bardzo miękkie. I objęła mnie w pasie, żeby odzyskać równowagę. I ja... - Pokonał wstyd. - Nie mogłem nic na to poradzić, panie Tucker. Nie mogłem się opanować, choćby nie wiem co.

Tucker wyobraził sobie Cyra rzucającego się na LeeAnne Hardesty w stołówce.

- Czego nie mogłeś opanować?

- No wie pan. To się czasem tak robi, choćbym, nie wiem jak bardzo, starał się nad tym zapanować. To się robi... no, wie pan. Narzędzie szatana.

- Narzędzie szatana - powtórzył Tucker wolno. Chemie by się roześmiał. Prawdę powiedziawszy, chętnie tarzałby się w trawie i ryczał ze śmiechu, gdyby nie wyraz oczu Cyra, pełen poczucia winy.

Robota Austina Hatingera, pomyślał Tucker i odetchnął głęboko.

- Nigdy nie słyszałem tego określenia. - Długo pocierał brodę, starając się ukryć uśmiech. - Mnie się zdaje, że skoro dobry Bóg włożył nam to między nogi, szatan niewiele ma z tym wspólnego.

- Grzeszne myśli i zepsute kobiety powodują, że sztywnieje.

- I bardzo dobrze! - Tucker dolał sobie lemoniady, załując, że to nie koniak. -

Posłuchaj, synu, nie ma takiego mężczyzny, któremu nie stanąłby w najmniej odpowiednim momencie. To naturalne. - Pociągnął lemoniady i odmówił krótką modlitwę. - Wiesz chyba, jak rodzą się dzieci i te rzeczy?

- Aha. - Jim mu powiedział, a on z kolei usłyszał to od swojego ojca. - Kobieta ma jajo, męczyzna spermę. Najlepiej jak się kochają i w ogóle.

- Zgadza się. - Cóż za ulga, słodka ulga. - I najlepiej poczekać z tym, aż człowiek jest dorosły i odpowiedzialny. - I kto to mówi? - Patrzenie na LeeAnne i myślenie o jej piersiach to jedno, a dobieranie się do nich to już zupełnie co innego.

- Aha, chyba rozumiem. - To było fascynujące mówić otwarcie o rzeczach zakazanych i nie zbierać cięgów. Cyr postanowił zgłębić sprawę do końca. - Ale czasem, zwłaszcza w nocy... Czasem wymieniam po kolei Wszystkie stany ze stolicami, żeby o tym nie myśleć, ale to nie zawsze pomaga. Wydaje mi się, że jeżeli czegoś z tym nie zrobię, to pęknę. - Rzucił

Tuckerowi szybkie spojrzenie. - I czasami coś robię. To grzech, prawda robić to sobie samemu?

Tucker podrapał się po głowie.

- Czasem męczyzna musi ująć sprawy w swoje ręce, mówiąc dosłownie. Nie radziłbym robić tego systematycznie, ale człowiek rozumny drapie się, jeżeli go bardzo swędzi.

- I nic się wtedy człowiekowi nie przytrafi?

- Nie oślepnie ani nie wyrosną mu włosy we wnętrzu dłoni, jeżeli to masz na myśli.

- Jest pan pewien?

Tym razem Tucker musiał się uśmiechnąć. Odwrócił dłonie wnętrzem do góry i przyjrzał im się uważnie.

- Absolutnie - powiedział, i Cyr uśmiechnął się w odpowiedzi.

Pokój Burnsa w Innocence był mały i urządzony po spartańsku, ale, dzięki Bogu, nieskazitelnie czysty. Dbała o to Nancy Koons. Burns nie oczekiwał więcej. Wystarczała mu świadomość, że nikt nie wchodzi do pokoju bez jego wiedzy i nie szpera mu w rzeczach.

Wszystkie materiały dotyczące sprawy spoczywały w zamykanej na klucz aktówce, chyba że agent akurat pracował.

W pokoju miał podwójne łóżko, komódkę i szafę. Trzy dni zajęło mu przekonanie Nancy, by dorzuciła biurko i stabilne krzesło. Wiatrak na suficie działał na zwolnionych obrotach. To nakłoniło Burnsa do zakupu elektrycznego wiatraczka w sklepie Larssona.

Ponieważ dostąpił tego szczęścia, że zajął jeden z dwóch pokoiów z łazienką, uznał, że ma wszystko, co niezbędne na czas wizyty w Innocence.

Nie spodziewał się premii.

Rozciągnięta pod nim na żelaznym łóżku leżała Josie Longstreet. Burns drżał jeszcze z wyczerpania

po drugiej rundzie. Choćby za cenę życia nie potrafiłby powiedzieć, jak to się stało, że podskakują na skrzypiącym materacu, skoro jeszcze przed chwilą pili lemoniadę w barze. Ale nie narzekał.

Nie uprawiał tak dzikiego, rozpasanego seksu od... Prawdę mówiąc, nigdy nie uprawiał takiego seksu. Kobiety, z którymi się umawiał, były chłodne i opanowane w łóżku i poza nim. Josie zdarła z niego ubranie pięć sekund po tym, jak dostała się do jego pokoju.

Podniosła wymanikiowane dłonie ponad jego głowę. „Płomienny grzech” tym razem. Cóż za cudowny zbieg okoliczności. Przejechała paznokciami przez plecy Burnsa, mając nadzieję, że zostawia piękny czerwony ślad na jego skórze.

- Złotko - powiedziała - prawie mnie wykończyłeś. Wiedziałam, że w tym garniturze siedzi tygrys.

- Byłaś cudowna. - Burns wiedział, że kobiety oczekują komplementów w takich sytuacjach, ale tym razem brakło mu słów. - Niesamowita.

- Miałam cię na oku, agencie specjalny. Mężczyźni z odznaką policyjną działają na mnie jak cholera. - Pomyślała o Burke'u i zmarszczyła brwi. - Uważasz, że jestem sexy?

- Uważam, że jesteś najbardziej seksowną kobietą, jaka chodzi po ziemi.

Wynagrodziła go przeciągłym pocałunkiem.

- I ładna?

- Nie, nie ładna. - Zbyt był zajęty przesiewaniem przez palce jej włosów, by dostrzec zimny błysk w oku. - Wspaniała, zupełnie jak dzika Cyganka.

- Mówisz tak, bo leżę pod tobą goła i swędzi cię fiut.

Normalnie poczułby się urażony, ale Josie bardzo trafnie określiła stan jego narzędzia szatana.

- Mówię tak, bo to prawda. Josie, jesteś oszalamiająca.

- Lubię cię słuchać. - Westchnęła, kiedy zaczął skubać wargami jej piersi. Pot i seks sprawiły, że ciało miała lepkie, choć wiatrak wycelowany był prosto w łóżko. Josie wyznawała teorię, że najlepszym lekarstwem na upał jest wyciągnąć się nago na łóżku. A skoro już człowiek leżał rozebrany, należało to wykorzystać.

- Nie wszyscy mężczyźni wiedzą, co chce usłyszeć kobieta. Weźmy mojego pierwszego męża, Franklina. Po dwóch miesiącach małżeństwa robił swoje, odwracał się i zaczynał chrapać. Mnóstwo mężczyzn tak się zachowuje. Biorą, co chcą, i zasypiają.

Wymamrotał odpowiedź w jej piersi. Najwyraźniej świetnie się bawił.

- Kobieta lubi usłyszeć coś miłego. Oczywiście, nie wszystkie kobiety o to dbają.

Niektóre chcą tego samego co mężczyźni. Różnica między latawicą a damą polega na tym, że dama potrafi docenić urok słodkich słówek.

- Jesteś niesamowitą damą. Uśmiechnęła się promiennie.

- A ty jesteś prawdziwym dżentelmenem. I łebskim facetem. Uwielbiam, jak opowiadasz o swojej pracy. - Leniwie wędrowała dłońmi w górę i w dół jego ciała. - Jaka szkoda, że wracasz na północ. To prawdziwy pech, że zeszedliśmy się tuż przed twoim wyjazdem.

- Rzeczywiście, sprawy się przejaśniają.

- Wiedziałam! Już w chwili, gdy cię zobaczyłam, wiedziałam, że wszystko załatwisz.

Pomyślałam, ten facet ma głowę na karku. Powiedziałam sobie, teraz, kiedy już tu jest, my kobiety możemy czuć się znowu bezpiecznie. - Wsunęła mu koniuszek języka między zęby. -

Jesteś bohaterem, Matthew.

- Wykonuję tylko moją pracę. Rutyna.

- Łapanie mordercy? - Wodziła ustami po jego piersiach. Był biały jak brzuch ryby, ale uznała, że jest ładnie zbudowany. - A jednak, zanim ty przyjechałeś, byliśmy ciemni jak tabaka w rogu.

- To tylko kwestia doświadczenia, odpowiedniego sprzętu.

- Uwielbiam twój sprzęt - wymruczała, biorąc go w dłonie. - Opowiedz mi, jak tego dokonałeś, Matthew. To mnie przyprawia o dreszcz.

Oddech zaczął mu się rwać.

- Przede wszystkim musisz zrozumieć psychikę masowego mordercy. Wzory zachowań, statystyka. Większość morderstw popełniana jest pod wpływem impulsu, z paru typowych powodów.

- Mów dalej. - Przycisnęła usta do jego brzucha. - To mnie podnieca.

- Namiętność - wykrztusił. Czerwona mgła zasnuła mu oczy. - Zazdrość, zemsta. Ale to nie są motywy masowego mordercy. Jemu chodzi o panowanie, o pościg. Samo zabójstwo nie jest tak ważne jak oczekiwanie na nie, osaczenie.

- Tak. - Polizała go delikatnie po wewnętrznej części uda. Ona również osaczała, a oczekiwanie rosło jak poziom rzeki podczas wiosennej powodzi. - Mów dalej.

- Planuje, żyje tym. Wybiera ofiarę i rozpoczyna polowanie. Jednocześnie może prowadzić normalne życie. Może mieć rodzinę, karierę zawodową, przyjaciół. Ale kieruje nim potrzeba zabijania. Potrzeba ta zaczyna narastać już w chwili, gdy zniszczy ofiarę.

Potrzeba panowania nad innymi, nad sytuacją. - Zagarnął dłońmi jej włosy, kiedy wzięła go do ust. -

Szydź z policji, często ją wykorzystuje. - Zaczął dyszeć. - Może nawet... pragnąć, by go schwytano, może cierpieć... wyrzuty sumienia, ale jego głód... przeważa wszystkie inne pragnienia.

Otarła się o niego całym ciałem.

- Więc znowu zabija. Dopóki go nie powstrzymasz.

- Tak.

- I zatrzymasz go również tym razem?

- Już to zrobiłem.

Podniosła ręce do góry i odgarnęła włosy, wyginając się ku niemu.

- Jak?

- Jeżeli nie wyjdą na jaw nowe okoliczności, zamknę tę sprawę. Austin Hatinger nie żyje.

Josie uniosła biodra i przyjęła go w siebie.

- Jesteś bohaterem, agencie specjalny. Moim bohaterem. Odrzuciła głowę i rozpoczęła wyczerpujący bieg do raję.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Nadchodziła burza. Po raz pierwszy od wielu dni prawdziwy wiatr zaszeleścił w koronach drzew i przyniósł zapach deszczu. Słońce skryło się za ołowianymi chmurami i zmierzch zapadł szybciej niż zwykle.

Della odetchnęła z ulgą, mimo że burza zapowiadała się groźnie, mogła pozrywać linie wysokiego napięcia i wezbrać rzeki.

Darleen Fuller Talbot pożegnała matkę w kiepskim humorze. Happy uśmiechała się, tuliła Scootera i jednocześnie zmywała głowę córce za historię z Billym T.

Wypisz wymaluj ojciec, pomyślała Happy, kiedy Darleen wyszła trzasnąwszy drzwiami. Wszystko, co potrafił, to potrząsnąć głową i wyjść z pokoju. Darleen ze swej strony odcierpiała w milczeniu dwudziestominutowy wykład o dobroci Juniora, który nie zasługiwał na to, by go zdradzać w jego własnym domu.

Cóż, był to również jej dom. Wydęła usta i otarła łzy gniewu, po czym uruchomiła samochód. Nikt zdawał się o tym nie pamiętać. Biedny Junior to, biedny Junior tamto. Nikt nie wiedział, że biedny Junior traktuje ją gorzej niż śmiecia.

Czy można jej się dziwić, że tęskni za Billym T. do szaleństwa? Jej własny mąż nie chce już nawet spać z nią w jednym łóżku. Nie żeby przedtem robił coś poza spaniem. Ale teraz szła co wieczór do



łóżka sfrustrowana, niby jakaś stara panna.

No, zajmie się tą sprawą. Kiedy pierwsze duże krople deszczu rozbiły się o przednią szybę, Darleen podjęła decyzję. Happy rozpoznałaby ten wyraz twarzy i choć mogłoby to wywołać zdumienie Darleen, poparłaby córkę całym sercem.

Scooter zostanie na noc u babci. A ona, Darleen, dopilnuje, by jej mąż spełnił dziś swój obowiązek.

Był już po temu najwyższy czas. Czowała się jak zakonnica.

To źle wpływa na moje nerwy, pomyślała Darleen, włączając wycieraczki Junior przerwał Billy'emu T. w kulminacyjnym momencie. Żyła w celibacie od przeszło tygodnia.

To nie może być zdrowe.

Była pewna, że dlatego właśnie stała się ostatnio taka nerwowa, skłonna do irytacji.

Nieustannie miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Nie chodziło tu o zgorszone spojrzenia, jakimi obrzucały ją lokalne świętoszki od czasu, gdy wieść o zdradzie rozeszła się po mieście.

Czowała się raczej tak, jakby ktoś trzymał ją na muszce. No i te głuche telefony. Podnosiła słuchawkę, ale nikt się nie odzywał.

Prawdopodobnie Junior ma ją na oku. Pewnie ustawił któregoś ze swoich kumpli przed domem na wypadek, gdyby Billy T. wrócił.

Jakby w ogóle chciał z nią rozmawiać!

To była okropna niesprawiedliwość. Straciła kochanka, męża i musiała wysłuchiwać pouczeń matki tylko dlatego, że chciała się trochę zabawić.

Samochód zatańczył na śliskiej szosie i Darleen zwolniła jeszcze bardziej.

Nie będzie tego dłużej znosiła. Płacz nie pomógł, a wyplakała parę wiader. Pucowanie domu i serwowanie co wieczór gorącej kolacji odniosło równie mizerny skutek. Junior zjadał, co przed nim postawiła, i szedł bawić się ze Scooterem.

No, dzisiaj zabawi się ze swoją żoną.

Wiedziała, jak przygotować scenerię. Miała nową koszulę nocną, zamówioną z katalogu na użytek Billy'ego T., ale to szczegół bez znaczenia. Spędziła całe popołudnie u fryzjera i odcierpiała nawet wyrównanie woskiem brwi i usunięcie puszkę nad górną wargą.

Ze Świąt Bożego Narodzenia została jej jaśminowa świeca, płyta Randy Trávisa i butelka dżinu. Junior robił się zdecydowanie romantyczny po paru szklaneczkach dżinu.

A kiedy już zaciągnie go do łóżka, Junior zapomni o Billym T. i swojej męskiej dumie. Ona zaś

będzie pełną poświęcenia żoną. J jeżeli jeszcze kiedyś weźmie sobie chłopaka, zachowa większą ostrożność.

W ostatniej chwili nacisnęła hamulec. Ściana deszczu ograniczała widoczność i Darleen nie dostrzegła samochodu stojącego w poprzek drogi. Wpadła w poślizg. Pisnęła, kiedy samochodem zarzuciło. Wozy zetknęły się błotnikami i Darleen opadła na siedzenie trzymając się za serce.

- Cholera! - Próbowała dojrzeć coś przez deszcz, ale widać było tylko porzucony samochód. - No, pięknie! - Otworzyła drzwi i wyszła na deszcz. W jednej chwili włosy przyłgnęły jej do czoła i oczu. - Dwadzieścia dwa dolce siedemdziesiąt pięć centów diabli wzięli! - krzyknęła w ciemność. - Chryste, jak mam odzyskać męża, skoro wracam do domu i wyglądam jak utopiony kot!

Przemyślała to sobie i uznała, że godny pożalowania wygląd może zadziałać na jej korzyść. Wzbudzić współczucie. Ale jeżeli chciała, żeby Junior jej współczuł, ponieważ zmokła, musi się najpierw dostać do domu. Wsparta pod boki, kopnęła oponę samochodu blokującego drogę.

- Jak niby mam objechać tę kobyłę? - Perspektywa powrotu do matki była tak przerażająca, że Darleen podeszła do samochodu, by poszukać innego rozwiązania.

Zaglądała właśnie przez przednie okienko w nadziei, że ujrzy kluczyki w stacyjce, kiedy usłyszała za sobą jakiś dźwięk. Serce podeszło jej do gardła i wróciło na swoje miejsce na widok znajomej postaci wyłaniającej się z mroku.

- Tak myślałam, że to twój samochód - zawołała. - Drogi są takie śliskie, że omal w niego nie wjechałam. Junior obdarłby mnie żywcem ze skóry, gdybym rozbiła mu wóz.

- Oszczędzę mu kłopotu.

Darleen nawet nie zobaczyła lewarka, który pozbawił ją przytomności.

Światło zamigotało parę razy, zanim w końcu zgasło podczas wyjątkowo silnego grzmotu. Caroline przygotowała się na taką ewentualność, rozstawiając świece i lampy naftowe we wszystkich pokojach.

Nie przeszkadzała jej ciemność ani burza. Prawdę mówiąc, błogosławiła i jedno, i drugie. Miała nadzieję, że uszkodzone zostaną również linie telefoniczne i nie będzie musiała odbierać więcej telefonów. Ludzie dzwonili przez cały dzień, z ciekawości lub z troski o nią.

Nie, burza jej nie przeszkadzała, ale nie chciała obijać się w ciemności po domu i ryzykować spotkania z uśmiechniętym duchem Austina Hatingera.

Patrzyła na burzę z werandy, podczas gdy Nieprzydatny popiskiwał w progu.

Widowisko było wspaniałe. Wiatr przetaczał się po równinie wstrzymywany tylko przez drzewa, targał skrzydłami okien, kładł trawy.

Caroline nie wiedziała, czy tak gwałtowny deszcz jest dobry czy zły dla zbiorów, choć z całą

pewnością dowie się o tym przy pierwszej wizycie w mieście. Na razie chciała tylko patrzeć, drżeć z lęku i wiedzieć, że ma za plecami suchy, pełen świec dom, który zapewni jej azyl.

Schronienie, poprawiła się z uśmiechem. Ciekawe jak zinterpretowałby użycie słowa

„azyl” doktor Palamo? Reakcja odruchowa, zdecydowała. Nie kryje się już i nie ucieka. Po raz pierwszy po prostu żyje.

A przynajmniej próbuje.

Uciekła przed Tuckerem tego ranka. Zaakceptowała seks, odrzuciła intymność.

Chciała udowodnić sobie, że żyje, ale bała się doznawać jakichkolwiek uczuć.

Zaskoczona nagłym chłodem, potarła ramiona. On chciał jej, ona chciała jego. Proste i bezproblemowe. Nie ma co rozdzielać włosa na czworo.

Zamknąwszy oczy, zaczerpnęła głęboko powietrza. Pachniało ozonem po ostatniej serii błyskawic. Caroline roześmiała się, kiedy Nieprzydatny czmychnął z piskiem do domu.

- W porządku, mały. Pędzę na ratunek. Znalazła go w salonie, z nosem wystającym spod pokrycia kanapy.

Szeptała słowa pociechy, wyciągnęła psa spod kanapy i wzięła na ręce jak dziecko.

- To nie potrwa długo. Burza nigdy nie trwa długo. Przychodzi, by nami potrząsnąć i sprawić, że docenimy spokój. Co powiesz na odrobinę muzyki?

Ja mam wielką ochotę. - Posadziła go na fotelu i wzięła do ręki skrzypce. - Coś pełnego pasji. Żeby wgrać się w nastrój.

Zacięła od Czajkowskiego, odegrała fragment Dziewiątej Beethovena jedną z piosenek, które nauczył ją Jim, i własną porywającą interpretację „Lady Madonny”.

Kiedy skończyła, na dworze panowały już ciemności. Drgnęła, słysząc pukanie do drzwi. Nieprzydatny wypadł z pokoju i pognął do sypialni, gdzie zaszył się pod łóżko.

- Może powinnam posłać go na tresurę. - Odłożyła skrzypce i wyszła do holu. Przez siatkowe drzwi wyjrzała ku niej twarz Tuckera.

Splotła dłonie, tak pewne przed chwilą, by powstrzymać ich drżenie.

- Paskudna noc na spacer.

- Wiem.

- Nie wejdiesz?

- Jeszcze nie.

Z włosów ściekła mu woda. Przypomniała sobie, jak wyglądał rano, kiedy wziął prysznic.

- Długo tu stoisz?

- Przyjechałem w chwili, gdy przerzuciłaś się z nokturnów na „Salty Dog”. Bo to był „Salty Dog”, prawda?

Na jej twarzy ukazał się przelotny uśmiech.

- Jim mnie nauczył. Wymieniamy doświadczenia.

- Słyszałem o tym. Tobie jest bardzo zadowolony. Myśli nawet o kupieniu chłopcu używanych skrzypiec.

- Jim jest utalentowany - powiedziała i poczuła się głupio. Dlaczego rozmawiają o Jimie rozdzieleni siatkowymi drzwiami? - Prąd wysiadł.

- Wiem. Wyjdź na chwilę, Caroline. Zawahała się. Wydawał się taki poważny.

- Coś się stało?

- Wyjdź. - Otworzył drzwi.

- Dobrze. - Wyszła, cała spięta. - Zastanawiałam się właśnie, czy ten deszcz jest dobry dla zbiorów.

- Nie przyszedłem tu rozmawiać o uprawie roli, o muzyce zresztą też nie. - Wsadził

ręce w kieszenie i razem patrzyli, jak błyskawice rozdierają niebo. - Muszę zapytać cię o to, co było rano.

- Może przyniosę ci piwa? - Zrobiła krok w tył, sięgając do klamki. - Wczoraj kupiłam całą skrzynkę.

- Caroline! - Jego oczy błysnęły w mroku. - Dlaczego nie pozwoliłaś mi się dotknąć?

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Przeczesała nerwowo palcami włosy. - Pozwoliłam ci. Kochaliśmy się w salonie na kanapie.

- Pozwoliłaś mi się kochać, ale nie pozwoliłaś mi się dotknąć. Jest różnica. Ogromna różnica.

Zesztywniała. Omal się nie uśmiechnął, widząc wyniosłe spojrzenie, jakim go obrzuciła.

- Jeżeli przyjechałeś tu, żeby krytykować mój występ... - umilkła zdziwiona tym, co powiedziała.

- Dużo mówiące przejęzyczenie. Poza tym nie krytykuję. Pytam. - Podszedł bliżej, ale jej nie dotknął.  
- Ale myślę, że właśnie mi odpowiedziałaś. To był występ. Może potrzebowałaś coś odegrać, żeby poczuć, że żyjesz. Bóg wie, że masz do tego prawo. Pytam, czy tylko tego chcesz? Mogę ci ofiarować więcej. Chcę dać ci więcej. Jeżeli zechcesz to przyjąć.

- Nie wiem. Nie tylko, czy chcę, ale czy powinnam.

- Mogę zostawić cię samą, jeżeli masz zamiar to przemyśleć. Albo możesz mnie zaprosić do środka. - Podniósł dłoń do jej policzka. - Proszę, zaprosz mnie do środka.

Nie tylko do domu, zrozumiała. Do jej wnętrza, fizycznie, emocjonalnie. Zamknęła na chwilę oczy. Kiedy je otworzyła, on nadal czekał.

- Nie stanowią najlepszej lokaty kapitału. Uśmiechnął się lekko.

- Cholera, złotko, ja też nie. Odsunęła się, żeby otworzyć drzwi.

- Wejdz, proszę.

Tucker wypuścił ze świstem powietrze. W chwili gdy przekroczył próg pochwycił

Caroline w ramiona z taką gwałtownością, że zachwiała się na nogach.

- Tucker...

- Mógł to zrobić Ret Butler, mogę i ja. - Zamknął jej usta pocałunkiem i ruszył w stronę schodów. Szczęśliwie nie musiał się martwić Ashleyem, a Luisa wybije jej dzisiaj z głowy.

- Jesteś mokry. - Oparła głowę na jego ramieniu.

- Nie będę się sprzeciwiał, żebyś się rozebrała.

Roześmiała się. Jakie to łatwe, pomyślała, jeżeli człowiek pozwoli sobie na luz.

- Jesteś dla mnie taki dobry.

- Mogę być jeszcze lepszy. - Przystanął w drzwiach sypialni, żeby ją pocałować.

- Nie mogę się tego doczekać.

- Tym razem będziesz musiała.

Drzemała przygnieciona jego ciałem. To i owo zaczynało ją boleć, ale nawet ból sprawiał jej radość. Zawsze uważała się za sprawną kochankę - choć pod koniec ich znajomości Luis miał zastrzeżenia, ale nigdy nie czuła się tak zadowolona z siebie.

Przeciągnęła się z westchnieniem. Tucker przetoczył się na plecy, tak że znalazła się na nim.

- Lepiej? - zapytał, kiedy położyła mu głowę na piersi.

- Przedtem też było dobrze. - Uśmiechnęła się i podniosła ciężkie powieki. Z

niemałym zdziwieniem stwierdziła, że leżą w nogach łóżka. - Jak się tu znaleźliśmy?

- Sprawność fizyczna. Daj mi parę chwil, a znajdziemy się w głowach.

- Hmm. - Przycisnęła usta do jego piersi. - Przystało padać. I jest jeszcze bardziej gorąco niż przedtem.

- Nie wiem, czy to przypadkiem nie nasza zasługa. Caroline uniosła głowę.

- Wiesz, czego chcę?

- Skarbie, gdy tylko odzyskam siły, dam ci wszystko, czego zapagniesz.

- Zapamiętaj to sobie. Ale... - Zbliżyła usta do jego warg. - Ale w tej chwili mam ochotę, naprawdę wielką ochotę na lody. - Pokazała mu w uśmiechu wszystkie zęby. - Chcesz loda, Tucker?

- Może bym i zjadł. - Oczyma wyobraźni zobaczył, jak zlizuje Niespodziankę Truskawkową z interesujących rejonów jej ciała. - Przyniesiesz je tutaj?

- Taki miałam plan. - Wyślizgnęła się z łóżka i poszukała w szafie szlafrocza. - Dwie łyżki?

Jego zęby błysnęły w mroku, kiedy skrzyżowała poły szlafroka na piersiach.

- Zdecydowanie dwie. Pomóc ci?

- Myślę, że sobie poradzę.

- To dobrze. - Wsadził ręce pod głowę i zamknął oczy. Caroline wyszła, pewna, że Tucker skorzysta z jej nieobecności i utnie sobie drzemkę.

W świetle naftowej lampy nałożyła lody. Pomyślała, że ta chwila zostanie jej w pamięci. Duszna kuchnia, zapach deszczu i nafty, silny posmak miłości. Lody, które zanieśie do łóżka.

Nucąc pod nosem wyszła do holu. Nawet ostry dźwięk telefonu nie zepsuł jej humoru.

Odstawiła jedną miseczkę i przytrzymując słuchawkę ramieniem, zanurzyła łyżkę w lodach.

- Halo.

- Caroline! Dzięki Bogu!

Zamarła w połowie gestu, z łyżeczką tuż przy wargach. Jednak istniało coś, co mogło zepsuć jej humor. Telefon od matki.

- Cześć, mammo.

- Od godziny próbuję się z tobą połączyć. Jakies kłopoty na linii. Co nie jest zaskakujące, biorąc pod uwagę, jak oni tam funkcjonują.

- Mieliśmy burzę. Jak się masz? A tato?

- Mamy się dobrze. Twój ojciec jest w podróży służbowej do Nowego Jorku. Nie mogłam mu towarzyszyć. Mam mnóstwo zajęć.

Georgia Waverly mówiła szybko, bez śladu akcentu z delty Missisipi, pracowała ciężko i z zamiłowaniem, by go wykorzenić.

- To o ciebie należy się martwić - powiedziała i Caroline wyobraziła ja sobie przy różanym biureczku w wytwornym salonie, jak odfajkowuje imię córki na długiej liście spraw do załatwienia.

Zamówić kwiaty. Pójść na obiad organizacji charytatywnej. Pomartwić się o Caroline.

- Nie ma powodu do zmartwienia - powiedziała Caroline.

- Tak sądzisz? Byłam dzisiaj na proszonym obiedzie u Fullbrightów i to Carter musiał mi powiedzieć, że moja córka została napadnięta.

- Nic mi się nie stało - powiedziała Caroline szybko.

- Wiem - rzuciła Georgia, niezadowolona z tego, że jej przerwano. - Carter powiedział

mi wszystko to, czego ty nie raczyłaś. Ile razy ci powtarzałam, że nie ma po co tam jechać, ale ty nie chciałaś słuchać. A teraz dowiaduję się (nawiasem mówiąc, wołałabym nie wysłuchiwać takich opowieści przy zupie) że jesteś zamieszana w śledztwo o morderstwo.

- Przepraszam. - Caroline zamknęła oczy. Przeprosiny były nieodłącznym elementem jej rozmów z matką. - To stało się tak szybko. Zresztą już po wszystkim.

Podniosła wzrok słysząc ruch na schodach. Zobaczyła Tuckera i odwróciła się, znużona.

- Carter dał mi jasno do zrozumienia, że to dopiero początek. Wiesz, że jest właścicielem filadelfijskiej NBC. Powiedział, że dziennikarze podchwycili tę historię i wybierają się do Innocence, żeby nadawać bezpośrednie relacje. Naturalnie, kiedy pojawiło się twoje nazwisko, wiadomość weszła na pierwsze strony gazet.

- Chryste!

- Słucham?

- Nic. - Przesunęła dłonią po włosach. Bądź rozsądna, nakazała sobie, ktoś musi być rozsądny. -

Przykro mi, że usłyszałaś to od kogoś innego. Wiem, że tego rodzaju popularność cię irytuje. Nic nie poradzę na prasę, mamó. Nie odpowiadam za to. Przykro mi z twojego powodu.

- Czy nie dość, że musieliśmy zatuszować skandal, kiedy trafiłaś do szpitala, odwołałaś letnie tournee i publicznie zerwałaś z Luisem?

- Tak - powiedziała Caroline sucho. - To musiało być dla ciebie bardzo trudne. To bardzo nieodpowiedzialne z mojej strony, że załamalam się w ten sposób.

- Proszę nie mówić do mnie takim tonem. To by się w ogóle nie stało, gdybyś nie rozdmuchała drobnego nieporozumienia z Luisem. A teraz Wyjeżdżasz do tej dziury, zagrzebujesz się...

- Nie jestem zagrzebana.

- Marnujesz talent. - Georgia jakby nie słyszała protestów Caroline. - Upokarzasz siebie i swoją rodzinę. Nie przespałam spokojnie jednej nocy, wiedząc, że jesteś tam sama, nie chroniona.

Carolina przyłożyła dłoń do skroni.

- Byłam sama od lat. Georgia w ogóle nie usłyszała.

- A teraz... Mogłaś zostać zamordowana albo zgwałcona.

- O tak, to dopiero byłaby sensacja. Nastąpiła krótka cisza.

- Caroline, nie zasłużyłam na to.

- Przepraszam. - Przycisnęła palce do powiek i wyrecytowała zwykłą litanię. -

Przepraszam. Zdaje się, że jeszcze nie przyszłam do siebie po wstrząsie.

„Zapytasz, co się stało, mamó? Zapytasz, jak się czuję, co czuję, czy tylko, jak się będę zachowywać?”

- Rozumiem. I oczekuję, że ty ze swej strony postarasz się zrozumieć mnie. Nalegam na twój bezzwłoczny powrót do domu.

- Jestem w domu.

- Nie bądź śmieszna. Nie przynależysz do tego miejsca, podobnie jak ja. Stworzyliśmy ci z ojcem wspaniały start w życiu. Nie pozwolę ci tego zmarnować przez jakiś kaprys.

- Kaprys? To interesujące podejście do sprawy, mamó. Żałuję, ale nie mogę postępować tak, jak sobie życzysz. Być kimś, kogo chcesz we mnie widzieć.

- Nie wiem, skąd w tobie ten upór, ale to brzydka cecha. Bez wątpienia Luis podziela moje zdanie w tej kwestii, choć jest o wiele bardziej tolerancyjny. Bardzo się niepokoi.



- Co?! Chcesz powiedzieć, że do niego zadzwoniłaś? Że wbrew moim wyraźnym życzeniom zadzwoniłaś do niego?

- Życzenia dziecka nie zawsze pokrywają się z jego interesami. Chciałam porozmawiać z Luisem o twoim wrześnieowym występie w Białym Domu.

Caroline przycisnęła rękę do żołądka, który zmienił się w twardy węzeł.

- Przestałam być dzieckiem w chwili, gdy wypchnęłaś mnie na scenę. I nie potrzebuję rad Luisa.

- Nie jestem zaskoczona twoim podejściem. Od dawna karmisz mnie niewdzięcznością.

Caroline wyobraziła sobie matkę, jak bębni starannie wymanikiurowanymi paznokciami o wypolerowany blat biurka.

- Mam tylko nadzieję, że kiedy Luis do ciebie zadzwoni, będziesz trochę grzeczniejsza. Obie wiemy, że Luis to najlepsze, co ci się przytrafiło w życiu. On rozumie twój artystyczny temperament..

- Wykorzystuje moją żalną naiwność. Nie robi ci to żadnej różnicy, że zastałam go pieprzącego się z flecistką w garderobie?

- Twój język jest tak niewyszukany jak twoje otoczenie. - To dopiero wprawki.

- Dość tych bzdur. Nalegam, żebyś wróciła do domu. Zostało nam zaledwie parę tygodni na przygotowanie występu w Białym Domu. Oczywiście nie pomyślałam nawet o sukni. Musiałam znaleźć czas, by skonsultować się z twoją krawcową. Rozgłos w sprawie tego morderstwa jest naprawdę szkodliwy.

Cios nożem w serce też, pomyślała Caroline.

- Mamo, naprawdę nie musisz przejmować moich obowiązków - powiedziała ostrożnie. - Ustaliłam już wszystko z Francesem. Przylecę do Waszyngtonu na występ, odlecę następnego dnia. A jeżeli chodzi o kostium, stan mojej garderoby jest więcej niż zadowalający.

- Straciłaś rozum?! To jeden z ważniejszych etapów w twojej karierze. Już zaczęłam organizować wywiady, sesje zdjęciowe...

- Więc je odwołaj - powiedziała Caroline krótko. - Zapewniam cię, mamó, że przeżyłam i czuję się dobrze. Mężczyzna, który na mnie napadł, nie żyje. Wiem o tym na pewno, bo sama go zabiłam.

- Caroline...

- Pozdrów ode mnie tatę. Dobranoc. - Delikatnie odłożyła słuchawkę na widelki.

Odczekała pełną minutę, chcąc zyskać pewność, że nie zaczną krzyczeć.

- Lody się roztopiły - powiedziała spokojnie.

Zabrała miseczki ze stolika, wróciła do kuchni i ustawiła je w zlewie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wyglądało na to, że jest to dzień na wyciszenie jego emocji i złagodzenie poczucia winy. Tucker zastanawiał się, jak to się mogło stać, że człowiek, który przez całe życie ślizgał

się po powierzchni wzburzonych wód, wpadł w nie po uszy.

Gniew Caroline zdawał się wibrować w powietrzu. Tucker miał wrażenie, że kuchnia została podłączona do prądu.

Bardzo chciało mu się zapalić, ale papierosy znajdowały się na górze, prawdopodobnie w kieszeni mokrej koszuli.

Spojrzał w górę pogrążonych w mroku schodów, nie bez tęsknoty za ciszą i spokojem sypialni, potem w dół w stronę kuchni, gdzie migotała lampa i czekały kłopoty.

Kiedy tam wszedł, stała przy zlewie i patrzyła w okno, zupełnie tak samo jak podczas wizyty Burnsa. Ale teraz miała przed sobą ciemność.

Tucker nie chciał, żeby patrzyła w nią samotnie. Skulił się w sobie, kiedy Caroline zeszywniała pod jego dotknięciem.

- Wiesz, co zwykle robić w towarzystwie zamyślanej kobiety? Opowiadałem dowcip i próbowałam zaciągnąć ją z powrotem do łóżka. Jeżeli to nie podziałało, znikalem z horyzontu. - Nie zważając na opór Caroline, zaczął rozmasowywać jej ramiona. - Ale zwykle metody jakoś nie sprawdzają się na tobie.

- Nie miałabym nic przeciwko dowcipowi.

Wsparł czoło o czubek jej głowy. Cholerna szkoda, pomyślał, że żaden nie przychodzi mi do głowy.

- Porozmawiaj ze mną, Caroline.

Niecierpliwym ruchem odkręciła wodę, żeby umyć zlew. - Nie ma o czym.

Kiedy podniósł głowę, zobaczył ich zamglone odbicie w szybie. Był pewien, że ona widzi je także, ale zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę z ulotności tego obrazu, z łatwości, z jaką można go zetrzeć.

- Kiedy zeszłaś na dół przed paroma minutami, czułem cię ciągle przy sobie, taką miękką i rozluźnioną. Teraz jesteś kłębkim nerwów. To mnie boli. - To nie ma nic wspólnego z tobą.

Szybkość, z jaką odwrócił ją ku sobie, zaskoczyła oboje. Nie starał się nawet stłumić gniewu.

- Jeżeli chcesz mnie jedynie do łóżka, postaw sprawę jasno. Jeżeli to, co zaszło między nami, było

dla ciebie tylko aktem, powiedz mi to teraz, a zastosujemy się do twoich reguł. Dla mnie to było coś więcej. - Potrząsnął nią, jakby chciał zburzyć mur, którym się od niego odgradziła. - Cholera, nigdy tak nie było.

- Nie ponaglaj mnie! - zawołała z płonącymi oczami. - Całe życie musiałam tolerować ludzi, którzy wywierali na mnie nacisk. Skończyłam z tym.

- Ale nie skończyłaś ze mną. Jeżeli myślisz, że możesz się przespać i powiedzieć

„cześć, dzięki”, to się mylisz. Zostaję. - Na potwierdzenie swoich słów, przycisnął usta do jej warg w brutalnym, władcym pocałunku. - Oboje będziemy się musieli do tego przyzwyczaić.

- Nie muszę się do niczego przyzwyczajać. Mogę powiedzieć „tak”, mogę powiedzieć

„nie”, albo mogę... - Urwała i zacisnęła mocno powieki. - Dlaczego się z tobą kłócę? To nie twoja wina. - Odsunęła się delikatnie. - To nie twoja wina. Tucker. Krzykiem nic nie zdziałam.

- Jeżeli o mnie chodzi, możesz pokrzyczeć. Trochę, jeżeli sprawi ci to ulgę.

Uśmiechnęła się, trąc z roztargnieniem czoło.

- Myślę, że tabletki doktora Palamo bardziej mi pomogą.

- Spróbujmy czegoś innego. - Ujął ją za ręce i poprowadził do krzesła. - Usiądź sobie tutaj, a ja naleję nam po kieliszku tego wina, które ci kiedyś przyniosłem. Potem opowiesz mi, dlaczego ten telefon tak cię wkurzył.

- Wkurzył. - Usiadła, zamykając znowu oczy. - To wyrażenie obejmuje całą gamę uczuć, prawda? Moja matka powiedziałaby, że jest niewyszukane, ale mnie się podoba. -

Kiedy otworzyła oczy, dostrzegł w nich cień rozbawienia. - Byłam nieźle wkurzona przez ostatnie parę miesięcy. A przez telefon rozmawiałam z matką.

- Słyszałem. - Odkorkował butelkę. - Zdaje się, że była... niezadowolona z tego, co wydarzyło się wczoraj.

- W rzeczy samej. Była niezadowolona głównie dlatego, że stało się to tematem rozmowy na przyjęciu. Plotkarstwo jest nałogiem nie tylko Południowców, choć w kręgach mojej matki nazywa się życiem towarzyskim. Zdenerwowało ją zwłaszcza to, że dziennikarze zwąchali sensację, a ja mam w planie Ważny występ. Boi się, że prezydent Stanów Zjednoczonych i rosyjski premier nie zechcą słuchać koncertu skrzypcowego numer pięć Mozarta w wykonaniu kogoś, kto odstrzelił niedawno facetowi twarz. - Wzięła kieliszek z rąk Tuckera i uniosła go w górę. - Córnka Georgii Waverly nie powinna być przedmiotem publicznych roztrząsań. Co by na to powiedziała Liga Kobiet?

- Może ona się o ciebie boi?

- Zgadza się. Tak, trzeba jej oddać sprawiedliwość, ona boi się, żeby mi się coś nie stało. Kocha

mnie, na swój sposób. - Łyknęła wina. Było chłodne, cierpkie i krzepiące. -

Zawsze chciała dla mnie jak najlepiej, w jej rozumieniu oczywiście. Przez całe życie robiłam wszystko, by sprostać jej oczekiwaniom. Teraz muszę przyznać przed sobą i przed nią, że już dłużej nie mogę.

- Ludzie łatwo przyzwyczajają się do tego, co dobre. - Tucker usiadł naprzeciwko niej przy stole. - Może ona potrzebuje więcej czasu na pogodzenie się z faktem, że zmieniłaś zasady gry.

- Albo nie pogodzi się z tym nigdy. - Trzymając kieliszek w obu dłoniach, Caroline rozejrzała się po kuchni. Stara lodówka włączyła się z jękiem. Deszcz skąpy wał rytmicznie z rynny.

Zniszczone linoleum, wyblakłe zasłonki, pomyślała. Światło naftowej lampy było przyjazne dla pokoju, jak dla zmęczonej kobiety. Ta myśl wydała się Caroline bardzo pocieszająca.

- Kocham ten dom - szepnęła. - Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, czuję się tu dobrze. I potrzebuję...

- Czego?

- Gdzieś przynależeć. Potrzebuję zwyczajności, stabilizacji i poczucia ciągłości.

- Nie wydaje mi się, żeby były to rzeczy, za które należy przeproszać. A więc on to też zauważył, pomyślała ze smutnym uśmiechem. W jej głosie ciągle jeszcze brzmiał

przeproszający ton. Za każdym razem, gdy chciała czegoś dla siebie.

- Masz rację. Pracuję nad tym. Widzisz, ona nigdy nie mogła zrozumieć tego, co czuję. A już na pewno nie rozumie moich potrzeb.

- Więc masz wybór. Albo zadowolisz ją, albo siebie.

- Sama doszłam do tego wniosku. Ale to jest bardzo trudne, ponieważ każda próba zaspokojenia siebie prowadzi do konfliktu. Tucker, ona wyrosła w tym domu. Wstydzi się tego. Wstydzi się, że jej ojciec uprawiał bawełnę, a matka robiła zaprawy. Wstydzi się tego domu i tych dwojga ludzi, którzy dali jej życie i zrobili co w ich mocy, by to życie było dobre.

- To jej problem, nie twój.

- Ale to właśnie ten jej wstyd mnie tu przygnał. On nas łączy. Zdaje się, że na tym właśnie polega rodzina. Nie masz wyboru, musisz stać się ogniwem łańcucha. Nigdy nie dała mi szansy poznania dziadków. Obywali się bez wielu rzeczy, żeby mogła studiować w Filadelfii. Nie powiedziała mi tego moja matka. Usłyszałam to od Happy Fuller. Babcia szyła, haftowała, prała cudze rzeczy, żeby tylko uciuć parę groszy na naukę córki. Całe szczęście, nie musieli robić tego długo. Już na pierwszym semestrze poznała mojego ojca. Często mi opowiadał, jak próbował wykręcić się z randki w ciemno, w którą wrobili go koledzy i jak zakochał się w matce od pierwszego wejrzenia. Potrafisz wyobrazić sobie swoich rodziców, jak idą na pierwszą randkę i się zakochują?

- Mój ojciec zakochał się w mojej matce, kiedy miała dwanaście lat. Czekał na nią sześć.

- Moi uwinęli się prędej. Pobrali się, zanim matka ukończyła pierwszy rok studiów.

Waverly'owie są starą filadelfijską rodziną. Mój ojciec już w chwili swego urodzenia został przeznaczony na prawnika. Wiem, że mojej matce musiało być trudno wpasować się w to środowisko. Ale od kiedy sięgam pamięcią, była większym snobem niż jakikolwiek Waverly.

Dom w najlepszej dzielnicy miasta, ubrania od najslawniejszych projektantów, wakacje we właściwych kurortach we właściwej porze roku.

- Większość ludzi przesadza, kiedy wydaje im się, że muszą coś udowodnić.

- Och, ona musiała wiele udowodnić. I natychmiast urodziła dziecko, żeby jej w tym pomogło. Niania zajmowała się tą mniej przyjemną stroną wychowywania dziecka, zaś matka tworzyła decorum, kształciła zachowania i poglądy. Posyłała po mnie, żebym przyszła do salonu. Pachniał zawsze różami z ciepłarni i perfumami Chanel. Pouczała mnie, bardzo cierpliwie, czego oczekuje się od Waverlych.

Tucker wyciągnął rękę i dotknął jej włosów.

- Czego oczekuje się od Waverlych? - Doskonałości.

- Ciężka sprawa. Ponieważ jestem Longstreetem, ojciec oczekiwał tylko, że „będę mężczyzną”. Oczywiście było to powiedziane drukowanymi literami. Nasze poglądy na sprawę męskości różniły się przy tym znacznie.

No i nie wykorzystywał salonu. Wolał drewnię.

- Matka nigdy nie podniosła na mnie ręki. Nie musiała. To ona wpadła na pomysł, żebym zaczęła grać na skrzypcach. Uważała, że to jest w dobrym tonie. Powinnam być jej wdzięczna

- powiedziała z westchnieniem. - Ale nie wystarczyło jej, że gram dobrze. Musiałam być najlepsza. Na całe szczęście miałam talent. Nazywali mnie cudownym dzieckiem. Zanim skończyłam dziesięć lat, na sam dźwięk tego słowa dostawałam dreszczy. Matka dobierała mi muzykę, instruktorów, ubrania na występy, tak jak dobierała mi przyjaciół. Potem zaczęłam jeździć w trasy koncertowe, sporadycznie na początku, z powodu młodego wieku. Potem było tych tournées coraz więcej. Kiedy skończyłam szesnaście lat, moja droga została wytyczona.

Szłam nią przez następne dwanaście lat.

- Chciałaś tego?

Uśmiechnęła się, słysząc to pytanie. Nikt go przedtem nie zadał.

- Ile razy dochodziłam do wniosku, że mam wybór, pojawiała się moja matka.

Osobiście, przez telefon, listownie. Zupełnie jakby wyczuwała to ziarenko buntu, które czasem zaczynało kiełkować. Po prostu je wyrywała. Pozwalałam jej na to.

- Dlaczego?

- Chciałam, żeby mnie kochała. - Zamrugła oczami, próbując odpędzić łzy. - Bałam się, że przestanie. Byłam pewna, że przestanie, jeżeli nie okaże się doskonała. - Zawstydzona otarła łzę, która przedarła się przez linie obronne. - To brzmi żałośnie.

- Nie. Tylko to smutne. Dla twojej matki.

Odetchnęła głęboko, jak nurek wypływający na powierzchnię.

- Przed trzema laty poznałam w Londynie Luisa. Był najgenialniejszym dyrygentem, z jakim zdarzyło mi się pracować. Kiedy go spotkałam, miał trzydzieści dwa lata i cieszył się sławą w całej Europie. Prowadził orkiestrę brawurowo, panując nad nią jak matador nad bykiem. Był stanowczy arogancki, przepelniony seksualizmem. Fizycznie nieodparty, miał w sobie jakiś magnetyzm.

- Na tym możesz poprzestać. Facet w oczach mi stoi. Zaśmiała się.

- Miałam dwadzieścia pięć lat. Nigdy nie byłam z mężczyzną. Tucker chciał się napić, ale odstawił szklankę.

- Nigdy nie...

- Nie dokazywałam w sianie? - Uśmiechnęła się, widząc osłupienie na jego twarzy.

Ale uśmiech znikł niemal tak szybko, jak się pojawił. - Nie. Kiedy dorastałam, matka trzymała mnie na bardzo krótkiej smyczy, a ja nie miałam odwagi szarpać się zbyt mocno.

Dobierała mi męską eskortę, kiedy już musiałam iść na imprezę. Można powiedzieć, że mamy odmienne gusty. Nie byłam zainteresowana mężczyznami, których ona uznawała za odpowiednich.

- Dlatego ja ci się spodobałam. - Przechylił się nad stołem, żeby ją pocałować. -

Osiwiałaby na mój widok.

- Jakoś nigdy o tym nie pomyślałam. - Rozbawiona, stuknęła się z nim kieliszkiem. -

Potem, kiedy zaczęłam jeździć na tournée sama, miałam napięty rozkład zajęć i byłam... No cóż, chyba powściągliwa.

Pomyślał o kobiecie, która przed paroma minutami przetaczała się z nim po łóżku.

- Ho, ho.

Nie wiedziała, że sarkazm może przynieść ulgę.

- Mój seksualizm był jakby uwięziony w muzyce. Z pewnością nie zaliczałam siebie do kategorii kobiet, które wskakują do łóżka pierwszemu atrakcyjnemu mężczyźnie, który kiwnie palcem. - Sięgnęła po butelkę. - W trzydzieści sześć godzin po próbie z Luisem, okazało się, że byłam w błędzie.

Wzruszyła ramionami i pociągnęła z kieliszka.

- Zbił mnie z nóg. Kwiaty, sentymentalne spojrzenie, rozpaczliwe obietnice wiecznej miłości. Nie mógł beze mnie egzystować. Jego życie nabrało sensu dopiero, gdy ja się w nim pojawiłam. Nie szczędził trudu. Powinnam dodać, że moja matka go uwielbiała. Luis jest hiszpańskim arystokratą.

- Bardzo stosownie z jego strony.

- Niezwykle stosownie. Kiedy musiałam wyjechać z Londynu do Paryża, telefonował

codziennie, przysyłał drobne, urocze prezenciki, wspaniałe kwiaty. Pośpieszył do Berlina, żeby spędzić ze mną weekend. Ciągnęło się tak przez rok. Słyszałam, że romansuje z jaką aktorką, ale uznałam, że to złośliwe plotki. Och. może i coś podejrzewałam, ale wystarczyło napomknąć mu tylko, że coś słyszałam, a wpadał w furję. Oskarżał mnie o chorobliwą zazdrość, zaborczość, brak wiary w siebie. No i byłam zajęta. Właśnie podpisałam kontrakt na półroczne tournee.

Umilkła rozpamiętując tamte chwile. Lotniska, hotele, próby, występy. Grypa, której nabawiła się w Sydney, trzymała ją aż do Tokio. Pełne napięcia rozmowy z Luisem.

Obietnice, rozczarowania. Zdjęcie, które ktoś położył na toaletce w jej garderobie. Zdjęcie Luisa obejmującego francuską aktorkę.

- Pomińmy obrzydliwe szczegóły. W każdym razie tournee było mordercze, mój związek z Luisem zaczął się chwiać, straciłam zupełnie wiarę w siebie. Zakończyliśmy nasz romans brzydką sceną pełną oskarżeń i łez. Moich łez, jego oskarżeń. Wtedy nie umiałam jeszcze walczyć.

Tucker nakrył ręką jej dłoń.

- Umiesz teraz.

- Uczę się szybko, kiedy już się zdecyduję. Szkoda tylko, że podjęcie tej decyzji zajęło mi dwadzieścia osiem lat. Kiedy rozstaliśmy się z Luisem, chciałam zrobić sobie przerwę w pracy, ale byłam już uwikłana w sieć zobowiązań. Gościnne występy w telewizji, program w kablowej. Podupadłam na zdrowiu. - Ciężko jej było to przyznać, nawet teraz. Nadal czuła się zażenowana chorobą, choć rozum mówił jej, że to irracjonalne, - I ja...

- Czeka! Co to znaczy podupadłaś na zdrowiu? Poruszyła się niespokojnie na krześle i zaczęła bawić nóżką kieliszka.

- Bóle głowy. Przywykłam do nich, ale stawały się coraz gwałtowniejsze. Straciłam na wadze. Jakoś nie mogłam jeść. Pojawiła się bezsenność i w rezultacie wyczerpanie organizmu.

- Dlaczego o sobie nie dbałaś?

- Myślałam, że po prostu sobie pobłażam. Że jestem kapryśna. I miałam obowiązki.

Ludzie polegali na mnie, na tym, że zagram, i to zagram dobrze. Nie mogłam po prostu... -

Roześmiała się. - Wymówki, jak powiedziałaby doktor Palamo. Prawda wygląda tak, że praca była moją ucieczką. Poza tym wpojono mi pewne zachowania. Musiałam realizować wizerunek swojej osoby i spełniać najwyższe oczekiwania. A jak twierdziła moja matka, niedyspozycja nie uprawnia damy do niestosownego zachowania. Łatwiej mi było ignorować symptomy niż walczyć z chorobą. Kiedy nagrywałam występ dla telewizji w Nowym Jorku, pojawiła się matka w asyście Luisa. Poczulałam się tak zraniona, że po prostu zesłam z planu.

- Uśmiechnęła się radośnie. Nigdy w życiu nie zrobiłam czegoś podobnego. I doznałam cudownego uczucia triumfu. Przejęłam kontrolę nad swoim życiem. Zadziałałam pod wpływem impulsu, kierując się wyłącznie emocjami, i świat wcale się nie zawalił. Było to upajające pięć minut.

Nie była w stanie dłużej usiedzieć na miejscu. Wstała i zaczęła chodzić po kuchni.

- Po pięciu minutach do garderoby wpadła matka i przedstawiła mi własną wersję mojego buntu. Zachowałam się jak rozpieszczone dziecko rozkapryszona artystka, primadonna. Próbowalam powiedzieć jej, że poczułam się zraniona tym, że go przyprowadziła, ale ona po prostu przemaszerowała po mnie. Byłam niedobra, głupia, niewdzięczna... Luis był gotów wybaczyć mi to, że okazałam się uparta, przewrażliwiona i chorobliwie zazdrosna, i że kręciłam na wszystko nosem. Oczywiście, przeprosiłam ją.

- Za co?

- Za wszystko, za co chciała, żebym ją przeprosiła. - Caroline machnęła niedbale ręką.

- Przecież chciała dla mnie jak najlepiej. Chciała mojego dobra. Pracowała i poświęcała się dla mojej kariery.

- Twój talent się nie liczył?

Caroline westchnęła głęboko, jakby razem z powietrzem chciała wydalić z siebie choć trochę goryczy.

- Ona już taka jest. Tucker. Staram się to zaakceptować i prawie mi się udało. Był

czas, kiedy ja również nie odpowiadałam za siebie. Tego wieczoru Luis przyszedł do mojego apartamentu w hotelu. Był czarujący, słodki, pełen skruchy. To wina stresu, powiedział, rezultat tego, że tak często musiał obywać się beze mnie, choć to oczywiście nie usprawiedliwia jego zdrady, zapewniał mnie. Ale czuł się taki samotny, taki bezbronny, a moje wątpliwości i pytania tylko pogłębiały stres. Te inne kobiety były tylko namiastka mnie.

Chwyciła kieliszek ze stołu.



- Wyobrażasz sobie kobietę z jedną pracującą szarą komórką w głowie, która by się na to nabrała?

Tucker zaryzykował i uśmiechnął się do niej.

- Aha.

Zatrzymała się, wpiła w niego wzrok, po czym zaczęła się śmiać.

- Oczywiście. Nie ja pierwsza, nie ostatnia. Luis był nadal jedynym mężczyzną, z którym spałam. Może gdybym miała paru kochanków, byłabym mniej skłonna do ustępstw.

Albo gdybym знаła swoją wartość jako kobiety, nie tylko jako muzyka, może pokazałabym mu drzwi. A tak, zgodziłam się o wszystkim zapomnieć, zacząć od nowa. Rozmawialiśmy nawet o małżeństwie. O, w bardzo luźny, niezobowiązujący sposób. Kiedy nadejdzie właściwy czas, powiedział Luis. Kiedy życie się unormuje. Zgodziłam się na następne tournee, ponieważ mnie o to poprosił.

Trochę zdziwiona spojrzała na swój kieliszek.

- Upijam się.

- Nie szkodzi, ja prowadzę. Mów dalej. Oparła się o kuchenny blat.

- Luis miał być dyrygentem, ja solistką. Mówił: to będzie mordercza praca, oczywiście, ale przynajmniej będziemy razem. A przecież tylko to się liczy, prawda? Doktor Palamo - mniej więcej w tym czasie zaczęłam się leczyć - odradzał mi to. Potrzebowałam spokoju i odpoczynku. Miałam, widzisz, wrzód na żołądku. Do tego migreny, bezsenność, wyczerpanie. Wszystko było wynikiem stresu i doktor nie krył, że następne tournee tylko pogorszy sprawę. Nie posłuchałam go.

- Powinien zawieźć cię do szpitala i przykuć do łóżka łańcuchem.

- Dokładnie to samo powiedział - zdziwiła się i siorbnęła trochę wina. - W przeddzień naszego wyjazdu matka wydała przyjęcie. Była w swoim żywiole, dawała wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że to przyjęcie zaręczynowe. Luis odpowiadał głupim śmiechem.

Wyjechaliśmy. Jak już mówiłam, Luis jest genialnym dyrygentem, wymagającym, kapryśnym, ale bezwzględnie genialnym. Przejechaliśmy triumfalnie przez Europę. Po pierwszym tygodniu wyprowadził się do własnego apartamentu. Moja bezsenność nie pozwalała mu należycie wypocząć.

- Obleśny drań.

- Raczej gładki. Bardzo gładki. W mojej karierze stanowił ogromny atut. Dopingował

mnie. Mówił, że jestem najlepszą artystką, z jaką zdarzyło mu się pracować, ale że mogę być jeszcze lepsza. Że on mnie ukształtuje, wymodeluje.

- Dlaczego nie kupił sobie plasteliny?

- Nie przyszło mi do głowy zapytać. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, wychodził ze skóry, żeby udoskonalić moją grę. Zawodził dopiero, gdy trzeba mnie było potraktować jak kobietę. Zaczynałam czuć się jak instrument, coś, co on nastraja i poleruje. Byłam taka zmęczona, chora, zagubiona. Irytowało go jak diabli, kiedy przychodziłam na próby wyczerpana i słaba. Mnie zresztą też. Irytowała mnie litość okazywana mi przez innych członków zespołu. Grałam dobrze, naprawdę dobrze. Takie tournee wspomina się zazwyczaj jako pasmo sal koncertowych, pokoi hotelowych, lotnisk, ale wiem, że nigdy jeszcze nie grałam tak dobrze, i może już nigdy tak nie zagram. Złapałam jakąś infekcję i żyłam na antybiotykach, sokach owocowych i muzyce. W ogóle przestaliśmy ze sobą sypiać.

Powiedział, że nie staram się go zadowolić. I miał rację. Potem obiecał mi, że kiedy tournee się skończy, wyjedziemy na wakacje. Żyłam tym. Koniec trasy, my dwoje na odludnej, ciepłej plaży.

Ale nie dotrwałam do końca trasy. Byliśmy w Toronto, dwie trzecie tournee mieliśmy za sobą. Byłam strasznie chora i bałam się, że nie przetrwam wieczornego występu.

Zemdlałam w garderobie. To nieprzyjemne uczucie ocknąć się na podłodze.

- Jezu Chryste, Caroline! - Chciał wstać, ale go powstrzymała ruchem dłoni.

- Gorzej to wygląda, kiedy się o tym opowiada. W rzeczywistości byłam po prostu bardzo zmęczona. I miałam potworną migrenę. Chciałam zwinąć się w kłębek i płakać.

Powtarzałam sobie w duchu, że to przecież tylko jeden koncert, że jeżeli do niego pójde i mu to wyjaśnię, on zrozumie. Więc poszłam do niego. Też leżał na podłodze w garderobie, tyle że pod sobą miał flecistkę. Nawet mnie nie zauważyli - powiedziała na wpuł do siebie Wzruszyła ramionami. - I bardzo dobrze. Nie miałam sił na konfrontację. W każdym razie, grałam tego wieczora. Trzy bisy, stojące owacje, sześć razy podnoszono kurtynę. Byłoby ich więcej, gdybym nie zemdlała. Obudziłam się w szpitalu.

- To on powinien się leczyć!

- Och, to nie jego wina. On był tylko symptomem. To moja własna robota. Załatwiła mnie własna żalonna potrzeba spełnienia oczekiwań innych ludzi. Luis nie doprowadził mnie do choroby. Ja to zrobiłam. Postawiono diagnozę: wyczerpanie organizmu. - Podeszła niespokojnie do stołu i naląa sobie resztkę wina, starannie wytrząsając ostatnie krople. - To było upokarzające. Wolałabym, żeby to był atak serca albo jakaś rzadka, egzotyczna choroba.

Przebadali mnie na wylot, zrobili setki testów, ale nic nie znaleźli. Wyszło im wyczerpanie połączone z załamaniem nerwowym. Doktor Palamo przyleciał, żeby zająć się mną osobiście.

I ani razu nie usłyszałam z jego ust sakramentalnego „a nie mówiłem”. A. kiedyś wykopał nawet Luisa z pokoju.

Tucker podniósł kieliszek.

- Za doktora Palamo!

- Był dla mnie ratunkiem. Kiedy chciałam płakać, pozwalał mi płakać. Kiedy chciałam mówić, słuchał. Nie jest psychiatrą i, chociaż polecił rai specjalistę, wolałam rozmawiać z nim. Potem przetransportował mnie do szpitala w Filadelfii. Nie był to w zasadzie szpital, raczej sanatorium. Matka opowiadała wszystkim, że odpoczywam w willi na Riwierze. Willa na Riwierze, to brzmi lepiej niż sanatorium pod Filadelfią.

- Caroline, przykro mi, ale chyba nie lubię twojej matki.

- Nic nie szkodzi. Ona by cię też nie lubiła. Ale wypełniała sumiennie swój obowiązek. Odwiedzała mnie trzy razy w tygodniu. Tata dzwonił co wieczór, nawet jeżeli widzieliśmy się w ciągu dnia. Orkiestra pojechała dalej beze mnie, a prasa używała sobie na moim załamaniu nerwowym oraz romansie Luisa z flecistką. Przesyłał mi kwiaty wraz z romantycznymi liścikami. Nie miał pojęcia, że go przyłapałam.

Dopiero po trzech miesiącach wyzdrowiałam na tyle, by móc wrócić do domu. Nadal byłam roztrzęsiona, ale czułam się silniejsza niż kiedykolwiek w życiu. Zrozumiałam, że sama zrobiłam z siebie ofiarę. Pozwoliłam innym wyzyskiwać coś, co powinno być hołubione jako dar od Boga. Mój talent należał do mnie, moje życie należało do mnie. Moje uczucia.

Boże, cóż to była za euforia, wyzwolenie. Kiedy prawnicy odczytali mi testament babki, wiedziałam, co muszę zrobić.

Matka zsiniała z wściekłości. Nie tylko jej się sprzeciwiłam, Tucker, zrobiłam o wiele więcej. Stałam w tym cholernym, wymuskany salonie i wrzeszczałam, oskarżałam i żądałam. Naturalnie złożyłam również przeprosiny. Niełatwo się pozbyć starych nawyków, ale trwałam przy swoim. I pojechałam na południe.

- Do Innocence.

- Do Baltimore. Wiedziałam, że Luis ma tam jakieś występy gościnne. zawiadomiłam go o moim przyjeździe. Och, był zachwycony, wniebowzięty. Zamówił intymną kolacyjkę w swoim apartamencie. Rzuciłam w niego szampanką i dopiero wtedy naprawdę się od niego uwolniłam. Cudowne uczucie. Był tak wściekły, że wybiegł za mną na korytarz. Jakiś mężczyzna z pokoju naprzeciwko, nie wiem nawet jak się nazywał, wyrzwał w chwili, gdy Luis próbował siłą zaciągnąć mnie z powrotem. Znokautował go. - Z półprzymkniętymi oczami, sparodiowała prawego sierpowego. - Jeden cios w tę doskonale zarysowaną szczękę i Luisa można było liczyć.

- Mam nadzieję, że postawiłaś facetowi drinka.

- To byłoby ze wszech miar stosowne, ale ja nadal działałam pod wpływem impulsu.

Zrobiłam rzecz zupełnie absurdalną. Chwyciłam tego kompletnie obcego mężczyznę, pocałowałam go prosto w usta i odeszłam.

- Jak się czułaś?

- Wolna. - Usiadła z westchnieniem. Ból głowy minął bez śladu. Żołądek przestał być zbitą kluchą i był znowu żołądkiem. - Nadal są chwile, jak teraz podczas rozmowy z matką, kiedy tracę to uczucie. Widocznie tkwią we mnie jeszcze jakieś resztki dawnego „ja”. Ale nigdy już nie będę dawną Caroline Waverly.

- To dobrze. - Podniósł jej dłonie do ust. - Lubię cię taką, jaka jesteś teraz.

- Ja też, z małymi wyjątkami. - Jej kieliszek pozostawił mokre ślady na blacie. - Może nigdy nie zrozumie się z matką, ale odnalazłam tutaj coś, co ma dla mnie ogromną wartość.

- Spokój i bez troskę? - zapytał i musiała się uśmiechnąć.

- Właśnie. Nie ma jak parę morderstw dla ukojenia nerwów. Korzenie - powiedziała podnosząc na niego wzrok. - Wiem, że to brzmi śmiesznie, skoro spędziłam tu tylko parę dni w dzieciństwie. Ale słabe korzenie są lepsze niż żadne.

- Nie są słabe. Tu, w delcie, wszystko rośnie szybko i wrasta głęboko. Nawet ludzie, którzy stąd odejdą, nigdy nie zapominają o swoich korzeniach.

- Mojej matce się udało.

- Nie, one odrosły w tobie, Caroline - powiedział miękko i ujął jej twarz w dłonie. -

Przeszłaś straszne rzeczy. Nie, spójrz na mnie - nakazał, kiedy spuściła wzrok. - Jakaś część ciebie nadal chce się tego wstydzić. Ja nie przywykłem do tłamszenia uczuć, więc musisz je brać w miarę, jak się pojawiają. Boli mnie myśl, że cierpiałaś, że byłaś chora i nieszczęśliwa, ale jeżeli wszystkie te klęski doprowadziły cię tutaj, do tego stołu, to się z nich cieszę.

Tutaj, do tego stołu, pomyślała i uśmiechnęła się.

- Ja również.

Wyglądała tak krucho. Drobne kości, biała skóra. Wyglądała krucho.

dopóki człowiek nie zajrzał jej w oczy. Są w nich otchłanie, pomyślał, siła której nawet nie zaczęła jeszcze zgłębiać. Bardzo chciał być przy niej, kiedy dokona dalszych odkryć.

- Chcę ci powiedzieć wiele rzeczy. Tylko nie bardzo wiem, jak to zrobić. Ujęła go za przegub dłoni.

- Może, kiedy poczuję się pewniej, będę chciała je usłyszeć. Na razie wolałabym pozostawić sprawy ich własnemu biegowi.

Zawsze byłem cierpliwy, przypomniał sobie. Ale trudno jest zachować cierpliwość, kiedy człowiek stoi na krawędzi i ziemia usuwa mu się spod nóg.

- Dobrze. - Pochylił się, żeby pocałować ją w usta. - Pozwól mi dzisiaj tu zostać.

Poczuł, że się uśmiecha pod jego wargami.

- Myślałam, że nigdy o to nie poprosisz. - Wstała biorąc go za rękę. - Mówiłeś, zdaje się, że jeżeli nie spodoba mi się twoja metoda, spróbujemy jeszcze raz?

- Nie spodobała ci się?

- Bo ja wiem? Może gdybyśmy to powtórzyli, wyrobiłabym sobie bardziej zdecydowaną opinię.

- Rozsądna propozycja. - Obrzucił wzrokiem kuchenny stół i uśmiechnął się szeroko. -

Może zaczniemy tutaj? - Rozwiązał pasek jej szlafroka. - I będziemy posuwać się w stronę sypialni... Cholera!

Zadzwonił telefon i Caroline opuściła głowę na ramię Tuckera.

- Moglibyśmy nie odbierać, ale ona będzie dzwoniła przez całą noc.

- Ja odbiorę.

- Nie, ja...

Chwycił ją za rękę, zanim zdążyła zawiązać szlafrok.

- Pozwól, że ja odbiorę. Jeżeli nie uda mi się namówić jej do odłożenia słuchawki, pozwolę ci spróbować.

Po chwili wahania uznała, że pomysł nie jest zły.

- Dlaczego nie? Pocałował ją szybko.

- Uprzątnij stół - zawołał przez ramię. Zaśmiała się głośno w odpowiedzi.

- Babciu - szepnęła Caroline, biorąc ze stołu drucianą podstawkę. - Mam nadzieję, że się nie zgorszysz. - Wstawiła kieliszki i pustą butelkę do zlewu i uznała, że babci spodobałby się pomysł z kuchennym stołem.

- Już? - zdziwiła się, słysząc kroki Tuckera. - Niemożliwe, żeby poddała się tak prędko. Co jej... - słowa zamarły jej na ustach, kiedy zobaczyła jego twarz. - Co się stało?!

- To nie była twoja matka. To był Burke. - Podeszedł do niej i otoczył ramionami. -

Darleen Talbot zaginęła. - Znowu ujrzał ich odbicie w ciemnym oknie. Jak przez ciemne okulary, pomyślał i zamknął oczy. - Zaczniemy szukać o świcie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Postaraj się zasnąć. - Tucker stał w łazience, podczas gdy Caroline próbowała makijażem

zatuszować skutki długiej, nie przespanej nocy. Nie mogłabym. - Przypudrowała ciemne plamy pod oczami. - Siedziałabym tylko przy telefonie i czekała, aż zadzwoni.

- Jedź do Sweetwater. - Patrzył na jej odbicie w lustrze. Wspólne krzątanie się w tym tak bardzo prywatnym miejscu i uczestnictwo w tym odwiecznym kobiecym rytuale wzbudziło w nim dziwne poczucie intymności. - Zdrzemnij się w moim hamaku.

- Tucker, nic mi nie będzie. To o Darleen trzeba się martwić. O Fullerów, o Juniora. O

to małe dziecko. Boże! - Walcząc o zachowanie spokoju, machinalnie wsuwała i wysuwała z tubki szczoteczkę do tuszu. - Jak to się mogło stać?

- Nie wiemy, czy w ogóle coś się stało. Może po prostu zwinęła żagle. Billy T.

twierdzi, że się z nią nie widział, ale ponieważ Junior go poturbował, trudno oczekiwać, że powie prawdę.

- Więc dlaczego zostawiła samochód na drodze? Wałkowali ten temat przez pół nocy.

- Może się z kimś umówiła. Ta droga jest dość odludna. Mogła zostawić samochód i pojechać z kimś, choćby po to, żeby dać nauczkę Juniorowi.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Przeczesała grzebieniem włosy. - Boże, mam nadzieję, że się nie mylisz, bo inaczej... Bo to by oznaczało...

- Nie ma co martwić się na zapas. - Delikatnie ujął ją za ramiona. - Żyjemy dniem dzisiejszym, pamiętasz?

- Próbuję. - Oparła się o niego na chwilę. Łazienka była zaparowana po ich kąpieli. Za oknem świtało. - Jeżeli moja matka ma rację, dziennikarze zjadą tu jeszcze dzisiaj. Poradzę sobie z nimi. - Odsunęła się z ciężkim westchnieniem. - Ale muszę iść do Fullerów i spróbować pocieszyć Happy. I tego się boję.

- Będzie tam mnóstwo ludzi. Nie musisz iść.

- Muszę. Mogę być albo kimś z zewnątrz, albo członkiem tej społeczności. Wszystko zależy od tego, jak potraktuję innych.

Czy nie powiedział czegoś podobnego Cyrowi zaledwie wczoraj? Trudno dyskutować z sobą samym.

- Przyjdę tam, kiedy będę mógł. Jeżeli będę mógł. Skinęła głową. Przed domem roztrąbił się samochód.

- To pewnie Burke. Już prawie świta.

- Muszę iść.

- Tucker! - Pocałowała go, delikatnie, czule. - Tylko tyle. Przytulił twarz do jej policzka.

- To wystarczy.

Dochodziła dopiero ósma, kiedy Caroline dotarła do domu Fullerów, ale Happy nie była sama. Przyjaciele i rodzina zwarli szeregi, kawa lała się strumieniami. Choć nikt nie myślał o jedzeniu, wszyscy siedzieli w kuchni, w tej odwiecznej kobiecej kryjówce.

Caroline stanęła niepewnie w drzwiach, poza nawiasem cichych rozmów, poza kręgiem duchowego wsparcia i niepokoju. Susie huśtała Scootera na biodrze, Josie kręciła się niespokojnie przy tylnych drzwiach. Żona Toby'ego, Winnie, zmywała naczynia. Birdie Shays trwała przy Happy jak posąg. Marvella rwała na strzępy papierową chusteczkę.

Wrażenie, że jest tu intruzem, było tak silne, że Caroline chciała się odwrócić i odejść.

To Josie zauważyła ją pierwsza, uśmiechnęła się do niej ze zrozumieniem.

- Caroline! Wyglądasz jak zbity pies. Chodź, napompujemy cię kawą.

- Ja... - Przeniosła wzrok od jednej kobiety do drugiej. - Chciałam tylko zapytać, czy nie mogę w czymś pomóc.

- Możemy tylko czekać. - Happy wyciągnęła ku niej rękę. Caroline weszła w zakłęty krąg.

Więc czekały, pośród zapachu perfum i cichych głosów, rozmów o dzieciach i mężczyznach, pośród dziecięcych popłakiwań. Przed południem wkroczyła do kuchni Della z koszem jedzenia. Zmusiła Happy do zjedzenia kanapki, zbesztła Josie za zbyt mocną kawę, uciszyła Scottera dając mu do gryzienia jedną ze swych plastikowych bransolet.

- Ten dzieciak ma zafajdane pieluchy - oświadczyła. - Czuć na kilometry.

- Przewinę go. - Susie podniosła malca z podłogi, gdzie próbował rozbić bransoletką kafelki.

- Jest zmęczony. Prawda, że jesteś zmęczony, skarbie? Położę go do łóżeczka. Happy.

- Lubi spać z żółtym misiem - powiedziała Happy, zaciskając drżące usta. - Darleen przywiozła mu go wczoraj.

- Poszukaj go, Happy. - Della rzuciła Birdie ostrzegawcze spojrzenie, dławiąc w zarodku jej protest. - Musi się czymś zająć - powiedziała cicho, kiedy Happy wyszła z kuchni.

- Inaczej zagryzie się na śmierć. Nam wszystkim przydałoby się zajęcie. Birdie, sprawdź, czy uda ci się znaleźć składniki do twojej słynnej galaretki. Do wieczora powinna wystygnąć.

Marvello, przestań wykręcać sobie palce i zrób z nich jakiś użytek. Wyciśnij cytryny.

Zrobimy lemoniady, zamiast tej cholernej kawy. Winnie, myślę, że powinnaś zмайstrować napój dla

Happy. Niech sobie pośpi.

- Myślałam już o tym, panno Delio. Nie sądzę, żeby go wypła. Della uśmiechnęła się ponuro.

- Wypije, jeżeli ja jej każę. Ta kobieta szła ze mną zawsze łeb w łeb, ale ja wstrzymywałam konia. Josie, weźcie się z Caroline do zmywania.

- Marnujesz się, Delio. Powinnaś mieć pod sobą pluton komandosów - mruknęła Josie, ale już zbierała naczynia.

Teraz kuchnię przepelniał duch pracy, nie tylko jedności. Caroline uśmiechnęła się do Delii.

- Co muszę robić, żeby być taka jak pani, kiedy dorosnę? Mile polechtana, Della bawiła się złotymi guzikami przy bluzce.

- Cóż, drogie dziecko, musisz się nauczyć wyzyskiwać swoje możliwości. Każdy je ma, ale nie wszyscy wiedzą, jak ich używać.

- Dziewczynki Happy powinny tu być. - Birdie trzasnęła drzwiczkami szafki. -

Powinny.

- Wiesz, że przyjadą, jeżeli będą potrzebne. Marvello, czy tak matka uczyła cię wyciskać cytryny? - Della zaczęła sprzątać nie dojedzone kanapki. - Te dziewczęta mają rodziny, Birdie. Pracę i własne domy. Czy nie byłoby głupio z ich strony jechać taki kawał

drogi tylko po to, by się przekonać, że Darleen pojechała na wycieczkę?

- Panno Delio? - Winnie wsypywała jakieś liście do dzbanka stojącego na piecu.

Dłonie miała małe i zgrabne. Była cichą kobietą, wolała działać niż mówić. - Uwarzę to jak herbatę. Nie takie mocne, tylko żeby się uspokoiła.

- Zobaczmy, co tam masz. - Della podeszła do pieca i przez chwilę obie kobiety szeptały nad zawartością dzbanka. Birdie udawała, że nic nie widzi. Uważała, że żonie lekarza nie godzi się apróbować medycyny ludowej.

- Na nic więcej się tu nie przydam. - Josie wytarła ręce w ręcznik do naczyń. - Jadę jej szukać.

- Tuzin mężczyzn już to robi - powiedziała Birdie tak ostrym tonem, że Josie uniosła karcąco brwi. Ale Birdie musiała wyładować jakoś swoją frustrację.

- Mężczyźni nie zawsze wiedzą, gdzie szukać kobiety. - Josie sięgnęła po torebkę. -

Sprawdzę, co z kuzynką Lulu, Delio, i zajadę do Billy'ego T.

Jeżeli coś wie, chętniej podzieli się tym ze mną niż z mężczyzną.



- Nie ma się czym przechwalać - mruknęła Della pod nosem.

- Fakt pozostaje faktem. A poza tym, jeżeli jest coś, co Happy powinna wiedzieć, lepiej niech dowie się tego od razu. Rozchoruje się, jeżeli to potrwa zbyt długo.

Na to już nikt nie znalazł odpowiedzi. Josie wyszła tylnymi drzwiami. Chwilę później rozległo się wycie silnika.

- Jeżeli Billy T. wie, dokąd prysnęła Darleen... - zaczęła Birdie.

- Jeżeli wie, Josie wyciągnie to z niego, jak amen w pacierzu. - Della podała Winnie pustą filiżankę na napój uspokajający.

- Zasnął jak aniołek - powiedziała Happy wchodząc do kuchni. Jej słynny uśmiech przypominał teraz grymas. - Nie to, co jego mama. Boże, walczyła ze snem, jakby to był

diabeł, który przyszedł po jej duszę. Wydeptywałam ścieżki w podłodze, nosząc ją... - urwała, ocierając oczy.

- Usiądź, Happy. Zamartwisz się na śmierć. - Della niemal siłą posadziła Happy na krześle. - Pozwól, że my się przez chwilę pomartwimy. Nikt nie robi tego lepiej niż tuzin bab w kuchni. Winnie, daj mi tę filiżankę.

- Jest bardzo gorące, pani Fuller. Musi pani podmuchać. - Winnie postawiła przed nią filiżankę i stanęła z dłonią na oparciu krzesła. Winnie chodziła do szkoły z najstarszą córką Happy. Belle Fuller była pierwszą białą dziewczynką, która zaprosiła Winnie do siebie do domu.

- Co to jest?

- Coś, co ci pomoże - powiedziała Della i ruchem ręki nakazała Winnie odejść.

- Nie chcę żadnego magicznego napoju Winnie - powiedziała z rozdrażnieniem Happy. - Nie jestem chora, jestem tylko...

- Przerazona i nieszczęśliwa - dokończyła za nią Della. - Sądząc po tym, jak wyglądasz, nie zmrzyłaś w nocy oka. Wiesz, że Winnie nie dałaby ci nic, co mogło zaszkodzić. Wypij i trochę sobie odpocznij.

- Napiję się, ale kawy. - Winnie chciała się podnieść. Della pchnęła ją z powrotem na krzesło.

- Posłuchaj mnie chwilę. Uporem nic nie zdziałasz. Jeżeli Bóg pozwoli, twoja Darleen wróci i będzie się puszyć, że udało jej się wywołać taki raban. Ale w tej chwili masz tam na górze dziecko, które będzie cię potrzebowało. Na niewiele mu się zdasz, skrajnie wyczerpana.

- Chcę tylko, żeby wróciła. - Happy oparła głowę o wielkie piersi Delii i zapłakała. -

Chcę tylko, żeby moja dziewczynka wróciła. Potraktowałam ją tak ostro.

- Nigdy nie zrobiłaś nic, co nie wyszłoby jej na dobre.

- Była zawsze taka niespokojna. Już jako dziecko. Ledwie dostała jedno, już chciała drugie. Zawsze pragnęłam dla niej jak najlepiej, ale nie bardzo wiedziałam, co to może być.

Caroline podeszła do niej i ujęła filiżankę.

- Proszę, Happy, wypij to.

Happy wzięła łyżeczek, potem drugi i chwyciła Caroline za rękę.

- Ona myśli, że ja jej nie kocham, ale to nieprawda. Zawsze kochamy mocniej tych.

którzy sprawiają nam najwięcej bólu. Przyszła tu wczoraj, chciała, żebym poparła ją w tej historii z chłopakiem od Bonnych, a ja nie mogłam Postąpiła źle. Nigdy nie potrafiła odróżnić tego, co dobre, od tego, co złe, ale przyszła tu, szukając wsparcia u swojej matki. A ja nie mogłam tego zrobić. Skończyło się na tym, że pokłóciłyśmy się jak zwykle i ona wyszła.

Nawet nie widziałam, jak odjeżdża.

Zaczęła szlochać i Della kołysała ją w ramionach. Susie otoczyła Marvella ramieniem.

- Te inne dziewczęta. - Palce Happy zacisnęły się konwulsyjnie na dłonie Caroline. -

Och, słodki Boże, nie mogę przestać o nich myśleć.

- Cicho, cicho. - Della podniosła filiżankę do ust Happy. - Mówią przecież, że to Austin, a on jest martwy jak kłoda. Caroline przestrzeliła mu głowę i każda kobieta z Innocence jest jej za to wdzięczna. Może z wyjątkiem Mavis Hatinger, ale ona nigdy nie mogła się poszczycić rozumem. No, chodź ze mną, kochana. Poleżysz sobie przez chwilę.

- Tylko przez chwilę. - Powieki zaczęły jej opadać i Happy pozwoliła Delii wyprowadzić się z kuchni.

- Och, mamó! - Marvella wtuliła głowę w ramię Susie i wybuchnęła płaczem.

- No, no, tylko ty nie zaczynaj. - Susie poklepała ją po plecach. - Może nic się nie stało.

- Musimy zachować wiarę - powiedziała Winnie. - A tymczasem przygotuję coś do jedzenia, na wypadek gdyby tu jeszcze ktoś przyszedł. Upiekę kurczaki.

- Dobrze - Susie odsunęła delikatnie Marvellę. - Złotko, obierz ziemniaki na sałatkę ziemniaczaną. Nie ma potrzeby, żeby wszyscy chodzili głodni. Nie wiadomo, jak długo będziemy musieli czekać.

Tucker stał nad brzegiem Gooseneck Creek i ocierał chustką moką od potu twarz.

Temperatura skoczyła do czterdziestu stopni, powietrze sprawiało wrażenie gęstej zawiesiny.

Niebo, rozjaśnione bezlitosnym słońcem, było niemal białe.

Wyobraził sobie, że zanurza się w chłodną, orzeźwiająca toń. Wizja przyniosła chwilową ulgę. Tucker przestał na zmoczeniu chustki i ochłodzeniu twarzy i szyi.

Przypomniał sobie, że brat Darleen znalazł w tym miejscu Arnette. Odmówił krótką modlitwę.

Nie pozwól, Boże, żebym to ja ją znalazł.

Ktoś to zrobi, nie miał cienia wątpliwości. Odrzucił pocieszającą teorię, że Darleen uciekła z mężczyzną. Było to bez sensu. Darleen nie miała czasu, by znaleźć sobie nowego kochanka po Billym T., a on twierdził stanowczo, że nic nie wie.

Tucker mu wierzył. W grę wchodziła męska duma. Billy T. nie związałby się z kobietą, której mąż zaprawił go w głowę patelnią. Darleen nie była dla Billy'ego T. nikim wyjątkowym. Nie odróżniał jednej kobiety od drugiej.

Nasunęło mu się nieuchronne porównanie z niejakim Tuckerem Longstreetem. Poczł gorycz w ustach.

Darleen nie pozostawiłaby własnego samochodu na skraju drogi podczas burzy po to, by wskoczyć do wozu kochanka. Junior twierdził, że z jej ubrań nic nie brakuje, a pieniądze na gospodarstwo leżą nadal w puszcze po kawie.

Ktoś ją znajdzie, pomyślał znowu Tucker. I pomodlił się, żeby to nie był on.

Wszedł w trzciny. Jego grupa posuwała się brzegiem strumienia, brodząc po kolana w błocie. Szukali, nie tracąc nadziei, że jedynym znaleziskiem okażą się puszki po piwie i zużyte prezerwatywy.

Wszyscy byli uzbrojeni, co napawało Tuckera lekkim niepokojem. Junior rozwalił już wodnego węża. Ponieważ sprawiło mu to wyraźną ulgę, nikt się nie poskarżył.

Zresztą, prawie nie rozmawiano. Mężczyźni pracowali w milczeniu jak żołnierze organizujący zasadzkę. Jeden z helikopterów przysłanych przez policję okręgową przelatywał

im co jakiś czas nad głowami, bełtając gorące powietrze, krótkofalówka pobzykiwała u paska Burke'a. FBI nie kwapiła się, by przejąć sprawę. Ale federalni nie znali przecież Innocence i jej mieszkańców. Burns był przekonany, że ma do czynienia z kolejną niezadowoloną żoną, która wyruszyła na poszukiwanie szczęścia i bardziej soczystych pastwisk.

Zdaniem Tuckera, Burns nie chciał przyznać, że popełniono morderstwo tuż pod jego nosem.

Usłyszał przeciągły gwizd lokomotywy i pożałował, że nie znajduje się w pociągu.

Był jakim pociągu jadącym w dowolnym kierunku.

Kiedy skończył obchód wyznaczonego mu terenu, przyłączył się do Burke'a. Juniora i Toby'ego, którzy pracowali w górze strumienia.

- Na drugim brzegu też już prawie kończą - odezwał się Burke. Nie spuszczał z oka Juniora, gotowy do działania, na wypadek gdyby mąż Darleen chciał uspokoić nerwy strzelając do czegoś poza wodnymi węzami. - Singleton i Carl dzwonili znad stawu McNairów. Tam też nic.

Toby March wrzucił swój karabin do półciężarówki szeryfa. Pomyślał o swojej żonie i córce. Choć wstydził się tego, ogarnęło go uczucie wdzięczności do zabójcy, że najwyraźniej preferuje białą skórę.

- Mamy jeszcze dobrych sześć godzin do zmroku - powiedział do nikogo w szczególności. - Może ktoś z nas wybrałby się do Rosedale i Greenville, popytał ludzi?

- Kazałam Barbarze Hopkins dzwonić po motelach, szpitalach i posterunkach policji. -

Burke wyjął Juniorowi z ręki karabin i wrzucił go do samochodu. - Okręgowi rozsyłają jej zdjęcie.

- No widzisz! - Will Shiver grzmotnął Juniora w plecy. - Znajdą ją w jakimś motelu, malującą sobie paznokcie i gapiącą się w telewizor.

Junior bez słowa strząsnął jego rękę i odszedł na bok.

- Zostawcie go w spokoju - szepnął Burke. Mężczyźni odwrócili z zażenowaniem oczy. Toby zsunął daszek czapki mocniej na oczy i patrzył pod słońce na drogę.

- Ktoś jedzie. Uplłynęło kilkanaście sekund, zanim inni dostrzegli blask metalu poprzez fale gorąca unoszące się z asfaltu.

- Macie wzrok, wy czarni - powiedział Will Shiver dobrodusznie. - Ten samochód jest trzy kilometry stąd. - Oczy to jeden z organów - zauważył Toby z tak nieuchwytnym sarkazmem, że Tucker musiał przygryźć policzek od wewnątrz, aby się nie uśmiechnąć. -

Wiesz, co mówią o naszych organach. Willy poderwał głowę, bardzo zaintrygowany.

- No, słyszałem coś niecoś od akuszerki.

- No właśnie - powiedział Toby łagodnie. - Każda akuszerka to potwierdzi.

Tucker zakaszlał i odwrócił się, żeby zapalić papierosa. Nie wypadało się śmiać w obecności cierpiącego Juniora, choć śmiech był mu w tej chwili bardzo potrzebny.

Już po chwili rozpoznał samochód po kolorze i prędkości, z jaką się posuwał.

- To Josie. - Zerknął na Burke'a. - Zdaje się, że wypracowuje sobie kolejny mandat za przekroczenie prędkości.

Josie zahamowała, przyskajac zwiirem spod kól i machajac dloniã przez okno.

- Barbara powiedziała, że tu was znajdziemy. Przywiozłyśmy wam z Earleen coś na zãb.

Wysiadła, świeża i niezwykle pociãgajãca w szortach i bluzeczce nie zakrywajãcej brzucha. Włosy miała zwiãzane szyfonowã przepaskã, która przypominała Tuckerowi matkã.

- To bardzo ładne z waszej strony, drogie panie. - Will posłał Josie uśmiech, za który otrzymałby siarczysty policzek od swojej narzeczonej.

- Lubimy się troszczyć o naszych panów, prawda, Earleen? - Josie odpowiedziała Willy'emu uśmiechem i zwróciła się do Burke'a. - Złotko, jesteś wykończony. Chodź, dostaniesz od Josie kubek mrożonej herbaty. Przywiozłyśmy dwie bańki.

- Mamy również stos kanapek z szynkã. - Earleen wytaszczyła z samochodu kosz.

Ustawiła go na poboczu i podniosła wieko. - Musicie podtrzymywać siły.

- Proszę panów, podano do stołu. - Josie dalej trajkotała beztrósco. - Uwinęłyśmy się z Earleen tak zgrabnie, że chyba wejdziemy w branżę gastronomiczną. Junior, chodź po kanapkę albo zranisz moje uczucia.

Nawet się nie odwrócił, więc Josie skinęła na brata.

- Tucker, nalej kubek herbaty. - Sama rozwinęła kanapkę i położyła ją na papierowej serwetce. - Earleen, tylko dopilnuj, żeby chłopcy zostawili coś dla innych, słyszysz? - Wzięła kubek z rãk Tuckera i obesza ciãżarówkã.

Junior nadal gapił się na drogã. Josie widziała, jak drga mu mięsień w policzku.

Położyła kanapkę na masce samochodu, po czym wcisnęła Juniorowi w rękę kubek z herbatã.

- Wypij to. Juniorze. Ten upał potrafi wysuszyć na wiór. Człowiek wypija galon wody i nawet nie chce mu się sikać. No, już. - Poglaskała go po plecach. - Nie pomożesz Darleen, jeżeli padniesz tu na atak serca.

- Nie znaleźliśmy jej.

- Wiem, skarbie. Wypij to. - Przysunęła kubek do jego warg. - Byłam u Happy. Kiedy wychodziła, twój chłopak spał jak aniołek. Słodki jak ten twój syn, i zdaje się, ma twoje oczy.

Junior wypił herbatę w dwóch haustach. Zabrała mu kubek i podsunęła kanapkę. Jadł

machinalnie, patrząc przed siebie oczami zmętniałymi ze zmęczenia i niepokoju. Josie otoczyła go ramieniem, wiedząc, że nic nie przynosi większej ulgi w cierpieniu niż kontakt z drugim człowiekiem.

- Wszystko będzie dobrze, Juniorze. Obiecuję. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Łzy wypełniły mu oczy i spłynęły po policzkach, złościąc korytarze w kurzu. Junior nie przestał jeść.

- Myślałem, że przestałem ją kochać. Kiedy zobaczyłem ją w kuchni z Billym T., zupełnie jakby serce mi się zamknęło dla niej. Teraz już tego nie czuję.

Poruszona jego cierpieniem, Josie pocałowała go w policzek.

- Wszystko się ułoży, kochanie. Zaufaj Josie.

- Nie chcę, żeby mój syn rósł bez matki.

- Nie będzie musiał. - Oczy Josie pociemniały, kiedy ocierała łzy Juniora papierową serwetką. - Tylko uwierz w to. Juniorze, a wszystko będzie dobrze.

Szukali aż do chwili, gdy zapadły kompletne ciemności. Tucker dotarł w końcu do domu i został powitany przez wykończonego Bustera, który spędził dzień w towarzystwie szczeniaka.

- Przejmę go z twoich łap. - Tucker poklepał Bustera po łbie i wziął na ręce Nieprzydatnego. Szczeniak wierzgał, szczekał i kręcił się jak piskorz.

Dziwię się, że moje stare psisko nie padło na zawał - pomyślał. Skierował się do domu, marząc o piwie, zimnym prysznicu i widoku Caroline. W kuchni Della kroїła rostbef, a kuzynka Lulu stawiała pasjansa.

- Co ty wyprawiasz?! Przynosisz mi do kuchni tego psa?!

- Ratuję życie Busterowi. - Tucker postawił szczeniaka, który natychmiast wlaźł pod krzesło Lulu. - Jakież wiadomości od Caroline?

- Dzwoniła dziesięć minut temu. Zostanie z Happy, dopóki Singleton albo Bobby Lee nie wrócą do domu. - Della ułożyła starannie kolejny kawałek pieczeni. Widząc zmęczenie Tuckera, nie skarciła go, kiedy podkradł go z talerza. - Przyjdzie tu po ten worek pcheł.

Tucker wymruczał coś z ustami pełnymi mięsa i wyjął z lodówki piwo.

- Ja też się napiję - powiedziała Lulu, nie podnosząc oczu. - Gra w karty potęguje pragnienie.

Tucker zerwał kapsel z drugiej butelki i postawił ją przed Lulu.

- Nie możesz położyć czarnej trójki na czarnej piątce. Musisz mieć czerwoną czwórkę.

- Wsadzę ją tam, kiedy ją dostanę. - Lulu podniosła butelkę do ust, przechyliła głowę i przyjrzała się Tuckerowi.

- Wyglądasz jakby cię przeciągnęli przez bagno. - Trafna uwaga.

- Tej dziewczyny Fullerów ciągle nie ma? - Lulu wyłuskała nieznacznie czerwoną dziesiątkę z talii. - Della pół dnia przesiedziała z Happy. Mnie pozostaje tylko pasjans.

- Mam obowiązki... - zaczęła Della, ale kuzynka Lulu zbyła ją machnięciem ręki. -

Mówiłam, że wychodzę. - Della wbiła nóż w deskę do krojenia.

- Co ani na jotę nie zmieniło sytuacji. W tym domu ludzie kręcą się jakby mieli owsiki. Josie znika na całe godziny, we dnie i w nocy. Tuckera nie ma cały boży dzień.

Dwayne wraca, bierze butelkę wild turkey i wychodzi.

Della otworzyła usta, żeby powiedzieć coś dosadnego, ale natychmiast je zamknęła.

- Kiedy Dwayne wrócił?

- Pół godziny temu. Tak samo zablocony i skonany jak Tucker. W podobnym stanie wyszedł.

- Wziął samochód?

- Próbował, ale mu nie wyszło. - Lulu wydobyła z kieszeni kluczyki. - Wziął butelkę, więc ja zabrałam to.

Della skinęła z aprobatą głową.

- Jak myślisz, dokąd poszedł? - zapytał Tuckera, który próbował wymknąć się chyłkiem z kuchni.

- Muszę wziąć prysznic.

- Nie umarłeś od tego brudu przez cały dzień, nie umrzesz jeszcze przez chwilę. Idź i sprawdź, czy Dwayne nie poszedł nad staw.

- Cholera, Delio! Przeszedłem już dzisiaj ze dwieście kilometrów.

- Więc przejdiesz jeszcze jeden. Nie pozwolę, żeby wpadł do wody i się utopił.

Przyprowadź go do domu, żeby mógł się umyć i najeść. Będą go rano potrzebowali tak samo jak ciebie.

Mrucząc pod nosem, Tucker odstawił nie dopite piwo i ruszył ku kuchennym drzwiom.

- Chryste, mam nadzieję, że nie zdążył się jeszcze upić.

Był dopiero na wpół pijany, i to mu najbardziej dogadzało. Zmęczenie zmieniło się w miłe oszołomienie. Babranie się w bagnie w towarzystwie Bobby'ego Lee, Carla i innych nie należało do jego ulubionych sposobów spędzania dnia.

Ale poszedł chętnie. Pójdzie chętnie również jutro. Nie szczędził swego czasu i wysiłku, nie widział

więc powodu, dlaczego teraz ktoś miałby mu żałować kapki alkoholu.

Żał mu było zwłaszcza Bobby'ego Lee. Patrząc na spiętą, przerażoną twarz chłopca, zastanawiał się, co by czuł szukając własnej siostry.

Ta myśl kazała mu się natychmiast napić.

Teraz chciał myśleć wyłącznie o rzeczach przyjemnych. Jak ładnie brzmią świerszcze jako kontrpunkt bzykania, które słyszał w głowie. Pomyślał, że może spędzi tu noc, patrząc jak wschodzi księżyc.

Kiedy usiadł przy nim Tucker, Dwayne podał mu łaskawie butelkę. Tucker wziął ją do ręki, ale nie pił.

- To cię zabija, synu. Dwayne tylko się uśmiechnął.

- Ale ile daje przedtem przyjemności.

- Wiesz, że Della martwi się, kiedy to robisz.

- Nie robię tego, żeby martwić Delię.

- Więc dlaczego to robisz, Dwayne? - Tucker nie spodziewał się odpowiedzi i na nią nie czekał. Oceniał stan brata wprawnym okiem. Wiedział, że będzie mówił składnie i chętnie.

- Pijaństwo to dobrowolne szaleństwo. Nie pamiętam, kto to powiedział, ale brzmi prawdziwie.

- Nie jestem jeszcze pijany, szalony też nie. Choć pracuję nad jednym i drugim.

Szukając właściwych słów. Tucker zapalił połówkę papierosa.

- Dwayne, nie jest dobrze. Od paru lat robi się coraz gorzej. Najpierw myślałem, że to dlatego, że wydarzyło się tyle złych rzeczy naraz. Umarł tata, mama. Odeszła Sissy. Potem, że podłapałeś od ojca jakieś geny i nic na to nie można poradzić.

Dwayne był zirytowany, choć starał się tego nie okazać. Odebrał Tuckerowi butelkę.

- Ty też pijesz.

- Ale nie wypełniam sobie tym życia.

- Każdy robi to, w czym jest najlepszy. - Dwayne podniósł butelkę do ust. - Ze wszystkich rzeczy, które próbowałem, tej jednej na pewno nie spieprzę.

- Gówno! - Gniew wybuchł w nim tak nagle, że przestraszyli się obaj. Tucker nie zdawał sobie dotąd sprawy, że to go dręczy, gryzie od wewnątrz, Świadomość, co zrobił z siebie jego starszy wspaniały brat, którego kiedyś podziwiał i któremu zazdrościł, była nie do zniesienia. - Gówno! - Wyrwał



Dwayne'owi butelkę i wrzucił ją do stawu. - Mam tego dość, do ciężkiej cholery! Mam dość targania ciebie do domu, dość wymyślania usprawiedliwień, dość patrzenia, jak zabijasz się butelka po butelce. Wystarczy, że on to zrobił. Usiadł za sterami zalany w trupa. Popęłnił samobójstwo, równie skutecznie jak gdyby wsadził sobie lufę do ust i pociągnął za spust.

Dwayne podniósł się z trudem na nogi. Chwiał się trochę, ale nie spuszczał wzroku z Tuckera.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić. Nie masz prawa mówić tak o nim. Tucker złapał Dwayne'a za przód koszuli, rozrywając ją na szwach.

- Kto, u diabła, ma to prawo, jeżeli nie ja? Wyrosłem kochając was, krzywdzony przez was.

- Nie jestem tata.

- On był pierdolonym ochlapusem i ty też nim jesteś. Różnica polega na tym, że on stawał się agresywny, a ty żaloszny.

- Za kogo ty się, u licha, masz? - Na ustach Dwayne'a pojawił się szydery uśmiezek, kiedy on z kolei chwycił Tuckera za koszulę. - Jestem starszy. To mnie się czepiał. Ja miałam to wszystko przejąć, pieprzone dziedzictwo Longstreetów. To mnie odesłał

do szkoły, mnie kazał pilnować pól, a nie tobie. Tuck. Nigdy tego nie chciałem, ale on nie pozwolił mi pójść własną drogą. Teraz on nie żyje i mogę robić co chcę.

- Jak na razie zapijasz się, to wszystko. Masz dwóch własnych synów. On przynajmniej był przy nas. Zachowywał się jak ojciec.

Dwayne wydał ryk gniewu i po chwili kotłowali się już w trawie, jak dwa psy szukając miękkiego miejsca, żeby zatopić kły. Tucker przyjął cios na obolałą klatkę piersiową. Ból wywołał eksplozję wściekłego gniewu. Byli już obaj w stawie, a on jeszcze rozkrwawiał bratu wargę.

Poszli pod wodę, wypłynęli, plując i klnąc. Kopali się i tłukli pięściami, ale woda hamowała ruchy i obaj poczuli się trochę głupio.

Tucker chwycił Dwayne'a za podartą koszulę i zamierzył się prawą ręką. Dwayne stanął naprzeciwko niego w identycznej pozycji. Gapili się na siebie, ciężko dysząc.

- Cholera! - Tucker opuścił rękę, ale nie spuszczał brata z oczu. - Kiedyś biłeś mocniej.

Dwayne dotknął ostrożnie krwawiącej wargi.

- Kiedyś byłeś wolniejszy.

- Chciałem wziąć prysznic, ale to też nie było złe. - Tucker odgarnął mokre włosy z oczu. - Bóg jeden wie, co pływa w tej wodzie.

- Ćwiartka whisky, to z pewnością - uśmiechnął się Dwayne. - Pamiętasz, jak tu pływaliśmy w

dzieciństwie?

- Nadal uważasz, że prześcigniesz mnie do drugiego brzegu?
- Cholera! - Dwayne przekręcił się w wodzie i rzucił naprzód. Ale lata picia spowolniły jego ruchy. Tucker pomknął jak węgorz. Zawrócili zgodnie ku brzegowi i położyli się na wodzie obserwując wschodzący księżyc.
- Naprawdę jesteś szybszy - powiedział Dwayne, kiedy przestali dyszeć. - Wiele się zmieniło.
- To i owo.
- Zdaje się, że schrzaniłem parę spraw.
- Jedną czy dwie.
- Bałem się. Tuck. - Dwayne zacisnął pięści w wodzie. - Wiem, że powinienem przestać pić, ale jakoś nie widzę powodu, dlaczego mam to zrobić. Czasem nie pamiętam, co sobie postanowiłem. Budzę się chory i wszystko wydaje się snem. Nie mogę się w tym połapać.
- Jakoś na to zaradzimy. Są miejsca, gdzie potrafią ci pomóc.
- Lubię czuć się tak jak teraz. - Przez na wpół przymknięte powieki Dwayne patrzył na przebudzenie się gwiazd. - Lekki szumek w głowie i nic nie wydaje się ważne. Chciałbym zatrzymać siebie w tej klatce.
- Nie ma tak dobrze.
- Czasem marzę o tym, by cofnąć się w czasie. Zobaczyć, co schrzaniłem, i to naprawić.
- Naprawić zawsze możesz. Pamiętasz ten model samolotu, który dostałem na urodziny? Rozbiłem go za drugim razem, kiedy wziąłem go do ręki. Wiedziałem, że tata obedrze mnie ze skóry, jeżeli się dowie, ale ty go naprawiłeś. Mama zawsze mówiła, że masz talent do składania rzeczy do kupy.
- Kiedyś marzyłem, żeby zostać inżynierem.
- Nigdy mi o tym nie mówiłeś. - Tucker podniósł się zdumiony. Dwayne nadal spoglądał w niebo.
- Nie było sensu. Lorigstreetowie są plantatorami i biznesmenami. Ty mógłbyś spróbować czegoś innego. Ale ja byłem najstarszym synem. On nigdy nie dał mi wyboru.
- Nie widzę powodu, dlaczego nie miałabyś spróbować teraz.
- Tuck, nie chrzań! Mam trzydzieści pięć lat. Nie pora na naukę zawodu.
- Ludziom się udaje, jeżeli bardzo chcą.

- Chciałem tego dziesięć, piętnaście lat temu. Teraz to już poza mną. Wiele rzeczy jest już poza mną. - Próbował rozróżnić gwiazdy, ale rozplynęły się w świetlaną mgłę. - Sissy wychodzi za tego sprzedawcę.

- Można się było spodziewać, że wyjdzie za męża, za sprzedawcę albo kogoś innego.

- Mówi, że on chce adoptować moje dzieci. Dać im swoje nazwisko. Oczywiście zapomniałaby o tym, gdybym podwoił alimenty.

- Nie musisz się na to godzić, Dwayne. Te dzieciaki są twoje. Zawsze będą twoje, niezależnie od tego, co ona jeszcze wymyśli.

- Nie, nie muszę się na to godzić - powiedział leniwie Dwayne. - I nie mam zamiaru się godzić. Sissy dowie się, że wszystko ma swoje granice, Nawet ze mną. - Jego westchnienie pobiegło nad ciemną wodą. - Zrobiłem się wygodny, Tucker. - Kątem oka dostrzegł ruch na wodzie. Pusta butelka, pomyślał, puste życie. - Alkohol sprawia, że człowiek robi się wygodny.

- W twoim przypadku sprawia, że się zabijasz.

- Nie zaczynaj!

- Cholera, Dwayne! - Chciał podплыnąć bliżej i otarł się nogą o coś miękkiego i oślizgłego. - Parszywe zębacze! Ale się przestraszyłem. - Odплыnął, oglądając się przez ramię.

On również ujrzał kształt na wodzie, ale nie pomylił go z butelką. Z otwartymi do krzyku ustami, obezwładniony strachem patrzył na białą rękę.

- Jezu! Słodki Jezu!

- Zębacze nie są groźne, skubną cię co najwyżej - powiedział Dwayne spokojnie.

Zaklął, kiedy Tucker chwycił go za ramię. - Co w ciebie wstąpiło?

- Chyba znaleźliśmy Darleen - wykrztusił, po czym zamknął oczy. Bóg po prostu nie odpowiada na pewne modlitwy.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Dwayne dobrnął z trudem do brzegu. Był kompletnie trzeźwy. Opadł na czworaki i walczył z mdłościami.

- Chryste, Tuck! Słodki Jezusie! Co my teraz zrobimy? Tucker nie odpowiedział.

Leżał na plecach, gapiąc się w niebo. Było mu tak zimno, tak strasznie zimno, że skupiał cały wysiłek na oddychaniu.

- Do stawu - powiedział Dwayne i przełknął ślinę. - Ktoś wrzucił ją do stawu. Byliśmy tam razem z

nią. Pływaliśmy razem z nią.

- Na pewno nie czuje się tym urażona. - Tucker zakrył sobie ramieniem oczy, licząc na to, że odpędzi w ten sposób obraz ręki wystającej z ciemnej wody, zakrzywionych palców.

Jakby po niego sięgała. Jakby chciała go pochwycić i wciągnąć w głąb.

Musiał się upewnić, że to Darleen Talbot, musiał się upewnić, że już nie można jej pomóc.

Więc zacisnął zęby, chwycił za sztywny, martwy przegub i pociągnął. Wskoczyła głowa. Zobaczył... Boże, zobaczył dzieło rozpoczęte przez mordercę, zakończone już prawie przez ryby.

Istota ludzka jest taka krucha, myślał teraz. Taka bezbronna. Tak łatwo zmienić ją w coś ohydneho.

- Nie możemy jej tak zostawić, Tuck. - Dwayne wzdrygnął się na myśl o wejściu z powrotem do stawu i dotknięcia tego, co niegdyś był Darleen Talbot. - To nieprzyzwoite.

- Musimy ją zostawić. - Tucker pomyślał z żalem o butelce, którą wrzucił do stawu.

Byłaby teraz jak znalazł. - Przynajmniej dopóki nie przyjdzie tu Burke. Idź do domu i zadzwoń do niego. Jeden z nas powinien tu zostać. Zadzwoń do Burke'a i powiedz mu, co znaleźliśmy. Powiedz mu, żeby zawiadomił agenta Burnsa. - Tucker usiadł i ściągnął mokrą koszulę. - I przynieś mi suche fajki, dobrze? Piwem też nie pogardzę... - Zaklął, zobaczywszy Caroline idącą w ich stronę. W trzech susach znalazł się przy niej.

- Tak się cieszysz, że mnie widzisz? - zaśmiała się Caroline i uściśnęła go mocno. -

Postanowiliście popływać? Della mnie przysłała...

- Wróc do domu z Dwayne'em. - Chciał tylko, żeby znalazła się jak najdalej od śmierci i cierpienia. - Wróc i poczekaj tam na mnie.

- Dobrze, poczekam. - Wiedziała już, że stało się coś złego. Przeniosła wzrok z Tuckera na jego brata. Wargę Dwayne'a zaczęła znowu krwawić, krew wydawała się czarna na tle jego zblętałej twarzy. - Biliście się? Dwayne, masz rozbitą wargę.

Dwayne schował głowę w ramiona. Della da mu popalić!

- Zadzwonię po Burke'a.

- Po Burke'a? - Caroline chwyciła za ramię Tuckera, który próbował odciągnąć ją w stronę domu. - Po co wam Burke? - Poczwała dziwny ciężar w piersiach. - Tucker?

Dowie się prędzej czy później, lepiej, żeby usłyszała to od niego.

- Znaleźliśmy ją. W stawie.

- O, Boże! - Instynktownie spojrzała w stronę wody, ale Tucker zasłonił jej widok.

- Dwayne idzie zadzwonić po Burke'a. Pójdiesz z nim.

- Nie, zostanę z tobą. - Potrząsnęła głową, zanim zdążył zaprotestować. - Zostaję, Tucker.

Ponieważ Tucker wzruszył tylko ramionami, Dwayne pobiegł w stronę domu. Lelek zaczął nawoływać, słodko i natarczywie.

- Jesteś pewien? - Caroline wiedziała, że to głupie pytanie.

- Aha. - Odetchnął głęboko. - Jestem pewien.

- Biedna Happy. - Musiała jeszcze o coś zapytać, ale słowa nie chciały przejść jej przez gardło. - Tak jak te inne? - Ujęła go mocno za rękę i czekała, żeby zwrócił na nią wzrok. - Chcę wiedzieć.

- Jak inne. - Stanowczym ruchem odwrócił ją plecami do stawu, słuchali pokrzykiwań nocnych ptaków i patrzyli na światła Sweetwater.

Dalsze postępowanie przebiegało sprawnie i bezdusznie, jakby nie dotyczyło ludzkiej istoty. Mężczyźni stali nad brzegiem, z twarzami zbielejącymi w ostrym świetle reflektora umieszczonego na dachu terenowca Burke'a. Zrobiono zdjęcia.

- W porządku. - Burns skinął w stronę wody. - Trzeba ją wyciągnąć. Nikt się nie odezwał. Burke zacisnął wargi i odpiął pas z bronią.

- Ja to zrobię. - Tucker usłyszał własny głos i sam się zdumiał.

- To do ciebie nie należy, Tuck. - Burke rzucił pas na ziemię.

- To moja ziemia. - Tucker ujął Caroline za ramiona. - Idź do domu.

- Pójdziemy razem, kiedy to się skończy. - Pocałowała go w policzek. - Jesteś dobrym człowiekiem. Tucker.

Nie wiedział, czy jest dobry. Ale kiedy już zanurzył się w wodę, pomyślał, że głupi z pewnością. Burke miał rację, to do niego nie należało. Nie płacą mu za to, by uczestniczył w tym horrorze.

Płynął przez zimną, ciemną wodę w stronę ręki, białej jak kość o zakrzywionych palcach.

Dlaczego uważa, że jego obowiązkiem jest wyciągnąć z wody tę martwą kobietę? Nic dla niego nie znaczyła za życia, czy nie powinna być dla niego niczym po śmierci?

Ponieważ staw należy do Sweetwater, uświadomił sobie. A on jest Longstreetem.

Po raz drugi zacisnął palce wokół martwego przegubu. Kiedy wyłoniła się głowa, zobaczył jej włosy wypływające wachlarzem na powierzchnię. Żołądek podjechał mu do góry. Poczł kwaśny smak w

ustach i z trudem opanował mdłości. Owinął ramię dookoła ciała.

Na brzegu panowała cisza tak głęboka, że można było usłyszeć bzyczenie komarów.

Cmentarna cisza, pomyślał, próbując uwolnić Darleen od czegoś, co ściągało ją w dół.

Wyśliznęła mu się i kiedy pochwycił ją ponownie, jej głowa opadła mu na ramię.

Tucker zeszywniał, ale nic czuł obrzydzenia. Jedyne litość.

Spojrzał w stronę brzegu. Dwayne stał otaczając ramieniem Josie. Ich oczy wydawały się ogromne w powodzi światła. Burke i Carl już się pochylali, gotowi przejąć ciężar, który ciągnął Tucker. Caroline trzymała rękę na ramieniu Cyra. Cholera, co robi tu ten chłopak?!

Burns stał trochę z tyłu i patrzył, jakby to była średnio interesująca sztuka teatralna.

- Ma coś przywiązane do nóg - zawołał Tucker. - Potrzebny mi nóż.

- To jest ślad, Longstreet - Burns wystąpił naprzód. - Chcę to mieć nietknięte.

- Ty sukinsynu! Wleź tu sam i zbierz swoje kurewskie ślady!

- Ja panu pomogę, panie Tucker! - Cyr był już po kolana w wodzie, kiedy Burke go pochwycił i oddał Caroline.

- Chryste! - jęknął Tucker i szarpnął Darleen z całej siły. Popłynęła.

- Zabierzcie stąd chłopaka! - krzyknął. Podciągnął się na brzeg i siedział tak przez chwilę z nogami w wodzie.

- Dwayne, daj mi fajkę.

Ale to Josie podała mu już zapalonego papierosa.

- Zasłużyłeś sobie na całego. - Przytuliła policzek do jego twarzy. - Przykro mi, że to musiałeś być ty. Tuck.

- Mnie też przykro. - Zaciągnął się z rozkoszą. - Burke, nie masz jakiegoś koca, żeby ją zakryć. Tak nie można.

- Osoby postronne proszę o powrót do domu - odezwał się Burns. - Teren zostanie zabezpieczony, aż do chwili zakończenia śledztwa.

- Cholera, my ją znaleźliśmy - powiedział Tucker ze znużeniem. - Ty nie. Mógłbyś ją chociaż zakryć.

- Idź, Tuck. - Burke pomógł mu wstać. - Musimy zrobić parę rzeczy. Lepiej, żeby cię przy tym nie było. Uwiniemy się raz dwa.

- Widziałem, co jej zrobiono - powiedział Tucker chrapliwym głosem.

- Proszę, żebyście byli do mojej dyspozycji - wtrącił Burns. - Ty i twój brat. Będę was musiał przesłuchać.

Bez słowa Tucker odwrócił się i dołączył do Caroline i Cyra.

Caroline nie była mistrzynią kuchni, ale udało jej się odgrzać zupę z puszki i podać ją razem z rostbefem Delii, Zupa zawsze wydawała jej się kojącą nerwy potrawą. Patrząc, jak pochłaniała ją Cyr, uznała, że fasolówka spełniła swoje zadanie.

Dwayne wskrobał talerz do czysta i zawstydził się swoim apetytem.

- To było pyszne, Caroline. Bardzo miło z twojej strony, że skleciłaś kolację.

- Praktycznie przygotowała ją Della przed pójściem do Fullerów.

- Naprawdę jesteście wdzięczni - wtrąciła Josie. - Choć nie wiem, jak Dwayne może jeść z tą grubą wargą. Wpadłeś na drzwi, skarbie?

- Wzięliśmy się z Tuckerem za łby. - Sięgnął po kubek z mrożoną herbatą. Nie miał jakoś ochoty się upić, mimo wszystko.

- Tucker cię uderzył? - Josie wsparła podbródek na dłoni i uśmiechnęła się leciutko. -

Przez parę ostatnich tygodni ten facet użył pięści więcej razy niż przez ostatnich dwadzieścia lat. Zastanówmy się. O co mogliście się pobić? Chyba nie o Caroline?

Josie mrugnęła do Caroline porozumiewawczo.

- Nic z tych rzeczy. - Dwayne kręcił się niepewnie na krześle. - Mała różnica zdań, to wszystko. Zaczęliśmy się szamotać i wpadliśmy do stawu. Zdaje się, że porządnie zbełtaliśmy wodę, bo najpierw się biliśmy, a potem ścigaliśmy do drugiego brzegu. No i Tucker praktycznie wpadł na nią.

- Nie myśl o tym. - Josie wstała i otoczyła go od tyłu ramionami. - Mieliście po prostu pecha.

- Cholernie chłodno do tego podchodzisz - powiedział Tucker. Josie przytuliła policzek do włosów Dwayne'a.

- Bo to prawda. Czasem prawda jest okrutna. Gdybyś się nie szamotał w stawie, to byś jej nie znalazł. Ona nadal byłaby martwa, ale zostałaby pod wodą. A wy nie bylibyście tacy oklapli.

Tucker opadł na krzesło. Wiedział, że jest zirytowany i powinien panować nad nerwami, ale Josie szarpnęła jego czułą strunę.

- Już wkrótce przestaniemy być oklapli. Darleen będzie martwa wiecznie.

- O to właśnie chodzi. Znalazienie jej tylko utrudniło wam życie.
- Chryste, Josie, masz wrażliwość dorsza. Wyprostowała się z płonącymi oczami i pobladłą twarzą.
- Mam mnóstwo wrażliwości, kiedy chodzi o moją rodzinę. Ale nie dbam o to, co przydarzyło się tej małej kurewce...
- Josie! - Dwayne chciał wziąć ją za rękę, ale się odsunęła.
- Była kurewką i jej śmierć tego nie zmieni. Żal mi Happy i innych, ale niedobrze mi się robi na myśl o tym, żeście się w to wplątali. Jeżeli uważasz że to czyni mnie niewrażliwą, Tuckerze Longstreet, to w porządku. Zachowani swoją wrażliwość dla kogoś, kto potrafi ją docenić.

Wypadła z kuchni jak huragan.

- Może pójść z nią? - Dwayne wstał z wahaniem. - Trochę ją ugłaskać?
- Powiedz jej, że przepraszam, jeżeli uznasz, że to pomoże. - Tucker potarł dłońmi twarz, zrezygnowany. - Nie ma sensu naskakiwać na nią za to, że jest taka, jaka jest.
- Panie Tucker, chce pan piwa?

Tucker opuścił dłonie i uśmiechnął się do Cyra.

- Niemal tak bardzo, jak chcę spać, ale poprzestanę chyba na kawie.
- Zrobię ci. - Caroline wyjęła z szafki filiżankę. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani.

Josie martwi się o ciebie.

- Wiem. Della poszła do Fullerów?
- Tak. Ona i Birdie zostaną na noc z Happy. Pomogą jej przy dziecku. Kuzynka Lulu jest na górze i ogląda film.

Sędziwa dama oznajmiła, że morderstwa są o wiele bardziej interesujące w telewizji niż w rzeczywistości, i usadowiła się na kanapie z miską prażonej kukurydzy i butelką piwa.

- Cyr, może byś dotrzymał jej towarzystwa? - zaproponował Tucker. - Ona nie lubi być sama.
- Mogę wziąć ze sobą psa? - Wyciągnął Nieprzydatnego z jego kryjówki pod stołem.
- Jasne. Tylko nie pozwól kuzynce Lulu spoić go piwem.
- Nie, psze pani. Dobranoc, panie Tucker.
- Dobranoc, Cyr. - Dotknął ramienia chłopca. - Dziękuję, że chciałeś mi pomóc.



- Zrobiłbym dla pana wszystko, panie Tucker - wyrzucił z siebie Cyr. Zaczerwienił się i wybiegł z kuchni.

- Takie przywiązanie to cenny dar. - Caroline zaczerpnęła łyżkę zupy. - Będiesz uważny, prawda?

- Będę próbował. - Tucker przejechał dłonią po szorstkiej brodzie. Nie golił się jeszcze, choć dwa razy brał prysznic. - Tylko chciałbym, żeby nie patrzył na mnie jakbym był

Herkulesem, Platonem i Clarkiem Kentem w jednej osobie.

Caroline postawiła przed nim talerz zupy i pogłaskała go po głowie.

- Ciężko być bohaterem.

- Ciężko jest próbować nim zostać, nie mając po temu żadnych danych.

- Och, myślę, że zaskoczysz sam siebie. - Usiadła przy nim. - Zrobiłam ci zupę.

- Widzę. - Wziął ją za rękę. - Bardzo się przydajesz.

- Ja również zaskakuję samą siebie. Cieszę się, że nie znałeś mnie przedtem, Tucker.

- „Przedtem” nie ma żadnego znaczenia.

- I to mówi człowiek, który opowiada mi historie sprzed stu lat!

- To co innego. - Zaczął jeść, raczej z chęci sprawienia jej przyjemności niż z głodu.

Dopiero po paru łyżkach uświadomił sobie, że ma wilczy apetyt. - Wydarzenia sprzed stu lat są ważne, ponieważ ukształtowały teraźniejszość. To, kim byłeś przed rokiem, nie ma znaczenia wobec tego, kim jesteś dzisiaj.

- Podoba mi się twój sposób myślenia. Tucker?

- Hm?

- Chcesz, żebym została z tobą dzisiaj?

Podniósł na nią oczy, w których malował się prawdziwy głód.

- Chcę, żebyś została. Skinęła głową i wstała.

- Zrobię ci kanapki.

Teddy wrócił. Josie dowiedziała się tego od agenta Burnsa w jego łóżku. Myśl, że ma na swe usługi jednocześnie patologa i agenta specjalnego, złagodziła jej urazę i gniew na Tuckera.

Postanowiła, że nie będzie się odzywać do brata przez dzień lub dwa, albo do czasu, gdy przeprosi ją

osobiście, zamiast wysłać Dwayne'a w zastępstwie.

Rozmyślała o tym jeszcze następnego popołudnia. Innocence dochodziło do siebie po szoku, jakim było ostatnie morderstwo. Josie siedziała przy kontuarze „Chat'N Chew”, od czasu do czasu uzupełniając ubytek szminki na ustach i przeglądając się w nowym lusterku.

Teddy obiecał, że zje z nią lunch, gdy tylko skończy wstępne oględziny denatki.

- Earleen! - Wydymając wargi, skierowała lusterko ku górze, by obejrzeć sobie grzywkę. - Uważasz, że mam zimne serce?

- Zimne serce? - Earleen wsparła się na ladzie, żeby dać wytchnienie obolałym nogom. - Trochę trudno mieć jednocześnie gorącą krew i zimne serce, no nie?

Josie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Zgadza się. To, że człowiek jest uczciwy i nie udaje, nie oznacza jeszcze, że jest zimny. Jest po prostu szczerzy wobec samego siebie, nie uważasz?

- Prawda.

Przy pomocy lusterka Josie obejrzała wnętrze restauracji, nie odwracając się. Zajętych było kilka stolików. Ponad zawołaniem Reby McIntire, dobiegały strzępy rozmów o Darleen.

- Wiesz, za życia Darleen połowa z tych ludzi nie poświęciła jej chwili uwagi. - Josie zamknęła z trzaskiem puderniczkę. - Teraz, kiedy umarła, nie mówią o niczym innym.

- Taka jest ludzka natura - skonstatowała Earleen. - Zupełnie jak z tymi malarzami, których obrazy nie są warte centa za ich życia, a kiedy popełnią samobójstwo albo przejedzie ich ciężarówka, ludzie płacą za nie miliony. Ludzka natura.

Josie porównanie przypadło do gustu.

- Z tego wniosek, że Darleen jest więcej warta po śmierci niż była za życia.

Earleen może by się z tym zgodziła, gdyby nie bała się mówić źle o zmarłych.

- Żal mi Juniora. I tego kochanego chłopaczka. - Z westchnieniem Earleen sięgnęła po karteczkę z zamówieniem. - I Happy, i Singletona. Cierpią żywi.

Earleen poszła obsłużyć klienta, a Josie wyjęła z torebki perfumy i spryskała obficie dekolt i szyję.

Kiedy wszedł Carl, rozmowy przycichły na chwilę. Josie poklepała stołek obok siebie.

- Chodź, przysiądź sobie. Wyglądasz na zmęczonego.

- Dzięki, Josie, ale nie mogę. Przyszedłem tylko po jakieś żarcie.

- Co ci podać, Carl? - Earleen skoczyła na ladę, licząc na to, że wymieni jedzenie na wiadomości.

- Poproszę pół tuzina hamburgerów, z pół kilo twojej sałatki ziemniaczanej. No i z galon mrożonej herbaty.

- Jakie chcesz te hamburgery?

- Średnie, Earleen, i na wynos.

- Musicie być zawałeni robotą, jak biurowy wieszak ciuchami, skoro nie robicie nawet przerwy na lunch - zauważyła Josie.

- Bo i jesteśmy. - Był tak zmęczony, że mógłby zasnąć stojąc. Trochę późno przypomniał sobie o zdjęciu kapelusza. - Zjechał szeryf okręgowy ze swoimi chłopakami.

Agent Burns siedzi na faksie. Jest tam tak gorąco, że można smażyć szynkę.

- Harujecie jak woły, musieliście złapać trop.

- Coś tam mamy. - Zerknął na Earleen, która zamarła wyczekująco przy kuchence mikrofalowej. - Nie mogę wam nic powiedzieć oficjalnie. Ale wszyscy wiecie, że Darleen została zabita tak samo jak te inne. Wiemy, że przez tę samą osobę i tą samą bronią.

- To nie w porządku - powiedziała Earleen. - Morderca psychopata chodzi sobie po mieście i już żadna kobieta nie może czuć się bezpiecznie.

- Tak, to nie w porządku - zgodził się Carl. - Ale my go złapiemy. Macie to jak w banku.

- Matthew mówi, że z masowymi nie jest tak łatwo. - Josie pociągnęła coli przez słomkę. - Mówi, że wyglądają i zachowują się jak normalni ludzie. Dlatego tak trudno ich złapać.

- Tego złapiemy. - Carl pochylił się ku niej. - Zdaje się, że mogę ci to powiedzieć, Josie, bo i tak się dowiesz. Wygląda na to, że Darleen została zabita nad stawem.

- Słodki Jezu! - Earleen była rozdarta między podnieceniem a grozą. - Chcesz powiedzieć, że on to zrobił w Sweetwater?

- Mamy powody, by tak sądzić. Nie chcę cię straszyć, Josie, ale powinnaś bardzo uważać.

Wyjęła papierosa z paczki leżącej na ladzie. Dłonie jej lekko drżały.

- Będę ostrożna, Carl. Masz to jak w banku.

Wolno wydychała dym. Zamierzała dowiedzieć się reszty, jak tylko uda jej się dopaść Teddy'ego samego.

Na podwórku kłębił się tłum reporterów. Caroline przestała odbierać telefony.

Niezmiennie po drugiej stronie linii zgłaszała się wścibska reporterka lub ciekawski reporter.

Żeby zająć czymś myśli, wyjęła album, który znalazła w skrzyni babci.

Był to przegląd całego jej życia. Zawiadomienie o ślubie rodziców wycięte z filadelfijskiej gazety. Wystudiowane fotografie ślubne, kartka z zawiadomieniem o narodzinach Caroline Louisy Waverly.

Parę profesjonalnych fotografii młodych rodziców z ich małą pociechą. Samej Caroline, jeden studyjny portret na każdy rok jej życia.

Nie było w tym albumie żadnych amatorskich fotek, z wyjątkiem paru zdjęć zrobionych przez dziadka w czasie jej krótkiej wizyty przed laty.

Wycinki prasowe opowiadające o jej karierze muzycznej, ukazujące ją jako sześciolatkę, dwunastolatkę, dwudziestolatkę...

Tylko tyle babcia miała ze mnie, pomyślała Caroline i odłożyła album do skrzyni.

Teraz była to jedna z niewielu rzeczy, jakie pozostały jej po dziadkach.

- Tak mi żal - wyszeptała, wciągając w nozdrza zapach lawendy i cedrowego drewna.

- Tak mi żal, że nie znałam was lepiej.

Sięgnęła do skrzyni i wyjęła kartonowe pudełko. W środku, zawinięta w bibułę, leżała malutka sukienka do chrztu, wykończona białymi wstążkami i poźółkłą koronką.

Może chrzczono w niej babcie, pomyślała Caroline, przesuwając palcami po delikatnych koronkach. Z pewnością miała ją na sobie matka.

- Zachowałeś ją dla mnie. - Wzruszona, podniosła sukienkę do policzka. - Nie mogłam jej włożyć, kiedy przyszła moja kolej, więc ją dla mnie zachowałeś.

Ostrożnie zawinęła ubranko w bibułę. Pewnego dnia, obiecała sobie, włoży to jej dziecko.

Nieprzydatny wybiegł z pokoju, przystanął u szczytu schodów, po czym wrócił

pędem, kiedy ktoś załomotał w drzwi wejściowe. Caroline odłożyła pudełko do skrzyni i wyjęła parę dziecinnych bucików. Uśmiechnęła się do nich czule.

- Nie zwracaj uwagi, Nieprzydatny. To tylko jakiś idiota reporter.

- Caroline! Do diabła! Otwórz, zanim tu kogoś zabiję!

- Tucker! - Zbiegła na dół, a Nieprzydatny deptał jej po piętach. - Przepraszam. -

Odryglowując drzwi widziała reporterów tłoczących się na werandzie. Wsuwali mikrofony, trzaskali

zdjęcia i wykrzykiwali pytania. Wciągnęła Tuckera do środka, a sama stanęła w progu.

- Wynocha z mojej werandy!

- Panno Waverly, jak się pani czuje, żyjąc w kręgu niewyjaśnionych morderstw?

- Panno Waverly, czy to prawda, że przyjechała pani do Missisipi leczyć złamane serce?

- Czy naprawdę załamała się pani w...

- Czy to prawda, że zabiła pani...

- Czy nawiązała pani intymne...

- Wynocha z mojej werandy! - wrzasnęła Caroline. - Wynocha z mojej ziemi.

Wkroczyliście na teren prywatny, mamy tu sposoby na takich jak wy! Jeżeli ktoś postawi na mojej ziemi paluch u nogi, to mu go odstrzelę. - Zatrzasnęła drzwi i założyła łańcuch. Nie zdążyła się nawet odwrócić, kiedy Tucker okręcił ją w ramionach.

- Złotko, mówiłaś zupełnie jak moja mama, kiedy ktoś ją rozzłościł. - Pocałował ją, po czym postawił na ziemi. - Tracisz jankeski akcent. Jeszcze trochę, a będziesz mówiła jak rodowita Missisipijka.

Roześmiała się, potrząsając głową.

- Nie będę. - Przyłożyła dłoń do jego policzka. Nie ogolił się, ale nie sprawiał już wrażenia krańcowo wyczerpanego. - Wyglądasz lepiej niż dziś rano.

- Niewielka pociecha, biorąc pod uwagę, że rano wyglądałem jak po ekshumacji. I tak też się czułem.

- Nie spałeś.

- Zdrzemnąłem się w hamaku. Zupełnie jak za dawnych czasów. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował, tym razem wolno i przeciągle. - Wolałbym wprawdzie, żebyś obniżyła trochę swoje standardy przyzwoitości i dzieliła ze mną wczoraj łóżko. Nie spałbym tak czy inaczej, a za to spędził miło czas.

- Nie wydawało się to słuszne w twoim rodzinnym domu i z...

- Policjantami kręcącymi się nad stawem przez pół nocy - dokończył. Podszedł do okna w salonie. - Zrób coś dla mnie, Caroline.

- Spróbuję.

- Idź na górę, spakuj swoje rzeczy i wróć ze mną do Sweetwater.

- Tucker, mówiłam ci...

- Zostałaś wczoraj.

- Potrzebowałeś mnie.

- Nadal cię potrzebuję. - Kiedy nie odpowiedziała, odwrócił się od okna. - To nie czas na poezję i romantyzm. I nie proszę cię o to dlatego, że chcę mieć cię w łóżku, Gdyby chodziło tylko o to, zostałbym tu z tobą.

- Więc zostań.

- Nie mogę. Nie prosz mnie, żebym wybierał między tobą a moją rodziną, Caroline, ponieważ nie mogę tego zrobić.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Jeżeli zostaniesz tu sama, zamartwię się o ciebie na śmierć. Jeżeli zostanę z tobą, zamartwię się na śmierć o Josie, Delię i resztę. - Przytulił ją mocno, odsunął znowu i zaczął

chodzić niespokojnie po pokoju. - On jest ciągle na wolności, Caroline. Był w Sweetwater.

- Rozumiem, Tucker. Wiem, że zostawił tam ciało.

- Zabił ją tam. - Odwrócił się ku niej. - Zabił ją tam, w pobliżu mojego domu, pośród drzew, gdzie parę dni temu łowiłem z Cyrem ryby. Pośród drzew, które zasadziła moja matka.

Burke trochę mi powiedział, może za dużo. Ja powiem tobie. Chcę byś zrozumiała, że muszę tam wrócić, a nie wrócę bez ciebie.

Zaczerpnął wolno powietrza.

- Przywiązał ją do drzewa. Kora jest pozdzierana w miejscach, gdzie miała przywiązane ręce i nogi. A deszcz jeszcze nie zmył krwi. Widziałem, co on jej zrobił. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zapomniał, jak ona wyglądała, kiedy wyciągnęli ją z wody. Nie sądzę, żebym zapomniał, że dokonano tego pod wierzbą, którą zasadziła moja matka, tam, gdzie bawiłem się z bratem i siostrą, kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie pocałowałem cię po raz pierwszy. On nie dotknie niczego, co jest dla mnie cenne. Teraz proszę cię, żebyś spakowała, co ci potrzeba i pojechała ze mną.

Ujęła jego dłonie zaciśnięte w pięści.

- Niewiele mi potrzeba.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Caroline była przyzwyczajona do bezsennych nocy. Przez lata nauczyła się zazdrościć ludziom, którzy kładli się do łóżka i zapadali w sen. Od czasu osiedlenia się w Innocence niemalże udało jej się

dołączyć do grona szczęśliwców. Teraz wszystko wskazywało na to, że cofnęła się do linii startu i spędzi długie, czarne godziny w pogoni za snem.

Znała wszystkie mechanizmy obronne. Gorące kąpiele, ciepły koniak, nudne książki.

Nie mogła jednak skupić uwagi na tekście. W szafce z drzewa czereśniowego znajdował się sprytnie ukryty telewizor, ale żaden z nocnych programów nie zainteresował jej ani nie znudził na tyle, by sprowadzić sen.

Nie mogła uzalać się na gorąco, ponieważ jej pokój w Sweetwater był cudownie chłodny. I była przyzwyczajona jak mało kto do obcych pokoi i obcych łóżek. Pokój gościnny w Sweetwater nie ustępował niczym pokojom w najlepszych hotelach europejskich.

Łóżko było przytulnym miejscem. z baldachimem i poduszkami obszytymi koronką. Na wypadek gdyby gość nie był usposobiony do snu, mógł przesiąść się na sofę w oknie wykuszowym i podziwiać ogród zalany światłem księżyca.

Świeżo zerwane kwiaty wypełniały pokój słodkim zapachem. Na eleganckiej toalecie połyskiwały w świetle lampy stare flakony. Mały kominek z niebieskiego kamienia zapewniał

ciepło i pociechę w zimowe noce. Caroline ujrzała siebie przed tym kominkiem, otuloną w domowe pledy, patrzącą, jak trzaska ogień, a na ścianach tańczą cienie.

Z Tuckerem.

Czuła, że nie powinna snuć szczęśliwych wizji, skoro martwa kobieta leżała gdzieś w zimnym pokoju, a jej rodzina może już tylko płakać.

Nie powinna odczuwać tego promiennego szczęścia, tej nadziei w obliczu śmierci.

Ale była zakochana.

Westchnąwszy, skuliła się na kanapce, skąd mogła patrzeć na ogród. Osrebrzone kwiaty wydawały się martwe, jakby zakłete. Daleko, daleko połyskiwała tafla Sweetwater.

Nie mogła widzieć stąd wierzb i była z tego zadowolona. Może jest to chowanie głowy w piasek, kolejna ucieczka, ale trudno. Ucieknie, na tę jedną noc. W tej chwili był to tylko uroczy zakątek oblany światłem księżyca.

A ona była zakochana.

Człowiek nie wybiera sobie miejsca i czasu na zakochanie się. Caroline wiedziała już, że nie wybiera się również człowieka, któremu oddaje się serce. Gdyby miała wybór, z pewnością nie zakochałaby się teraz i tutaj. I na pewno nie w Tuckerze.

To był błąd zakochać się teraz, kiedy dopiero zaczynała odkrywać swoje potrzeby i możliwości, uczyć się przejmować kontrolę nad swoim życiem. Głupio z jej strony, że zakochała się tutaj, w

miejscu rozdartym przez tragedie i bezsensowną przemoc, miejscu, które będzie musiała opuścić za parę tygodni.

Głupio, że zakochała się w mężczyźnie, który uwodził dla sportu. W uroczo rozleniwionym podrywaczu. W podejrzanym o morderstwo. W cytującym wiersze nicponiu.

Czyż nie powtarzała sobie w kółko, że Tucker był po prostu kolejnym Luisem, tyle że mówiącym południowym akcentem? zakochując się w nim udowodni, że jest jedną z tych godnych pożałowania kobiet, które zawsze dokonują złego wyboru i plują sobie w brodę przez resztę życia.

Ale nie chciała uwierzyć w to tak bardzo, jak chciała tydzień temu. Tucker reprezentował sobą coś więcej, więcej niż przyznałby sam przed sobą.

Caroline dostrzegła to w jego stosunku do Cyra, lojalności wobec rodziny, w sposobie, w jaki kierował Sweetwater i tuzinem przedsiębiorstw, nie pyszniąc się władzą i nie żądając nagrody.

Robił, co musiało być zrobione, i postępował tak, jak najeżało postąpić, jakby odruchowo, nie myśląc o tym, bez hałasu i niepotrzebnych lamentów.

Nie, Tucker Longstreet był spokojny i pogodny jak drzemki w cieniu drzew, za którymi tak przepadał.

Tego właśnie mi potrzeba, pomyślała Caroline, opierając głowę o szybę. Akceptacji faktu, że życie jest żartem i człowiek powinien przyjąć je z uśmiechem.

Potrzebuję uśmiechu teraz, pomyślała. Potrzebowała aury spokoju, która otaczała Tuckera.

Potrzebowała Tuckera.

Więc dlaczego siedzi tu, czeka na sen, skoro wszystko, czego jej potrzeba, znajduje się w zasięgu ręki?

Wstała z kanapki. W drodze na taras wyjęła z wazonu jedną frezję. Przystanęła na chwilę przed lustrem w złożonych ramach, żeby przygładzić włosy. Zaledwie dotknęła klamki, kiedy drzwi się otworzyły. Była za nimi parna noc. I Tucker.

Serce zabiło jej mocniej i cofnęła się o krok.

- Przestraszyłeś mnie.

- Zobaczyłem światło. - W ręku trzymał łądygę słodkiego groszku. - Pomyślałem, że pewnie też nie możesz spać.

- Nie mogę. - Spojrzała na frezję w swojej dłoni. Uśmiechnęła się i podała ją Tuckerowi. - Właśnie do ciebie szłam.

Oczy mu pociemniały, kiedy brał jej kwiat i podawał własny.



- Popatrz! A ja pomyślałem, że skoro twoje poczucie przyzwoitości nie pozwoli ci przyjść do mnie, ja będę musiał przyjść do ciebie. - Przeczesał palcami włosy Caroline i zamknął dłoń na jej karku. - Pożądanie odbiera spokój.

Postąpiła krok w jego stronę.

- Nie pragnę spokoju.

Tucker sięgnął za siebie i pchnął drzwi.

- Więc go nie zaznasz.

Sięgnął łakomie do jej warg, jakby od ostatniego pocałunku upłynęły lata, nie godziny. Smak pożądania był mocny, uzależniający.

Przytuliła wargi do jego szyi, kiedy prowadził ją w stronę łóżka. Sięgnęła do wyłącznika lampki, ale chwycił ją za rękę.

- Nie potrzebujemy ciemności. - Uśmiechnął się i nakrył ją sobą.

Podczas gdy oni kochali się w świetle lampy, a większość mieszkańców spała niespokojnym snem, w barze McGreedy'ego huczało jak w ulu. Rozpoczął się długi weekend, którego ukoronowaniem miały być uroczystości Czwartego Lipca. Rada miasta w osobach Jeda Larssona, Sonny'ego Talbota, Nancy Koos i Dwayne'a, postanowiła po zażartej polemice nie odwoływać corocznej parady, festynu i pokazu sztucznych ogni.

Patriotyzm i względy ekonomiczne przeważały szalę. Fun Time, Inc. zapłaciła już słono za wynajęcie estrady, a sztuczne ognie mocno uszczupliły skarb miasta. Jak słusznie zauważyła Nancy, orkiestra liceum imienia Jeffersona Davisa ćwiczyła od tygodni. Młodzież byłaby rozczarowana, gdyby odwołano uroczystości w ostatniej chwili. Do tego nie wolno dopuścić. Podupadłoby morale miasta.

Nie omieszkało zaznaczyć, że trochę nie przystoi organizować konkursu jedzenia ciast w sytuacji, gdy Darleen leży w kostnicy. Na co zwolennicy uroczystości oparli, że Czwarty Lipca jest świętem ogólnonarodowym i nie godzi się zrywać ze stuletnią tradycją.

Ostatecznie ustalono, że pamięć Darleen Talbot zostanie uczczona minuta ciszy, po czym uroczystości potoczą się utartym trybem.

Tak więc wywieszono flagi i transparenty, a Teddy kroił Darleen na stole Palmera.

U McGreedy'ego zaś uroczystości już się rozpoczęły. Wprawdzie śmiech brzmiał

trochę dziko i coś wisiało w powietrzu, ale McGreedy pocieszał się myślą, że za barem stoi niezastąpiony Louisville Slugger.

Nie spuszczał oka z Dwayne'a, który pił spokojnie i metodycznie na końcu baru.

Ponieważ trzymał się piwa, McGreedy nie martwił się zbyt. Złe działała na niego tylko whisky, a poza tym Dwayne sprawiał wrażenie raczej nieszczęśliwego niż pijanego.

McGreedy wiedział, że zanim ten weekend dobiegnie końca, będzie musiał użyć brata i skopać parę tyłków, ale na razie atmosfera była przyjazna. Paru mściwów szeptało wprawdzie po kątach. Cokolwiek knuli, już on dopilnuje, żeby zrealizowali swój spisek gdzie indziej.

Billy T. Bonny złapał firmową whisky. Złościło go, że McGreedy ją rozwadnia, ale dziś pochłaniały go inne sprawy. Całe miasto wiedziało, że spotykał się po kryjomu z Darleen. Została zamordowana i on musiał jakoś ją pomścić. W grę wchodził męski honor.

Z każdym łykiem whisky nabierał większej pewności, że Darleen darzyła go wielką odwzajemnioną miłością.

Był wśród przyjaciół, w towarzystwie Johna Thomasa Bonny, który zalewał robaka.

Rozmawiali przyciszonymi głosami, zbici wokół stołu.

- To nie w porządku - mówił po raz kolejny Billy T. - Siedzimy i dłubiemy w nosie, podczas gdy jakiś jankeski kutas z FBI bierze się do naszych spraw.

Odpowiedział mu pochwalny szmer głosów. Zapalono papierosy i pograżono się w myślach.

- Jego pomoc nie wyszła Darleen na dobre, to pewne. On i Burke, i cała reszta kręcą się w kółko jak pies za własnym ogonem, a ktoś zarzyna nasze kobiety. Jesteśmy dobrzy, gdy chodzi o szukanie ciała, wtedy proszę bardzo, ale nie wolno nam bronić naszej własności.

- Gwałci je pewnie też - powiedział Will do swojego kufła z piwem. - Najpierw je gwałci, a potem zarzyna. To oczywiste.

Wood Palmer, spokrewniony z zakładem pogrzebowym, pokiwał ponuro głową.

- Te psychopaty zawsze to fobią. Nienawidzą matek i chcą je pieprzyć, więc robią to z innymi kobietami - Billy T. skończył swoją whisky i zamówił następną. Czuł, że ma w krwi tyle alkoholu, że mógłby otworzyć żyłę i napełnić bak samochodu. - To dlatego, że nienawidzą kobiet. Białych kobiet.

- Nie zabił ani jednej czarnej, no nie? - wtrącił jego brat. John Thomas od dwóch godzin wlewał w siebie wódkę i rozpierała go nienawiść do świata. - Cztery martwe kobiety, żadna czarna.

- Co prawda, to prawda - powiedział Billy T. i pochwycił szklanekę z whisky w momencie, gdy się przed nim pojawiła. - To mówi samo za siebie.

Wood drapał się po szczeciniastej brodzie, podczas gdy inni kiwali głowami. Zdawało mu się, że to, co mówi Billy T. trzyma się kupy, zwłaszcza przefiltrowane przez morze tequili.

- Słyszałem, że głowy miały prawie poodcinane, a organy płciowe wycięte. To robota psychicznego.

- Gliny chcą, żebyśmy tak myśleli. - Billy T. potarł zapałkę i patrzył, jak się pali.

Ogień płonął mu dziś w żyłach, szukając ujścia. - Tak jak chcieli w nas wmówić, że Austin Hatinger zabił własną córkę. No, my wiemy, że to nie on. - Kiedy płomyczek zgasał między jego palcami, Billy T. powiódł wzrokiem po twarzach. - My wiemy, że to czarnuch -

powiedział zadowolony z oględzin. - Ale mamy na głowie federalnego, szeryfa i jego zastępcę Murzyna. Truesdale prędzej przymknie białego niż kolorowego.

Will rozgniół orzecha. Pił wyłącznie piwo, i do tego wolno. Justine i tak suszyła mu głowę, że oddaje pensję McGreedy'emu.

- Szeryf Truesdale jest w porządku - mruknął.

- Skoro jest w porządku, dlaczego mamy cztery martwe kobiety i nikogo, kto by za to zapłacił?

Wszystkie oczy zwróciły się na Willa. Był na tyle trzeźwy, by zachować swoje opinie dla siebie.

- Powiem wam, dlaczego - ciągnął Billy T. - Oni wiedzą, kto to zrobił, jasne jak słońce. Wiedzą, ale nie chcą drażnić NAACP □ ani żadnej z tych pierdolonych grup. To wszystko robota czarnuchów i tych pieprzonych liberałów.

- Czarnych w ogóle nie przesłuchują - mruknął Wood. - To nie w porządku.

- Jednego przesłuchiwali. - Billy T. potarł kolejną zapałkę dla samej przyjemności patrzenia, jak płonie. - Byli u Toby'ego Marcha. Ten pieprzony federalny wszędzie o niego rozpytywał.

- Nic nie robią, tylko gadają - wybełkotał Wood. - A my mamy kolejnego trupa.

- I dalej nic nie robią - Billy T. pokiwał głową, a inni poruszyli się niespokojnie na krzesłach. Nienawiść, strach, frustracja narastały podsycane upałem i whisky. - Będą dalej gadać i zadawać pytania, a on znowu zabije. Może kobietę któregoś z nas.

- Mamy prawo bronić swego.

- Czas, by ktoś położył temu kres.

- Zgadza się. - Billy T. oblizał wargi, - Myślę, że wszyscy wiemy, co należy zrobić. To robota tego sukinsyna Marcha. Rzucili się na niego, a potem odpuścili. Wiedzą, że ma smak

□ Krajowe Stowarzyszenie Podniesienia Poziomu Kulturalnego Kolorowych; przyp. tłum.

na białe mięso.

- Kręcił się koło Eddy Lou, sam widziałem - wtrącił John Thomas. - Ktoś powinien mu wtedy dać nauczkę. Solidną nauczkę.

- Wiecie, co on robi? - Zwrócili się teraz w stronę Billy'ego T. - Śmieje się z nich. Z

nas się śmieje. Wie, że nie chcą kłopotów z czarnymi w Missisipi, bo federalne pismaki rozdmuchają to na cały kraj. Wie, że mu odpuszczają, chyba że da się złapać z nożem na gardle białej kobiety.

- To on, a jakże! - zawołał John Thomas. - Sam widziałem go w oknie Eddy Lou.

- Pracował w domu noclegowym - wtrącił Will.

- Zgadza się. - Billy T. uśmiechnął się szyderczo. - Pracował nad tym, jak wyciągnąć Eddę Lou na bagna, zgwałcić i zabić. Pracował też u Darleen. Mówiła mi, że lepikuje jej dach.

- I robił coś w miasteczku kempingowym, gdzie mieszkała Arnette i Francie - dodał

Wood. - Widziałem, jak Francie częstowała go lemoniadą.

Śmiał się do niej.

- To ich metoda. - Billy T. dopalił papierosa. - Chodzą koło kobiety i zaczynają myśleć, jak najlepiej jej to zrobić. Jak bardzo nienawidzą jej za to, że jest kobietą. Białą kobietą. Gliny udają, że tego nie widzą, ale ja widzę jak na dłoni i nie pozwolę, żeby ten czarny gnój zabił jeszcze którąś z naszych kobiet. - Pochylił się, czując, że nadszedł właściwy moment. - Mam w bagażniku porządny, gruby sznur. Każdy z nas wozi ze sobą strzelbę i umie się nią posłużyć. Proponuję uczcić dzień niepodległości, uwalniając Innocence od mordercy! Odsunął się od stołu wraz z krzesłem i wstał.

- Kto ze mną, bierze broń i do wozu. Trzeba powiesić mordercę. Szurnęły krzesła.

Mężczyźni ruszyli zdecydowanie do drzwi jak ludzie mający zadanie do wykonania, przeświadczeni o słuszności czynu, podnieceni perspektywą dokonania gwałtu.

Kiedy wychodzili w gorącą, parną noc, McGreedy pomyślał, że szukają chyba kłopotów, ale ponieważ zamierzali poszukać ich gdzie indziej, wrócił do sprawdzania rachunków.

Już w drzwiach Wood obejrzał się na Willego, który stał przy pustym stole.

- Idziesz, chłopie?

- Jasne! - Will podniósł kufel i wypił duszkiem piwo. Wood skinął głową i poszedł naładować swojego remingtona.

- O, Jezul! - Will patrzył tępo w pusty kufel. Nie chciał, żeby inni myśleli, że skrewił.

To najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić mężczyźnie.

Ale teraz przyszło mu do głowy, że jest coś jeszcze gorszego.

Powiesić człowieka.

Nie był na tyle pijany, by uznać to za wymierzenie sprawiedliwości. Nie był na tyle trzeźwy, by uznać to za morderstwo. Widział tylko Toby'ego Marcha dyndającego na końcu sznura, z wywalonym językiem, purpurową twarzą, kopiącego powietrze.

Nie był w stanie na to patrzeć, oto smutna prawda. A jeżeli tego nie zrobi, utraci szacunek mężczyzn, z którymi upijał się co piątek. Istniało tylko jedno rozwiązanie tego problemu. Zapobiec.

Otarłszy usta, podszedł do Dwayne'a.

- Dwayne? Muszę z tobą pogadać.

- Wal, Will. Mówiłem ci już, że poczekam z komornym do przyszłego tygodnia.

- Nie o to chodzi. Widziałeś chłopaków? Dopiero co wyszli. Zirytowany przymusową przerwą w picciu, Dwayne wbił oczy w kufel.

- Skupiam się na tym, żeby nic nie widzieć.

- Pojechali do domu Marcha. Wzięli ze sobą sznur. Dwayne podniósł wolno głowę i skupił myśli.

- Po co?

- Chcą powiesić Toby'ego Marcha. Zadynda, jak Bóg na niebie, za zabójstwo tych wszystkich kobiet.

- Człowieku, Toby nie skrzywdziłby muchy!

- Może tak, może nie, ale oni pojechali tam z bronią. Billy T. jest przekonany, że Toby to zrobił. Będą go linczować.

- Cholera! - Dwayne potarł mocno twarz. - Więc musimy ich powstrzymać.

- Nie mogę tego zrobić. - Will cofnął się potrzęsając głową. - Zajeżdżiliby mnie na śmierć, gdyby się dowiedzieli, że wymiękłem. Powiedziałem ci, na tym koniec.

Ludzie przywykli do gwałtownych wybuchów pijanego Dwayne'a, toteż nikt się nawet nie podniósł, kiedy Longstreet odpechnął stół i pochwycił Willa za gardło.

- Koniec, ale z tobą. Jeżeli Toby'emu coś się stanie, dopilnuję, żebyś za to zapłacił na równi z tamtymi gnojkami.

- Na litość boską, Dwayne. Nie mogę zdradzić swoich.

- Chcesz zachować dach nad głową i robotę, dzięki której masz co do garnka włożyć. -

Dwayne podniósł Willa nad ziemię i potrzęsął. - Posuwaj do szeryfa. Nie znajdziesz Burke'a ani

Carla w biurze, znajdziesz ich w domu. Powtórzysz im to, co mówiłeś mnie.

- Dwayne, Billy T. mnie zabije.

- Bonny nikogo nie zabije. - Cisnął Willym w stronę drzwi. - Ruszaj!

Na wpół śpiąca, otumaniona rozkoszą Caroline przytuliła się do Tuckera. Uniosła się na łokciu i obrysowała ustami szlak od jego piersi do brody.

- Zawsze uważałam, że przyzwoitość jest przereklamowana.

- Trzymaj się mnie, skarbie. - Objął ją przez biodra. - A wkrótce zapomnisz, że coś takiego w ogóle istnieje.

- Chyba już zapomniałem. - Pocałowała go w ramię, po czym złożyła na nim głowę. -

Możemy tak spać?

- Jak aniołki - obiecał, gładząc ją leniwie po plecach. Nie zwrócił większej uwagi na samochód hamujący na podjeździe, trzask drzwi i tupot nóg na schodach. Może Dwayne jest pijany, a może Josie pokłóciła się z tym kimś, z kim aktualnie sypia. Wszystko to może poczekać do rana.

Ale Caroline poruszyła się i zaczęła coś mówić, jeszcze zanim Dwayne zawołał

Tuckera.

- Żeby to...! Ale on sobie wybiera momenty. - Pocałował Caroline i sięgnął po spodnie. - Zaczekaj na mnie. Pójdę go uspokoić.

Dwayne walił w drzwi i przeklinał. Tucker wyszedł na korytarz.

- Panie na Wysokościach, Dwayne, obudzisz cały dom.

- Już to zrobił - powiedziała kuzynka Lulu od drzwi gościnnej sypialni. Miała na sobie koszulkę drużyny Redskins i masę różowych lokówek. - A śnił mi się cudowny sen o Melu Gibsonie i Franku Sinatra.

- Wracaj do łóżka, kuzynko Lulu. Ja się nim zajmę.

- Człowieku, chwytaj za strzelbę. Mamy kłopoty - wrzasnął Dwayne.

- Nie mielibyśmy ich, gdybyś nie wyżłopał beczki piwa u McGreedy'ego. - Della chwyciła Dwayne'a za ramię i próbowała zaciągnąć do pokoju. - Dostaniesz worek lodu na łeb, to się uspokoisz.

Dwayne wyrwał ramię z jej uścisku i podbiegł do Tuckera.

- Nie wiem, ile mamy czasu. Chcą zlinczować Toby'ego Marcha.

- O czym ty, u diaska, mówisz?

- Mówię, że chłopaki od Bonnych i ich zasrani kumple jadą w tej pieprzonej minucie do Marcha ze sznurem.

- O, Boże. - Tucker zobaczył w progu Caroline. Stała przytrzymując szlafrok na piersiach.

- Zaczekaj na mnie - powiedział.

- Jadę z tobą. - Della żeglowała już w stronę swojego pokoju, a różowy, obsyty puszkami peniuar powiewał za nią.

- Zostaniesz w domu - rozkazał Tucker. - Nie mam czasu na dyskusje. Zadzwoń do Burke'a. Powiedz, że fajerwerki rozpoczęły się przed czasem.

Sapiąc gniewnie, Della patrzyła, jak Longstreetowie zbiegają ze schodów.

- Jest ich tylko dwóch - odezwała się Caroline. - Jeżeli Burke nie sprowadzi pomocy, mogą mieć kłopoty.

Kuzynka Lulu przyjrzała się swoim paznokciom.

- Nadal potrafię rozwalić centówkę z półtora metra. Della odwróciła się ku nim i skinęła głową.

- Ubierać się.

Toby obudził się, kiedy jego stary kundel Custer zaczął szczekać.

- Cholerny pies! - mruknął.

- Twoja kolej - powiedziała Winnie ziewając.

- Dlaczego moja?

- Ponieważ to ja wstaję co noc do dwójki dzieci. - Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do męża. - A za sześć miesięcy będę wstała do trojga.

Toby przesunął dłonią po jej płaskim jeszcze brzuchu.

- Rzeczywiście, chyba moja kolej.

- I skoro już wstajesz, przynieś mi loda na patyku. - Poklepała go po nagim pośladku, zanim naciągnął slipy. - Ciężarne kobiety mają zachcianki.

- Miałaś je wieczorem. Jeszcze jakie!

Winnie zachichotała i wymierzyła mu kolejnego klapsa. Toby wyszedł z pokoju poziewając.

Zobaczył odbłask ognia w oknie salonu, znajomą złotoczerwoną lunę, która napełniała go gniewem i lękiem.

Stłumił przekleństwo i ruszył do drzwi w nadziei, że uda mu się usunąć z trawnika plugastwo, zanim zdoła wyrzucić krzywdę jego rodzinie. Był człowiekiem głębokiej wiary i bardzo się starał kochać bliźniego swego. Ale nienawidził ludzi, którzy ustawiali mu przed domem płonący krzyż.

Otworzył drzwi, wyszedł na werandę. I natknął się na lufę karabinu wymierzoną w jego nagi brzuch.

- Nadszedł dzień sądu ostatecznego, czarnuchu. - Billy T. rozciągnął usta w uśmiechu.

- Przyszliśmy wysłać cię do piekła. - Rozkoszując się poczuciem władzy, pchnął Marcha lufą w brzuch. - Toby March, zostałeś osądzony i skazany za zgwałcenie i zamordowanie Darleen Talbot, Eddy Lou Hatinger, Francie Logan i Arnette Gantry.

- Powariowaliście - wykrztusił Toby z trudem. Pies już nie czekał, leżał rozciągnięty w trawie. Był martwy albo nieprzytomny. Wściekłość nadeszła gwałtowną falą. Nie powstrzymał go widok sznura, który John Thoman Bonny i Wood Palmer przerzucali przez gałąź dębu. Po gniewie przyszła kolej na strach.

- Nikogo nie zabiłem.

- Słyszycie, chłopaki? - Billy T. zarechotał, nie spuszczać wzroku z Toby'ego. -

Mówi, że tego nie zrobił.

Mimo tępej grozy uświadomił sobie, że są pijani w sztok. I że to czyni ich jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Ktoś podetknął mu wylot lufy do ust.

- Możemy go powiesić za kłamstwo.

- W każdym razie zawieśnię. Wy, czarnuchy, umiecie tańczyć, co nie? Zatańczysz sobie dzisiaj. Będziesz tańczył nie dotykając nogami ziemi. A kiedy skończysz, spalimy twój dom.

Czuł, że strach ścina mu krew w żyłach. Zabiją go. Widział to po ich oczach. Będzie z nimi walczył i przegra. Straci życie, ale nie straci rodziny.

Chwycił za lufę karabinu. Huk wystrzału i ból w boku zlały się w jedno.

- Winnie! - krzyknął z rozpaczą. - Uciekaj! Bierz dzieci i uciekaj! - Kiedy zgiął się w pół, trzymając się za zraniony bok, Billy T. przyłożył mu lufę do twarzy.

- Mógłbym go zastrzelić. - Billy T. zachichotał nerwowo i otarł usta wierzchem dłoni.

- Mógłbym wywiercić mu dziurę w brzuchu, ale to nie byłoby dobrze. Powiesimy go.

Przyciągnąć go do drzewa - krzyknął na swoich.



Zobaczył kobietę na werandzie, ze strzelbą w dłoniach. Winnie strzelała na oślep.

Billy T. przyskoczył do niej, uderzył w twarz i wytrącił karabin.

- Patrzcie, patrzcie! - Chwycił kobietę wpół. - Chce bronić swojego chłopca. - Zaczęła go drapać, więc uderzył ją na odlew i Winnie osunęła się na werandę. - Trzymaj ją. Woody.

Gdy ten sukinsyn się ocknie, pokażemy mu, jak czuje się mężczyzna, kiedy gwałcą mu kobietę.

- Nie gwałcę żadnej kobiety - wybełkotał Wood, trochę zaniepokojony przebiegiem wypadków.

- Ale popatrzeć możesz, no nie? - Billy T. ściągnął Winnie z werandy za włosy. -

Przytrzymaj ją, do cholery! John Thomas, przyprowadź tu te czarne bachory. Niech się czegoś nauczą. Winnie zaczęła krzyczeć, nieprzerwanie, przenikliwie. Kopała, gryzła drapała, kiedy Wood wiązał jej ręce na plecach. Z domu dobiegł najpierw krzyk, potem przekleństwo i odgłos upadku. John Thomas wybiegł na werandę z ramieniem ociekającym krwią.

- Zranił mnie! - Opadł na kolana, wyciągając okrwawioną rękę. - Bachor mnie zranił.

- Boże święty, nie potrafisz poradzić sobie z chłopakiem? - Billy T. podszedł, żeby obejrzeć ranę brata. - Krwawisz jak zarżnięta świnia. Niech ktoś się nim zajmie. I pilnujcie domu. Kiedy ten chłopak wyjdzie, róbcie co do was należy.

Toby zaczął pojękiwać pod płonącym krzyżem.

- Zrobię to sam. Za Darleen. - Pochylił się nad Marchem. Jedno oko mu zapuchło, w drugim malował się strach. Billy T. sycił się widokiem przez chwilę.

To była władza. Posmakował jej i stwierdził, że idzie wprost do głowy. Przez całe życie był nikim. Teraz robi coś ważnego, ba, heroicznego. Nikt już nie spojrzy na niego jak na ludzkie gówno.

- Teraz założę ci pętlę na szyję, chłopie. - Poderwał Toby'ego na kolana i założył mu sznur. - Zacisnę ją bardzo, bardzo mocno. - Zaciągnął wolno węzeł, aż zetknął się z nagą skórą. - Ale nie powieszę cię jeszcze. Najpierw zrobię twojej żonie to, co ty zrobiłeś białym kobietom. - Uśmiechnął się, kiedy Toby zaczął szarpać więzy i jęczeć. - Tylko że jej się to spodoba. A kiedy będzie błagała o więcej, wtedy cię powieszę.

- Nie biorę udziału w żadnym gwałcie - powiedział Wood. Tym razem stanowczo.

- To chociaż zamknij jadaczkę - warknął Billy T. prostując się. - To nie gwałt, to sprawiedliwość.

- Ja ciągle krwawię!

Billy T. rzucił okiem w stronę, gdzie jeden z mężczyzn próbował obwiązać Johnowi Thomasowi ranę.

- To pokrwaś sobie przez chwilę w spokoju. To cię nie zabije. Tracił ich. Widział to po sposobie, w jaki przestępowali z nogi na nogę, odwracając wzrok od kobiety, która leżała zakrwawiona na ziemi.

Billy T. odłożył strzelbę i rozpiął pasek od spodni. Kutas stanął mu na samą myśl o gwałcie. Kiedy zobaczą, jakim jestem mężczyzną, znowu będą z nim.

- Ktoś nadjeżdża, Billy.

- To pewnie Will. Jak zawsze spóźniony i bez grosza.

Usiadł okrakiem na Winnie. Zacisnął palce na wycięciu jej koszuli nocnej, kiedy na podwórku Toby'ego zahamował gwałtownie samochód i powietrze przeszył huk wystrzału.

- Mam na muszce twoje jaja, Billy T. - Tucker wysiadł z samochodu. Na myśl o karabinach wymierzonych w niego poczuł mrowienie na całym ciele. - Zapewniam cię, że ten karabinek wyrządzi ci większą krzywdę, niż zdołałem ja przed paroma dniami.

- Nie mieszaj się do tego, Tucker. - Billy T. wyprostował się, klnąc sam siebie, że odłożył broń. - Jesteśmy tu, żeby zrobić to, co dawno powinno być zrobione.

- Aha, palenie krzyży to coś w sam raz dla ciebie. Zabicie bezbronnego człowieka. -

Zobaczył krew na twarzy Winnie i zemdlilo go. - Bicie kobiet. To wymagało od was wiele odwagi, żeby tu przyjść. Sześciu chłopów przeciwko mężczyźnie, kobiecie i dwójce dzieci.

- Ten czarnuch zabija kobiety. Tucker uniósł brew.

- Z tego, co widzę, to ty robisz.

- Wieszamy mordercę. Myślisz, że nam przeszkodzisz? Ty i twój zapijaczony brat? -

Dźwignął Winnie i trzymając ją przed sobą, cofnął się do miejsca, gdzie rzucił karabin. -

Zdaje się, że was jest dwóch, a nas pół tuzina.

W tym momencie reflektory przecięły ciemność i olds Delii zarył się kołami w piach.

Wysiadły trzy kobiety z karabinami.

- Przypomnij mi, żebyś zmył im głowę - mruknął Tucker do Dwayne'a. - Zdaje się, że układ się zmienił - zwrócił się do Billy'ego T. - Siły jakby się wyrównały.

- Myślisz, że przestraszymy się paru kobiet?

Della wyraziła swoją opinię, posyłając kulkę między stopy Wooda.

- Wiecie, że umiem strzelać. A obecne tu dwie panie nie spudłują również, przy odrobinie szczęścia. Caroline, bierz na cel tę broczącą świnie pod schodami. Nie wygląda na ruchliwego, powinnaś mieć ładny strzał.

Caroline przełknęła ślinę i wymierzyła w Johna Thomasa.

- Pieprzę to! - Wood rzucił strzelbę. - Nie strzelam do kobiet, tak jak ich nie gwałcę.

- Więc zejdz z linii ognia - doradził mu Tucker. - Mamy remis. Pięciu na pięciu. -

Uśmiechnął się słysząc syrenę. - I to się wkrótce zmieni. Na twoim miejscu, Billy T., położyłbym tę kobietę na ziemię, i to bardzo delikatnie. Jeżeli tego nie zrobisz, pošlę twojemu bratu kulkę.

- Jezu Chryste, Billy, puść ją. - John Thomas wgramolił się tyłem na schodki.

Billy T. oblizał wargi.

- Może ja tobie ją pošlę.

- Proszę uprzejmie. Nie zrobisz tego jedną ręką, musisz wpierw puścić tę kobietę.

Potem możemy próbować szczęścia.

- Puść ją, Billy - powiedział Wood cicho. - I odłóż broń. To wariactwo. - Zwrócił się do grupki mężczyzn. - To wariactwo.

W odpowiedzi rzucili karabiny.

- Teraz jesteś sam - zauważył Tucker. - I możesz umrzeć sam. Nie robi mi to żadnej różnicy.

Billy T. puścił Winnie. Osunęła się na ziemię i zaczęła się czołgać w stronę męża.

Billy T. rzucił broń i ruszył w stronę samochodu.

- Na twoim miejscu nigdzie bym nie szedł - powiedział Tucker cicho.

- Nie strzelisz człowiekowi w plecy.

Tucker wypuścił serię z karabinu. Zadzwończyły szyby w oknach.

- Pewnie, że nie.

- Zastrzel go, Tucker - zaproponowała kuzynka Lulu. - Zaoszczędzisz pieniądze podatników.

- Dość tego! - Caroline otarła wilgotne dłonie o spodnie i podbiegła o Winnie.

- Moje dzieci!

- Zaraz się nim zajmę. - Szarpała sznur na rękach Winnie, chcąc uwolnić ją, zanim nadejdą dzieci. Ale wybiegły już z domu. Jim ścisnął w dłoniach rzeźnicki nóż unurzany w krwi Johna Thomasa, mała dziewczynka potykała się o przydługą koszulkę nocną.

- Już, już - szeptała Caroline, przeciągając pętlę przez głowę Toby'ego. Oczy zasły jej łzami, kiedy brała od Jima zakrwawiony nóż. Przecięła więzy. - Jesteś ranny! - Jej palce dotknęły czegoś wilgotnego. - Niech ktoś wezwie lekarza!

- Zawieziemy go do szpitala. - Tucker przykucnął przy Tobym. - Burke i Carl już odczytywali Billy'emu T. i innym ich prawa. - Co ty na to. Toby? Wytrzymasz małą przejażdżkę?

Toby tulił swoją rodzinę, a łzy spływały mu po policzkach. Uśmiechnął się blado, podczas gdy Winnie szlochała mu na piersi.

- Ty prowadzisz?

- No chyba!

- No to będziemy tam w trymiga.

- Dwayne, pomóż mi. Della, zabierz dzieci do Sweetwater. Caroline... - Tucker rozejrzał się. - Dokąd idziesz, Caroline?

Nie obejrzał się.

- Wyrzygać tę potworność.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

Radosne okrzyki, piski strachu i wybuchy śmiechu rozbrzmiewały echem na równinie.

Kolorowe światła migotały, mrugały, wirowały, zmieniając martwe Pole Eustisa w krainę bajek.

W Innocence odbywał się wielki festyn.

Dorośli skwapliwie wyciągali zaskórniaki, by oddać je na pożarcie maszynom grającym, dzieci z palcami lepкими od cukrowej waty i buziami wypchanymi hot dogami biegały zaaferowane, a ich piski i krzyki wznosiły się ponad muzykę płynącą z głośników.

Nastolatki okupowały strzelnicę i popisywały się przed dziewczynami, strącając butelki.

Starsi woleli bingo, a najmniej odporni na gorączkę hazardową tracili miesięczne pensje, próbując przechytrzyć Koło Fortuny.

Podróżny przejeżdżający starym mostem Longstreet uznałby prawdopodobnie, że natrafił na zwyczajny festyn na obrzeżach zwykłego prowincjonalnego miasteczka. Wrzawa i muzyka obudziły może echa dzieciństwa i wywołały nostalgię.

Caroline nie dała się oczarować.

- Nie rozumiem, dlaczego dałam się na to namówić. Tucker zarzucił jej rękę na ramię.

- Ponieważ nie możesz się oprzeć urokowi pewnego Południowca. Przez chwilę spoglądała na zapaleńców wrzucających monety do naczyń stołowych, które w każdym przyzwoitym sklepie kosztowały połowę ceny.

- Uważam, że to nie w porządku. Te ostatnie wydarzenia...

- Nie wiem, w jaki sposób wieczór spędzony na festynie może cokolwiek zmienić.

Chyba że się uśmiechniesz.

- We wtorek odbędzie się pogrzeb Darleen.

- Darleen zostanie pochowana niezależnie od tego, czy tu będziesz, czy też nie.

- Wczorajsze wydarzenia...

- Billy T. i jego kumple są w więzieniu. Doktor mówi, że Toby i Winnie czują się świetnie. A spójrz tam - wskazał na Cyra i Jima, którzy wciśnięci w samolocik karuzeli wirowali kwicząc z uciechy. - Wiedzą, że należy się radować, kiedy nadarza się po temu okazja.

Tucker przycisnął usta do włosów Caroline i kontynuował spacer.

- Wiesz, dlaczego nazwaliśmy to miejsce Polem Eustisa?

- Nie. - Cień uśmiechu przemknął po jej wargach. - Ale jestem pewna, że zaraz się dowiem.

- Kuzyn Eustis - w rzeczywistości był wujkiem, ale tak bardzo „pra”, że nazywamy go kuzynem. Otóż, kuzyn Eustis był jednostką wybitną. Rządził Sweetwater od tysiąc osiemset czterdziestego drugiego do pięćdziesiątego szóstego i plantacja rozkwitała. Miał sześcioro dzieci ślubnych i około tuzina z nieprawego łoża. Chodziły słuchy, że lubił zabawiać się z niewolnicami, kiedy doszły do odpowiedniego wieku. Ten odpowiedni wiek to było trzynaście, czternaście lat.

- Oburzające. Nazwaliście jego imieniem pole?!

- Jeszcze nie skończyłem. - Stał, by zapalić połówkę papierosa. - Otóż, Eustin był

człowiekiem godnym podziwu. Bez mrugnięcia okiem sprzedawał swoje dzieci. Te ciemnoskóre. Jego żona była zagorzałą papistką, błagała go, by żałował za grzechy i ratował

duszę od ogni piekielnych. Ale Eustis szedł za głosem swojej natury.

- Natury? - sarknęła.

- Swojej - podkreślił Tucker. - Pewnego dnia młoda niewolnica uciekła z dzieckiem, którego był ojcem. Eustis nie tolerował ucieczek. Co to, to nie! Wysłał za nią mężczyzn, psy i osobiście poprowadził pogoń. Jechał przez to pole, kiedy krzyknął, że ją widzi. Dziewczyna nie miała żadnych szans. Jechał za nią konno, z batem w ręce. Nagle jego koń stanął dęba.

Nikt nie wie, dlaczego. Może przestraszył się węża albo królika. A może jeźdźca dosięgły te ognie piekielne. W każdym razie skręcił kark. Stało się to dokładnie tam, gdzie dzisiaj stoi młyńskie koło. Nie wydaje ci się to sprawiedliwe? Że wszyscy ci ludzie, czarni i biali, może z kroplą krwi Eustina Longstreeta w żyłach, bawią się w miejscu, gdzie Eustis spotkał się ze swym Stwórcą?

Oparła mu głowę na ramieniu.

- Co stało się z dziewczyną i dzieckiem?

- Dziwna sprawa. Nikt więcej ich nie widział. Ani tego dnia, ani żadnego innego.

Wciągnęła w nozdrza powietrze nasycone zapachem słodczy.

- Przejadę się chyba na młyńskim kole.

- Też się kuszę. Chciałabyś, żeby wygrał dla ciebie taki obraz Elvisa? Śmiejąc się, otoczyła go w pasie ramieniem.

- Będę zachwycona.

- Może zagrałabyś w bingo, kuzynko Lulu? - zapytał Dwayne pełen nadziei i przycisnął rękę do żołądka.

- A po jaką cholere mam siedzieć i zakrywać numerki?! - Lulu podeszła do kasy biletowej. - Byliśmy na młyńskim kole tylko raz, a na karuzeli w ogóle. Warto się jeszcze pokręcić. - Wsadziła bilety do kieszeni spodni z demobilu. - Jesteś zupełnie zielony.

Niestrawność?

Dwayne przełknął ślinę.

- Można to tak nazwać.

- Nie powinieneś objadać się frytkami. Musisz oczyścić żołądek. No, rundka na karuzeli powinna to załatwić.

Właśnie tego się obawiał.

- Kuzynko Lulu, może pochodzimy po budach, wygramy coś.

- Dobre dla naiwniaków.

- Kto jest naiwniakiem? - Josie stanęła przy nich z wielkim czerwonym słoniem w ramionach. - Zestrzeliłam dwanaście kaczek, dziesięć królików, cztery łosie i jednego grizzly, żeby wygrać główną nagrodę.

- Nie wiem, co dorosła kobieta może robić z wypchanym słoniem - mruknęła kuzynka Lulu.

- To prezent - powiedziała Josie i wepchnęła słonia w ramiona Teddy'ego Rubensteina, żeby zapalić papierosa. - Co się dzieje, Dwayne. Wyglądasz nieciekawie.

- Słaby żołądek - obwieściła Lulu, dziabiąc Dwayne'a palcem w brzuch. - Hot dogi i fura frytek. Cały ten tłuszcz przewala mu się w środku. - Zwężonymi oczami przyjrzała się Tobby'emu. - Znam cię. Jesteś tym jankeskim doktorem, który zarabia na życie, krojąc umarłych. Trzymasz wnętrzności w butelkach?

Dwayne wydał zduszony jęk i odbiegł na bok zakrywając dłonią usta.

- To mu dobrze robi - uznała Lulu.

- Potrzymam mu głowę. - Z westchnieniem Josie zwróciła się do Teddy'ego. - Złotko, może weźmiesz kuzynkę Lulu na przejażdżkę? Dołączę do was za chwilę.

- Z przyjemnością. - Teddy podał jej ramię. - Gdzie się wybierzemy, szanowna pani?

Zadowolona, ujęła go pod rękę.

- Myślałam o karuzeli.

- Pozwoli pani, że będę jej towarzyszył.

- Jakie imię dali ci na chrzcie świętym? - zapytała, kiedy przedzierała się przez tłum. -

Mogę cię chyba nazywać po imieniu, skoro sypiasz z moją krewną.

Odchrząknął.

- Teodor, proszę pani. Przyjaciele mówią mi Teddy.

- W porządku, Teddy. Urządzimy sobie przejażdżkę, a ty opowiesz mi o tych morderstwach. - Łaskawie wręczyła mu bilety.

- Ta panna Lulu, to dopiero numer - powiedział Jim z podziwem, pociągając colę przez słomkę.

Cyr otarł usta umazane sokiem malinowym i patrzył, jak Lulu siada dostojnie na podskakującym siodełku.

- Widziałem, jak stała na głowie w swojej sypialni.

- Po co to robiła?

- Nie wiem. Mówiła coś o fali krwi do mózgu, żeby nie zgrzybieć. A kiedyś znalazłem ją, jak leżała na trawniku. Myślałem, że umarła albo co. A ona powiedziała, że dzisiaj udaje kota i ochrzaniła mnie, że przerwałem jej drzemkę.

Jim uśmiechnął się i zgryzł kostkę lodu.

- Moja babcia siedzi w fotelu i robi na drutach.

Szli noga za nogą, zatrzymując się przy budach i patrząc, jak toczą się kule, śmigają lotki, kręcą koła. Wydali każdy po ćwierć dolara przy Kaczym Stawie, gdzie Jim wygrał

gumowego pająka, a Cyr plastikowy gwizdek.

Zastanawiali się przez chwilę, czy nie skorzystać z usług jasnowidzącej Madame Mystique, i zrezygnowali na rzecz Zadziwiającej Voltury, która wchłaniała w siebie tysiące woltów, podczas gdy miniaturowe lampki migotały na jej kształtnym ciele.

- Niezły numer - przyznał Cyr i dmuchnął w gwizdek.

- Aha, założę się, że używają baterii albo co. Cyr wywiercał czubkiem buta dziurę w piachu.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Jasne.

- Zastanawiałem się... No więc, jak się czułeś, kiedy wsadziłeś nóż w Johna Thomasa Bonny'ego?

Marszcząc brwi, Jim huśtał pająka na gumce. Liczył na to, że przy jego pomocy wydobędzie z Lucy przynajmniej jeden porządny pisk.

- Chyba nic nie czułem. Byłem cały ogłupiały i w uszach mi dzwoniło. Schowałem Lucy w szafie, tak jak kazała mi mama, ale pomyślałem, że on ją znajdzie. I bałem się, co oni zrobią z moją mamą i tatą.

- Czy oni... - Cyr zwilżył wargi językiem. - Naprawdę chcieli go powiesić?

- Mieli sznur. I karabiny. - Jim nie wspomniał o płonącym krzyżu. Krzyż był w tym wszystkim najgorszy. - Cały czas powtarzali, że tata zabił ich kobiety. Ale on tego nie zrobił.

- To samo mówili o moim. - Cyr schylił się po coś błyszczącego, ale była to tylko folia z papierosów. - On chyba też tego nie zrobił.

- Ktoś zrobił - powiedział Jim i oboje spojrzeli na tłum. - Może ktoś, kogo znamy.

- Nawet na pewno, jeśli się nad tym zastanowić.



- Cyr? - No?

- Kiedy wsadziłem ten nóż w Johna Thomasa Bonny'ego? Zrobiło mi się trochę niedobrze. Nie rozumiem, jak można tak dźgać kogoś i dźgać. Chyba że jakiś wariat.

- Więc musi to być wariat. - Cyr przypomniał sobie oczy swojego ojca. Chcąc o nich zapomnieć, sięgnął do kieszeni. - Mam jeszcze trzy bilety.

Jim pogrzebał w spodniach.

- Młyńskie Koło.

Z okrzykiem bojowym chłopcy wystartowali w stronę migoczących świateł

młyńskiego koła. Niewinna rozrywka została przerwana nagle, kiedy wyrósł przed nimi Vernon.

- Dobrze się bawicie, co, chłopaki?

Cyr patrzył na swojego brata, w twarz będącą odbiciem twarzy ojca, w oczy, które płonęły gniewem, twarde i zimne jak lód na stawie. Nie widział Vernona od pogrzebu Austina. Wtedy brat nawet do niego nie przemówił, tylko wpatrywał się w niego ponad dołem w ziemi, w którym ich ojciec spędzi wieczność.

Wydawało mu się, że światła głównej alei nagle pojaśniały zalewając rumieńcem jego twarz, podczas gdy reszta Innocence pogrążyła się w mroku.

- Nic złego nie robię.

- Zawsze robisz coś złego. - Vernon postąpił krok w stronę brata. Za jego plecami Loretta chwyciła dziecko i krzyknęła cicho, na co nikt nie zwrócił uwagi. - Załatwiłeś sobie cichaczem pracę w Sweetwater. Zadajesz się z czarnuchami - wskazał na Jima. - Nie obchodzi cię, że kolorowi spiskują przeciwko białym chrześcijanom, zabijają białe kobiety, twoją rodzoną siostrę. Ty masz własne interesy.

- Jim jest moim przyjacielem. - Cyr nie spuszczał oczu z twarzy brata, ale wiedział, że wielkie ręce zaciska w pięści, wiedział, że wbija go w ziemię. A ponieważ Vernon był jego bratem, wszyscy się odwrócą, zostawią go z nim sam na sam. - Nic złego nie robimy.

- Masz kolorowych przyjaciół. - Vernon uśmiechał się, chwytając Cyra za kołnierz. -

Może pomogłeś im zwabić Eddę Lou na bagna, żeby mogli ją zgwałcić i zabić. Może sam trzymałeś nóż i zamordowałeś ją tak, jak zamordowałeś tatę.

- Nikogo nie zabiłem. - Cyr szarpał się, mimo że dotykał już ziemi tylko koniuszkami palców. - Nie zabiłem. Tata chciał zrobić krzywdę pannie Caroline i ona musiała go zastrzelić.

- Parszywe kłamstwo! - Vernon uderzył Cyra wolną ręką w głowę i gwiazdy rozbłysły przed oczami

chłopca. - Wysłałeś go na śmierć, żeby tropili go jak psa. Myślisz, że nie wiem, jak to było? Myślisz, że nie wiem, że tak wszystko załatwiłeś, by mieszkać w tym wielkim domu, przehandlować ojca na miękkie łóżko i życie w grzechu. - Oczy płonęły mu zupełnie jak u węża. - Masz w środku diabła, chłopcze. Teraz, kiedy zabrakło taty, ja muszę go zmiażdżyć.

Odchylił ramię. W chwili, gdy Cyr uniósł rękę, by osłonić głowę, Jim rzucił się naprzód. Chwycił ramię Vernona i wisiał na nim kopiąc. Nawet we dwójkę chłopcy byli lżejsi od Vernona o jakieś dwadzieścia kilogramów, ale strach i poczucie lojalności dodały im sił.

Vernon musiał puścić Cyrą, żeby strząsnąć z siebie Jima. W chwili gdy znów pochwycił

Cyra, Jim wskoczył mu na plecy, czepliwy jak łasica. Chwycił przeciwnika od tyłu za grubą szyję.

- Uciekaj, Cyr! - Jim przylgnął do Vernona niby pijawka. - Uciekaj! Mam go!

Ale Cyr nie zamierzał uciekać. Otrząsnął się z zamroczenia i wstał z ziemi. Nos mu krwawił po ostatnim upadku. Zrozumiał teraz, co miał na myśli Jim, mówiąc o ogluszeniu.

Cyr był ogluszony. I dzwoniło mu w uszach od uderzenia albo nadmiaru adrenaliny. Serce tłukło mu się o żebra jak warząchew o pokrywkę.

Miał wrażenie, że zalewa go światło. Poza kręgiem jasności, w którym poruszał się jego brat i Jim, panowała ciemność. Muzyka z głośników zwolniła do tempa marsza pogrzebowego.

Otarł krew z twarzy i zacisnął poplamione ręce.

- Nie będę uciekał.

Uciekał przed ojcem. Uciekał przez całe życie. Tym razem nie ruszy się z miejsca.

Resztki niewinności dziecka zniknęły i Cyr stał się mężczyzną.

- Nie będę uciekał - powtórzył i uniósł zakrwawione pięści. Vernon strząsnął z siebie Jima i spojrzał na brata.

- Myślisz, że możesz mi się stawiać, gówniarzu?

- Nie uciekam - powiedział Cyr spokojnie. - A ty nie będziesz się na mnie dłużej wyzywał.

Vernon rozłożył szeroko ramiona. Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Pokaż, co potrafisz, smarku.

Pięść Cyra skoczyła do przodu. Dopiero potem zdał sobie sprawę, że nie miał nad nią żadnej władzy. Jego ramię, zaciśnięta dłoń i ogień w żyłach, wszystko to było jakby poza nim. Istniał tylko cel.

Krew trysnęła Vernonowi z nosa. Tłum, który zdążył się już zgromadzić poza pierścieniem światła,

zawył. Było to żądne krwi wycie, którego istota ludzka nie jest w stanie zdławić, kiedy widzi walczących. W uszach Cyra dźwięk ten zabrzmiał jak muzyka, mimo że ból przeszył mu ramię.

- Proszę, proszę. - Tucker wyłonił się z cienia i wszedł między braci. - Dajecie darmowe przedstawienie? Jaka cena biletu?

Krew spłynęła Vernonowi aż na zęby.

- Wynoś się do diabła, Longstreet, albo przejdę po tobie.

- Będziesz musiał, żeby się dostać do chłopaka. - Głód krwi płonął i w jego oczach, światła nadały im złoty, koci kolor. - Próbujesz naśladować tatusia, Vernon? Bijąc mniejszego od siebie?

- To mój brat.

- Co zawsze było dla mnie niewyjaśnioną zagadką. - Tucker wyciągnął ramię, kiedy Cyr ruszył z miejsca. - Ty zostań tam, gdzie jesteś, synu. Nie będę powtarzał tego dwa razy. -

Czuł drżenie powietrza między sobą a Cyrem. Nie był to strach, strach miał inny rytm. To była energia. Chłopak oddałby parę ładnych ciosów, pomyślał. Zanim Vernon rozdarłby go na strzępy. - Nie waż się go tknąć, Vernon.

- A kto mi zabroni?

Na myśl, że znowu obiją mu twarz, Tucker ciężko westchnął. Ostatnie siniaki dopiero co przybladły.

- Zdaje się, że ja.

- I ja. - Zlany potem i nadal zielony Dwayne stanął obok brata. Jeden po drugim mężczyźni występowali z tłumu i ustawiali się za Longstreetami. Cyr się pomylił. Było wielu, którzy wystąpią w jego obronie, robili to teraz. Czarni i biali tworzyli żywą ścianę odgradzającą go od niesprawiedliwości.

- Nie może wiecznie się chować. - Vernon otarł dłonie w spodnie.

- Nie chowa się nawet teraz - odparł Tucker. - Chyba już to udowodnił. Może jest o połowę mniejszy od ciebie, ale jako mężczyzna nie dorastasz mu do pięt, Vernon. Cyr znajduje się pod moją opieką. Twoja matka podpisała dokumenty. Najlepiej zostaw go w spokoju.

- Nie wiem, ile jej zapłaciłeś, ale to nie zmieni faktu, że on jest moim bratem. Masz naszą krew na swoich rękach.

Tucker podszedł do niego i zniżył głos tak, by tylko Vernon mógł go słyszeć.

- On jest dla ciebie niczym. Oboje o tym wiemy. Braterstwo jest dla ciebie pretekstem, żeby zadawać ból. Nikt cię nie poprze, Vernon. Nikt. Jeżeli będziesz dalej dręczył chłopca, sprawy przybiorą dla ciebie zły obrót w tym mieście. A twoja rodzina dosyć już się nacierpiała.

- Ty sprowadziłeś na nas nieszczęście. - Vernon przysunął twarz do twarzy Tuckera. -

To jeszcze nie koniec.

- Na dzisiaj na pewno. - Tucker odwrócił się i podszedł do Caroline, która tamowała krew płynącą Cyrowi z nosa.

- Uwielbiam festyny - powiedział. Ścisnął Cyra za ramię.

- Byłbym z nim walczył, panie Tucker.

- Postąpiłeś słusznie.

Caroline zmięta ze złością zakrwawione chusteczki.

- Mężczyźni! Uważacie, że wszystkie problemy da się rozwiązać przy użyciu pięści.

- A wy, kobiety, rozwiązujecie je przy pomocy języka. - Mrugnął do Cyra i przyciągnął Caroline, żeby ją pocałować. - Ja osobiście wolę się od nich wymigiwać. Ale ludzie są różni.

- Święta prawda - powiedziała Josie, zatraskując torebkę. Miała w niej, oprócz innych kobiecych drobiazgów, śliczne lustro w oprawie z masy perłowej. W tej chwili czuła niemal rozczarowanie, że nie ma pretekstu, by go użyć. Stała odwrócona plecami do Tuckera, któremu jeszcze nie wybaczyła.

- Cyr, złotko, jesteś bohaterem tegorocznego festynu z okazji święta niepodległości. -

Pocałowała go w policzek i Cyr oblał się rumieńcem. - Krwawisz gdzieś, Jim?

- Nie, psze pani. Wylądowałem na pupie. - Otrzeptywał się z kurzu, a ręce jeszcze drżały mu z podniecenia. - Załatwilibyśmy go z Cyrem.

- Pewnie. - Josie ścisnęła dwoma palcami biceps Jima i przewróciła oczami z podziwem. - Mamy tu dwóch młodych wojowników, Caroline. Zastanawiam się, czy moglibyście towarzyszyć mi do budy z lemoniadą.

Moja męska eskorta porzuciła mnie dla innej kobiety. - Ruchem głowy wskazała karuzelę, gdzie Teddy i kuzynka Lulu odwirowywali trzecią kolejkę. - Mężczyźni są tacy zmienni. Jim wypiął pierś.

- Pójdziemy z panią, panno Josie. No nie, Cyr?

- Mogę, panie Tucker?

- Możesz. - Przesunął wolno dłonią po głowie Cyra. - Wszystko w porządku, Cyr.

Cyr wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

- Wiem, panie Tucker. Nie uciekłem. I już nigdy nie będę uciekał przed nikim.

Tucker opuścił rękę na ramię Cyra. Jaka to wielka strata, pomyślał, że młodość i jej prostota zostały tak prędko i bezpowrotnie zniszczone.

- Obchodzić z daleka to nie to samo, co uciekać, Cyr. Trzymając się z dala od Vernona, nie przekreślisz tego, co uczyniłeś dzisiaj. A oszczędzisz swojej mamie zgryzoty.

Pomyśl o tym.

- Pomyślę, panie Tucker.

- Idź z Josie. - Patrzył za nimi z pewnym żalem i domieszką czegoś jeszcze.

Podejrzliwości.

- Pójdę już chyba - odezwał się Dwayne, mrużąc oczy przed wirującymi światłami.

- Trafisz do domu?

- Nie wypilem dużo, a to, co wypilem, wyrzygałem. - Dwayne uśmiechnął się blado. -

Nigdy nie miałem głowy do tych wirujących siodełek.

- Żołądka też nie - zgodził się Tucker. - Chorujesz rok w rok.

- Nie chcę zrywać z tradycją. Przywiozłem tu Delię i kuzynkę Lulu, ale nie sądzę, żeby były gotowe do odwrotu.

- Przywieziemy je z Caro do domu.

- A więc wszystko gra. Dobranoc, Caroline. - Odwrócił się i odszedł poza granicę światła i muzyki, w cień. Tucker miał wielką ochotę za nim zawołać. Nie chciał, żeby jego brat odchodził samotnie. Ale Dwayne zniknął i chwila minęła.

- No cóż - powiedziała Caroline, wrzucając zakrwawione chusteczki do kosza na śmieci. - Potrafisz zapewnić kobiecie interesujący wieczór.

- Robię, co mogę. - Usłyszał nutę napięcia w jej głosie. - Jesteś zdenerwowana?

- Zdenerwowana?! - powtórzyła. - Można to tak nazwać. Denerwuje mnie, że ten chłopiec musi walczyć z własnym bratem. Stracił siostrę i ojca, a reszta rodziny go nie akceptuje, ponieważ jest inny. Staje przed problemami i wyborami człowieka dorosłego, choć jest jeszcze dzieckiem.

Tucker obrócił ją ku sobie.

- O kim mówisz, Caro? O sobie czy o Cyrze?

- To nie ma nic wspólnego ze mną.
- Zdaje się, że patrzysz na niego, a widzisz siebie, borykającą się z czymś, czego nie da się zwalczyć pięściami.
- Nie walczyłam w ogóle.
- Zaczęłaś później, i w inny sposób. - Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc na światła i ludzi. - Chcesz pogodzić się z matką.
- To nie...
- Chcesz pogodzić się z matką - powtórzył z naciskiem, tonem, który kazał jej zaniechać dyskusji. - Wiem, co mówię. Nigdy nie doszedłem do ładu z ojcem. Nigdy nie powiedziałem mu, co myślę, czuję, czego pragnę. Nie wiedziałem, czy to go w ogóle obchodzi. I nadal nie wiem, a to dlatego, że nigdy nie powiedziałem mu tego w twarz.
- Ona wie, co ja czuję.
- Bardzo dobrze, masz więc punkt oparcia. Nie chcę widzieć cię smutnej, Caroline. I wiem, co to znaczy rodzina.
- Pomyślę o tym. - Odchyliła głowę, żeby zobaczyć jego twarz. Patrzył w jakieś miejsce ponad główną aleją, w światła. Zaniepokoił ją wyraz jego oczu. - O czym myślisz?
- O rodzinie - wyszeptał - O dziedziczności. - Uśmiechnął się z wysiłkiem, ale chłodny błysk w jego oczach nie zniknął. - Chodźmy wreszcie na tę karuzelę.

Poprowadził ją w tłum i gwar. Ale ta myśl ciągle zaprzętała mu głowę. Jeżeli Austin potrafił zabić, może syn Austina potrafi to również. Może Vernon ma zabijanie w genach.

Kiedy zaczęli opadać w dół. Tucker ogarnął Caroline ramieniem.

Jedno było pewne. Pośród śmiechu i światła festynu czaił się morderca.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

Na piecyku jest kawa, Tuck. - Burke ziewał nad talerzem płatków kukurydzianych. -

Nie widziałem cię na nogach tak rano od dwudziestu lat.

- Chciałem złapać cię w domu, zanim zabarykadujesz się w swoim biurze. -

- Moim biurze - powtórzył Burke sarkastycznie i podstawił pusty kubek. - Masz na myśli biuro Burnsa. Od trzech dni mój tyłek nie miał kontaktu z moim krzesłem.

- Doszedł do czegoś czy robi szum?

- Odwała więcej papierkowej roboty niż Narodowy Bank Angielski. Faksy, przesyłki superekspresowe, konferencje telefoniczne z Waszyngtonem. Zrobiliśmy sobie tablicę korkową ze zdjęciami wszystkich ofiar, miejscem i czasem śmierci. Mamy odnośniki do sprawy i odnośniki do odnośników. Tucker usiadł przy stole.

- Nic mi nie mówisz, Burke.

Burke napotkał wzrok Tuckera. - Niewiele mogę ci powiedzieć. Mamy listę podejrzanych. Tucker skinął głową i siorbnął gorącej kawy. - Ciągłe na niej jestem? - Masz alibi na Eddę Lou. - Burke nabrał łyżką płatków, zawahał się odłożył ją z powrotem na talerz.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że Burns cię nie lubi. Nie bardzo wierzy w to, że grałeś z siostrą w karty przez pół nocy.

- Jakoś nie bardzo się tym martwię.

- A powinieneś - Burke urwał słysząc ruch w salonie. Chwilę później z telewizji popłynęły melodie Looney Tunes. - Ósma - powiedział z uśmiechem. - Ten dzieciak chodzi jak w zegarku. Coś ci powiem, Tuck. Burns z największą przyjemnością zwałiby to wszystko na ciebie. Nie robi nic nielegalnego, ale jeżeli znajdzie sposób, żeby cię w to wrobić, to cię wrobi.

- Zwykła niezgodność charakterów - powiedział Tucker z bladym uśmiechem. -

Ustaliliście czas śmierci Darleen?

- Między dziewiątą wieczorem a północą.

- Skoro byłem z Caroline od dziewiątej do rana, można mnie chyba wykluczyć.

- Przy seryjnych morderstwach nie jest to tylko kwestia motywu i sposobności. Burns ma lekarza od czubków, który wypracował mu profil psychologiczny. Szukamy kogoś z urazem do kobiet - zwłaszcza kobiet szafujących swymi wdziękami. Kogoś, kto znał ofiary na tyle, by się z nimi umówić.

Płatki zrobiły się papkowate. Burke jadł je bardziej przez rozsądek niż dla przyjemności.

- Darleen jest zagadką - ciągnął. - Może natknął się na nią przypadkiem. Może zadziałał pod wpływem impulsu. To znowu nie pasuje do schematu.

Schemat istnieje rzeczywiście, pomyślał Tucker. Ale chyba nikt jeszcze nie odkrył

wszystkich jego elementów.

- Wróćmy na chwilę do tej psychologii - powiedział. - Szukacie kogoś z urazem do kobiet. Faceta, który nienawidził swojej mamy albo zawiódł się na kobiecie, tak?

- Dokładnie.

- Przed Darleen byliście przekonani, że to Austin.

- Pasował jak ulał - zgodził się Burke. - A kiedy rzucił się na Caroline z rzeźnickim nożem, wyglądało na to, że jesteśmy w domu.

- Zakładając, że nie wrócił z krainy umarłych, nie mógł zabić Darleen. - Tucker poprawił się na krześle. - Co myślisz o dziedziczności, Burke? O krwi, genach i takich tam?

- Myśli o tym każdy, kto ma dzieci. I każdy, kto ma rodziców - dodał i odsunął talerz.

- przez wiele lat zastanawiałem się, czy nie popełniam tych samych błędów, jakie popełnił mój ojciec. Czy nie brnę w ślepe uliczki, a może pozwalam się tam zagonić.

- Przepraszam. Powinienem pomyśleć, zanim o to zapytałem.

- Nie szkodzi, to było bardzo dawno temu. Prawie dwadzieścia lat. Lepiej patrzeć na własne dzieci niż oglądać się wstecz. Weźmy na przykład mojego najmłodszego - Burke wskazał na drzwi do salonu, gdzie jego syn oglądał przygody królika Bugsa. - Wygląda jak ja.

Mam zdjęcia, kiedy byłem w jego wieku. Jest taki do mnie podobny, że aż ciarki chodzą człowiekowi po plecach.

- Vernon przypomina swojego ojca. To podobieństwo może nie ograniczać się do koloru włosów i kształtu nosa. Może dotyczyć również osobowości, charakteru, gestów, nawyków. Mam powody przypuszczać, że coś podobnego zdarzyło się w mojej rodzinie. -

Nie chciał rozmawiać na ten temat nawet z Burke'em. - Dwayne ma tę samą chorobę, która zabiła naszego ojca Wystarczy, żebym zerknął w lustro albo na Dwayne'a, lub Josie i widzę naszą matkę. Jej twarz jest odbita na naszych twarzach. Kochała książki, zwłaszcza poezję. I to również przekazała mi w genach.

- Marvella unosi głowę identycznym ruchem jak Susie - powiedział Burke. - I ma upór Susie - „Chcę tego, i znajdę sposób, żeby to zdobyć”. Przekazujemy dzieciom nasze cechy, te dobre i te złe. - Vernon nie traktuje swojej żony ani odrobinę lepiej, niż Austin traktował

swoją. - Skąd ci tu wyskoczył Vernon? - Słyszałeś o wczorajszej awanturze na festynie? -

Chodzi ci o to, że mały Cyr rozkwasił swojemu bratu nos? Marvella i Bobby Lee tam byli.

Nikt chyba nie ma Cyrowi za złe. - Vernon nie jest lubiany. Jego tata też nie był. Oboje mają coś takiego w oczach, Burke. - Tucker odchylił się wraz z krzesłem, żeby rozprostować nogi.

- Mama kupiła mi kiedyś Biblię z obrazkami. Pamiętam jeden rysunek. Był na nim Izaak, Ezechiel albo jeszcze kto inny. W każdym, razie jeden z tych proroków, co to siedzą na pustyni przez czterdzieści dni. żeby spotkać się z Bogiem. Ten obrazek przedstawił powrót tego proroka. Wygłaszał przepowiednie i gadał jak z nut. Miał takie dzikie spojrzenie, zupełnie jak łasica, która



zwietrzyła kurczaka. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego Bóg woli rozmawiać z szaleńcami. Może dlatego, że nie zdziwi ich żaden głos rozbrzmiewający im w głowie. Zdaje się, że mogą słyszeć różne głosy, niekoniecznie namawiające do dobrego.

Burke wstał, żeby dolać sobie kawy. Burns wspominał o głosach. Masowi mordercy twierdzą, że ktoś im mówi, co zrobić i jak to zrobić. Son of Sam twierdził, że zabijać kazał mu pies sąsiadów. Osobiście Burke nie przepadał za mistycyzmem. Był zdania, że David Berkowitz wykorzystał psychologię, żeby wykołować wymiar sprawiedliwości. Ale teoria Tuckera mocno go zaniepokoiła.

- Chcesz powiedzieć, że Vernon słyszy głosy? - Nie wiem, co mu siedzi w tej głowiznie, ale wiem, co widziałem wczoraj w jego oczach. To samo, co widziałem w oczach Austina, kiedy mnie dusił i nazywał imieniem mojego ojca. Proroczy szał. Gdyby mógł rozerwać Cyra na kawałki, zrobiłby to. I stawiam Sweetwater przeciwko orzechom, że uznałby to za swój święty obowiązek.

- Pomijając Eddę Lou, pozostałe ofiary znał chyba dość powierzchownie.

- Burke, jesteśmy w Innocence. Ludzie znają się na wylot, chcą czy nie. Znasz powiedzenie o jabłku i jabłoni. Jeżeli Austin był potencjalnym mordercą, Demon może być rzeczywistym.

- Porozmawiam z nim.

Tucker skinął głową z zadowoleniem. Zadzwoił telefon. Susie odebrała go na piętrze.

- Będziesz dzisiaj w Sweetwater na pokazie fajerwerków?

- Muszę, chyba że chcę, by żona i dzieci mnie opuściły.

- Carl też się wybiera?

- Nie ma powodu, żeby siedział w mieście, skoro całe miasto będzie u ciebie. Czemu pytasz?

Tucker wzruszył ramionami.

- Mnóstwo ludzi, hałas, zamieszanie. Martwię się o Josie i Caroline. Czułbym się lepiej, gdybyście byli na miejscu.

- Burke - odezwała się Susie od drzwi. Była jeszcze w szlafroku i pachniała mydłem goździkowym. Burke pomyślał, że nie wygląda na więcej niż dwadzieścia lat.

- Z biura? - zapytał.

- Nie. Dzwoniła Della. - Położyła dłoń na ramieniu Tuckera. - Matthew Burns zabrał

Dwayne'a na posterunek.

Gdyby nie był taki wściekły, obśmiałyby się jak norka. Pomysł, by oskarżyć Dwayne'a, łagodnego, wielkodusznego Dwayne'a o morderstwo, był naprawdę śmieszny. Fakt, że jego brat został wyrwany z łóżka i zawieszony na posterunek przez jakiegoś wysztafirowanego agencika wcale śmieszny nie

był.

Walcząc z ogarniającym go gniewem, Tucker wszedł do biura szeryfa razem z Burke'em. Obiecał sobie, że nie straci panowania nad sobą. Nie sprawi Burnsowi tej przyjemności. Spokojnie podał bratu papierosa i sam zapalił swoją połówkę.

- Wcześniej dzisiaj zaczynasz, Burns - powiedział łagodnie. - Chyba zapomniałeś, że mamy narodowe święto.

- Znam dzisiejszą datę. - Burns rozprostował nogi pod biurkiem Burke'a i skrzyżował ramiona. - Wiem również, że w południe odbędzie się parada. Moje zajęcia nie będą kolidowały z uroczystościami. Szeryfie, powiedziano mi, że zamykasz główną drogę o dziesiątej.

- Zgadza się.

- Proszę zaparkować mój samochód w takim miejscu, żebym mógł w każdej chwili wyjechać z miasta. - Wyjął kluczyki od wozu i położył je na skraju biurka.

Carl ujrzał błysk gniewu w oczach Burke'a i szybko podszedł do stołu.

- Zaparkuję go na drodze do Magnolii. - Podzwaniając kluczykami zatrzymał się przy Tuckerze. - Przykro mi, Tuck. Miałem rozkaz go tu przywieźć.

- W porządku, Carl. Wyjaśnienie tej sprawy nie potrwa długo. Słyszałem, że twoja dziewczyna poprowadzi w tym roku paradę.

- Ćwiczyła dzień i noc. Jej dziadziuś kupił nawet wideo, żeby mogła się obejrzeć.

- To fascynujące, panie zastępczo - wtrącił Burns - ale mamy zadanie do wykonania. -

Przeniósł wzrok na Tuckera. - Zadanie służbowe.

- Życz jej ode mnie powodzenia, Carl - powiedział Tucker. Poczekał, aż zastępca wyjdzie. - Dwayne, przeczytali ci twoje prawa?

- Pan Longstreet nie został aresztowany. Jeszcze - wtrącił Burns. - Będzie przesłuchiwany.

- Ma prawo do adwokata, prawda?

- Naturalnie. - Burns rozłożył dłonie. - Jeżeli obawia się pan, że pana prawa mogą zostać pogwałcone, panie Longstreet, lub że może się pan obciążyć swoimi zeznaniami, proszę się nie krępować i zadzwonić po adwokata. Z przyjemnością poczekamy.

- Wolałbym odwalić to jak najprędzej. - Dwayne spojrzał zgnębiony na Tuckera. - Ale byłbym wdzięczny za kawę i fiolkę aspiryny.

- Załatwię ci to, synu. - Burke poklepał go po ramieniu i poszedł do łazienki.

- To sprawa oficjalna, Longstreet. - Burns ruchem głowy odprawił Tuckera. - Nie ma tu dla ciebie miejsca.

- Burke mianował mnie swoim zastępcą. - Tucker rozciągnął usta w uśmiechu. Burke aż przystanął w drzwiach łazienki, ale nie zaprzeczył. - Czwartego Lipca zawsze potrzebuje pomocy.

- To prawda - powiedział Burke wytrząsając tabletki z plastikowej butelki. - I mając na uwadze, że mój najmłodszy ma dzisiaj urodziny, byłby wdzięczny, gdybyśmy ruszyli z miejsca.

- Bardzo dobrze. - Burns włączył magnetofon. - Panie Longstreet, mieszka pan w posiadłości Sweetwater w okręgu Bolivar, w stanie Missisipi?

- Zgadza się. - Dwayne przyjął od Burke'a kubek kawy i aspirynę. - Longstreetowie mieszkają tam od blisko dwustu lat.

- Tak. - Historia i schedy rodzinne nie interesowały Burnsa. - Mieszka pan z bratem i siostrą.

- I z Delią. Jest gospodynią w Sweetwater od ponad trzydziestu lat. Gościmy tam również kuzynkę Lulu. - Dwayne oparzył się w język kawą, ale udało mu się przełknąć tabletki. - Kuzynka ze strony mamy. Nie wiadomo, jak długo zostanie. Od niepamiętnych czasów kuzynka Lulu przyjeżdża i wyjeżdża, kiedy jej się podoba. Pamiętam raz...

- Gdyby zechciał pan się streszczać - powiedział Burns. - Chciałbym skończyć przed paradą.

Dwayne podchwycił rozbawione spojrzenie Tuckera i wzruszył ramionami.

- Odpowiadam tylko na pytanie. O, zapomniałem o Cyrze i Caroline. Oni też z nami mieszkają. Czy to chciał pan wiedzieć?

- Pański stan cywilny?

- Jestem rozwiedziony. W październiku będzie dwa lata. W październiku, prawda.

Tucker?

- Zgadza się.

- Gdzie mieszka pańska była małżonka?

- W Nashville. Rosebank Avenue. Ma tam mały, śliczny domek, niedaleko szkoły, tak że chłopcy mogą chodzić spacerkiem.

- Jej nazwisko brzmi Adalaide Koons?

- Sissy - poprawił go Dwayne. - Jej mały braciszek mówił do niej Sissy, i tak już zostało.

- Pani Longstreet była w ciąży, kiedy się pobraliście? Dwayne spojrzął na niego spode łba.

- Nie jest to wprawdzie pański interes, ale fakt, była w ciąży. To żadna tajemnica.

- Ożenił się pan, żeby dać dziecku nazwisko?

- Ożeniłem się, ponieważ uznałem za stosowne.

- Rozumiem - mruknął Burns. - I wkrótce po narodzinach drugiego syna, żona opuściła pana.

Dwayne podniósł kubek z kawą i wbił ciężki wzrok w Burnsa.

- To również nie jest tajemnicą.

- Przyznaje pan, że była to nieprzyjemna scena? - Burns pochylił się nad papierami. -

Po gwałtownej kłótni, zdaje się, że nadużywał pan alkoholu, żona zamknęła przed panem dom, po czym wyrzuciła pańskie ubrania przez okno na piętrze. Następnie zabrała dzieci do Nashville, gdzie zamieszkała ze sprzedawcą obuwia, który dorabiał jako muzyk.

Dwayne obejrzał dokładnie papierosa, którego podał mu Tucker.

- Zgadza się, mniej więcej.

- Co pan czuł, panie Longstreet, kiedy kobieta, którą poślubił pan z obowiązku, porzuciła pana dla drugorzędnego gitarzysty?

Dwayne bardzo powoli zapalał papierosa.

- Zrobiła, co jej się podobało.

- Więc przyjął to pan spokojnie?

- Nie zatrzymywałem jej, jeżeli o to panu chodzi. Małżeństwo mi nie służyło.

- W sądzie został pan oskarżony o okrucieństwa, stosowanie przemocy, niezrównoważone i gwałtowne zachowanie. Stwierdzono, że stanowi pan fizyczne zagrożenie dla niej i dzieci. Nie wydało się to panu niesprawiedliwe?

Dwayne zaciągnął się głęboko i zamarzył o whisky.

- Sissy czuła się pokrzywdzona. Nie mógłbym powiedzieć z czystym sumieniem, że byłem dobry dla niej i dla dzieci.

- Dwayne, dość tego. - Tucker stracił zimną krew. Podszedł do brata i położył mu rękę na ramieniu. - Nie musisz odpowiadać na pytania tego fiutka o swoje małżeństwo i uczucia z nim związane.

- Czy istnieje powód, dla którego twój brat nie miałby potwierdzić czegoś, co już wiem?

Tucker puścił Dwayne'a, podszedł do biurka i pochylił się nad Burnsem.

- Nie widzę żadnego. Tak jak nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym skopać ci tyłka.

- Porozmawiamy o tym we właściwym czasie, Longstreet. W tej chwili prowadzę śledztwo. Jeżeli będziesz mi to nadal uniemożliwiał, będę zmuszony zamknąć cię w celi.

Tucker chwycił Burnsa za prążkowany krawat i szarpnął w górę.

- Pokażę ci, jak załatwiamy takie sprawy w delcie.

- Zostaw go. - Dwayne chwycił Tuckera za rękę.

- Ani mi się śni.

- Powiedziałem, zostaw go! - Dwayne zbliżył twarz do twarzy Tuckera. - Nie mam nic do ukrycia. Ten jankeski skurwiel może zadawać pytania do usranej śmierci, i to nic nie zmieni. Skończmy.

Tucker rozluźnił niechętnie uścisk.

- Wrócimy do tego, Burns.

Burns z kamienną twarzą poprawił krawat.

- Z przyjemnością. - Odwrócił się w stronę korkowej tablicy. - Panie Longstreet, znał

pan Arnette Gantrey? - Burns puknął palcem w tablicę, między portretem uśmiechniętej blondynki a czarno - białym zdjęciem policyjnym zrobionym nad brzegiem Gooseneck Creek.

- Znałem Arnette. Chodziliśmy razem do szkoły. Parę razy wybraliśmy się na randkę.

- A Francie Logan? - Palec Burnsa zjechał niżej, na drugi zestaw zdjęć.

- Znałem Francie. - Dwayne odwrócił oczy. - Wszyscy znali Francie. Wyrosła tu.

Przez jakiś czas mieszkała w Jackson, ale po rozwodzie wróciła do Innocence.

- A czy znał pan Eddę Lou Hatinger?

Dwayne zmusił się, by spojrzeć na tablicę, ale skupił wzrok na palcu Burnsa.

- I Eddę Lou, i Darleen też, bo do tego pan zmierza.

- Znał pan kobietę o nazwisku Barbara Kinsdale?

- Nie sądzę. - Dwayne zmarszczył brwi, powtarzając nazwisko w myślach. - Tutaj nikt się tak nie nazywa.

- Jest pan pewien? - Burns odczepił zdjęcie od tablicy. - Proszę się przyjrzeć.

Dwayne wziął zdjęcie, dziękując Bogu, że przedstawia żywą kobietę. Ładną brunetkę koło trzydziestki, z prostymi włosami do ramion.

- Nigdy jej nie widziałem.

- Nie widział pan? - Burns zajrzał do notatek. - Barbara Kinsdale, metr siedemdziesiąt wzrostu, waga pięćdziesiąt dwa kilogramy, brązowe włosy, niebieskie oczy. Wiek trzydzieści jeden lat. Czy ten opis z nikim się panu nie kojarzy?

- Trudno powiedzieć.

- To niemal dokładny opis pana byłej żony. Pani Kinsdale pracowała jako kelnerka w klubie „Stars and Bars” w Nashville. Adres zamieszkania: 3034 Eastland Avenue. Trzy przecznice od domu pana eks - żony. Emmett Cotrain, narzeczony pana eks - żony, występował w „Stars and Bars”. Interesujący zbieg okoliczności, prawda?

Strużka potu spłynęła Dwayneowi po plecach.

- Chyba tak.

- Co więcej, pani Kinsdale została znaleziona w Percy Pirest Lake, na obrzeżach Nashville, późną wiosną. Była naga, miała poderżnięte gardło i okaleczone ciało.

Burns rzucił fotografię na biurko. Tym razem było to zdjęcie trupa.

- Gdzie pan był w nocy dwudziestego drugiego maja, panie Longstreet?

- O Jezu! - Dwayne zamknął oczy. Ciało zostało odkryte do zdjęcia i leżało nagie, sine i umęczone.

- Według moich informacji był pan w Nashville od dwudziestego pierwszego do dwudziestego trzeciego.

- Zabrałem chłopców do zoo. - Dwayne przesunął drżącymi dłońmi po oczach. Ta Barbara Kinsdale faktycznie przypomina Sissy. Boże Wszechmogący, zwłaszcza jako trup. -

Zabrałem ich do zoo i na pizzę. Nocowali ze mną w hotelu.

- W nocy dwudziestego drugiego widziano pana w hotelowym barze. Około trzeciej trzydziści. Dzieci z panem nie było.

- Spały. Zostawiłem je w pokoju i zszedłem na dół na drinka. Na parę drinków -

powiedział z westchnieniem. - Sissy suszyła mi głowę, żebym dał jej więcej pieniędzy.

Wychodziła za mąż i chciała kupić większy dom. Wypiłem tylko dwa drinki, bo pamiętałem, że

chłopcy śpią na górze.

- A czy nie zadzwonił pan do żony z baru tuż przed północą? - ciągnął Burns. - Nie groził jej pan?

- Zadzwoniłem. Siedziałem w pokoju, podczas gdy chłopcy spali. Moi chłopcy.

Uznałem, że to nie w porządku, że mam jej pomóc kupić większy dom, żeby mogła w nim mieszkać z innym mężczyzną, którego moi synowie będą uważali za ojca. - Blady, roztrzęsiony Dwayne spojrział na Tuckera. - To nie była kwestia pieniędzy.

- To była kwestia dumy - uzupełnił Burns. - Został pan upokorzony przez kobietę. Już raz wystawiła pana na pośmiewisko, wyrzucając pana z własnego domu. Zostawiła pana dla innego mężczyzny, a teraz żądała więcej pieniędzy, żeby żyć wygodnie z tym właśnie mężczyzną.

- Nie obchodzi mnie, z kim ona żyje. To jest nie w porządku...

- Nie w porządku - zgodził się Burns. - Więc powiedział jej pan, że nie da pieniędzy i że pozwie ją do sądu. Że jej pan odpłaci.

- Nie pamiętam dokładnie, co mówiłem.

- Ona pamięta. I lojalnie dodaje, że zawsze strasznie się pan chełpił po pijanemu. Nie potraktowała pana poważnie i wróciła spokojnie do baru. Została nawet po zamknięciu, ponieważ chłopców nie było w domu. Natomiast Barbara Kinsdale opuściła bar około drugiej.

Weszła na opustoszały parking, gdzie została ogłuszona i zawleczona do czekającego samochodu. Zawieszono ją nad jeziorem i poderżnięto gardło.

Burns zrobił efektowną pauzę.

- Ma pan nóż, panie Longstreet? Nóż myśliwski o bardzo długim ostrzu?

- To jakieś wariactwo. - Dwayne opuścił dłonie na kolana. - Nikogo nie zabiłem.

- Gdzie pan był trzynastego czerwca między dziewiątą wieczorem a północą?

- Na litość boską! - Dwayne poderwał się na nogi. - Burke, na litość boską!

- Myślę, że on powinien mieć adwokata. - Napięcie wyłobiło bruzdy wokół ust Burke'a. - Chyba nie powinien odpowiadać na więcej pytań bez adwokata.

Burns rozłożył ręce, bardzo zadowolony.

- To jego prawo, oczywiście.

- Jeździłem po okolicy! - wybuchnął Dwayne. - Padał deszcz i nie chciało mi się wracać do domu. Więc wsiadłem w samochód i jeździłem.

- A w nocy dwunastego czerwca? - zapytał Burns. Była to noc śmierci Eddy Lou.

- Nie wiem. Skąd mam, kurwa, pamiętać, co robiłem przez okrągły rok?!

- Nic więcej nie mów. - Tucker położył obie ręce na ramionach Dwayne'a. - Nic nie mów. Słyszysz?

- Tucker, nie zrobiłem tego.

- Wiem. Bądź cicho. - Tucker stanął przed Burnsem, odgradzając go od brata. -

Wnosisz oskarżenie?

Świąteczny weekend pokrzyżował plany agenta specjalnego. Nie każdy był tak oddany sprawie tępienia przestępstw jak Matthew Burns.

- Będę miał nakaz w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

- Świetnie. A na razie - pieprz się. Idziemy do domu, Dwayne.

- Panie Longstreet. - Burns wstał. - Radzę nie myśleć o opuszczeniu miasta. Rząd federalny ma bardzo długie ramię.

- Muszę się napić.

- Musisz zachować jasny umysł. - Tucker rozpędził samochód Josie do stu dwudziestu na godzinę. - Chwilowo zapomnij o alkoholu, Dwayne. - Oderwał wzrok od szosy, by rzucić bratu ostrzegawcze spojrzenie. - Ugrzęźliśmy i, dopóki nie wydostaniemy się z tego bagna, masz nie pić, rozumiano?

- Myślą, że ja to zrobiłem. - Dwayne tarł dłońmi twarz jakby chciał zedrzeć sobie skórę. - Myślą, że zabiłem te wszystkie kobiety. Nawet tę, której nigdy nie widziałem.

Wyglądała jak Sissy. Chryste, naprawdę wyglądała jak Sissy.

- Zadzwonimy do naszego adwokata - powiedział Tucker spokojnie, choć jego palce zacisnęły się na kierownicy. - A ty będziesz myślał. Będziesz myślał, dopóki nie przypomnisz sobie, gdzie i z kim byłeś w czasie, gdy zamordowano Arnette, Francie i Eddę Lou.

Wystarczy jedna. Któryś z tej nocy musiałeś być z kimś. Wtedy nie będą mieli podstaw.

Wiedzą, że morderca jest jeden. Przypomnij sobie!

- Myślisz, że nie chcę? Że nie próbuję?! - Dwayne uderzył pięścią w tablicę rozdzielczą. - Cholera, nie wiesz, jak to jest kiedy człowiek zacznie pić. Zapominam, urywa mi się film, wyłączam się! - Jęcząc wsadził sobie głowę między kolana. - Urywa mi się film, Tuck. O, Boże, nie panuję wtedy nad sobą. Mogłem to zrobić. - Przerażony zacisnął powieki.

- Jezu, pomóż mi, mogłem je pozabijać i nawet o tym nie wiedzieć.



- Bzdura!

Tucker zjechał na pobocze. Dwayne otworzył załzawione oczy, kiedy samochód zahamował. Patrzył tępo przed siebie. Patrzył i patrzył, aż Tucker szarpnął go za ramię.

- Cholerna bzdura i nie chcę o tym więcej słyszeć. - Pchnął Dwayne'a na fotel i przybliżył twarz do jego twarzy. - Nikogo nie zabiłeś. Masz to sobie wbić do głowy. Chyba wiem, kto jest mordercą.

Dwayne przełknął ślinę. Głowa wirowała mu w tym samym rytmie co żołądek, ale próbował ucześcić się tego jednego zdania.

- Wiesz?

- Powiedziałem: chyba. Zbadam to, jak tylko zadzwonimy do adwokata. - Nadal trzymał Dwayne'a za koszulę. - Posłuchaj mnie. Nie pozwolę ci wejść do domu i zdenerwować wszystkich głupim gadaniem. Trzymaj język za zębami. Nie piśniesz słowa, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Nasz stary był niezłym popaprańcem i zafajdał sobie życie, ale jednego nas nauczył; czujemy odpowiedzialność wobec rodziny. Trzymamy się razem, Dwayne.

- Wobec rodziny - powtórzył Dwayne. - Nie zawiodę cię. Tucker.

- W porządku. - Puścił Dwayne'a i siedział przez chwilę spokojnie, licząc na to, że żołądek wróci mu na swoje miejsce. - Pokażemy temu jankeskiemu skurwielowi, co potrafią Longstreetowie. Zadzwonię do gubernatora. To powinno spowolnić Burnsa. Ciekawe, jak prędko dostanie ten swój pierdolony nakaz!

- Chcę do domu. - Dwayne zamknął oczy, kiedy Tucker uruchomił samochód. -

Wszystko będzie dobrze, jeżeli dostanę się do domu.

Parę minut później wjechali w bramę Sweetwater.

- Powiedz im, że Burns zadał ci kupę idiotycznych pytań - doradził Tucker. - Nie mów nic o Sissy ani o tej historii w Nashville.

- Tak. - Dwayne gapił się na dom, biały, smukły i uroczy w porannym słońcu. -

Załatwię to, Tucker. Wszystko załatwię, jak kiedyś.

- Tym razem zostaw to mnie.

Kiedy Tucker zjechał pod dom, w drzwiach ukazała się Josie. Była jeszcze w szlafroku, a włosy opadały jej na ramiona. Tuckerowi wystarczył rzut oka, by ocenić jej nastrój jako niebezpieczny. Zeszła ze stopni, uderzając szczotką w otwartą dłoń.

- Zdaje się, że będę musiała zacząć zamykać samochód, a kluczyki chować w sypialni.

Wzruszywszy ramionami. Tucker wyjął kluczyki ze stacyjki i rzucił Josie.

- Miałem coś do załatwienia w mieście, a ty spałaś.

- Nie wiem, czy pan zauważył, panie Longstreet, że na karcie rejestracyjnej tego wozu figuruje moje nazwisko. Byłabym wdzięczna, gdybyś nie dysponował nim jak własnym. -

Wycelowwała w niego szczotką jak pistoletem. - Uprzejmość wymaga zapytać, kiedy korzysta się z cudzej własności.

- Spałaś.

Mrugając rzęsami rozejrzała się po podjeździe.

- Stoją tu inne wozy, nie tylko mój.

- Twój był pierwszy z brzegu. - Stłumił gniew i spróbował się uśmiechnąć. - Nie ma co, wstałaś dzisiaj lewą nogą, złotko.

Roześmiała się wyniośle.

- Proponowałabym, żebyś postarał się o zastępczy środek lokomocji, zanim naprawią ci twoją zabawkę.

- Tak, psze pani. - Pocałował ją w policzek. - Jakbym słyszał mamę. Josie parsknęła i odsunęła się o krok.

- Na co się gapisz, Dwayne? - Odruchowo przeczesła włosy. - Rany, kochanie, wyglądasz strasznie. Co robiliście tak rano?

- Mieliśmy coś do załatwienia w mieście - powtórzył Tucker, zanim Dwayne otworzył usta. - Idziesz na paradę?

- Oczywiście, że idę. Longstreetowie nigdy nie opuścili niepodległościowej parady.

Dwayne, jesteś kompletnie zielony.

- Nie doszedł jeszcze do siebie po festynie.

- Ach! - Zatrokana, ujęła go natychmiast pod rękę. - Idź do kuchni i każ Delii zrobić sobie coś do jedzenia. Kuzynka Lulu nie powinna namawiać cię na tę karuzelę.

- Wszystko dobrze. - Dwayne otoczył ją ramieniem i przytulił. - Josie, wszystko będzie dobrze.

- Oczywiście, złotko. - Poklepała go po plecach. - Mamy śliczny dzień na paradę. No idź, żebyś mogła się umalować. - Pchnęła go w stronę drzwi i gestem zatrzymała Tuckera.

Zapomniała, że się na niego gniewa. - Co się stało Dwayne'owi?

- Przesłuchiwali go dzisiaj rano. Oczy błysnęły jej złowrogo.

- Dwayne'a?

- Przyjdzie kolej na nas wszystkich. Procedura. Znowu zaczęła uderzać szczotką o wnętrze dłoni.

- Chyba będę musiała przywołać Matthewa Burnsa do porządku.

- Daj spokój, Josie. Nie ma się czym przejmować. Dwayne wróci do normy.

- No dobrze, ale będę go miała na oku. - Wrzuciła kluczyki do kieszeni szlafroka i ruszyła w stronę drzwi. - A następnym razem, spytaj, słyszysz? - W drzwiach minęła się z Caroline. - Miej się na baczności, to łotr.

- Wiem. - Caroline stanęła na werandzie i okręciła się wolno. Jej bladoniebieska sukienka zawirowała, po czym opadła łagodnie wokół nóg.

Tucker stanął w połowie schodów i ujął ją za rękę. Sukienka miała koronki przy staniku, a z tyłu rozcięcie do pasa.

- Wyglądasz jak z obrazka.

- Słyszałam, że po parady wybieram się na piknik.

- To prawda. - Wtulił usta we wnętrze jej dłoni i pozostał tak przez chwilę. Mówią, że człowiek nie wie, co ma, dopóki tego nie utraci. Tucker odkrył inną prawdę. Człowiek nie wie, czego mu brakowało, dopóki tego nie odnajdzie.

- Caroline?

Odwróciła dłoń i ich palce się splotły.

- Tak?

- Muszę ci powiedzieć wiele rzeczy. - Wszedł stopień wyżej, żeby ich usta znalazły się na tym samym poziomie. - I mam cholerną nadzieję, że jesteś gotowa mnie wysłuchać. Teraz muszę coś załatwić. Czy mogłabyś pojechać na paradę z Delią? Dołączę do was.

- Mogę poczekać.

Potrząsnął głową i pocałował ją jeszcze raz.

- Wolałbym, żebyś pojechała.

- Dobrze. Pojadę z Delią, Cyrem i kuzynką Lulu, która, nawiasem mówiąc, będzie przebojem dnia.

Ma na sobie spodnie z flagą konfederacką na jednej nogawce, amerykańską na drugiej.

- Zawsze można liczyć na kuzynkę Lulu.

- Tucker! - Caroline ujęła w dłonie jego twarz. - Jeżeli masz kłopoty, chciałabym, żebyś się nimi ze mną podzielił.

- Zrobię to wkrótce. Wyglądasz pięknie, Caroline, kiedy tak stoisz na werandzie, za plecami masz otwarte drzwi, a wokół bzykają pszczoły. - Ogarnął ją ramionami i trzymał

przez chwilę przy sobie, marząc o tym, by świat pozostał taki ładny, spokojny i pełen wdzięku. Jak kobieta w niebieskiej sukience.

- Bądź gotowa na te fajerwerki wieczorem - powiedział. - I na to, co chcę ci powiedzieć. - Objął ją mocniej. - Caroline, chcę...

- Na miłosierdzie boskie! - mruknęła kuzynka Lulu od drzwi. - Tucker, będziesz tak stać cały dzień i migdalić się z tą Jankeską? Musimy się ruszyć, jeżeli chcemy dostać przyzwoite miejsca.

- Islamy czas. - Ale Tucker puścił Caroline. - Nie spuszczaaj tej Jankeski z oka, kuzynko Lulu. - Pokazał jej w uśmiechu wszystkie zęby. - W tym stroju można by cię wciągnąć na maszt flagowy. Skąd wytrzasnęłaś takie spodnie?

- Sama je uszyłam. - Rozstawiła swoje chude, oflagowane nogi. - Mam jeszcze żakiet, ale jest za gorąco. - Wetknęła orle pióro we włosy. - Jestem gotowa.

- Więc ruszajcie. - Pocałował szybko Caroline, zanim wszedł do domu. - Wyprawię resztę. Kuzynko Lulu, nie pozwól Caroline uciec z jakimś podrywaczem.

Lulu parsknęła.

- Nie ucieknie daleko.

- Nie ucieknę - powiedziała Caroline z uśmiechem.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY**

Jak sądzisz, ilu z tych szaleńców padnie na udar słoneczny przed drugą? - Kuzynka Lulu zadała swe pytanie z wygodnego fotela na trybunach. Nad głową trzymała czerwono -

biało - niebieską parasolkę, a między stopami termosy z likierem miętowym.

- Nigdy nie mieliśmy więcej niż pięć, sześć omdleń - powiedziała Della pogodnie. Nie łudziła się, że uda jej się zaćmić spodnie kuzynki Lulu, ale zatknęła miniaturową chorągiewkę w gęste włosy. - Przeważnie młodzież.

Maszerująca orkiestra dumnie dmuchała w trąbki, Lulu przygrywała na plastikowej cytrze. Otaczał ją

mur dźwięków, zachwycił połysk miedzi w ostrym słońcu, ale była zdania, że paru zemdlonych grajków dodałoby imprezie pieprzu.

- Ten kontrabasista, krzepki chłopak z pryszczami? Wzrok ma szklisty. Stawiam dziesięć dolców, że padnie na skrzyżowaniu.

W Delii odezwał się instynkt współzawodnictwa. Przyjrzała się chłopcu. Pocił się obficie i istniała szansa, że jego zgrabny uniform będzie pachniał jak mokra owca przed upływem dnia, ale był jeszcze rześki.

- Zakład stoi.

- Kocham parady. - Lulu zatknęła sobie cytrę za ucho jak ołówek i naląła sobie likieru.

- Najlepsza rozrywka po ślubach, pogrzebach i pokerze.

Della prychnęła i ochłodziła twarz wiatraczkiem na baterię.

- Możesz pójść na pogrzeb choćby jutro. Mamy tu ostatnio prawdziwą plagę pochówków. - Della westchnęła i uraczyła się zawartością termosu Lulu. - Po raz pierwszy od piętnastu lat Happy nie przemaszerowała z Ogrodniczym Klubem Pań.

- Dlaczego?

- Bo jutro chowają jej córkę.

Lulu patrzyła na dziewczęcą drużynę z Jeffersona Davisa potrząsającą pomponami w rytm „It's a Grand Old Flag”.

- Dobry pogrzeb postawi ją na nogi - uspokoiła Delię. - Co przygotowałaś na stypę?

- Ambrozię kokosową. - Della osłoniła dłonią oczy. - Spójrz tam, kuzynko Lulu.

Spójrz, jak ta mała Carla Johnsona wywija batutą!

- Pierwsza klasa, fakt. - Lulu siorbnęła miętówki. - Wiesz, Delio, życie jest jak batuta.

Możesz kręcić nią na placu, jeżeli masz talent. Możesz rzucić ją w górę i złapać, jeżeli masz refleks. Albo posłać ją w górę i pozwolić, by ci spadła na łeb. - Lulu uśmiechnęła się i wyjęła zza ucha cytrę. - Uwielbiam parady.

Siedząca za Lulu Caroline zamyśliła się nad tym porównaniem. Jakiś sens w tym był.

Ona sama nie rąbnęła się jeszcze batutą w głowę, ale z pewnością parę razy pozwoliła jej upaść na ziemię. Teraz uczyła się nią żonglować.

- Królowa Bawełny i jej dwór - powiedział Cyr. - Cała szkoła wybiera ją co roku.

Powinna jechać na tylnym siedzeniu samochodu pana Tuckera, ale ponieważ jest rozbity, wynajęli limuzynę z Greenville.

Caroline uśmiechnęła się do dziewczyny w białej sukience.

- Ona jest śliczna.

- To Ketty Sue Hardesty. - Patrząc na Ketty Sue, Cyr przypomniał sobie jej młodszą siostrę, Lee Anne. Ją i jej miękkie, fascynujące piersi. Kiedy samochód przejechał, Cyr rozejrzał się w tłumie, szukając znajomej postaci. Nie zauważył Lee Anne, ale wypatrywał Jima i zaczął wymachiwać rękoma.

- Może dołączysz do swojego przyjaciela, Cyr? Spotkamy się w samochodzie po zakończeniu parady.

Cyr miał ochotę się urwać, ale potrząsnął tylko głową. Pan Tucker liczył na to, że przypilnuje panny Caroline. Odbyli na ten temat męską rozmowę.

- Nie, psze pani. Zostanę. O, tam jest panna Josie i ten doktor z FBI. Ma w klapie marynarki taki kwiatek, co sika wodą. Niezły numer z tego doktora.

Caroline rozglądała się w tłumie.

- Zastanawiam się, co zatrzymało Tuckera.

- Nic. - Tucker objął ją od tyłu. - Nie myślisz chyba, że zrezygnowałabym z oglądania parady u boku pięknej kobiety?

Wsparła się o niego plecami.

- Nie.

- Przynieść coś zimnego do picia, panie Tucker? Mam kieszonkowe.

- Dziękujemy, Cyr. Myślę, że kuzynka Lulu ma w tych termosach wszystko, co przepisał pan doktor.

Cyr podskoczył po kubek, który Lulu napełniła likierem, i podała go Tuckerowi.

- Federalny ogląda paradę z biura szeryfa.

- Ach tak? - Tucker posmakował miętówki i oddał kubek Caroline. Wzięła pierwszy łyk i pozwoliła, by napój spłynął jej do gardła.

- Chyba niespecjalnie mu się podoba nasza parada.

- Wygląda jakby mu zaleciało martwym skunksem - skomentował Cyr.

- On nie rozumie. - Tucker jedną ręką objął Caroline, drugą położył na ramieniu Cyra.

- O, idzie Jed Larrison i jego chłopcy.

Kiedy sekcja piszczałek i bębnow pod przewodnictwem Larssona przemaszerowała grając „Dixie”, tłum zawył. Ci, którzy siedzieli na trybunach, powstali.

Caroline uśmiechnęła się i złożyła głowę na ramieniu Tuckera. Ona rozumiała.

Czwarty Lipca oznaczał pieczone kurczęta, sałatkę ziemniaczaną i mięsiwo z różna.

Był to dzień przeznaczony na powiewanie flagami, jedzenie ciasta i picie zimnego piwa w cieniu drzew. Rodziny pogrążone w żałobie nadal opłakiwały swą stratę, ramię sprawiedliwości nadal macało na oślep w poszukiwaniu mordercy, a Innocence odgrodziło się od nieszczęścia czerwono - białą - niebieską flagą i świętowało na całego.

Po paradzie przyszła kolej na konkursy na Market Street i rynku miasta. Jedzenie ciast, strzelanie do celu, rzucanie jajkami i plucie pestkami melona.

W milczącym zachwycie Caroline gapiała się na młodych uczestników konkursu jedzenia ciast, którzy z twarzami upačkanymi jagodami pochłaniali wypieki przy akompaniamencie dzikiego wrzasku kibiców. Ciasta znikwały, a na ich miejsce pojawiały się nowe błyszczące foremki. Okrzyki zachęty i porady gastronomiczne mieszały się z jękami tych, którzy dali za wygraną.

- Patrz na Cyr! - Caroline przycisnęła współczująco dłoń do żołądka. - Zjadł chyba z tuzin.

- Dziewięć i pół - uściślił Tucker. - I wyszedł na prowadzenie. No, dalej, chłopie! Nie żuj! Łykaj w całości!

- Nie wiem, jak on oddycha - mruknęła Caroline, kiedy Cyr zagrzebał twarz w foremce numer dziesięć. - Pochoruje się.

- Oczywiście. To część zabawy. Cyr! Nie zwalnij! Złapał właściwy rytm - zwrócił się do Caroline.  
- Nie pakuje całej twarzy, licząc na to, że jakoś to będzie, ma opracowaną metodę, działa systematycznie od zewnątrz ku środkowi.

Nie miała pojęcia, skąd Tucker to wie, ona widziała tylko chłopca zagrzebanego po szyję w jagodach. Powiedziała sobie, że to głupia gra, niehigieniczna i mało twarzowa. Ale drżała od stóp do głowy z podniecenia, podskakiwała i wymachiwała rękoma.

- Dalej, Cyr! Łyknij to w całości! Naprzód! Pokaż im, gdzie raki zimują! Patrz!

Zaczyna dwunaste. O, Jezu, zatchnie się. Tylko... - Spojrzała na Tuckera i zobaczyła, że szczerzy do niej zęby. - Co?

- Szaleję za tobą. - Całował ją, kiedy Cyr, zielonkawy pod powłoką jagód, został

ogłoszony zwycięzcą. - Wpadłem jak śliwka w kompot.

- To dobrze. - Przesunęła dłonią po jego policzku. - To bardzo dobrze. Chyba powinnam pójść i pomóc zwycięzcy zeskrobać sok z twarzy.

- Niech sobie znajdzie własną dziewczynę - zdecydował Tucker i pociągnął ją za sobą.

Na parkingu przed kościołem luterzańskim odbywał się konkurs strzelecki. McGreedy dostarczył butelki po piwie, sklep „Przyjaciel Myśliwego” - amunicję. Było już po eliminacjach wstępnych i część zawodników jak niepyszna wycofała się w szeregi widzów.

Tucker z zadowoleniem stwierdził, że Dwayne przygotowuje się do drugiej rundy.

Namówienie brata na udział w zabawie kosztowało go sporo wysiłku. Chciał uniknąć plotek, jak długo to możliwe. Chciał, by Dwayne zachowywał się normalnie. Był to, według Tuckera, najlepszy dowód niewinności.

- Josie też bierze udział - zauważyła Caroline.

- Strzelamy do dziecka. Stary Beau już o to zadbał.

- A ty? Nie kusi cię pierwsza nagroda w postaci wędzonej szynki i niebieskiej wstążeczki.

Wzruszył ramionami.

- Nie lubię broni. O, jest Susie. - Odczekał, aż rozbije trzy butelki trzema strzałami. -

Ma celną rękę. Dobrze, że wyszła za szeryfa. Inaczej mogłaby robić napady na bank.

- Kuzynka Lulu! - Zaniepokojona Caroline położyła rękę na ramieniu Tuckera. Lulu wkroczyła między uczestników z parą coltów przypasanych do kościstych bioder. - Naprawdę uważasz, że powinna... - Urwała, kiedy starsza pani dobyteła broni. Trzy butelki rozprysły się niemal w tej samej sekundzie. - O, rany!

- Potrafi posłużyć się wszystkim od dwudziestki do dwójki po AK - 47. - Patrzył, ubawiony, jak Lulu okręca colta na palcu i wsuwa do kabury. - Ale jeżeli poprosi cię, żebyś stanęła z jabłkiem na głowie, radzę odmówić. Nie jest już taka młoda jak kiedyś.

Lulu wyeliminowała Susie i bardzo zirytowanego Willy'ego Shivera. Tłum wrócił na główną ulicę w oczekiwaniu na bieg.

- Nie pobiegniesz? - Caroline wzięła z rąk Tuckera butelkę zimnej coli. Tucker zapalił papierosa i pstryknięciem odrzucił zapalniczkę.

- Kochanie, dlaczego miałbym biec, żeby przenieść się z jednego miejsca na drugie?

- Faktycznie. - Uśmiechnęła się do siebie. - Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. -

Oparła się o niego z westchnieniem, kiedy biegacze zajęli miejsca. - A więc, nie bierzesz udziału w konkursach?



- No, w jednym biore.

Zadarła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- W którym?

- Zobaczysz.

Wysmarowane tłuszczem świnie? Myślała, że pojęła ducha imprezy, ale kiedy stanęła przy zaimprovizowanym wybiegu i usłyszała kwik nierogaczyny, zrozumiała, że przed nią jeszcze długa droga.

Tucker uchylił się od jedzenia ciast, nie chciał strzelać i ziewnął na propozycję biegania. A teraz stał na wybiegu rozebrany do pasa i czekał na sygnał, by zacząć łapać wysmarowaną smalcem świnie.

Caroline pochyliła się nad Cyrem.

- Jak się czujesz?

- Świetnie - zapewnił ją. - Większość zrzuciłem, a reszta ma się dobrze. - Wskazał na niebieską wstążeczkę przypiętą do bawełnianej koszuli. - Pan Tucker wygra.

- Doprawdy?

- Zawsze wygrywa. Potrafi się ruszać naprawdę szybko, jak mu się chce. Ruszają!

Krzyki i wybuchy śmiechu widzów mieszały się z kwiczeniem świń i przekleństwami ścigających je mężczyzn. Żeby utrudnić pościg, zalano wybieg wodą. Mężczyźni ślizgali się i babrali w błocie, ładując w najdziwniejszych pozycjach. Świnie wyrywały im się z rąk.

- Dlaczego nie mam z sobą aparatu? - Caroline wyła ze śmiechu, patrząc na Tuckera, który przebył poślizgiem pół zagrody. Skręcił się jak wąż, kiedy świnia przebiegła mu po nogach, ale wstał z pustymi rękoma.

- Ten doktorek z FBI jest dobry! - Cyr wydał okrzyk radości, kiedy Tucker chwycił

świnie za tylną nogę. - Byłby ją złapał, gdyby Bobby Lee na niego nie wpadł. O, pan Tucker namierza tę wielką. Dalej, panie Tucker!

- Interesujący konkurs - powiedział Burns przystając przy nich. - Zdaje się, że poświęca się tu godność dla ekscytacji polowania.

Caroline rzuciłaby mu niecierpliwe spojrzenie, ale nie chciała stracić ani sekundy widowiska.

- Widzę, że ty zachowujesz godność.

- Nie widzę sensu w taplaniu się w błocie i ściganiu świń.

- Oczywiście, że nie. To się nazywa zabawa.

- Tak, zgadzam się z tobą. Nigdy nie byłem tak ubawiony. - Spojrzał na Tuckera, który leżał akurat twarzą w błocie. - Longstreet znajduje się w swoim żywiole, nie sądzisz?

- Powiem ci, co sądzę... - zaczęła, ale Cyr chwycił ją za ramię.

- Niech pani patrzy! Ma ją! Ma ją, panno Caroline!

Umazany błotem i smalcem Tucker trzymał nad głową wyrywającą się świnię. Kiedy uśmiechnął się do Caroline, pożałowała, że nie ma tuzina róż, które mogłaby rzucić mu pod nogi. Żaden matador nie wyglądał nigdy tak czarująco.

- Zwycięzca bierze wszystko - zacytował Burns. - Powiedz mi, czy będziesz mógł zatrzymać świnię?

Caroline wepchnęła sobie język pod policzek.

- Jakże by inaczej, złotko. Świnia jego aż do świniobicia. A teraz muszę cię przeprosić. Chciałabym pogratulować zwycięzcy.

- Jedną chwileczkę. - Zastąpił jej drogę. - Czy nadal mieszkasz w Sweetwater?

- Tak.

- Radziłbym zmienić lokum. Nierozsądnie jest spać pod jednym dachem z mordercą.

- O czym ty mówisz?

Burns spojrzał na Dwayne'a i Tuckera, którzy splukiwali błoto piwem.

- Może powinnaś zapytać swojego gospodarza. Powiem ci tylko, że jutro dokonam aresztowania i Longstreetowie stracą powód do śmiechu. Miłego dnia.

Bez słowa Caroline wyminęła agenta Burnsa, pociągając za sobą Cyra.

- Co to znaczy, panno Caroline?

- Nie wiem, ale zaraz się dowiem. - Zanim przebiła się przez tłum, Tuckera już nie było. - Gdzie on się podział?

- Poszedł pewnie do McGreedy'ego opić świnię. Zaraz wszyscy zaczną się zbierać na piknik do Sweetwater.

Caroline stanęła, trochę zdezorientowana. Nie mogła rozmawiać z Tuckerem w gronie mokrych, klepiących się po plecach facetów. Wspięła się na palce i szukała wzrokiem w tłumie.

- O, jest Della. Cyr, jedź z nią do Sweetwater. Ja poczekam na Tuckera.

- Nie, psze pani. Pan Tucker powiedział, że mam cały czas być z panią, kiedy jego nie ma.

- To nie jest konieczne, Cyr. Nie... - Spojrzała na zdeterminowaną twarz chłopca i westchnęła cichutko. - No dobrze. Usiądziemy sobie gdzieś i poczekamy.

Siedząc na stopniach przed drogerią Larssona, obserwowali exodus z miasta.

- Niech się pani nie martwi tym facetem z FBI, panno Caroline.

- Nie martwię się. No, może trochę.

Cyr odwrócił swoją rozetkę do góry nogami, żeby ją jeszcze raz przeczytać.

- On jest jak Vernon.

Caroline spojrzała na niego, zaskoczona.

- Agent Burns jest jak twój brat?

- Nie mówię, że chodzi i wszczyna burdy, i bije kobiety. Ale on myśli, że jest najmądrzejszy i najlepszy. Uważa, że ma zawsze rację. I lubi przygwoździć człowieka do ściany.

Caroline wsparła podbródek na dłoni i zastanowiła się nad słowami Cyra. Burns oburzyłby się na zestawienie go z Hatingerem, ale porównanie było zaskakująco trafne.

Vernon miał własną interpretację Pisma Świętego. Burns miał własną interpretację prawa.

Obaj używali czegoś dobrego i sprawiedliwego dla zdobycia władzy.

- W rezultacie to oni tracą. - Pomyślała o matce, mistrzyni przeprowadzania swojej woli. - Ponieważ nikt ich nie lubi. To smutne. Lepiej, kiedy ludzie cię kochają, nawet jeżeli nie jesteś najmądrzejszy i nie zawsze wiesz, czy masz rację. - Wstała. Tucker szedł ulicą, z koszulą przewieszoną przez ramię. Z włosów i spodni kapą mu woda. - Wygląda na to, że jedziemy do domu.

Przeszła przez drogę i otoczyła go ramionami. Śmiejąc się próbował ją odsunąć.

- Złotko, nie jestem idealnie czysty.

- To bez znaczenia. Muszę z tobą porozmawiać. Sam na sam - szepnęła mu do ucha.

Byłby szczęśliwy, mogąc zinterpretować te słowa jako romantyczną propozycję zakochanej kobiety, ale, niestety, wyczuł napięcie w jej głosie.

- Dobrze. Cyr, jedziemy do domu. Słyszałem, że Della przygotowała prawdziwą ucztę.

Myślę, że i ciasto upiekła.

Cyr uśmiechnął się dobrodusznie.

- Nie spojrzę na ciasto do przyszłego lipca.

- Musisz trenować, chłopcze. - Tucker przesunął palcem po niebieskiej wstążeczce Jima. - Wiesz, dlaczego jestem taki dobry w łapaniu tych śliskich prosiaczków? - Porwał

Caroline na ręce. - Ponieważ zawsze trzymam jakąś wierzgającą damę.

- Porównujesz mnie z maciorą? - zapytała Caroline uprzejmie.

- Ależ skąd, kochanie! Mówię tylko, że jeżeli mężczyzna naprawdę czegoś chce, nie pozwoli, by to wyslizgnęło mu się z rąk.

Na łące w Sweetwater leżały rozłożone koce, a z Pola Eustisa dobiegała muzyka z megafonów. Przy stawie, który tak niedawno był miejscem zbrodni, przygrywała orkiestra złożona ze skrzypiec, banjo i gitary.

Gdzieś drzemały dzieci, rozciągnięte w trawie tam, gdzie padły z wyczerpania.

Toczył się zaimprovizowany mecz krykieta i od czasu do czasu uderzenia kija wzbudzało entuzjazm widzów. Starsi panowie siedzieli na ogrodowych krzesłach dopingując grających i plotkując, ile wlezie. Młodzież przeniosła się do wesołego miasteczka, gdzie do szóstej można było jeździć za pół ceny.

- Czy tak jest co roku? - zapytała Caroline. Znajdowała się dość blisko stawu, by cieszyć się muzyką, dość daleko od festynu, by nie widzieć, jak tandetnie wygląda w świetle dnia.

- Mniej więcej. - Tucker leżał na plecach zastanawiając się, czy ma ochotę na jeszcze jedno kurze udko. - A co ty zwykle robisz Czwartego?

- To zależy. Jeżeli jestem za granicą, dzień ten niczym się nie wyróżnia. Jeżeli jestem w kraju, gram zazwyczaj na jakimś koncercie. - Skrzypce podjęły „Little Brown Jug” i Caroline zaczęła grać melodię w głowie. - Tucker, muszę zapytać cię o coś, co powiedział mi dzisiaj Matthew.

Tucker stwierdził, że jednak nie zje tego udka.

- Powinienem wiedzieć, że zepsuje mi ten dzień - mruknął.

- Powiedział, że jutro dokona aresztowania. - . Zacisnęła palce na jego dłoni. - Tucker, czy ty masz kłopoty?

Zamknął na chwilę oczy.

- Chodzi o Dwayne'a, Caro.

- O Dwayne'a? - Potrząsnęła głową, zdumiona. - Chce aresztować Dwayne'a?

- Nie wiem, czy może - powiedział Tucker wolno. - Adwokat uważa, iż Burns blefuje, że próbuje zmusić Dwayne'a do powiedzenia czegoś, czego mówić nie powinien. Burns ma tylko poszlaki. Żadnego dowodu.

- Jakie poszlaki?

- Jak dotąd Dwayne nie ma alibi na czas żadnego morderstwa. Według Burnsa motywem są nieporozumienia z Sissy.

- Rozwód jako motyw zamordowania innej kobiety? - Caroline uniosła brwi. - Taki motyw ma połowa męskiej populacji w tym kraju.

- Nieszczególnie przekonywający, prawda?

- Więc dlaczego tak się martwisz?

- Ponieważ Burns jest dupkiem wysokiej klasy, ale nie jest głupi. Wie, że Dwayne pije, wie, że Sissy wystawiła Dwayne'a na pośmiewisko, wie, że Dwayne znał wszystkie ofiary. Ta z Nashville ma być elementem wiążącym.

- Z Nashville? - Caroline wypuściła ze świstem powietrze. - Powiedz mi wszystko.

Miał nadzieję, że uda mu się oszczędzić jej tych rewelacji chociaż na jeden dzień, ale kiedy już zaczął mówić, słowa popłynęły strumieniem. Caroline wyczuła w nim gniew i prawdziwy strach.

- Co radzi adwokat?

- Mamy zachowywać się jakby nigdy nic. Siedzieć i czekać. Oczywiście, gdyby Dwayne'owi udało się skombinować alibi na jedną z tych nocy, Burns zostałby załatwiony odmownie. Nie mogłem go dzisiaj złapać, ale ma oddzwonić jutro.

Próbowała się uśmiechnąć, w nadziei, że odwzajemni się tym samym.

- Kuzyn, jak przypuszczam?

- Gubernator? - Uśmiechnął się przelotnie. - Nie on, jego żona. Burns będzie potrzebował czegoś więcej niż poszlak, żeby wsadzić Dwayne'a za kratki.

- Mogę zadzwonić do ojca, jeżeli chcesz. Jest radcą prawnym, ale zna doskonałych adwokatów.

Tucker napił się piwa.

- Miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne. Najgorsze jest to, że Dwayne zwątpił w samego siebie.

- Nie rozumiem.

- Boi się, że mógł się upić, wpaść w szal i...

- Mój Boże! Tucker, nie myślisz chyba...?

- Nie! - Nawet nie starał się ukryć wściekłości. - Jezu, Caroline, Dwayne jest nieszkodliwy jak nowo narodzone kocię. Może rozbijać się po pijanemu, ale krzywdzi tylko siebie. Pomyśl, sposób, w jaki te kobiety zostały zabite. Mamy cztery morderstwa popełnione ze zjadliwą furją, w jakimś szale, to prawda, ale sprytnie zaplanowane. A mężczyzna z głową pełną whisky nie jest sprytny. Jest ślamazarny i głupi.

- Nie musisz mnie przekonywać, Tucker - powiedziała cicho. Ale nie była pewna, czy nie próbuje przekonać samego siebie.

- On jest moim bratem. - Dla Tuckera słowa te mówiły wszystko, Z miejsca, gdzie siedzieli, widział Dwayne'a, jak przekazuje sobie z O'Hara termos. I na pewno nie było w nim lemoniady. - O północy będzie już kompletnie pijany. Nie mam serca odciąć go od butelki.

- Prędzej czy później będziesz musiał, prawda? - Przyłożyła mu dłoń do policzka. -

Myślałam o tym, co powiedziałeś o rodzinie. O tym, że trzeba naprawiać błędy, swoje i innych. Postanowiłam zadzwonić do matki.

- Chcesz mi powiedzieć, że skoro już coś radzę, powinienem sam się do tej rady zastosować?

- Coś w tym rodzaju. - Uśmiechnęła się.

Skinął głową i znów pobiegł wzrokiem ku Dwayne'owi.

- Jest taka klinika w Memphis. Cieszy się niezłą opinią. Chcę namówić Dwayne'a, żeby tam pojechał. Jeżeli dobrze to rozegram, powinno się udać.

- Złotko - powiedziała naśladowując południowy akcent - z twoim talentem wycyganiłbyś od głodującego ostami kawałek chleba.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Pochylił się i dotknął wargami jej ust.

- Jeżeli tak się sprawy mają, może mógłbym namówić cię na zrobienie czegoś dla mnie. Czegoś, co już od dawna chodzi mi po głowie.

Caroline pomyślała o chłodnym, pustym domu za ich plecami, o wielkim łożu z baldachimem.

- Myślę, że masz duże szanse. Co ci chodzi po głowie?

- Widzisz, pragnę czegoś. - Odwrócił głowę, żeby skubnąć wargami jej ucho.

- Miło mi to słyszeć.

- Nie chciałbym cię urazić. Zachichotała z ustami na jego szyi.

- Nie krępuj się.

- Pomyślałem, że może będziesz się wstydziła zrobić to na oczach tych wszystkich ludzi?

- Co?! - Odsunęła się od niego. - Co mam zrobić na oczach tych wszystkich ludzi?

- Zagrać coś, złotko. A ty myślałaś, że o czym ja mówię? - Uniósł karcąco brew. - No wiesz, Caroline, bo zacznę podejrzewać, że tylko jedno ci w głowie.

Caroline odetchnęła głęboko i przeczesła palcami włosy.

- Chcesz, żebym zagrała?

- Sądzę, że chcę tego niemal tak samo jak ty. Zaczęła coś mówić, ale urwała i potrząsnęła głową.

- Masz rację. Chcę tego. Tucker pocałował ją szybko.

- Pójdę po skrzypce.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

Została przyjęta do małej orkiestry, choć bez entuzjazmu. Ludzie usiedli bardzo grzecznie, jak studenci mający wysłuchać nudnego, ale szanowanego wykładowcy.

Nagle zdała sobie sprawę, że przywykła do owacji. Rozbrzmiewały w chwili, gdy pojawiała się na scenie. Mała łąka nad brzegiem Sweetwater nie była Carnegie Hall, ale była swego rodzaju sceną. A widownia zachowywała się powściągliwie.

Czuła się idiotycznie ze swoim Stradivariusem i najlepszym wykształceniem muzycznym. Chciała już bąknąć jakieś usprawiedliwienie i wycofać się chyłkiem, kiedy dostrzegła uśmiech Jima.

- No, młoda damo! - Stary pan Koons przesunął palcami po strunach banjo. Nie widział dalej niż na dwa metry, ale grał jak szatan. - Jakie masz życzenie?

- Może „Whisky for Breakfast”?

- Może być. My sobie zaczniemy, panienczko, a panienczka sobie wejdzie, kiedy poczuje ochotę.

Caroline przepuściła parę taktów. Muzyka była dobra - sięgająca do środka i hałaśliwa. Wetknęła skrzypce pod brodę, wzięła głęboki oddech i rzuciła się w wir.

To było cudowne uczucie - świdrujące i dzikie. Prawdziwa zabawa.

- Widzi mi się, że te panine skrzypki dymią - powiedział Koons, kiedy skończyli.

Wypluł tytoń. - No to jedziemy dalej.

- Znam tylko parę melodii - zaczęła Caroline, ale Koons zbył jej obawy machnięciem ręki.

- Załapie panienka. Spróbujemy „Rooping in My Sweet Baby's Arms”. Rzeczywiście załapała. Miała niezłe ucho i wprawna rękę. Kiedy trio muzyków przerzuciło się na bluesa, a potem na szorstką wersję „The Orange Blossom Special” sekundowała im dzielnie.

Zatraciła się w muzyce. Mimo to widziała, że Burns ją obserwuje, ją i Dwayne'a.

Widziała, jak Bobby Lee porywa Marvelle do tańca, kiedy zagrali „Tennessee Walts”.

Zobaczyła Tuckera i Burke'a toczących, głowa przy głowie, bardzo prywatną i bardzo poważną rozmowę. I zobaczyła Dwayne'a, siedzącego ponuro z butelką whisky między kolanami, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Coś się działo. Słońce chyliło się ku zachodowi, cienie się wydłużały. Pod powłoką śmiechów i gwizdów narastało napięcie.

A ona była tylko jednym z graczy. Jeszcze jednym graczem w dziwnej, niełatwej grze.

Los rzucił ją do tego rozprażonego słońcem miasteczka, gdzie szalał morderca, a ona przeżyła. Więcej, szła naprzód. Połowa lata minęła, a ona żyła ciągle. Ba, zaczynała wierzyć w uzdrowienie.

Uznała, że to już dużo, bardzo dużo. Pobiegnęła spojrzeniem ku Tuckerowi. A przecież nie bała się oczekiwać więcej.

- Niech mnie gęś kopnie! - Koons zaśmiał się świszcząc i położył banjo na swoich kolanach. - Potrafisz ty grać, młoda damo, bez dwóch zdań. I wcale nie jesteś miejską paniusią.

- Dziękuję, panie Koons.

- Czas na małe piwko. - Wstał z trudem. - Na pewno jesteś Jankeską? Uśmiechnęła się, biorąc słowa Koonsa za komplement, ponieważ tak zostały pomyślane.

- Wcale nie jestem tego pewna, psze pana.

Trzepnął się w udo w zachwycie i pokuśtykał w stronę pań, wołając na córkę, żeby przyniosła mu piwa.

- Ślicznie pani grała, panno Caroline. - Jim podszedł do niej szybko, żeby rzucić okiem na skrzypce, zanim schowa je do futerału.

- Powinnam za to dziękować swojemu nauczycielowi.



Gapił się na nią przez chwilę, potem wbił wzrok w ziemię. Ale choć miał spuszczoną głowę, Caroline dostrzegła jego szeroki uśmiech.

- Rany, a ja nie zrobiłem nic takiego.

- To my powinniśmy pani podziękować - powiedział Toby, otaczając żonę ramieniem.

Chodził trochę sztywno, ochraniając zraniony bok. - Stała pani w naszej obronie. I była pani ogromną pociechą dla Winnie.

- Wstyd mi, że nie podziękowałam pani jak należy - dodała Winnie. - Chyba bym oszalała, gdybym nie wiedziała, że pani i panna Della opiekujecie się moimi dziećmi.

- Po to właśnie są sąsiedzi.

- Panno Caroline! - Lucy pociągnęła Caroline za spódnicę. - Mój tatuś zaśpiewa hymn przed fajerwerkami. Sam pan Tucker go o to prosił.

- To cudownie.

- No chodź, mała. - Toby podniósł córkę i posadził ją sobie na biodrze. - Jak znam Tucka, przyjdzie tu po swoją damę, a my przygotujemy się na te sztuczne ognie. Robi się ciemno.

- Jak długo jeszcze? - chciała wiedzieć Lucy.

- Och, nie więcej niż pół godziny.

- Ja czekam już cały dzień!

Caroline zaśmiała się, słysząc te odwieczne dziecięce żale.

- Ale z niej jeszcze dzieciuch - powiedział Jim szyderczo, kiedy rodzice odeszli.

Caroline westchnęła. Wiedziała, że Jim bronił siostry z narażeniem życia, ale już o tym nie pamiętał.

- Wiesz, co mi przyszło do głowy, Jim?

- Nie, psze pani.

- Że jestem jedynaczką. - Roześmiała się na widok jego zdumienia. - Idź z rodziną, Jim. Jeżeli spotkasz Tuckera, powiedz mu, że zaraz przyjdę.

- Mógłbym odnieść skrzypce, panno Caroline. Zrobiłbym to z przyjemnością.

- Dziękuję ci, ale muszę jeszcze dokądś zatelefonować, zanim się ściemni.

Będzie to nie lada niespodzianka dla matki, pomyślała Caroline idąc przez trawnik w stronę białego domu. Złoży matce życzenia szczęśliwego Dnia Niepodległości.

„Uwolniłam się od ciebie, mamó i ty możesz uwolnić się ode mnie. Może kiedy pozrywamy te cieniutkie, napięte struny między nami, odnajdziemy uczucia”.

Caroline odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na pola Sweetwater. Choć zaczynało dopiero zmierzchać, migotały już światelka na głównej ulicy. Nie wyglądały tandetnie, lecz pogodnie. Nawet tutaj dolatywały ją piski zapóźnionych pasażerów karuzeli.

Niedługo zapadnie noc i niebo rozbłyśnie światłem, a powietrze zadrży od wybuchów.

Caroline poszła szybko ku domowi. Nie chciała stracić ani minuty.

Była tak pochłonięta myślą o tym, co się wkrótce zdarzy, że nie zwróciła uwagi na podniesione głosy. Dopiero gdy usłyszała czyjś gniewny krzyk, zatrzymała się, chcąc uniknąć spotkania.

Kiedy zobaczyła Josie i Dwayne'a stojących na podjeździe, przy samochodzie Josie, cofnęła się instynktownie. Pomyślała, że wejdzie przez boczny taras. Wtem dostrzegła nóż w dłoni Dwayne'a.

Zamarła, tuż obok ostatniej kolumny na tarasie, i patrzyła na ostrze połyskujące srebrem między bratem a siostrą. Po drugiej stronie trawnika świętujący czekali niecierpliwie na nadejście nocy. A tutaj, przed domem, cykady rozpoczynały dopiero śpiewy, lelek nawoływał samiczkę, a brat i siostra stali naprzeciwko siebie nieświadomi obecności obcego.

- Nie możesz tego zrobić! Po prostu nie możesz! - zawołała Josie z wściekłością. -

Sam to rozumiesz, Dwayne.

- Nóż. Jezu! Josie! - Obrócił go w dłoniach, jak zahipnotyzowany wpatrując się w ostrze.

- Oddaj mi to. - Próbowała nadać głosowi spokojne brzmienie. - Po prostu mi go oddaj. Zajmę się wszystkim.

- Nie mogę. W imię Boga, Josie, musisz zrozumieć, że nie mogę. To zaszło za daleko.

Widzę je, Josie. Jak w upiornym śnie. Ale to nie jest sen.

- Przestań! - Przysunęła się do niego, zaciskając dłoń na przegubie ręki, w której trzymał nóż. - Przestań natychmiast! To szaleństwo. Nie pozwolę ci na to.

- Muszę...

- Musisz mnie słuchać. I to wszystko, do cholery! Spójrz na mnie, Dwayne. Chcę, żebyś na mnie spozjrzał. Jesteśmy rodziną - powiedziała spokojnie, kiedy utkwiał w niej wzrok.

- To oznacza, że trzymamy się razem.

- Zrobię dla ciebie wszystko, Josie. Wiesz o tym. Ale...

- To dobrze. - Z leciutkim uśmiechem wyluskała mu nóż z ręki. Caroline jęknęła z ulgą.

- Powiem ci teraz, co dla mnie zrobisz. Pozwolisz mi zająć się wszystkim. Dwayne ukrył twarz w dłoniach.

- Co chcesz zrobić?

- Zostaw to mnie. Zaufaj Josie, Dwayne. Wracaj na pole i obejrzyj sztuczne ognie.

Wyrzuć całą sprawę z pamięci. To ważne. Zapomnij o wszystkim, a ja zajmę się nożem.

Dwayne opuścił ręce. Był szary na twarzy.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził, Josie. Wiesz o tym. Ale boję się. Jeżeli to się powtórzy...

- Nie powtórzy się. - Wrzuciła nóż do swojej obszernej torby. - To się już nigdy nie powtórzy. - Łagodnym ruchem położyła mu dłonie na ramionach. - Z czasem o wszystkim zapomnimy.

- Chciałbym w to uwierzyć. Może powinniśmy powiedzieć Tuckerowi, a on...

- Nie! - Josie potrząsnęła nim ze zniecierpliwieniem. - Nie chcę, żeby wiedział. W ten sposób nie oczyszcza się sumienia, Dwayne, więc zostaw to tak jak jest. Tak jak jest -

powtórzyła. - Wracaj na pokaz, a ja zajmę się resztą.

Przycisnął pięści do oczu, jakby chciał odgrodzić się od świata.

- Nie mogę myśleć. Nie mogę myśleć.

- Więc nie myśl. Po prostu rób, co ci każą. Idź. Ja zaraz przyjdę. Odszedł dwa kroki, pochylony, z opuszczoną głową, zanim się odwrócił.

- Josie, dlaczego to się stało? Wyciągnęła rękę, ale go nie dotknęła.

- Porozmawiamy o tym, Dwayne. Nie martw się już.

Dwayne minął Caroline, nie zauważywszy jej, ona zaś dostrzegła mękę na jego twarzy. Po chwili wchłonął go mrok.

Caroline stała jak posąg, z dziko walącym sercem, pośród zapachu róż, owładnięta strachem.

Dwayne był odpowiedzialny za śmierć pięciu kobiet. Brat człowieka, którego kocha, jest mordercą. Brat, do którego Tucker był głęboko przywiązany.

Współczuła im, współczuła im całą duszą. Oddałaby wiele, żeby móc się teraz odwrócić i odejść, udając, że nic nie słyszała, nic nie widziała.

Ale Josie była w błędzie. Tucker musi się dowiedzieć. Niezależnie od tego, jak silne są więzy

rodzinne Longstreetów, tej sprawy nie załatwi kochająca siostrzyczka. Tucker musi się dowiedzieć, musi się przygotować na to, co nastąpi. Oni wszyscy muszą się na to przygotować.

Caroline weszła do domu. Wśród głuchoj, przerażającej ciszy wspinała się po schodach na piętro. Nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Stała w drzwiach sypialni Josie i zajrzała do środka.

Chaos panujący w pokoju zdawał się podkreślać bezruch kobiety, która stała w otwartych drzwiach wychodzących na taras.

- Josie. - Choć głos Caroline był cichy, Josie drgnęła gwałtownie, zanim się odwróciła.

W mroku wyglądała jak duch.

- Zaraz zaczniesz się pokazywać sztucznych ognia, Caroline. Idź, bo się spóźnisz.

- Przykro mi. - Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ciągle trzyma w ręku futerał ze skrzypcami. Odłożyła go na podłogę i stanęła bezradnie. - Josie, tak mi przykro. Nie wiem, jak mogę wam pomóc, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Dlaczego ci przykro, Caroline?

- Słyszałam was. Ciebie i Dwayne'a. - Odetchnęła spazmatycznie i weszła do pokoju. -

Słyszałam was. Widziałam nóż.

- O, Boże! - Josie jęknęła z rozpaczą, opadła na fotel i ukryła twarz w dłoniach. - O, Boże! Dlaczego?

- Przykro mi - Caroline przycupnęła u kolan Josie. - Trudno mi sobie nawet wyobrazić, co teraz czujesz, ale chcę ci pomóc.

- Trzymaj się od tego z daleka. - Josie opuściła dłonie. Oczy miała wilgotne, ale już płonął w nich gniew. - Jeżeli chcesz pomóc, trzymaj się z daleka!

- Wiesz, że nie mogę. Nie tylko z powodu Tuckera i uczuć, jakie do niego żywię.

- I właśnie dlatego powinnaś zapomnieć o całej sprawie. - Josie chwyciła ją za rękę.

Smukłe palce zacisnęły się jak kleszcze wokół przegubów Caroline. - Wiem, że ci na nim zależy, że nie chcesz, by cierpiał. Zostaw to mnie.

- I co wtedy?

- Ja to załatwię. Wkrótce o wszystkim zapomnimy.

- Josie, tamte kobiety nie żyją. Nie można uznać tego za niebyłe, nawet jeżeli Dwayne jest chory.

- Ujawnienie wszystkiego, rozdarcie rodziny nie przywróci im życia.

- To kwestia dobra i zła, Josie. Musimy pomóc Dwayne'owi.

- Pomóc? - Podniosła głos. Jednym ruchem wy dostała się z fotela. - Nie pomożemy mu, zamykając go w więzieniu.

- On jest chory. - Caroline podniosła się ze znużeniem. W pokoju było już prawie ciemno. Włączyła nocną lampkę, żeby odgonić cienie. - Miłością go nie uleczysz, on potrzebuje pomocy lekarza. Musimy się upewnić, że to się już nigdy nie powtórzy.

- A może one zasługiwały na śmierć. - Josie chodziła po pokoju trąc skronie. -

Niektórzy ludzie zasługują, by umrzeć. Nie znałaś ich, nie masz prawa wydawać sądów.

- Nie wydaję sądów. Sama nie wierzysz w to, co mówisz. Nikt nie zasługuje na taką śmierć. Jeżeli czegoś nie zrobimy, my będziemy winne, jeżeli umrze ktoś jeszcze. Nie zaradzisz temu, Josie.

- Myślę, że masz rację. - Przesunęła dłonią po oczach. - Miałam nadzieję... ale chyba wiedziałam od początku. To krew - szepnęła wpatrując się w lustro. - Raz jej popróbujesz i nie ma odwrotu. Nie ma odwrotu, Caro.

Caroline podeszła do niej i spojrzenia kobiet spotkały się w lustrze.

- Znam dobrego lekarza, który mu pomoże.

- Lekarze! - Josie ściągnęła z włosów jedwabną apaszkę. - Co za bzdura. Czy nienawidziłaś matki? Czy kochałaś ojca?

- To nigdy nie jest takie proste.

- Czasem jest. Posłuchaj! - Uśmiechnęła się przymykając oczy. - Toby March śpiewa.

Podłączyli go chyba do mikrofonu. Baryton ładnie się niesie w taką letnią noc.

- Josie, musimy powiedzieć Tuckerowi. I dopilnować, żeby Dwayne oddał się w ręce policji. Przykro mi, nie ma innego wyjścia.

- Wiem, że ci przykro. - Josie westchnęła ciężko i sięgnęła do torebki. - Mnie też przykro. Bardziej, niż potrafię wyrazić. - Wyjęła pistolet i wycelowwała w Caroline. - Ty albo rodzina. Ty albo Longstreetowie. Rzeczywiście, jest tylko jedno wyjście.

- Josie...

- Widzisz ten pistolet? - przerwała jej. - Tata dał mi go na moje szesnaste urodziny.

Słodka szesnastka, mówił do mnie. Wierzył w jedno: człowiek musi pilnować swoich spraw.

Kochałam go. Nienawidziłam swojego ojca, ale kochałam tatę.

Caroline oblizła spierzchnięte wargi. Nie bała się jeszcze. W jej zamroczonym umyśle nie było jeszcze miejsca na strach.

- Josie, odłóż to. Nie pomożesz Dwayne'owi w ten sposób.

- Nie chodzi tylko o Dwayne'a. Chodzi o nas wszystkich. O wspaniałą rodzinę Longstreetów.

- Panno Caroline? - Głos Cyra rozbrzmiał echem na schodach. Obie kobiety drgnęły. -

Panno Caroline, jest pani tam?

Caroline ujrzała błysk paniki w oczach Josie.

- Powiedz mu, żeby sobie poszedł. Powiedz mu, Caro. Każ mu wyjść z domu. Nie chcę skrzywdzić tego chłopca.

- Tu jestem, Cyr! - zawołała Caroline, nie odrywając wzroku od błyszczącej krótkiej lufy. - Idź, zaraz cię dogonię.

- Pan Tucker powiedział, że mam z panią zostać.

Wyobraziła go sobie, jak stoi pod schodami rozdarty między poczuciem obowiązku a dobrymi manierami.

- Powiedziałam, że cię dogonię - powtórzyła, a lęk nadał jej głosowi ostre brzmienie. -

No, biegnij.

- Tak, psze pani. Zaraz się zaczynają sztuczne ognie.

- Świetnie. Idź obejrzeć.

Czekała, wstrzymując oddech, na zatrzaśnięcie frontowych drzwi.

- Nie chciałabym skrzywdzić tego chłopca - powtórzyła Josie. - Mam dla niego wiele uczucia. - Skrzywiła usta w szyderczym uśmiechu. - Można powiedzieć, siostrzanego.

- Josie... - Caroline próbowała mówić spokojnie. - Wiesz przecież, że nic w ten sposób nie załatwisz. I wiesz, że nie chcę skrzywdzić Dwayne'a.

- Wiem. Ale zrobisz to, co musisz zrobić. Zupełnie jak ja. - Wsunęła rękę do torby i wydobyla nóż. - Należał do taty. Uwielbiał polować. Sam patroszył zwierzynę. Tata nie bał

się pobrudzić sobie ręką krwią czy wnętrznościami. Czasem zabierał mnie z sobą. Też lubię polować.

- Josie, proszę, odłóż nóż.

- Tucker nigdy nie lubił zabijać - ciągnęła Josie obracając nóż w świetle nocnej lampki. - Specjalnie pudłował. - Potrząsnęła głową, jakby z niedowierzaniem. - Chryste, dostawało mu się za to od taty. Dwayne potrafił zabić jelenia albo królika, ale zieleniał przy patroszeniu. Wtedy tata wołał mnie i mówił: „Pokaż mu, Josie, jak to się robi”. - Roześmiała się. - Więc robiłam co kazał. Nigdy nie brzydziłam się krwi. Ma miły zapach. Miły, słodki zapach.

Caroline cofnęła się o krok, czując, jak wilgotnieje jej skóra.

- Josie - szepnęła urywanym głosem, kiedy ich oczy znówu się spotkały.

- Kiedy tato umarł, nóż przyszedł do mnie. - Uniosła go ostrzem ku górze. - Nóż przyszedł do mnie.

Caroline patrzyła na połyskujące ostrze. Za jej plecami pierwsze rakiety przecięły niebo.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

Śliczny mały pistolecik wyglądał teraz jak zabawka. W porównaniu z rzeźnickim nożem był tylko nieprzyjemnym i zbędnym dodatkiem, choć mógł wystrzelić. Ale Caroline nie myślała, żeby go wyrwać z rąk Josie. Cała jej uwaga, cały strach, skupiał się na połyskliwym ostrzu.

- Josie, nie obronisz Dwayne'a w ten sposób.

- Nie wierzysz mi. - Josie miała ochotę się roześmiać. - Prawda, trudno w to uwierzyć.

Nikt nie brał pod uwagę kobiety, a zwłaszcza nasz agent specjalny. Powiedziałam mu: szukaj kogoś, kto nienawidzi kobiet. Ale on nie rozumiał. Ty i ja wiemy, że nikt nie potrafi nienawidzić bardziej niż kobieta.

Caroline drgnęła, kiedy kolejna seria rakiet rozprysła się na niebie.

- Dlaczego miałabyś nienawidzić?

- Mam swoje powody. - Josie przesunęła się i stała teraz w drzwiach balkonowych. -

Musiałam chronić rodzinę. Musiałam chronić siebie. Teraz też to zrobię. Ale z tobą jest inaczej, Caroline. Nie sprawi mi to przyjemności, ponieważ cię lubię. Szanuję cię. I wiem, jak Tucker będzie cierpiał. Nie! - krzyknęła, kiedy Caroline cofnęła się o krok. - Nie chcę cię zastrzelić, ale zrobię to. Nikt nie usłyszy.

Tak, nikt nie usłyszy. Mogła krzyczeć, tak jak krzyczała Edda Lou, i nikt nie zwróci na to uwagi. Pistolet był wycelowany w jej szyję. Taki mały pocisk, pomyślała. Szybka śmierć.

- Nie chcę, żebyś cierpiała - powiedziała Josie. - Nie tak jak inne. Nie jesteś jak one.

Myśl, nakazała sobie Caroline. Kluczem była rodzina. Musi to wykorzystać.

- Tucker będzie cierpiał, Josie. Dwayne również.

- Wiem. Wynagrodzę im to. - Josie zerknęła w stronę okna, gdzie złote światła rozbłyskiwały i gasły, wchłonięte przez czerń nieba. - Czy to nie piękne? Longstreetowie urządzają pokazy sztucznych ogni od ponad stu lat. To coś znaczy. Kiedy byłam mała, tatuś brał mnie na ramiona, żebym była bliżej nieba. Mówił, że jestem jego ognikiem. A mama tylko patrzyła i nie mówiła nic. Widzisz, nie chciała mnie.

- Porozmawiaj ze mną, Josie. - Jak długo jeszcze potrwa pokaz? Ile czasu upłynie, zanim Tucker przyjdzie jej szukać? - Powiedz mi wszystko, Josie, żebym mogła zrozumieć, dlaczego to zrobiłaś.

- Mogę z tobą porozmawiać. Mamy czas. Łatwiej ci będzie, kiedy zrozumiesz. -

Wzięła głęboki oddech. - Austin Hatinger był moim ojcem. - Uśmiechnęła się, widząc zdumienie Caroline. - Tak, tak, ten świętoszkowaty łajdak był moim ojcem. Zgwałcił moją matkę i przy okazji zrobił mnie. Nie chciała mnie, ale nie miała wyjścia, musiała mnie urodzić.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Ona wiedziała. Słyszałam, jak rozmawiała z Delią w kuchni. Della wie. Tylko Della.

- Josie wsunęła pistolet do torebki, uznawszy widocznie, że nóż jej wystarczy. - Nie powiedziała tacie. Pewnie ze strachu. No i pragnęła chronić ojca, rodzinę i Sweetwater. Więc urodziła mnie i tolerowała przy sobie, wyczekując z niepokojem, kiedy zacznę się robić podobna do Hatingera.

- Josie.

- Byłam dorosłą kobietą, kiedy się dowiedziałam. Kłamała mi przez całe życie. Moja piękna matka, ta wspaniała dama, kobieta, do której pragnęłam się upodobnić, była zwykłą kłamczucha.

- Próbowwała tylko oszczędzić ci cierpienia.

- Nienawidziła mnie. - Josie wyrzuciła z siebie te słowa, przecinając nożem powietrze.

- Ilekroć na mnie spojrzała, przypominała sobie, jak zostałam poczęta. W piachu, podczas gdy ona wołała o pomoc. Czy pytała samą siebie, ile w tym było jej winy? Po co tam poszła? Czy naprawdę troszczyła się tak bardzo o Austina i jego żalostną żonę?

- Nie możesz obwiniać za to matki, Josie.

- Mogę obwinić ją za kłamstwo, w którym kazała mi żyć. Za to, że patrzyła na mnie z pogardą, myśląc, że jestem mniej warta od niej, od każdej kobiety. Tamtego dnia powiedziała Delii, że przez tę moją krew nigdy nie będę szczęśliwa, nigdy nie będę miała własnego domu i rodziny. Przez moją obciążoną dziedzinie krew.

Wyrzucała te słowa, podczas gdy za jej plecami niebo drgało kolorami.

- Po moim pierwszym rozwodzie wróciłam do domu, a ona spojrzała na mnie tak, jakby mnie za to winiła. I powiedziała do Delii, że nigdy nie będę miała domu i dzieci. Że może Bóg chce ją w ten



sposób ukarać za oszustwo, za życie w kłamstwie. Już od jakiegoś czasu źle się czuła. Kiedy poszła do swoich róż, poszła za nią. Chciała, żeby mi to powiedziała prosto w twarz. Pokłóciliśmy się strasznie i zostawiłam ją tam, całą zapłakaną.

Chwilę później Tucker wyszedł do ogrodu i znalazł ją martwą. Więc chyba ją zabiłam.

- Nie, nie, oczywiście, że nie! To nie była niczyja wina, Josie.

- To niczego nie zmienia. Coś we mnie narastało. Nie było to dziecko - lekarze powiedzieli mi, że nigdy go nie urodzę. Ale to coś było jak żywa istota. Zaczęło się od Arnette. Chciała złapać Dwayne'a, tak jak Sissy. Myślała, że uda jej się mnie wykorzystać.

Myślałam o tym i myślałam. Całymi nocami leżałam i myślałam. Mama zachowała tajemnicę, dając życie. Ja zachowam swoją, zabierając je.

Za oknem rozległy się okrzyki i kanonada wielkiego finału.

- Oczywiście, musiałam mieć powód. Nie jestem zwierzęciem. Morderstwo musiało mieć sens. Wybrałam kobiety, które oszukiwały i kłamały, żeby dostać mężczyznę. Sama miałam mnóstwo mężczyzn - powiedziała z uśmiechem. - Nigdy jednak nie skłamałam, żeby ich zdobyć.

- Arnette... Myślałam, że była twoją przyjaciółką.

- Była dziwką. - Josie wzruszyła pogardliwie ramionami. - Nie ją wybrałam na początek. Myślałam o Susie. Zawsze myślałam, że gdybyśmy zeszli się z Burke'em... Ale Susie nie pasowała do schematu. Nigdy nie spojrzała na innego mężczyznę poza Burke'em, więc zabicie jej nie byłoby słuszne. A musiało być słuszne - szepnęła Josie.

Caroline poczuła, jak ogarnia ją chłód.

- A więc Arnette. Upicie jej i wywiezienie nad Gooseneck Creek było dziecinnie łatwe. Ogluszyłam ją kamieniem, rozebrałam i przywiązałam do drzewa. Było zimno, Jezu, jak zimno. Czekałam, aż się ocknie. Udawałam, że jest moją matką, a ja moim ojcem i już nie było mi zimno.

- Przez jakiś czas czułam się lepiej - powiedziała Josie sennie. - O wiele lepiej. Ale to coś znowu we mnie narastało. Tym razem wybrałam Francie. Napaliła się na Tuckera. Potem przyszła kolej na Sissy, ale się pomyliłam. Za każdym razem było lepiej. Kiedy wezwali FBI, chciało mi się śmiać i śmiać. Nikt nawet o mnie nie pomyślał. Teddy zabrał mnie do Eddy Lou. Na początku to było straszne, ale potem uświadomiłam sobie, że ja to zrobiłam. Ja to zrobiłam i nikt się o tym nigdy nie dowie. Teraz miałam swoją tajemnicę, zupełnie jak mama.

I chciałam zrobić to jeszcze raz, podczas gdy wszyscy szukali mordercy. Z Darleen wypadło cudownie, jakby było to jej przeznaczenie.

- Byłaś z Happy, kiedy szukali jej córki.

- Żal mi jej było, że cierpi. Wydawało mi się, że powinnam ją pocieszyć. Darleen jest niewarta jej

leż. Żadna z nich nie była warta, żeby po niej płakać. Tylko ty jesteś inna.

Szkoda, że sobie nie odpuściłaś. Chciałam dotrzymać obietnicy danej Dwayne'owi, skoro tak bardzo mu na tym zależy. A teraz będę musiała złamać tę obietnicę, przynajmniej ten jeden raz.

- Wszyscy się dowiedzą.

- Może. Nie szkodzi. Zawsze wiedziałam, że będę musiała skończyć z tym pewnego dnia, na własnych zasadach. - Ostatnie rakiety wystrzeliły jak z karabinu maszynowego. - Nie pójdę do więzienia ani do żadnego zakładu, gdzie zamyka się ludzi, którzy robią coś, czego inni nie rozumieją.

- Odwróć się. Muszę cię najpierw związać. Obiecuję, że zrobię to szybko.

Tucker błędnął niespokojnie w tłumie, podczas gdy kolorowe bombki przyskały mu nad głowę. Nie wiedział Caroline od pół godziny. Kobiety! Jakby nie miał dość problemów z Dwayne'em i FBI! Ze też musiała zniknąć akurat teraz.

Ruchem głowy wymówił się od piwa, które ktoś mu podsunął pod nos, i szedł dalej.

- Niezłe widowisko - powiedziała kuzynka Lulu ze swojego fotela.

- Aha.

- Skąd wiesz? Nawet nie spojrzaleś.

Żeby sprawić jej przyjemność, uniósł głowę i podziwiał przez chwilę parasol czerwonych, białych i niebieskich błysków.

- Widziałaś Caroline?

- Zgubiłaś Jankeskę? - zarechotała Lulu i podpaliła zimnego ognia na patyku.

- Na to wygląda. - Podniósł głos, żeby usłyszała go ponad wrzaskami tłumu. - Nie widziałam jej od chwili, gdy skończyła grać.

- Gra naprawdę dobrze. - Lulu napisała w powietrzu swoje imię zimnym ogniem. -

Zdaje się, że niedługo pojedzie grać dla koronowanych głów w Europie.

- Coś w tym rodzaju. - Z rękoma w kieszeniach patrzył w tłum. - Jak mam ją tutaj znaleźć?

- W ogóle nie warto szukać. - Lulu odeła wargi, kiedy płomień zgasł. Zamierzała poczekać, aż wrzawa ucichnie i dopiero wtedy odpalić własne rakiety. - Widziałam, jak szła do domu.

- Po co miałyby...? Ach, chciała pewnie odłożyć skrzypce. Ale powinna już wrócić. -

Patrzył na ciemny dom. Zawsze był zdania, że najlepiej nie zgłębiać kobiecej psychiki. -

Pójdę sprawdzić.

- Przegapisz finał.

- Zdażę.

Ruszył biegiem zirytowany tym, że musi się spieszyć. Nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego Caroline miałyby się zaszyc w domu. Może niepotrzebnie ją nakłonił do występu. Może się zdenerwowała, a może cała ta historia wywołała jedną z jej migren. Przyspieszył kroku i omal nie wpadł na Dwayne'a.

- Jezu! Po co siedzisz tu po ciemku?

- Nie wiem, co zrobić. - Dwayne siedział z głową wtuloną w kolana i kołysał się miarowo. - Muszę się zastanowić, co mam zrobić.

- Powiedziałem ci, że się tym zajmę. Burns zwyczajnie blefuje.

- Mógłbym się przyznać - wybełkotał Dwayne. - Tak byłoby najlepiej dla nas wszystkich.

- Cholera! - Tucker potrząsnął brata za ramię. - Dość mam tych bredni.

Porozmawiamy o tym później, kiedy będę miał czas. Muszę sprawdzić, czy Caroline jest w domu. Chodź ze mną. Lepiej, żebyś dzisiaj z nikim nie gadał.

- Obiecałem jej, że nie powiem. - Dwayne dźwignął się na nogi. - Ale coś trzeba zrobić.

- Jasne. - Zrezygnowany Tucker otoczył brata ramieniem i pociągnął za sobą. -

Zrobimy, co trzeba. Wszystko wiem.

- Wiesz? - Dwayne stanął jak wryty. - A ona mówiła, że nie wiesz. Że nie możemy ci powiedzieć.

- O czym?

- O nożu. O nożu taty. Znalazłem go pod przednim siedzeniem jej samochodu.

Chryste, Tuck, jak ona mogła? Jak mogła zrobić coś takiego? Co się z nią teraz stanie?

Tucker doznał uczucia, że krew przestaje mu krążyć w żyłach. Stał i wsłuchiwał się w siebie, a krew krążyła coraz wolniej, aż zaszumiało mu w uszach.

- O czym ty mówisz?

- O Josie. Jezu Chryste! Josie! - Dwayne zaczął płakać, jakby dopiero teraz uświadomił sobie cały ogrom nieszczęścia. - Zabiła je, Tuck. Zabiła je wszystkie. Nie wiem, jak będę mógł żyć ze świadomością, że wydałem siostrę w ręce policji.

Tucker odsunął się od niego bardzo powoli. Dwayne chwiał się pozbawiony oparcia.

- Popieprzyło ci się w głowie.

- Musimy to zrobić. Wiem, że musimy. Na litość boską, ona chciała zamordować Sissy.

- Zamknij się! - Oślepiiony gniewem i strachem Tucker uderzył Dwayne'a pięścią w twarz. - Jesteś pijany, jesteś głupi. Jeżeli powiesz jeszcze słowo...

- Panie Tucker! - Cyr stał na podjeździe i patrzył na nich szeroko otwartymi oczami.

- Co ty tu robisz, do cholery! - krzyknął Tucker. - Dlaczego nie jesteś na pokazie?!

- Ja... Powiedział pan, że mam jej pilnować. - Cyr trząśł się od wewnątrz, trząśł się ze strachu, jakiego dotąd nie znał. - Ona tam weszła, ale kazała mi zostać na zewnątrz.

Powiedziała, żebym nie wchodził na górę.

- Caroline - powiedział Tucker głucho.

Cios przywrócił Dwayne'owi przytomność. Chwycił Tuckera za koszulę.

- Josie. Wzięła nóż i poszła do domu.

Tucker dyszał ciężko. Chciał walczyć, chciał zagłuszyć strach, który paraliżował mu mózg. Ale choć zaciskał pięści, widział prawdę w oczach Dwayne'a.

- Puść mnie! - Z siłą zrodzoną z trwogi odrzucił od siebie Dwayne'a. - Caroline jest w domu!

Zaczął biec w stronę Sweetwater, ścigany przez ryk tłumu i lodowaty strach.

- Nie ułatwię ci tego, Josie. - Nie bała się pistoletu, ale odczuwała głęboki, pierwotny lęk przed ostrym kawałkiem stali. - Wiesz, że to się musi skończyć. Cokolwiek czujesz, cokolwiek zrobiła twoja matka, nie możesz tego naprawić zabijaniem.

- Chciałam być taka jak ona, ale ludzie zawsze mówili, że przypominam ojca. Mieli rację. - Jej głos nabrał melodyjnego brzmienia. - Nie wiedzieli nawet, ile w tym racji. I nie dowiedzą się. To moja tajemnica, Caroline. Zabiję cię, żeby ją zachować.

- Wiem. Zabijesz mnie, ale Dwayne i Tucker będą nieszczęśliwi z tego powodu.

Dwayne, ponieważ wie i się zadręczy, Tucker - ponieważ mnie kocha. Ty też będziesz cierpiała, ponieważ kochasz ich.

- Nie mam wyboru. Odwróć się, Caroline. Tak będzie o wiele łatwiej. Zaczęła się odwracać. Nie odważyła się zamknąć oczu, ale zmówiła krótką, żarliwą modlitwę. Stała już niemal tyłem do Josie, kiedy wyrzutem ręki rozbiła lampę. Błogosławiąc ciemności przetoczyła się przez łóżko.

- To nie da. - Podniecenie nadało głosowi Josie ostrzejsze brzmienie. Ciemność oznaczała polowanie, głód. - To mi tylko ułatwi zadanie. Nie będę musiała na ciebie patrzeć.

Mogę udawać, że jesteś jak inne.

Jej kroków tłumionych dywanem prawie nie było słychać. Caroline skuliła się za łóżkiem. Musi dopaść drzwi. Bezszelestnie dopaść drzwi.

- Lubię ciemność.

Wstrzymując oddech, Caroline odsuwała się od łóżka macając przed sobą rękoma.

- Lubię polować w ciemności. Tatuś mówił zawsze, że mam oczy jak kot. A teraz słyszę bicie twojego serca. - Szybka jak wąż, uderzyła w miejsce, w którym przed sekundą była Caroline.

Caroline zagryzła wargi do krwi i siłą woli zmusiła się, żeby nie runąć przed siebie na oślep. Oczy przyzwyczały się do ciemności i w świetle księżyca widziała ciemną postać Josie z nożem w dłoni. Wystarczy, żeby odwróciła lekko głowę, a znajdą się twarzą w twarz.

I Josie odwróciła się, bardzo wolno. Światło połyskiwało w jej oczach. Uśmiechnęła się. Caroline przypomniawszy sobie Austina, jak szedł ku niej, przepełniony chęcią mordy.

- To nie potrwa długo - obiecała Josie i uniosła nóż.

W ostatniej rozpaczliwej próbie ratowania życia, Caroline przetoczyła się na bok. Nóż przyszpilił jej do podłogi rąbek sukienki. Uwolniła się szarpnięciem i z okrzykiem grozy rzuciła w stronę drzwi, czekając na świst noża, czując niemal jak ostrze zagłębia się jej w plecy.

Światło korytarza oślepiło ją.

- Caroline! - Tucker chwycił ją, kiedy wypadła z pokoju. - Nic ci nie jest? - Przytulił ją z całych sił i, trzymając przy sobie, patrzył na siostrę.

Miała nóż w ręku, a w jej oczach czaiło się szaleństwo. Tucker zmartwiał.

- Josie! W imię Boga, coś ty zrobiła?

Szał mijał i oczy Josie wypełniły się łzami.

- Nic nie mogłam na to poradzić. - Odwróciła się i pobiegła w stronę tarasu.

- Nie pozwól jej odejść! Tucker, nie pozwól jej! Zobaczył Dwayne'a w końcu korytarza.

- Zajmij się nią! - Pchnął Caroline w stronę brata i pobiegł za Josie. Zawołał ją. Ludzie wracający z pokazu, zwabieni jego krzykiem, podnosili głowy i patrzyli w górę z takim samym zainteresowaniem, z jakim oglądali fajerwerki. Tucker biegł wzdłuż tarasu, otwierając kolejne drzwi i zapalając światła. Kiedy dopadł sypialni rodziców, drzwi okazały się zamknięte.

- Josie! - zaczął walić w nie pięściami. - Josie, otwórz. Chcę, żebyś mnie puściła.

Wiesz, że rozwalę te drzwi, jeżeli będę musiał.

Wsparł czoło o szybę i próbował pojąć coś, co jego umysł stanowczo odrzucał. W tym pokoju jest jego siostra. Jego siostra jest szalona. Walnął pięścią w drzwi, rozbijając szybę i kalecząc palce.

- Otwórz te cholerne drzwi. - Usłyszał kroki za sobą i odwrócił się błyskawicznie.

Kiedy zobaczył Burke'a, potrząsnął głową. - Odejdź! Mówię ci, odejdź! To moja siostra.

- Tuck. Cyr nie powiedział mi, o co tu chodzi, ale...

- Wynoś się! - Z okrzykiem wściekłości rzucił się całym ciałem na drzwi. Huk wystrzału zagłuszył brzęk tłuczonego szkła.

- Nie! - Tucker opadł na kolana. Leżała na łóżku rodziców. Krew barwiła już białe prześcieradła. - Och, Josie, nie. - Podniósł się z trudem. Usiadł na łóżku, przytulił ją i zaczął

kołysać.

- Cieszę się, że przysłałaś. - Caroline nalala dwa kubki kawy i usiadła przy kuchennym stole, naprzeciwko Delii. - Chciałam z tobą porozmawiać, ale pomyślałam, że lepiej poczekać do pogrzebu.

- Pastor powiedział, że ona znalazła spokój. - Della zacisnęła wargi. - Mam nadzieję, że to prawda. Cierpią żywi, Caroline. Tucker i Dwayne będą potrzebowali sporo czasu, żeby zapomnieć. Inni też. Happy i Junior, rodzice Arnette i Francie.

- I ty. - Caroline położyła rękę na dłonie Delii. - Wiem, że ją kochałaś.

- Tak - powiedziała zdławionym głosem. - Zawsze będę ją kochała, bez względu na to, co zrobiła. Nosila w sobie chorobę. Gdyby skrzywdziła ciebie... - Dłoń jej zadrżała. - Dzięki Bogu, że tak się nie stało. Tucker nigdy już nie przyszedłby do siebie. Chciałam ci powiedzieć, że mam nadzieję, że nie uciekniesz od brata z powodu siostry.

- Jakoś ułożymy swoje sprawy. Delio, powinnaś o czymś wiedzieć. Josie powiedziała mi o tym, jak została poczęta.

Palce Delii zacisnęły się konwulsyjnie na rękę Caroline.

- Wiedziała?

- Tak.

- Ale skąd...

- Dowiedziała się od matki, przypadkiem. Wiem, że musiało wam być ciężko z tą tajemnicą, tobie i

pani Longstreet.

- Przyszła do domu któregoś dnia, wtedy gdy ją skrzywdził. Sukienkę miała podartą i brudną, a twarz blada jak kreda. A jej oczy, jej oczy! Wyglądała jak lunatyczka. Poszła prosto na górę do łazienki. Zmieniała wodę w wannie i szorowała się, aż spierzchła jej skóra.

Widziałam siniaki. Wiedziała, dokąd poszła, i wiedziałam, kto to zrobił.

- Nie musisz o tym mówić - wtrąciła Caroline, ale Della potrząsnęła głową.

- Chciałam tam pójść i go zabić, ale nie mogłam zostawić jej samej. Trzymałam ją, kiedy siedziała w wannie i płakała, płakała bez końca. Potem powiedziała, że nic nie powiemy panu Beau, że nie powiemy nikomu. Bała się, że oni się pozabijają i pewnie miała rację. Uważała, że to ona jest za to odpowiedzialna. Nie mogłam wybić jej tego z głowy.

Zawsze istniał dla niej tylko pan Beau. Była kiedyś młoda i ładna i spotykała się przez jakiś czas z Austinem. Ale nigdy nie obiecywała, że za niego wyjdzie. Ten pomysł załagał się w jego chorym umyśle.

- Nie miał prawa tego zrobić, Delio. To oczywiste.

- Ona myślała inaczej. - Della pociągnęła nosem i otarła łzę. - Uważała, że jakoś go do tego sprowokowała. Potem dowiedziała się, że jest w ciąży, a pan Beau był w Montrealu przez dwa miesiące, więc musiało to być dziecko Austina. Znowu postanowiłyśmy, że nie powiemy nikomu. Ona nie chciała, żeby dziecko ucierpiało. Próbowwała zapomnieć, ale zżerał

ją niepokój, Josie była taka nieokiełznana. Podobna do matki, tak jak jej bracia, miała jednak też coś ze swego ojca. Nie powinna się dowiedzieć, nigdy. Ale skoro już tak się stało, żałuję, że nie przyszła z tym do mnie, żebym mogła jej powiedzieć, jak matka próbowała ją chronić.

- Della westchnęła i podniosła rękę do oczu, po czym zamarła w połowie gestu. - Wiedziała jednak, Boże dopomóż, ona wiedziała! Czy dlatego...? Och, moje dziecko, moje biedne dziecko!

- No cicho, cicho. - Caroline ujęła dłoń Delii w obie ręce i pochyliła się ku niej nad stołem. Postanowiła, że to, co usłyszała od Josie, pozostanie w czterech ścianach tamtej mrocznej sypialni. W ciemności.

- Ona była chora, Delio. Tylko tyle wiemy. Oni wszyscy już nie żyją; Josie, jej rodzice, Austin. Nie ma winnych. Myślę, że z uwagi na żyjących, na tych których kochamy, powinniśmy dochować tej tajemnicy.

Della skinęła głową.

- Może Josie będzie wtedy spokojniejsza.

- I my też.

Liczyła na to, że on przyjdzie. Wiedziała, że potrzebuje czasu, ale minął już tydzień od pogrzebu Josie, a Tucker się nie pojawiał.

Innocence otrząsnęło się z wolna z szoku i lizało rany. Caroline dowiedziała się od Susie, że Tucker odwiedzał rodziny ofiar, i miała nadzieję, że pomoże to obu stronom zapomnieć.

Lato zbliżało się ku końcowi. Temperatura spadła do dwudziestu pięciu stopni i delta odetchnęła. Caroline wiedziała, że ochłodzenie jest chwilowe, ale cieszyła się nim, jak odroczeniem wyroku.

Przypięła smycz do czerwonej obroży psiaka i poszła na spacer. Kwiaty, które jej babcia zasadziła wiele lat temu, rozkwitły. Wystarczyła odrobina troski i cierpliwości.

Nieprzydatny szarpał smyczą i Caroline przyspieszyła kroku. Być może zrobią sobie spacer aż do Sweetwater.

Wyszła na szosę i zobaczyła samochód Tuckera. Wóz wyglądał dokładnie tak jak w dniu, w którym zagroził drogę jej samochodowi. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Serca goiły się wolniej niż samochody, ale się goiły. Przy odrobinie starań i cierpliwości.

Pociągnęła Nieprzydatnego z powrotem między drzewa. Wiedziała, gdzie znajdzie Tuckera.

Bardzo lubił spokojną, cichą wodę. Nie był pewien, czy potrafi znów nad nią siedzieć.

Powrót był swego rodzaju próbą. Jednak głęboki, zielonkawy cień i ciemny, nieruchomy staw nie straciły dawnego uroku. Tucker poczuł, że choć daleko mu jeszcze, aby mógł cieszyć się życiem, to jednak potrafi się z nim pogodzić.

Pies wypadł z krzaków poszczekując i wspiął się przednimi łapami na kolana Tuckera.

- Cześć, mały! Ha! Zaczynamy rosnać, co?

- Wkroczył pan na prywatny teren - powiedziała Caroline wychodząc na polankę.

Tucker uśmiechnął się smutno i podrapał psa za uchem.

- Pani babcia pozwalała mi tu przychodzić i posiedzieć nad wodą.

- Nie będę zrywać z tradycją. - Usiadła przy nim na pniu i patrzyła, jak Nieprzydatny liże ręce Tuckera. - Tęsknił za tobą. Ja też.

- Ostatnio... mało bywam między ludźmi. - Rzucił Nieprzydatnemu patyk. - Upał

zelżał - mruknął bez przekonania.

- Zauważyłem.

- Zdaje się, że to tylko chwilowe ochłodzenie.



- Zdaje się.

- Caroline, nie rozmawialiśmy o tamtym wieczorze - powiedział, nie odwracając wzroku od wody.

- I nie musimy.

Potrząsnął głową, kiedy ujęła go za rękę i wstała.

- Ona była moją siostrą.

Usłyszała napięcie w jego głosie. Dopiero teraz dostrzegła, jaki jest zmęczony.

Pomyślała, że może już nigdy nie zobaczy tego beztroskiego uśmiechu na jego twarzy.

- Ona była chora.

- Staram się tak właśnie o tym myśleć. Jakby miała raka. Kochałem ją, Caroline.

Kocham ją nadal. Boli mnie jej wspomnienie. Była taka pełna życia. Boli mnie myśl o tych wszystkich grobach, które za sobą zostawiła. A. najciężej jest mi wtedy, gdy zamykam oczy i widzę ciebie wybiegającą z pokoju, a za tobą Josie z nożem w ręku.

- Nie twierdzę, że o tym zapomnimy, ale nauczymy się nie oglądać wstecz.

Sięgnął po kamyk i rzucił go w wodę.

- Nie byłem pewien, czy będziesz chciała się ze mną zobaczyć.

- Posłuchaj, Tucker. To ty zacząłeś tę historię między nami. Nie chciałeś zostawić mnie w spokoju. Nie słuchałeś, kiedy mówiłam, że nie chcę się angażować.

Rzucił kolejny kamyk.

- Chyba masz rację. Zastanawiałem się, czy nie będzie lepiej pozwolić ci odejść, żebyś zaczęła wszystko od miejsca, w którym byłaś, zanim pogmatwałem ci życie.

Patrzyła na koła rozchodzące się na wodzie. Czasem lepiej jest wzburzyć spokojne wody niż pozwolić im gładko płynąć.

- Świetnie! Po prostu znakomicie! Cały ty! Sprawa z kobietą zaczyna się komplikować i pan Tucker zwija manatki. - Chwyciła go za ramię i odwróciła ku sobie. - Przyjmij do wiadomości, że ja nie jestem taka jak inne.

- Chciałem powiedzieć...

- Powiem ci, co chciałem powiedzieć! - Grzmotnęła go mocno w pierś i Tucker otworzył usta ze zdziwienia. - „Było miło, Caro. Dzięki, cześć!” Zapomnij o tym. Nie pozwolę ci zburzyć mojego

życia, a potem odejść pogwizdując. Kocham cię i chcę wiedzieć, co masz zamiar z tym zrobić.

- Ja wcale nie... - urwał. Zamknął oczy, jakby z bólu, potem położył dłonie na jej ramionach. - O, Boże! Caro!

- Chcę, żebyś...

- Ciii! Nic nie mów przez chwilę. Chcę cię przytulić. - Przyciągnął ją do siebie i objął

z całych sił, aż jęknęła. - Tak bardzo chciałem cię przytulić, Caro, przez te ostatnie dni. Bałem się, że się odsuniesz.

- Byłeś w błędzie.

- Chciałem być szlachetny i pozwolić ci odejść. - Zanurzył twarz w jej włosach. - Nie potrafię.

- Dzięki Bogu i za to! - Odchyliła głowę. - Nie odpowiedziałeś mi.

- Myślałem raczej o tym, żeby cię pocałować.

- Nic z tego. - Położyła dłoń na jego piersi. - Chcę otrzymać odpowiedź.

Powiedziałam że cię kocham i chcę wiedzieć, co masz zamiar z tym zrobić.

- No więc... - uwolnił ją z objęć. Nie wiedział, co zrobić z rękoma, więc wepchnął je w kieszenie spodni. - Miałem to nieźle opracowane, zanim... Zanim to się stało.

Potrząsnęła głową.

- To było przedtem. A teraz jest teraz. Wymyśl coś nowego.

- Myślałem o twoim następnym tournee. Bo chcesz jechać na tournee, prawda?

- Tym razem chcę. Dla samej siebie.

- No więc... Pomyślałem sobie, że może nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym ci towarzyszył.

Uśmiechnęła się leciutko.

- Nie miałabym.

- Chciałbym jeździć z tobą od czasu do czasu. Nie mogę wyjeżdżać na długo, ze względu na Cyra i Sweetwater, zwłaszcza teraz, kiedy Dwayne jedzie do tej kliniki, ale od czasu do czasu...

- Trochę tu, trochę tam?

- No właśnie. I tak sobie myślałem, że jeździłabyś na te tournées, a potem wracała tutaj i była ze mną.

Wydęła z namysłem wargi.

- Sprecyzuj: „była ze mną”.

Tucker wypuścił ze świstem powietrze. Odkrył, że okropnie mu trudno wypowiedzieć te słowa, skoro przez całe życie pilnował, żeby mu się nie wymknęły.

- Chcę, żebyś za mnie wyszła, założyła ze mną rodzinę. Tutaj. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek w życiu.

- Trochę przybladłeś, Tucker.

- Nic dziwnego, jestem śmiertelnie przerażony. Słuchaj, mężczyzna proponuje ci małżeństwo, a ty mu na to, że blado wygląda?!

- Racja. Masz prawo do prostego „tak” lub „nie”.

- Poczekaj! W tym nie ma nic prostego. - Przerażony przyciągnął ją znowu do siebie. -

Posłuchaj mnie. Nie mówię, że nie będziemy musieli nad tym popracować.

- Nie mówisz jeszcze czegoś. Czegoś niezwykle ważnego. Otworzył usta i zamknął je, nie wydawszy dźwięku. Pod wpływem jej wyczekującego spojrzenia spróbował jeszcze raz.

- Kocham cię, Caroline. Jezu! - Umilkł na chwilę, jakby chciał ocenić efekt tych słów.

- Kocham cię - powtórzył, i tym razem poszło mu łatwiej. Prawdę mówiąc, poszło świetnie. -

Nigdy nie powiedziałem tego żadnej kobiecie. Nie spodziewam się, że mi uwierzysz.

- Wierzę ci. - Zbliżyła usta do jego warg. - Jest to wyznanie tym cenniejsze, że kosztowało cię tyle wysiłku.

- Będzie łatwiej, z czasem.

- I ja tak myślę. Może pójdziemy do domu, żebyś mógł poćwiczyć?

- Rozsądna myśl. - Zagwizdał na psa i otoczył Caroline ramieniem. - Tym razem to ty mi nie odpowiedziałaś.

- Nie odpowiedziałam? A prawda! A więc „tak”. Wyszli w słońce.

- Czy opowiadałem ci kiedyś o jednej z moich prapraciotek? Zresztą może to była praprapraciotka. Na chrzcie dali jej imię Amelia. Ładne imię, prawda, przyjemne, dźwięczne.

W każdym razie, uciekła z jednym z McNairów w tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym.

- Nie opowiadałeś. - Caroline zarzuciła mu ręce na szyję. - Ale jestem pewna, że opowiesz.

# Table of Contents

[PROLOG](#)